R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES-PICTA.COM

HISTORYA FRANCYI.

KAROL MARTEL POD TOURS.

HISTORYA
FRANCYI

PODŁUG

NAJLEPSZYCH ŹRÓDEŁ

ułożona przez

T. DZIEKOŃSKIEGO,
b. Dyrektora Gimnazyum.

Tom Piérwszy.

W WARSZAWIE,
Nakładem **S. H. Merzbacha**, Księgarza
przy ulicy Miodowéj № 486.

1844.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa dnia $^{14}/_{26}$ Kwietnia 1844 r.

Cenzor starszy i Naczelnik K. C.
Niezabitowski.

30277/2

W DRUKARNIACH:
pod firmą Chmielewskiego i Strąbskiego.

PRZEDMOWA.

Dzieje Francyi skreślić zamierzyłem. Naród, który tak silny wpływ od niepamiętnych czasów na wszystkie strony wywierał; który nie raz całym światem wstrząsał; którego pełne ruchu życie wciska się we wszystkie członki europejskiéj społeczności; zdał mi się godnym przedmiotem głębszéj rozwagi, bliższego poznania. Zaledwie pod nazwą Gallów uległ chłonącéj świat cały potędze Rzymu, a jużci władcom swoim ton i panów nadaje. Przyjąwszy imię i berło Franków strwożoną Europę od powodzi saraceńskiéj zasłania, z Karolem W. o powszechnéj marzy monarchii, a wreszcie rycerską przywdziawszy zbroję do gniazda nieprzyjaciół chrześciaństwa przedziera się! Po kilkakroć zmienia postać Europy, to silną dłonią wspierając hierarchią duchowną, dźwigając powagę korony, to znowu kładąc kres jednéj i drugiéj. Wydobywa, przetrwarza i w życie społeczne wplata rozmaite pierwiastki: język swój do najodleglejszych krańców świata zanosi.

Zanim obecny system społeczności europejskich w postępie kilkunastu wieków wyrobił się, uczeni ciągle za wzór życia towarzyskiego dzieje starożytnego Rzymu przedstawiali, i zaiste są one i na wieki będą interesowne; ale przecie ani bramowa-

néj togi, ani toporów ceklarskich żaden z dzisiejszych Cezarów za godło swojéj władzy nie użyje. Inne stosunki, inne życie, innych wymagają żywiołów; zarody ich każdy naród z własnego wydobywa łona, na własnéj pielęgnuje ziemi, wiele jednak z obcego przyswaja klimatu; a pod tym względem Francya w szeregu narodów rozległe otwiera pole.

Historya Francyi w wielu swoich epokach, podobnie jak dzieje każdego narodu, splątana z wypadkami wojennych narodów tém samém ważną jest dla nich. Imię tego ludu sięgając Nilu i Eufratu dawno już bardzo obiło się o brzegi Wisły. Dostało się naprzód z Kazimierzem I z Clugny, następnie z pierwszą osadą akademii krakowskiéj, córki Sorbonny, za Kazimierza W.; ściślejszy atoli węzeł zadzierzgnął Henryk Walezy, a była chwila, w któréj krew polska z krwią Kapetów zmieszana berło Francyi dzierżyła.

Z natury rzeczy wypływa, że naród pełny życia, w ciągu dziewiętnastowiecznego bytu swojego, nagromadził niepojętą massę wypadków: przedstawić ich obraz zupełny, w szczegółach dokładny, nie było mojém zadaniem. Nawet małe niekiedy zdarzenia zdolne są obudzić ciekawość Francuza świadomego miejsc, a nieobojętnego dla słynniejszych w różny sposób imion i rodzin; ja zaś z innego stanowiska zapatrywać się musiałem na dzieje ludu odróżnionego od nas usposobieniem i uczuciami: przedstawić wielkie wypadki wpływ na ogół narodu, lub całą ludzkość wywierające, śledzić ducha działań, ścigać postęp wyobrażeń, to głównym było celem pracy mojéj. Nie ma narodu, któryby tak znakomitą liczbą dziejopisów mógł się poszczycić, jaką się zaleca literatura francuzka, bardzo wielu z dawniejszych, a z nowoczesnych niemal wszystkich miałem pod ręką; stémwszystkiém choć czytelnik tu i owdzie natrafi ustępy słynniejszych pisarzy, w ogóle jednak nie znajdzie kopii żadnego, bo żaden widokom moim nie odpowiadał: wszyscy pisali dla Francuzów. Obcych historyków z ostróżnością radziłem się, aby

nie uchybić w niczém bezstronności, która jedyną dziejów jest zaletą.

Nie pochlebiam sobie, abym się miał zbliżyć do pożądanéj dokładności, choć szczerze do niéj zdążałem; ale mam nadzieję, iż owoc mozolnéj pracy mojéj bezkorzystnym nie będzie. Badacz dziejów tu i owdzie coś do żądania znajdzie, gdy wszakże dla niego otwarte są źródła historyczne, niech mi przeto wybaczy, że na niego względu nie miałem, lecz całą uwagę na ogół czytelników naszych zwróciłem, ich więc głos przychylny nagrodą pracy mojéj będzie.

KSIĘGA PIERWSZA.

Dzieje Celto-Gallów do Klodoweusza.

DO ROKU 481 PO NAR. CHR.

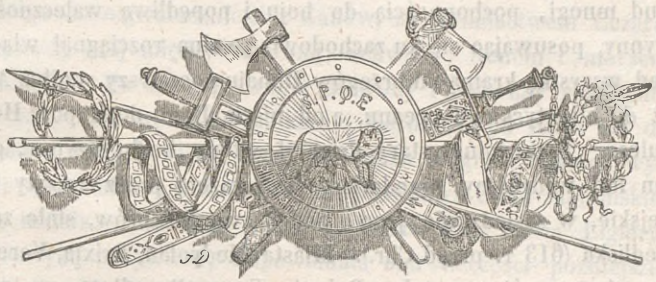

HISTORYA FRANCYI.

KSIĘGA PIERWSZA.

DZIEJE CELTO-GALLÓW DO KLODOWEUSZA.

DO ROKU 481 PO NAR. CHR.

ROZDZIAŁ I.

ZAJĘCIE GALLII PRZEZ CELTÓW.— PODZIAŁ GALLII.— RELIGIA CELTO-GALLÓW.

Zapuszczać się w pomrokę wieków, by mniéj więcéj podobne do prawdy wykryć koleje, jakim ulegała ta ziemia, która pod nazwą Francyi ma nas obecnie zajmować, nie widzę żadnéj korzyści: rodakom téjże ziemi miłe być może przeglądanie gruzów ojczystéj starożytności, dla nas dość jest, trzymać się nici pewniejszych podań, by się jakożkolwiek obeznać z tą mię-

szaniną ludów i wypadków z owéj dziwnéj epoki wędrówek narodów (*).

Nie rzadkie wśród azyatyckich plemion wstrząśnienia, spowodowały Celtów do opuszczenia siedzib swoich nad Jaxartem. Lud mnogi, pochopnością do boju i popędliwą walecznością słynny, posuwając się ku zachodowi, zwolna rozciągnął władzę nad wszystką krainą od brzegów Dunaju począwszy wzdłuż Alp, aż do atlantyckiego oceanu, a od ujścia Renu do słupów Herkulesa. Tarkwiniusz stary dzierżył wtedy berło Rzymu, gdy ten lud wędrowny, przedarłszy się zarazem przez szczyty alpejskie, w sąsiedztwie jego, pod nazwą Insubrów, stałe zajął siedliska (613 r. przed Chr.). Miasta Medyolan, Brixia, Verona, im winny swój początek. Bolonia, Senegalia, albo przez nich zbudowane, lub Etruskom wydarte, nowemi mieszkańcami osadzone. Nowym przybyszom łacinnicy z ich własnego języka przekręcone imię Gallów nadali, przenosząc je do ziemi przez nich zajętéj, a rozróżniając przydomkami, już od miast, jak Gallia narbońska; już od położenia kraju względem Rzymu, Gallia bliższa, czyli przedalpejska, Gallia dalsza, czyli zaalpejska; już téż od ubiorów, Gallia togata, comata, braccata.

Cezar, równie sławny podbiciem Gallii, jak rzetelnością i trafnością pamiętników téj wojny, na trzy części właściwą, to jest zaalpejską Gallią rozdziela. Jednę, mówi on, zamieszkują

(*) W spisywaniu dziejów Francyi miałem pod ręką dzieła najznakomitszych autorów francuzkich, już to całą historyą tego narodu, już téż szczególne epoki lub wypadki jego obejmujące. W wielu zdarzeniach radziłem się Historyi Świata przez angielskie towarzystwo uczonych redagowanéj: sprawdzałem w oryginałach podania czerpane z autorów starożytnych Pliniusza, Swetoniusza, Cezara, Liwiusza, Tacyta i innych; zaglądałem do pamiętników dawniejszych i nowszych. Zgoła wszędzie postępowałem z największą sumiennością, aby nadać dziełu cechę dokładności na jaką zdobyć się potrafiłem. Nie zdawało mi się rzeczą konieczną w mnogich cytatach odsyłać czytelnika do zródeł, już to dla nieprzerywania uwagi odsyłaczami, już téż ze względu, że poświęceni wyłącznie nauce dziejów łatwo rzetelność podań skontrollują, ogół zaś ani dzieł tych pod ręką, ani czasu i chęci do mozolnéj pracy nie ma.

Akwitanie, drugą Belgowie, trzecią zaś ludy w ich języku Celtami, w naszym Gallami zwane. Do tego wszakże podziału nie wchodzi ta część Gallii, która w r. 117 przed Chr. władzy Rzymian uległa.

Belgowie najwaleczniejsi z Gallów, za świadectwem Cezara, zajmowali kraj między Matroną, Sekwaną, Renem i morzem zamknięty. Po drugiéj stronie Matrony i Sekwany rozciągały się osady Gallów, aż do Rodanu i Garumny, od Renu zaś do Oceanu. Późniéj w téj części z rozkazu Augusta cesarza wybudowana stolica Lugdun, całéj téj prowincyi Gallii lugduńskiéj imię nadała. Tu także część pomorza koło ujścia Ligiery, Aremoryką nazywano, odpowiadała ona w części późniejszéj Bretanii. Między Rodanem, Garumną, Pireneami i Oceanem mieszkali Akwitanie, których ziemię od pirenejskiego podgórza ku Basków zatoce Novempopulana przezywano. Resztę Gallii między Akwitanami, Gallami, graniczną Włoch rzeką Varem i brzegami śródziemnego morza, stanowiła prowincya rzymska, Gallia narbońska, także pod imieniem braccata znana.

Zawiódłby się, ktoby z tak systematycznego podziału kraju, o narodowości mieszkańców chciał wnioskować. Za świadectwem Cezara mieszkańcy tak podzielonéj Gallii, jakkolwiek jednegoż szczepu odrośle, przecież mową, obyczajami i ustawami niezmiernie się między sobą rozróżniali. Podzieleni na drobne i między sobą swarliwe pokolenia, żadnego nie mają węzła któryby ich jednoczył. Rzecz atoli dziwna, w razie niebezpieczeństwa szybko się wszyscy porozumiewają, na spólną obronę związek kojarzą i wodze wojny najbieglejszemu i najmężniejszemu poruczają. Obranemu przez siebie naczelnikowi ślepo są posłuszni, choć zwykle każde pokolenie pod przywództwem swojego władcy osóbno, na wyznaczoném miejscu, staje do boju, aby waleczność każdego na jaw wyszła.

Jeżeli nie węzłem jakiego takiego połączenia, tedy przynajmniéj cechą powinowactwa rodu, była ich religia, którą wraz z ogólném ukształceniem z Azyi z sobą przynieśli. Lud srogi, wojną i rabunkiem ciągle zajęty, w gwałtowności wstępnego boju jak orkan niepohamowany, w najodleglejszéj jednak sta-

rożytności wysokiém słynął oświeceniem, tak dalece, iż Arystoteles nie wahał się oświadczyć, że filozofia nie od Greków Celtom się dostała, ale raczéj zdawałoby się że od nich do Grecyi przywędrowała. Kapłani byli przewodnikami ludu w religijném i moralném ukształceniu, oni także trzymali w swoich ręku szale sprawiedliwości; dzielili się zaś na trzy odrębne klassy.

Druidowie należycie urządzoną hierarchią między sobą stanowiący, odprawiali modły i poświęcali Bogom ofiary; objaśniali ludowi zasady religii i moralności, oddawali się nadto badaniom metafizycznym, zgłębianiu tajników natury, byli czarnoksiężnikami, lekarzami, a nadewszystko biegłemi w astrononomii. Corocznie w oznaczonym czasie zbiérali się z najodleglejszych krańców Gallii druidowie w miejscu poświęconém, przy mieście Dreux, w kraju Karnutów (Chartres), uważanym za punkt środkowy Gallii: tam obierali najwyższego kapłana, oznaczali zwierzchników prowincyonalnych i naczelników szczególnych zgromadzeń kapłańskich; przy czém los lub pojedynek rozstrzygał spór między dwoma równych przymiotów spółzawodnikami. Na tychże zgromadzeniach rozpoznawali druidowie poddane ich wyrokowi spory cywilne i karne, na winnych wkładali kary, z których największą była klątew. Straszna to była kara, która wyłączając winnego od spólnictwa ofiar, wyciskała na nim piętno bezbożności, wykluczając go tém samém z pośród towarzystwa.

Druidowie żyli pospolicie w pewnym rodzaju klasztornego spólnictwa. Cześć i wziętość publiczna, jaka ich otaczała, nęciła do ich zgromadzenia młodzież najznakomitszych rodzin. Przed poświęceniem wszakże ciężkie i przykre, wsród jaskiń i posępnych zarośli, wytrzymać należało próby. Nauka była mozolna, nie rzadko dwadzieścia lat trwająca, a zawsze tylko ustna; pismo bowiem uważali druidowie za skazę nauki i zdrajcę tajemnic.

Nauka druidów tak grubą okryta była zasłoną, że Rzymianie przedrzéć jéj nigdy nie zdołali, dla tego w oderwanych tylko ułomkach jest nam znajoma; szacunek atoli z jakim o niéj wspominają Cezar, Ammian i inni starożytni pisarze, nie po-

zwala wątpić o niejakich przynajmniéj jéj zaletach. Według ich zasad materya i duch są odwieczne: pierwiastek świata, mimo ciągłe zmiany, zawsze się ten sam utrzymuje, ogień i woda wszystkich fenomenów świata główne sprężyny. Utrzymywali wiarę w metempsychozę, łącząc z nią wyobrażenie kary i nagrody; w miarę jak dusza w niższe, lub wyższe od organizacyi ludzkiéj przechodziła istoty. Prócz tego wszakże był według nich inny świat, świat szczęścia. Dusza oddalając się do niego zachowywała tosamość, unosząc z sobą swoje nałogi i namiętności. Dla tego téż w czasie obchodów pogrzebowych palono listy, które nieboszczyk na tamtym świecie miał czytać, lub znajomym nieboszczykom doręczyć. Pożyczano nawet pieniędzy z warunkiem zwrotu na tamtym świecie, co u ludu skarbów niezmiernie chciwego ważnym jest dzielności religii dowodem. Takie zasady łagodząc obawę śmierci, musiały koniecznie wpływać na podwyższenie męztwa i waleczności; co zdaje się głównym celem nauki druidów, głównem dążeniem ludu było; cała bowiem ich religijna moralność na tych trzech opierała się punktach: czcić Bogów, złego się chronić, być walecznym.

Sztuka lekarska z religijnemi obrządkami splątana, głównie na magii się opierała. Roślina *selago*, może jaki gatunek jałowcu, zabezpieczała od chorób nieuleczonych, dym jéj lekarstwem był na ból oczu. Żeby atoli skutek jéj był niewątpliwy, mający ją zbiérać, obowiązany był naprzód złożyć Bogom ofiarę z chleba i wina, po czém, biało ubrany, boso, czysto umywszy nogi, zbliżał się do miejsca w którém rośnie, a ujrzawszy ją zdala, schylał się i prawą rękę pod lewe ramię przesunąwszy, jakby ukradkiem zrywał, nie używając noża do tego. Tym sposobem zdobytą roślinę obwijano w białą chustę i w nowém naczyniu przechowywano. Inną roślinę *samolus*, którą za bobownicę pospolitą, samolus valderandi, poczytują, trzeba było zrywać lewą ręką, nie oglądając się wcale, i tym samym sposobem rzucać w koryto, w którém bydło pojono, miało to być bowiem lekarstwem na różne domowych zwierząt choroby. Dla koszyszka (verbena) i innych roślin, inne były wskazane obrzędy.

Nadewszystko atoli świętym, szczególniejszéj czci i poszanowania przedmiotem był dąb. Pod dębem odbywano modły i zgromadzenia, składano ofiary, pod dębem druidowie sądzili sprawy i ogłaszali wyroki. Wszystko co z dębu pochodziło było godłem łaski Boga i jego dobroci. Jemioła dębowa, to powszechne lekarstwo, bezpieczna przeciw złemu tarcza, ręką samych Bogów zaszczepiona, w swéj zieloności, wśród martwéj zimą natury, symbol nieśmiertelności duszy, była tajemniczém godłem w nauce druidów. Zbiór jéj religijne otaczało poszanowanie. W zimie skoro zakwitła, szóstego dnia po nowiu księżyca, kapłani w uroczystym obrzędzie udawali się do dębu na którym rosła: jeden z nich biało ubrany, ze złotym sierpem w ręku, wstępował na drzewo, zrzynał cudowną roślinę i ostróżnie podawał drugim, którzy ją w połę białéj szaty przyjmowali, by nie padła na ziemię. Para białych wołów, piérwszy raz wtedy oprzęganych, stała gotowa na ofiarę bogom, aby dar błogim był dla tych, którym go udzielają. Następnie przygotowywano z niéj napój płodność każdéj żywéj istocie zapewniający i jedyne niewątpliwe lekarstwo przeciw wszelkiéj truciźnie.

Dzień szósty po nowiu księżyca ważnym był w obrządkach druidów: był to dzień zbawienny, od niego liczono miesiące i roki, dla tego zapewne Rzymianie mniemali, że Gallowie czas nocami, nie dniami mierzą, na pamiątkę, jak im się zdawało, pochodzenia ich od podziemnego Boga Plutona. W tym dniu w samą północ lub południe, w ciemnych gajach lub zarosłych pieczarach odprawiano religijne obrządki, zwoływano ogólne ludu zgromadzenia; do walki jednakże przed pełnią księżyca, chyba nagłym zmuszeni napadem, nie zabierali się nigdy.

Na głębokiéj ludu wierze oparta, silna była władza druidów, tak dalece, iż przez długie wieki rząd Gallów za istną teokracyą uważać należy. Zwolną atoli w ciągłém ścieraniu się z władzą świecką, a zapewne i przez zmianę własnéj instytucyi, powaga hierarchii druidowskiéj zmniejszała się. Za czasów Cezara już znaczenie kapłanów było przy schyłku, gdy w zatargach między Dywicyakiem i Dumnorygiem, druida dla znękania władzy świeckiéj wzywał pomocy rzymskiego wodza. Wielki to już

był błąd druidów usunięcie się od obowiązku towarzyszenia rycerstwu w wyprawach wojennych, lecz gorsze było spółzawodnictwo druidów prowincyonalnych z najwyższym druidą, wczém władza świecka do pomocy wzywana, nigdy bez własnéj korzyści z téj walki nie wyszła. Zresztą w ciemnych lasów ostępach odludne druidów życie; z uciskiem wolnych mieszkańców powiększona władza naczelników pokoleń; pod panowaniem Rzymu rozszerzona cywilizacya i religia owczasowych władzców świata; wszystko to silnie na poniżenie kapłańskiéj powagi działało, tak dalece, że w końcu już tylko w skrytych familijnych przybytkach druidyzm przytułek znajdował, póki go i ztamtąd rozszerzone chrześciaństwo nie wyrugowało, zachowując przecież pamięć dawnych obrządków w wielu zabobonnych zwyczajach.

Bardów pospolicie za drugą klassę kapłaństwa celto-gallijskiego uważają; są atoli niemylne skazówki iż dwojakiego rodzaju byli bardowie. Jedni, pomocnicy druidów, służyli przy obrządkach religijnych, już to wspierając ich przy ofiarach, już układając i śpiéwając religijne himny. Drudzy, na dworach naczelników pokoleń, towarzysze ich wypraw i biesiad, opiewając waleczne przodków czyny ducha męztwa zagrzewali, lub nucąc pochwalne, albo uszczypliwe śpiewki, uczty rycerskie rozweselali. Śpiéw ich był zawsze z towarzyszeniem pewnego rodzaju liry, *rotto* w ich języku nazwanéj (*). Powaga bardów nie ustępowała druidowskiemu znaczeniu, miano ich bowiem równie za rymotworców, jak za świadomych przyszłości wieszczów; ztąd też dwa zaciętym bojem walczące szyki, za zbliżeniem się barda rozstępowały się i z uszanowaniem głosu jego słuchały. Z poniżeniem druidów i bardowie przekształcili się z czasem w niedołężnych truwerów czyli trubadurów.

Eubages, czyli wieszczkowie, stanowili trzecią klassę kapłańską. Zatrudnieniem ich jedyném, ile się zdaje, było objawianie woli bogów i wróżenie z lotu ptaków, wnętrzności ofiar i innych

(*) Creuzer zaś pisze *Crott*.

zjawisk natury. W ważnych atoli kraju przygodach wieszcze obrzędy sami odbywali druidowie, do czego osobliwie ofiary ludzkie służyły. Wybierano je najczęściéj z pośród jeńców: tym przebijano piersi poniżéj dyafragmy i z konwulsyjnych wstrząśnień ofiary, z płynienia krwi i jéj koloru, z prędszego lub powolniejszego zgonu, o losie wypadku wróżono. Niekiedy sprowadzona do świątyni ofiara, otoczona druidami, w obec mnogiego ludu, gradem strzał obsypana, stanowiła przedmiot wróżbitów badania. Niekiedy na przebłaganie zagniewanych bogów razem znakomitą liczbę jeńców poświęcano, paląc ich stogiem siana obłożonych, lub wrzucając do ogromnego posągu bożyszcza z chrustu plecionego i z przepisanym obrzędem podpalając. Te mordercze ofiary dały zapewne powód Rzymianom do posądzenia religii Gallów o bezbożność.

W jakich stosunkach z druidami były kapłanki Gallów, rzecz niepodobna do zbadania. Cezar żadnéj o nich wzmianki nie czyni, byt ich atoli niewątpliwy. Dziwaczne były ich urządzenia. Jedne objawiały przyszłość mężom gallijskim, zmuszone profanacyą, drugie wieczne ślubowały panieństwo; inne lubo zamężne, w rozłączeniu przecież żyły. Niektóre z nich odbywały ofiary wśród ciemnéj nocy, całe obnażone, czarno pomalowane, z rozczochranemi włosami, miotając się w szalonych skokach. Po większéj części skały aremoryckiego archypelagu, wśród rozhukanego oceanu, były ich siedliskiem. W Sena (Sein) słynna była wyrocznia dziewięciu strasznych dziewic, od wyspy przez nich zamieszkanéj Senami pospolicie zwanych. Świadome przyszłości, zdolne radzić skutecznie w chorobach nieuleczonych, władnące wichrem i nawałnicą, marynarzom jedynie wróżyły, jeżeli tylko umyślnie w tym celu do nich przybywali.

Kapłanki Nannetu na wyspach ujścia Ligiery osiedlone, lubo zamężne, jednak w odosobnieniu żyły. W oznaczonych epokach odwiedzały mężów swoich na stałym lądzie. Skoro noc zapadła, wsiadłszy na łódki przybijały do brzegów i wstępowały do przygotowanych na ich przyjęcie szałasów; lecz za pierwszym brzaskiem jutrzenki wyrywały się z objęć małżonków, śpieszyły do czółen i na odludne wracały wyspy. Co rok

w przedziale doby, od nocy do nocy, obowiązane były zwalić i odbudować dach swojéj świątyni. Uwieńczone bluszczem zielonym zabierały się skrzętnie do roboty, a jeżeli która przypadkiem upuściła na ziemię cokolwiek ze świętych materyałów do budowy przeznaczonych, w téj chwili wszystkie inne z okropnym wrzaskiem rzucały się na nieszczęśliwą, szarpały w sztuki i skrwawione kawały ciała tu i owdzie rozrzucały. Nie raz żeglarzom na otwartym oceanie włosy na głowie wstawały, dreszcz zimny członki przebiegał, gdy ich uszu doszły niesforne krzyki z wrzawą dzikich cymbałów zmieszane, w czasie nocnych obrzędów tych kapłanek na jednéj z wysp bretańskiego wybrzeża.

Religia na fatalizmie wykształcona nie obeszła się bez amuletów. Sporządzali je i ludowi zbywali druidowie. Najważniejszém i najkosztowniejszém z takich talizmanów było jaje wężowe. Nosili je na piersiach druidowie, w złoto i drogie kamienie oprawne, starali się o ich posiadanie naczelnicy pokoleń i zamożni panowie; wysoka bowiem ich cena niepodobném nabycie dla ludu czyniła. Prawdziwe, choć suto w złoto oprawne, pływać przecież po wierzchu wody powinno. Pliniusz mówi, że w niektórych grotach Gallii zbiera się niezliczone mnóstwo węży, które w powikłanych splotach wijąc się, ze śliny własnéj i piany z ciała wydobywającéj się, tworzą pewny rodzaj jaja, które sykaniem wzbijają w górę i niejaki czas utrzymują w powietrzu. Wtenczas, w przepisanéj zmianie księżyca, człowiek czatujący umyślnie, chwyta jaje w białą chustę nim na ziemię padnie, dosiada czém prędzéj przygotowanego ku temu konia i w cwał ucieka przed ścigającemi go wężami, póki nie przebędzie najbliższego strumienia. Wyobrażenie to jaja i węża przywodzi na myśl mitologią wschodnią z jéj godłami, stworzenie świata i wiecznego odradzania się.

Bóstwa celto-gallijskie zdają się być spólnego rodu ze wszystkiemi bałwochwalczych ludów bożyszczami. Wyobrażenia ich zwolna się rozwijały i doskonaliły, i z postępem czasu utworzyły Olimp Greków i Rzymian z niejakiémi odmianami. Były w Gallii bogi powszechnéj czci przedmiotem będące, lecz były

także szczególnych miejsc bóztwa opiekuńcze. Do piérwszych należał *Teutates*, Merkury Greków i Rzymian, wynalazca sztuk i rzemiosł, przewodnik podróżnych, opiekun handlu. Z jego zapewne czci wypłynęło poważanie wymowy i wspominane od starożytnych wielomóstwo Gallów; urządzenie pewnego rodzaju poczty do szybkiego rozszerzania wiadomości, nakoniec użycie religijne i cywilne pieniędzy, a ztąd wielkie do bogactw przywiązanie.

Drugiém bóstwem był *Esus*, inaczéj *Hesus* albo *Heus* zwany, rzymskiemu Marsowi odpowiadający. Przed bitwą szlubowano mu łupy wojenne, po bitwie zdobyte zwierzęta ofiarowano, zbroje i sprzęty wojenne na jedno miejsce ku czci jego składano. *Taran*, *Taranis* i *Taranucnus* zwany, pod postacią potężnych dębów, lub kloców dębowych czczony, władzca nieba, pan świata, Jowisz rzymski, trzecim był ogólnym bogiem. Tym trzem ofiary z ludzi składano. Prócz tego jeszcze straszliwy *Kirk*, bóg wichrów i nawałnic; *Bel*, albo *Belen* przewodnik słońa, twórca ziół zbawiennych, mistrz lekarzy, dość powszechnie był czczony; właściwie jednak obadwa należeli do rzędu bóstw miejscowych; Belen osobliwie przy źródłach uzdrawiającéj wody miał ołtarze swoje. *Pennin*, bóg alpejski; *Voseg* gór Wogezów; *Arduin* Ardennów; *Bibracte*, *Aventia*, *Nemausus*, bóztwa miast téjże nazwy,

Nadto duchy złe i dobre, opiekuńcze i szkodliwe, pod imieniem Feów i Sylfów, powszechną od ludu cześć odbierały. Znajomsze i w powiastkach staro-gallijskich wyżéj nad inne uwielbiane były Fee: *Esterella*, *Meliura* i piękna *Meluzyna*. Sylfy zdają się być bóztwami na napisach pod tytułem *Silvanae* i *campestres deae* znane (leśne i polne bóztwa). Słynny w powiastkach taniec Elfów urosł bez wątpienia z nocnych obrzędów kapłanek druidzkich.

ROZDZIAŁ II.

PIERWIASTKOWE DZIEJE GALLÓW AŻ DO CEZARA.

Namieniwszy pokrótce, o ile nie zatarte ślady historyczne dozwalały, o religijnych wyobrażeniach celtyckich ludów Gallii, pójdziemy daléj w trop za niemi, aby z pozostałych urywkowych wiadomości jakiekolwiek zlepić dzieje.

Jeszcze nie doszła ćwierć trzeciego wieku odkąd Celtowie osiedlili się w Gallii i na włoskiém alp podgórzu, gdy zbytkiem ludności znagleni, lub wrodzoną do boju i zdobyczy pochopnością podżegani, nowe przedsięwzięli wyprawy. Zatargi między mieszkańcami etruskiego miasta Clusium, dały Gallom pochop do wmieszania się w ich sprawę z orężem w ręku. Rzymianie, nie życząc sobie tak blizkiego ich sąsiedztwa, stanęli w obronie przeciwnego stronnictwa. Na zapytanie posłów rzymskich, jakieby prawo mieli Gallowie do plątania się w etruskie spory? Brenn (*) Gallów odrzekł bez ogródki: takie samo, jakie mają Rzymianie do zajętych przez siebie krajów; i wnet zwrócił oręż na karki rzymskie. Na czele walecznych hufców zniósł ich legiony nad Allią, spalił Rzym, (388 pr. Chr.) jeden tylko kapitol czujnością Manliusza i wytrwałością młodzieży rzymskiéj ocalał, i ten wszakże odwrót barbarzyńców złotem okupić musiał. Dziejopisowie rzymscy Kamilla zbawcą kapitolu i pogromcą Gallów mianują, a przecież gościli oni w Lacyum przez siedmnaście lat późniéj, usadowieni w Tyburze u samych bram Rzymu; dopiéro wraz z Etruskami i Samnitami ulegli szybko wzrastającéj potędze rzymskiéj.

W sto lat późniéj (278 pr. Chr.) inna Gallów horda przedarła się do Grecyi. Łupy bogatéj Apollina świątyni w Delphos podżegały męztwo i chciwość tak wojska jak i ich brenna. Nie

(*) Brenn w języku Gallów znaczył toż samo co u nas wódz naczelny.

wstrzymały ich zapędu Termopile, ani zebrani Greków wojownicy odważyli się im czoła stawić. Już brenn blizki osiągnięcia celu swoich życzeń, patrząc na wyniosłe słynnéj świątyni mury, z szyderczym odzywał się uśmiechem: »godna zaiste, aby bogowie udzielili skarbów swoich ludziom, którzy ich i bardziéj potrzebują i lepiej użyć potrafią,« gdy wtém straszna nawałnica z gwałtowném trzęsieniem ziemi złączona, tak dalece przeraziła Gallów, że wśród ciemności sami między sobą się mordowali. Spostrzegli to Grecy, wnet nabrali otuchy, dzielnie natarli na hordę najezdników i co do nogi wycięli; brenn ranami okryty sam sobie życie odebrał. Jeżeli damy wiarę samochwalczym greków dziejopisom, z sześćdziesięciu pięciu tysięcy Gallów do téj wyprawy należących, ani jeden nie uszedł. Część téj bandy po za Termopilami pozostała, posłyszawszy o klęsce swoich, ruszyła za Hellespont pod przewodnictwem swojego brenna i za daną pomoc bityńskiemu królowi Nikomedesowi, uzyskała na osiedlenie się swoje prowincyą od nowych mieszkańców Galacyą nazwaną.

Czém była Ameryka i południowo-wschodnie Azyi wybrzeża dla europejczyków w piętnastym po Chrystusie wieku, tém właśnie dla zachodnich azyatów była Europa w epoce o któréj mówimy. Przepełnione ludnością krainy, ludy handlem zajęte, lub zresztą całe plemiona przemocą oręża znękane, nowych Europie dostarczały osadników. Tym sposobem dzisiejsza Francya pozyskała w owym czasie Celto-Gallów, Kimrów, Fenicyan i Greków.

Korzyści handlowe i bogate kopalnie zwabiły tu Fenicyan. Miasto Nemausus (Nimes) im winno swój początek, oni pierwszą poprowadzili drogę z Włoch do Hiszpanii, na któréj podstawie utorowali Rzymianie znane trakty pod nazwą via Aurelia i via Domitia.

Mocą oręża sąsiadów wyparci Jończykowie z Focei błąkając się po wybrzeżach śródziemnego morza, znaleźli przytułek w Gallii i nad brzegiem rozkosznéj zatoki rzucili fundamenta miasta Massylii, pospolicie Marsylią (Marseille) zwanego (600 r. pr. Chr.). Handlem zbogacona, ukształceniem nowych przy-

byszów słynna osada, szybko się wzmagała i wnet władzę swoją, lub wpływy, rozciągnęła na całe wybrzeże, dotykając osad Kartagińców w Iberyi (Hiszpanii), z któremi odważyli się o spółzawodnictwo ubiegać, przez co i na siebie i na sąsiednich Gallów opiekę przeważną Rzymu ściągnęli.

Uśmierzeniem Kartaginy dumny lud rzymski, całą potęgę zwrócił na Gallów przedalpejskich. Insubrowie własnym siłom nie ufając, wezwali pomocy pobratymców swoich zaalpejskich, którzy ją chętnie ponieśli, wabieni wysokim żołdem zamożnych pokoleń. Przerażone Włochy napadem hord niezliczonych, wystawiły, jak powiadają, siedmkroć sto siedmdziesiąt tysięcy wojska na zatamowanie barbarzyńskiego zalewu, powtórném zburzeniem Rzymu i zniszczeniem całych Włoch zagrażającego. Już sześć tysięcy Rzymian legło pod ciosami barbarzyńskiego oręża, dwie połączone armie z trwogą tegoż losu czekały, gdy trafem szczęśliwym armia wracająca z Sardynii wylądowała na skrzydło gallijskiego obozu. Wzięci we dwa ognie barbarzyńcy nie tracą odwagi, tworzą dwa czoła linii bojowéj i śmiało nacierają na legiony rzymskie. »Prócz mnóstwa trąb i rogów, mówi Polybiusz, taki zewsząd nagle powstał krzyk i wrzawa, że zdawało się, iż nie tylko ludzie, ale ziemia i okoliczne miejsca złączyły swoje przeraźliwe głosy, by zatrwożyć rzymskich wojowników. Nadto rzuciwszy okiem na te olbrzymie postaci w piérwszych szeregach do walki występujące, bez żadnego ubioru, prócz broni, tarczy i złotych łańcuchów na szyi, na tę zuchwałą odwagę i śmiałe poruszenia, w najwaleczniejszych nawet piersiach serce zadrżało«. Najzaciętsze atoli męztwo, wyższości broni rzymskiéj uledz musiało; Gallów szable słabego hartu, zwijały się na tarczach legionistów: Bojowie ulegli, a konsul Flaminiusz piérwszy raz orły rzymskie za rzekę Po przeprowadził i świetne odniósł zwycięztwo nad Insubrami. Następca jego, waleczny Marcellus, w pojedynku zabił brenna Insubrów Virdumara i po Romulusie piérwsze łupy, opima zwane, Jowiszowi feretryjskiemu złożył w ofierze. Medyolan i Bolonia otworzyły bramy zwycięzcom (222 pr. Chr.), a Rzym został panem Włoch całych aż do podnóża Alp.

W zaciętym boju z Gallami zahartowany żołnierz rzymski

z łatwością pokonał następców Aleksandra W. w Azyi, znękał Gallów postrachem Azyatów będących. Pretor Manliusz wdarł się między góry przez nich zamieszkałe, korzystał z przewagi pocisków nad szablą gallijską i pokonanym narzucił przymierze Eumenesa, który ich na wodzy miał trzymać.

Lecz właśnie gdy Rzymianie uszczęśliwieni podbiciem Gallów w inną stronę oręż swój zwrócić zamierzali, Annibal przebywa Alpy i w mgnieniu oka wszystkich Gallów porusza. Równie wielki wódz, jak przebiegły polityk, zastępy Gallów w piérwszéj linii ustawia. Niemi dobija się zwycięztwa nad Trazymenem, oni łamią legiony rzymskie pod Kannami, krwią gallijską okupuje wawrzyny, któremi czoło swoje zdobi we Włoszech. Pozbawiony ich pomocy podźwignąć się nie może. Gallowie przecież raz obudzeni, walczą jeszcze pod Hasdrubalem, Magonem, Hamilkarem i ledwie po trzydziestu latach krwawéj walki władzy Rzymu ulegli (201—170 pr. Chr.).

Wszystkie te atoli zwycięztwa i podboje nie zapewniały Rzymowi pokoju, póki zaalpejska Gallia, główne najezdników siedlisko, orężowi ich niedostępna, nowe coraz hordy uzbrajać mogła. Przyjazne okoliczności wnet i do niéj otworzyły legionom rzymskim drogę. Marsylscy Grecy, handlem zbogacen, pozazdrościli Kartagińczykom wzrastającéj ich potęgi i torem ich idąc, szerzyć władzę swoją poczęli. Gallowie jednak nie

łatwą zdobycz przedstawiali, a raz podrażnieni strasznymi stali się Marsylczyków wrogami. Z drugiéj strony, między rzekami Makrą i Warem, wzgórza gęstą krzewiną zarosłe zamieszkiwali Ligurowie, lud zwinny i przebiegły, więcéj atoli rozbójniczy jak waleczny, rabunkiem tylko żyjący, w kryjówkach swoich niedościgły, ciężką handlu marsylskiego był plagą. Takim nieprzyjaciołom nie mogąc podołać Marsylczykowie, pomocy rzymskiéj wezwali. Téj sposobnéj pory nie opuścił senat, konsul Fulwiusz wkroczył do Liguryi, a nie mogąc ani przydybać nieprzyjaciół, ani ich z zarośli wywabić, podpalił krzewiny i całą krainę owładnął.

Dwa podówczas między sobą nieprzyjaźne związki władały Gallią. Eduowie ścisłém przymierzem połączeni z Karnutami, Paryżanami, Senonami i t. p. stanowili jednę ligę, do drugiéj należeli Arwernowie zjednoczeni z Allobrogami. Tych ostatnich połączone klany jednego króla władzy ulegały: straszniejsze od innych plemion i pierwiastkowym przodków swoich obyczajom wierniejsze, wielką między Gallami szczyciły się przewagą, sądząc się za niezwyciężonych. Eduowie dumą Arwernów oburzeni, radosném sercem przyjęli wieść o wkroczeniu Rzymian do kraju Allobrogów; za pośrednictwem Marsylczyków pozyskali tytuł *sprzymierzeńców i przyjaciół ludu rzymskiego*, nie wdając się bynajmniéj do walki. Allobrogowie bez wielkich trudów podbici, Arwernowie choć w dwa kroć sto tysięcy wystąpili do boju, przecież widokiem słoniów przerażeni ulegli. Orły rzymskie szybkim polotem posunęły się ku Pireneom (między 120 i 118 r. pr. Chr.) i u podnóża ich, na samym wstępie do Hiszpanii, stanęła wielka osada *Narbo-Martius* (Narbonne). Byłato druga kolonia, którą Rzymianie w téj epoce po za Włoch obrębem zakładali; był to Rzym gallijski, spółzawodniczka Marsylii. Wtedy dopiéro poznali Marsylczykowie, że Rzymianie ich interesem osłonieni na swój własny rachunek działali.

Usadowieni w Gallii Rzymianie spokojnie utwierdzali swoję władzę, gdy niespodziany wypadek zagroził im nie tylko utratą nowéj zdobyczy, lecz ruiną własnego miasta. Gallowie, Kim-

rowie, Teutonowie, najdziksze hordy północy, chroniąc się, jak mówią, przed zalewem Baltyku, rzuciły się na południe. Zburzyły Illiryą, wycięły legiony rzymskie, które im drogę do Noryku zamknąć usiłowały, i okrążając Alpy zabrały z sobą trzy najwaleczniejsze Helwetów pokolenia, poczém w massie trzech kroć stu tysięcy wojowników wkroczyły do Gallii, którą tak dalece spustoszyły, iż mieszkańcy, przed tą pożogą po miastach skupieni, ciałami starców do boju niezdolnych żywić się musieli, jak świadczy Cezar w swoich pamiętnikach. Barbarzyńcy stanąwszy nad brzegiem Rodanu usłyszeli, że po drugiéj stronie téj rzeki rozciąga się państwo rzymskie, którego granice widzieli już w Illiryi, Tracyi, Macedonii; na tę wieść zabobonném zdjęci uszanowaniem oświadczają Sylanowi dowódzcy rzymskiemu, że chętnie służyć będą Rzymowi, byleby uzyskali grunta na swoje osiedlenie. Silanus odrzucił ze wzgardą prostoduszną Niemców ofiarę, przeszedł Rodan i został pobity. Nadbiegł konsul P. Cassius na obronę prowincyi, lecz wojsko jego poszło w rozsypkę, on sam na placu poległ: namiestnik jego Scaurus dostał się do niewoli, a wojsko jego w pobliżu genewskiego jeziora Helwetowie pod jarzmem przepędzili. Tak świetném powodzeniem uzuchwaleni, przekroczyć alpy zamierzają; idzie im jedynie o to, czy Rzym zburzyć, a mieszkańców do ostatniego wytępić, czy téż na niewolników ich zamienić. Wśród wrzaskliwéj w tym celu narady, przyszło im do głowy zapytać się jeńca swojego Skaura. Harda Rzymianina odpowiedź, rozjątrzyła wprawdzie umysły, jeden z barbarzyńskich dowódzców cięciem szabli odebrał życie zuchwałemu jeńcowi, ale przejście Alp do dalszego odłożono czasu, tém bardziéj że Gallowie Tektosagi zbuntowani przeciw władzy rzymskiéj pomocy ich błagali.

Wolny był pochód Kimrów, niezliczone bowiem mnóstwo wozów, z całą czeredą starców, żon i dzieci, wlokło się za ich obozem; uprzedził ich więc konsul Servilius Cepio, uderzył na Tektosagów, Tolozę miasto ich zdobył i na łup żołnierstwu wydał. Było to może najzamożniejsze podówczas miasto Gallii: skarby Grecyi, obfite plony kopalni pirenejskich, poprzybijane w świątyniach ofiary srebra i złota, lub w sąsiedzkie jezioro

zabobonnym zwyczajem powrzucane drogich kruszców kawały, tworzyły bogaty skarbiec, z którego Cepio sto dziesięć tysięcy funtów złota i sto piętnaście tysięcy funtów srebra zebrał i przez Marsylią do Rzymu wysłał. Mówią, że chciwością zapalony konsul wysłał potajemnie ludzi swoich, którzy w drodze konwój napadli, straż pobili a skarby zabrali. Rozbój nie wyszedł na dobre, ktokolwiek bowiem dotknął się zdobyczy w nędzy życia dokonał, tak iż odtąd pospolicie o człowieku ściganym od złych losów mówiono: *musi mieć złoto Tolozy*. Zaraz sam Cepio zazdroszcząc swojemu koledze, osóbnéj zapragnął walki, i z ośmiudziesiąt tysięcy wojska, czterdziestu tysięcy służby obozowéj, dziesięciu tylko ludzi ocalało, między niemi Cepio; resztę, spełniając przysięgę, bogom swoim poświęcili Kimrowie: złoto i srebro, konie nawet topiąc w Rodanie.

Był to dzień straszny dla Rzymu, dzień odświeżający Kannów pamiątkę, los tylko szczęsny odwrócił ostatnią klęskę, kierując pochód Kimrów ku Pireneom. Gdy rozproszeni po Hiszpanii łamią swoję waleczność o skały półwyspu i uparte męztwo Celtiberów, Rzym przerażony miał dosyć czasu przyzwać na swoję obronę Maryusza z Afryki. Zahartowany żołnierz, równie prawie straszny dla swoich jak dla nieprzyjaciół, srogi jak Kimrowie z którymi miał walczyć, stał się zbawczém bóstwem Rzymu. Przybywszy do gallijskiéj prowincyi, przez cztery lata oczekiwał powrotu Kimrów, w trudach obozowych i niepojętych pracach hartując swoje wojsko do walki z przerażającym wrogiem; przez cztéry lata ani lud, ani senat rzymski nie poważył się innego mianować konsula. Wreszcie i Kimry z Teutonami zwrócili się ku Włochom; brak żywności zmusił ich do rozdzielenia się na dwie hordy: Kimry i Tyguryni postępowali przez Helwecyą i Noryk; Ambrowie i Teutonowie pośród legionów Maryusza przedzierać się mieli, dla połączenia się nad brzegami Padu z hordą pobratymczą. Z warownego obozu pod Arlezyą, a następnie z murów miasta Aquae sextiae (Aix) przypatrywał się ich pochodowi Maryusz, ani się dał wywabić do bitwy. Chciał on naprzód oswoić żołnierzy z widokiem tych olbrzymich postaci, dzikiém ich wejrzeniem i dzikszą jeszcze zbroją. Podają

nam owczasowi dziejopisarze, iż król Teutonów Teutoboch potrafił jednym skokiem cztéry, a nawet sześć koni do czoła ustawionych przeskoczyć, a postępujący w tryumfie Maryusza, głową przewyższał trofea.

Codzień w okazałym pochodzie snuli się barbarzyńcy około murów miasta, naigrawając się z przestrachu rzymskich wojowników, którzy na widok tych potwornych postaci, skórami dzikich zwierząt na grzbiecie, a czaszkami tychże na głowach strojnych, odetchnąć nie śmieli. »Cóż każecie oświadczyć żonom waszym? wołali, wkrótce u nich będziemy.« Jeden z tych olbrzymów północy, podsunąwszy się pod bramę miejską wyzywał Maryusza do walki pojedynczéj. »Jeżeli mu życie obmierzło, kazał odpowiedzieć konsul, niech się na piérwszéj lepszéj gałęzi powiesi.«

Żeby w wojsku obudzić żądzę walki, Maryusz rozłożył obóz na wzgórzu o podal od brzegów rzeki: »jeźli wam pragnienie dokucza, odezwał się, okażcie się mężami, a za krew miéć będziecie wodę.« Niebawem też walka się rozpoczęła nad brzegami rzeki. Ambrowie sami tylko wystąpili, dzikie ich okrzyki zatrwożyły na chwilę Rzymian, zwyciężyli przecież, zapędzili się aż do obozu Teutonów, lecz ich ztamtąd żony barbarzyńców odpędziły. We dwa dni późniéj wciągnął ich Maryusz do drugiéj walki i w samém łożysku rzeki pognębił, a zająwszy tył do szczętu prawie wytępił. Sto tysięcy barbarzyńców legło w téj bitwie, pola krwią ich przesiąkłe, słynne były swoją płodnością, a wioska Pourrieres zwana, dziś jeszcze starożytną nazwę tych pól *campi putridi* (pola zgniłe) przypomina. W miejsce osłupiałéj trwogi niewymowna radość opanowała umysły Rzymian, wystawiono piramidę na cześć Maryusza i świątynię bogini zwycięztwa, która z czasem zmienioną w kościół S. Wiktoryi, rocznicę tego tryumfu aż do rewolucyi w uroczystych processyach obchodziła.

Tymczasem druga horda przedarłszy się przez Alpy rozłożyła się na nizinach Adygi. Żołnierze Catulusa drżeli trwogą zdjęci, jak barbarzyńcy prawie nadzy igrali wśród zaspów śniegu, albo na tarczach po gołoledzi zsuwali się po nad urwiskami

i przepaściami. Catulus mniemał się dość bezpiecznym, będąc zasłoniony Adygą i warownym obozem, tymczasem Kimrowie zwalili opoki, zarzucili na rzekę las cały i bez trudów ją przebyli. Rzymianie pierzchnęli i nie oparli się aż na drugiéj stronie Padu. Nie ścigali ich Kimrowie, w umówioném miejscu czekając na braci swoich Teutonów, a tymczasem łagodne Włoch niebo, wino i cywilizacya zmiękczyły barbarzyńców; Maryusz miał dosyć czasu do połączenia się ze swoim kolegą. Na polach Vercelli (r. 101 pr. Chr.) starły się potężne wojska. Maryusz tak uszykował swoje legiony, że nieprzyjaciel miał w oczy wiatr, kurz i żarkie promienia lipcowego słońca, bój był zacięty, lecz męztwo Cymbrów rozbiło się o niewzruszoną potęgę legionów Sylli i Katula. Pozostałe w obozie żony w żałobnych szatach błagały zwycięzcę, by im wolno było, jako niewolnicom, służyć kapłankom ognia w Rzymie; gdy ich atoli prośba z szyderstwem odrzuconą została, wtedy pomordowawszy dzieci własne, same sobie życie poodbierały, wiążąc na szyi stryczek do rogów wołów przymocowany, a potém koląc zwierzęta aby je w szalonym biegu roztrącały.

Tak skończył się ten straszny zalew hord północnych; lud rzymski wdzięczny swojemu zbawcy, mianował Maryusza trzecim założycielem miasta, po Romulusie i Kamillu. Odprawiano uroczyste libacye w imieniu Maryusza, tak jak je odbywano na cześć Bachusa lub Jowisza.

ROZDZIAŁ III.

WOJNY CEZARA. — PODBICIE GALLII.

Już część Gallii w prowincyą zamieniona oswoiła się z prawami rzymskiemi i spokojnie władzy prokonsulów ulegała, reszta zdawała się oczekiwać czynnego i szczęśliwego zdobywcy. Dwie rządów zasady całą rozdzielały Gallią, w chwili wkro-

czenie Rzymian uprzedzającéj. Upadający druidyzm jakąkolwiek przewagę zdawał się wywierać w obudwóch Brytanniach i w krainach nad Sekwaną i Ligierą ciągnący się; tu czasowi świeccy i duchowni naczelnicy od wyboru rycersta i wolnych mieszkańców zależeli: Eduowie byli na czele tych pokoleń, nad któremi pewny rodzaj opieki wywierali. Na południu wszystkie ludy Akwitanii stale były przywiązane do dziedzicznych swoich władzców, wiernie zachowywały dawny system klanów, Arwernowie i Sekwanie rej między niemi wodzili. Żadna atoli z tych dwóch zasad nie była już tak silnie w życie ludów tych wplątana, by zdolna była służyć za podstawę do samodzielnego urządzenia się wewnątrz, zewsząd więc ludy gallijskie, niedołężne przez nieufność w siłach własnych i lekceważenie ustaw, wzywały obcéj pomocy.

Sekwanowie uciśnieni przez Eduów, którzy ich handlowi Szonę zamknęli, wezwali na pomoc z Niemiec pokolenia, pod ogólną Swewów nazwą znane. Tego też właśnie trzeba było Germanom: przebyli oni Ren pod wodzą Aryowista, zwalczyli Eduów i Sekwanów, zabrali im trzecią część gruntów, i drugie tyle jeszcze żądali. Spólna klęska zjednoczyła Eduów z Sekwanami, obadwa ludy postanowiły szukać wsparcia u mniéj dzikich sąsiadów. Dwaj bracia największą szczycili się powagą między Eduami, Dumnoryx i Dywicyak. Pierwszy zbogacony cłami, których monopol potrafił sobie wyjednać, ulubieniec miejskiéj ludności, nie taił wcale widoków swoich osiągnięcia munarchicznéj władzy między swojemi. W tym celu wszedł w związki z Gallami helweckiemi, z rodu ich pojął małżonkę i wszelkiemi sposobami skłaniał ten lud dzielny do zamiany ciasnych, płonnych dolin i wąwozów Helwecyi na żyzne i miłe równiny Gallii. Brat jego druida, pod nazwą urzędową Dywicyaka znany, którą Cezar za imię własne bierze, niemiłém patrząc okiem na zabiegi Dumnoryga, by skrzyżować jego układy, udał się do Rzymu, pomocy senatu wzywając dla narodu który się szczycił tytułem przyjaciół i sprzymierzeńców ludu rzymskiego. Nie zaspał też i Aryowist, wysłał i on ze swojéj strony posłańców, którzy mu także imię przyjaciela ludu rzymskiego wyjednać

potrafili. Z takowych zawikłań korzystając senat, wszedł w przymierze z Aryowistem, zapewne dla poskromienia bliżéj grożącego mu najścia Helwetów.

Namowami Dumnoryga zachęceni górale helweccy, postanowili się zabrać z całém mieniem i szukać w Gallii dogodniejszéj siedziby. Przez trzy lata gotowali się do téj wędrówki, i żeby samym sobie odebrać chęć do powrotu spalili swoje dwanaście miast i czterysta wiosek, wraz ze wszystkiém czego zabrać nie mogli. W liczbie trzechset siedmiudziesiąt ośmiu tysięcy, licząc w to dzieci i kobiéty, ruszyli w pochód przez prowincyą rzymską, lecz na samym wstępie spotkali Cezara.

Podbicie Gallii ważném jest w dziejach Rzymu wypadkiem, utorowało ono drogę chciwemu władzy Cezarowi do ogarnięcia wszechwładztwa świata. I zaiste jakaż inna pobudka zdolna była skłonić znakomitego rodem i talentami męża, do przyjęcia dobrowolnego wygnania przez lat dziesięć prawie, jeżeli nie otucha, że panem świata powróci. Włochy były wycieńczone, Hiszpania nie łatwa do użycia, pozostawała tylko Gallia pełna wszelkiego rodzaju zasobów. Tu więc spieszy skwapliwie Cezar, bohatyr wybladły, rozpustami Rzymu przed czasem wyniszczony, konwulsyjnym wstrząśnieniom ciała uległy; lecz wielki cel mając ustawnie przed oczyma, śmiało postępuje na czele swoich legionów, ani go śniegi, mrozy lub ulewne deszcze zatrzymać zdołają: przebywa rzeki wpław, albo na koniu pomiędzy lektykami, w których sekretarze jego spisują za dyktowaniem po sześć zarazem w różnych przedmiotach listów. Z głębi Belgii wstrząsa Rzymem, w pochodzie wytępia dwa miliony mieszkańców i w niespełna dziesięciu latach uskramia Gallią, Ren i ocean północny (od r. 58 do 49 pr. Chr.).

Stanąwszy na granicy prowincyi w chwili zbliżenia się Helwetów, tak długo zręcznie zatrudnić ich potrafił, póki nie wzniósł muru jedenaście stóp wysokiego, a dziesięć tysięcy kroków długiego, począwszy od jeziora Genewy, aż do gór Jura. Tak zagrodzoną mając drogę Helwetowie musieli się zwrócić ku Sekwanom i przeprawiać przez Saonę. Brak żywności spowodowany zabiegami Dumnoryga i stronników hel-

weckich zmusił wodza rzymskiego do zwrócenia się ku Bibracte (Autun). Helwetowie sądząc, iż się przed niemi usuwa, w pogoń się puścili; tak więc wpośród niechętnych sprzymierzeńców uciśniony od nieprzyjaciół Cezar, krwawém zwycięztwem z przykrego wydobył się stanowiska. Doścignął powtórnie Helwetów ku Renowi zmierzających, pokonał, broń im odebrał i do powrotu do własnych siedzib skłonił.

Bezkorzystném było wypędzenie Helwetów, skoro się Swewowię w Gallii sadowili. Powoli zebrało się ich sto dwadzieścia tysięcy z orężem w ręku, Gallia niebawnie stałaby się germańską. Cezar więc zdawał się skłaniać na prośbę Eduów i Sekwanów, a dywicyak druidzki przewodniczył mu przeciw Aryowistowi, podjąwszy się zbadać najdogodniejsze drogi. Zdumiał się wódz Swewów posłyszawszy o zbliżających się przeciw niemu legionach, tém bardziej, że za konsulatu tegoż samego Cezara pozyskał tytuł sprzymierzeńca rzymskiego. »Czegóż chcecie? odezwał się do posłów Aryowist, ta część Gallii do mnie należy, wy macie swoją.... zostawcie mnie w pokoju, a więcéj na tém zyskacie, podejmę każdą wojnę, jaką wskażecie, bez trudu waszego i niebezpieczeństwa... zapomnieliżeście co to za lud Germanowie? oto już cztérnaście lat minęło jak nie spoczywaliśmy pod dachem.« Te wyrazy germańskiego wodza silne zrobiły wrażenie na umysłach żołnierzy rzymskich, powiastki o wzroście i srogości tych olbrzymów północy, trwogą zdejmowały małych ludzi z południa, w przestrachu grożącéj zguby spisywali testamenta, żegnali się nawzajem, lub posyłali ostatnie pożegnania znajomym. Cezar gromiąc ich popłoch odezwał się: »Jeźli mnie opuścicie, ja sam pójdę, dosyć mi będzie dziesiątéj legii.« Posunął się potém pod Besancon, zdobył je, przedarł się aż do obozu Swewów nie daleko Renu, znaglił do bitwy mimo ich szczerą chęć oczekiwania nowiu księżyca, a co oszczędził oręż rzymski, to w ucieczce pochłonęły nurty Renu.

Tak świetnemi i szybkiemi tryumfami Cezara przerażeni Belgowie i całéj północnej Gallii mieszkańcy, zawiązali między sobą przymierze, w tém przypuszczeniu, że Rzymianie wypędziwszy Swewów, sami władzę nad Gallią zagarną. Na rękę

była Cezarowi ta powszechna zmowa; pięknym bowiem pozorem osłaniała chęć jego udania się do Belgii. Przyjął więc skwapliwie zaprosiny Senonów zostających niegdyś pod opieką Remów, ludu w druidzkiéj krainie Karnutów zwierzchnictwo dzierżącego. I tu jeszcze dywicyak edujski przewodniczył Cezarowi. Bez wątpienia druidowie i ich zwolennicy podźwignienia swojéj władzy nadzieję pokładali w Cezarze, nie bez tego, aby ich nie łudziły także i jego w tym duchu oświadczenia: dla tego całą duszą lgnęli do niego i wszelkie mu nastręczali ułatwienia. Za pośrednictwem tego samego dywicyaka Eduów, który mu dotąd przewodniczył, Bellowakowie i Swessyowie połączyli się z Cezarem. Nerwiowie zaś, Atrebaci i Weromandui z całą porywczością gallijską uderzyli na Rzymian w pochodzie nad brzegami Sambry, w głębi lasów dziewiczych, jakie zalegały przestrzeń kraju nad Sekwaną, Mozą i wyżéj namienioną Sambrą. Już zwycięztwo przechylało się na ich stronę, gdy Cezar pochwycił chorągiew, posunął się naprzód, a lud waleczny do szczętu prawie wytępiony został. Sprzymierzeńcy Nerwiów Cymbrowie, ujrzawszy okopy rzymskie pod murami swojego miasta, objawili chęć poddania się. Część broni swojéj zrzucili z murów, z resztą zaś niespodzianie uderzyli na Rzymian. Cezar pięćdziesiąt trzy tysiące Cymbrów zaprzedał w niewolę.

Już odtąd Cezar nie taił zamiarów swoich podbicia Gallii i postanowił opanować jéj wybrzeża. Młody Krassus zawojował Akwitanią; inny wódz pokonał Unellów, Eburów i Lexowiów (Coutances, Evreux, Lisieux); sam Cezar uderzył na Wenetów i brytańskie pokolenia.

Wenetowie, ziemnowodne istoty, nie mieszkali stale ani na lądzie, ani na morzu. Warownie ich na półwyspach zakładane, to pokrywała, to naprzemian opuszczała woda, w miarę przypływu i odpływu morza. Nadto żyli oni w nierozerwanych związkach z mieszkańcami drugiéj Brytannii po za cieśniną, i ztamtąd potrzebną pomoc zyskiwali. By zatamować źródło zasiłków, trzeba było zostać panem morza. Ten, który rzeki i bagna Gallii to wbród, to wpław przebywał, który z siekierą

w rękę przez dziewicze lasy drogę sobie torował, którego zresztą żadna trudność nie zraziła, nie zatrzymała, potrafił znaeźć okręty i majtków, nauczył żołnierzy swoich zahaczać bryltańskie statki żelaznemi hakami i zcinać ich liny przyrządzoną ku temu kosą. Chcąc podbić małą Brytannią, trzeba było zwalczyć wielką, Cezar musiał tam przenieść wojnę.

Gallia, między Brytannią i Germanią lężąca, w różnych z temi obudwoma krajami zostawała stosunkach i związkach. Cymbrowie (właściwiéj Kimrowie) żyli rozproszeni we wszystkich trzech krajach: Helwiowie i Bojowie mieli swoje osady w Germanii i Gallii; Paryżanie i Atrebaci, właściwi Gallowie, znajdowali się także w Brytannii. Nic więc dziwnego że w takiém powikłaniu plemion, jeden kraj niósł pomoc drugiemu, jeden wdawał się w spory drugiego. W zatargach pokoleń gallijskich Brytannowie stawali w obronie druidzkiego stronnictwa, Germanie bronili naczelników klanów. Cezar starł obadwa stronnictwa wewnątrz i zewnątrz; przeszedł Ren, przeprawił się przez ocean.

Uzypiowie i Tenkterowie, dwa germańskie pokolenia, znużone ciągłemi napadami Swewów, przeszły Ren, spokojniejszych w Gallii szukając siedlisk. Cezar zaszedł im drogę (55 r. pr. Chr.) napadł znienacka i w pień wyciął. Chcąc rzucić postrach na wszystkie ludy germańskie do Gallii przytykające, postanowił uderzyć na Swewów w ich własnych siedzibach. Nie daleko Kolonii rzucił most na Renie, zapuścił się w lasy germańskie a nie wyśledziwszy kryjówek Swewów, przeszedł na powrót Ren, przebył całą Gallią i w tymże roku wyprawił się do Brytannii. Kiedy w Rzymie powzięto wiadomość o tych zdumiewających pochodach, z taką śmiałością i szybkością dokonanych, powszechny wzniósł się okrzyk podziwienia, nakazano dwadzieścia dni supplikacyi Bogom.

Gwiazda szczęścia wiodła Cezara do brzegów Brytannii, o któréj tyle dziwów rozpletli po świecie kupcy fenniccy, byłby je zgubą swoją utwierdził Cezar, gdyby nie umiał zapału zdobywcy hamować. Dywicyak który mu ciągle w Gallii przewodniczył, dopókąd w nim zbawcę uważał, nie chciał mu towarzyszyć do Brytannii, nietkniętego dotąd siedliska druidyzmu, otwarcie

wyznawając, że mu religia tego wzbrania; naglony przemocą śmierć poniósł w obronie swojego uporu. Nie dość na tém, niechętni Gallowie najmniejszéj skazówki nie chcieli udzielić Cezarowi, na los więc swój puścił się i los go zbawił. Samo lądowanie było nader przykre, statki głęboko w wodzie nurzące się nie mogły przybić do lądu, żołnierz więc w wodę wyskakiwać musiał, i w wodzie szykować się do boju. Większe wszakże czekało niebezpieczeństwo. Nadeszło porównanie dnia z nocą; rozhukany ocean w jednéj nocy zdruzgotał część flotty, resztę do żeglugi niezdolną uczynił: wtedy Brytannowie napadają obóz Cezara, lecz ze stratą odparci, wchodzą w układy. Cezar żąda zakładników, a tymczasem naprędce naprawiwszy okręty, nieczekając odpowiedzi, szybko do Gallii powraca: kilka dni przewłoki, a byłby zgubiony niechybnie.

W następnym roku z Gallii pośpieszył do Illiryi, ztamtąd wrócił do Gallii do Trewirów, nareszcie powtórnie wylądował w Brytannii, rozproszył wojska brytańskie i króla ich Caswallawn otoczył w bagnistém jego schronieniu. Doniósł senatowi że nałożył haracz na Brytannią i zarazem przesłał do Rzymu znaczną ilość pereł niewielkiéj wartości, które na wybrzeżach zbierano.

Najście świętéj wyspy zraziło wszystkich Gallów: już odtąd Cezar nie miał przyjaciół w Gallii. Lecz co gorsza, zmuszony kupować Rzym kosztem Gallii, opłacać tylu przyjaciół, którzy mu pięcioletnie dowództwo wyjednali, chwycił się najgwałtowniejszych środków. Łupił świątynie, wydawał na rabunek miasta, nawet bez pozoru słuszności, zrzucał władze miejscowe, nakładał uciążliwe podatki. To oburzyło umysły wszystkich, i kiedy Cezar, brakiem żywności znaglony, rozproszył po kraju swoje wojsko, powstanie jednocześnie wszędzie wybuchło. Eburonowie wycięli jednę legią, oblegli drugą, Cezar dla jéj wyzwolenia w ośm tysięcy przedziera się pośród sześćdziesięciu tysięcy Gallów. W roku następnym zwołuje ogólne zgromadzenie do Lutecyi (Paryż); Nerwiowie, Trewirowie, Senoni i Karnuci nie stawili się, Cezar ich pojedynczo pognębia, przechodzi powtórnie Ren dla zatrwożenia Germanów, by na pomoc

Gallom spieszyć nie śmieli. Poczém uderza obadwa stronnictwa gallijskie, każe sądzić i śmiercią karze Akkona wodza Senonów, zwolennika druidów i stronnictwa ludu; nieustraszonego Ambioryga, wodza Eburonów sprzymierzeńców germańskich, obrońców starożytnych klanów, zamyka w lasach ardeńskich i nieprzyjaznym pokoleniom gallijskim łowy na niego zapuszczać pozwala.

Takowe postępowanie zjednoczyło wszystkich Gallów przeciw Cezarowi (r. 52 pr. Chr.). Po raz pierwszy druidowie pogodzili się z naczelnikami klanów. Hasło pierwsze dano w Genabum (Orleans) stolicy Karnutów w druidzkiéj krainie. Powtórzone po wsiach i polach, tegoż dnia dosięgło Arwernów o sto pięćdziesiąt mil odległych. Wercingetorygiem, to jest naczelnym wodzem związku, był młody Arwernczyk; śmiały i burzliwy, żadnych łąsk Cezara przyjąć nie chciał. Zamyślał on zarazem uderzyć na prowincyą rzymską na południu, i na zimowe leże legionów na północy. Cezar bawiący podówczas we Włoszech, odgadł wszystko i zapobiegł wszystkiemu. Przeszedł Alpy, zabezpieczył prowincyą, przebrodził Cewenny po śniegu sześć stóp głębokim i stanął w kraju Arwernów. Wercingetoryx był wtedy na północy, Arwernowie przyzywają go na własną obronę. Tego tylko chciał Cezar, opuszcza swoję armią i niepoznany udaje się do legionów północnych. Właśnie gdy Wercingetoryx mniema, iż go zwabi oblegając Gergowią, Eduów warowne miasto, Cezar tymczasem zdobywa i burzy Genabum. Wtedy Wercingetoryx oświadcza swoim, iż jedyny środek ocalenia jest w ogłodzeniu wojska rzymskiego. Biturygowie idą za zdaniem wodza i palą dwadzieścia miast własnych, lecz mieszkańcy wielkiego Agendicum (Bourges) padają do nóg wodza i błagają go żeby oszczędził najpiękniejsze miasto Gallii. Zezwolił wódz, miasto przecież zburzone zostało, ale przez Cezara, który je z wielkiém wysileniem zdobył.

W końcu i Eduowie zrzucili płaszczyk udanéj przyjaźni i powstali przeciw Cezarowi. Zacięty bój rozpoczął się po wszystkich stronach. Labienus zaledwie się zwycięztwem niedaleko Lutecyi z rąk nieprzyjaciół wyśliznął. Cezar ustąpić mu-

siał od oblężenia Gergowii i już tylko do Prowincyi przedrzeć się zamyślał. Doścignęli go Gallowie, rozpoczął się bój zaciętszy aniżeli jakikolwiek staczali Gallowie, Cezar sam był w niebezpieczeństwie, miecz jego już się w ręce nieprzyjaciół dostał, szczęściem jazda germańska na żołdzie rzymskim będąca, rzuciła postrach w szeregi Gallów i przechyliła zwycięztwo na stronę Cezara.

Ta klęska złamała odwagę Gallów, ostatnie ich wysilenia pod murami Alezyi były bezskuteczne: wtedy Wercingetoryx patrząc na rozpacz swoich sam się poświęcił zwycięzcy, mieniąc się sprawcą jedynym téj wojny. Na dzielnym rumaku, najkosztowniejszą zbroję przywdziawszy, okrążył po trzykroć krzesło Cezara, rzucił szablę, włócznią i przyłbicę do nóg jego, nie rzekłszy ani słowa.

W następnym roku nowego sposobu wojowania doświadczyli Gallowie, w cząstkowych powstaniach i utarczkach postanowili targać siły zwycięzców. Cezar nie miał czasu do stracenia, wojna domowa dośpiewała we Włoszech, trzeba więc było kończyć jak najprędzéj. Dla przerażenia więc Gallów chwycił się okropnego środka, którego nieszczęściem Rzymianie nie jeden dali przykład: wszystkim jeńcom wojennym po jednéj ręce poucinać kazał. Odtąd zmienił swoje postępowanie, okazał się najłagodniejszym dla Gallów, tak dalece iż obudził zawiść Prowincyi. Zmniejszył podatki, a nazwisko haraczu na zasiłki wojenne zamienił. Utworzył legion osóbny z samych Gallów, którym na szyszakach godło narodowe, skowronka, nosić pozwolił. Pod tém godłem wesołości i czujności rannéj nowi legioniści śpiéwając przeszli Alpy i ścigali wojska Pompejusza aż do Farsalu. Skowronek gallijski za przywództwem orła rzymskiego wziął Rzym powtórnie i miał udział w tryumfach wojny domowéj. Gallia za utraconą niepodległość zachowała miecz Cezara zdobyty w ostatniéj wojnie. Żołnierze rzymscy chcieli go wydobyć ze świątyni w któréj był zawieszony: zostawcie, rzekł Cezar uśmiechając się, jest on poświęcony.

ROZDZIAŁ IV.

GALLIA POD CESARZAMI RZYMSKIEMI.— UPADEK CESARSTWA.— CHRZEŚCIAŃSTWO W GALLII.

Cezar nie zniszczył wolności rzymskiéj, lecz na szwank wystawił narodowość. Rzymianie patrzyli na armią gallijską pod przywództwem swoich orłów, senatorowie gallijscy zajmowali krzesła między Cyceronem i Brutusem; i gdyby był dłużéj pożył wszystkie podbite ludy byłyby zapełniały legiony i senat; już i tak miał straż przyboczną z Hiszpanów złożoną, Balbus, rodem hiszpan, był jego głównym doradzcą. Antoniusz chciał w tém naśladować Cezara i upadł. Oktawian przemógł, ogłosiwszy się obrońcą naruszonéj narodowości. Wyłączył on Gallów z senatu, podwyższył haracz, pozakładał mnóstwo osad wojskowych i nakoniec, z pogardą tylu znakomitych miast Gallii, całą administracyą usadowił w nowo zbudowanym Lugdunie. Nie można było trafniejszéj wybrać posady dla stolicy prowincyi: oparta o Alpy, przy zbiegu Saony i Rodanu, blizka Ligiery, blizka morza za pośrednictwem wartkiego nurtu swojéj rzeki, zdawała się być przeznaczona do czuwania nad Gallią narbońską i celtycką, odtąd już lugduńską zwaną. Lugdun był okiem Włoch na całą Gallią rozwartém; przecież mimo tak ostre z Gallami postępowanie, sześćdziesiąt miast Gallii wzniosły ołtarz Augustowi w Lugdunie przy zbiegu Soany z Rodanem. Druzus, pasierb Imperatora, był wtedy zarządcą Gallii, pod jego okiem nie tylko na lugduńskim ołtarzu składano ofiary cesarzowi, ubiegały się o ten zaszczyt i inne miasta; August zajął miejsce w olimpie bogów krajowych, a starożytna Gallów religia łatwo się z bałwochwalczém Rzymu wyznaniem pogodziła. Torował i ułatwiał do tego drogę sam August wystawiwszy wspaniałą świątynię strasznemu *Kirk*. Po wielu miejscach napisy nad ołtarzami łączyły rzymskie z gallijskiemi

bóstwami, i tak czytano: Mars-Camul; Dyanna-Arduinna; Belen-Apollo; Roma, Hesus, Nehalenia uznane zostały za bóstwa miejscowe.

Druidyzm długo się opierał wpływowi rzymskiemu, i niema dostatecznych powodów do wierzenia, aby Cesarze mieli go kiedyś stanowczo prześladować; wątpliwości nawet podlega podanie Meli, jakoby August miał zakazać ludzkich ofiar, dozwalając jedynie libacyj małych. Z większém do prawdy podobieństwem przypuścićby można, iż nie bez wiedzy druidów wybuchło powstanie za Tyberyusza. Julius Florus był przywódzcą Trewirów: Julius Sacrowir stanął na czele Eduów. Nie wiele kosztowało przytłumienie buntu Trewirów, lecz trudniejsza była sprawa z Eduami; jednakże w końcu i ci uledz musieli, a obadwa naczelnicy własną ręką życie sobie odebrali.

Następcy Tyberyusza, Kaligula, Klaudyusz i Neron jawnie sprzyjali barbarzyńcom. Kaligula, za świadectwem Pliniusza, urodzony w Trewirze, wychowany w obozach Germanii i Syryi, nie taił swojéj wzgardy dla Rzymu. Valerius Asiaticus i Domitianus Afer, obadwa znakomici Gallowie, należeli do poufnéj rady cesarza. Klaudyusz urodził się w Lugdunie, uważał się poniekąd za rodowitego Galla. Wychowany zdala od interesów państwa, zestarzał się w samotném ustroniu: dla tego, mimowolnie na tron wyniesiony, wyzwoleńcom trudy rządów poruczył. Mimo oburzenie Tacyta, zdaje się przecież, iż pod styrem tych niewolników nie było gorzéj jak pod rządem ich panów. Klaudyusz nie ukrywał przychylności dla zawojowanych prowincyonalistów, ułożył historyą Etrusków, Fenicyan i Kartagińców. Rozciągnął opiekę nad niewolnikami, odebrał panom wolność karania ich śmiercią i gdyby dłużéj pożył, mówi Swetoniusz, byłby prawo obywatelstwa rozciągnął na cały zachód', byłby je nadał Hiszpanom, Brytannom, Gallom a najpierwéj Eduom. Tych ostatnich, wzorem Cezara, wprowadził do senatu. Dotąd zachowują w Lugdunie na bronzowych tablicach mowę, którą z téj okoliczności miał przy zagajeniu senatu. Obok tego wszakże, jak mówią, ścigał krwawą cześć druidów i zmusił ją szukać schronienia w Brytannii, gdzie

za Nerona do reszty znękaną być miała, a jednak o jéj bytności w Gallii niezaprzeczone mamy ślady z czasów daleko późniejszych.

Względnym bardzo dla Gallii okazał się Neron, dla tego w czasie buntu, który go tronu pozbawił, większość Gallów dochowała mu wierności, a osobliwie Lugdun pamiętny dobrodziejstw cesarskich po ostatnim pożarze. Vindex, śmiały, do wielkich przedsięwzięć pochopny, rodem Akwitańczyk, podówczas propretor Gallii, główną był tego poruszenia sprężyną. On skłonił Galbę do przyjęcia ofiarowanego mu berła, przeciągnął na swoję stronę Wirginiusza dowódzcę legionów germańskich; nie korzystał wszakże ze swoich zabiegów, bo Galba i Wirginiusz nieświadomi działań Vindexa starli się krwawym bojem, w skutek którego zuchwały propretor życie sobie odebrał.

Gallowie z Germanami stanowili główną siłę legionów na czele których Witelliusz pokonał Ottona i Rzym z koroną cesarską posiadł; nic przeto dziwnego że Gallia niechętném okiem patrzyła na szczęsne powodzenie Wespazyana. Civilis, wódz Batawów, jednooki jak Annibal i Sertoryusz, jak oni, wróg nieprzebłagany Rzymu, pochwycił tak dogodną porę. Obrażony przez Rzymian przysiągł póty nie obcinać włosów i brody, póki zemsty swojéj nie nasyci. Wyciął w pień legią Witelliusza, poruszył Belgów i zyskał przychylną swojéj sprawie słynną Velledę, którą Germanowie czcili, jako od Bogów natchnioną, albo raczéj jako wcieloną boginię. Na odgłos powodzenia Civilisa, druidowie wychylili się ze swoich kryjówek, głosząc ludowi panowanie Gallów na gruzach zburzonego kapitolu.

Powstanie to służy za dowód, jak dalece Gallia w ciągu wieku jednego rzymskim przejęła się duchem, bo po większéj części Gallowie przez Gallów uśmierzeni zostali. Jedni Batawowie niedostępnemi bagnami na wyspach ujścia Renu zabezpieczeni, dłużéj się nieco trzymali, lecz i ci tracili nadzieję w obec Cerialisa na czele siedmiu legionów. To spostrzegłszy Civilis i Velleda przystąpili do zgody twierdząc, że broń podnieśli w sprawie Wespazyana przeciw Witelliuszowi.

W ogóle północna Gallia, od granic włoskich odleglejsza, mniéj daleko przystępną dla rzymskich zwyczajów się okazała; lecz południowa, za pierwszém prawie zetknięciem się z Rzymianami, wzajemnéj sympatyi dawała dowody. Rzymianie tłumnie cisnęli się do szkół marsylskich, Gallowie za kołem fortuny biegli do Rzymu. W szkołach exdruidów w Montpellier, Aix, Bordeaux, Toulouse, i t. p. do praktycznego życia wykształceni, z natury żywi i przebiegli, musieli koniecznie szczęsny los znaleźć w Rzymie, jako nauczyciele, krasomowcy i dramatyczni artyści. Roscius z Gallii, nauczyciel Cycerona w przedmiocie mimiki, użyczył swojego nazwiska na oznaczenie najwyższéj doskonałości na scenie osiągniętéj. Trogus Pompejus, Petronius Arbiter, Varro Atacinus, Cornelius Gallus przyjaciel Wirgilego, wysoką zaleceni nauką mężowie, ród swój z Gallii wywodzą. Pierwszym retorem w Rzymie był Gnipho wyzwoleniec gallijski, w domu Cezara miał swoję katedrę i między słuchaczami liczył dwóch największych mówców Rzymu, Cezara i Cycerona. Valerius Asiaticus rodem z Vienne, Domitius Afer z Nimes, dwaj wymową słynni mężowie, szczycili się przyjaźnią Kaliguli. Piérwszy padł ofiarą zabiegów Messaliny, drugi dowcipnym wybiegiem uchronił się losu Lukana. Kaligula rościł sobie prawo do znakomitego talentu w krasomówstwie; Domitius wymowny, popędliwy, zuchwały, zepsutych obyczajów, a nadewszystko do oskarżeń skłonny, oburzył przeciw sobie samego cesarza. Kaligula czyta na posiedzeniu senatu starannie wypracowaną mowę, akt oskarżenia Domitiusa z wnioskiem wyroku śmierci. Przebiegły retor zdaje się nie baczyć wcale na grożące mu niebezpieczeństwo, unosi się jedynie nad wymową Kaliguli, ogłasza się za zwyciężonego w darze krasomówstwa, oświadczając, iż odtąd nie poważy się ust otworzyć. Kaligula poprzestaje na jego milczeniu, wyroku śmierci nie popiera.

Spółzawodniczka z Włochami pod względem sztuki i literatury Gallia, niedługo obszerniejsze wpływy na losy państwa wywierać poczęła. Za Cezara i Klaudyusza dostarczała sena-

torów; za Kaliguli wydała konsula. Vindex wzniósł na tron Galbę. Antonius Primus z Tuluzy, po gallijsku Bec (dziób) zwany, pierwszy powitał cesarzem Wespazyana; nakoniec z familii gallijskiéj miasta Nemauzu (Nimes) pochodzi najlepszy z cesarzów rzymskich Antonin pobożny. Tak więc Gallia w pierwszym wieku cesarstwa, szafowała berłem świata; w drugim, wydała ze swojego łona cesarzów Rzymu; w trzecim, wśród walącego się w gruzy państwa, pokusiła się o utworzenie Gallo-rzymskiéj monarchii.

W chwili straszliwego zawichrzenia, gdy trzydziestu w różnych stronach państwa przywłaszczycieli sięgało po berło świata; w epoce, wzorem dziejów ateńskich, rządem trzydziestu tyranów nazwanéj, Posthumius pochwycił berło Gallii i przydomek jéj wskrzesiciela uzyskał. Z następców jego Marius, Victorinus, i ostatni Tetricus, wraz z królową Palmyry, ozdoba tryumfu Aureliana, byli wielkiemi ludźmi: Aurelian i Probus przywróceniem jedności monarchii większemi się jeszcze okazali, a przecież państwo co chwila ruiną groziło.

Nie tu jest miejsce wglądać w przyczyny upadku wszechwładnego Rzymu, że jednak klęski jego dotykały podwładne mu prowincye, namienić pokrótce musimy co najsilniéj podkopało fundamenta wiecznego państwa. Nie przydawajmy więcéj wagi hordom barbarzyńskim, aniżeli jéj miały w istocie: wędrówka Kimrów i Teutonów straszną była i groźniejszą może od napadów barbarzyńskich za czasów cesarskich, przecież ten niszczący orkan roztrącił się o legiony rzeczypospolitéj. Nie obwiniajmy władców; nie raz prowincye swobodniéj oddychały pod berłem tych panów, którzy potokami przelewali krew możnowładców Rzymu. Administracya Tyberyusza była mądra i oszczędna; Klaudyusz w zarządzie prowincyj był łagodnym i pobłażającym. Nad zgonem Nerona płakał lud i przez długi czas grób jego świeżemi zdobił kwiaty, a gdy za Wespazyana fałszywy pojawił się Neron, Grecya i Azya z niewymównym zapałem strony się jego chwyciła. Heliogabal winien berło mniemaniu, że był synem Karakalli a wnukiem Sewera.

Pod okrzyczanemi ze srogości władzcami, prawa cywilne coraz doskonalszego nabierały rozwinięcia. Biegły w prawie Nerva, dziadek cesarza tegoż imienia, założyciel szkoły prawa stoickiéj, był poufnym doradzcą Tyberyusza. Papinian i Ulpian, znani po dziś dzień prawnicy, żyli za Karakalli i Heliogabala. Gdyby więc złe niszczące budowę państwa, w jego administracyi tkwiało, tylu wielkich i mądrych cesarzów zaradziliby mu niechybnie; ale to złe było w całéj społeczności rozlane i nie było siły uleczyć je zdolnéj, pókiby społeczność nowa miejsca zgrzybiałéj i skażonéj nie zajęła.

»Dwie tylko klassy mieszkańców jest w Gallii, mówi Cezar, druidowie i rycerstwo, resztę stanowią niewolnicy.» Taki sam stan był wszystkich narodów w starożytności; jak dalece atoli niewola była uciążliwą lub łagodną w Gallii przed rozgoszczeniem się w niéj Rzymian, w zupełnym braku podań historycznych wnioskować nie możemy, z epoki zaś panowania rzymskiego tak ją nam malują dziejopisarze, iż niemal za główną zguby państwa przyczynę poczytać możemy.

W systemie rządu opartym na wojnach, przechodząc z boju do boju, z proskrypcyi do proskrypcyi, z niewoli do niewoli, musiało wreszcie przyjść koniecznie do zupełnego wyludnienia. W istocie w takim stanie rzeczy klassa właścicieli małych posiadłości nikła zwolna, a zajmujący ich grunta obszernych dóbr posiadacze zapełniali ich miejsce niewolnikami, lecz i ci pracą ciężką wyniszczeni, ginęli z kolei. Niewolnicy na ucywilizowanych zdobyci narodach, Grekach, Syryjczykach, Kartagińcach, dostarczali wybornych przedmiotów sztuk i rzemiosł na korzyść swoich panów: za ich zagładą jeńcy traccy, germańscy, scytyjscy przez niezgrabne naśladownictwo grube tylko wydawali twory. Przy zmniejszonéj liczbie udoskonalonych sztukmistrzów, płody sztuki i przemysłu wzrastać w cenie musiały (*), a tém samém

(*) W Edykcie Dyoklecyana znalezionym w Stratonice, wymienione są ceny średnie towarów, według tego, para ordynaryjnego obuwia kosztowała złp. 36, funt mięsa wołowego lub skopowego złp, 4, wieprzowego

pociągać za sobą podwyższenie płacy wojsku i urzędnikom państwa; za czém w naturalnym porządku szło pomnożenie ciężarów publicznych, nadużycia prowincyonalnych urzędników, nędza klassy roboczéj, obojętność na losy państwa, skwapliwe łączenie się do każdego rozruchu, do każdéj zmiany.

Nędza i ucisk przywiodły do rozpaczy poddaństwo gallijskie; bunt wszczęty przez nie, uzyskał nazwę rokoszu *Bagodów*. W jednéj chwili opanowali oni prawie wszystkie wioski, spalili kilkanaście miast i większą po kraju rozniesli pożogę, niż jakikolwiek napad barbarzyńców. Następnie zaczęli się między sobą urządzać, obrali dwóch wodzów Eliana i Amanda. Niesforne i niewyćwiczone bandy uległy pod przewagą oręża cesarza Maxymiana (287), jeszcze jednak nie raz jest wzmianka o nich w dziejopisach spółczesnych, choć po czasie uśmierzenia.

Wyniesienie na tron Konstantyna (306 r. po Chr.) a z nim razem chrześciaństwa, było chwilą najwyższéj radości i nadziei. Urodzony w Brytannii uważać się może za wychowańca téjże Brytannii i Gallii, i panowanie téż jego, przez pierwsze sześć lat, samą tylko ograniczało się prefekturą Gallii, do któréj składu należała Gallia, Brytannia i Hiszpania. Zaraz przy objęciu rządów ograniczył w Gallii liczbę płacących pogłówne z dwudziestu pięciu do ośmnastu tysięcy. Armia na któréj czele pokonał Maxencyusza, składała się po większéj części z Gallów. Pierwsze wyroki jego zwiastują zbawienie ludu. Dla tego téż wyrazy jego orzeźwiły państwo, a widok krzyża tryumfującego napełnił pociechą serca wszystkich, wszyscy byli pełni otuchy, że nadszedł wreszcie kres ich niedoli.

Lecz i chrześcianizm nie zdołał od razu uleczyć materyalnych cierpień społeczności. Cesarze chrześciańscy nic więcéj zdziałać nie mogli nad to, co zdziałali pogańscy ich poprzednicy. I cóż zresztą mogło dokazać prawo? oto w błędném ustawnie kręciło się kole. To raz siliło się nad wynalezieniem ulgi dla

---

złp. 5 gr. 22; gęś tuczna złp. 72; zając złp 52 gr. 24, pularda złp. 20 gr. 24, i t. p.

klassy rolniczéj, a wtedy zamożni właściciele krzyczeli że nie będą mogli składać podatków: to znowu poświęcano wyrobnika samowolności właścicieli, a wtedy ten albo upadał pod brzemieniem pracy, lub schronienia szukał u barbarzyńców, a grunta pustoszały. W początku piątego wieku po Chrystusie w saméj Kampanii, najpłodniejszéj prowincyi państwa, liczono pięćset dwadzieścia ośm tysięcy morgów gruntu odłogiem zapuszczonego.

Obok takowego udręczenia, którego przerażający obraz wystawiają nam spółcześni, lub niezbyt wiekom owym odlegli pisarze, jako Lactantius i Salvianus, Rzym przecież usuwający się z Gallii zostawił po sobie wielkie i niezatarte w niéj zabytki. Municypalność i administracya rzymska pozostała w Gallii, choć już w niéj ani śladu władzy rzymskiéj nie było. Barbarzyńscy przychodnie chcąc nie chcąc osiedli w tych przepysznych gmachach, któremi wstrząsnąć nie mogli, zwycięzcy ulegli prawom zwyciężonych. Wspaniałe teatra, zdumiewające wodociągi, dobroczynne drogi, przez długie wieki w swojéj całości, a dziś jeszcze w swoich gruzach, podziwienie budzą.

Obok tego porządku politycznego, obok władzy cywilnéj, religia postawiła inną, która w chwili niebezpieczeństwa nie opuści osierociałych mieszkańców Gallii, nie odbiegnie potrzebujących wsparcia i obrony. Rzymski tytuł *defensor civitatis* przechodzi w całéj Gallii na Biskupów, i kiedy niknie uniwersalność monarchii, w jéj miejsce wstępuje uniwersalność religii. Świat utrzyma się i na nowo urządzi za pośrednictwem kościoła, jego tworząca się hierarchia posłuży za wzór urządzeń politycznych. Religia zaprowadzi porządek zewnętrzny, utrzyma życie wewnętrzne.

Żaden może naród tak szybko i z takim zapałem nie przyjął wschodzącego światła wiary chrześciańskiéj jak Gallowie. Czy nauka druidów głosząca nieśmiertelność duszy i odpłatę w życiu przyszłém; ciesząca nadzieją przyjścia zbawiciela, pośrednika między Bogiem a ułomnym człowiekiem, usposobiła umysły do łatwego przyjęcia wyższych tajemnic; czy zużyta mieszanina rzymsko-gallijskich bałwochwalczych obrządków wznieciła tęsknotę i żądzę prawdziwego oświecenia; cóżkolwiekbądź, rzadko

w którym innym narodzie tylu naliczyć można męczenników wiary, tylu światłych jéj obrońców pośród podnoszących głowę różnorodnych odszczepieństw. Za Marka Aureliusza (177 po Chr.) pierwsza metropolia stanęła w Lugdunie, gdzie dotąd wskazują katakumby ośmnastu tysięcy męczenników. Wnet zasłynęli nauką i życia świątobliwością, Ś. Marcin. Ś. Ambroży, Ś. Ireneusz, Ś. Hilary, Ś. Atanazy, Ś. Maxymin, i wielu im podobnych.

Lecz w téjże Gallii powstał człowiek, z imienia i stanu nieznany, pod nazwą Pelagiusza (z greckiego języka *człowiek morski*) zapewne z Aremoryki ród wiodący, wstrząsnął całą nauką kościoła i na długie wieki rzucił przedmiot sporu, pod różnemi postaciami wznawianego. Potępioną Pelagiusza naukę złagodzili chrześcianie prowincyi gallijskiéj, obstając za nią pod nazwą półpelagianów; z czasem wszakże i ci zamilknąć musieli, tak jak wszystkie religijne spory ucichły na widok tłoczących się hord z północy.

Zanim ujrzymy pokolenia germańskie osiedlone w Gallii, rzućmy jeszcze raz okiem na ubiegłe wieki i przypatrzmy się krainie tak dziwnym zmianom losów ulegającéj. Cóż to jest ta Francya na podstawie celtyckiéj oparta? z jakich pierwiastków wyrobiła się jéj narodowość tak wybitna?

Niemal sześć wieków ubiegło, odkąd Celtowie wędrowne w téj krainie roztoczyli obozy, aż do chwili w któréj Cezar orły rzymskie do ujścia Renu i wysp brytańskich zawiódł. W tym przeciągu czasu Belgi, Kimry i Teutony rozlały się po téj ziemi i z mieszkańcami jéj skojarzyły. Fenicyanie i Grecy część ludności swojéj na jéj wybrzeża wysadzili, wreszcie Rzymianie wojenne osady porozpraszali. Czyż więc ze zlewu tych różnorodnych żywiołów utworzył się naród dzisiejszy, lub późniejsi przybysze, Frankowie, nadali mu imię, i piętno swoje na niém wycisnęli? Oto jest ważne pytanie, które mimowolnie nastręcza się rozważającemu pierwiastkowe dzieje tego narodu.

Dwa główne zdania rozdzielają w tym względzie uczonych. Jedni dumą narodową uniesieni o żadnym obcym wpływie nie chcą wiedzieć; owszem z Celtów mowy, w gminnym Bretonów

języku jakożkolwiek dochowanéj, wszystkie świata narzecza wywodzą: podboje nawet Klodoweusza (Clovis) nie są u nich pod bojami. Drudzy, wszystko przekazem obcych być mienią. Według nich język francuzki jest prostém przekształceniem łaciny; prawa z rzymskich lub germańskich przerobione, a podania gminne echem są tylko podań obcych. Tak więc połowa narodowości jest rzymska, druga połowa niemiecka. Wielkie Celtów plemię tak słynne w starożytności, plemię, które pięć kroć sto tysięcy ludu zbrojnego przeciw Cezarowi do boju wywiodło, bez śladu zginęło, jak rozległa atlantydów ziemia!

Nie czepiając się wyłącznie żadnego z tych dwóch mniemań, postępując rozważnie za skinieniem historyi, łatwo spostrzeżemy: że Francuzi nie są Gallami, nie ma między niemi owych olbrzymich postaci, co się bawiły pożogą Rzymu; ale z drugiéj strony duch ich niesłychanie różny jest od ducha rzymskiego i germańskiego. Nie ma wątpliwości że Francya wiele korzystała z obcych wpływów, lecz gruntem, na którym się wszystko z łatwością przyjmowało i bujnie krzewiło, było owo miękkie, niestałe pokolenie Gallów, swarliwe, płoche, skore do przejmowania wszystkiego, równie prędkie do zarzucenia, ustawnych zmian chciwe. Oto jest żywioł pierwiastkowy, żywioł zdolny do wykształcenia.

Takiemu ludowi surowych potrzeba było nauczycieli; takich właśnie dostarczyła im północ i południe. Pod ich żelazną rózgą płochość ustalona, miękkość nabrała hartu, rozsądek wziął górę nad instynktem, rozwaga zajęła miejsce szału.

Nie przesadzajmy w ocenianiu ani pierwiastkowego ducha Celtów, ani obcych na Gallią wpływów. Bez wątpienia Celtowie działali, Rzym przydał cóś, i Grecya także, w końcu przyłożyli się w części i Germanowie; lecz wszystko to przerobiła, w jedno zlała, i w formę dzisiejszéj narodowości ukształtowała Francya sama w sobie, sama przez siebie.

Grecy marsylscy, którym pierwiastkową ogładę Gallów przypisywano, mogli zapewne zbogacić język celtycki kilką wyrazami, Gallowie użyli ich charakterów do swojego pisma; lecz

ani litery greckie, ani medale macedońskim podobne, jakie w okolicy Lugdunu wykrywano, nie są jeszcze dowodem wpływu greckiego. Niezaprzeczone są ślady wpływu Rzymian wytłoczone na języku Celtów, prawach, zwyczajach i obyczajach. Że jednak język francuzki nie jest prostém przerobieniem łaciny, to rzecz jawna; lecz byłaż epoka, w któréjby język Rzymian był powszechnym w Gallii, jak niektórzy mniemają, jak sami Rzymianie sądzili: to wielkiéj podpada wątpliwości. Dla czegożby Strabon wyraźnie wspominał, że znakomita liczba pokoleń południowéj Gallii przyswoiła sobie mowę łacińską? Cóżby miało znaczyć postanowienie cesarza Septyma Sewera (230 pr. Chr.), że fidei-comissa mają być przyjmowane nie tylko w łacińskim i greckim, ale nawet w gallijskim języku? Kapłanka druidzka w języku Gallów przemawiała do Alexandra Sewera. Łatwy ztąd wniosek, że mowa Rzymian, do objawienia woli rządu, i tłumaczenia praw użyta, mogła być mową ukształceńszych osób, a mianowicie w prowincyi rzymskiéj, to jest w południowéj Gallii, lecz język Celtów utrzymał się stale pomiędzy ludem, panował wyłącznie w środkowéj i północnéj Gallii: ten sam język którego wyraźne dotąd zabytki przechowali Bretonowie we Francyi, Gaelowie (w Xięstwie Wallii), Szkoci i Irlandczycy.

Tak więc język łaciński nie jest wyłącznym pierwiastkiem francuzkiego, lecz jest nim mowa Celtów, przyswojeniem obcych wyrazów i form zbogacona. Że zaś język jest wiernym obrazem ducha ludów, cechą ich charakteru, objawieniem bytu wewnętrznego, ich słowem, że tak rzekę; oczywisty ztąd wniosek, że gdy żywioł celtycki przetrwał wieki w mowie, musiał się koniecznie wcielić w zwyczaje i obyczaje narodu, w jego działania i myśli. Otóż to jest materyał z którego Francuzi zwolna wymodelowali swoję narodowość, i mimo spojenia rozlicznych pierwiastków, potrafili na niéj wytłoczyć piętno oryginalności.

KSIĘGA DRUGA.

Merowingowie.

OD ROKU 481 DO ROKU 687.

KSIĘGA DRUGA.

MEROWINGOWIE.

OD ROKU 481 DO ROKU 687.

ROZDZIAŁ I.

NAJŚCIE GALLII PRZEZ LUDY GERMAŃSKIE.— FRANKOWIE OSIADAJĄ W GALLII.

Ren przedzielał Germanią od Gallii; prawy brzeg Elby krańcem był siedzib plemion słowiańskich, do lewego przytykali Germanowie: między temi dwiema rzekami i Dunajem aż do brzegów morza dziś niemieckiém zwanego, było siedlisko germańskich pokoleń. Na téj przestrzeni lud nieokrzesany bujał swobodnie po błoniach mniéj więcéj rozległych, między kniejami rozsianych, rozrzucone budując domy, to nad brzegiem strumienia, to w pobliżu krynicy, lub pod cieniem gaju. Żaden miernik kopcami nie osypywał szczególnych posiadłości, lecz jak daleko młotem Thora rolnik dorzucić potrafi, tak obszerny grunt jego własnością się staje, póki go płonność nie zrazi, lub silniejszy przybysz nie wysadzi. Niestałe były siedziby germańskich pokoleń, rozsypywali się na wszystkie strony, to sięgając za Ren do Gallii, to rozszerzając się w słowiańszczyźnie

po za Elbą, to wreszcie między sobą pokolenie silniejsze rugowało słabsze. Jednakże za nomadę uważać ich nie można: nigdy oni wzorem Celtów i Tatarów nie odbywali wędrówek po Europie i Azyi. Jeżeli się ruszyli z siedlisk swoich, to albo usuwając się przed grożącém niebezpieczeństwem, lub płodniejszéj szukając ziemi.

Obyczaje pierwiastkowych Germanii mieszkańców, albo wcale nic, albo przynajmniéj bardzo mało się różniły od innych ludów barbarzyńskich. To co podobało się Tacytowi wyłącznie przyznać Germanom, przy baczniejszém rozpatrywaniu się znajdziemy i u innych nieokrzesanych ludów. Święte prawa gościnności, nieprzebłagana zemsta, skłonność do upajających napojów, przywiązanie do wojny i rabunku, z pozostawieniem kobietom prac rolniczych i domowego gospodarstwa, oto główne rysy charakteru odmalowane przez Tacyta. Już za czasów tego dziejopisa Kimrowie i Teutonowie nikną z widowni świata zachodniego; Gotowie i Lombardy zaledwie co się pojawiać zaczynają od strony wschodu; słaba tylko wzmianka o Anglach, przedniéj straży Saxonów; związek Franków mało znaczący; najpotężniejszém byli podówczas i panującém pokoleniem w Germanii, Swewowie, straszni Gallów i Helwetów sąsiędzi, dokuczliwi własnego szczepu ludom. Początkowi czciciele Herthy (ziemi, Erde) wyższe uzyskali ukształcenie, popęd śmielszy a razem więcéj bohatyrski, przez najście wyznawców Odyna, Saxonów i Gotów (to jest: Jutów, Gepidów, Lombardów, Burgundów). Za pierwszém pojawieniem się w Germanii cześć Odyna nie miała zapewne tego rozwinięcia, jakiego z czasem, a mianowicie w Irlandyi nabyła, przecież mimo to, już wówczas nosiła w sobie zasady szlachetniejszego życia, wyższéj moralności. Wzniecała ona w piersiach walecznych nadzieję nieśmiertelności, zapewniała mężnym raj, Walhall (albo Walhawl), gdzie rąbiąc się w sztuki dzień cały, do spólnego wieczór zasiądą bankietu.

Aż do roku 375 po Chr. hordy germańskie chwilowe tylko w granice państwa rzymskiego zapuszczały zagony, lecz około

téj epoki Gotowie niepokojeni od Hunnów, za zezwoleniem cesarzów wschodnich przeszli Dunaj i jako sprzymierzeńcy uzyskali grunta na osiedlenie. Wkrótce atoli głodem znagleni złupili kraje między Euxynem i Adryatykiem leżące. Przyjęciem wiary chrześciańskiéj ugłaskani, przez styczność i spokrewnienie z podbitemi, większéj jeszcze nabyli ogłady. Opłaceni przez Teodozyusza po dwakroć zyskali dla niego cesarstwo zachodu. Za Honoryusza spółzawodnictwo Alarycha Gotów dowódzcy i Stylikona Wandala, przez dziesięć lat pożogą napełniało Włochy. Nastąpiła wreszcie zgoda, utrwalona związkiem małżeńskim Placydyi, siostry Honoryusza, z Ataulfem (Adolfem), bratem Alarycha. Następcy Ataulfa z oddziałem Gotów posiedli część Gallii, z tytułem sprzymierzeńców na żołdzie cesarstwa. Stolicą ich była Tuluza. Tu dopiero dawniejsza ich nazwa Ost i West-Gotów znaną być poczęła. Nie ubiegło pół wieku, a West-Gotowie (Wissygotowie), rozszerzyli władzę swoję nad całą Akwitanią i Hiszpanią.

Zdumieni zachwycającym obrazem cywilizacyi rzymskiéj, po pierwszych najezdniczego barbarzyństwa zatargach, schylili harde swoje czoła przed ukształceniem zwyciężonych. »Przypominam sobie, mówi Orosius, pisarz z piątego wieku, jak Ś. Hieronim opowiadał, że znał pewnego mieszkańca Narbonny, wysokie godności za cesarza Teodozyusza piastującego, pełnego rozsądku, powagi i bogobojności, który w rodzinném mieście zaszczycał się Ataulfa przyjaźnią. Powtarzał on często, że król Gotów, mąż wielkiego umysłu i odważnego serca, mawiał, iż z początku najgorętszą chęcią jego było zagładzić imię rzymskie i wznieść nowe państwo Gotów; czyli mówiąc po prostu, aby wszystko co dotąd było Romanią, odtąd stało się Gotyą, Ataulf zaś miał zająć miejsce cesarza Augusta. Lecz doświadczeniem ostrzeżony, że Gotowie nie zdolni byli do uległości prawom dla nieugiętego barbarzyństwa, uznał, iż nie godzi się poruszać praw, bez których kraj ostać się nie może, i postanowił szukać sławy w poświęceniu potęgi Gotów na przywrócenie państwa i pomnożenie nawet władzy imienia rzymskiego, aby tym

sposobem potomność uznała go przynajmniéj odnowicielem państwa, którego do swoich przenieść nie mógł.

W jednymże prawie czasie z Gotami Burgundowie wdarli się do Gallii i u wschodniego podnóża Jury rozgościli. Byli oni jeszcze łagodniejszymi od Gotów; zdaje się, mówi Thiery, że ta dobroduszność, która jest głównym rysem charakteru dzisiejszych Germanów, już wówczas objawiała się pośród tego ludu. Z orężem w ręku przywłaszczywszy sobie dwie trzecie gruntów, nie tknęli własności pozostawionéj Gallom i Rzymianom. Nie uważali mieszkańców za swoich podwładnych, za swoich leudów, czyli lenników, jak zwali podówczas Germanowie, lecz za równych sobie w obrębie pozostawionéj im dziedziny. Co większa objawiali jakąś nieśmiałość, jakieś pomieszanie w obec znakomitych swoich spółwłaścicieli, składali im ranne uszanowanie, wzorem klientów rzymskich.

Za zezwoleniem cesarzów, świeżo osiedleni w Gallii barbarzyńcy nie długo cieszyli się spokojném użyciem nowéj dziedziny. Ci sami Hunnowie, którzy niedawno przepędzili Gotów za Dunaj, pociągnęli za sobą germańskie zastępy i niezliczonym tłumem przebyli Ren. Starł się świat barbarzyński w dziwnym sposobie. Hordy usadowione na ziemi gallijskiéj, cywilizacyą rzymską ujęte, stają gotowe do jéj obrony. Pokolenia sąsiednie Hunnów, wierne pierwotnéj nieokrzesania formie, wloką się za hufcami jazdy azyatyckiéj, nadzieją zdobyczy, lub dogodniejszych siedzib podżegane.

Słynny wódz Hunnów, Attyla, występuje w podaniach nie jako historyczna osoba, lecz jako straszny myt, jako godło i wspomnienie okropnéj pożogi. Właściwe jego azyatyckie imię Etzel, znaczy cóś silnego, rozległego, jakąś górę, rzekę. Takim też objawia się Attyla w Nibelungach (*), potężny, przerażający, zimny, nic w sobie ludzkiego nie mający, chłonąc wszystko nakształt ognia i wody. Byt takiego człowieka wątpliwościby

(*) Jeden z najdawniejszych poematów niemieckich.

podlegał, gdyby się wszyscy piątego wieku pisarze nie zgadzali, gdyby Priscus nie opowiadał z trwogą, że go widział, gdyby nie opisywał jego stołu, stołu strasznego w dziejach. Cóż to za widok! naczelnicy najnieokrzesańszych hord główne zajmują miejsca, na samym końcu smutni siadają posłowie cesarzów wschodu i zachodu. Kuglarze i błazny podniecają radość i budzą huczne śmiechy wojowników barbarzyńskich, a wódz tymczasem posępny, w krępéj skupiony postaci, śniady, z nosem spłaszczonym, szerokiém czołem z pod którego małe lecz przenikające błyszczą oczy, głębokie tocząc myśli, przesuwa palce między puklami włosów syna swojego, najmilszego mu ze wszystkich Ellaka. Niepokój ściska piersi greckich posłańców, dostali się oni do samego ostępu lwa, by nań sidła zastawić: wié o tém wódz Hunnów i na ten raz poprzestaje na odesłaniu cesarzowi kiesy złota, którém mniemano śmierć jego opłacić, dodając poniżające słowa: »Attyla i Teodozy są szlachetnych ojców synami; lecz Teodozy składając haracz postradał swoję szlachetność, stał się poddanym Attyli; nie godzi się aby knuł zasadzki przeciw panu swojemu, jak złośliwy niewolnik.« Nie raczył się mścić inaczéj, wyjąwszy mały do haraczu dodatek kilku tysięcy uncyj złota. Jeżeli zaś najmniejsza zaszła odwłoka w wypłacie, natychmiast posyłał jednego ze swoich niewolników, rozkazując oświadczyć cesarzowi: »Attyla, twój pan i mój, chce cię odwiedzić; rozkazuje ci przeto pałac dlań w Rzymie przysposobić.« Przecież mimo nie raz powtórzoną pogróżkę, nie kwapił się do Rzymu. I cóżby w nim zyskał? Dusznoby mu zupełne było w marmurowych pałacach. Wolał swoję drewnianą willę kobiercami usłaną, w tysiączne kolory upstrzoną, a do koła zielone niziny Dunaju.

Z téj to willi corocznie na czele tłumnych hufców jazdy, za którą chcąc nie chcąc postępowały bandy germańskie, roznosił pożogę na wszystkie strony. Już państwo wschodnie doznało ciosów jego oręża, kilkadziesiąt miast i zamków w gruzach legło; cesarstwo zachodnie złotem zabezpieczyło chwilowo włoskie krainy; germańskie ziemie jedne z nim trzymały, drugie ogniem

i mieczem zniszczone; teraz chciwy wzrok na Gallią obrócił.

Aecyusz spółrodak Attyli, naczelny wódz rzymski, za świadectwem Idacyusza historyka prawie spółczesnego téj epoce, miał wezwać potajemnie Attylę do Gallii, aby złamać wzrastającą potęgę Westgotów orężem Hunnów, i nawzajem tych ostatnich poskromić przez Westgotów.

Na czele pięciukroć stu tysięcy barbarzyńców stanął Attyla nad brzegami Renu (451 r.), postrach szyki jego poprzedzał. Legendy z owych wieków dają dokładne wyobrażenie o grozie jaką imię Attyli po wszystkich stronach rozsiewało.

Frankowie chcieli mu przejście Renu zagrodzić, lecz nieliczni a do tego niezgodni, ulegli przemocy Hunnów. Metz do szczętu zburzony, mnóstwo miast w gruzach zagrzebane, Attyla obległ Orlean, którego modłami swojemi bronił biskup Anian. Już fossy zasypane, taranem zdruzgotane mury, chwili zniszczenia wyglądało miasto, gdy niespodzianie na Hunnów wpadają Gotowie, mnóstwo wycinają, mnóstwo w nurtach Ligiery topią. Przerażony klęską Attyla cofa się na katalauńskie pola (między Troyes i Chalons), dościga go Aecyusz i do walnéj bi-

twy skłania. Krótki, lecz zacięty był bój: poległ Teodoryk król Westgotów, lecz syn jego Torysmund niezachwiane wiódł hufce, a gdy noc walczących rozdzieliła, Attyla do swojego cofnął się obozu, straciwszy najdoświadczeńsze rycerstwo.

Nazajutrz Torysmund chciał pomścić śmierć ojca, lecz go wstrzymał przebiegły Aecyusz. Mówią, iż wódz rzymski równie lękając się tryumfu Westgotów jak Hunnów, skrycie w nocy udał się do obozu Attyli ostrzegając go, że większe jeszcze siły Gotów nadciągają, z któremi walka dla niego niebezpieczna. Wdzięczny wódz Hunnów tysiącem sztuk złota życzliwego obdarzył doradzcę. Poczém téjże nocy odwiedził Torysmunda radząc mu powrót śpieszny do kraju, by bracia posłyszawszy o zgonie ojca, i tronu i skarbów sobie nie przywłaszczyli. Takąż summą przyjacielską przestrogę wynagrodził młody król Gotów. Cożkolwiekbądź obadwa wojska spokojnie się cofnęły, zostawiwszy około dwakroć sto tysięcy trupów na pobojowisku.

Cofnął się Attyla, a przecież cesarstwo zachodnie żadnéj z jego odwrotu nie mogło osiągnąć korzyści. Czyjąż miała być Gallia? Zdaje się, być Gotów i Burgundów. Ludom tym nie trudno było opanować środkową Gallią, która jeszcze upornie chciała być rzymską. Lecz i Gotowie już byli Rzymianami. Królowie ich z pośród Gallów wybierali najzaufańszych ministrów; przywrócili administracyą cesarską, utrzymali niewolę w interesie rzymskich dziedziców. Długim pobytem na wschodzie bizantyńskiemi przesiąkli wyobrażeniami, przynieśli z sobą aryanizm grecki, którego zasady ujmując chrześciaństwo w formę oschłéj filozofii, odejmowały mu całą szczytność, całą poezyą, prócz tego kościół aryański uznawał wyższość władzy świeckiéj. Duchowieństwo gallijskie nienawidziło aryanizmu, a ztąd popadło w podejrzenie, i zdaje się niebezzasadne, sprzyjania Frankom. Takowy stan rzeczy wywołał dawną srogość Gotów i pewny rodzaj prześladowania.

Dla czego niechętni usadowionym pośród siebie barbarzyńcom do Franków szczególnie wzdychali Gallowie? rzecz nie wyjaśniona. Być może, iż w jakiéj takiéj zmianie ulgi się spodzie-

wali; być może iż nikt nie umiał stanowczo powiedzieć, coby to były za ludy; wreszcie i to być może, iż duchowieństwo nawrócenia tych poganów do zasad rzymskiego kościoła miało nadzieję.

Frankowie nie tworzyli odrębnego i liczbą trwożącego narodu, było to poprostu zjednoczenie mniéj więcéj licznych pokoleń; potężne lub słabe, w miarę jak się skupiało lub rozsypywało. Pierwszy raz za cesarza Galliena, potężna banda Franków przedarła się przez Gallią i Hiszpanią i aż do granicy Maurytanii postąpiła. Probus w r. 277 po dwakroć poraził Franków nad Renem i tłumy jeńców nad morzem czarném osadził. Wkrótce atoli znudzeni wygnańcy, tęsknotą do swojego Renu dręczeni, morzem wyprawili się na powrót. W obliczu flott rzymskich złupili brzegi Azyi, Grecyi i Sycylii, i bez żadnéj przeszkody wylądowali w Batawii.

Za panowania Konstansa około 357 potężna była liga Franków, silne ich zastępy wkroczyły do Gallii szerząc swoje zabory. Przerażony cesarz nie mając wodza zdolnego stawić czoło strasznemu w téj chwili nieprzyjacielowi, wzywa synowca swego Juliana, który w Atenach kończył nauki i jemu obronę granic państwa powierza. Co się na pierwszy rzut oka zdawało być krwawém szyderstwem, to stało się zbawieniem Gallii. Młodzieniec ważnością powołania przejęty, ruszył na swoje przeznaczenie; w drodze z ksiąg ucząc się sztuki wojennéj.

W pierwszéj zaraz wyprawie poraził na głowę Franków i wydarł im kolonią. Przeląkł się swojego wyboru Konstans i wszelkie stawił zawady młodemu wodzowi. Przełamał wszakże

trudności Julian i równie męztwem jak biegłością, trzykroć liczniejszą hordę pod Argentoraktem pokonał. Wtedy sześciuset najznakomitszych wojowników uznało władzę Juliana, i legion z Germanów złożony, nazwę Franków otrzymał; Frankowie przyboczną gwardyą cesarza składali.

Po śmierci Juliana groźną znowu przybrali postać Frankowie, przynajmniéj w dziejach czytamy wzmiankę o odniesionych nad niemi zwycięztwach. Ależ natomiast w bitwie z Attylą pod Chalons, Meroweusz król Franków salijskich walczył pod wodzą Aecyusza, jako rzymski sprzymierzeniec.

Po tym wielkim w dziejach wypadku, ustaleni w swéj posadzie Burgundowie, potężne Westgoty władzcy Hiszpanii i Akwitanii, utworzona liga armorycka, nowe królestwo rzymskie pod rządem Egidiusa w Soissons, zaledwie zostawiły Frankom puszczę Carbonaria między Tournai i Renem. Przez długi atoli pobyt w Belgii musieli sobie zjednać wielu tamtejszych krajowców, następnie połączyli się z temi Armorykanami, którzy przy zbiegu Sommy z Sekwaną mieszkali, po śmierci Egidiusa pozostałe bez dowódzcy wojsko przeszło na stronę Franków, lecz i tak wzmocnieni, nie zdołaliby zniszczyć Gotów, poniżyć Burgundów, odeprzéć Niemców, gdyby nie znaleźli byli w gallijskiém duchowieństwie żarliwych sprzymierzeńców, którzy ich krokami kierowali, jednając im wszędzie przychylność ludu.

Grzegorz Turoneński (z miasta Tours) pisze, że Chlogion (niemieccy autorowie zowią go Klodion) mężny i znakomity mąż w swoim kraju, był królem Franków. Ten wysławszy zwiady do Cambrai, za ich zdaniem napadł na Rzymian, pobił ich i miasto zajął: po niejakim czasie owładnął cały kraj, aż do rzeki Sommy. Utrzymują niektórzy, że król Meroweusz ojciec Childeryka z pokolenia Chlogiona pochodził.

Zdaje się że nie jeden z wodzów barbarzyńskich, jak zapewne ten sam Childeryk syn Meroweusza, ojciec Klodowika (*)

(*) W nazwiskach królów rodu germańskiego trzymałem się pisowni autorów niemieckich, dodając wszakże w nawiasie nazwiska napotykane w kronikach łacińskich z owych wieków tudzież nazwiska francuzkie. Klodowik, o którym tu jest mowa, po łacinie zwany Clodoveus, po francuzko Clovis.

zaszczycony był tytułem honorowym przez cesarzów rzymskich, lub ich namiestników, jak niegdyś Melobod i Arbogast dwaj znakomici Gallów naczelnicy. Gdy bowiem Childeryk zmuszony był ustąpić z kraju, Egidius wódz rzymski zastępuje go, zapewne nie w charakterze dziedzicznego naczelnika narodu, ale w stopniu dowódzcy milicyi cesarskiéj.

Childeryk dla rozwiązłości obyczajów znienawidzony u swoich, uszedł do króla Turyngów, u którego najpiękniejsze lata swojéj młodości przepędził. Wracając do kraju po śmierci Egidiusa, w zawdzięczeniu gościnności uwiódł z sobą Bazynę królową Turyngów z któréj miał syna Klodowika.

W téj epoce Gotów i Burgundów królestwa w południowéj Gallii ugruntowane, ustaliły swoje granice. Kraj między Ligierą i Sekwaną aż do oceanu tworzył rzeczpospolitą armorycką;

północ ku zachodowi dzierżyły mniéj znane pokolenia; tak więc z całéj zdobyczy Cezara mały pozostał zakątek w środku Gallii, niedołężny i bezbronny w obec wojowniczych pokoleń. Podzielona wszakże między najezdnicze ludy Gallia, właściwie nienależała do nikogo: Klodowikowi zostawiony był zaszczyt zjednoczenia jéj, nadania bytu narodowego, i utwierdzenia potęgi wyższéj, niż ją mieć mogła przed wkroczeniem Rzymian.

ROZDZIAŁ II.

ZJEDNOCZENIE GALLII POD RZĄDEM KLODOWIKA.

Już na gruzach wszechwładnego państwa naczelnik mało znanéj hordy nowe wzniósł królestwo, gdy tymczasem wódz rzymski Egidius (Idzi), jeszcze niby w imieniu cesarzów zawiadywał cząstką Gallii i po śmierci zostawił następcą syna swojego Syagryusza. Usadowiony w części Gallii Klodowik pokusił się o zdobycie dziedziny Syagrusza. Łącznie więc z naczelnikami pobratymczych pokoleń podstąpił pod Soissons stolicę rzymskiego wodza. W stoczonéj bitwie ujrzawszy Syagryusz przechylające się zwycięztwo na stronę króla Franków, śpiesznie opuścił plac boju i schronił się do Alarycha króla Westgotów. Klodowik by się w spokojném posiadaniu kraju zabezpieczyć, zażądał wydania Syagryusza, a na przypadek odmównéj odpowiedzi wojną Gotom zagroził. Nie chciał Alaryk doświadczać wątpliwego losu oręża, skłonił się więc do żądania króla Franków, a ten dostawszy do rąk Syagryusza, cichaczem bez wielkich zachodów życia go pozbawił (486 r.), w dziesięć lat po upadku zachodniego cesarstwa.

Śmierć ostatniego władzcy Gallii rzymskiéj zabezpieczyła Klodowikowi jéj posiadanie; jednakże czuł on potrzebę pobłażania nowo nabytym poddanym, mając przy boku swoim małą garsztkę wojska (*). którém obsadził Soissons. Nie mógł za-

(*) Według świadectwa owczesnych kronikarzy, Klodowik miał tylko siedm tysięcy Franków pod swoją wodzą.

pobiedz łupieztwu po wsiach, bronił więc tylko miast znakomitszych nie wpuszczczając do nich rabunku chciwego żołdactwa. Nie obeszło się przecież bez nadużyć. Z kościoła w Reims zabrano kosztowne naczynie, Ś. Remigiusz biskup ówczasowy posłał do króla jednego z kapłanów, prosząc o zwrot. Klodowik przywiódł z sobą kapłana do Soissons, gdzie miał nastąpić podział łupów, i żądał aby naczynie do działu nań przypadającego należało. Żołnierz obecny uderzając naczynie toporem wojennym (francisque), rzekł z gniewem: »Tu tylko to twoje, co ci los przeznaczy.«

Mimo to Klodowik wziął naczynie i oddał kapłanowi, nie rzekłszy słowa do żołnierza. W rok później przeglądając woj-

sko, wziął w rękę broń owego żołnierza i rzucił na ziemię, pod pozorem że była zła, a gdy żołnierz schylił się dla podniesienia jéj, Klodowik szablą rozpłatał mu głowę mówiąc: »Takeś ty właśnie zrobił z naczyniem w Soissons.« Wypadek ten dość jawnie pokazuje w jakich stosunkach był naczelnik bandy Franków ze swoimi podwładnemi.

Zwycięzca pod Soissons zapragnął posiadłości południowéj Gallii. Burgundowie zdali mu się nie trudną przedstawiać zdobycz, szukał więc tylko pozorów do wmieszania się w ich sprawy. Za pośrednictwem posła swojego poznał Klotyldę siostrzenicę króla Gundebalda warzącą zemstę w sercu swojém dla wuja, który jéj ojca zabił, matkę w Rodanie utopił, a siostrę do klasztoru wtrącił. Klotylda była piękna i ukształcona, jedyna na małżonkę dla Klodowika snującego w myśli plany podboju. Nie mógł żądaniu jego odmówić Gundebald, choć przewidywał nie najlepsze ztąd dla siebie skutki.

Klotylda żarliwą była katoliczką, Klodowik zaś oddawał cześć bałwanom, których porzucili już barbarzyńcy usadowieni w Gallii, nawrócenie więc króla stało się jedynym celem zabiegów królowéj. Zachęcali ją do tego biskupi, a osobliwie też Ś. Remigiusz, który potrafił sobie zjednać wielką władzę nad umysłem króla. Wszystko atoli było bezskuteczne, Klodowik, obyczajem owych wieków, na polu bitwy miał zmienić swoje wyznanie.

Germanowie nadreńscy nie pojmowali, aby z upadkiem rzymskiego cesarstwa, miały się skończyć ich łupieztwa; liczna banda, pod nazwą Allemanów, napadła na osady Franków rypuarskich, którzy pod Kolonią strzegli przeprawy Renu. Klodowik na czele Franków salijskich i połączonych z niemi pokoleń zastępuje drogę najezdnikom. Obadwa wojska ścierają się na równinach Tolbiaku, o dwie prawie mile po téj stronie Renu. Sigebert król Rypuarców ranny, spadł z konia, czém zmieszane hufce jego cofać się poczęły, szerząc nieład w wojsku Klodowika. Zagrożony widoczną klęską król Franków salijskich, w obliczu wojska przysięga, że skoro zgnębi Allemanów na-

tychmiast przyjmie chrzest święty. W téj chwili zmienił się los bitwy, wódz najezdników legł na placu, a horda jego poszła w rozsypkę. Dotrzymując słowa swojego Klodowik, odstąpił bałwanów, a trzy tysiące rycerstwa, jako wierni towarzysze króla, z nim razem chrzest święty przyjęli.

Radość powszechna ogarnęła serca Gallów religią katolicką wyznających. Święty Awitus biskup Vienny, poddany Burgundów aryańskich, pisał do króla: »Gdy walczysz, my odnosim zwycięztwo.« Święty Remigiusz przy chrzcie Klodowika wymównie rozwinął tę samą myśl: »Zniż łagodnie głowę Sykambrze; pal coś czcił, a oddaj cześć temu coś palił.« Tak więc kościół uroczyście przyjmował pod swoją władzę barbarzyńców. Odtąd cała Gallia zbawienia swojego otuchę w królu Franków pokładała.

Liga armorycka aż dotąd zachowała niepodległość, z ochrzczonym zaś królem Franków weszła w związki i zwolna do władzy jego przywykła. Takim sposobem cała część północnéj Gallii aż do Ligiery berłu Franków uległa, duchowieństwo reszty Gallii, to jest burgundzkiéj i westgotskiéj, nie przestawało zachęcać króla do rozszerzenia władzy i nad niemi.

Już oddawna Klodowik zwrócone miał oczy na Burgundyą, teraz szczęśliwa okoliczność podała mu oręż do ręki. Godegizylas wzywał jego pomocy przeciw bratu swojemu Gondebaldowi, przyrzekając haracz, skoroby mu koronę przywrócił. Przyjął wezwanie król Franków, a zarazem postanowił zemścić się śmierci ojca Klotyldy, przez Gundebalda zabitego. W pierszéj zaraz walce król Burgundów i orężem Franków i zdradą Godegizylasa znękany, przyrzekł haracz, krajem się z bratem podzielił i synów swoich w religii katolickiéj wychowywać polecił. Wnet atoli wznowiła się wojna z przyczyny zabicia Godegizylasa, i jedynie za wtrąceniem się Teodoryka króla Ostgotów, Klowis poprzestał na haraczu.

Takie powodzenie oręża Klodowika wielkie sprawiło wrażenie na umyśle Alaryka II króla Westgotów, posłał więc do niego z oświadczeniem: »Jeżeliby to zgodne było z wolą brata mojego, życzyłbym się z nim widzieć i porozumieć.« W sku-

tek tego obadwa królowie zjechali się na wyspie Ligiery, naprzeciw Amboise i pokój między sobą zawarli.

Nie długo trwała zgoda; duchowieństwo południowéj Gallii nie ukrywało przychylności swojéj dla króla Franków: prześladowania biskupów ztąd wynikłe posłużyły za pozór do rozpoczęcia wojny (507 r.). Król zwoławszy swoich, odezwał się do nich: »Nie podoba mi się, że ci aryanie najpiękniejszą część Gallii posiadają, uderzmy na nich przy pomocy Boskiéj i wypędźmy ich; zagarnijmy ich ziemię pod naszę władzę; uczynimy dobrze, bo ta ziemia jest wyborną.«

Nie tylko że w wojnie téj żadnéj prawie nie doznał zawady Klodowik, ale nadto zdawało się, że ręka niewidzialna kierowała kroki jego; zapewne królowi nie tajno było zkąd mu tak ważna pomoc przychodzi, dla tego jak najsurowiéj zabraniał rabunku w dobrach duchownych, a osobliwie w okolicy Poitiers.

Żołnierz jeden zabrał siano w okolicy miasta Tours, grobem Ś. Marcina zaszczyconego, Klodowik ugodził go szablą, mówiąc: »W kimże będzie nadzieja zwycięztwa, jeśli obrazimy Ś. Marcina?« Alaryk oczekiwał z wojskiem przybycia Franków w bliskości Poitiers, tam przyszło do bitwy. W zamieszaniu spotkali się obadwa królowie; Klodowik zrzucił z konia Alaryka i dzirytem piersi mu przeszył. Odtąd zwycięzka Franków armia na dwie rozdzieliła się kolumny, jedna pod wodzą samego króla posunęła się bez oporu aż do Bordeaux; drugiéj przywodził Teodoryk równie szczęśliwie jak sam król, póki się Ostgotowie nie wmieszali do walki. Teodoryk W. król włoski, teść Alaryka II, stanął w obronie syna jego a swojego wnuka, i zmusił Franków do ustąpienia mu téj części Gallii, która niegdyś prowincyą rzymską stanowiła; a teraz pod imieniem Septymanii jedyną Westgotów posiadłością została.

Zbyt potężny był król Ostgotów, aby się z nim miał w wojnę wdawać Klodowik, dla tego wszelkie widoki zdobyczy w południowéj Gallii do szczęśliwszéj trzeba było odłożyć pory. Lecz i tak dosyć los sprzyjał i zabiegom i orężowi króla Franków, zjednoczył on pod swojém berłem całą Gallią, z wyjątkiem krainy Burgundów i wyżéj namienionéj Septymanii. Grzegorz Turoneński mówi: »Bóg wydawał mu w ręce nieprzyjaciół jego i przymnażał mu władzy, dla tego że szczerém sercem postępował przed obliczem jego i czynił, co mu było przyjemne.« Wyrażenie to dziwnie odbija od naiwnego opisu postępowania Klodowika, który się poniżéj w dziełach jego znajduje: »Klodowik wysłał potajemnie, są wyrazy Grzegorza z Tours, do syna króla kolońskiego, Siegberta kulawego, i kazał mu powiedzieć: Twój ojciec starzeje się i kuleje na nogę; gdyby umarł pozyskałbyś jego królestwo wraz z moją przyjaźnią....« Chloderyk w nadziei osiągnięcia królestwa, wysłał zbrodniarzy na zamordowanie swojego ojca... Klodowik kazał mu powiedzieć: »Dziękuję ci za twoje dobre chęci, proszę cię pokaż moim posłom twoje skarby, poczém wszystkie będą twoją własnością.« Chloderyk rzekł do posłańców: »oto kufer w który

ojciec składał złoto.» Ci zaś odpowiedzieli, »sięgnij ręką aż do dna, żeby namacać wszystko.» Co gdy on zrobił, jeden z posłów podniósł topor i rozciął mu głowę. Klodowik dowiedziawszy się o śmierci Sigberta i syna jego, przybył do Kolonii zwołał lud i rzekł: »Nie mam żadnego udziału w tych wypadkach, gdyż nie mogłem rozlewać krwi moich krewnych: bo to się nie godzi. Lecz że się już stało, otóż wam dam radę, jeżeli się wam podoba, połączcie się ze mną i oddajcie się pod moję opiekę.» Lud przyjął tę radę wśród okrzyków i szczęku puklerzy i uznał go królem swoim. Poszedł potém przeciw Chararikowi... wziął go w niewolę wraz z synem i kazał ich postrzydz (*). Gdy Chararik płakał, syn jego rzekł: »na zielonéj gałęzi obcięte są te liście, wypuszczą one na nowo i zazielenieją nie długo. Dałby Bóg aby tak prędko zginął ten który to zrobił!» Dowiedziawszy się o tém Klodowik kazał obudwom głowy poucinać. Po ich śmierci zagarnął ich władzę i skarby. Ragnaker był podówczas królem w Cambrai.... Klodowik kazał narobić naramienników i innych ozdób z miedzi grubo pozłacanéj, porozdawał je lennikom (leudom) Ragnakera, podżegając ich do buntu.... Ragnaker został pobity i do niewoli wraz z synem Rykerem pojmany... Klodowik rzekł do Ragnakera: »dla czegożeś zrobił taką hańbę naszéj familii, pozwoliwszy się ująć w pęta, lepiéj było śmierć ponieść,» i podnosząc swój topór utopił go w głowie jego. Potém obracając się do Rykera, »gdybyś był wspierał szczerze ojca twojego, nie byłby się dostał do niewoli» i podobnież ugodził go siekierą. Rignomer zabity został w Mons za jego rozkazem. Podobnymże sposobem uprzątnął wielu innych królów, a swoich krewnych.»

Z tych wyrazów Grzegorza Turoneńskiego, równie jak z podań innych dziejopisów, łatwo sobie utworzyć wyobrażenie o królach owoczesnych. Bez wątpienia tytułem tym zdobiono naczelników oddziałów zbrojnych, w czasie pokoju między sobą

(*) Długie włosy godności xiążęcéj były oznaką, postrzyżyny więc na jeńcach dokonane pozbawienie dostojeństwa xiążęcego oznaczały.

niezawisłych, na wojnę zaś łączących się wraz ze swojemi towarzyszami pod zwierzchnictwo najwaleczniejszego. Franków acz nieliczna banda, mnóstwo przecież takich królów miała, których Klodowik uprzątnąwszy, pierwszy dał przykład zjednoczenia wojska i państwa. Anastazy cesarz wschodni, utrzymujący cień zwierzchnictwa nad zachodem, choć bez żadnéj nad nim władzy, uprawnił poniekąd zdobycze Klodowika przesyłając mu ozdoby patrycyusza i konsula rzymskiego. Barbarzyńcy nie uznawali władzy cesarzów, sam atoli tytuł był u nich poważny, godności od nich pozyskane szanowali, być może iż im większe znaczenie i u podbitych ludów i u swoich jednały. Dla tego téż i Klodowik ustroiwszy się czém prędzéj w ozdoby nadanéj mu godności, przejeżdżał ulice miasta Tours w tryumfalnym orszaku, pełnemi rękami sypiąc pieniądze ludowi.

Jakkolwiek charakter Klodowika srogim się wydaje w krokach do zjednoczenia władzy dążących, więcéj to wszakże może być skutkiem barbarzyństwa wieku, w którym żył, aniżeli osobistego usposobienia. Z drugiéj bowiem strony zawdzięczając duchowieństwu jego ważne przysługi, nadał mu, dość ważne, a na owe czasy nader zbawienne przywileje i sam je szanował. Rozdarował ogromne dobra kościołom, a największe katedrze w Reims, któréj biskupa Ś. Remigiusza więcéj nad innych poważał, i radą się jego chętnie powodował. Było to ważne dobrodziejstwo dla kraju, włości w ręku duchownych zostające, już tém samém zabezpieczone były od gwałtów i barbarzyństwa. Klodowik bowiem przyznał kościołowi nieograniczone prawo schronienia i opieki. W epoce, w któréj prawo bezsilne nie zabezpieczało osób, zbawienną była opieka w ręku stanu poważanego. Nie wolno było wydobywać z kościoła niewolnika nawet, skoro się do niego schronić potrafił. Domy kapłanów, równie jak kościoły były nietykalném schronieniem. Dość było że biskup pod przysięgą zażądał uwięzionego, a natychmiast mu go wydawano.

ROZDZIAŁ III.

GALLIA PODZIELONA POD SYNAMI KLODOWIKA I ICH NASTĘPCAMI.

Ze śmiercią Klodowika (511 r.) czteréj jego synowie od razu ujrzeli się królami; podzielili oni między siebie Gallią, albo raczéj wojsko wraz z miastami po których rozłożone było. Dla tego dziwaczne i nierówne były działy, bez wpływu na osobiste każdego znaczenie, bo to jedynie na dzielności oręża polegało. Najstarszy z synów Teodoryk (Thierry), otrzymał część wschodnią Gallii, Ostrazyą zwaną: do składu jéj należała Lotaryngia, Alsacya, Luxemburg, część Szampanii, i po za Renem cały pas kraju, dokąd tylko sięgały osady Franków. Nadto przekazał mu Klodowik zdobyte na Westgotach pogranicze Septymanii, to jest: Owernią, Quercy, Albigeois. Stolicą Ostrazyi był Metz. Klodomir otrzymał królestwo orleańskie, złożone z krajów Beauce, Maine, Anjou, Touraine, i Berry. Childeberta działem został Paryż, to jest Isle-de-France, Normandya i część Szampanii, wraz z prawem zwierzchnictwa nad Bretanią. Na Klotara przypadło królestwo Soissons do którego składu należała Flandrya, Pikardya i Artois. W dodatku do działów trzech braci należały jeszcze miasta Akwitanii.

Teodoryk przed chrztem jeszcze Klodowika zrodzony, sam jeden zdolny był do działania, bracia bowiem jego, synowie Klotyldy, byli zanadto młodzi. Wkrótce napaść Duńczyków otworzyła pole sławy wnukowi Klodowika, piętnastoletniemu synowi Teodoryka, Theodebertowi. Ubił on sam naczelnika hordy najezdników i z ogromną zdobyczą wraz z tłumem niewolników wrócił do Metz. Był to świetny wstęp do późniejszych jego zwycięztw, przez które stał się godnym spółzawodnikiem Klodowika, i rzeczywistym naczelnikiem Franków wśród mnóstwa podrzędnych królów.

Dorośli téż i synowie Klotyldy, a wtedy owdowiała królowa, pomna krzywd jéj rodzinie wyrządzonych przez Gondobalda

króla Burgundów, odezwała się do nich: »Proszę was, najmilsze dzieci, starajcież się abym nie miała powodu żałować, żem was tak troskliwie wychowywała. Przyrzeczcie mi, że czując krzywdę mi wyrządzoną, starać się będziecie usilnie pomścić śmierci ojca mojego i matki.« Zdawało się, że Burgundya nie tak będzie łatwą do zdobycia, jak za czasów Klodowika: bo młody jéj król Ś. Zygmunt był katolikiem, wychowańcem Ś. Awita, i bardzo lubionym od duchowieństwa. Mimo to Klodomir podjął się spełnienia życzeń matki i aż nadto dobrze je wykonał. Złupił Burgundyą (r. 523), króla Zygmunta wraz z małżonką i dwoma synami pojmał, i niby z obawy, żeby mu z więzów nie uszli, wszystkich życia pozbawił i ciała w studnią niedaleko Orleanu powrzucać rozkazał.

Ta srogość nie uszła bezkarnie Klodomirowi; w powtórnéj wyprawie poraził Burgundów, lecz zbytnim uniesiony zapałem ścigając uchodzących, nagle obskoczony zabity został, a dwaj małoletni jego synowie pod opiekę babki przeszli, których stryjowie Childebert i Klotar podstępnie w ręce swoje dostawszy, życia pozbawili, by im nie przyszło ustępować działu, jaki na nich przypadł po śmierci Klodomira.

Teodoryk tymczasem nie mający żadnego udziału w wyprawie Burgundzkiéj, a nie mogący pozostać bezczynnym wśród wrzawy wojennéj, by go towarzysze broni nie opuścili, jak się to dziać zwykło, rzekł do swoich: »Ja was poprowadzę do kraju, w którym znajdziecie tyle złota i srebra, ile tylko sobie życzyć będziecie, gdzie liczne zdobędziecie trzody, mnóstwo jeńców i podostatkiem odzienia.« I powiódł ich do Owernii, która do działu jego należąc, ani haraczu składać, ani władzy jego ulegać nie chciała. W istocie ta część Galli uszła była losem ogólnéj pożogi. Holdowała Gotom, a następnie Frankom, ale własny rząd zachowała. Apollinarowie, dawni naczelnicy pokoleń Arwernskich, widzieli grożące im niebezpieństwo, lecz ujść go nie mogli, duchowieństwo bowiem sprzyjało Frankom.

Wśród tych wypadków Teodoryk W. król włoski zszedł z tego świata (526), Frankowie ujrzeli się wyzwoleni od wroga,

który ich jedynie trzymał na wodzy. Zmieniła się postać rzeczy, znikło śmiałe mieszanie się Ostgotów w sprawy Gallii, a natomiast Frankowie dumniéj jeszcze plątać się poczęli do zawichrzeń włoskich. Cała polityka bizantyńskich władzców polegała na ścieraniu barbarzyńskich Gotów rzymską cywilizacyą ogładzonych, przez takichże barbarzyńców, ale nieokrzesanych. Maurowie, Słowianie i Hunnowie pod wodzą Belizara i Narsesa odnosili zwycięztwa na korzyść cesarzów wschodu. W rozsterkach po śmierci Teodoryka zarówno Gotowie jak i Grecy w pomocy Franków ufność swoję pokładali.

Szybkie podboje Klodowika, których przyczyna ukryta była przed światem, rozgłosiły sławę oręża Franków; chciwe zdobyczy pokolenia pragnęły wiązać się z naczelnikiem przy którym była nadzieja łatwego zwycięztwa. W każdéj epoce i w każdym narodzie żołnierz sprzyja wodzowi który się zaleca względami fortuny. Germanowie, najzawistniejsze Gallów wrogi, Swewowie z południa i Saxonowie z północy, chętnie się do przyjaźni Franków garnęli. Nie trudno przeto było Teudebertowi zebrać sto tysięcy wojowników, z któremi ruszył do Włoch.

Na pierwszym wstępie Gotowie wyciągają do nich ręce, jako do przyjaciół i sprzymierzeńców, lecz z nienacka napadnieni, w pień wycięci zostali. Tu dopiero nabrali otuchy greckich cesarzów wojownicy, sądząc że im posiłki wiodą Frankowie, lecz i oni podobnegoż doznają losu. Wtedy Frankowie bez oporu burzą Włochy północne, palą, niszczą, zabijają i własném barbarzyństwem się gubią. Wśród pustyń przez siebie zdziałanych część ginie z głodu, część okropnym ulega chorobom na bagnistych brzegach Padu, reszta wraca obładowana bogatym łupem, i chciwych zdobyczy do nowege najazdu podżega. Ten wkrótce nastąpił. Liczna horda pod wodzą jednego naczelnika Franków, a drugiego Swewów, splondrowała całe Włochy aż do sycylijskiéj ciaśniny, zniszczyła więcéj niż skorzystała, gdyż i dla nich zgubnym się stał włoski klimat.

Wkrótce potém umarł Teudebert w chwili gdy roił plany napaści na cesarstwo wschodu, choć Justynian był jego sprzy-

mierzeńcem i ustąpił mu praw do Gallii południowéj. Śmierć Teudeberta, nieszczęsne do Włoch wyprawy, położyły kres postępowi oręża Franków. Włochy zajęte niedługo potém przez Lombardów wstrzymały ich napady; wyprawy do Hiszpanii były zawsze niepomyślne, Saxonowie odstąpili niekorzystnego przymierza. Tu jest właśnie pierwszy zaród owéj zawiści między Frankami i Saxonami, która z każdym dniem wzrastając podżegała walkę między temi ludami przez tyle wieków trwającą. Saxonowie od wschodu parci przez Słowian, od zachodu we Frankach niezłomną mając tamę, rzucili się ku północy w stronę wybrzeżów oceanu, niepokoili nadmorskie krainy Gallii, wreszcie usadowili się w Anglii.

W naturalnym rzeczy porządku, Germanowie musieli zostać nieprzyjaciołmi ludu, który przeszedł pod wpływ rzymski, pod władzę kościoła. Klodowik szybkie zdobycze winien był po większéj części kościołowi, następcy jego wcześnie bardzo powodowali się radami rzymskiemi, to jest radami zwyciężonych. I nie mogło być inaczéj, bo oni jedynie mogli wrazić władzcom swoim jakie takie wyobrażenia porządku i administracyi, oni w miejsce wybryków przemocy, mogli postawić rząd na stalszych oparty zasadach, oni wreszcie królestwo barbarzyńskie wymodelowali na wzór monarchii cesarskiéj.

Rozległa monarchia Teodeberta wzdłuż brzegów Dunaju granic cesarstwa wschodniego niemal ścięgająca, dostała się jedynemu synowi jego Teodebaldowi, niedołężnemu, sparaliżowanemu dziecku, niezdolnemu utrzymać berła, a tém mniéj jeszcze odziedziczonéj sławy ojca. Dla tego też cała świetność Franków w jednéj chwili zgasła. Upadku tego nie przeżył Teodebald, umarł bezpotomnie (553,) a dział jego prawie cały zagarnął Klotar. Zawistnym okiem spoglądał na to Childebert, a zbyt słaby do otwartéj zemsty, podstępnych czepił się środków. Cichaczem pobudził do buntu Chramna najstarszego syna Klotara.

Król paryzki zajęty był właśnie wojną z Saxonami, gdy Chramn w Poitiers podburzywszy ludność westgocką zamierzył ogłosić się królem Akwitanii. Childebert oświadczył się za

stroną Chramna, który nadto zyskał dzielnego sprzymierzeńca w osobie Bretończyka Canao, królem się mianującego. Aremoryka uznała wprawdzie zwierzchnictwo Klodowika, lecz ciągle rząd własny zachowała, nie troszcząc się bynajmniéj o Franków. W téj chwili właśnie podboje Saxonów znagliły znakomitą liczbę Bretonów do przeniesienia się na wybrzeża aremoryckie, którym imię swoje nadali. To ozuchwaliło tém bardziéj Aremorykanów, i Canao z radością przyjął buntowniczego syna Klotara. Wkrótce z potężném wojskiem nadciągnął Klotar, Canao poległ w boju, a Chramn w ucieczce ociągając się za przybyciem żony wpadł w ręce Franków. Z rozkazu ojca zamknięty w chatce, nad brzegiem morskim spalony został

wraz z żoną i dwiema córkami, z których starsza miała lat trzy. W ciągu tych wypadków umarł Childebert zostawiwszy dwie córki, według zwyczajów Franków salickich, nie mających prawa do tronu. Tym sposobem Klotar pod berłem swojém znowu ujrzał zjednoczoną Gallią (558–561).

Pozostali po nim cztérej synowie rzucili losy o działy ojcow-

skiego spadku. Sigebertowi los przeznaczył Ostrazyą, ze stolicą Metz. Sąsiad germańskich pokoleń otrzymał znaczne kraju obszary po za Renem w Germanii, wraz z przymierzem wielu germańskich naczelników. Tym sposobem potężniejszy od braci, zdawał się być przeznaczonym do owładnięcia ich działów. Chilperyk otrzymał Soissons, czyli kraj w kronikach owczesnych Neustryą zwany. Gontran dostał Burgundyą i osiadł w Châlons-sur-Saone. Nakoniec dzielnicą dziwaczną Chariberta było królestwo paryzkie i Akwitania.

Tak poplątane między sobą dzielnice musiały koniecznie spowodować starcie się interesów ludzi dzikich i wojną jedynie oddychających. Po większéj atoli części złe i dobre przypisać należy ministrom z rodu Gallów, Gotów lub Rzymian, pod których wpływem rządzili ci książęta. Z tych szczególniéj odznaczył się i blaskiem sławy otoczył tron króla Burgundzkiego niejaki Mummol. Zaledwie dwa lata upłynęły jak Alboin wydarłszy Ostgotom północne Włochy utwierdził w nich królestwo Lombardów, gdy nowi przybysze przedarli się przez Alpy dla złupienia Gallii. Mummol na czele wojsk burgundzkich postawiony wstrzymuje napaść, zabrane łupy odbiera, i większą część najezdników w pień wycina. Ta klęska zażegła zemstę w Lombardach; wtargnęli na nowo do Burgundyi, powtórnie pobici pod Lugdunem. Trzeci i ostatni napad Lombardów równie szczęśliwie odparł Mummol, odebrawszy im na zawsze chętkę napastowania Burgundyi.

Sigebert musiał walczyć z Awarami; w pierwszéj napaści dostał się w ich ręce, wydobył się z nich przebiegłością swoją, a w powtórnéj wyprawie pobił i przymierze zawarł. Z tak przykrego położenia korzystając Chilperyk król Neustryi opanował Reims i część Szampanii z dzielnicy króla Ostrazyi. Tu się zaczynają zatargi między bracią i krwawe walki, nad któremi żale swoje rozwodzi Grzegorz Turoneński. Występują dwie kobiety, których imiona głośniejsze i ludowi znajomsze od nazwisk samych królów.

Ani chrześciaństwo, ani ogłada rzymska nie zdołała przekształcić grubych obyczajów Franków. Klotar I miał kilka żon, między

niemi dwie siostry nizkiego rodu. Charibert król paryzki wstępując w ślady ojca pojął naprzód Merofledę. Gontran miał nałożnicę, Chilperyk król Neustryi ujęty został wdziękami i przebiegłością Fredegondy służącéj swojéj małżonki. Jeden tylko Sigebert pozostał wierny prawom religii i pojął za żonę młodszą córkę króla Westgotów hiszpańskich, słynną z piękności i należytego ukształcenia Brunegildę. Za tym przykładem poszedł Chilperyk, odstąpił swoich miłostków i pojął starszą siostrę Bruneglidy, Galswintę.

Wzgardzona Fredegonda pozostała przecież w pałacu królewskim i wkrótce potrafiła odzyskać władzę nad umysłem słabego króla. W kilka miesięcy znaleziono Galswintę nieżywą w łóżku, a król pojął Fredegondę (565). Odtąd zaczyna się pasmo wojen domowych i rozlicznych morderstw. Brunegilda postanowiła zemścić się śmierci siostry i pobudziła męża swojego do wojny przeciw Chilperykowi, nakłoniwszy króla burgundzkiego do spółdziałania. Uciśniony król Neustryi potrafił złagodzić króla Gontrana i okupił pokój ustąpieniem Brunegildzie otrzymanych w posagu włości na podgórzu pirenejskiém. Było to wszakże chwilowe tylko zawieszenie broni, bo ani zemsta Brunegildy nie zaspokojona, ani Chilperyk strawić nie mógł swojego upokorzenia. Korzystając z zatargów Sigeberta z Gontranem najechał dzielnicę Ostrazyi, zajął Tours i Poitiers. Rozdrażniony Sigebert przyzwał posiłki ludów germańskich z po za Renu i okropnym sposobem spustoszył Neustryą. Upokorzył się jeszcze raz Chilperyk, by w zdarzonéj sposobności na nowo wejść w szranki. Jakoż w roku następnym łącznie z Gontramem napada Sigeberta. Już Chilperyk zdawał się być zgubionym; wszyscy prawie lennicy uznali Sigeberta swoim panem, lecz w chwili gdy go królem swoim ogłosić mieli, dwaj przez Fredegondę najęci zbrodniarze pośród tłumu ludu życie mu odebrali. Brunegilda dostała się w ręce niemniéj mściwéj Fredegondy wraz z dziećmi swojemi, i zamknięta w Rouen wystawiona była na srogie udręczenia pod ręką swojéj nieprzyjaciółki. Potrafiła jednak wzbudzić miłość w sercu Meroweusza syna Chilperyka, który ją pojął za żonę. Rozerwał to małżeń-

stwo Chilperyk, a Fredegonda zawzięta żal swój z wyzwolenia Brunegildy śmiercią Meroweusza ukoiła, dodawszy do tego zabójstwo biskupa który téj parze błogosławił. Wkrótce zginął z ręki królowéj drugi syn Chilperyka, obadwa z Odowery spłodzeni, za niemi poszedł i Chilperyk zamordowany na polowaniu (584). Podanie ludu w powiastkach zachowane niesie, że Chilperyk wychodząc na polowanie wstąpił do pokoju Fredegondy, która się właśnie wówczas umywała. Chilperyk cicho postąpiwszy naprzód, dla żartów trącił ją z tyłu laseczką, którą

miał w ręku. Fredegonda sądząc że to był Langry jéj kochanek, stosownie do tego odezwała się, a obróciwszy się nagle ujrzała męża, który dziko spojrzawszy odszedł słowa nie mówiąc. Zrozumiała to milczenie Fredegonda i nie zostawiła Chilperykowi czasu do zemsty.

Wdowa Chilperyka całą nadzieję pokładała w Gontranie królu burgundzkim: lękała się ona zemsty Brunegildy, która wydobywszy się z rąk jéj, powróciła do Ostrazyi. W rzeczy saméj Gontran dobroduszny, najłagodniejszym był może ze wszystkich Morowingów. Oddany zabawom, zdawał się być szczególniéj ogładzonym przez obcowanie z duchownemi, i południowemi Rzymianami. Przyjął on Fredegondę wraz z jéj

czteromiesięcznym synem i zabezpieczył przed srogością Childeberta króla Ostrazyi. Wszyscy panowie Neustryi i Burgundyi, całe duchowieństwo tych krajów, uważało Gontrana jako tarczę Gallii przed barbarzyństwem Ostrazyan. Akwitanie w mniemaniu, iż korzystać potrafią ze starcia się Burgundów z Ostrazyą, chwycili się strony niejakiego Gondowalda, pragnąc go mieć udzielnym królem. Ten Gondowald mienił się synem Klotara i w tym charakterze rościł prawo do działu dziedziny ojcowskiéj. Postrzyżony przez Sigeberta, uszedł do Włoch do Narsesa a ztamtąd dostał się do Konstantynopola. Gontran-Boson namówił go do powrotu do Gallii, obiecując łatwe osiągnięcie korony. Mummol sławny wódz Gontrana, biskup marsylski i znaczna liczba panów południowéj Gallii związała się z Gondovaldem. Był to słaby początek, pierwsza niejako próba wybicia się możnowładzców z pod zwierzchnictwa królów. Gontran uderzony szybkim postępem Gondowalda pogodził się z Childebertem królem Ostrazyi, czém przerażeni Akwitanie z równą skwapliwością odstępowali pretendenta, z jaką piérwéj go wspierali. Możni jedni za drugimi opuszczali Gondowalda: Gontran-Boson zabrawszy skarby jego wrócił cichaczem do Gontrana, Mummol i inni, którzy wraz z nim zamknęli się w twierdzy niedostępnéj Comminges, sądząc że się zdradą od zdrady wykupią, wydali Gondowalda wojsku Gontrana. Zginął pretendent, zginęło mnóstwo z jego stronników, resztę śmierć Gontrana ocaliła.

Wkrótce umarła i Fredegonda, w końcu życia udręczona od podejrzliwego Gontrana, władza królewska podzielona znowu między małoletnich dwóch synów Childeberta, to jest Teudeberta II, Teodoryka II i również małoletniego Klotara II syna Chilperyka. Brunegilda, już ku schyłkowi Childeberta syna swojego więcéj wpływu do rządów mająca, zdawała się samowładnie rządzić w imieniu wnuka swojego Teudeberta. By ustalić wpływy swoje, zabawami otaczała wnuka, nurzała go w zbytkach i rozkoszach. Na złe jéj to wyszło, bo niedołężny Teudebert uległ wdziękom niewolnicy, która pozbyła się wnet Brunegildy. Ta schroniła się do Teodoryka drugiego wnuka króla

Burgundów i potrafiła sobie takie wpływy wyjednać. że na jéj skinienie marszałkowie pałacowi (maires de palais) pozyskiwali i tracili godność swoję.

Tymczasem wrzały niezgody między Ostrazyanami a Burgundami, między bracią Childeberta. Teodoryk zebrawszy liczne wojsko do poskromienia ciągłych napaści ostrazyjskich wyprawił się przeciw Teudebertowi. Starły się obadwa wojska pod Toul, Teudebert pokonany cofał się do Kolonii. Na równinach Tolbiaku przyszło do nowéj walki: obiedwie strony dały dowody największéj zaciętości, zwycięztwo jednak i tu przechyliło się na stronę Teodoryka. Teudebert w ucieczce za Renem już dościgniony przywiedziony został Teodorykowi,

który go w więzach odesłał do Châlons. Tam na rozkaz Brunegildy miał być na kapłana poświęcony, nie długo jednak życie utracił wraz z synem dziecięciem.

Ostrazya połączona z Burgundyą pod rządem Teodoryka albo raczéj Brunegildy, zdawała się widoczną zgubą zagrażać Neustryi. Śmierć Teodoryka nie zmieniłaby bynajmniéj tego stanu gdyby pozostali po nim synowie zgodni byli w działaniu. Kłótnie ich, jawna niechęć duchowieństwa ku Brunegildzie zba-

wiła Neustryą. Już też przebrana miara intryg pozbawiła Brunegildę wszelkich wpływów. Możni ostrazyjscy nie cierpieli jéj, jako powinowatą Gotów i Rzymian, co wówczas za jednoż brano, duchowieństwo i lud ze wstrętem wspominali jéj imię, jedyną jéj ucieczką było przymierze z ludami germańskiemi, którém stale dotąd gardziła; teraz udała się do Worms żebrząc pomocy lenników germańskich. Opuściła ją wszakże fortuna, zdradzona przez Warnakera, swojego marszałka pałacowego, schroniła się do Burgundyi i na czele dość licznéj armii postępowała przeciw Klotarowi. Obadwa wojska stanęły naprzeciw siebie nad brzegami rzeki Aisne, lecz w chwili rozpoczęcia walki Burgundczycy zwrócili się nie wyciągnąwszy oręża i Brunegildę wraz z czterema jéj wnukami zostawili na łasce Klotara (613).

Król Neustryi nie mało miał powodów do zemsty nad Brunegildą, ztém wszystkiém nie miał on udziału w haniebném morderderstwie dokonaném przez lenników jéj; a oprzéć się wzrastającéj możnych panów niesforności przechodziło siły jego, chcąc nie chcąc musiał na wszystko przez szpary patrzyć, i usłużnych lenników sowicie wynagrodzić. Warnaker został dożywotnim marszałkiem pałacowym w Burgundyi, a Radon takimże w Ostrazyi; obadwa z władzą prawie równą królewskiéj, ulegając jedynie według własnego widzi mi się rozkazom wydawanym z Clichy, rezydencyi króla Neustryi.

Intrygi krwawe, podżeganie wojen domowych, nie pohamowana żądza panowania, nie tyle zraziły umysły przeciw Brunegildzie, ile oburzało dążenie do przywrócenia rzymskiéj administracyi. System skarbowy, formy sądowe, przewaga chytrości nad siłą, oburzały cały świat przeciw dawnym rządom rzymskim. Brunegilda córka królów gotskich, w ich ślady wstępując pragnęła podźwignąć upadłe cesarstwo. Założyła znakomitą liczbę kościołów, wzniosła mnóstwo klasztorów, a klasztory podówczas trudniły się nauką młodzieży; wspierała missye papiezkie do Anglosaxonów w wielkiéj Brytannii. Taki użytek wyciśnionych od ludu podatków nie był bez sławy i

korzyści. Wielkie też wrażenie wycisnęło na umysłach ludu długie panowanie Brunegildy, tak dalece, że pamiątce sławnéj Ostrazyjan królowéj lud poświęcił nie jeden pomnik, z zabytków rzymskich pozostały. Kawały dróg rzymskich tu i owdzie w Belgii i północnéj Francyi pojawiające się, nazwano drogami Brunegildy. W blizkości Bourges długo bardzo pokazywano pałac Brunegildy; w Etampes wieżę Brunegildy; tuż przy Tournay kamień Brunegildy; w Cahors zamek Brunegildy.

W pierwszym roku po zwycięztwie Klotara nad Brunegildą (614) nastąpiło zebranie się biskupów i świeckich panów w Paryżu, na którém ułożono *Ustawę wieczystą* (costitution perpetuelle). Siedmiudziesiąt dziewięciu biskupów miało udział w tém zgromadzeniu. Główne punkta ustawy były: Niewolno sędziemu potępiać nie wysłuchawszy, nie tylko wolnego człowieka, ale nawet niewolnika. Wichrzyciel pokoju publicznego ma być śmiercią karany. Lennicy wracają do dóbr utraconych w czasie zaburzeń domowych. Biskupi są jedynemi sędziami duchownych. Wybór biskupów należy do ludu. Podatki ustanowione przez Chilperyka i jego braci zniesione, na czém najwięcéj zyskali biskupi, posiadając najobszerniejsze włości. Za Klotara II przeto zaczyna się panowanie kościoła, utwierdzone od Karlowingów.

Nie długo zmierzili sobie Ostrazyanie zjednoczenie z Neustryą, co spowodowało Klotara, iż w cztéry lata po objęciu władzy nad Ostrazyą (617) znowu podzielił kraj, i Dagoberta syna swojego królem Ostrazyi mianował. Piętnastoletniego monarchę poddał pod opiekę Arnulpha, arcybiskupa w Metz i Pepina brata jego, marszałka Ostrazyi. Zaraz wszakże po śmierci ojca obadwa doradzcy ustąpili z miejsca, które zajęli Neustryjczykowie i Rzymianie. Dagobert spokojny, lubieżny, budował tylko klasztory i kazał wyrabiać kościelne ozdoby. Sekretarze jego pisali prawa dla barbarzyńców, wtedy właśnie gdy się prawa zacierały. Wszedł on w stosunki przyjazne z Herakliuszem cesarzem wschodu, wdawał się w sprawy Lombardów i Westgotów, a tak upadek Franków otoczył jeszcze pewnym blaskiem sławy.

Nie trudno zaiste dostrzedz, że pod osłoną potęgi kryła się rzeczywista słabość. Za życia Klotara Ostrazya odzyskała wydarte jéj prowincye, domagała się osóbnego króla, Dagobert nim został. Gdy zaś po śmierci ojca Dagobert zagarnął Neustryą, Ostrazya znowu żądała króla oddzielnego i otrzymała go w osobie Sigeberta. Klotar II za summę na raz jeden wypłaconą ustąpił haraczLombardom. Saxonowie pobici na głowę przez Franków, nie chcą iednak Dagobertowi oddawać pięciuset krów w haraczu. Wendowie wyzwoleni z pod władzy Awarów przez kupca Franków Samona, łupią kupców i słuchać nie chcą przedstawień Dagoberta. Mówią że posłaniec króla Franków uniesiony gniewem w obliczu Samona króla Wendów odezwał się: »Jakaż może zachodzić przyjaźń między Frankami sługami Boga jednego, a wami psami pogańskiemi?«

»Ponieważ jesteśmy psami, odrzekł Samon, otóż pokażemy wam, że umiemy kąsać.«

Trzy potężne wojska Dagoberta uśmierzyć Wendów niezdołały. Awarowie wypędzeni z siedlisk swoich, przemocą zajmują siedzibę w Bawaryi, a Dagobert podstępem tylko nieproszonych pozbył się gości.

Rzeczywistym monarchą podówczas był kościół. Silny, cierpliwy, przemyślny, skrępował nową społeczność i wskróś ją przeniknął. Wzrosł on po miastach, lecz wnet pojął, że nie wszystko mogło być miastem, ani wszystko zależało od miasta, zwrócił więc baczność swoję na wioski. Opieka jego rozciągniętą została nad wszystkiemi, był schronieniem, przytułkiem zwyciężonych, znękanych, niewolników nawet; był przytułkiem możnych. Niewolnicy wznosili się do godności kapłaństwa, synowie królów, książąt, zniżali się do stopnia biskupów, a tak możni i ubodzy, wysokiego i nizkiego rodu ludzie spotykali się razem u stopni ołtarza Jezusa Chrystusa. Ogromne dobra bogaciły biskupów, i tak być musiało koniecznie; biskupi musieli być zamożnemi aby głos ich znajdował powagę u wielkich panów.

Biskupi południowéj Gallii, zbyt ukształceni, wymowni, mało wpływali na lud. Prawdziwemi patryarchami Francyi są biskupi w Reims i Tours. Ś. Marcin jest wyrocznią barbarzyńców; on jest rękojmią traktatów; u grobu jego w Tours zasięgają rady królowie w najważniejszych sprawach państwa. Chilperik ścigając syna swojego Meroweusza; gdy ten schronił się do bazyliki Ś. Marcina, a biskup Grzegorz Turoneński wydać go nie chciał, składa na grobie świętego list wraz z białym papierem, prosząc o pozwolenie wydobycia winowajcy. Papier został biały, Meroweusz na ten raz ocalał.

Obszerne darowizny królów stanowią uposażenie kościołów, i któżby miał za złe te darowizny, kiedy każdy życzył sobie należéć do kościoła, bo to było pewnym rodzajem wyzwolenia. Dagobert na raz jeden darował opactwu Ś. Dyonizego, (St. Denis) dwadzieścia siedm wiosek, a syn jego założył dwanaście klasztorów i biskupowi w Tongres nadał w lasach ardeńskich grunta, dwanaście mil francuzkich wzdłuż i tyleż w szérz.

Wszystko sprzyjało jednoczeniu się społeczności z kościołem, bo wszystko chroniło się na jego łono macierzyńskie: zarówno Rzymianie jak i barbarzyńcy, wolni i niewolnicy, ludzie wreszcie i włości u niego wszyscy szukali przytułku. Nie było to wszakże bez uszczerbku kościoła. Z dostatkami wciskał się duch światowy. Zgasła świetność szkół klasztornych, zamilkły biskupie szkoły, właściwa duchowność kościoła jedyny przytułek znajdowała u zakonników; byli oni schronieniem kościoła, jak niedawno kościół był schronieniem społeczności. Zakony irlandzkie i szkockie, nieskażone mieszaniną germanizmu, wielki wpływ wywierały na Gallią, co większa, przedsięwzięły reformę duchowieństwa gallijskiego.

W pierwszym wieku chrześciaństwa bretańczyk Pelagiusz rzucił iskrę, która wznieciła pożar na całym zachodzie; późniéj bretańczyk Faustus w téj saméj sferze działający, lecz umiarkowańszy, świetną założył szkołę w Lerins (*); wreszcie Ś. Kolumban, także potomek Celtów, ale irlandczyk, zamierzył przekształcić kościół gallijski. Kimrowie w Bretannii i Wallii, racyonaliści; Gaclowie w Irlandyi, mistycy, w dziejach kościoła jednakoweż przedstawiają cechy, ducha niezawisłości i oppozycyi z Rzymem. Zawsze oni bardziéj zbliżali się do kościoła greckiego i w ciągłych byli związkach z Konstantynopolem i Alexandryą. Głośne były nauką zakony Szkocyi i Irlandyi: najsławniejszy z nich klasztor w Jona, podobnie jak wiele innych na gruzach szkół druidzkich był wzniesiony. Jona miejsce grobów siedmiudziesiąt królów Szkocyi, matka zakonów, wyrocznia zachodu w siódmym i ósmym wieku, w ciągłym była sporze z papieżami.

Za Klotara II i Dagoberta, S. Kolumban założył w Luxeuil klasztor i szkołę, których odrośle wkrótce się po całéj Gallii

(*) Klasztor Lerins na wyspach dziś Ś. Małgorzaty, a dawniéj Lero i Lerina zwanych, miał być założony przez Ś. Honoryusza (375), lecz właściwie głośnym się stał przez Fausta naukę semipelagiańską.

rozkrzewiły. Obok tego mnóstwo powstało zgromadzeń zakonnic, między któremi słynęła Ś. Bertilla, xieni klasztoru w Chelles. Na jéj naukę zbiegały się tłumy uczniów obojga płci z całéj Gallii i W. Brytannii. Lecz kościół irlandzki sprzeczny z Rzymem, sam w sobie niezgodny, brak jedności wcisnął do monarchii, na którą wpływ wywierał.

ROZDZIAŁ IV.

UPADEK MEROWINGÓW.— PRZEWAGA MARSZAŁKÓW PAŁACOWYCH.

Przeszły dni szczęścia i sławy Merowingów, węzły monarchii Franków pękały. Mianowany dla Burgundyi marszałkiem pałacowym Flaochat, za przybyciem na nową posadę z orężem w ręku dobijać się musiał należnéj mu godności, którą sobie przywłaszczył Willibald. W Germanii sprzymierzeńcy i hołdownicy usuwali się z pod władzy chwiejącéj się na własnéj podstawie. Hrabia Turyngii pozostawiony na straży przeciw Wenedom, w czasie wojny z Samonem, ogłosił się niepodległym za Sigeberta III; wyprawa przeciw niemu spełzła na niczém, przez niechęć i tajemne zmowy lenników. Jednakże zawczesna była jeszcze rewolucya, o którą pokusili się Ostrazyjscy panowie. Grimaold odziedziczywszy marszałkostwo pałacu po ojcu swoim Pepinie, probował, czy mu się nie uda syna na tronie osadzić. Król ówczasowy miał lat trzy. Biskup z Poitiers stronnik Grimoalda, potrafił zręcznie usunąć królewskie dziecię i zamknąć je w klasztorze irlandzkim. Mimo to niepowiodły się zabiegi. Przeciwnicy możnowładców pochwycili Grimoalda wraz z synem jego i wydali ich w ręce Klodowika II króla Neustryi, z którego rozkazu obadwa śmiercią ukarani zostali.

Znowu więc trzy Królestwa zjednoczone pod berłem Klodowika II, czyli raczéj pod rządem Erchinoalda marszałka pała-

cowego w Neustryi, który po śmierci Klodowika (656 r.) własną powagą królem mianował Klotara III, jednego z trzech synów zmarłego króla. Ebroin następca Erchinoalda również samowładnie Teodorykowi III najmłodszemu synowi Klodowika II oddał berło Neustryi, sam zaś rządy całéj Franków monarchii zatrzymał.

Ważne tu nastręcza się pytanie, co to byli marszałkowie pałacowi, majores domus, maires du palais, zwani. Jeden ze znakomitych dziejopisów mniema, iż to byli pierwiastkowo urzędnicy ludu, nakształt rzymskich trybunów, dla obrony ludzi ustanowieni, i dla tego najprzód mieli się zwać mord-dom, sędziowie morderstw. Nic łatwiejszego jak tę nazwę przeistoczyć na łacińskie wyrażenie major domus i nadać godność i znaczenie dawnych cesarskich towarzyszów pałacowych (comes palatii). Są niezaprzeczone skazówki historyczne, że możni panowie, w czasie małoletności króla, lub w chwili domowych zawichrzeń, sami wybierali marszałka pałacowego; lecz i to także niewątpliwe, że aż do Dagoberta, nie raz królowie bez zasiągania rady panów na tę godność wywyższali. Nie możnaby więc z pewném prawdopodobieństwem wnioskować, iż pośród tych ludów germańskich, u których poświęcenie się dla swoich królów, lub naczelników pokoleń głęboko zakorzenione było, nabyte wielkie znaczenie u dworu nadawało wielkie znaczenie u ludu; tém samém najbliższy przy boku panującego największym był między lennikami, przewodniczył im na wojnie, rozstrzygał spory, godził zatargi w czasie pokoju. Téj natury i znaczenia urzędnicy łatwo się pokusić mogli o najwyższy tytuł, skoro im się powiodło władzę doń przywiązaną osiągnąć; sposobnéj tylko pory czekać należało.

Ebroin pod tarczą imienia królewskiego targnął się na rzeczy niepodobne; chciał on utwierdzić jedność, wtedy gdy się wszystko rwało; ugruntować władzę królewską wśród ustalającéj się przewagi możnych. Cele nie do osiągnięcia, środki ku temu obrane nie do wykonania. Naprzód: zamierzył wysokie godności poruczać ludziom włości swoje nie w miejscu urzę-

dowania mającym, tym sposobem spodziewał się uczynic ich zawiślejszymi od króla, a razem odjąć sposobność zamieniania godności w dziedzictwo. Powtóre: chciał prawa i zwyczaje ludów do składu monarchii Franków należących, zlać w jedno: zamiar zdał się być tyrańskim i był nim istotnie w owéj epoce.

Takowe zamachy oburzyły Ostrazyan. Pod wpływem Ś. Legera biskupa z Autun powstali przeciw Ebroinowi i znaglili go do nadania im osobnego króla Childeryka II, brata neustryjskiego monarchy, a syna Klodowika II. Mały to jeszcze był tryumf dla Ostrazyan, postąpili oni daléj i połączywszy się z Burgundami ruszyli zbrojno przeciw Ebroinowi, opuszczonemu od Neustryan darowali życie za wstawieniem się Ś. Legera, lecz osadzili go w klasztorze w Luxeuil; króla zaś neustryjskiego Teodoryka III postrzyżonego, wtrącili do celi opactwa Ś. Dyonizego. Korzystając ze zwycięztwa Ostrazyanie i Burgundowie odstrychnęli się bardziéj niż kiedykolwiek od Neustryan. Childeryk chcąc nie chcąc na tron dźwignięty, musiał się poddać woli tych, którzy go wywyższyli. Skasował postanowienia Ebroina, dawne prawa i zwyczaje przywrócił, a hrabiowie i rządcy prowincyj zabezpieczyli sobie dożywocie na swoich posadach. Tu już przeziera duch feodalny, rozpoczyna się panowanie zwyczajów miejscowych, lennicy utwierdzają się w swoich lennictwach.

Zaledwie Childeryk odetchnął powietrzem w Clichy, wnet przybrał nieprzyjazną postawę względem możnych panów. Ś. Leger biskup, słusznie czy niesłusznie obwiniony o spisek, spotkał się z Ebroinem za kratą zakonną w Luxeuil. Bodilon, jeden ze znakomitszych panów chłostą ukarany, z niewiadomego nam powodu. Takowe postępowanie oburzyło i Franków i Burgundów. Bodilon znalazł stronników i Childeryk II w przejeździe przez las Luconie (Bondy), padł pod morderczym jego sztyletem, wraz z żoną w ciąży będącą i małym synkiem; drugi syn szczęśliwie uszedł ciosu. Okropne powstało w kraju zamieszanie; panowie o własnych tylko pomnąc interesach zacięty między sobą, jak udzielni władzcy, bój rozpoczęli. Ebroin i

Ś. Leger opuścili klasztorne cele, pogodzeni za kratą zakonną, z dawną niechęcią wystąpili na widowni świata. Lecz zmieniły się ich role: właśnie gdy Ś. Leger i jego stronnicy tryumfowali w Neustryi ze śmierci Childeryka i przywrócili na tron Teodoryka, któremu włosy odrosły, wtedy wolni Ostrazyanie przyzwawszy z Irlandyi Dagoberta II, owo dziecię które Pepin usunął od tronu w nadziei że go sam posiędzie, ruszyli pod wodzą Ebroina przeciw Neustryanom. Pod pozorem zemsty za śmierć Childeryka, Ebroin kazał schwytać Ś. Legera, oczy mu wyłupić, wtrącić do więzienia i wreszcie głowę uciąć. Lud burgundzki biskupa, obrońcę swojego, uznał meczennikiem i w poczet świętych zaliczył.

Ani talent, ani zuchwała śmiałość Ebroina nie starczyła jego olbrzymim zamiarom. Przywrócenie powagi królewskiéj, zjednoczenie monarchii, supremacya Neustryi, stały się niepodobnemi do osiągnięcia. Dagobert II król wolnych Ostrazyan, to jest stronników Ebroina, zamordowany został w lesie Voivre, na rachunek Pepina Heristal, naczelnika możnego domu, który od czasów Brunegildy stał na czele stronnictwa ostrazyjskiego, a którego zamiary przedwcześnie objawione życiem przypłacił Grimoald. Ebroin pomścił się śmierci Dagoberta podobnie jak Childeryka. Bo gdy Ostrazya odsunęła od tronu potomków Klodowika i władzę najwyższą poruczyła Pepinowi i stryjecznemu bratu jego Martin (679 r). Ebroin pokonał obudwóch pod Leucofao 680 r. i zwabiwszy do siebie Martina pozorem układów, kazał go zamordować; lecz wkrótce i sam legł pod ciosem niejakiego Hermanfrida, którego lenności pozbawić zamyślał (682).

Ebroin niepospolitych zdolności mąż, podobnie jak Fredegonda, bronił szczęśliwie zachodniéj Francyi (Neustryi) i o dwadzieścia lat spóźnił tryumf ostrazyiskich panów. Śmierć jego otworzyła wolne pole fortunie Pepina i wydała w ręce jego Neustryą. Na czele Ostrazyan, wzmocniony znakomitém stronnictwem Neustryan, powstał Pepin przeciw królowi Teodorykowi. Przyszło do walnéj bitwy pod Testry między Saint-Quentin

i Péronne, (687 r.). Teodoryk pokonany, dostał się w ręce Pepina który go wraz ze skarbami do Ostrazyi zawiódł. Stanowcze to zwycięztwo uważać należy za kres panowania potomków Klodowika: bo choć Pepin za osłonę swojéj władzy przyjął króla, w którego imieniu walczył Edroin, uważał go wszakże tylko za narzędzie, do czasu, w którym dogodniéj mógłby się go pozbyć. Królestwo Franków, przeniesione z nad brzegów Sekwany i Ligiery, nad brzegi Renu, nowego nabyło hartu w sąsiedztwie Germanii, a nudne ku końcowi niedołężnych Merowingów dzieje, ustępują miejsca świetnemu poemamatowi początkowych Karlowingów.

Dziwném jest w dziejach zjawiskiem tak nagłe wyrodzenie się Merowingów. Z czterech synów Klodowika, jedyny tylko Klotoar zostawia potomstwo, a z czterech synów Klotara trzech umiera bezdzietnie. Następnie prawie wszyscy w młodzieńczym wieku kończą życie. Zdaje się że to są odrośle osóbnego szczepu ludzi. Każdy niemal z Merowingów w piętnastym roku jest ojcem, a w trzydziestym zgrzybiałym starcem: większa część nawet tego nie dosięga wieku. Charibert II umiéra w dwudziestym piątym roku; Sigebert II w dwudziestym szóstym; Klodowik II w dwudziestym trzecim; Childeryk II w dwudziestym czwartym; Klotar III w ośmnastym; Dagobert II w dwudziestym szóstym, czy siódmym; podobnież i inni. Jakaż jest przyczyna tak rychłego wyniszczenia? oto nagły przeskok ich ojców z barbarzyństwa do cywilizacyi i roskoszy świata rzymskiego, który owładnęli. Cywilizacya użycza ludziom światła i rozkoszy. Światło, zatrudnienia życia umysłowego, równoważą u ludzi ukształconych to, co rozkosze mają w sobie niszczącego.

Skończywszy epokę mordującą umysł mnóstwem nazwisk i drobnych wypadków, pełną zaburzeń wewnętrznych, krwawych walk, mordów i pożogi, rzućmy jeszcze raz okiem na stan ówczasowy społeczności politycznéj.

Rozległe, acz nie stałe były granice monarchii Franków. Na prawym brzegu Renu, w Germanii właściwéj, rozliczne pokolenia łączyły się z nimi, lub zwierzchnictwo ich nad sobą

uznawały, tak dalece, iż władza Franków pasmem krain naddunajskich sięgała Illiryku, prowincyi wschodniego cesarstwa. Na lewym brzegu Renu, w Gallii, różnego szczepu ludy już uległy ich przeważnéj sile, już krwawe z niemi staczały boje. Gallo-rzymianie, niemieckiego rodu Franków i Burgundów pokolenia, główną prawie ludność stanowiły; obok tego wszakże rozrzucone Celtów plemię zachowało tu i owdzie, a najwybitniéj w Armoryce, narodowości swojéj cechy. U stóp Pireneów aż ku brzegom Garumny mieszkali iberyjscy Waskowie, czyli Baski. Westgotowie wzdłuż brzegów śródziemnego morza ku Pireneom osiedli.

Najście i usadowienie się Franków w Gallii dokonało zagłady organizacyi rzymskiéj. Podbite ludy ujrzały się w pierwszéj chwili pozbawione bezpieczeństwa i rękojmi, ale natomiast uwolnione zostały od dokuczliwego systemu finansowości rzymskiéj. Los ich nawet zdał się być polepszonym, w miejsce bowiem haraczu w złocie, składać go zaczęto w płodach przemysłu krajowego. Zwycięzcy wnet uczuli potrzebę zaprowadzenia administracyi, musieli się zatém otaczać zwyciężonymi: a tak najznakomitsi z Gallo-rzymian dostali się do orszaku królewskiego pod nazwą towarzyszów (convivae regii). W postępie czasu wpływ duchowieństwa i Gallo-rzymian nabrał przewagi nad nieokrzesanymi przybyszami, pod kierunkiem duchowieństwa królowie, przywodzcy zbrojnéj tłuszczy, wznieśli się do godności monarchów, naczelników narodu, to jest posiadaczy gruntowych.

W północno-wschodniéj części Gallii cywilizacya rzymska nie łatwy przystęp znalazła wśród czysto germańskiéj ludności, ale natomiast w środkowéj Gallii, nad Ligierą i Sekwaną, właściwéj kolebce monarchii francuzkiéj, w równéj prawie części mieszali się wolni mieszkańcy germańscy z gallijskiemi; w południowéj zaś, osobliwie w Akwitanii, Gallo-rzymianie przeważali. W obudwóch tych częściach mieszkańcy miast potrafili uchronić od zagłady ustawy rzymskie, a górując oświeceniem, zwolna zrównali się w prawach ze zwycięzcami, ogładzili ich

szorstkość pierwiastkową i nieznacznie do własnéj narodowości wcielili, nowemu rządowi narzucając formy i język dawnego rządu.

Różnice stanów z pierwotnéj przyniesione ojczyzny zachowali Frankowie i w nowéj osadzie, a Gallowie, mniéj bacząc na odmianę nazwisk, przywykli do rzeczy mało od dawnych ustaw różnéj. Urodzenie dzieliło ludzi na wolnych i niewolnych. Wolni jedynie dziedziczyli włości, mieli udział w sądach i ogólnych zgromadzeniach narodowych: królowi dobrowolne tylko składali ofiary. Dla wzajemnego bezpieczeństwa łączyli się w okręgi, od miast pospolicie nazywane, pod władzą Grafa (comes), zostające: następnie dzielili się na setnictwa i dziesiętnictwa, podział zapewne od zbrojnych hufców pożyczony.

Z pośród ludzi wolnych już w szóstym wieku powstał stan szlachecki, w bliższych z królem stosunkach i szczególnych względem niego obowiązkach zostający. Potrzeba ciągła zbrojnego towarzystwa była stanu tego początkiem, a lennictwo główną zasadą. Szlachta wcześnie bardzo dzieliła się na wyższą (proceres, seniores, meliores), i niższą (fideles, mediocres, pauperes): prawo nie znało téj różnicy, potrzeba ją zaprowadziła, zwyczaj uświęcił. Gdy bowiem ani królewskie berło, ani prawo, w czasach wewnętrznych rozterek, nie zabezpieczało drobnych posiadłości, ani ich dziedziców, ci wchodzili w stosunki z możniejszymi, przyjmując względem nich też same zobowiązania, jakie tamci względem króla zaciągnęli.

Niewolni, albo z urodzenia, choćby też z matki niewolnicy; albo prawem wojennéj zdobyczy; albo przez zaślubienie niewolnéj; albo za karę; albo wreszcie dobrowolne lub wymuszone poddanie się, dwojakiego byli rodzaju: podlegli i niewolnicy. Podlegli bądź dworscy, bądź służebnicy (lidi, ministeriales), wyłączeni byli od sądów i zgromadzeń ludu, nie mogli dziedziczyć włości, różnili się wszakże od niewolników trzykroć wyższym okupem. Przez wyzwolenie, równie podlegli, jak niewolnicy, przechodzili do stanu wolnych, w różnych atoli stosunkach, w miarę sposobu wyzwolenia. Jeżeli wyzwolenie nastąpiło

w obec króla, wtedy wyzwoleniec (denarialis) wchodził zupełnie w prawa wolnego, majątek atoli jego, wrazie zejścia bez potomstwa, do króla należał. Wyzwolenie w formie rzymskiéj, w kościele przez akt biskupi odbyte, nadawało wyzwoleńcowi (tabularius) prawa wolnego Rzymianina, pod opieką kościoła; majątek takiego należał do kościoła, skoro nie miał potomków. Najprostszy wyzwoleniec (chartularius) przez patent wyzwalający, przy nabyciu praw wolnego mógł się poddać pod opiekę kościoła, lub możnego pana.

Jak różny był stan osób, tak niemniéj zmienne były prawa własności gruntowéj. Zajęte przemocą grunta, lub z podziału ogólnego przypadłe, były istotną własnością osiedlonego w Gallii Franka i zwały się właściwie Alodis, czyli w przekręconéj z czasem formie, allodia, inaczéj terra salica, hereditas aviatica, terra sortis titulo adquisita. Właściciel takowego gruntu był nieograniczonym panem wszystkiego co się na nim znajdowało. Próżne były usiłowania królów podciągnięcia ich pod pewny, stały podatek, możniejsi potrafili zawsze od tego się wyłamać. Kobiety, według praw salickich, wyłączone były od spadku tego rodzaju włości. Beneficia, były posiadłości przez królów, albo docześnie, albo dożywotnie rozdawane, z zastrzeżeniem pewnych powinności. Ostatni gatunek własności czynszowéj, polegał na wypłacie rocznéj daniny, bąć królowi, bąć prywatnemu, w miarę jak do kogo prawo bezwarunkowego dziedzictwa należato.

Król Franków, pierwiastkowo naczelnik zbrojnego ludu, miał moc i władzę przywódzcy towarzyszów broni, ale zarazem przez wzgląd na wolnych, uważał się za głowę pokolenia; względem podbitych zajmował stanowisko cesarza. Zwycięzcy ulegając wpływowi zwyciężonych przywykli do szanowania majestatu swojego władcy, dla tego już w szóstym wieku w prawach, nie ma wzmianki o ilości okupu za króla, a w pierwszéj połowie siódmego wieku prawo Franków rypuarskich przeniewierzenie się królowi śmiercią i zajęciem majątku karać na-

kazuje. W tym samym czasie pierwsza jest wzmianka o przysiędze na wierność.

Póki wojna była jedynym rzemiosłem Franków, waleczność nadawała koronę, albo raczéj proste zbrojnych hufców dowództwo, i wtedy król był wybierany dla każdego oddziału inny. Za ustaleniem siedlisk, ustaliła się władza naczelników i korona przeszła w dziedzictwo: jeżeli zaś gdzie niegdzie natrafiamy na pozór wyboru, było to raczéj uroczyste uznanie wstępującego na tron monarchy, przez podniesienie go na tarczy wśród zbrojnych zastępów. Król przewodniczył na zgromadzeniach ludu i wymierzał sprawiedliwość każdemu, kto się tylko ze skargą do niego odwołał. Świetny orszak urzędników dworskich i towarzyszów broni otaczał wszędzie monarchę. Skarbnik (thesaurarius, cubicularius, camerarius), marszałek (comes stabuli, późniejszy conétable), cześnik (senescalcus), palatyn (comes palatii), i marszałek pałacowy (major domus), stanowili dwór królewski, do którego przybył jeszcze rzymskiéj formy referendarz (referendarius, cancellarius, archicapellanus), przedstawiający królowi ważniejsze sprawy państwa, układający odpowiedzi monarchy, z obowiązkiem wytłaczania na nich pieczęci królewskiéj.

Dochody korony wypływały z dóbr królewskich, składających się z dawnych posiadłości cesarskich i części prawem wojny nabytéj, a zajęciem majątku buntowniczych lenników, lub bezdzietnich, raz poraz pomnażane. Dobra koronne musiały być rozległe, aby i na utrzymanie dworu i na beneficia wystarczyły; ale też Frankowie wkraczając do Gallii nie trzymali się zasady Burgundów, Westgotów i innych hord germańskich, na trzeciéj części gruntów przestających, z wyłączeniem pastwisk i lasów, do spólnego użytku należących; oni zabierali tyle, ile im się podobało, osobliwie w północno-wschodniéj Gallii, w któréj też z tego powodu ludność ich przeważała: w środkowéj, a bardziéj jeszcze w południowéj, stosowali się do zwyczaju przez innych barbarzyńców zaprowadzonego. Prócz tego, dochód królewski powiększały czynsze od poddanych

rzymskich składane, dobrowolne Franków ofiary, cła wreszcie od towarów, wozów, okrętów, czółen, a nawet pieszych wędrowników pod rozmaitemi tytułami pobierane.

Prawodawstwo nosiło na sobie cechę barbarzyństwa, ograniczając się samemi prawie przepisami karnemi. Główną podstawą prawa karnego był okup od winy (compositio, wergeld). Wtém zaraz pokazuje się różnica zwycięzców od zwyciężonych, zabicie bowiem leuda Franka obłożone było winą sześciuset soldów (*), takiegoż Galla, tylko trzy stą soldami opłacano; ale natomiast ci ostatni wyżéj cenieni byli od wolnego Franka, którego wergeld dwieście soldów wynosił. Okup podległych, czynszowników i pogłówne składających mniéj więcéj na sto, niewolników na trzydzieści pięć soldów prawo warowało. Ci ostatni za wykroczenie, jakie wolni czterdziesto pięcio soldami opłacali, karę śmierci ponosili, ulegając prócz tego chłoście i torturze przy badaniach. Okup odbierali krewni i spadkobiercy, jeżeli im się nie podobało mścić z bronią w ręku, czego prawo bynajmniéj nie zabraniało. W pierwszéj połowie siódmego wieku ogłoszone zostało w języku łacińskim prawo salickie, czterysta ośm artykułów obejmujące, prawdziwy zbiór zwyczajów i wyliczenie okupu za najmniejszą winę. Prawo Franków rypuarskich zaDagoberta (628—638) zebrane, wyższy nieco stan cywilizacyi okazuje. Burgundzkie prawa, między r. 468 i 534 wydane, stanowią równość zupełną między Gallami a Burgundami. W tym już kodexie prawo cywilne znaczne zajmuje miejsce, a nawet widać wyraźnie, jak umiano korzystać z prawa rzymskiego. W dziewiątym jeszcze wieku odwoływano się miejscami do praw burgundzkich. Prawa Westgo-

---

(*) Trudno oznaczyć istotną wartość owczasowego solda: równy on miał być u Franków salickich 40, u rypuarskich 12 denarom: odpowiadał zaś cenie zdrowéj krowy, albo połowie wartości buhaja. Według Eichhorna 500 denarów salickich, czyli 12 i pół soldów, szło na funt czystego srebra. W prawie Jana VIII papieża o świętokradzcach do praw gockich dodaném, 20 soldów liczy się na jeden funt srebra.

tów jakkolwiek obowiązywały przez czas niejaki w téj części Gallii, którą ten lud zajmował, większą przecież mają wagę w dziejach Hiszpanii. W Akwitanii prawo rzymskie i w sprawach cywilnych i w zarządzie municypalnym długo jedyném pozostało prawem.

W początku król sam, w orszaku dworzan i wolnych Franków, bądź na ogólném zebraniu narodu w Marcu (pole marcowe), bądź na zgromadzeniach prałatów i panów, rozpoznawał sprawy. Za rozszerzeniem granic państwa sądy poruczone zostały radzcom wybranym z pośród wolnych Franków okręgu, setnictwa i dziesiętnictwa, pod przewodnictwem Grafa (comes), setnika (centurio), i dziesiętnika (tungin). Radzców takowych, stosownie do okoliczności, bywało trzech lub siedmiu: zwano ich rachinburgami. Obok nich jest w prawie salickiém wzmianka o sagibaronach, zapewne biegłych w prawie, których się w trudnych okolicznościach radzono. Pozywający sam, ze świadkami udawał się do domu pozwanego, wzywając go na termin oznaczony. Takowe zapozwanie powtarzano aż do siedmiu razy, każde niestawienie się okładając winą pietnastu soldów. Posuwających upór do ostateczności, to jest, niechcących stanąć nawet przed królem, za wyjętych z pod prawa ogłaszano, a całe ich mienie na skarb zabierano. Udowodnienie skargi lub niewinności opierało się na świadkach, aktach, przysiędze, albo na sądzie bozkim (ordalia). Ten ostatni polegał na próbie wrzącéj wody (*), rozżarzonych węgli, losie i pojedynku. Trzem pierwszym próbom z początku podlegali sami niewolnicy, ostatnia wolnym jedynie zostawiona była.

(*) Spuszczając udowodnienie sprawy na sąd boski, rzucano pierścień w kocioł wrzącéj wody, który gołą ręką, bez oparzenia, wydobyć należało. W innym razie nakazywano wkładać rękę w rozżarzone węgle, stąpać po rozpaloném żelazie, lub brać je w rękę. Niekiedy dwie kostki, z których jedna oznaczona była krzyżykiem, rzucono w okryte naczynie, wyciągnięcie kostki oznaczonéj udowodniało niewinność; z czasem poprzydawano więcéj takich prób, jak np. pławienie czarownic. Papieże najskuteczniéj przyłożyli się do skassowania tego rodzaju dowodów.

Wśród powszechnego skażenia obyczajów w epoce Merowingów, uderzające są usiłowania prawodawców w położeniu tamy złemu: nie tylko bowiem postanowiono kary na zabójstwo, skaleczenie, z oznaczeniem ceny każdego niemal członka, np. ręki, nogi, ucha, nosa, oka, każdego po sto soldów, ale nawet wymierzono grzywny na obelgi. Kto kogo nazwał złośliwie lisem, płacił trzy soldy kary, nazwanie zającem kosztowało sześć, a oszustem piętnaście soldów. Dotknięcie swawolne piersi żony wolnego Franka, lub pozostałéj po nim wdowy, czterdzieści pięć soldów kary pociągało za sobą, tyleż za nazwanie jéj zalotnicą. Przecież mimo taką dążność praw ku zabezpieczeniu osób, utrzymaniu czystości obyczajów, pokazuje się, iż życie człowieka w owéj epoce wystawione było na igraszkę wybryków namiętności i podłe podstępy zemsty, a rozwiązłość obyczajów i grubiańskie obchodzenie się nawet w świątyniach pańskich nie znajdowało hamulca. Co do pierwszego, dowodem są prawa przeciw fabrykantom trucizn, drugie objawia ustawa soboru w Chalons nad Saoną 650 r.

Oświecenie w epoce Merowingów wyłącznym duchowieństwa stało się przywilejem. Miejsce dawnych szkół rzymskich zajęły naukowe zakłady pod styrem duchowieństwa świeckiego, lub zakonnego. Z pomiędzy pierwszych, słynęły szkoły katedralne w Poitiers, Bourges, Vienne, Arles, Reims i w Paryżu: z pomiędzy drugich większą wziętością zalecały się opackie szkoły w Fontenelle w Normandyi, Luxeuil w Wogezach, Lerins, Ś. Maxencyusza, Réomé, Ś. Medarda w Soissons. Uczono w nich trivium (geometryi, retoryki i dyalektyki), i quadrivium (arytmetyki, geometryi, astronomii i muzyki). Marcyana Capelli encyklopedya siedmiu sztuk wyzwolonych służyła za podstawę naukowego wykładu. Z końcem wszakże szóstego wieku co raz grubsza nad Gallią rozpościerała się pomroka, tak dalece że w ósmym wieku znikły prawie zupełnie ślady dawnego oświecenia. Ś. Kolumban obudził wprawdzie usypiające już umysły, ale nie na długo. Spółzawodnictwo Benedyktynów z nową Ś. Kolumbana regułą, mało dla nauk korzyści przy-

niosło. Kazania, żywoty świętych, legendy, stanowią całą literaturę od szóstego wieku począwszy aż do ósmego. Oto jest cały poczet uczonych większą wziętością w téj epoce słynących: Ś. Pacyencyusz około roku 470; Sydoniusz Apollinaris † 498; Ś. Ennodyusz † 521; Ś. Awit † 525; Ś. Cezaryusz † 542; Ś. German † 576; Grzegorz turoneński (biskup z Tours) † 595; Ś. Fortunat około r. 600; Ś. Kolumban 615; Marculf i Fredegar około połowy siódmego wieku. Ostatni jest kontynuatorem ważnéj nader kroniki Grzegorza turoneńskiego.

KSIĘGA TRZECIA.

Karlowingowie.

OD ROKU 687 DO ROKU 987.

KSIĘGA TRZECIA.

KARLOWINGOWIE

OD ROKU 687 DO ROKU 987.

—

ROZDZIAŁ I.

POCZĄTEK KARLOWINGÓW. — KARÓL MARTEL.

Dzieje Francyi inną odtąd przybierają barwę: dźwignienie się potężnego domu Heristala nową dla kraju otwiera erę, świetnych imion i wielkich wypadków. Arnulf biskup w Metz (*) uważany jest pospolicie za dynastę Karlowingów. Dziad jego Ansbert Akwitańczyk, potomek znakomitéj i zamożnéj Ferreolów familii, był zięciem Klotara I króla Franków, Ś. Leger

(*) Arnulf, nim na godność biskupa w Metz wyniesiony został, miał dwóch synów Chlodulfa i Angesifila. Pierwszy był ojcem Martina, Pepin zaś był synem drugiego. Nie jest to osobliwością w owéj epoce, widzieć znakomitego rodu Franków, lub Gallów, wysokie godności w zawodzie wojskowym, lub na dworze króla przez niejaki czas piastujących, dobrze ze światem obeznanych, następnie przyjmujących powołanie duchowne. Arnulf pierwéj walecznością w boju zasłynął, nim kapłańską suknię przywdział, nim go lud i kapłani do zarządu dyecezyi powołali. Syn jego Chlodulf był także biskupem w Metz, a brat opatem w Bobbio. Święty

biskup z Autun należy do grona powinowatych familii Karolingów. Lubo genealogia takowa, na rozkaz Karola W. układana, zdawała się mieć na celu wykazanie, z jednéj strony spokrewnienie Karlowingów z Merowingami, a z drugiéj strony połączenie z najświetniejszym domem Gallii rzymskiéj; wnosząc atoli z częstych związków familij ostrazyjskich z akwitańskiemi łatwo przypuścić, że Karlowingowie istotnie z takowego połączenia dwóch plemion ród swój prowadzą.

Dom biskupa z Metz dwie w sobie łączył korzyści, które mu berło zjednać musiały. Naprzód, ściśle był połączony z kościołem: powtóre, ugruntowany był w części Gallii najbardziéj do germanizmu zbliżonéj. Wszystko mu wreszcie sprzyjało. Powaga tronu do nicości przywiedziona, poczet ludzi wolnych co dzień się przerzedzał, lennicy i biskupi w potęgę i znaczenie wzrastali. Władza więc musiała koniecznie stać się udziałem tego, któryby w osobie swojéj połączył dwa charaktery, naczelnika lenników i wielkich włości dziedzica. Lecz trzeba było te przymioty zjednoczyć w wielkiéj familii biskupiéj, familii ostrazyjskiéj, to jest sprzymierzonéj z kościołem, sprzymierzonéj z Germanami. Kościół przyzwał Franków przeciw aryańskim Gotom, musiał więc z natury rzeczy sprzyjać Ostrazyanom przeciw Neustryjczykom, skoro ci ostatni pod Ebroinem poczęli urządzać władzę świecką, współzawodniczkę władzy duchownéj.

Zwycięztwo pod Testry, tryumf możnowładców nad powagą królewską, a przynajmniéj nad imieniem króla, dokonało osta-

---

Wandrill jest jego wnukiem. Brat Pepina małego, Karloman, został mnichem w Monte Cassino, z dwóch innych braci jeden był arcybiskupem w Rouen, drugi opatem u Ś. Dyonizego (w Saint Denis). Krewni Karola W. Adalhard, Wala, Bernard przyjęli regułę zakonną. Drogon, brat Ludwika pobożnego, został biskupem w Metz, trzéj inni bracia jego byli kapłanami. Ś. Wilhelm z Tuluzy, opiekun starszego syna Karola W. był także jego krewnym. Tak więc z jednéj strony duchowny charakter Karlowingów wyjaśnia ściśle ich związki z papieżem, z drugiéj strony jest to znak głęboko zakorzenionéj pobożności w owéj epoce.

tniego rozprzężenia monarchii i poniekąd je uprawniło. Wszystkie narody Gallii musiały w niém widzieć wolę bozką przeciw jedności monarchii objawioną. Dla tego też na południu Akwitania i Burgundya przestały być francuzkiemi: na wschodzie i północy Fryzowie, Sasi, Swewy i Bawarowie nie widzieli powodu ulegania władzcy ostrazyjskiemu, który zapewne bez ich pomocy nie byłby zwyciężył. Wśród samego więc tryumfu Pepin ujrzał się opuszczonym, samotnym. Dla przywrócenia porządku i potęgi państwa musiał się starać naprzód o połączenie ze stronnictwem Ebroina, stronnictwem zjednoczenia Gallii. Zaślubił przeto syna swojego z wdową po ostatnim marszałku pałacowym, szanowaną od stronnictwa ludzi wolnych. Zabezpieczony tym sposobem wewnątrz, zwrócił swój oręż przeciw nieuległym germańskim pokoleniom, a naprzód przeciw Fryzom, których znaglił do haraczu, choć nie zdołał uśmierzyć zupełnie.

Jedną ręką walczył, drugą urządzał kraj, nowy jego władzca. Przywrócił zgromadzenia narodowe (marcowe pole), wspomnienie z dawnych wieków germańskich! Na pierwszém z nich starał się jedynie o utwierdzenie władzy swojéj, na którą już niechętnie spoglądali lennicy, dawni jego spółtowarzysze. W imieniu więc króla Teodoryka postanowił, iżby xiążęta i hrabiowie (duces et comites) za pierwszym jego rozkazem mieli w pogotowiu lud zbrojny, któryby za drugim rozkazem mógł ruszyć w pole. Przezorność nakazywała ten środek ostróżności w chwili, w któréj krwawa walka z germańskiemi hołdownikami miała się rozpocząć. Téj saméj bowiem wiosny zmuszony był wziąć się do broni przeciw Fryzom, którzy dopiero co pobici, jużci haraczu umówionego składać nie chcieli. W odnowionym boju Radbod, waleczny wódz Fryzów znękany, powtórnie upokorzyć się musiał. Podobnegoż losu doznali Bawarowie, Alemani i Sasi. Lecz trzykrotnie wznawiany bój z germańskiemi dannikami, trzykrotnym uwieńczony tryumfem, pomnożył tylko sławę i skarby Pepina nie utwierdziwszy bynajmniéj władzy Franków nad nimi.

Nie lepiéj powodziło się Pepinowi i w wewnętrznym zarządzie państwa. Przezorny, umiarkowany, sprawiedliwy, lecz sprężysty rządca, silną dłonią chwyciwszy styr narodu, starał się przywrócić władzę praw, zapewnić bezpieczeństwo osób i majątków, zetrzeć głowę możnowładnego bezrządu. Spostrzegli to ostrazyjscy panowie, zapragnęli dawnego a dla nich dogodniejszego stanu rzeczy, a widząc upadającego na siłach Pepina, pokusili się o zniszczenie powstającéj przewagi domu Heristala. Pod ciosem sprzysiężonych padł Grimoald syn i ogłoszony następca Pepina w godności pałacowego marszałka; jeszcze wszakże dość silnym był Pepin: ukarał morderców syna, zniweczył zamachy sprzysiężonych i władzę swoję w spadku wnukowi swojemu Theodoaldowi przekazał, a wkrótce potém życia dokonał w Jopil 714 roku.

Za panowania Pepina trzech zmieniło się królów na tronie imaginacyjnym, który potomkom Meroweusza do czasu zostawiał samowładny marszałek: Klodowik III, Childebert III i Dagobert II, wszyscy w młodzieńczym zmarli wieku. Bezkorzystne prawo zapuszczania długich włosów jedynym było ich spadkiem po przodkach, który im nie tknięty pozostał. Wychowywani w pałacu w Maumaque nad brzegami Oazy, między Compiegne i Noyon, swobodne pędzili życie w wiejskiém zaciszu, trudy i sławę zostawując Pepinowi. Raz tylko do roku sprowadzeni na pole marcowe, z wysokości tronu sankcyonowali kapitularze, po czém spokojnie wracali do swojego pałacu w powozie, którego klassyczny powolnych wołów zaprzęg, jak germańskiéj bogini Herty, przez długi czas dostarczał żywiołu poetom i dziejopisom francuzkim.

Śmierć Pepina zdawała się w jednéj chwili kruszyć owoc kilkoletnich jego zabiegów. Theodoald był małém dziecięciem, takiémże był król Dagobert III, nad obudwoma przeto objęła opiekę Plektruda rozsądna i stałego charakteru wdowa po Pepinie, babka małoletniego marszałka. Lecz mogłaż ręka najzdolniejszéj kobiety utrzymać wodze, które się rwały w silnéj dłoni Pepina? Zaraz Neustryanie powstali, ogłosili marszałkiem

swoim niejakiego Raginfrida (Rainfroy) który wynalazłszy w klasztorze syna Childeryka, co szczęściem uniknął morderczego ciosu Bodilona, osadził go na tronie pod imieniem Chilperyka II, zniósł wojska Plektrudy pod Compiegne i wkroczył do Ostrazyi od strony południowéj, hordom germańskim wskazawszy północne granice. Ostrazya ostatecznéj wyglądała zagłady, zbawił ją przecież powszechnie wzgardzony, od ojca nawet zapomniany trzeci syn Pepina, Karól z przydomkiem marteau, pospoliciéj martel (młot) znany.

Wyskoki burzliwéj i rozhukanéj młodości zraziły umysły wszystkich przeciw Karólowi, ród zaś nienawistnym i obmierzłym go czynił w oczach kościoła. Był to owoc dorywczych miłostek Pepina z Alfaidą, co gorsza zmazany krwią świętego męczennika. Raz u stołu królewskiego biskup leodyjski Ś. Lambert objawił swoję nieprzychylność ku Alfaidzie i związkom jéj z marszałkiem pałacowym. Brat nałożnicy stając niby w obronie fałszywego honoru, napadł dom biskupa i modlącego się Lamberta życia pozbawił. Niektórzy, przyjaciół i krewnych Alfaidy o zgon Grymoalda syna Pepina obwiniają, są i tacy, co śmierć tę samemu Karolowi przypisują, a przynajmniéj wówczas zdawały się to, choć nieudowodnione, przecież dość upowszechnione, domysły. Zbieg takowych okoliczności nie zdawał się nic pomyślnego dla Karola rokować, tém bardziéj, że Plektruda lękając się popędliwości młodzieńca ścisłą go otoczyła strażą. Klęską pod Compiegne, najezdnicze zagony hord germańskich zraziły ostrazyjskich leudów i tak niechętnie rządom kobiety ulegających: za ich pomocą Karól kruszy więzy swoje, staje na czele małéj garsztki przychylnych sobie wojowników, wystrasza z kraju Saxonów, Fryzów, a pusuwając się ku południowi, znienacka napada neustryjskie hufce pod Amblet (716), znosi je zupełnie, tak że mała ich cząstka schronienie znalazła w kościele. Dzieje owczasowe zachowały nam drobny wypadek, dowód dzikiéj substelności zabobonnego umysłu Franków. Z pośród ocalonych u stopni ołtarza zbiegów, skrwawiony neustryjski wojownik przyczołgał się ze skargą do

wodza Ostrazyan, przedstawiając że w jego osobie zgwałcona świętość przytułku. Wezwany do tłumaczenia żołnierz, wskazał na usprawiedliwienie swoje uciętą nogę przed bramą świątynii i uniewinnionym został.

W następnym roku (1717) Karól przeniósł zwycięzki oręż do Neustryi, starł się z wojskami Chilperyka i Raginfrida pod Vinci, między Arras i Cambrai, powtórne, prawie testryjskiemu równe, odniósł nad niemi zwycięztwo, w skutek którego Paryż hołd mu złożył. Zwrócił się potém do Kolonii, stolicy Ostrazyi od czasów Pepina; mieszkającą w niéj Plektrudę znaglił do wydania miasta i skarbów ojca. Chilperyk tymczasem wezwał pomocy Eudona (Odona), władzcy niepodległéj i potężnéj podówczas Akwitanii, węzłem powinowactwa z familią Merowingów połączonego. Karól, zajęciem Kolonii, utwierdziwszy władzę swoję w Ostrazyi, pośpiesza na spotkanie neustryjskiego sprzymierzeńca i podstępuje pod Soissons. Na widok pogromcy rozpierzchły się neustryjsko-akwitańskie hufce i otwartą drogę Karolowi do Orleanu zostawiły. Byłby może akwitański xiążę w odnowionym boju poparł swojéj sławy, lecz mu większe groziło niebezpieczeństwo od strony południa; zawarł więc czémprędzéj przymierze z Karolem i wydał mu Chilperyka. Karól ze swojéj strony więcéj bacząc na utwierdzenie władzy swojéj w Austrazyi, jak na niepewne zdobycze w Akwitanii, chętnie przyjął układ, który mu dozwalał zwrócić oręż przeciw germańskim pokoleniom, które obfite łupy w zamożnéj Gallii do nowych coraz napadów wabiły. Karól przez cały ciąg rządów swoich twarde z nimi zwodził harce i choć drogo nie łatwe okupował zwycięztwa, przecież nie taką zjednał sobie sławę, jaką zajaśniał w walce z Saracenami.

Świeżą nauką Mahometa rozogniona fantazya Arabów marzyła o zajęciu świata całego. W krótkim przeciągu czasu zwycięzkie ich hufce rozlały się od brzegów Gangesu do kolumn Herkulesa. Władzcy najpiękniejszych krajów Azyi i Afryki, zapragnęli panowania nad Europą. Zemsta hrabiego Juliana utorowała im drogę do Hiszpanii, a zdrada jego i przychylnych

mu panów podała w ich ręce kraj cały, wyjąwszy niedostępne kryjówki asturyjskich wąwozów. Z jednéj strony Bosforu, z drugiéj Pireneów dosięgając Muzułmanie, we dwa ognie wziąć postanowili świat chrześciański, pełni otuchy, że w ognisku religii Chrystusa, na wieżach Rzymu, godło zbawiciela świata swoim półxiężycem zastąpią. Prawe skrzydło tego olbrzymiego napadu ogień grecki wstrzymał u bram Konstantyna grodu, lewe przedarłszy się przez Pirenee swobodnie zaczęło grassować w południowéj Gallii. Rzymską niegdyś, a teraz gocką posiadłszy Narbonę (719), na zwinnych rumakach aż do Poitou i Burgundyi częste wysyłali podjazdy. Niepojęta szybkość z jaką się snuły do koła roje lekkiéj ich jazdy, zdawała się dwoić ich siły w oczach przerażonego ludu. Całą owładnąwszy Septymanią posunęli się w głąb Akwitanii i oblegli Tuluzę stolicę Eudona. Śmiało wystąpił przeciw najezdnikom xiążę akwitański, poraził ich na głowę i choć na krótki czas ostudził wojenny Afrykanów zapał. W roku 726 świeżemi siłami bój odnowili, lecz powtórnie porażeni wnieładzie pierzchnęli, unosząc z sobą śmiertelnie ranionego wodza Ambessę. Dotąd chwała zwycięztwa wyłącznym Eudona była udziałem, oczy wszystkich na niego były zwrócone, w nim zbawcę chrześciaństwa widziano: Grzegorz II papież z powinszowaniem i zachętą pisał do niego, on sam już sprawę wygraną być mniemał, gdy w tém cięższe nadeszły przygody.

Abderahman, śmiały Saracenów przywódzca, przez dolinę Roncevaux wdziera się do Gallii, i choć nie tak liczne wiódł hufce, jak je strwożeni kronikarze owcześni podają, zawsze jednak potęgą swoją zdolne zatrwożyć południowe ludy. W blizkości Bordeaux zaszedł mu drogę akwitański xiążę, ale go szczęście zawiodło, nie wytrzymał silnego Saracenów natarcia, porażony na głowę, pomocy Franków żebrać musiał. Karól Martel od chwili zawartego przymierza z Eudonem (720) cały zajęty wojną z Germanami nie zwracał uwagi na południe, w tym atoli właśnie czasie przedsięwziął wycieczkę po za Ligierę, jak gdyby chciał przypomnieć akwitańskiemu księciu, że się między dwoma ró-

wnie grożnymi znajduje nieprzyjaciołmi. Eudon pokonany staje przed Karolem w Paryżu i o pomoc błaga przeciw Abderahmanowi, który dumny zwycięztwem już po za granicami Akwitanii aż do Sens i Autun roznosił pożogę. Karól chcąc nie chcąc musiał się wplątać do wojny, któréj klęski już krajom jego czuć się dawały. Odesławszy więc Eudona do Akwitanii, by świeże zbierał wojska, sam na czele gotowych zastępów ruszył przeciw Saracenom. Na polach niedaleko Poitiers rozbił obóz Abderahman: tam zaszła owa pamiętna bitwa (732), którą wszyscy dziejopisowie za kres powodzenia saraceńskiego oręża na zachodzie poczytują. Roje lekkiéj arabów jazdy rozbiły się o ciężkie Franków zastępy. Niewzruszeni jak mur, mówi jeden historyk, jakby powłoką lodu spojeni wojownicy północni, silni olbrzymią postawą, śmiało ciężkim wyrabiali orężem. Lecz złamane szyki arabskie, trybem wojowników wschodnich, szybko się znowu zbierały do nowego wracając natarcia: tym sposobem długo wrzał niepewny bój, gdy ku schyłkowi dnia, niesforne w obozie Abderahmana rozległy się krzyki. Był to Eudon, który ze swojemi obszedłszy linią nieprzyjacielską, z tyłu uderzył na obóz. Napróżno pasował się jeszcze Abderahman, chcąc wydrzéć Frankom zwycięztwo, ugodzony toporem padł na placu, a wojsko jego częścią wycięte, częścią poszło w rozsypkę.

Zwycięztwo pod Poitiers, z powodu klęski walecznego Eudona pod Bordeaux, wyżéj cenione niż zasługiwało, ustaliło sławę Karola Martela, a tém samém pomnożyło hufce szczęśliwego wojownika. Książę akwitański uwolniony od przemocy Saracenów, musiał zaprzysiądz hołd sprzymierzeńcowi, a Septymania, z imienia przynajmniéj, została poddaną Martela. Nieznośny to był stan dla ludów południowych, dla tegotéż, gdy Karol wojną z Fryzami był zajęty, mieszkańcy Prowincyi (Provence) poddali się Arabom (736). Jussuf, wódz saraceński, zajął całe wybrzeża Gallii nad morzem śródziemném, wypędził osadę Franków z Awinionu, gdy tymczasem druga armia przebywała Pirenee. Karól spieszy na odsiecz, odzyskuje Awinion, zwycięża

Saracenów niedaleko Narbonny, równą im prawie zadawszy klęskę jak pod Poitiers, a w powrocie roznosi pożogę po całéj Prowincyi. Raz jeszcze powstanie Prowincyi ściągnęło oręż Martella w te strony, który równie przeważnie dał się uczuć zbuntowanym, jak i ich sprzymierzeńcom Saracenom: ci ostatni jeszcze się u podnóża gór pirenejskich oparli.

Zwycięzca Arabów, Akwitańczyków, Prowincyi, Sasów, Allemanów, Bawarów, Fryzów i Bretonów, w uspokojonéj monarchii od Dunaju do Pireneów spoczął w pałacu swoim w Kiersy nad Oazą, pierwszy raz w ciągu rządów swoich złożywszy oręż (740). Do tylu morderczych wypraw kto zbrojnego Martelowi dostarczał ludu? trudne do rozwiązania pytanie. Zdaje się że germańskie pokolenia przerzedzające się w krwawych zapasach hufce ciągle zasilały, nęcone nagrodami, jakiemi walecznych i wiernych wojowników szczodrze obsypywał Karól, nie szczędząc na ten cel ani biskupich, ani klasztornych włości. Wsparte silną jego opieką religijne missye, utworzyły wśród ludów germańskich chrześciańskie stronnictwo, które Martelowi, Pepinowi i Karolowi W. dostarczało wojska do poskromienia téj części, która przy czci bałwanów wierną formie dawnych pokoleń pozostała. Ta przychylność dla missyi pojednała Karola z Rzymem, ona zapewne była powodem Grzegorzowi III do wzywania jego pomocy przeciw Luitprandowi królowi Longobardów. Lecz mimo pochlebny dla niego list Papieża, mimo wszelkie zewsząd zachęty, nie mógł Karól wdawać się stanowczo w tę sprawę, pomnąc na przysługi Luitpranda w walce z Arabami i Morontem zaciętym przywódzcą powstania Prowincyi; skończyło się więc tylko na listownych przełożeniach. W roku następnym Papież przesłał Karolowi klucze grobu Ś. Piotra, mianując go patrycyuszem Rzymu i czyniąc mu nadzieję osiągnięcia korony zachodniego cesarstwa. Ten zaszczytny tytuł, kres wielkości jego wnuka, pochlebiał dumie Karola, posłowie jego pośpieszyli z odpowiedzią do Rzymu, gdy wtém śmierć przerwała dalsze zabiegi (741).

Umarł Karól zaledwie piędziesiąty rok życia minąwszy; cię-

żkie znoje nieprzerwanych bojów stargały siły i zdrowie. Przydomek Martela na placu bitwy pozyskał, silny cios jego podobnym do uderzenia młota o kowadło sądzili wojownicy. Dowcipny, choć nie przeto pewniejszy, Micheleta jest wywód początku téj nazwy. »Młot, mówi on, jest godłem germańskiego bóztwa Thora, został więc przydomkiem wodza przychylnego czci bałwanów.» Postępowanie Karola zdaje się wprawdzie potwierdzać ten domysł: przez cały bowiem ciąg rządów jego, ani jednego w Gallii nie odbyto soboru, metropolitalne stolice osierocone były, a biskupstwa chwytali częstokroć ludzie świeccy, bez żadnego powołania, jako nagrodę świadczonych usług w zawodzie żołnierskim; włości biskupie i klasztorne mienie szło na łup przychylnych sprawie Martela wojowników; w wielu miejscach spłoszone szczęściem barbarzyńskiego oręża duchowieństwo zaprzestało głosić chwałę Boga, głuche po świątyniach nastąpiło milczenie, chrztu nawet gdzie niegdzie zaniedbywano; wszystko to wszakże mogło być skutkiem twardych okoliczności w jakich się znajdował Martel, ale nie zaparcia się wiary ojców, tak głęboko w familii Karlowingów zakorzenionéj. Konieczność poskromienia buntujących się ustawnie to germańskich pokoleń, to gallijskich ludów, zmuszała Karola do użycia to pogańskiéj, to chrześciańskiéj broni; lecz gorliwość jego w popieraniu missyj papiezkich zdaje się dostatecznie zbijać twierdzenie poważnego historyka. Zresztą i papieże, świadomi pogańskich uczuć Martela, nie byliby zapewne u niego szukali pomocy przeciw napaści lombardzkiéj.

Tyloletnie trudy i zabiegi Karola około utrwalenia jedności monarchii podjęte, zdały się po śmierci jego zupełnie bezskutecznemi. Akwitania nieprzychylna Frankom upornie obstawała przy swojéj niepodległości. Arabowie nie wyparci za Pirenee niepokoili Gallią południową. W Germanii pokój powszechny z roku 740 był prostém zawieszeniem broni. Wszędzie tlało zarzewie powstania, i nie raz jeszcze po za Renem rozlegał się szczęk oręża Franków.

ROZDZIAŁ II.

PEPIN MAŁY I KARLOMAN.— KORONACYA PEPINA.

Zaledwie zwłoki Karola złożono w opactwie Ś. Dyonizego, gdy burza gwałtowna wstrząsnęła całą Francyą. Ostatnią wolą swoją rozdzielił Martel państwo między dwóch synów swoich z pierwszego małżeństwa. Pepin *mały* (le bref), otrzymał Neustryą, Burgundyą i Prowincyą; Karloman zaś Ostrazyą i hołdownicze w Germanii krainy; Gryfon trzeci syn iego z powtórnego małżeństwa z wnuczką bawarskiego xięcia Odilona Swanahildą (Sonnichilde) żadnego nie uzyskał działu. Dziwna rzecz, że w epoce wzrastającéj potęgi Karlowingów kilkokrotnie pojawia się dualizm naczelnéj władzy: Pepin i Martin, Drogon i Grimoald, Pepin i Karloman, Karól Wielki i Karloman. Przed samym atoli zgonem Karola, Swanahilda potrafiła wyjednać dla syna swojego dział państwa, z oderwanych od Austrazyi, Neustryi i Burgundyi krain złożony. Niekontenci z téj zmiany równie Frankowie jak i bracia Gryfona, oświadczają się przeciw jéj wykonaniu. Gryfon z orężem w ręku praw swoich chciał bronić, lecz oblężony w Laon poddać się musiał wraz z matką. W skutek tego osadzony został w zamku Neuf-Châtel, matka zaś jego w klasztorze Chelles. Był to mały wstęp do dalszych zawichrzeń. Z prowincyi załogi Franków wyparte; Odillon mszcząc się zniewagi Swanahildy pobudził Bawarów do buntu, Hunald syn i następca Eudona akwitańskiego złamał poprzysiężoną wierność i złączył się z Odillonem; w tak ciężkich przygodach jedność między bracią była ich zbawieniem. Obadwa połączonemi siłami uderzyli naprzód na Akwitanią i Prowincyą, następnie zwrócili oręż przeciw Bawarom i Allemanom, zwycięzcy wszędzie, na moment przynajmniéj utrzymali przewagę.

Zmiana w zarządzie Gallii co raz szybszym postępowała krokiem. Od roku 735, to jest od śmierci Teodoryka III Mero-

wingowie nie mieli już nawet téj smutnéj pociechy, by dostarczali królów bezczynnych (rois fainéants). Upojony szczęściem i sławą zwycięzca pod Poitiers, młot Saracenów, Karól Martel, nie chciał nawet cienia wyższéj nad sobą władzy uznawać i sam pod własném imieniem władał Franków państwem. W ślady ojca wstępował Karloman: równie przezorny rządca, jak waleczny żołnierz, starał się złagodzić nieszczęścia wojny, zjednać sobie przychylność duchowieństwa, oburzonego postępowaniem ojca. W tym celu zwołał sobór (742), na którym karność kościelną zaostrzono, zwrót dóbr duchownych nakazany, zapominający powołania swojego kapłani do pokuty znagleni, stolice biskupie obsadzone, zwierzchność metropolitalna należytą powagą otoczona została. Z aktów tegoż soboru widocznie się pokazuje wszechwładztwo Karlomana przez biskupów i obecnych panów uznane. Karloman działa jako monarcha, tytułuje się wodzem i xięciem Franków, możnych panów swoimi nazywa (optimatum meorum). Bojaźliwszym, a może przezorniejszym krokiem postępował Pepin. I on zwołał sobor do Soissons (744) na którym potwierdzono wszystkie postanowienia powyższego soboru, lecz akta jego ogłoszone zostały w imieniu Childeryka II. W gruncie rzeczy była to tylko forma, którą Pepin z musu zapewne do czasu zachowywał, czekając pory, w któréjby ją bez wielkiego wrażenia mógł opuścić.

Ważniejszym atoli nad to wszystko wypadkiem było zrzeczenie się Karlomana na korzyść brata swojego (747). Otoczony świetnym dworzan orszakiem udał się do Rzymu, który już wówczas był przytułkiem tych, co świat opuszczali, lub których świat opuszczał. Łagodnego z natury charakteru, nie mógł się oswoić z nieprzerwaną wrzawą wojenną; nad świetność tronu i zgiełk światowych zabiegów przeniósł spokojne i rozmyślaniom religijnym poświęcone życie. Na górze Soracte, w bliskości Rzymu, zbudował sobie klasztorne zacisze; lecz gdy odwiedziny częste możnych Franków, przypominając mu dawne znaczenie, przerywały swobodne zatrudnienia nowego życia, przeniósł się do Monte-Cassino, głównego Benedyktynów

opactwa, i tak dzieląc czas między religijne ćwiczenia i ręczne prostego braciszka prace, spoczął na łonie wieczności 754 r.

Pepin ujrzawszy się panem zjednoczonéj Franków monarchii przypomniał sobie Gryfona jeńca Neuf-Châtelu; uważając go teraz mniéj niebezpiecznym dla siebie, przyzwał do dworu, przywrócił mu tytuły i znakomitemi obdarzył włościami. Lecz w sercu Gryfona zbliżonego do tronu tém silniéj zawrzała żądza panowania; przeciągnąwszy na swoję stronę kilku leudów, uszedł potajemnie do Sasów nad brzegi Wezery. Postępował za nim w też tropy Pepin na czele stu tysięcy Wenedów. Drogo opłacili Saxonowie objawioną przychylność ku Gryfonowi i już zamyślali go wydać w ręce zwycięzcy, gdy śmierć Odillona bawarskiego nowe dumie Gryfona otworzyła pole. Z przychylnymi sobie leudami Franków i allemańskiemi posiłkami wkracza do Bawaryi, bierze do niewoli xiężniczkę bawarską Histrudę wraz z synem jéj a właściwym Bawaryi xięciem Tassylonem, i ogłasza się władcą bawarskim. Krótki był tryumf Gryfona, Pepin zniósł wojska jego, Tassylonowi dziedzictwo ojczyste wrócił, a przywłaszczyciela pojmał. Pepin przebaczył mu wszystko, obszedł się z nim jak z bratem, urządził mu dwór w mieście Mans i oddał pod zarząd dwanaście hrabstw neustryjskich. Niespokojny umysł Gryfona do nowych go zażegał przedsięwzięć, uszedł więc znowu do Wajfara akwitańskiego xięcia, a gdy tam spodziewanéj nie uzyskał pomocy, do Włoch się przedzierał; lecz na saméj granicy wdawszy się w walkę z hufcem Franków poległ na placu (753).

Kraj Allemanów (Szwabia) uśmierzony i pod zarząd hrabiom Franków oddany, Tassylo xiążę bawarski do lennictwa znaglony, Sasi do przyjęcia missyonarzy i do honorowego haraczu trzechset koni zmuszeni, wszystko to otoczyło oręż Pepina sławą i poszanowaniem; wszystko to atoli było niedostateczne, wątpliwém było szczęście na prawnéj zasadzie nie oparte: właśnie pomyślna ku temu zajaśniała pora, trzeba z niéj było korzystać. Lombardowie, raz u bram Rzymu usadowieni, najmniejszéj chęci nie okazywali do odwrotu, od stolicy apostol-

tkiéj raz po raz odezwy o pomoc dochodziły wodza Franków; skłonił się do niéj Pepin, lecz w zamian postanowił żądać uświęcenia przywłaszczonéj władzy. Ś. Bonifacy (Winfrid) wielki apostoł germański, mąż najsławniejszy w całém chrześciaństwie owéj epoki, osobistą przyjaźnią z Pepinem związany, podjął się zbadać ducha dworu papiezkiego. Zacharyasz podówczas zajmował katedrę Ś. Piotra, do niego więc otwarcie udał się Pepin, odebrawszy niemylną skazówkę przychylnéj odpowiedzi. Biskup Burcard i opat Ś. Dyonizego Sulrade umocowani zostali do przedłożenia ojcu Ś. prostego pytania: »kto jest rzeczywistszym królem, czy ten co tytuł nosi, czy ten co władzę ma w ręku?« Upragniona odpowiedź już naprzód była przygotowana. Wtedy Pepin zwoławszy zgromadzenie ogólne do Poitiers (752) za jednomyślną zgodą Franków, wsparty powagą apostolską, przyjął koronę królewską i wkrótce potém z polecenia papiezkiego namaszczony został, według starożytnych zwyczajów przez Ś. Bonifacego w Soissons. Childeryk zaś postrzyżony, przeszedł do klasztoru w Saint-Omer.

Przezorność z jaką do dzieła przystępował Pepin, uroczystość jaką otoczył jego wykonanie, okazują wyraźnie iż to była rzecz nader ważna. Sława familii od tronu oddalonéj sięgała bezwątpienia czasów przed Meroweuszowych, kto wie czy słynny rycerskiemi czynami Faramund, król Franków, nie do tego należał szczepu; cóżkolwiek bądź świetne wspomnienia z czasów najścia Gallii do téj dynastyi się odnosiły. Nadto u wszystkich prawie pokoleń germańskich, jakakolwiek była władza króla, osobę jego zawsze religijne otaczało poszanowanie, które chrześcianizm uświęcił. Godło: *Bóg i król*, jeszcze dotąd tak silne, wskazuje czego się mógł spodziewać Pepin w razie uchybienia. I tego także zapominać nie należy, iż Pepin był ostrazyjczykiem, Neustrya zaś, jeżeli nie przez uczucie, tedy przynajmniéj przez ducha narodowego przywiązaną była do Merowingów. Akwitański xiążę z Merowingami zpowinowacony musiał się także oburzyć na odgłos poniżenia rodu swojego. Zresztą był to nie zły powód do buntu dla ludów hołdowniczych lub wichrzycieli.

W rzeczy saméj w tymże jeszcze roku Saxonowie i Bretańczycy wyzwali do boju Pepina. Waifar, akwitański xiążę, nie chciał uznać nowego króla. Pepin poskromił Sasów i nowych między niémi usadowił missyonarzy. Na Bretończykach zdobył pograniczne miasto Vannes, a obsadziwszy Septymanią, zagroził Waifarowi najściem ze wszystkich stron; odłożył je wszakże do dalszego czasu, bo go wdzięczność i polityka w inną wzywały stronę.

Po Zacharyaszu zasiadł na stolicy apostolskiéj Stefan II a po nim Stefan III. Lombardowie także powitali królem Astolfa, któremu brat Rachis odstąpił praw do korony żelaznéj, a sam połączył się z Karlomanem w Monte-Cassino. Astolf rządy swoje rozpoczął zajęciem Rawenny i zagrożeniem Rzymowi. Papież szukając pomocy Pepina, udaje się sam do niego (754). Pierwsze spotkanie dwóch wzajemnie przychylnych sobie władzców nastąpiło w Pontyon. Nie tajny był Astolfowi powód podróży papiezkiéj, mniemając że skrzyżuje jego zabiegi, skłonił Karlomana do poselstwa do króla Franków, w tém przekonaniu,

że głos brata, niegdyś króla, przeważniejszym będzie od przedstawień papiezkich. Mylną się wszakże okazała rachuba: Kar-

loman mnich w obec papieża nie mógł śmiało występować przeciw jego interesom, tyle jednak przynajmniéj dokazał, że Pepin postanowił jeszcze drogi przekonania doświadczyć, i pisał do Astolfa by odstąpił swoich zamiarów, grożąc mu wojną w razie niewypełnienia życzeń papiezkich. Król Lombardów ze wzgardą odrzucił warunki Pepina, wojna więc stała się nieuchronną. Z początkiem wiosny następnego roku (755) zebrawszy wiernych sobie leudów, na czele potężnego wojska przeszedł Alpy Pepin, poraził na głowę Astolfa i obległ stolicę jego Pawią. Upokorzył się król lombardzki, przyrzekł odstąpić od Rzymu i wydać papieżowi Rawennę i cały Exarchat. Na téj zasadzie zawarte zostało przymierze i król Franków odesławszy papieża do Rzymu ze znacznym pocztem Franków, sam wrócił do krajów swoich.

Nie szczera wszakże była Astolfa pokora; skoro się ujrzał wolnym od groźnego miecza Franków, zaraz wrócił do swoich zaborów i ściśle Rzym obległ (756). Pepin powtórnie pośpieszył na pomoc ojcu ś. i powtórnie obległ Pawią. Przerażony Astolf okupił przymierze opłatą kosztów wyprawy i roczną daniną dwunastu tysięcy soldów złotych; odstąpione zaś kraje Pepin uroczyście darował papieżowi, nie bacząc bynajmniéj że exarchat raweński był własnością cesarzów wschodnich. Wkrótce Astolf umarł, nastepca jego Dezyderyusz (Didier) przy pomocy papieża odziedziczył koronę żelazną, niemniéj jednak odzyskania Exarchatu zapragnął, wstrzymały go tylko silne groźby Pepina. Zaspokojony ze strony Włoch król Franków mógł śmiało całe siły obrócić na Akwitanią, wszędzie bowiem szanowano oręż jego, ani się odważył żaden naród doświadczać jego przewagi. Saxonowie spokojni, Tassilo xiążę bawarski synom nawet Pepina wierność zaprzysiągł; Saraceni po wzięciu Narbonny za Pirenee przeparci, jeden tylko akwitański xiążę Waifar śmiał czoło stawić pogromcy tylu narodów.

Ważniejsza ze wszech miar była to wojna ze wszystkich które wiódł Pepin, dla tego nie od rzeczy będzie pierwszy jéj wywikłać wątek. Akwitania oparta o zachodnie Pirenee, które

zamieszkiwali i dotąd zamieszkują starożytni Iberowie, Waskowie, inaczéj Gaskami i Baskami zwani, ustawnie góralami zasilała ludność swoję. Lud rolniczy z upodobania i usposobienia, łupiezki z położenia siedlisk, przez długi czas ściśnięty był w gór kryjówkach przez Rzymian i Gotów. Frankowie po kilkakroć na próżno kusili się o ich poskromienie. Olbrzymiéj postawy górale zwolna mieszali się z karłami Bearnu: w ogromnych czerwonych opończach, włosianych łapciach, z żonami, dziećmi i trzodą posuwali się ku północy, szukając także udziału wśród tylu najezdników, którzy po sobie następowali. W chwili rozwiązania neustryjskiego królestwa, mnóstwo Basków wdarło się do Akwitanii, tak jak liczne hordy germańskie pomnożyły ludność ostrazyjską. Z obudwóch stron nowi przybysze przynieśli z sobą nazwiska, które się zwolna utrwaliły: północ od ósmego wieku zwać się Francyą zaczyna, południe zaś Gaskonią.

Według podań mniéj pewnych niejaki Amandus akwitańczyk, około r. 623 miał ustalić władzę swoję w tych okolicach, trapiąc Franków za pomocą Basków, a Basków za pomocą Franków. Prawnukami jego byli Eudon i Hubert. Ostatni opuściwszy Akwitanią udał się do Neustryi, a ztamtąd do Ostrazyi, ojczyzny swojéj babki i ciotki. Zapalony myśliwiec z Pepinem i ostrazyjskiemi leudami przebiegał rozległe lasy Ardennów; zjawienie się cudownego jelenia skłoniło go do zrzeczenia się świata i oddania się służbie kościoła. Uczeń i następca Ś. Lamberta w Mastrychcie założył biskupstwo leodyjskie. Jest to patron myśliwych od Pikardyi począwszy aż do Renu.

Inny zawód był Eudona: był czas w którym on się za króla całéj Gallii uważał, pan Akwitanii aż do Ligiery, pan Neustryi w imieniu Chilperyka II, który mu losy swoje powierzył, uchodząc przed Martelem. Smutne atoli było przeznaczenie władzców Tuluzy, zostawali oni zawsze pod gromem Hiszpanii lub Gallii północnéj. Eudon pobity przez Martella, uznał władzę jego zagrożony z tyłu od Saracenów. Zwycięzca pod Tuluzą obawiając się Franków wszedł w układy ze zbuntowanym Ara-

bów hiszpańskich Emirem Munuzą, i by sobie tém pewniejszą pomoc jego zapewnić dał mu córkę swoję za żonę.

Bezbożny acz polityczny związek nie wyszedł na dobre. Munuza uchodząc przed grozą Abderahmana sam sobie życie odebrał, a biedna córka Eudona pomnożyła harem rządcy wiernych w Damaszku. Eudon porażony pod Bordeaux szuka pomocy u Martella i w zamian za daną porękę wierność mu ślubuje. Nie mógł znieść téj zawisłości Hunald, syn i następca Eudona; złączywszy się więc ze wszystkiemi Franków wrogami, Sasami, Bawarami, Allemanami, uporny bój rozpoczął z Pepinem. Frankowie roznieśli pożogę w krainie Berry, przeparli Hunalda za Ligierę, poczém zwrócili się na północ przeciw Sasom; Hunald przechodzi znowu Ligierę, spalił Chartres, lecz zdradzony przez brata Hattona, rządcę w Poitiers, cofać się musiał.

Znękany przeciwnościami Hunald zdał rządy Akwitanii synowi swojemu Wajfarowi, a sam udał się do klasztoru na wyspie Rhé, pierwéj wszakże schwytanemu Hattonowi kazał oczy wyłupić. Waleczny Waifar, równie jak ojciec zacięty Franków nieprzyjaciel, nie chciał uznać ich władzy nad sobą. Pepin zajęty wojną lombardzką nie mógł myśléć o upokorzeniu Akwitanii, nie zostawił wszakże synom swoim niezałatwionéj sprawy. Za pomocą Ansemunda, wodza Gotów, który niewiedzieć jakiém prawem i sposobem owładnął Nimes, Maguellone, Agdo i Beziers, Pepin został panem Septymanii zdobywszy Narbonnę (759). Tym sposobem Akwitania ze wszech stron dla niego otwartą była.

W roku więc następnym (760) posłał do xięcia Akwitanii z żądaniem, aby mu zbiegłych leudów wydał, i dobra kościołom gallijskim powrócił. Nigdy posłowie Franków nie przynieśli pomyślnéj odpowiedzi z Akwitanii i teraz ze wzgardą odprawieni zostali. Król Franków w skutek tego zebrał rycerstwo swoje w Troyes i wkroczył do Akwitanii ogniem i mieczem kraj cały pustosząc. Przestraszony niespodzianym napadem Wajfar, prosi o pokój i zdaje się na sąd ogólnego zebrania. Przyjął

warunek Pepin, lecz zaledwie w roku następnym rozpuścił pole majowe (*), gdy Waifar z Baskami przeszedł Ligierę i rozniósł pożogę aż do Autun i Chalons. Pośpieszył i Pepin na odsiecz zagrożonym granicom państwa, i nawzajem palił wsie i miasta, wycinał winnice, jedyne bogactwo kraju, niszczył lasy, zgoła całą Akwitanią w pustynię zamieniał. Padały twierdze jedna po drugiéj, nic wstrzymać potęgi Franków nie mogło, najwaleczniejsi wodzowie Waifara legli pod ich ciosem, on sam ścigany od twierdzy do twierdzy, na urwiskach skał i w niedostępnych lasach nie znajdując schronienia, bój tylko przeciągał bezkorzystny, choć zaszczytny, wreszcie po siedmiu latach nieprzerwanéj prawie walki padł od morderczéj broni własnych ludzi, znużonych zapewne wojną, któréj końca napróżno wyglądali (768).

Zwycięzca Pepin ujrzał się nakoniec wszechwładzcą całéj Gallii, panem Włoch, przez uśmierzenie Lombardów; przeważnym w kościele przez przymierze z Papieżem, zgodę z biskupami swojego kraju; lecz nie długo cieszył się władzą krwawemi znojami nabytą, wracając z Akwitanii, w miesiąc po śmierci Waifara, życia dokonał w Saint-Denis i tamże pochowany.

ROZDZIAŁ III.

KAROL WIELKI.— JEGO WYPRAWY WOJENNE.

Panowanie Karola W. należy do wielkich epok historyi. Dwa ważne wypadki, które spowodowały zmianę świata całego, to jest utwierdzenie chrześciaństwa i spojenie plemion germań-

---

(*) Zgromadzenia narodowe dawnym Franków obyczajem w Marcu odbywane, zdaje się Pepin mały pierwszy przeniósł na Maj i odtąd weszło w zwyczaj pole majowe.

skich z nową społecznością, po długich walkach i rozmaitych losu kolejach, za niego ostatecznego dosięgły kresu przez dokonane nawrócenie ludów między Renem i Elbą rozproszonych i uwieńczenie skroni cesarską koroną. Nie do saméj wszakże Francyi Karol W. należy, nawet stolicę swoję (Akwisgran) już na drugiéj stronie Renu założył; przecież Francya była poniekąd jego kolébką, a rządy tego monarchy najpiękniejszą zapełniają kartę dziejów Francyi w pierwszych ośmiu wiekach. Przy samym atoli wstępie nie można było dobréj na przyszłość rokować otuchy. Pepin umierając dla utrzymania całości zdobyczy swoich podzielił państwo między dwóch synów, Karlomanowi północną część, Karolowi zaś południową przeznaczając. Przezorność ojca o mało nie stała się zgubną i dla synów i dla kraju: skryta zawiść rozdzielała braci, i zaraz w pierwszéj potrzebie na jaw wyszła. Stary Hunald, ojciec Waifara, posłyszawszy w klasztorném zaciszu o śmierci Pepina, zrzuca suknię zakonną i na czele Akwitańczyków staje. Kraj ten do działu Karola należał, jemu więc to powstanie zagrażało. Wezwany na pomoc Karloman wręcz odmówił bratu, sam przeto Karol o własnéj sile pospieszył, bunt w samym zarodzie przytłumił, uchodzącego Hunalda aż do gór pirenejskich ścigał i Lupusa, wodza Basków, do wydania zbiega zmusił. To szczęsne powodzenie wstrzymało Tassylona bawarskiego od buntu, a Dezyderyusza od zerwania przymierza.

Śmierć Karlomana (771) uwolniła Karola i Franków od zgubnego spółzawodnictwa, lecz pozostała wdowa lękając się dla dzieci zemsty ich stryja, uszła z niemi do króla Lombardów, któremu Karol niedawno odesłał córkę, a swoję niegdyś małżonkę. Obeszła mocno Karola ta ucieczka bratowéj, żałąc się, powtarzał nie raz, iż nie zasłużył aby go się tak dalece obawiała. Na rękę wszakże był Karolowi postępek bratowéj, odtąd bowiem całą potęgą kraju dowolnie mógł rozrządzać, i zaraz też w roku następnym użył jéj do wojny z Sasami.

Od gór czeskich i Elby, aż do morza niemieckiego, całą przestrzeń kraju zajmowali Sasi: na liczne podzieleni pokolenia,

pod troistą główną nazwą, Ostfalów ku granicom czeskim, Westfalów w północnéj części i Angrów w dzisiejszéj Brandeburgii, oczyszczone z lasów zamieszkiwali pola. W pierwiastkowéj nieokrzesanych ludów prostocie, do zwyczajów swoich duszą i ciałem przywiązani, choć nie raz ulegali przewadze Franków i na znak uznania ich władzy nad sobą mało znaczącą składali daninę, zawsze przecież wstręt nieprzełamany do rzymskiéj ich cywilizacyi okazywali; a nadto zamożne Gallii wsie i miasta do częstych napadów były im pokusą. Karol Martel i syn jego Pepin chcąc pokój północno-wschodnim zabezpieczyć granicom, za najpewniejszy ku temu środek zaprowadzenie chrześciaństwa poczytali. Odtąd każde z Sasami przymierze nowém kończyło się zobowiązaniem przyjęcia missyonarzy, nie przeszkadzania im w ich powołaniu, szanowania wzniesionych świątyń i klasztorów. Ś. Bonifacy, u Germanów pod nazwiskiem Winfrieda znany, wielki Niemców apostół, najważniejsze w tym względzie wyświadczył przysługi. Całém sercem oddany stolicy apostolskiéj, pod jéj godłem rzucił się śmiało w ten rozległy świat bałwochwalstwa niemieckiego, głosząc słowo Boże przedzierał się wśród barbarzyńskich pokoleń, zbrojny niezachwianą wiarą i imieniem Rzymu, który od dawna brzmiał w uszach nieokrzesanych ludów Germanii. Ten mąż święty, w pobożnych wędrówkach tylekroć przebywający ocean, Ren i Alpy, stał się prawdziwym węzłem zjednoczenia narodów. Za jego pośrednictwem Frankowie skuteczniéj porozumiewać się zaczęli z germańskiemi plemionami; on za pomocą religii i postępującéj z nią cywilizacyi przywiązał do ziemi ruchliwe pokolenia, i mimo chęci i wiedzy utorował drogę zbrojnym zastępom Karola W. Za jego staraniem powstała metropolia chrześciaństwa niemieckiego w Moguncyi. On wzniósł katedrę w Kolonii (Cologne), założył szkołę w Fuldzie, która przez długi czas przyświecała zachodowi, mnóstwo zaprowadził klasztorów i dziewięć urządził stolic biskupich. Spokojnie na wszystko spoglądali Sasi, póki miecz Franków wisiał im nad karkiem, wielu zaiste przyjmowało chrzest ś. z przekonania, lecz więcéj podo-

bno było takich, co dwa i trzy razy do niego przystępowali zyskiem białéj sukni nęceni, którą katechumenom rozdawano; skoro zaś dogodna pojawiła się pora, niszczyli pobożne zakłady i z bronią w ręku rzucali się na siedziby Franków. Rzadko który naród z takim uporem i zaciętością bronił swoich zwyczajów i bożyszcz jak Sasi; niezłomna jedynie potęga Karola i silna jego wola potrafiły tryumfować, srogą stałość sroższemi jeszcze łamiąc środkami. Krwawa przeszło trzydzieści lat (772 do 804) trwająca wojna z Sasami, w szczegółach swoich do dziejów Niemiec należy, tak jak większa część panowania Karola W.; nie od rzeczy wszakże będzie krótki rys przynajmniéj tych długoletnich zapasów skreślić, tém bardziéj że i Francya w nich swój udział miała.

W ciągu ostatnich wojen Martela i Pepina mnóstwo twierdz i zamków w krainie Sasów zbudowano: w jednych zbrojne Franków załogi trzymały na wodzy lud okoliczny i służyły za tarczę opowiadaczom religii Chrystusa: inne były zasłoną Sasów przed wdzierającemi się co raz daléj Frankami. Te ostatnie, to burzone przez nieprzyjaciół, to znów po ich oddaleniu się odbudowywane, utrzymywały się choć w znacznie zmniejszonéj liczbie. W nich Sasi szukali przytułku dla swoich bogów, w nich składali swoje mienie i zdobyte łupy. Najznakomitsza między takowemi twierdzami była warownia Eresburg, niedaleko Paderbornu, w niéj stał posąg Irmina, przedmiot powszechnéj i najwyższéj czci Sasów (*). Tu Karol W. pierwszy cios wymierzył, w mylnéj nadziei że będzie dla Sasów śmiertelny. Szturmem wziął Eresburg (772), skruszył bożyszcze, z ziemią zrówna

(*) Irmin, Irminsul, Irminsäule, wyobrażenie najznakomitszego bóstwa Sasów. Był to posąg przedstawiający męża od stóp do głów uzbrojonego, z chorągwią w jednéj, włócznią w drugiéj ręce. Na tarczy obraz lwa, smoka i unoszącego się nad niemi orła, godła siły, mądrości i skutku tych dwóch przymiotów. Czy posąg ten przypominał Hermana pogromcę Rzymian, czy miał przedstawiać Wodina boga wojny, czy w ogóle był godłem męztwa, rzecz trudna do odgadnięcią.

warownię, i na tém miejscu wzniósł krzyż, godło zbawienia. Upokorzyli się Sasi, przyjęli warunki przymierza, dali zakładników, zemstę tłumiąc w piersiach. Karola tymczasem sprawy włoskie wzywały.

Dezyderyusz, król Lombardów, urażony na Karola za odrzucenie córki wezwał Adryana I papieża, by synów Karlomana koronował i władcami ojcowskiego królestwa ich uznał. Odrzucił żądanie papież, a król lombardzki z wojskiem do bram Rzymu się zbliżył. Karol wezwany przez ojca ś. nie ociągał się z pomocą, jedną kolumną przez górę ś. Bernarda, drugą przez Cenis do Włoch postępował. Zaszedł mu drogę Dezyderyusz i tak mężny stawił opór, że Karol o odwrocie już myślił, gdy wtém niechętni królowi swojemu lombardzcy leudowie udaną trwogą taki popłoch w całém wojsku roznieśli, że wszystko pierzchało bez ładu, opuściwszy nawet obozowe pociągi. Korzystał z tego król Franków i w też tropy pod mury Pawii podstąpił. Mężnie się bronił Dezyderyusz, silnie wsparty radami i walecznością starego Hunalda, akwitańskiego niegdyś xięcia, który z rąk Karola zręcznie się wymknąwszy, u Lombardów znalazł przytułek i nie małą téj wojny był podnietą. Sześć miesięcy trwało oblężenie, nędza w mieście najwyższego dochodziła stopnia, a Hunald do wytrwałości zachęcał: lud znękany sądząc go główną do zawarcia pokoju zawadą, w podniesionym rokoszu życia go pozbawił, i to Dezyderyusza do zaniechania bezskutecznego oporu skłoniło. Zdał się więc na łaskę zwycięzcy i resztę dni życia w klasztorze w Corbie przepędził; a Karol W. tytuł króla Lombardów przyjął (774), zwyciężonym zatwierdziwszy dawne ich prawa i zwyczaje.

Opuściwszy Włochy w szybkim pochodzie zdążał Karol nad Ren, gdzie go powstanie Sasów wzywało. Sasi bowiem korzystając z oddalenia króla Franków roznieśli pożogę w krainie heskiéj i dalszym posiadłościom Karola rabunkiem zagrażali. Szczupłe załogi niezdolne były skuteczny stawić opór zaciętym wrogom imienia Franków. Wśród krwawych utarczek w czasie téj wyprawy (774), hufiec saski zmieszany z Frankami, z żywno-

ścią do obozu wracającemi, dostał się do ich namiotów, rzeź okropną między niemi sprawił i z radością, jakby po złożonéj ofierze swym bogom, spokojnie do swoich wracał. Niespodzianie wpadł na nich Karol, w pień wszystkich wyciął i postrach na cały naród rzucił. Obecnością niezwalczonego wojownika spłoszeni Sasi proszą o pokój. Na polu majowém tegoż roku uchwalając wojnę postanowiono: w żadne nie wchodzić układy, żadnego nie dawać przebaczenia, pókiby Sasi nie ulegli zupełnie; musiał wszakże Karol odstąpić na ten raz swojego zamiaru, bo go znowu włoskie wzywały sprawy.

Adalgisus syn Dezyderyusza schroniwszy się do Konstantynopola, gdy nie mógł wyżebrać pomocy wschodniego cesarza, potrafił wzniecić bunt między lombardzkiemi leudami, którym Karol niepodległość zapewnił. Rodgausus, xiążę Friulu, stanął na czele spiskowych, do których należeli xiążęta Chiusi, Spoletu i Benewentu. Wcześnie przez papieża zawiadomiony Karol uprzedził zbuntowanych, xięcia Friulu wziął do niewoli (776) i śmiercią ukarał, a tym sposobem rzucił postrach na jego spólników. Zdaje się iż wtedy powstała marchia trewizańska czyli friulska, ważna bardzo dla Karola, bo ztąd zarówno Włochy, jak i Niemcy mógł trzymać na wodzy.

Tymczasem Sasi korzystając z oddalenia się Karola wzniesioną przez niego twierdzę Eresburg zdobyli i z ziemią zrównali, poczém podstąpili pod Siegeburg. Napadł na nich Karol, wracający z Włoch, nad Lippą, zniósł do szczętu, Eresburg na nowo obwarował. Zwyczajem swoim Sasi schronili się w lasy i bagna, część atoli przyjęła chrzest ś. i na nowo wiarę zaprzysięgła. Karol uspokojony, zimę w zamku swoim w Heristal przepędził. Na wiosnę (777) znowu Sasi powstawać zaczęli, Karol więc pośpieszył do nich, i prawie w samém środku Saxonii, w Paderbornie, pole majowe odprawił. Rozproszone po całym kraju hufce zbrojnych Franków zbierały naczelników pokoleń i innych znakomitych Sasów, pędząc ich na to uroczyste zgromadzenie. Tam wszyscy chrzest przyjąć musieli i złożyć przysięgę, że wierni Karolowi, wierni przyjętéj religii zostaną,

dobra zaś swoje jako lenność króla Franków dzierżyć będą. Już wtedy niepospolitą walecznością między wodzami Sasów zasłynął Witykind, naczelnik jednego z licznych pokoleń; ten zamiast do Paderbornu się udać, schronił się do króla duńskiego, unosząc z sobą zaród długich jeszcze walk z Frankami.

Jeszcze się nie skończyły uroczystości majowego pola w Paderbornie, gdy przed tronem Karoła stanął Emir Al-Arabi wielkorządca Saragossy i Abjatar wielkorządca Hueski oświadczając gotowość zaprzysiężenia wierności wazallów w zamian za pomoc przeciw srogości Kalifa Korduby Abderahmana, który, jeśli damy wiarę podaniom, bratu rodzonemu nogi i ręce poobcinać, a potém go na stosie spalić rozkazał. Zjawienie się hiszpańskich Saracenów z wielu miar pożądane było dla Karola: już to, że mu się nastręczała sposobność wojowania niewiernych po za Pireneami, już też, że widział dogodną porę rozszerzenia państwa w téj stronie, już nareszcie, że dzierżąc pas ziemi z drugiéj strony Pireneów zabezpieczy południowe prowincye Francyi, a zarazem utrzyma w uległości Akwitanów, których wierności ufać jeszcze nie mógł. Przyjął więc ofiarę Emirów i żądaną pomoc przyrzekł.

Odbywszy pole majowe w Akwitanii (778), na czele mnogich zastępów wkroczył do Hiszpanii przez Nawarrę, drugi zaś oddział pod naczelnictwem jednego z wodzów jego udał się przez Roussilon; obiedwie armie złączyły się pod murami Saragossy. Wszystkie ludy rozległéj Franków monarchii miały w obozie Karóla zbrojnych reprezentantów: Ostrazyanie, Burgundczycy, Akwitanie, Bawarowie i Lombardzi walczyli pod chorągwią potężnego monarchy. Saragossa nie mogła się długo trzymać w obec tak licznych zastępów, Pampelona szturmem zdobyta, Huesca, Jacca, Girona i Barcellona częścią dobrowolnie otworzyły bramy zwycięzkiéj armii, częścią przemocy uległy. W krótkim czasie Karol był panem całéj krainy między Ebrem a Pireneami, którą pod nazwą marchii hiszpańskiéj urządził. Wkrótce do odwrotu się zabrał: czy że skwar hiszpańskiego słońca nieznośnym był dla ostrazyjskich wojowników, czy że powziął po-

dejrzenie o wierności Emira Al-Arabi, czy zresztą, co najpodobniejsze do prawdy, że nowe w Saxonii rozruchy obecności jego wymagały.

W ciągu całéj wyprawy nie widział Karol żadnéj armii saraceńskiéj, ale za to w odwrocie Baskowie podjęli się pomsty swoich sąsiadów, a bardziéj jeszcze dawnéj swojéj klęski. Frankowie w całéj massie skierowali swój pochód przez Nawarrę i wracali przez wąwoz i dolinę Roncevaux. Zwinni górale, każdéj ścieszki, każdéj w górach kryjówki dobrze świadomi, czatowali póki główna armia nie przebędzie wąwozu, a gdy tylna straż i pociągi nadeszły, z zarośli przecinających drogę, z urwisk gór padają na Franków pod wodzą potomka Hunalda, xięcia swojego Lupusa, i wszystkich trupem kładą, całą zdobycz hiszpańską odnosząc w zysku. Najznakomitszych wodzów utracili wtedy Frankowie, z pośród których zachowane w powiastkach ludu imiona są: Olivier, Gui de Bourgogne, Riol du Mas, i słynniejszy nad innych Roland, którego gieniusz Ariosta uwiecznił: imię pamiętne w dziejach, rozpoczynające poczet średniowiecznego rycerstwa.

Zaledwie Karol przebywszy Pirenee stanął na ziemi akwitańskiéj, gdy go podwójne powstanie, we Włoszech i w Saxonii, wzywało. Natychmiast część zbrojnego ludu nad brzegi Wezery wysyła, sam z resztą do Włoch się udaje, gdzie Lombardowie, wsparci pomocą wschodniego państwa, rokosz podnieśli. Za jednym zamachem bunt we Włoszech uśmierzony, a Karol w pośrod Sasów staje. Oburzony zgwałceniem tylokrotnie zaprzysięganéj wierności, zwołuje znakomitszych mężów ze wszystkich pokoleń: zbiera się ich cztery tysiące pięćset, których Karol w pień wyciąć rozkazuje. Na ten czyn zimnéj srogości zamilkli nawet wielbiciele Karola, a Witykind, tém większą zapalony zemstą, wciągnął Duńczyków do wojny z Frankami, i w chwili gdy dwa wojska naprzeciw siebie stanęły, Sasi zwracają oręż przeciw swym panom i dwadzieścia cztery tysiące Franków trupem kładą. Odtąd Karol rozpoczyna wojnę wytępienia: obrażona miłość własna zdobywcy i cywilizatora, nie

mogąc przełamać zawady, zniszczyć ją z gruntu postanawia. Trzy potężne wojska wkraczają z trzech stron do Sasów dziedziny: w jednéj prawie chwili sto mil kraju w pustynię zamieniono, kilka tysięcy ludu w inne Niemiec okolice, lub do Francyi na osadników przeniesiono. I ta wszakże srogość pożądanego nie przyniosła skutku. Witykind z ocaloną częścią narodu nie pominął żadnéj sposobnéj pory do odwetu, jak duch złowrogi ścigał Karola w każdéj jego odleglejszéj wyprawie, płoszył na świetnych zgromadzeniach, póki nie złamał uporu zwycięzcy. Uległ konieczności Karol i z walecznym Witykindem wszedł w układy. Uzyskawszy zapewnienie praw swojego narodu wódz saski, przyjął chrzest, został Frankem i odtąd wiary nie złamał. Kilka lat minęło jak Sasi spokojnie władzę Franków znosili, gdy Karol rozesłał hrabiów swoich by w sprawy tego ludu wejrzeli. Surowość nowych rządzców oburzyła Sasów, wzięli się na nowo do broni i naprzód większą część tych urzędników wytępili. W kilkakrotnie wznawianych wyprawach niszczył kraj ich Karol, wytępiał ludność, wreszcie rozbiwszy obóz pod Oldenstadt (804), rozesłał rycerstwo swoje po kraju, spędził dziesięć tysięcy familij i przerzucił je do południowych Niemiec i Francyi. Był to ostatni cios dla Sasów, już odtąd nigdy się podźwignąć nie mogli. Długoletnich, z bezprzykładną srogością toczonych zapasów nie religia była powodem, owszem użył jéj Martel, Pepin, a osobliwie Karol, jako środka dla położenia tamy rozlewowi krwi; nieszczęściem nie mogła religia usunąć pierwszéj przyczyny, a tém samém zapobiedz tak okropnym klęskom. Istotném i jedyném źródłem złego była zacięta nienawiść dwóch jednego rodu plemion, która się co raz bardziéj wzmagała w miarę wzrastającéj cywilizacyi między Frankami. Ludzie czerwonéj ziemi, jak się dumnie sami zwali Saxonowie, swobodnie bujając po błoniach wśród rozległych lasów, w których wiewiórka siedm mil przebiegała po gałęziach drzew nie dotknąwszy się ziemi, znieść nie mogli granic, jakiemi Karol W. otaczał posiadłości ziemiańskie. Podział kraju, spis ludności, środki porządku i administracyi nie-

nawistne były dla Sasów. Jeszcze przez Azów swoich podzieleni na trzy ludy i dwanaście pokoleń, innych podziałów żadną miarą znać nie chcieli. Im bardziéj ich cywilizowali Frankowie, tém większa ku nim wzrastała nienawiść, tém silniéj obstawali przy swoich zwyczajach, tém uporniéj ich bronili.

Za nim jeszcze Saxonia ostatecznie uśmierzoną została Awarowie z Hunnami zapewne zmieszani, a przynajmniéj w tychże okolicach co i potomkowie Attyli osiedleni, ustawne to do Włoch północnych, to do sąsiedzkiéj Bawaryi, to zresztą z mieszkańcami Czech dzisiejszych połączeni, do pogranicznéj Saxonii łupiezkie zagony zapuszczali. Nie tyle wprawdzie straszne były ich napady, ile saskie rozruchy, nie obeszło się jednak bez trudów i krwi rozlewu. Chcąc raz tamę rabunkom dzikiéj tłuszczy położyć, Karol rozkazał xięciu Friulu z liczném wojskiem do ich siedlisk wkroczyć. Wyprawa pomyślnym uwieńczona skutkiem. Frankowie wdarli się w głąb siedlisk Awarów, zdobyli słynny w owoczesnych powieściach Ring (796), odwieczny skład łupów, u wszystkich niemal narodów zebrany. Kronikarze wysilają się na opisy zdobyczy, jaką się w tém miejscu Frankowie obładowali.

Przedziały wojny saskiéj pomniejsze zapełniały wyprawy: to załatwienie zatargów włoskich ludów z papieżem, to uśmierzenie powstania Bretonów, którzy nie bacząc na potęgę Karola do broni się wzięli (786). Krótka z niemi była walka, wodzowie Karola cały kraj z orężem w ręku przebiegli, w bagnistych nawet okolicach pozakładane warownie zdobyli, a przecież gdy w roku 799 powtórnie do Bretanii wkroczyli, zdawało się, mówi Eginhard biograf Karola, że kraj ten pierwszy raz pod władzę Franków przechodził. W dwanaście lat późniéj Karol nowe Bretonów powstanie z niemałym trudem przytłumić musiał. W Hiszpanii jak prędkie były zdobycze, tak krótka Franków władza. Emirowie dla uzyskania niezawisłości potrzebowali imienia potężnego władcy, by niém zatrwożyć Abderahmana, dopiąwszy celu swojego, o dochowaniu wiary ani pomyśleli. Gdy więc w czasie zgromadzenia narodu

w Akwisgranie stanął przed tronem Karola Abdallah, z prozbą o przywrócenie dziedziny ojca, wydartéj mu przez brata Haszema, chętnie pochwycił tę sposobność Karol i polecił synowi swojemu Ludwikowi, królowi Akwitanii, wkroczyć z wojskiem do marchii hiszpańskiéj. Za pierwszém Franków wstąpieniem na ziemię hiszpańską, cała Nawarra poddała się, Barcellona i Tortosa mocą zdobyte zostały, i w całéj marchii władza Karola ustalona. W tym samym czasie Karol przeszedł Elbę i znaglił słowiańskie Obotrytów pokolenie do zaprzysiężenia wierności, sąsiadów ich Wilców do szanowania granic przymusił. Z królem duńskim zawarł przymierze, mocą którego rzeka Eider obadwa państwa rozgraniczała.

Nieprzerwaną prawie walką w ciągu lat trzydziestu dobił się wreszcie Karol nadziei spoczynku i swobodniejszych rządów. Na wiosnę 799 roku zwołał do Paderborn pole majowe. Świetniejsze to było zgromadzenie nad wszystkie, jakie dotąd odbył Karol. Tu mu się przedstawili posłowie Haruna Al-Raszida, sławnego Kalifa Bagdadu. Był to Karol wschodu, równy mu w męztwie, nie ustępujący w mądrości rządów: obudwóch jednakowy blask sławy otaczał. Cesarstwo wschodnie w niepewnych swoich granicach ich przedzielało, lecz właśnie w tym punkcie jednoczyły się ich interesa. Bogate dary, zadatki przyjaźni, złożyli posłowie Haruna, między niemi słoń, zegar bijący i organy, największego podziwu stały się przedmiotem: inni dziejopisarze, z większém do prawdy podobieństwem, organy do darów cesarza wschodniego zaliczają. Obok tego przybył posłaniec patryarchy jerozolimskiego składając Karolowi najmilsze może upominki, klucze świętego grobu i chorągiew Jerozolimy. Stąd kronikarze, mało baczący na charakter osób, wnieśli, że dary te przez samego Haruna, lub przynajmniéj z wiedzą jego przesłane, godłem odstąpienia świętego miasto być miały. Świetny orszak Karola zdobili w znacznéj liczbie zebrani xiążęta wazallowie jego, i dwaj synowie w dzieciństwie jeszcze koronowani, Pepin królem Włoch, Ludwik królem Akwitanii. Najważniejszą atoli osobą całego zgromadzenia

był Leon III papież, przybyły z prośbą o pomoc przeciw niesfornym Rzymianom. Nie odmówił jéj Karol, lecz w zamian ułożył się z papieżem o przyznanie korony cesarskiéj. Władca rozległych krajów od Elby do Ebru, od Raby do Oceanu, sławą potęgi brzegów Afryki i Eufratu sięgający, zapragnął tytułu, któryby go nad wszystkie wielkości świata wywyższał. Małym był dla niego tytuł króla, bo go powszechne wówczas przekonanie w drugim rzędzie stawiało. Prócz tego rozrządzał on Rzymem, a przecież Rzymianie, długiém do tytułu nawyknieniem, cesarzów wschodnich za prawych swoich panów uznawali: wypadało więc rzeczywistą władzę tytułem uprawnić. Zyskawszy zatém przychylność papieża, odesłał go w liczném gronie duchowieństwa i możnych panów swoich, a sam naglejsze sprawy państwa załatwiwszy w listopadzie (800) pośpieszył do Rzymu.

Świetne było przyjęcie Karola przez papieża: siedm mil od stolicy chrześciaństwa, licznym orszakiem biskupów i wyższego duchowieństwa otoczony ojciec święty, powitał Karola i jakby już rzeczywistego cesarza do miasta, wśród radosnych okrzyków ludu, wprowadził. Niedługo nadeszła uroczystość Bożego Narodzenia; papież odprawił zwykłe nabożeństwo, na którém Karol z całym dworem był obecny: po skończonych obrzędach zbliżył się do króla klęczącego jeszcze przed ołtarzem i wieńcząc skronie jego cesarską koroną, wyrzekł starożytną, uroczystą formułę, którą lud i zebrane duchowieństwo z radośném uniesieniem trzy kroć powtórzyło: »Karolowi Augustowi, ukoronowanemu od Boga, wielkiemu i spokojnemu Cesarzowi Rzymian, chwała i długie życie!« Doszedłszy tego stopnia Karol W. mógł już swobodnie używać owoców swojéj chwały. Część wojenna panowania jego zdaje się być skończona, ostatnie czternaście lat niemal same poselstwa, świetne zebrania narodu i rozliczne urządzenia zapełniają.

ROZDZIAŁ IV.

OSTATNIE LATA PANOWANIA KAROLA WIELKIEGO.— URZĄDZENIA JEGO.

W obliczu licznego grona duchownych, dworzan i ludu, ile go tylko obszerna Ś. Piotra bazylika objąć mogła, zdawał się Karol W. nieukontentowanym, jako niespodzianie uroczystością koronacyjną podchwycony. Eginhard, w życiu tego monarchy, mówi: że po odbytym obrzędzie odezwał się Karol W. do swoich: »Chociaż w dniu dzisiejszym największa przypada uroczystość, przecież nie byłbym się udał do kościoła, gdybym był przewidział zamiary papieża.« Mimo to jednak zaraz urządził dwór swój na sposób cesarski i przyjął ceremoniał dworu bizantyńskiego. Mnóstwo królów podwyższało okazałość cesarskiego pałacu, towarzyszyli oni Karolowi w jego wyprawach aż do zapadłych kniei bawarskich. Alfons, król Aragonii, roztoczył pod nogi jego bogate kobierce zdobyte w Lizbonie. Edryzytowie z Fezu złożyli mu poszanowanie przez swoich posłów. Pałac akwisgrański (Aix-la-Chapelle) jaśniał złotem, a nadewszystko szacownemi marmurami, których dostarczył Rzym i Rawenna. Jeden już tylko krok zostawał, aby nadać cesarstwu rzymskiemu postać, jaką miało za Teodozyusza W.— tém właśnie był zamiar zaślubienia się Karola z cesarzową wschodnią Ireną. Kto pierwszy tę myśl podał, rzecz do wykrycia niepodobna, to tylko wspominają kroniki bizantyńskie, że Aecyusz, wódz straży przybocznéj, widząc cesarzową skłonną do przyjęcia ręki Karola, rzecz całą skrzyżował w widokach utorowania drogi do tronu wschodniego bratu swojemu Leonowi, wielkorządzcy Tracyi i Macedonii. Nie udały się jednak zabiegi wodza, sam padł ich ofiarą, Irena musiała ustąpić tronu Niceforowi, a Karól W. nadzieje swoje zniweczone ujrzał (803).

Sława oręża Karola W. odległych krańców ziemi dosięgła, lecz imię jego znakomitszém się stało w dziejach przez urządzenia i prawa jakie ludowi swojemu nadał. Chciał on ko-

niecznie nowe rozniecić światło, ogładzić barbarzyństwo, zrównać cywilizacyą różnych pokoleń berłu jego uległych i na stałych oprzeć ją zasadach. W tych usiłowaniach trzeba śledzić Karola, chcąc poznać jego ducha, uchwycić geniusz i ocenić wielkość. Trzeba go widzieć otoczonego biskupami i wyższém rycerstwem, aby podziwiać mądrość jego. Zgromadzenia rycerstwa do pierwiastkowych zwyczajów Franków należą; synowie Klodowika zwoływali je w pierwszych dniach Marca, każdemu z wolnych Franków wstęp do nich otwierając. Pepin mały w Maju je odbywał i Karol nie zmieniał raz zaprowadzonego w tym względzie zwyczaju. W pałacu, w którym się podobało królowi chwilową założyć stolicę, zbierali się, lecz tylko wezwani przez niego, biskupi i leudowie i nad wniesionym przez niego, lub z woli jego przedmiotem z zupełną wolnością naradzali, ostateczne atoli postanowienie wyłącznym władzy monarchy było przywilejem. Zgromadzenia były punktem środkowym administracyi Karola W.; tu odbywały się sądy, tu układano prawidła rządu, przyjmowano posłów zagranicznych, rozważano powody wojny i warunki pokoju. Postanowienia tych zgromadzeń, skoro uzyskały potwierdzenie królewskie w takim razie stawały się niewzruszone, nieodwołalne. W uchwałach zgromadzeń kapitularzami zwanych, zawiera się cała myśl rządu ówczasowego, zbiór ich sprawiedliwie nazwaćby można kodexem Karola W. Były za czasów Karola zgromadzenia mniejsze, corocznie w jesieni zwoływane, do których najznakomitsi tylko panowie należeli. Na tych zgromadzeniach zajmowano się jedynie przygotowaniem projektów na wielkie majowe zgromadzenia. Podobneż zgromadzenia po prowincyach, pod przewodnictwem posłanników cesarskich, lub hrabiów, cztery razy do roku zwoływano: wymiar sprawiedliwości głównym był ich przedmiotem.

Jak tylko kapitularz ułożony i przez Karola zatwierdzony został, posłannicy królewscy (missi dominici), wierny odpis jego do wyznaczonéj sobie prowincyi nieśli i tam zgromadzonemu ludowi ogłaszali; odbywali oni przegląd swojéj prowincyi, wcho-

dzili w postępowanie urzędników. Byli oni czujném okiem Karola, rozniaśniającém akta zarządu możnowładzców, których potęga niepokoiła monarchę. Posłannicy zdawali królowi sprawę ze swoich czynności na ogólnych zgromadzeniach, i z nowym kapitularzem wracali na swoje miejsca. Biskupi oświeceniem nad innych górujący, byli duszą takowych zgromadzeń, do nich należał układ praw: dla tego też znakomita liczba kapitularzy z roku 813 w samych pytaniach, osóbno do niższego duchowieństwa, osóbno do Biskupów i Opatów, zastosowanych, zalecają ścisłe pełnienie obowiązków powołania duchownego, niemieszanie się do spraw obcych temuż powołaniu. Kapitularze z lat poprzednich uwalniając duchownych od służby wojskowéj, zabraniają im nosić broni, bawić się polowaniem; nakazują uległość starszym i przełożonym; urządzają dochody duchowieństwa, stanowią dziesięcinę, z poleceniem sumiennego jéj składania; znoszą przymus, jakiego często używano wtrącając do stanu duchownego osoby stojące na zawadzie bąć w majątkowych, bąć w innych interesach; co się tyczy kobiet zastrzeżono, iż przyjmowane być mają do klasztorów wtedy, gdy dojdą wieku, w którym będą umiały obierać i znały to, co obierają. W jednym z takowych kapitularzy, jurisdykcya duchowna odłączona od świeckiéj, we wszystkich punktach ściśle określona została. W innym postanowiono karę na krzywoprzysiężców (ucięcie ręki), ograniczono prawo schronienia, stanowiąc, że niewolno przemocą wydobywać winowajcę z kościoła, ale zarazem zabraniając mu dostarczania jakiegokolwiek zasiłku; złodziéj pierwszy raz schwytany, ulegał karze utraty oka, za drugim razem odejmowano mu nos, a za trzecim karano śmiercią. Czarnoxiężnicy karani byli więzieniem, z którego wszakże mogli się uwolnić, wyprzysięgając się swoich błędów. Istnącego dotąd postępowania sądowego nie zmieniał Karol, sądy boże (ordalia) utrzymał, ściśléj je określił, prawa za Pepina postanowione w ich mocy zachował.

Ludzie zostający pod klątwą kościelną, nizkiego stanu i cudzołożnicy nie mogli świadczyć. Niestawienie się obwinionego

przed sądem, za przyznanie zbrodni uważano. Fałszywy oskarżyciel podlegał karze na przypisywany przezeń występek oznaczonéj. Otrucie, morderstwo, ojcobójstwo, karane było okupem (wergeld) do stanu osób zastosowanym. Kara śmierci groziła jedynie spiskowym i niepoprawnym złodziejom.

Mimo wybitną dążność Karola W. do zjednoczenia całego narodu przed majestatem prawa, przecież po za obrębem ogólnych ustaw trzeba było koniecznie różnorodnym ludom, do zlewu wielkiéj Franków monarchii należącym, zostawić ich pierwiastkowe zwyczaje i nałogi; tą tylko ceną można było okupić zabezpieczenie materyalnych interesów każdego. Dla tego też cesarz kazał ogłosić dawne prawa Franków salickich i rypuarskich, prawa Sasów i Lombardów. Wszystkie wprawdzie uległy pewnym zmianom, pozostały jednak na niewzruszonéj podstawie prawa okupu, zachowując tym sposobem piętno nieokrzesanego wieku. Mocą niezłomnego oręża uspokoiwszy po wszystkich stronach olbrzymie państwo, silił się Karol na zaprowadzenie stałego w niém porządku i utwierdzenie téj spokojności, którą jego powaga i żelazna wola utrzymywała. Dla tego też nie ma przedmiotu, do któregoby troskliwości swojéj nie rożciągnął, któregoby w karby prawa nie ujął. Ogłaszał kapitularze obejmujące prawa kanoniczne; inne, w których przepisy karne zamieścił; inne, któremi sprawy cywilne określił; inne jeszcze, któremi obowiązki obrony kraju i zasilania skarbu cesarskiego oznaczył; wreszcie nie przepomniał o handlu, choć nader ograniczonym wówczas u Franków, wdał się w drobiazgowe nawet oznaczenie cen towarów, położył tamę wdzierającemu się zbytkowi w ubiorach. W tym atoli ostatnim razie sam własnym przyświecał przykładem. Ubior potężnego cesarza, za świadectwem Eginharda, nie różnił się w niczém od stroju pospolitego Franka. Na wełnianą suknię, po krańcach jedwabiem przeszywaną, zarzucał zwykle długi płaszcz błękitny, żadnych wcale nie używając ozdób. Dla tego kapitularzem z 808 roku zastrzegł, iżby nikt podwójnego płaszcza nie ważył się drożéj sprzedawać, ani płacić nad 20 soldów, prostego nad

dziesięć. Futrem wydry lub łasicy wykładana suknia trzydzieści soldów, futrem kociem obszyta dziesięć tylko miała kosztować. Przestępujący to prawo ulegał karze czterdziestu soldów na skarb cesarski, i dwudziestu dla donosiciela.

Gdy Klodowik podbicie Gallii zamierzył, nie miał ani złota, ani srebra, mówi Grzegorz Turoneński, Teodoryk najstarszy syn jego, cieszył się nadzwyczaj, że z łupów zdobytych srebrna czara dostała mu się w dziale. Za Dogoberta pierwszego już większy przepych wkradał się do Franków, a pod następnemi Merowingami zbytek wzrastał codziennie. Szczęśliwe wojny za Karola bogaciły rycerstwo, a częste do Włoch wycieczki oswajały ich z przepychem wschodu, za pośrednictwem kupców weneckich i greckich. Frankowie skwapliwie przejmowali mody włoskie i bizantyńskie i przywożone stamtąd stroje drogo płacili. Nie lubił tego Karol i nietylko prawem, ale różnemi środkami zapobiegał téj kobiecéj skłonności. Łajał, przekonywał, czasami w przykrym sposobie niedorzeczność kosztownych strojów uczuć dawał. W czasie wyprawy włoskiéj, kupcy weneccy przywieźli z Konstantynopola różnobarwne ubiory jedwabne, kosztownemi futrami wykładane; wnet rzucili się do nich z zapałem dworzanie Karola i wysoką nader ceną opłacili. Cesarz upatrzywszy dzień słotny, wystrojonych dworzan wezwał z sobą na polowanie, sam zaś przywdział prosty kożuch spięty na jedném ramieniu, aby tém dogodniéj od wiatru i słoty mógł się zasłonić. Na wieczór przemokli towarzysze łowów zasiedli do stołu cesarskiego drżąc od zimna. Nazajutrz rano wszyscy stawić się musieli w pałacu w ubraniu wczorajszém zszarzaném, podartém: wtedy Karol wskazując na swój kożuch, odezwał się: »Niebaczni! jakież teraz futro lepsze i dogodniejsze, czy moje za jeden sold, czy wasze stami, a może tysiącami opłacone?«

Jeżeli zdumiewające są usiłowania Karola w zaprowadzeniu jakiegokolwiek porządku w tym zamęcie ogromnego państwa, w zjednoczeniu części różnorodnych, które się bezustannie rozrywały, odpychając się nawzajem; tedy niemniéj podziwienia

godne jego trudy około rozkrzewienia oświaty, pośród rycerstwa, które na umiejących czytać i pisać z pogardą patrzyło. Po zajęciu Pawii, w wojnie z Dezyderyuszem królem lombardzkim, wezwał do boku swojego Karol, sławnego w szkole tamtejszéj nauczyciela Piotra, od rodzinnego miasta Pizańskim zwanego, uważając go za najszacowniejszą część zdobyczy. Przyzwał także do siebie Pawła Warnefrida, dziejopisa lombardzkiego, i polecił mu spisanie homilij dla duchowieństwa Franków. W czasie pybytu swojego w Rzymie (797), zebrał znakomitą liczbę nauczycieli grammatyki, arytmetyki, i śpiewu, których po rozmaitych zakładach swojego państwa umieścił. Theodulf, z rodu Gotów włoskich, biskup orleański, znakomity poeta, Leidrade z Noryku, arcybiskup lugduński, listami swojemi sławny, należeli do czynnych pomocników Karola w zamiarze rozszerzania nauk; Paulin z Akwilei nie raz udzielał mu rady nie opuszczając swojéj ojczyzny. Najgłówniejszymi wszakże uczestnikami usiłowań cesarskich byli: Benedykt z Anienu, syn hrabiego Magellony w gockiéj krainie, Klemens Szkot i szczególniejszy ulubieniec Karola Alkuin, z rodu osiadłych w Wielkiéj Brytannii Saxonów. Pierwszy z nich zajął się urządzeniem klasztorów, zniósł zaprowadzoną przez Ś. Kolumbana regułę i wszystkim zakonnikom ustawę Ś. Benedykta ściśle pełnić polecił. Drugiemu poruczył Karol kierunek założonéj przez siebie szkoły. Trzeci był duszą pałacowéj akademii. Opis przybycia Klemensa do Gallii, w kronice owczasowéj zawarty, dość naiwny i ducha czasu wyświecający, zdał mi się godnym dosłównego przekładu.

»Zdarzyło się, że na brzegach Gallii wylądowali z kupcami brytańskiemi dwaj Szkoci z Hibernii (Anglii), ludzię nieporównanéj znajomości pism świeckich i świętych. Nie rozkładali oni żadnego towaru, lecz codziennie, do tłumów przybywających w celu kupowania, odzywali się: jeżeli kto pragnie mądrości, niech przyjdzie do nas, niech ją odbierze, mamy ją bowiem na sprzedanie... Nareszcie tak długo wołali, że ludzie zdziwieni, albo sądząc ich za obłąkanych, postarali się iż rzecz

ta doszła do uszu Karola zawsze namiętnego miłośnika mądrości. Ten wezwał ich do siebie jak najśpieszniéj i zapytał ich, czyliby prawdą było, co z wieści powziął, że przywieźli z sobą mądrość. Oni rzekli: mamy ją i w imię bozkie użyczamy tym, którzy jéj godnie szukają. A gdy ich pytał coby żądali w zamian, odpowiedzieli: miejsca dogodnego, stworzeń pojętnych, i tego, bez czego obejść się nie można w pielgrzymce na tym padole, żywności i odzienia. Król uradowany zatrzymał ich niejaki czas przy sobie. Potém zmuszony przedsiębrać wyprawy wojenne, rozkazał jednemu z nich zwanemu Klemensem, zostać w Gallii, powierzył mu znakomitą liczbę dzieci wysokiego, miernego i nizkiego rodu, kazał im dostarczać żywności według ich potrzeb i dał pomieszkanie wygodne. Drugiego (Jana Mactros) ucznia Bedy, posłał do Włoch i nadał mu klasztor Ś. Augustyna, blizko Pawii, aby tam otworzył szkołę. Na te wieści, Albin, zwany Alkuinem, z rodu Anglów, uczeń sławnego Bedy, widząc jak Karol, najpobożniejszy z królów, przyjmuje mędrców, wsiadł na okręt i udał się do niego... Karol dał mu opactwo Ś. Marcina niedaleko miasta Tours, w tym celu, aby w czasie niebytności króla miał gdzie spocząć i nauczać tych, którzy się zbiegali dla słuchania jego nauki. Mądrość jego takie wydała owoce, że teraźniejsi Gallowie czyli Frankowie uchodzą za równych Rzymianom i Ateńczykom starożytnym.»

Cała ta jednak gorliwość cesarza nie tyle może wpływała na odrodzenie i rozkrzewienie nauk, ile sposób jakim umiał podwyższyć ich zaszczyt, ucząc się sam z wielką pilnością i doglądając uczących się. Uczył się języka łacińskiego, poświęcał się astronomii, grammatykę wykładał mu Piotr z Pizy; retorykę zaś, dyalektykę i inne umiejętności ulubiony Alkuin: przyjaciele, krewni cesarscy, chcąc nie chcąc musieli podzielać naukowe prace Karola, córki nawet jego przypuszczone były do tajemnic mądrości. Tym sposobem utworzył się pewny rodzaj akademii, szkołą pałacową zwanéj, któréj sam cesarz pod imieniem króla Dawida przewodniczył, a członkami byli xiążęta rodziny cesar-

skiéj i najsłynniejsi czasów owych uczeni, pod przybranemi nazwiskami Homera, Wirgilego, Horacyusza, i t. p. Było to poniekąd odświeżenie dawnéj szkoły pałacowéj cesarzów rzymskich, daleko atoli w świetniejszym sposobie, gdyż uczniami szkoły Karola byli sami naczelnicy państwa.

Pod szczególną opieką cesarza, a pod bliższym dozorem Klemensa, o którym wyżéj namieniliśmy, była początkowa szkoła dzieci, których wychowanie cesarz przyjął na siebie. Mnich z St. Gallen, w kronice swojéj tak opisuje zajęcie się Karola postępem uczniów téj szkoły: »Gdy po długiéj nieobecności zwycięzca Karól powrócił do Gallii, kazał sobie przedstawić dzieci, które powierzył Klemensowi, i chciał widzieć ich pisma i wiersze. Dzieci średniego i nizkiego rodu okazały ćwiczenia, przewyższające wszelkie oczekiwania, zalecone wyborną zaprawą mądrości; dzieci zaś szlachetnego rodu złożyły czcze i niedorzeczne prace. Wtedy mądry król, naśladując sprawiedliwość sędziego przedwiecznego, tym, którzy dobrze wykonali swoje zadania, kazał przejść na prawą stronę i w te się do nich odezwał słowa: »Dzięki wam, moje dzieci, żeście się z całéj siły przykładali do pracy, stosownie do mojego rozkazu i dla własnego dobra. Teraz starajcie się o co raz wyższe wydoskonalenie, a ja wam powierzę wspaniałe biskupstwa i opactwa, i zawsze będziecie szacownymi w moich oczach.« Po czém ku stojącym na lewéj stronie zwrócił zagniewane czoło, a mieszając ich sumienie ognistém wejrzeniem, grzmiącym głosem wyrzekł do nich tę straszną odezwę: »Wy zaś szlachetni, synowie możnych, delikatne i ładne lalki, dumni urodzeniem i bogactwy, lekce ważyliście moje rozkazy, sławę własną i naukę, oddaliście się zniewieściałości, zabawom i próżniactwu, albo bezkorzystnym ćwiczeniom«. Po takowym wstępie wznosząc ku niebu dostojną głowę i niezwyciężone ramię, piorunującym głosem zwyczajną swoją powtórzył przysięgę: »Na króla niebios zaręczam, że mnie bynajmniéj nie obchodzi wasze szlachectwo i wasza piękność, jakkolwiek inni to podziwiają; pomnijcie na słowo moje, jeżeli przez szczególną gorliwość nie poprawicie dawnego zaniedbania, nigdy nic od Karola nie otrzymacie.«

Łatwo się domyśléć że troskliwość cesarza o wychowanie dzieci nie samym pałacem się ograniczała: pisał on do wszystkich biskupów, zachęcając ich, aby się starali podźwignąć dawne szkoły katedralne i opackie; co większa, sam wskazał porządek nauk. Dwojakiego rodzaju były te szkoły: w początkowych miano uczyć psalmów, śpiewu, rachunków i grammatyki; w wyższych pisma świętego i reszty sztuk wyzwolonych. Ostróżność do tego stopnia posunął, że sam posyłał pytania biskupom, uczniom i zakonnikom, na które odpowiadać musieli. Nadewszystko czuwał aby pismo święte skażeniu nie uległo i dla tego największą baczność zwracał na poprawę błędnéj owych czasów pisowni: z tego także powodu kazał zarzucić barbarzyńskie i nieczytelne z czasów Merowingów pismo, a przyjąć natomiast mniejsze i większe charaktery rzymskie.

Niezmordowany umysł Karola marząc ciągle o zaprowadzeniu jedności w tak różnorodném państwie, umiał się zniżyć do najdrobniejszych szczegółów, do osiągnięcia głównego celu w jakikolwiek sposób pomagających. Ileż to pracy i zabiegów kosztowało Karola zaprowadzenie jednostajności w śpiewach kościelnych, a przecież niesforność dźwięków pozostała. Naprzód sprowadził z Rzymu nauczycieli śpiewu i tych po różnych katedrach rozesłał. Czy zazdrość Włochów, a stąd nieszczere wzięcie się do rzeczy, czy téż niechęć duchowieństwa francuzkiego, nie pozwoliły Karolowi cieszyć się pomyślnym skutkiem starań łożonych; rozgniewany odesłał włoskich śpiewaków, a wybrawszy między swoimi duchownymi dwóch najzdolniejszych, wysłał ich na naukę do Rzymu, a wykształconych należycie umieścił, jednego przy pałacowéj kaplicy w Akwisgranie, drugiego odesłał do Metz, aby pod szczególnym dozorem Drogona, syna cesarskiego, założył szkołę śpiewu gregoriańskiego, który tym sposobem szybko się upowszechnił, zyskawszy drugą nazwę, śpiewu z Metzu. Była to ważna w owéj chwili nauka, niepospolite miejsce między siedmią sztukami wyzwolonemi zajmująca: dla tego też na pochwałę Leidrada, arcybiskupa lugduńskiego,

przytaczają, że w dyecezyi swojéj miał tak biegłych śpiewaków, iż zdolni byli ukształcić innych.

Co się tyczy reszty umiejętności, zdaje się iż więcéj zyskiwały szacunku niż zamiłowania. Nie widać śladu nawet geografii, prócz wzmianki o Wirgilim, biskupie salzburskim, który zgadł raczéj, ale nie odkrył byt Antypodów. O lekarzach jest wzmianka w pismach téj epoki, musiano więc zajmować się sztuką lekarską, ale zapewne poprzestając na starożytnych podaniach, nic bowiem nowego nie widać. Alkuin ułożył traktat geometryi, uczył astronomii w szkole pałacowéj i w klasztorze turoneńskim: Karol W. szczególne miał upodobanie w téj nauce. Na jakąż zasługuje pochwałę, jakiegoż godzien podziwienia potężny władca rozległego państwa, który dla tém skuteczniejszego zachęcenia do nauk nieokrzesanych ludów swoich, sam się poświęca nauce nudnéj, długiéj i mozolnéj. Karol W. uczył się łacińskiego języka, i tyle w nim postąpił, iż poprawniéj mówił i pisał tym językiem, niż nie jeden biskup lub opat. Grecki język rozumiał, a nawet nie źle nim mówił. Poświęcał się astronomii, dyalektyce, grammatyce, przypisują mu nawet, choć podobno bezzasadnie, ułożenie grammatyki niemieckiéj. Wreszcie z nadzwyczajną pilnością uczył się pisać. Tak wielki i wspaniały przykład, powinien był znaleźć naśladowców, i znalazł ich mnóstwo, lecz tylko dla oka cesarskiego.

Żeby nic nie brakło do sławy wielkiego męża, trzeba było do zaszczytów bohatyra, prawodawcy, rządcy, dołączyć wziętość literacką. Prócz mnóstwa listów do cesarzów wschodnich, do papieża, sąsiedzkich monarchów i znakomitych nauką mężów pisanych, przyznawają Karolowi talent rymotwórczy, objawiony w ułożonych przez niego wierszach, jako to: nagrobek papieża Adryana, dwa krótkie poemata na pochwałę Pawła Warnefrida, jeden epigrammat i kilka wierszy w podobnym rodzaju. Język niemiecki jemu winien nazwiska dwunastu miesięcy i głównych wiatrów. Z jego polecenia zebrano starożytne śpiewy Franków, jedyny pomnik ich języka i dziejów. Za jego także dzieło poczytują tak nazwane księgi karolińskie. Religijne

spory na wschodzie spowodowały Irenę cesarzową do zebrania jeneralnego soboru w Nicei (787), na którym jedynym przedmiotem narady była cześć obrazów, punkt sporny dwóch zaciętych stronnictw. Sobor godząc zwaśnione umysły, postanowił, iż należy się szanować krzyż, godło zbawienia, obrazy zbawiciela, matki bozkiéj i świętych pańskich, można przedniemi palić świece, kadzidło, można je z pokorą całować; lecz nie mają one być przedmiotem czci, samemu Bogu należnéj. Zasada tak jasna, niewiadomo jakim sposobem, stała się dla duchowieństwa Franków niezrozumiałą. Zebrani w Frankfurcie (794) z całego państwa Karola biskupi, z Niemiec, Gallii, Włoch i Hiszpanii do posiadłości jego należącéj, w liczbie trzechset, odrzucili ustawę Soboru nicejskiego, przez trzystu pięćdziesięciu biskupów wschodnich podpisaną; z tego jedynie powodu, że mniemano jakoby klątew rzeczonego soboru groziła tym, którzy bozkiéj czci obrazom zaprzeczą. Ustawa frankfurtskiego soboru w czterech xięgach zawarta, nosi imię xiąg karolińskich, o których wyżéj wzmiankowaliśmy. Za autorą ich niektórzy uważają Karola, inni przypisują je Angelramowi, inni znowu Alkuinowi: najpodobniejsza wszakże, że sobor pod przewodnictwem Karola odbyty, pod jego wpływem i baczném okiem xięgi rzeczone ułożył, i dla zaszczytu imię karolińskich im nadał. Toż samo wnosić należy o ułożonych na tymże soborze trzech listach przeciw Felixowi z Urgelu, biskupowi hiszpańskiemu, który z całą swoją Adopcyanów sektą za kacerza poczytany został, a listy dotąd imię Karola noszą.

Różnica zdań dwóch soborów naturalne miała powody w ich względném położeniu. Biskupi zachodni, świadkowie, a w zakresie swojego powołania uczestnicy walk z bałwochwalskiém pogaństwem na północy, ostróżni być musieli w przedmiocie czci obrazów; przeciwnie biskupi wschodni z innego stanowiska zapatrywali się na tęż cześć, mając nad karkiem Arabów niszczących obrazy i gnębiących religią. W najdrzaźliwszém atoli położeniu ujrzał się papież Adryan: z jednéj strony unikał sporów z Karolem, z drugiéj strony przyjął uchwałę nicejskiego

soboru: szczęśliwe pogodzenie dwóch tak sprzecznych interesów nastręczył mu sam król Franków. Ogłaszając bowiem uchwałę frankfurtskiego soboru, upominał aby obrazów nie niszczono, aby je szanowano przez wzgląd na świętych pańskich, których są wizerunkami: tym sposobem papież wykazał zgodność ksiąg karolińskich z duchem postanowień soboru nicejskiego, nie przyjmując ich zatém, nie obraził króla.

Gdy Karol W. przewodniczy rozprawom teologicznym, marzy o przywróceniu rzymskiego cesarstwa, uczy się grammatyki, gromi niesforność kościelnych śpiewów; wtedy panowanie Franków kruszy się zwolna wewnątrz. Włości jedne po drugich wypadają z rąk królewskich i wraz z ludźmi przechodzą pod władzę możnych panów, to jest pod władzę miejscową, z któréj się niebawem feodalna anarchia wyrodzić miała. Zewnątrz, granice niepewne; we Włoszech napróżno otarł się cesarz o Benewent i Wenecyą; w Niemczech musiał się usunąć od Odry do Elby i w opuszczonym kraju uznać przewagę Słowian. Pokonawszy Sasów i Bawarów, wszedł w sąsiedztwo z równie strasznymi Słowianami i Awarami: po za Ebrem groźny pozostał kalifat Korduby. Zewsząd opasany barbarzyńcami, za pierwszém wprawdzie natarciem, wszędzie łamał ich potęgę, wnet atoli wracali oni dwakroć i trzykroć silniejsi; jakże więc ustawnie się ścierać, ciągle walczyć z nowémi coraz nieprzyjaciołmi? Gdy wreszcie ciągłym bojem strudzone ramię opadało, wtedy pojawił się ów fantastyczny świat północny, na który za mało baczono. Byli to rzeczywiście Germanowie, żądający rachunku od Germanów wyrodnych, którzy się przekształcili na Rzymian i nazwali cesarstwem.

Gdy raz Karol W. zatrzymał się w Gallii narbońskiéj, skandynawskie łodzie zawinęły do portu w celu rabunku. Jedni mniemali, że to są żydowscy kupcy z Afryki, inni poczytywali ich za Bretonów; Karol jeden poznał ich po lekkości i zwinności statków: »Nie są to kupcy, rzekł, lecz okrutni nieprzyjaciele.« Wysłana pogoń już ich doścignąć nie zdołała. Wtedy cesarz podniosłszy się od stołu, powiada kronikarz, stanął przy

oknie na wschód wychodzącém i łzami się zalał. Nikt nie śmiał się pytać cesarza, lecz on sam odezwał się do otaczających go panów: »Wiecież moi wierni, dla czego tak gorzko płaczę? O zapewne nie z obawy, aby mi ich nędzne rozboje szkodzić co mogły; lecz trapi mnie niezmiernie, że za życia mojego poważyli się zbliżyć do brzegów, przewiduję bowiem jakie nieszczęścia sprowadzić mogą na moich potomków i ich poddanych. A tak krążą już do koła cesarstwa flotty duńskie, normandzkie, greckie i saraceńskie, jak sęp w górnych szlakach unosi sie poważnie nad konającym, pełen otuchy rychłego miéć trupa.» Raz dwieście zbrojnych łodzi napada na brzegi Fryzyi, ładują obfite łupy i znikają. Karol W. tymczasem zgromadzał wojsko dla ich odparcia. Za drugim napadem, zbiera ludzi w Gallii i Germanii i nie dosięgnawszy nieprzyjaciela, buduje we Fryzyi miasto Esselfeld. Nieszczęśliwy zapaśnik, zwolna przykłada rękę do rany, dla zastawienia się od ciosu już odebranego.

Gotfried, król normandzki, powziął nadzieję owładnięcia całéj Germanii; Fryzyą i Saxonią uważał już za swoje, Obotrytów znaglił do haraczu, i głośno się chełpił że niebawnie z wojskiem przybędzie do Akwisgranu stolicy Karola. Płonne to były przechwałki, wielu jednakże mniemało, iż mógł był się odważyć na cóś podobnego, gdyby go przedwczesna śmierć nie zaskoczyła. Ztém wszystkiém cesarstwo przedsięwzięło środki ostróżności; łodzie zbrojne stanęły na straży przy ujściu rzek spławnych, ale niepodobna było wszystkich wybrzeżów obwarować. Tak więc Karol trudząc się całe życie nad zaprowadzeniem jedności w państwie, musiał je nakoniec podzielić dla tém pewniejszéj obrony; jeden z synów jego ma strzedz Włoch, drugi Niemiec, a trzeci bronić będzie Akwitanii. Lecz wszystko się spiknęło przeciw Karolowi: dwaj starsi synowie umierają; całe więc państwo rozległe, ale osłabione, musi przejść w ręce spokojnego, pobożnego Ludwika.

Cóż to za wspaniały, choć obok tego smutny widok zaciętéj walki woli jednego, przeciw potędze rzeczy; widok zdumie-

wających wysileń, by cofnąć świat germański, a ożywić trupa cesarstwa rzymskiego; owego geniuszu napróżno zmarnowanego na dokonanie rzeczy niepodobych. Jakiż skutek tylu olbrzymich zamachów? oto potok szalony zerwał tamy i uniósł wszystko. Sława Karola jest niezatartą, wielki tylko umysł mógł się odważyć na tak wielkie rzeczy. Ztém wszystkiém możeby imię jego większym jeszcze zajaśniało blaskiem, gdyby wierny podaniom dawnych marszałków pałacowych, swoich przodków, zamiast marzyć o strzaskaném berle Cezara, stanął był na czele społeczności barbarzyńskiéj, w celu urządzenia jéj, ale nie podkopywania. Może uznana i uprawniona przez Karola feudalność byłaby znośniejszą dla ludu, a mniéj nieprzyjazną dla króla. W zajętém zaś przez siebie stanowisku zostawił następcom swoim trudy przedsięwzięcia sprzecznego z naturą rzeczy, które mu zjednało sławę, dla tego jedynie że w samą porę śmierć go zaskoczyła.

Dnia 28 stycznia 814 roku umarł Karol W. w Akwisgranie w siedmdziesiątym roku życia swojego: 47 lat panował jako król Franków, 43 jako król lombardzki, 14 jako cesarz rzymski: pochowany w témże mieście w kościele Najświętszéj Panny, w całym ubiorze cesarskim na przepysznym tronie złożony. Wspaniały nagrobek od strony kościoła, prosty zdobił napis w języku łacińskim (*).

Sławne powodzeniem oręża, ważne dążnością rządów panowanie skreśliwszy, napomknąć nam przynajmniéj wypada o niektórych szczegółach życia domowego, obszerniejszy ich opis zostawując biografom.

(*) Sub hoc conditorio situm est corpus Karoli Magni atque orthodoxi Imperatoris, qui regnum Francorum nobiliter ampliavit, et per annos XLVII feliciter rexit. Decessit septuagenarius anno ab incarnatione Domini DCCCXIV. Indictione VII. V. Kalendas Februarias. (Eginhard, Vita Karoli Magni). W tym grobie złożone jest ciało Karola Wielkiego i prawowiernego Cesarza, który królestwo Franków wspaniale rozszerzył i przez łat 47 szczęśliwie niém rządził. Umarł siedmdziesięcioletni, roku od wcielenia Pańskiego 814. Indykcyi VII, na cztery dni przed pierwszym Lutego.

Wzrost wysoki, głowa okrągła, oko wielkie i bystre, szyja krótka, gruba, nos większy niż mierny, tusza dobra, głos przenikliwy dość cienki, oto jest portret Karola, jaki nam Eginhard zachował. Wielka kronika opactwa Ś. Dyonizego dodaje, że cięciem szabli na dwie połowy rozpłatał rycerza, i że zbrojnego męża postawiwszy na dłoni unieść w górę był zdolny. Zapewne prostoduszny kronikarz musiał miéć to przekonanie, że władca państwa od Elby do Ebru musiał koniecznie być olbrzymem. Skromny w ubiorze, nie tyle w jedzeniu, nie cierpiał lekarzy, że mu ilość ulubionych potraw zmniejszać radzili. Nie tylko w słuchaniu mszy ś. codziennie pilny, ale nadto regularnie uczęszczał na nieszpory i jutrznię. Tu śpiewakom ton podawał, naznaczał antyfony i lekcye, uchybiających w śpiewie gromił; uchodził bowiem za biegłego w sztuce gregoryańskiego śpiewu. Posty ściśle zachowywał. Obyczaje atoli w pałacu nie ze wszystkiém odpowiadały téj pobożności. Eginhard wspomina, że po śmierci piątéj żony swojéj na czterech poprzestał nałożnicach. Miał sześciu synów i ośm córek. Wesołe i słynne piękością xiężniczki, pozostały w domu ojca aż do jego śmierci, żadnéj za mąż nie wydał, dając za przyczynę, iż tyle był do nich przywiązany, iżby ich oddalenia znieść nie potrafił. Dla tego, dodaje Eginhard, wszędzie szczęśliwy, tu doświadczył nieprzyjaznéj fortuny, udawał wszakże iż nic złego w tym względzie wiadomości jego nie doszło. Obrzędów dworskich ściśle przestrzegał, dla tego pałac wspaniały i rozległy w Akwisgranie tak miał urządzony, iż z okien swojego gabinetu widzieć mógł kto wchodził i wychodził z rezydencyi cesarskiéj. Akwisgran upodobał sobie dla ciepłych kąpieli, pływanie bowiem ulubioną było Karola rozrywką, do któréj nie tylko rodzinę swoję i możnych zapraszał wazallów, ale nawet oficerów i prostych żołnierzy przybocznéj straży niekiedy przyzywał. Na łowach, także czasami i konnéj przejażdżce wolne chwile przepędzał. Niepojęta czynność na wszystko starczyła.

ROZDZIAŁ V.

ROZPRZĘŻENIE MONARCHII KAROLA WIELKIEGO.

Karol jedynie dzielną prawicą i niezłomną wolą mógł kierować sterem rozległego, w częściach swoich różnorodnego państwa i utrzymać w niém pozór przynajmniéj sztucznego porządku jaki zaprowadzić usiłował. Bystry wzrok jego zważył zdolności synów, przeniknął przyszłość, a zapobiegając przewidzianym skutkom podzielił państwo na trzy zupełnie odrębne monarchie, poruczając Pepinowi Włochy, Bawaryą i część Allemanii, między Dunajem, Renem i Alpami leżącą; Ludwikowi Akwitanią aż do Ligiery, marchią hiszpańską, Sabaudyą i kraje nad morzem śródziemném; najstarszy, Karol, miał posiąść Niemcy od Dunaju do Elby i Francyą od Ligiery do brzegów morskich, wraz z tytułem cesarza. Podział ten przedstawił stanom zgromadzonym w Thionville (806), które go z radością przyjęły i zaprzysięgły. Od czasów bowiem Pepina, dziwnym sposobem, czysto dziedziczny tron Merowingów zmienił się w dziedziczno wyborczy pod Karlowingami, przyzwolenie stanów stało się potrzebném, z warunkiem wszakże nie pomijania dynastyi.

Na nic się nie przydała przezorność Karola: śmierć dwóch starszych synów jego zniszczyła całą rachubę mądrości ludzkiéj, na rok więc przed śmiercią (813 r.) na zgromadzeniu stanów w Akwisgranie, przybrał za spółrządcę Ludwika, akwitańskiego dotąd króla, i za zgodą powszechną kazał mu w obecności swojéj uwieńczyć skronie koroną cesarską, Włochy przecież zostawił synowi Pepina, a wnukowi swojemu Bernardowi. Tym sposobem całe państwo dostało się w ręce spokojne, lecz słabe Ludwika.

W Doué bawił z dworem swoim Ludwik, gdy mu Teodulf, biskup orleański, przyniósł wiadomość o zgonie ojca i zajął miejsce doradcy i powiernika. Folgując czas niejaki obżałowa-

niu niepowetowanéj straty, udał się do Akwisgranu i objął rządy państwa w obecności posłów Leona V, cesarza wschodu, oraz zebranych panów monarchii swojéj. Wykonawszy testament co do podziału ruchomości, śmiało zajął się ułożonym przez siebie planem zmian, które mu się koniecznemi być zdały. Oddalił z pałacu mnóstwo kobiet różnego stanu a wątpliwych obyczajów, zatrzymując te tylko, które do służby dworskiéj niezbędne się okazały. Siostrom swoim oddawszy przeznaczony im spadek, radził aby się do włości swoich, lub w nich znajdujących się klasztorów udały. Kronikarze francuzcy o srogiém obejściu się z ich ulubieńcami, ani o przymuszoném do klasztorów siostr wtrąceniu żadnéj wzmianki nie czynią, a podania ich, przez wzgląd na łagodny charakter Ludwika, zdają się pewniejszemi od doniesień dziejopisów niemieckich. Wala i Adalhard, wnukowie Karola Martela, poufni ministrowie Karola W. ludzie bystrego umysłu i ognistych namiętności, wrócić musieli do swoich klasztorów. Od zmian wewnętrznych w pałacu do zmian ogólnych w państwie jeden tylko krok zrobił Ludwik. Z wielkiego zgromadzenia stanów w Akwisgranie rozbiegli się posłannicy cesarscy (missi dominici) w różne strony państwa, z poleceniem rozpoznania stanu prowincyj i czuwania nad wymiarem sprawiedliwości. Więzienia zostały otwarte, wygnańcy przywołani i do dóbr przywróceni, duchowieństwu dawne nadania potwierdzone i nowe do nich przyłączone zostały. Na témże zgromadzeniu Bernard, król włoski, wykonał przysięgę wazalla, a Lotar i Pepin, dwaj synowie cesarza, przeznaczeni do zarządu, pierwszy w Bawaryi, drugi w Akwitanii; najmłodszy zaś Ludwik, jeszcze małe podówczas dziecię, pozostał przy ojcu.

Ludwik, którego *dobrodusznym* (Le Débonnaire) dawni dziejopisowie francuzcy mianują, my zaś zgodnie z nowoczesnymi historykami, charakterowi jego odpowiedniéj, *pobożnym* zwać będziemy, podobnie jak Ludwik święty wychowany został w duchu wypraw krzyżowych. W młodzieńczym jeszcze wieku przywodził kilku wyprawom przeciw hiszpańskim Saracenom. Pod

styrem Ś. Wilhelma z Tuluzy gorliwość religijną południowych ludów połączył ze szczerością północnych. Xięża, którzy się jego ukształceniem zajmowali, mimowolnie posunęli go po za kres zamierzony: uczeń, zostawszy cesarzem, zajął się zmianą swoich mistrzów. W wykonaniu kilkokrotnych postanowień Karola, teraz dopiero stanowczo uwolnieni od służby wojskowéj biskupi zdjęli zbroje, pozbyli się koni, odpięli ostrogi. Duchowieństwo zakonne zupełnie poruczone zostało nadzorowi Ś. Benedykta z Anienu, któremu zdawało się, że reguła Ś. Benedykta nadana była tylko dzieciom i ludziom słabym, mniemał więc iż nie dość jest ściśle ją wykonywać, lecz koniecznie obostrzyć należy.

Zamierzona przez Karola jedność monarchii pod względem wojskowym, zwalając solidarność ciągłych wojen na różnorodne prowincye państwa, wciągając Akwitanów do uczestnictwa klęsk niemiłych im Ostrazyan, przykrą była dla poddanych cesarza; jedność pod względem administracyi i prawodawstwa uciążliwszą jeszcze im się zdała; równie nieznośną się okazała zaprowadzona jedność pod względem klasztornego zarządu, któréj z woli Ludwika Ś. Benedykt ściśle przestrzegał. Łagodziła wszakże umysły sprawiedliwość Ludwika, z uszczerbkiem nawet własnych interesów wymierzona. Będąc jeszcze królem Akwitanii przyjmował chętnie zażalenia Akwitańczyków i do takiego przyszedł ubóstwa, mówi spółczesny dziejopis, iż już nic nie miał do rozdawania, zaledwie tylko błogosławieństwo. Zostawszy cesarzem, przywrócił Sasom prawo spadkobierstwa, które im odjął był Karol W. Chrześcianie schronieni do marchii hiszpańskiéj, przez możnowładców cesarskich wyzuci zostali z posiadłości im przez Karola nadanych, Ludwik zwrócić im włości rozkazał. Zrzekł się wpływu przy wyborze biskupów, nie wdawał się nawet do wyniesienia na stolicę apostolską Stefana IV i Paschala I. Dla tego też lud go wszędzie otaczał jak ojca łaskawego, w którym zupełne pokładał zaufanie. Tę świątobliwość szanowali w nim nawet barbarzyńcy, gdy xiążęta normandzcy, czyli raczéj duńscy, spory o podział państwa polu-

bownemu sądowi jego powierzyli. Harald, dla którego korzystny wydał król wyrok i na utrzymanie go aż do środka Jutlandyi siłę zbrojną posłał, przez długi czas zachował wdzięczną pamięć téj przychylności i oszczędzał granice państwa Ludwika.

Wśród wojskowéj okazałości odbył cesarz zgromadzenie stanów w Paderbornie, przepychem i czynnością czasy Karola W. przypominające. Tu odebrał przysięgę wierności od Sasów, tu kilka duńskich pokoleń hołd mu złożyło, i sąsiedzkie im miasto Hamaburg (Hamburg) stolicę arcybiskupią otrzymało. Na toż zgromadzenie przybyli posłowie Stefana IV papieża, z zawiadomieniem, iż ojciec ś. opuścił Rzym dla odwiedzenia cesarza. Udał się naprzeciw niego Ludwik pobożny do Reims, przyjął z największém uszanowaniem, uczcił trzykrotném przyklęknieniem, a za to otrzymał od papieża namaszczenie cesarskie wraz z małżonką swoją Hermengardą (816).

W rok późniéj na zgromadzeniu akwisgrańskiém ogłoszony został pamiętny kapitularz stanowiący podział państwa i główne rządu zasady. Lotar, najstarszy syn Ludwika, miał być spółrządcą ojca z tytułem cesarza; Pepin otrzymał Akwitanią i Burgundyą; Bawarya i marchie słowiańskie dostały się Ludwikowi. Nie miałoto wszakże zrywać jednostajności państwa, wszyscy trzéj monarchowie corocznie zbierać się obowiązani byli celem wzajemnéj narady. Na przypadek śmierci którego z nich, królestwo jego nie ulegnie nowym podziałom, lecz jeden z pozostałych synów odziedziczy koronę, zgodnie z wolą i wyborem narodu. Królestwo zaś włoskie po śmierci Bernarda, synowca cesarskiego, nie na jego potomków spadać, lecz dział bawarskiego Ludwika powiększyć miało.

Takowe rozporządzenie cesarskie, chociaż na przyzwoleniu stanów oparte, stało się przecież hasłem wojny domowéj. Bernard, z tytułu króla włoskiego prawo do korony cesarskiéj roszczący, sądził się pokrzywdzonym. Utrzymywali go w tém przekonaniu poufni jego doradzcy, a osobliwie też Teodulf biskup orleański, jeden z ulubionych ministrów Karola W. w początku przychylniejszy od innych doradzca Ludwika pobożnego.

Ciągłemi podszeptami Bernard utwierdzony w swojém zdaniu, na czele znakomitéj armii zbliżył się do Alp, chcąc praw swoich mocą oręża dochodzić. Cesarz, wcześnie zawiadomiony o zamiarach króla włoskiego, zebrał potężne wojsko na ich zniweczenie. Przerażony Bernard, tém bardziéj że we własnym obozie ujrzał knowaną zdradę, opuścił ręce i postanowił u stóp stryja błagać przebaczenia. Spotkał Ludwika w Châlons-sur-Saône, groźnie przez niego przyjęty, wydał spólników zamachu swojego i wraz z nimi oddany został pod sąd Franków na zgromadzeniu stanów w Akwisgranie (818). Na wszystkich padł wyrok śmierci, jak mówią, zabiegami cesarzowéj Hermengardy spowodowany; Ludwik zmienił tę karę, jednych pozbawił tylko godności, drugich na wygnanie skazał, najwinniejsi, między temi i Bernard, wzroku pozbawieni być mieli; tak atoli zręcznie wyrok umiano wykonać, iż Bernard trzeciego dnia życia dokonał.

Nie same wszakże Włochy powstały, wszystkie ludy hołdownicze wzięły się do broni. Słowianie pannońscy przyzwali na pomoc Bulgarów, Baskowie nawarscy podali rękę Saracenom, Bretonowie, własnym siłom ufni, zaprzeczyli haraczu. Wszyscy poskromieni zostali. Słowianie znękani zawarli przymierze i wsparli Franków w walce z Duńczykami; Bulgarowie poskromieni, Baskowie pobici, Saraceni odparci, Bretonowie w niedostępnych kryjówkach swoich doścignięci na nowo hołd zaprzysiądz musieli. Nie długo wszakże złamali wiarę, Morman, przywódzca powstania, królem się nawet ogłosił (825); i wtedy jednak cesarz zniweczył ich zamachy, a gdy Morman w boju poległ, godność xiążęcą, z woli cesarza, pozyskał Bretończyk Nomenoe, jako wazal państwa.

Świetne dotąd były rządy Ludwika, otoczone blaskiem potęgi i sprawiedliwości. Całość państwa utrzymana, wpływy jego rozszerzone, barbarzyńcy zadrżeli na widok oręża cesarskiego, z czcią schylili swoje czoła przed jego świątobliwością. Wnet atoli ozuchwaliły ich zatargi domowe, zawiść wewnętrzna ludów różnego rodu, duch przeciwny jednoczeniu, rozprzężenie części składowych państwa, podsycane co raz silniéj wykluwa-

jącym się feodalizmem. Po śmierci Hermengardy wahał się cesarz między koroną ą klasztorném zaciszem: możni doradcy jego, by zmienić postanowienie, zgubne, jak mniemali, dla kraju, otoczyli dwór świetném gronem najpiękniejszych panien wysokiego rodu. Jedna z nich potrafiła ująć serce Ludwika, Judyta, łącząca w rodzie swoim najnieprzyjaźniejsze Franków nazwiska, ojciec jéj bowiem Welf, xiążę bawarski, sprzymierzeniec niegdyś Lombardów, matka zaś pochodziła z Saxonii. Przewyższająca wszystkie urodą, celowała nad niemi ukształceniem; oświeceńsza nad potrzebę, mówi jeden z owczesnych historyków, stała się zgubą swojego małżonka.

Za staraniem młodéj cesarzowéj Ludwik otoczony czeredą ugrzecznionych modnisiów południowych, z nawyknienia przychylny Akwitańczykom, pośród których wychował się i najpiękniejsze lata młodzieńcze spędził, przypuścił do powiernictwa Bernarda syna Ś. Wilhelma z Tuluzy, swojego niegdyś opiekuna. Wyłączne sprzyjanie Akwitańczykom niemiłe było dla innych ludów państwa; panowie dworscy, którym zbliżenie się Bernarda zmniejszyło względy cesarskie, nie mogli utaić swojéj niechęci; Frankowie wreszcie oburzeni zostali, gdy Ludwik, żałując surowości swojéj, przebaczył spólnikom buntu Bernarda, przywołał ich z wygnania, dobra i godności powrócił. Lecz nadewszystko pokora Ludwika oburzyła dumę nieokrzesanych wojowników. Na uroczystém zgromadzeniu stanów (822) cesarz uznał się winnym śmierci Bernarda i wzorem Teodozyusza W. żądał i otrzymał pokutę publiczną. To dobrowolne upokorzenie się wszechwładcy zarumieniło całe rycerstwo. Zdawało się dumnym wojownikom, że ten, który schylił swoje czoło u stopni ołtarza, niezdolny był przywodzić zbrojnym hufcom. Wszyscy zwrócili oczy na Lotara, który w Rzymie 823 r. przyjął koronę cesarską z rąk Paschala papieża. Lotar ze swojéj strony szukał stronnictwa w państwie, dla uratowania praw swoich. Cesarz bowiem, bez względu na zatwierdzony w Akwisgranie podział państwa, wykroił nową dzielnicę dla Karola, którego mu powiła Judyta (823), Potrafiła wprawdzie cesarzowa ułagodzić na chwilę

pasierba swojego i skłonić go do przyjęcia opieki nad Karolem; lecz wnet chciwy władzy Lotar żałując swojéj powolności, drażniony nadto zuchwalstwem Bernarda, wrócił do swoich zabiegów. Wkrótce pomnożył stronnictwo teść jego Hugo, zagrożony karą śmierci za skrzyżowanie działań Bernarda w Katalonii, przez co Frankowie ponieśli klęskę, niemal podobną jak niegdyś pod Roncevaux. Wala wydobyty z klasztoru przez Ludwika oświadczył się także przeciw niemu, mieniąc go pierwszą przyczyną nieładu państwa. Napróżno cesarz cztery zwołał sobory przeciw zuchwałemu oskarżycielowi; Wala zawistny Bernardowi usunął się od dworu i ofiarował swoje usługi Lotarowi.

Judyta, zamiast złagodzić burzę oddaleniem Bernarda, groźniejszą ją jeszcze zrobiła, wyjednawszy mu rządy Septymanii, godność wielkiego podkomorzego i prawie marszałkostwo pałacowe. Za jéj staraniem zgromadzenie stanów w Worms (829) zatwierdziło przyznaną Karolowi dzielnicę, to jest kraje niemieckie między Renem, Menem, Nekarą i Dunajem, nadto część Burgundyi za górami Jura i Recyą, czyli kraj Gryzonów. Ten wypadek ozuchwalił jeszcze bardziéj Bernarda, a tém samém zniechęcił leudów. Wala jeszcze raz rzucił się w ten zamęt, ofiarował swoje pośrednictwo, lecz go usunął Bernard, a wtedy Wala pomnożył szeregi nieukontentowanych. Przykład jego pociągnął za sobą co tylko było znakomitszego między duchowieństwem i leudami, bunt jawnie podnosił głowę; brakło mu tylko naczelnika, powagą i znaczeniem mogącego stanąć naprzeciw cesarza. Tę rolę przyjął Pepin, król akwitański, duma go do tego skłoniła a powstanie Bretonów sposobną nastręczyło porę.

Dla poskromienia zbuntowanéj prowincyi Ludwik polecił był Pepinowi wkroczyć do niéj z wojskiem akwitańskiém, a sam z Frankami miał wspierać jego działania. Lecz wojsko Ludwika nie dosięgnąwszy granic Bretanii rozeszło się, a Pepin, zamiast spełnić rozkaz ojca, zajął Orlean, opanował Paryż. Nieszczęśliwy Ludwik chcąc oddalić burzę, rozłączył się z Judytą i Bernardem. Ulubieniec schronił się do Barcellony, a cesarzowa

znalazła przytułek w klasztorze w Laon. Lecz już było zapóźno, i Ludwik bawarski oświadczył się przeciw ojcu, Wala opuścił swój klasztor w Corbie, a Pepin roztoczył obóz niedaleko Compiègne, naprzeciw ojca swojego (830); w tym samym czasie Judytę przeniósł do Klasztoru w Poitiers. Ludwik opuszczony od wszystkich, sam się oddał w ręce swoich synów. Przybył też do obozu i Lotar z tajnemi zamiarami złożenia ojca z tronu, kazał natychmiast bratu Bernarda oczy wyłupić, a braci Judyty na zakonników postrzydz. Gdy atoli wniósł odebranie korony ojcu, Ludwik oparł się temu i ledwie po długich sporach zgodzono się, iż oddany zostanie pod straż dwóch zakonników, pod zwierzchnim atoli dozorem Lotara. Podział państwa wzniecił nową między braćmi niezgodę: wnet przystali na pozbawienie Karola wszelkiéj dzielnicy, ale słuchać nie chcieli żądań Lotara utrzymującego w całéj mocy ustawę z roku 817. Nie tylko Pepin i Ludwik ujrzeli się zawiedzionymi w swoich oczekiwaniach, ale i leudowie spostrzegli omylone swoje nadzieje, duchowieństwo zaś widząc te zamachy, uważało, że zmieniając cesarza za cesarza, lepiéj trzymać się Ludwika. Tym sposobem buntownicy zaczęli się porozumiewać między sobą, badać umysły strażników cesarza. Jeden z nich, nazwiskiem Gombauld przeszedł na stronę nieszczęśliwego monarchy. Wnet Pepin i Ludwik skłonili się do zwrócenia korony ojcu i bronienia go przeciw przywłaszczeniom starszego brata. Cesarz ze swojéj strony przyrzekł powiększyć ich dzielnice. Za porozumieniem się z cesarzem postanowiono rozstrzygnąć tę sprawę na zgromadzeniu jesiennem w Nimedze. Rycerstwo germańskie licznie zebrało się na pomoc cesarzowi.

Odzyskawszy władzę Ludwik okazał nieco więcéj stałości (830). Zuchwały Wala musiał wrócić do celi w Corbie, kilku innych naczelników skazano na wygnanie. Lotar padł do nóg ojcu i uzyskał przebaczenie, pod warunkiem, że wróci do Włoch i pod przysięgą przyrzecze, nie należyć nadal do żadnych spisków. Zgromadzenie jednak odebrało mu tytuł cesarza, a spólników buntu śmierci godnymi uznało. Nie pozwolił na karę

Ludwik i poprzestał na zamknięciu kilku naczelników w klasztorze. Wróciła Judyta do Akwisgranu i przed zgromadzonemi tamże stanami zaprzysięgła swoję niewinność. Bernard także uniewinniony i dwaj bracia cesarzowéj wydobyci z klasztoru. Tak więc na nowo Ludwik pobożny został igrzyskiem zabiegów Judyty, Bernarda i nowego powiernika Gombaulda, zaszczyconego wyłącznem zaufaniem cesarza. Za jego namową ułaskawieni wszyscy, których sejm nimegski ukarał, jeden tylko Wala wyłączony. W kilka więc tygodni po zawartéj zgodzie, wróciło rozjątrzenie większe daleko, aniżeli kiedykolwiek być mogło. Ludwik i Pepin niekontenci z powiększeń, Lotar nie mógł przeboleć utraty tytułu cesarskiego, Bernard nawet cofnął się do Langwedocyi zemstą pałając przeciw Gombauldowi, który go względów cesarskich pozbawił. Tak więc nowy zatlił się pożar straszniejszym grożący wybuchem.

Przeniknął Gombauld knowany spisek w Akwitanii i na jesiennem zgromadzeniu (831) w Thionville, radził Ludwikowi przyzwać do siebie Pepina, by bliższe miéć oko na niego. Bernard w tym samym celu wezwany, zuchwale pojedynkiem dowiódł swéj niewinności, nie znalazłszy żadnego zapaśnika. Pepin przybył na samym końcu obrad, i za rozkazem ojca udał się do Akwisgranu, gdzie miał przy boku jego pozostać. Wkrótce atoli w nocy uszedł z pałacu cesarskiego i wrócił do swoich. Rozgniewany Ludwik zwołał zgromadzenie stanów majowe do Orleanu, lecz zaledwie zebrali się panowie, gdy wieść doszła, iż Ludwik bawarski wkroczył do Allemanii i zdawał się okazywać zamiar przejścia Renu. W téj chwili sejm przeniósł się do Moguncyi, trwał tylko dzień jeden, nakazawszy zebranie się wojsk niemieckich Franków i Sasów. Ludwik tymczasem z wojskiem zbliżył się do Worms, lecz gdy cesarskie hufce stanęły w szyku do boju gotowe, wojsko Ludwika pierzchło, a on sam z pokorą udał się do ojca, wykonał przysięgę wierności i zyskał przebaczenie. Przybył i Lotar z ponowieniem hołdu i towarzyszył ojcu do Orleanu. Na zgromadzeniu jesiennem przyzwani Bernard i Pepin, po bezskutecznym uporze stawili

się wreszcie: Bernard utracił Septymanią i hrabstwo barcelońskie, Pepin pod ścisłą strażą odesłany do Trewiru, a królestwo Akwitanii tymczasowo poruczone zostało dziewięcioletniemu Karolowi.

Zaledwie cesarz przybył do Tours, gdy powziął wiadomość o ucieczce Pepina; po długich naradach w Akwisgranie ogłosił wreszcie Ludwik wydziedziczenie jego (832), na które niewdzięczny i niespokojny syn odpowiedział jawném podniesieniem rokoszu i sprzymierzeniem się z Lotarem i Ludwikiem bawarskim. Teraz już wszyscy zgodnie żądali złożenia ojca z tronu, łatwo im było tego dokazać na czele trzech licznych armij, wspartych powagą Grzegorza IV papieża, którego przychylność Lotar pozyskał.

Nie stracił wszakże odwagi Ludwik pobożny, chcąc uprzedzić buntowników zwołuje pole majowe (833 r.) do Worms, wzywa naczelników świeckich i duchownych, aby sobie zapewnić podwójną pomoc, oręża i wymowy. Wojska zbuntowanych synów zajęły stanowisko pod Colmar, cesarz zaś roztoczył obóz między Strasburgiem i linią wojenną swych dzieci. Widząc Ludwik pobożny papieża w szeregach przeciwników, poznał niebezpieczne swoje położenie, oświadczył gotowość do układów; lecz nie było środka porozumienia się, ruszyły więc obustronne wojska na rozległą równinę, wówczas czerwoném polem (Rothfeld) zwaną, która jednak od zaszłych tam wypadków słynniejszą nazwę, pola kłamstwa, uzyskała. Co niegdyś widziano na polach katalauńskich, co się powtórzyło pod Testry, a później pod Fontenaille, to także przedstawiało się oczom pod Colmar: naród przeciw narodowi, system przeciw systemowi: z jednéj strony Franko-Gallowie zwycięzcy Karola W. pod wodzą jego syna; z drugiéj Germanie, Akwitańczycy, Włochy, ludy podbite, pragnące wyłamać się z ciążącéj im jedności cesarstwa, stanęły pod chorągwiami zbuntowanych synów Ludwika pobożnego. Z jednéj strony wyobrażenie rzymskie, wyobrażenie jedności i centralizacyi; z drugiéj wyobrażenie niemieckie, wyo-

brażenie podziału i rozprzężenia. W téj chwili jednak obeszło się bez walki, Ludwik pobożny zdradzony został podobnie jak pod Compiegne; jednéj nocy cała prawie armia jego przeszła na stronę Lotara, a gdy rano cesarz ujrzał małą garsztkę skupionych około siebie wiernych wojowników, »Nie chcę, rzekł, aby ktokolwiek z was poniósł śmierć lub rany z mojéj przyczyny, idźcie do obozu synów moich.« Po czém siadłszy na koń udał się sam wraz z Judytą i ulubionym Karolem do zbuntowanych dzieci.

Przyjęty z oznakami pozornego uszanowania, wnet rozłączyć się musiał z Judytą, którą Pepin zamknął w klasztorze. Lotar mając znowu ojca w swéj mocy, chciał raz z nim skończyć zupełnie. Nie okazywał on wprawdzie wielkiego wstrętu do krwi, brata Bernarda w oczach swoich zamordować rozkazał, a siostrę jego zamkniętą w beczce wrzucić do Saony; lekał się wszakże zgrozy powszechnéj, gdyby był świętokradzką rękę do ojcobójstwa posunął. Postanowił więc poniżyć go przez pokutę publiczną i tak upokarzającą, iżby się nigdy podźwignąć nie zdołał. W tym celu kazał ułożyć listę przewinień, do których Ludwik pobożny miał się przyznać publicznie i za nie przyjąć pokutę. Naprzód, śmierć Bernarda, (któréj nie był powodem). Powtóre, krzywoprzysięztwo na jakie naraził ludy przez swój podział państwa. Po trzecie, wojnę rozpoczął w wielki post i zgromadzenie stanów zwołał na wielki czwartek, co miało być zgorszeniem ludu. Po czwarte, zbyt się surowym okazał dla stronników synów, (których przecież, jak wiadomo, od śmierci zachował). Po piąte, pozwolił Judycie i innym oczyścić się z zarzutów przez przysięgę. Po szóste, spowodowawszy wojnę domową stał się przyczyną nieodłącznych od niéj występków. Po siódme, dzielił państwo dowolnie. Po ósme, niszczył kraj domowemi wojnami zamiast go bronić.

Po przeczytaniu tak bezczelnych zarzutów w kościele Ś. Medarda w Soissons, nieszczęśliwy Ludwik nie zaprzeczał niczemu, podpisał wszystko, upokorzył się jak tylko żądano, po trzykroć

uznał się winnym, prosił o wyznaczenie pokuty. Złożył miecz i ubiór cesarski, wdział pokutną włosiennicę, a niegodny syn tak poniżonego ojca zawiódł z sobą do Akwisgranu, do miasta, w którym niegdyś Karol W. kazał mu własną ręką koronę włożyć sobie na głowę. Ojcobójca mniemał że już zgubił Ludwika; tymczasem w całém państwie powszechne wzbudził uczucie politowania nad nieszczęśliwym monarchą, a zgrozę przeciw postępowaniu swojemu i spólników. Lud nie miał dość łez do opłakiwania niedoli starego monarchy. Od ust do ust przechodziły powieści, jak wyrodny syn trzymał ojca płaczącego przed ołtarzem, strząsającego proch z siwych włosów swoich, jak mu podał wyznanie winy, a jakie wyznanie! pełne kłamstwa i potwarzy. Jeden drugiemu szeptał do ucha, że to był Ebbon, spółuczeń Ludwika, brat jego mleczny, syn niewolnicy, którego cesarz tak lubił, na godność reimskiego arcybiskupa wyniósł, co się stał Lotara narzędziem, zdarł ubiór cesarski ze swojego dobroczyńcy i okrył go włosiennicą. Lecz zdejmując z niego strój wspaniały, odsłonił całą świętość człowieka. Jedni przyrównywali go do męża biblijnego, którego Ewa zgubiła; inni widzieli w nim obraz cierpliwości Joba; byli i tacy, co chcieli w nim upatrywać jakieś podobieństwo do męki Zbawiciela, nie brakło bowiem ani octu ani żółci.

Tym sposobem stary cesarz ujrzał się podźwignionym przez samo poniżenie. Lotar opuszczony od wszystkich, nie mogąc już uwieźć stronników ojca, schronił się do Włoch. Sam chorobą znękany, ujrzał w ciągu jednego lata wstępujących do grobu prawie wszystkich naczelników swojego stronnictwa. Zgaśli biskupi z Amiens i Troyes, umarł teść jego Hugon, rozstało się z tym światem mnóstwo hrabiów i znanomitych panów. Ebbon pozbawiony godności swojéj w zapomnieniu życia dokonał. Wala skończył życie w klasztorze w Bobbio, powtarzając żałośnie co chwila: »dla czegoż urodziłem się człowiekiem kłótni, człowiekiem niezgody!« Tyle nieszczęść zwalonych na głowę ojcobójcy nie potrafiło złamać twardego umysłu, jeszcze raz losu

szczęścia orężem chciał probować, lecz ujrzawszy niepodobieństwo, musiał paść ojcu do nóg, błagać przebaczenia, które mu

łaskawy monarcha z łatwością udzielił, pod warunkiem, iż bez pozwolenia jego nigdy Włoch nie opuści, dokąd mu niezwłocznie udać się rozkazał.

Dla utrwalenia pokoju i powściągnienia tylu wojnami spowodowanéj niesforności, zwołał cesarz zgromadzenie stanów do Thionville, zkąd po załatwieniu głównych spraw cały sejm przeniósł się do Metz. Tu biskup Drogon, brat cesarski, przywrócił uroczyście Ludwika pobożnego do dawnéj godności i na nowo skronie jego cesarską uwieńczył koroną. Rok cały minął spokojnie: cesarzowa użyła tego czasu dla zapewnienia losu

syna swojego Karola. Potrafiła ona zjednać przychylność Lotara i skłonić możnych państwa do przyznania Karolowi Allemanii i Neustryi. Podział ten uskuteczniony na zgromadzeniu w Akwisgranie, ostatecznie potwierdzony został w Kiersy (837). Ludwik bawarski nie kontent był z tego podziału, potwierdził go Pepin, ale to przyzwolenie na nic się nie przydało Karolowi, bo król akwitański tegoż roku życia dokonał, zostawiwszy dwóch synów, Pepina i Karola. Rada cesarska odmówiła obudwom prawa następstwa po ojcu, a Ludwik bawarski wezwawszy Lotara do Worms nowy z nim ułożył podział państwa, jednę jego połowę, to jest Francyą, zostawując Karolowi, drugą, to jest Niemcy, z tytułem cesarza przeznaczył dla Lotara; Ludwik przy saméj pozostał Bawaryi.

Nie do smaku był ten ostatni podział Ludwikowi bawarskiemu i Akwitańczycy nie byli z niego kontenci; wielu przychylnych zmarłemu Pepinowi leudów, otoczyło syna jego w zamiarze odzyskania dlań spadku ojczystego, choćby też mocą oręża. Lecz stary Ludwik zebrał akwitańskich leudów do Chalons-sur-Saone, kazał im złożyć hołd Karolowi, a upartych orężem do tego przymusił. Wnet uspokoiła się Akwitania, lecz Ludwik bawarski stanął pod bronią, za zbliżeniem się atoli ojca spiesznie się cofnął. Znużyły starego Ludwika te ciągłe zapasy, pragnąc ustalić pokój, zwołał sejm do Worms. Na kilka dni przed rozpoczęciem obrad, czując się co raz słabszym, kazał się przenieźć na wyspę Renu niedaleko Ingelheim i tam składając w ręce Lotara godła cesarskiéj dostojności, poruczył opiece jego Karola i cesarzowę. »Przebaczam, rzekł, Ludwikowi, lecz niech pamięta o sobie, on to nie bacząc na prawo bozkie przywiódł do grobu białe włosy ojca swojego.« Wkrótce potém zgasł Ludwik pobożny (840) w siedmdziesiątym drugim roku życia swojego, a dwudziestym siódmym panowania. Pochowany w Metz.

ROZDZIAŁ VI.

OSTATECZNY I STANOWCZY PODZIAŁ MONARCHII KAROLA WIELKIEGO.— UPADEK KARLOWINGÓW.

Jedność monarchii tyle trudów, tyle krwi kosztująca, wraz z Ludwikiem pobożnym wstąpiła do grobu. Próżne były usiłowania Lotara ku jéj wskrzeszeniu; czyjąż siłą mógł tego dokazać? Czy Lombardów włoskich? lecz ci nie potrafili obronić Dezyderyusza, własnego króla, przed potęgą Karola W. ani Bernarda przeciw Ludwikowi pobożnemu. Pepin młody siląc się utrzymać Akwitanią wbrew woli dziada swojego, przywiódł akwitańskie posiłki, które tylekroć rozpraszał Pepin mały i Karol W. Dziwne losów koleje! ludzie południowi, zwyciężeni, ludzie łacińscy, mają utrzymać jedność monarchii przeciw Germanom i Neustryjczykom. Germanie ze swojéj strony pragnęli jedynie odrębnéj niezawisłości. Lecz imię starszego syna Karola W., tytuł cesarza, króla Włoch, przychylność Rzymu i papieża, wszystko to nie małe jeszcze miało znaczenie. Dla tego też niepokojeni po kolei dwaj bracia królowie, Karol francuzki i Ludwik niemiecki, ścisłém dla zobopólnéj pomocy połączeni przymierzem, gdy z wojskiem stanęli pod Fontenaille niedaleko Auxeore, naprzeciw hufców Lotara, wzywali go przez posłów, aby w imię kościoła, w imię ubogich i sierot, skłonić się chciał do pokoju. Ofiarowali mu w darze wszystko co z sobą mieli w obozie, z wyjątkiem koni i rynsztunków: jeżeliby to mało było z chęcią przystawali na nowy podział kraju, zostawując mu dzielnicę do jego wyboru. Lotar żądał czasu do namysłu, a w rzeczy saméj oczekiwał na połączenie się z posiłkami akwitańskiemi Pepina. Co gdy nastąpiło, odrzucił z dumą wszystkie warunki i rozpoczął bitwę (841).

Kronikarze spółcześni wysilają się na odmalowanie téj krwawéj i zaciętéj walki: jeżeli im wierzyć mamy, ta jedna bitwa wyniszczyła rycerstwo francuzkie i zostawiła kraj bez obrony przeciw napadom barbarzyńców. Widoczną atoli jest rzeczą, że panowanie Karola W. i jego bliższych następców, było epoką bohatyrską dla ludzi opłakanych czasów, które tuż następowały, dla tego kronikarze znajdowali jedyną pociechę, jedyne upodobanie w powiększaniu sławy wojennéj owych czasów w niedorzecznych baśniach. Zresztą trudno im było wyjaśnić sobie przyczyny upadku ducha wojennego, dla tego bez łamania głowy powtarzali, iż w bitwie pod Fontenaille, w jednym dniu polegli wszyscy waleczni rycerze, pozostali tylko lękliwego serca ludzie.

Tyle sławna bitwa pod Fontenaille nie była przecież stanowcza, zwycięzcy nie mogli ścigać Lotara, owszem w następnéj wyprawie niebezpieczeństwo groziło Karolowi, którego dla różnicy, nieokrzesanym zwyczajem czasów owych, *łysym* zowią. Nie był na to obojętny Ludwik, w klęsce brata widział on dobrze swoję zgubę, nie odmówił więc pomocy. Obadwa bracia ściśle w Sztrasburgu zawarli przymierze, a chcąc i ludu do szczerego zachęcić spółdziałania, odezwali się do nich, nie językiem łacińskim, jedynie wówczas w układzie traktatów i praw używanym, ale językiem pospólstwa, jakim mówiono w Gallii i Germanii. Ludwik król niemiecki wyrzekł przysięgę w języku romańskim, czyli francuzkim; a Karol łysy, którego odtąd królem Francyi zwać zaczniemy, powtórzył to samo w języku niemieckim. Te wyrazy uroczyste, które się w tak ważném zdarzeniu nad brzegami Renu, na granicy dwóch ludów rozległy, są pierwszym pomnikiem ich narodowości (*).

(*) Ciekawy, dla swojéj tak odległéj starożytności, zabytek, dziś tyle wykształconego języka, w dosłównym umieszczamy odpisie, sądząc, iż dla nie jednego z czytelników stanie się interessowanym przedmiotem porównania. Ludwik, jako starszy, zwracając się do Francuzów pierwszy

Tak ścisłém przymierzem połączeni dwaj bracia, przedłożyli Lotarowi warunki pokoju, po ich odrzuceniu przeszli Mozę i zbliżali się do Akwisgranu. Nie doczekał ich Lotar, zabrawszy skarby i godła cesarskie śpiesznie uszedł. Wtedy zebrani biskupi przychylni Ludwikowi i Karolowi oświadczyli uroczyście, że sprawiedliwy sąd bozki odrzucił Lotara, a koronę godniejszemu poruczył. Nie pierwéj wszakże berła królewskie przyznali sprzymierzonym braciom, aż poki ci nie zaręczyli, iż rządzić będą według woli bozkiéj. Upokorzony Lotar oświadczył braciom chęć zgody, a gdy i biskupi wyrzekli życzenie aby pokój panował między trzema braćmi, wtedy Ludwik i Karol przyjęli deputowanych Lotara; nowy podział sporządzili, mocą

---

wyrzekł: «Pro Deu amur, et pro christian poble, et nostro commun salvament, dist di en avant, in quant Deus savir et podir me dunat, si salvarai jo cist meon fradre Karlo, et in adjudha, et in cadhuna cosa, si cum om per dreit son fradre salvar dist, in o quid il mi altresi fazet. Et ab Ludher nur plaid nunquam prindrai, qui meon vol cist meon fradre Karle, in damno sit.»

Następnie Karol powtórzył toż samo, ze zmianą imienia, lecz w języku niemieckim i zwracając mowę do Niemców.

W tłumaczeniu polskiém: «Dla miłości Boga i dla ludu chrześciańskiego i naszego wspólnego zbawienia, od dziś na przyszłość, i póki Bóg mi udzieli rozumu i władzy, wspierać będę mojego brata Karola tu obecnego, przez pomoc i we wszelkich rzeczach, jak słuszna jest aby wspierać swojego brata, póki on toż samo robić będzie dla mnie. I nigdy z Lotarem nie zrobię żadnéj zgody, któraby z mojéj woli była z uszczerbkiem brata mojego.»

Po czém wojownicy francuzcy w swoim języku wykonali przysięgę: «Si Lodhwigs sagrament que son fradre Karlo jurat, conservat, et Karlus meos sendra de suo part non los tanit, si jo returnar non lint pois, ne jo, ne neuls cui jo returnar pois, in nulla adiudha contra Lodhuwig nun hi juer.» Toż samo powtórzyli Niemcy w swoim języku.

Po polsku: «Jeżeli Ludwik dochowa przysięgi którą wykonał bratu swojemu Karolowi, a jeżeli Karol mój Pan, ze swojéj strony nie dochowa jéj, jeżeli nie będę mógł go do tego skłonić, ani ja, ani nikt inny, nie damy mu żadnéj pomocy przeciw Ludwikowi.» Rozumie się że Niemcy w téj przysiędze powtórzyli imię swojego króla, gdzie należy.

którego Ludwik otrzymał Niemcy, i odtąd przyjął tytuł króla Niemiec: Karol łysy

posiadł Francyą; a Lotarowi dostały się Włochy i ta część kraju między Francyą a Niemcami, która się rozciąga między Renem i Mozą od źródeł Mozy i Saony, daléj wzdłuż Saony i Rodanu aż do morza. Kraj ten od imienia nowego władzcy Lotaryngią nazwany, obszerniejszy był daleko od prowincyi do dziś tę nazwę noszącéj. Tak ułożoną umowę wszyscy trzej bracia podpisali w Verdun 843 roku, niszcząc na zawsze dzieło Karola W. Odtąd historya Francyi, nakształt wezbranego potoku, który spokojnie do swojego wraca łożyska, przestaje być ogólną historyą Europy; lecz nie tu jeszcze kres rozprzężenia. Daleko jeszcze było od ogólnéj narodowości odzyskanéj z orężem w ręku, do podbicia tego mnóstwa narodowości miejscowych, celu tylu ambicyj, który musiał być koniecznym wypadkiem tak wybitnego podziału różnych plemion. Bretania przedstawiała ludom Westgockim w Akwitanii i Burgundzkim nad Rodanem widok plemienia nieugiętego, utrzymującego się samo w sobie, zaledwie przyznawającego Frankom z familii Heristala słaby cień opieki, raz po raz zaprzeczanéj. Za Karola W. zdawała się zupełnie zapomniana różnica między Ostra-

zyą i Neustryą, przecież pamiętano o niéj dobrze w Paryżu, Orleanie i Soissons. Potomkowie Franków przybyłych z Klodowikiem, dziedzice godności swoich ojców, stali na czele starożytnéj ludności gallo-rzymskiéj, któréj obyczaje i język przejęli, nie zrzekając się bynajmniéj sprawy raz już roztrzygniętéj pod Testry. Nakoniec cała feodalność, dumna tryumfami zą Ludwika pobożnego: żądania jéj nie znały granic, od chwili gdy uczuła moc w ręku. Zuchwała opiekunka Ludwika i jego synów pragnęła, by nowy król jéj zawdzięczał swoję koronę.

Do tylu żywiołów zmian wewnętrznych, których zaród jeszcze przed Karolem istniał, przyłączyło się nowe nieszczęście, które krajowi ostatni cios zadało. Pamiętne są łzy podeszłego cesarza, na widok białych żagli korsarzy duńskich, znikających z powiewem wiatru, obładowanych łupami. Za Ludwika pobożnego resztki majestatu cesarskiego trwożyły wojowników północy, cień Karola W. unosił się nad synem i był jego tarczą. Lecz gdy zawrzała wojna domowa, a po krwawéj rzezi pod Fontenaille nastąpiło zupełne rozprzężenie, i syn Judyty posiadł tron królewski, wtedy burza wybuchła, wszystkie prowincye zarazem zalane zostały. Korytem Sommy i Sekwany barbarzyńcy wdarli się do Neustryi; Garumną dostali się do Akwitanii. Lantbert wydziedziczony przez Karola łysego ze spadku po ojcu, wprowadził ich nurtem Ligiery, gdzie w gruzy zamienili Nantes (843). Do Akwitanii wezwał ich wnuk ostatniego cesarza Pepin II, który jakimkolwiekbądź sposobem pragnął odzyskać ojczyste królestwo, układem w Verdun Karolowi przyznane.

Pepin młody zyskał wprawdzie przychylność Akwitańczyków, lecz Karol był potężniejszym. Po dwakroć z orężem w ręku probował szczęścia; po dwakroć dostał się w moc Karola. Ani Normandowie, ani hiszpańscy Saraceni, których pomocy używał nie mogli mu zapewnić ojczystego spadku: pozbawiony wszelkiéj nadziei, w murach klasztoru Senlis dokonał życia. Bernard xiążę Septymanii, ten sam, którego głos powszechny mianował ulubieńcem Judyty i za ojca Karola łysego uważał, za-

pragnął zwrócić na swoję korzyść niechęć Akwitanów ku obcéj władzy. Karol go jednak uprzedził. Pod pozorem pojednania zwabił go do osobistéj rozmowy i przy pierwszém powitaniu sztylet mu w sercu utopił, mówiąc: »Biada ci, któryś splamił łoże ojca mojego i matki!» Uświęcając w tych wyrazach pokątne szepty motłochu, tém większą grozą okrył swój postępek zakrawający na ojcobójstwo, przynajmniéj w pochopnych do skwapliwego sądu umysłach,

Nie okazał téj śmiałości Karol w obec straszniejszego nieprzyjaciela. Normandowie po całéj Francyi szerzyli pożogę, niszczyli wsie i miasta brzegom rzek przyległe, oblegli Paryż; a Karol przybywszy z wojskiem do Sain-Denis, chwilowy odwrót ich siedmią tysiącami funtów srebra okupił (845). Nie mniéj Bretonowie korzystali z niedołęztwa władcy francuzkiego: wódz ich Nomenoe nie poprzestając na spokojném posiadaniu oddanéj mu pod zarząd prowincyi, wyciągnął rękę, by także cóś uchwycić z rozszarpanéj puścizny Karola W.; Poitou i Andegawia (Anjou) podżegały chciwość zuchwałego rządcy. Wyszedł przeciw niemu z wojskiem Karol łysy, wdał się w bitwę nad brzegami rzeki Villaine i po dwudniowéj walce pierzchnął z placu, wojsko swoje i zajęte prowincye zostawując na łasce nieugiętych Bretonów. Nomenoe ozuchwalony przyjął tytuł króla, żartując z pogróżek biskupów z Reims i Tours. Śmierć śmiałego dowódcy Bretonów wznieciła niejakie nadzieje w Karolu, lecz syn jego w Harispoe nie cofnął kroku, a rycerze Klodowika i Karola W. pierzchli trwogą zdjęci, według swojego zwyczaju, dodaje spółczesny kronikarz. Tryumfował jednak Karol łysy, gdy Harispoe złożył mu w Angers (851) hołd wierności, w zamian za przyznane mu wszechwładztwo nad Bretanią. To właśnie ustaliło granice Bretanii, te same w jakich ją dotąd zamykają.

Wśród takiego niedołęztwa i ciągłych klęsk, Karol łysy lekce ważony od możnych swojego państwa, utrzymał przecież powagę monarchy, gdy tymczasem waleczność bezkorzystną była dla Lotara i Pepina II. Przyczyna tak różnego powodzenia

w obranych przez nich ukrywa się środkach. Lotar i Pepin dla dopięcia zamiarów nie gardzili przymierzem pogan i niewiernych, i tém oburzyli umysły wszystkich: Karol łysy, w początkach przynajmniéj panowania, był sprzymierzeńcem kościoła, tulił się pod opiekę biskupów. Za czasów Karola W. Germanie, Akwitańczycy, Lombardy nawet i Irlandczykowie, daleko wyższe na dworze jego mieli znaczenie, niż Neustryanie: tym sposobem pod rządem cudzoziemców, pod ich zasłoną, cała siła, całe życie Neustryi w jéj duchowieństwie się kryło. To było poniekąd zbawieniem Francyi, bo duchowieństwo jedynie zdolne było do utrzymania jakiegokolwiek porządku wśród powszechnego zamętu. Nadto całe bogactwo kraju w ręku duchownych spoczywało. Kraj opustoszały, miasta wojenną pożogą zniszczone, stolice tylko biskupie zamożne, opactwa przemyślnym ludem osiadłe. Najzamożniejsze z nich Ś. Medarda w Soissons, i Ś. Dyonizego w sąsiedztwie Paryża, to ostatnie założone przez Dagoberta, kolebka monarchii francuzkiéj, grób królów tego narodu. Nad niemi godnością stolicy, bogactwy i nauką górowała metropolia reimska, równie ważna w północnéj, jak Lugdun w południowéj Francyi. Reims uważać należy poniekąd za stolicę państwa francuzkiego, a przynajmniéj było stolicą głównego biskupstwa. Laon zaś na szczycie niedostępnéj skały, główne miasto królewskie, smutny miało zaszczyt być twierdzą i jedynym przytułkiem ostatnich monarchów z linii Karlowingów.

Pod tarczą kościoła panując Karol łysy, kapitularzem w Epernaj (846) oznaczył stanowczo granice władzy duchownéj i świeckiéj. Kapitularzem zaś w Kiersy (857) wydanym, wkłada na proboszczów obowiązek pierwszego śledztwa zbrodniarzy wszelkiego rodzaju; ludziom wolnym i setnikom o zaburzenia i rabunek obwinionym nakazuje przysięgę na święte relikwie. Łupieżców sądowi biskupów poddaje, upornym grożąc wyklęciem. Istotna władza zatém w ręku biskupów była. Sławny Hincmar arcybiskup reimski był głową narodu. Z północnéj Gallii rodem, Akwitańczykiem był z pochodzenia, krewny Ś.

Wilhelma z Tuluzy, a tém samém i Bernarda. On najwięcéj przyłożył się do wywyższenia Karola, i dla tego w jego imieniu władał Francyą. Hincmar na czele duchowieństwa nie dozwolił Ludwikowi niemieckiemu utwierdzić się w Neustryi, dokąd go możni tego kraju wezwali. Kronikarz reimskiego kościoła wspomina wyraźnie: król poruczył Hincmarowi wszystkie sprawy kościelne, a nadto gdy mu trzeba było zbrojnego ludu Hincmarowi dawał zlecenie, który w spełnieniu woli monarchy zgromadzał biskupów i hrabiów. Gdy atoli Normandowie złupiwszy wsie i miasta, chciwe zdobyczy ręce ściągnęli do pałaców biskupich, klasztórnych murów i świątyń pańskich, wtedy duchowieństwo zrzekło się władzy świeckiéj i obronę kraju silniejszym poruczyło rękom. Prócz tego dwa nader ważne pytania zatrudniły wówczas kościół francuzki.

Paschaz Ratbert, przełożony klasztoru w Corbie, ogłoszoną przez siebie nauką o Eucharystyi obudził spory religijne, które dość żywo zajęły umysły duchowieństwa francuzkiego i irlandzkiego. Większe atoli wstrząśnienie spowodowała nauka o przeznaczeniu, czyli wolnéj woli. Zakonnik z klasztoru Orbai, niedaleko Soissons, nazwiskiem Godescalc, czyli właściwiéj Gotteschalk, rodem Sas, wracając z Rzymu zaczął w Moguncyi głosić wyobrażenia swoje o przeznaczeniu (praedestinatio). Rabanus Maurus sławny owych wieków uczony, zajmował wtedy biskupią stolicę w Moguncyi: zawiadomiony o szczególnéj nauce Gotteschalka, odesłał go Hincmarowi, jako bliższemu zwierzchnikowi, nie wynurzywszy zdania swojego. Arcybiskup reimski zapalony gorliwością w obronie zagrożonéj moralności i religii, na zwołanym w tym celu synodzie kazał sądzić Gotteschalka, skazanego na chłostę zmusił do spalenia swojéj rozprawy własną ręką i wtrącił do więzienia, w którym w dwanaście lat religijny wznowiciel życia dokonał. Ujął się sprawy potępionego zakonnika Lugdun, być może w duchu spółzawodnictwa z Reims, Lugdun! dawna metropolia Gallii. Najznakomitsi mężowie kościoła francuzkiego, Prudencyusz biskup z Troyes, Loup opat z Ferrieres, Ratramne zakonnik z Corbie, w korzystnym spo-

sobie wyjaśniali naukę Gotteschalka. Przerażony Hincmar nieprzewidzianą burzą wzywał naprzód pomocy Rabana, następnie udał się do pewnego Irlandczyka, znanego z pisma przeciw Ratbertowi. Irlandya ciągle była mistrzynią zachodu, matką zakonników, wyspą świętych, jak ją wtedy nazywano. Znaczenie Irlandczyków zmniejszyło się wprawdzie we Francyi, odkąd reguła Ś. Benedykta przeważyła nad ustawą Ś. Kolumbana, zawsze jednak z poszanowaniem przyjmowani byli. Karol W. kierunek szkoły pałacowéj powierzył Klemensowi Irlandczykowi, a Karol łysy szczególniéj sprzyjał Janowi irlandzkiemu, pospolicie Szkotem, albo Erigeną zwanemu. Temuż powierzył szkołę pałacową, bywał często na jego naukach, zaszczycał go szczególną poufałością (*), tak iż wówczas nie mówiono już szkoła pałacowa, ale pałac szkolny.

Irlandczyk zaspokoił żądanie Hincmara, pisał przeciw Gotteschalkowi w obronie wolnéj woli człowieka, ale nie zatrzymał się w granicach jakie mu zakreślił arcybiskup: Jak Pelagiusz którego w pewnym względzie był następcą, jak Orygenes, spólny mistrz obudwóch, za wiele przypisywał rozumowi, mniéj bacząc na powagę; przypuszczał on wiarę, lecz tylko jako źródło mądrości. Tak więc wolna wola, któréj bronił przeciw fatalizmowi Gotteschalka gubiła się w panteizmie alexandryjskim. Rzym potępił naukę Jana Szkota, jednakże, choć błędne, rozumowanie jego stanowi przecież epokę odrodzenia się filozofii, obudzenia geniuszu celtyckiego sprzecznego z mistycyzmem germańskim.

Gdy takie rozprawy trudzą umysły i całą zajmują uwagę, Normandowie tymczasem swobodnie kraj plondrują. Różne

---

(*) Na dowód szczególnéj poufałości między Janem Szkotem a królem Karolem łysym, przytacza Malmesbury następujące zdarzenie. Raz przy stole Jan zajął miejsce wprost naprzeciw Karola. Po zdjęciu półmisków gdy rzęsistsze zaczęły krążyć kielichy, rozweselony Karoł spostrzegłszy przeciwne francuzkiéj grzeczności zachowanie się Jana, chcąc go uszczypnąć delikatnie, zapytał się: jaki jest przedział między głupcem i Szkotem (inter sottum et scotum)?— szerokość stołu, odpowiedział Jan.

to wcale były napaści tych ludów północy, od dawniejszego napływu hord germańskich. Barbarzyńcy czwartego, piątego i szóstego wieku, przeszedłszy Ren zachowali swój język i zwyczaje, Normandowie z dziewiątego i dziesiątego wieku, przyjęli mowę kraju w którym się usadowili. Są niezaprzeczone skazówki historyczne, z których mniéj więcéj podobne do prawdy przyczyny téj różnicy wywikłać się dadzą. Lądem wdzierający się Germanowie przybywali z całemi familiami: żony i dzieci postępowały za hufcami wojowników. Były to pokolenia, które z jakiéjkolwiek bądź przyczyny opuściwszy pierwiastkowe siedziby, dogodniejszéj szukały ziemi, a osiadając w znalezionéj, nie łatwo mieszali się ze zwyciężonemi, na łonie rodzin dłużéj zachowali swoje plemię, utrzymali mowę. W epoce która nas obecnie zajmuje, skandynawscy wojownicy byli po większéj części wygnańcami swojéj ojczyzny: w braku przytułku na ziemi, owładnęli morze. Rybołóstwo, główny ich sposób utrzymania życia, ośmieliło ich na wątłych łodziach, gardzić niebezpieczeństwy odległéj żeglugi, głód był im do wypraw podnietą, przewodnikiem i mistrzem. Mówią, że brak wyżywienia na płonnéj ziemi skłonił jutlandzkich mieszkańców do postanowienia, iż co lat pięć młodsi synowie rodzin w obcéj ziemi szukać muszą przytułku. Saga skandynawska zapewniając walecznym miejsce w Walhalli, szczęście im przyszłe w zdobytych dostatkach złota i srebra obiecywała. Ztąd umierający rodzice zebrane skarby składać z sobą do grobu nakazywali, by ich synowie zmuszeni byli do szukania nowéj dla siebie na wieczne życie zdobyczy. Tak więc potrzebę z położenia miejsca wynikłą błędna uświęciła religia, a wygnani z rodzinnéj zagrody tułacze, pod tarczą Odyna łupili obce siedziby. Gdy lat kilka raz po raz jednęż grabiąc ziemię, opustoszoną wreszcie za nową przyjęli ojczyznę, szukali związków małżeńskich z córkami sąsiednich osadników, a dzieci ich, jak zwykle, macierzyńskim przemawiały językiem.

Wnoszą niektórzy, może nie bezzasadnie, że gnębieni przez Karola W. Saxonowie pomnożyli napastnicze Normandów

bandy; nie bez tego żeby poddani, niewolnicy, przed grozą swoich panów uchodząc, nie szukali szczęścia u strasznych korsarzy, którzy pospolicie nie liczni, z radością przyjmowali silnych i śmiałych towarzyszów, bo im służyli za przewodników zarazem i tłumaczów. Może nie raz srogość normandzkiéj grabieży podżegała zemsta gallijskiego niewolnika, lub zaciekłość niegodnego zbiega. W małéj wiosce o trzy mile od Troyes mieszkał silny, lecz przewrotnego umysłu wieśniak, nazwiskiem Hastings. Młodym jeszcze będąc wyrostkiem brzydził się ubogą strzechą swoich rodziców a marząc ustawnie o świetniejszém mieniu, porzucił wreszcie wiejską zagrodę i złączył się z Normandami. Tam nadsługując czas niejaki tym, co żywność dla swoich grabili i zwali się *flotta*, zwolna dźwignął się do wysokiego znaczenia i został najstraszniejszym bandy łupieżców przywódzcą.

Zamiast zbroić statki przy ujściach rzek dla powściągnienia zapędów napastniczych, jak Karol W. rozrządził, następcy jego związali się owszem z barbarzyńcami. Pepin użył ich pomocy przeciw Karolowi łysemu, mówią nawet, że dla pozyskania ich przychylności, oddał cześć Oddinowi. Srodzy sprzymierzeńcy zdobyli przedmieścia Tuluzy, po trzykroć złupili Bordeaux, zniszczyli Bajonnę. Zraziły ich jednak góry, a rzeki i strumienie akwitańskie niedogodne do żeglugi się zdawały; lepiéj im się powodziło na północy. Odtąd gdy wódz ich Harold ochrzczony uzyskał prowincyą od Ludwika pobożnego (826), mnóstwo się ich cisnęło do chrztu, aby przynajmniéj nowe pozyskać odzienie. Lecz gdy z czasem zabrakło ubiorów, rozjątrzeni barbarzyńcy tém zaciętszemi stali się wrogami. Skoro z daleka ujrzano prujące nurt rzeki ich smoki i węże (*), skoro się rozległ po wybrzeżach ton rogu z kości słoniowej, trwogą zdjęci mieszkańcy już się obejrzéć nie śmieli: każdy uciekał pędząc dobytek przed sobą i szukał schronienia w mieście, lub

(*) Tak nazywali Normandowie swoje łodzie, *drakars, snekkars*. Róg z kości słoniowéj ważną gra rolę w legendach z czasów normandzkich.

sąsiedzkim klasztorze. Słaba przed chciwym łupu wrogiem obrona! Normandowie złupiwszy wsie i miasta rzucili się na klasztory, na świątynie pańskie. Obdarli opactwo Ś. Marcina w Tours, Ś. Germana w Paryżu (Saint-Germain-des-Prés) i mnóstwo innych klasztorów. Popłoch między ludem był tak wielki, iż nikt już nie śmiał gruntów uprawiać. Zarosły knieje między Sekwaną i Ligierą, stada żarłocznych wilków przebiegały Akwitanią i nikt ich płoszyć nie odważył się, zdawało się że dzikie zwierzęta założyły legowisko we Francyi. Ta niesłychana trwoga ozuchwaliła napastnicze bandy, obrały sobie stałe leże, do których gromadziły zdobycz, a mniejsze lub większe flotty przybywały z północy i z zabranym łupem wracały. Wyspa Noirmoutiers przy ujściu Ligiery, Oissel na Sekwanie powyżéj Rouen, były stałémi obozami Normandów, z których według upodobania robili wycieczki w różne strony.

Zaczęli się wreszcie wojownicy francuzcy ośmielać: dla bezpieczeństwa, dla łatwiejszéj obrony, poczęli budować w zarosłych lasach, na szczytach skał warowne zamki. Nabrał i Karol odwagi, uderzył na sławnego króla morza Bioerna w lasach Perche i do ucieczki przymusił (855). Lecz już w roku następnym złupili Normandowie Orleans, późniéj Chartres, Amiens i bogate opactwo Saint-Ricquier. W sześć lat po pierwszém zwycięztwie odniósł Karól drugie podobne niedaleko Meaux. To dodało odwagi rycerstwu francuzkiemu. Robert zwany silnym, hrabia andegaweński, stanął na czele nielicznego wprawdzie, lecz mężnego hufca i dzielny stawił opór Normandom z Bretonami połączonym: w jednéj bitwie osadę dwunastu łodzi w pień wyciął. Lecz i najwaleczniejszy rycerz, własnym siłom zostawiony, nie mógł złamać potęgi normandzkiéj. Zuchwały Hastings, postrach Francyi, wracał z czterystą Normandami z łupiezkiéj do Mans wyprawy; Robert go otacza i przeważnie gromi. Hastings zamyka się w kościele i cały dzień natarcia Roberta walecznie odpiera: ku wieczorowi Robert swoich na spoczynek wiedzie i sam strudzony do swojego udaje się namiotu. Zaledwie zdjął zbroję, gdy nagły krzyk powstał: Hastings korzystał

z pory i ostatniego ciosu rozpaczy doświadczyć postanowił. Robert nie zwłóczy ani chwili, zbroi nawet nie wdziewa, aby prędzéj śpieszyć swoim na pomoc, lecz obskoczony od Normandów, na samym progu świątyni pełne chwały kończy życie. Spółcześni kronikarze nadali mu zaszczytne Machabeusza imię (866).

W skutek zawartych układów w Verdun, nie do nas już należą dzieje niemieckich Karlowingów, postępować atoli musimy za Karolem łysym, który się plącze do działów państwa po śmierci braci swoich Lotara i Ludwika niemieckiego. Po zgonie synowca swojego zagarnia Lotaryngią, a po Ludwiku II cesarzu, pod cieniem wielkiego imienia Hincmara uzyskuje godność cesarską i wraz z nią żelazną Lombardów koronę (875). Gdy dumny nowym tytułem, na zgromadzeniu w Ponthieu przedstawia się panom swoim w greckiéj dalmatyce, z jedwabną na głowie osłoną, na któréj cesarska jaśniała korona, w téj właśnie chwili zakończył życie Ludwik król niemiecki. Karol śpieszy do Akwisgranu, nie bacząc na nową napaść Normandów. Lecz synowie Ludwika na jego roszczenia odpowiadają bitwą pod Andernach, z któréj tylko co życie unieść potrafił. Zaledwie stanął w Reims, gdy go z dwóch stron niepomyślne doszły wieści. Sławny Rollon, przywódzca świeżo przybyłych Normandów, roznosił pożogę po Francyi, a synowcowie grozili wydarciem mu Włoch i cesarskiéj korony. Nie wahał się w wyborze Karol, Rollona zapędy wstrzymał srebrem, a sam puścił się w drogę do Włoch. W téj to chwili ważne w dziejach Francyi odbyło się zgromadzenie stanów w Kiersy (877), na którém Karol łysy przyznał panom dziedzictwo posiadanych przez nich godności, przez co feodalność na prawnych oparła się zasadach. Bezkorzystną była tak wielka ofiara dla Karola, zastał już bowiem we Włoszech Karlomana bawarskiego na czele potężnéj armii, co go do spiesznego skłoniło odwrotu; lecz już nie oglądał Francyi, u stóp góry Cenis, w nędznéj lepiance życia dokonał (877). Mówią że Lekarz jego Sedecyasz Izraelita, wsypał do lekarstwa jakiś proszek. Smutne igrzysko fortuny! los mu nawet pozazdrościł spoczynku w grobach opactwa Ś Dyo-

nizego, które sobie obrał za życia, prędkie bowiem psucie się ciała zmusiło dworzan do pogrzebania go w Nantui.

Za życia swojego Karol zapewnił następstwo tronu synowi swojemu Ludwikowi *jąkliwym* zwanemu, lecz po śmierci znalazło się silne stronnictwo przeciwne jego wyniesieniu: na czele był Boson xiążę Prowancyi, Hugo następca Roberta silnego, a nawet Richilda owdowiała krolowa. Nie skąpiąc darów i przywilejów odzyskał względy możnych i koronę, lecz po ośmnasto-miesięcznem panowaniu umarł w Troyes (879).

Dwóch zostało synów po Ludwiku jąkliwym, Ludwik III i Karloman: z tych pierwszy zaledwie rozpoczął szesnasty rok życia. Boson i Hugo stanęli na czele rządu, skłonili panów do uznania ich praw, ale natomiast Boson krwawy cios zadał władzy królewskiéj, kazawszy się koronować królem Prowancyi. Zaprzeczyli temu młodzi królowie, lecz cięższe przygody w inną stronę oręż ich zwróciły. Normandowie już nie w drobnych bandach plondrowali kraj, ale w porządnym bojowym szyku liczną na rabunek wywiedli armią. Ludwik III zaszedł im drogę pod Saucourt niedaleko Abbeville; dziewięć tysięcy napastników legło na placu, lecz wojownicy neustryjscy tak już przywykli do ucieczki, iż cała ich armia zwycięzka pierzchła wieczorem przed garsztką oszańcowanych w Saucourt Normandów (880). Zwycięztwo jednak w ciągu dnia odniesione, na niejaki przynajmniéj czas wstrzymało najazdy normandzkie.

Ludwik III wkrótce potém dokonał życia w Saint-Denis (882), a we dwa lata pośpieszył za nim Karloman rażony kłem dzika na polowaniu w lasach opactwa Corbie (884). Jedno już tylko pozostało dziecię z familii Ludwika jąkliwego, Karol, który miał uzyskać przydomek prostodusznego (Le Simple). Silniejszego atoli ramienia wymagała Francya dla wstrzymanią strasznych synów północy, panowie przeto za najstosowniejsze uznali ofiarować tron cesarzowi, Karolowi *grubemu*. Tym sposobem ujrzała Europa dziwnym sposobem odnowione państwo Karola W.; nowy władca testamentami zlepił jego szczątki, i w ciągu lat czterech całą utraciwszy familią, odbudował ten gmach

ogromny bez fundamentów. Cesarz, król Niemiec, Włoch i Francyi zarazem, nie był dość silnym do wstrzymania zapędów normandzkich. Gotfried, zięć Lotara II, uzyskał był Fryzyą, lecz żądał jeszcze posiadłości Coblentz i Andernach, aby miał wino, którego mu Fryzya nie wydawała. Z tém żądaniem udał się nad Ren do cesarza, lecz gdy tam nowe coraz przedstawiał życzenia, zniecierpliwieni panowie niemieccy życia go pozbawili. Zemstą zapalony następca jego Siegfried, wiąże się z Normandami nad Sekwaną i z tak połączonemi siłami staje pod murami Paryża (885).

Oblężenie Paryża rozpoczyna właściwą historyę narodu francuzkiego, po raz pierwszy widać go działający. Biskup, hrabia i mieszczanin, to potrójne uosobistnienie społeczności takiéj, jaka była w średnich wiekach, występuje na jaw z silną energią. Oblężenie było długie i okropne; cała ludność schroniła się za mury warowne starego miasta (cité). Napróżno Normandowie wysilają całą niezgrabność sztuki wojennéj owego czasu, napróżno trupami jeńców zawalają rowy okopowe, bezsilny taran do murów wiodą: mieszkańcy wstrzymują ich zapędy, łamią upor bezsilny. Hrabia Odon (Eudes) syn Roberta silnego, biskup Gozlin, i opat Ś. Germana podsycają męztwo oblężonych, dzielnie kierują obroną. Nadciągnął w końcu z wojskiem Karol gruby, lecz roztoczywszy obóz na równinach Saint-Denis spokojnie zaciętéj przyglądał się walce, a nie ważąc wątpliwego boju, pieniędzmi uspokoił Normandów, wskazawszy im Burgundyą na łup, która dotąd władzy jego nie uznała. Dumni chlubną obroną Paryżanie, w haniebnym traktacie nie chcieli miéć udziału; nie pozwolili Normandom przeprawy przez Sekwanę, tak dalece, że chciwi wskazanéj im zdobyczy najezdnicy, ciężkie swoje łodzie na ląd wyciągali i przeszło dwie mile wlekli nad brzegiem rzeki, póki w zabezpieczoném od męztwa Paryżanów miejscu nurtom rzeki ich nie powierzyli.

Niesłychaną od dawna walecznością obudzona chełpliwa duma narodu, z tém większém oburzeniem spoglądała na poniżające układy Karola. Możni panowie, zgromadzeni na sejmie w Tribur, jednozgodnie wypowiedzieli posłuszeństwo królowi i natych-

miast każdy naród osóbnego wybrał sobie władcę. Berło Francyi pozyskał Odo hrabia paryzki, sławą obrony miasta jaśniejący. Wywyższenie Odona ważnym jest w dziejach Francyi wypadkiem, choć może nie tyle, ile niektórzy dziejopisarze sądzą, stawiąc go na krańcu dzielącym Gallią od Francyi, Franków od Francuzów; już bowiem Andegaweńczycy pod chorągwią Roberta silnego walczący byli Francuzami. Świetne zwycięztwo nad Normandami pod Mont-Faucon, zaszczyciło wstęp panowania nowego króla, ależ na tém koniec. Zmordowany ustawną walką bez skutku, już nie orężem, ale na wzór Karlowingów, z workiem w ręku wstrzymywał Normandów. Natomiast zadarł z feodalnością, zapomniawszy że jéj winien był koronę; krok ten niewczesny posłużył Karolowi prostodusznemu do odzyskania tytułu monarchy, gdyż władza już była w ręku wazallów.

W tym samym roku w którym rozstał się z tym światem, podpisał Karol łysy dziedziczność hrabiów: tym sposobem urzędnicy doczasowi, od woli monarchy zależni, zostali dziedzicznemi wszechwładcami (souverains) krajów zarządowi swojemu niegdyś powierzonych: wielkie lennictwa już od dawna były dziedziczne. Twarda konieczność wydarła z rąk Karola tę ofiarę, którą złożył po bezskutecznym oporze. W r. 859 panowie wstrzymali lud od broni przeciw Normandom, w r. 864 Karol oddając wet za wet zakazał panom budowy zamków warownych. Panowie przecież co wznieśli mimo Karola woli, utrzymali wbrew jego woli. W głębi ciemnych lasów, na górach w pobliżu ciasnych przesmyków, nad przewozami rzek stanęły obronne zamki, ludem zbrojnym zapełnione, a lud na próżno wyglądając wsparcia od swojego władcy, cisnął się pod opiekę pałaców możnych panów i hrabiów.

Najpierwszym i najpotężniejszym feodalizmu założycielem był Boson, szwagier Karola łysego, który przyjął tytuł króla Prowancyi, czyli Burgundyi przedjurańskiéj (879). W tymże czasie Rudolf Welf zajął Burgundyą zajurańską. Połączeni z nimi Gerard z Russilonu, biskup z Grenobli i wicehrabia Marsylii, tworzyli na południu tamę, o którą się roztrącały saraceńskie

zapędy. U podnoża Pireneów Gaskonia dźwignęła się pod Hunalda i Waifara potomkami: wzniosły się potężne gockie familie Narbonny, Russilonu i Barcellony; panowie Poitiers i Tuluzy. Od wschodu Reinier hrabia henegawski (Hainaut) uciera się ze strasznym Swentiboldem, synem króla niemieckiego, o posiadłość Lotaryngii. Na północy podwójną zaporę stanowią hrabiowie Flandryi i Vermandois, krewni i sprzymierzeńcy, mniéj więcéj wierni Karlowingom. Najsroższa atoli walka wrzała w zachodniéj Francyi, tam téż najdzielniejszy wazal podniósł głowę, (937) waleczny Allan, krzywobrodym zwany (Barbetorte); znękał Normandów i odzyskał Nantes; lecz gdy z rycerstwem szedł do katedry tamtejszéj dla złożenia Bogu modłów dziękczynnych, musiał szablą torować sobie drogę, wycinając zarosłe krzewy i chwasty.

Już téż około tych czasów uwolniony został naród od pożogi normandzkiéj, nie siłą walecznego oporu, lecz z rozważnéj woli napastników. Odkąd łodzie normandzkie za punkt zjednoczenia obrały sobie ujście Sekwany, kraj okoliczny zamienił się w rozległą pustynię: miasta opuszczone, wsie w gruzach zagrzebane, już nic nie pozostało do łupienia, prędzéjby z głodu umrzéć wypadło w krajach, których kilka mil przebiedz mogłeś nie słysząc psów szczekania, jak się wyraża jeden z dziejopisów. Spostrzegli to Normandowie, i w końcu poznali, że lepiéj zagarnąć tę ziemię i korzystać z jéj płodności, niż rabować mieszkańców, lub się tułać wśród powszechnego zniszczenia. Flotta północna zamiast korsarzy przywiozła osadników, a wieśniacy krajowi znaleźli pomiędzy nimi opiekę, jakiéj się znikąd doczekać nie mogli. Rollon sławny wódz normandzki, który już raz należał do oblężenia Paryża, porozumiał się wreszcie z Karolem prostodusznym, pojął córkę jego w małżeństwo i został xięciem Normandyi, wazallem królewskim (911). Wkrótce Normandya stała się najlepiéj urządzoną prowincyą i tak bezpieczną, że dziecię z kiesą złota w ręku mogło ją śmiało przebywać, jak mówi spółczesny kronikarz.

Karol prostoduszny wynagrodził sobie utratę Normandyi nabyciem Lotaryngii, choć nie długo z niéj korzystał. Powiernik jego, człowiek nizkiego rodu, ale wysokich zamiarów, zraził umysły możnych wazallów, tak dalece, że na polu majowém w Soissons zebrani panowie połamali źdźbła słomy i rzucili pod nogi Karolowi, oświadczając, iż nie chcą odtąd uznawać jego zwierzchnictwa, i natychmiast wszyscy opuścili zgromadzenie. Karol sam jeden pozostawszy udał się do Lotaryngii, a Robert xiążę francuzki ogłosił się królem w kościele reimskim, w obliczu zięcia swojego, xięcia Burgundyi Raoula. Na równinie Ś. Medarda niedaleko Aisne spotkali się dwaj do korony spółzawodnicy. Robert pochwyciwszy chorągiew godzi na chorążego przeciwnéj strony; lecz ten odparłszy cios wymierzony trupem ściele Roberta.

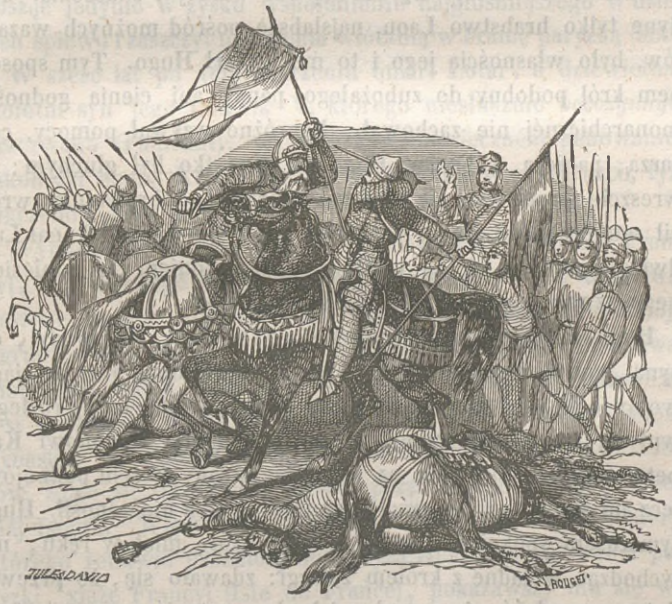

Pozostały syn jednak otrzymał plac bitwy, a Karol uchodzić był zmuszony. Tak więc z dwóch władców, którzy się rano

królami mianowali, jeden śmierć poniósł, drugi przegraną bitwą tronu pozbawiony. Osierocone berło pochwycił Raoul burgundzki (923), które mu odstąpił Hugo syn Roberta. Karol tymczasem przesiedziawszy czas niemały w wieży Péronne pod strażą Herberta z Vermandois dokonał życia, a za nim wkrótce i Raol zstąpił do grobu.

Po drugi raz osierocony tron pozostał do wolnego rozrządzenia Hugona xięcia Francyi (Isle de France), który spokojne naczelnictwo możnego feodalizmu przenosił nad zgryźliwą koronę. Przypomniał on sobie że w czasie upadku Karola, żona jego zawiodła do Anglii Ludwika, małe jeszcze podówczas dziecię królewskie, posłał po niego Hugon. Ludwik IV kończący wówczas rok szesnasty, nazwany zamorskim (d'Outremer), z przyczyny długiego pobytu z tamtéj strony kanału, ośmnaście lat cieszył się koroną bez władzy i znaczenia. Jedyne tylko hrabstwo Laon, najsłabsze pośród możnych wazallów, było własnością jego i to mu wydarł Hugo. Tym sposobem król podobny do zubożałego pana, ani cienia godności monarchicznéj nie zachował. Napróżno wzywał pomocy, cesarza, papieża, soborów; Hugo na wszystko był głuchym; aż wreszcie znudziwszy się ciągłemi zatargami, dobrowolnie zwrócił mu hrabstwo Laon, w którém nie długo życia dokonał Ludwik. Uganiając się za wilkiem, padł z koniem i z poniesionego szwanku już się nie podźwignął (954).

Hugo za przybyciem Ludwika zyskał część Burgundyi, od syna jego Lotara dostał w lenność Akwitanią, lecz w ciągu wojny o jéj zdobycie zszedł z tego świata, zostawiwszy rozległe wpływy i obszerne lenności synowi swojemu Hugonowi Kapetowi. Lotar rzucał się na wszystkie strony w celu podbojów, lecz ani sławy, ani korzyści z wypraw swoich nie odnosił. Hugo tymczasem spokojnie używał władzy którą miał w ręku, nie wchodząc w żadne z królem zatargi: zdawało się, że przewidując przyszłość, nie raczył ani kroku postąpić naprzeciw fortunie, w tém przekonaniu że sama do niego przyjdzie.

Panowanie Lotara zapełnione drobiazgowemi zamachami, przedstawia jeden wypadek nie tyle ważny, ile dla osobliwości swojéj ciekawy. Lotar niespodzianie napadł Akwisgran, w chwili gdy Otto II siadał do stołu; spłoszony cesarz ucieczką się ratował, a król zjadł obiad cesarski. Rozgniewany Otto przysiągł że pod murami paryża zaśpiewa Lotarowi *alleluja*, jakiego w życiu swojém nie słyszał. Co się z początku zdało wyrazem rozjątrzonéj miłości własnéj, to się w istocie spełniło. Cesarz na czele sześdziesięciu tysięcy ludzi splondrowawszy okolice Reims, Laon, Soissons, stanął na wzgórzach Montmartre i tam z rozkazu jego licznie zebrane duchowieństwo zaśpiewało antyfonę, na którą całe wojsko chórem odpowiedziało *alleluja*. Paryż skończył na strachu, Otto zaś w przeprawie przez wezbraną rzekę Aisne stracił łupy, własne pociągi i całą tylną straż, odnosząc jedynie w zysku wspomnienie najgłośniejszego w dziejach śpiewu i zaszczyt ugodzenia włócznią w bramę paryzką (980).

W sześć lat po tém zdarzeniu umarł Lotar, a dziewietnastoletni syn jego Ludwik V, którego niesłusznie *bezczynnym* przezwano (Fainéant), po czternastomiesięcznem panowaniu, zakończył epokę Karlowingów, ile świetną w początkach, tyle nikczemną przy upadku.

Wyniesienie na tron trzeciéj dynastyi ważne jest dla Francyi, lecz z innego wcale względu jak drugiéj. Tu, właściwie mówiąc, kończy się panowanie Franków, władza na podboju ugruntowana; na jéj miejsce wstępuje monarchia narodowa, monarchia odtąd właściwie francuzka. Tosamość narodowa jest podstawą, na któréj spoczywa od tylu wieków jedność dynastyi. Szczególne przeczucie tak długiego następstwa królów zdaje się opanowało naród przy samym wstępie trzeciéj familii. Wieść się rozległa w 981 roku, że Ś. Walery, którego relikwie przeniósł do Paryżą Hugo Kapet, hrabia paryzki, xiążę Francyi (Isle de France), pokazawszy mu się we śnie, rzekł: »Za to coś zrobił, ty i twoi potomkowie, będziecie królami aż do siódmego pokolenia, to jest, na wieczne czasy.« Pospolitego ludu powiastkę powtórzyli wszyscy bez wyjątku

owocześni kronikarze, ci nawet, którzy zmianę Hugona zdradą mianowali. Pomiędzy ludem pospolitym upowszechnione było mniemanie, że Kapet plebejuszowskiego był rodu, i nie było to bezkorzystne dla jego sprawy (*).

Prowincye odleglejsze zaledwie spostrzegły zmianę dynastyi: i cóż wreszcie obchodzić miało panów gaskońskich, langwedockich, prowanckich, czy ten, co nad Sekwaną tytułem króla się zaszczycał, zwał się Karolem, lub Hugonem? W poniżeniu do jakiego ostatni Karlowingowie przywiedli monarchią, tytuł króla był czczém nazwiskiem, wspomnieniem blizkiém zatraty; przeniesiony na ród Kapetów, stał się nadzieją, prawem żyjącém, acz uśpioném w pierwiastkach, lecz przy sposobnéj okoliczności mającém się dzielnie przebudzić. Już i to nie małą było Kapetów korzyścią, że na własnéj oparci lenności, nie jednemu z podobnych sobie wazallów stawić czoło mogli. Tym sposobem monarchia trzeciéj rodziny, równie jak drugiéj, zaczyna się od przyjaciół kościoła, dziedziców obszernych włości. Własność i kościół, ziemia i Bóg, oto są niewzruszone podstawy, na których oparta monarchia ma zczasem silnie zakwitnąć.

Do porządku i jedności, zdaje się, doszli Rzymianie i Karól W. Dla czegoż ten porządek był tak krótko-trwały? Dla tego że był zupełnie materyalny, zewnętrzny; że ukrywał w sobie głęboko zakorzeniony nieład, uporną niesforność różnorodnych żywiołów siłą tylko zjednoczonych. Różnica plemion, mowy i i ducha, instynktowa wzajemna nienawiść, kryła się pod osłoną zwodniczéj jedności administracyi rzymskiéj, mniéj więcéj przywróconéj przez Karola W.; dowodem tego gwałtowna żądza ludów w oderwaniu się od cesarstwa objawiona. Materya dąży do rozprzężenia, duch pragnie jedności. Dla tego jedność musiała wypływać z ducha, to jest z kościoła. Nim atoli duch nadejdzie, nim Bóg tchem swoim wionie z wysokości, materya

(*) Początek rodu Kapeta od rzeźnika paryzkiego wywodzą kronikarze, téj genealogii chwycił się Dante w swoim poemacie.

niknie rozsypując się na cztery wiatry. Podział się rozdrabnia, ziarnko piasku chce zostać atomem. Części zapierają się wzajemnie, znać się nie chcą, każdy się pyta, gdzież są bracia moi? ustalają się w samém rozdzieleniu. Ten szczyty skał zajmuje, tamten się pod zasłoną potoku sadowi; wkrótce człowiek nie wie, czy po za granicą jego osady jest jeszcze świat jakowy.

Historya powinnaby, posłuszna temu ruchowi, rozproszyć się także, i postępować w trop wznoszących się feodalności. By rozplątać tę matwaninę, nie od rzeczy będzie skreślić rys charakterów właściwych okolicom, w których najsilniejsze dźwignęły się dynastye feodalne: w takim stanie rzeczy, prosta geografia wstępuje w miejsce dziejów.

KSIĘGA CZWARTA.

Kapetyngowie.

OD ROKU 987 DO ROKU 1328.

KSIĘGA CZWARTA.

Kapelyan Szczowic.

Od roku 987 do roku 1238.

KSIĘGA CZWARTA.

KAPETYNGOWIE

OD ROKU 987 DO ROKU 1328.

ROZDZIAŁ I.

OBRAZ FRANCYI Z WIEKÓW ŚREDNICH.

Jakkolwiek niedołężnymi byli ostatni Karlowingowie, jednakże samo ich istnienie już było niezłomną tamą, o którą roztrącały się dążenia owczasowéj społeczności, nie kontentéj z tego czém była, nie mogącéj zostać czém chciała. Z wstąpieniem na tron Kapetów ustaje to wewnętrzne pasowanie się, oczekiwania różnorodnych pokoleń spełnione. Prodkowie nowego króla byli naczelnikami, reprezentami feodalności, podobnie jak Heristal był reprezentantem ostrazyjskiego możnowładztwa. Przodkowie Kapeta byli uczestnikami, towarzyszami rokoszu xiążąt i hrabiów, dla tego każdy był pewny ich zgody ze stanem rzeczy, któremu winni byli koronę. W istocie, czyli to przezornością, czy obojętną dobrodusznością wiedzeni, nie pokusili się o zniszczenie narzędzia, póki się samo nie zużyło: puścili się wolno za potokiem czasu, póki nie nadeszła epoka Filipa pięknego, w któréj mogli się chwycić polityki Karlowingów. Uspokojona przeto społeczność znalazła swobodne

chwile do wyrobienia wszystkich żywiołów, z których powstała Francya taka, jaką jest obecnie.

W pierwszéj połowie dziesiątego wieku rozmaite części Francyi zaczynają się wydobywać z zamętu bezwładnéj jedności i przybierać wybitne cechy feodalizmu pod odrębnemi dynastyami. Gdy wiatr rozpędził szarugę niemieckiego cesarstwa, pod rozjaśnioném niebem wystąpiła Francya w różnobarwnéj miejscowości, górami i rzekami bramowanéj. Podziały polityczne spotkały się z podziałami fizycznemi. Rzecz dziwna! ośmdziesiąt sześć departamentów dzisiejszéj Francyi odpowiadają, z niewielkiemi odmianami, ośmiudziesiąt sześciu okręgom kapitularzy karlowingskich, z których powstały po większéj części władctwa feodalne: w chwili więc ostatniego zgonu feodalizmu, duch jego przewodniczył mimowolnie tym, którzy mu ostatni cios zadali.

Tak więc polityczny podział Francyi z fizycznego podziału wynikły, rozpoczyna dzieje tego narodu: geografia jest tu historyą. Nie podobna inaczéj rozplątać epoki feodalnéj, nie przedstawiwszy głównych cech każdéj prowincyi. Na tle wszakże tego obrazu nie może być sama postać geograficzna ziemi, lecz ludzie ją zajmujący, których działania i ich wypadki historya wiernie maluje.

Rzućmy naprzód okiem na całą rozległość Francyi, przypatrzmy się, jak sama w sobie się rozdziela. Ze szczytów Wogezu lub Jury, jeżeli oko nasze potrafi się przedrzéć do krańców sto kilkadziesiąt mil odległych, ujrzymy linie wijące się od lesistych wzgórzów Luxemburga i Ardennów do nizin Wogezu; ztamtąd przez pokryte winną latoroślą spadzistości Burgundyi, do wulkanicznych szczelin Sewennów i olbrzymiego muru Pireneów. Jest to właśnie rozdział wód; w stronie zachodniéj Sekwana, Ligiera i Garumna zdążają do oceanu; za niemi Moza zwraca się ku północy, Soana i Rodan na południe. W końcu horyzontu leżą krainy, nakształt wysp stałego lądu; Bretania, czysta krzemionka i granit, skała, o którą się roztrącają prądy kanału Manszy; z drugiéj strony zielona lecz cierpka Owernia, rozległe pogorzelisko z czterdziestą zagasłemi wulkanami.

Postępując za szerokością geograficzną, płodami ziemi odznaczają się strefy Francyi. Na północy rozciągają się płodne niziny Belgii i Flandryi, łany lnu, rzepaku i chmielu, téj gorzkiéj zaprawy wina północnego. Od Reims do Mozelli kraj winnéj latorośli i wina musującego w Szampanii, wybornego w Burgundyi, mętnego w Langwedocyi, póki się nie ożywi w Bordeaux. Morwa, oliwa już się pojawiają w Montauban, lecz te delikatne odrośle południa cierpią nie raz pod niestałém niebem Francyi.

Mówią, że Paryż, Rouen, Hâvre są jedném miastem, których Sekwana jest wielką ulicą. Oddalmy się na południe od téj przepysznéj ulicy, przy któréj zamek styka się z zamkiem, wieś łączy ze wsią: postąpmy od niższéj Sekwany do Calvados, a ztamtąd do Manszy, choć ziemia płodna, przecież zmniejsza się liczba miast, zniża uprawa, powiększają pastwiska. Kraj nie jest rozkoszny, daléj nieco staje się posępny i dziki. Zamiast wyniosłych zamków Normandyi napotkasz nizką chatę bretońską. Ubior zdaje się odpowiadać zmianie budowy. Okazały kapelusz kobiet z okolicy Caux, zdobiący tak wspaniale głowę córek zdobywców Anglii, rozszerza się postępując ku Caen, spłaszcza około Villedieu; rozdziela się w St. Malo i przedstawia wiatrom postać skrzydeł wiatraka, lub żaglu okrętowego. Z drugiéj strony, ubiory skórzane poczynają się w Laval. Co raz gęstsze następują lasy, pustynie samotnego trapisty, trafne nazwy miast Fougères i Rennes (obadwa wyrazy znaczą porost), płowe wody Mayenny i Vilainy, wszystko to zwiastuje okolicę twardą i posępną. Odtąd przecież zamierzamy rozpocząć rys obrazu Francyi. Starsza córka monarchii, prowincya celtycka, godna jest pierwszego wejrzenia. Ztamtąd posuniemy się do odwiecznych wrogów celtyckich, Basków czyli Iberów, nie mniéj upartych wśród gór, jak Celtowie na płonnych błoniach i bagniskach. Łatwe potém przejście do krain zmieszanych podbojem Rzymian i Germanów. Tym sposobem obraz nasz rozwijać się będzie w postępie chronologicznym, odbędziemy podróż w przestrzeni i czasie.

Uboga i twardą Bretania roztacza swoje błonia krzemionki od kopalń łupku pod Châteaulin do takichże łomów w Angers. To jest właściwa jéj rozległość geologiczna. Język atoli bretoński nie zaczyna się od Rennes, lecz około Elven, Pontivy, Loudéac i Chatelaudren. Odtąd aż do cyplu Finisterre jest prawdziwa Bretania, obca Francyi, zostawszy wierną jéj pierwiastkowemu stanowi. Nie raz może wyśliznęłaby się z rąk Francyi, gdyby jéj nie trzymały, jak w szponach, miasta francuzkie, twarde lecz silne: Nantes i St. Malo, Rennes i Brest. A przecież ta uboga, stara Bretania nie raz zbawiła Francyą. Często w ostatniéj toni znalazły się piersi i głowy Bretonów twardsze od nieprzyjacielskiego żelaza. Nomenoe, Bretańczyk, dał pierwszy przykład szczęśliwéj walki z Normandami. W czternastym wieku Dugueselin odparł Anglików; w piętnastym walczył z nimi Richemont; w siedmnastym Duguay-Trouin ścigał ich po wszystkich morzach. W wojnach religijnych i politycznych jakże pięknym, jak niewinnym blaskiem jaśnieją imiona Lanoue i Latour-d'Auvergne, pierwszego grenadyera rzeczypospolitéj. Jeżeli dać mamy wiarę podaniom, z ust Nanteńczyka wyszedł ostatni okrzyk pod Waterloo: »Gwardya umiera, ale się nie poddaje.«

Geniusz bretański, jest to geniusz niepohamowanego oporu, nieustraszonego i ślepego przeciwieństwa, dowodem tego Moreau, wróg Bonapartego. Ten duch nieugięty jeszcze wybitniéj objawia się w historyi filozofii i literaturze. Pelagiusz, Abailard, Descartes, są to trzy wielkie imiona w krainie myśli. Odsunąwszy na stronę błędne ich zapatrywanie się na rzeczy, przyznać należy iż wszyscy trzej silny dali popęd filozofii wieków w których żyli. Te same okolice Bretanii, które za Ludwika XV wydały niedowiarków Duclosa, Maupertuisa i Lamétrie; za naszych czasów dostarczyły katolicyzmowi poetów i mówców, Chateaubrianta i La Mennais.

Rzućmy teraz okiem na główniejsze okolice Bretanii. Dwie główne bramy téj krainy, dwa stanowią lasy, gaj (le bocage) normandzki, i gaj wandejski; tudzież dwa miasta Saint-Malo

i Nantes, miasto korsarzy i miasto handlu murzyńskiego. Widok Saint-Malo jest odrażający, przedstawia cóś dziwacznego w ubiorach, pomnikach i obrazach. Miasto nie wielkie, bogate, ponure i smutne, gniazdo sępów lub orłów, wyspa lub półwysep naprzemian, w miarę przypływu lub odpływu morza; otoczone skałami słonemi i cuchnącemi, na których spokojnie gniją morskie porosty. Wojna, to prawdziwe gody dla mieszkańców tego miasta, nie ma dla nich milszéj uroczystości. Na drugim krańcu leży Brest, wielki port wojenny, myśl Ryszeliego, a ramię Ludwika XIV, warownia, arsenał i turma, działa i okręty, wojsko i miliony, siła całéj Francyi skupiona na saméj krawędzi Francyi; i to w porcie ściśnionym, w którym o mało co się nie udusisz, między dwiema górami, na których ogromne stłoczono gmachy. Wspaniały, ale oraz przykry widok! wszystko tu zdaje się być na przekorę Anglii i naturze. Wszędzie widać wysilenie: morze wyrwawszy się z ciasnego przesmyku Manszy, w tym właśnie punkcie z wściekłością roztrąca swoje bałwany, w tym punkcie Francya umieściła skład swojéj marynarki wojennéj. Bezpieczne schronienie, zapewne nie wedrze się do niego nieprzyjaciel; ale téż i swoi nie zawsze ztąd wyjść mogą. Nie jeden już okręt pochłonęły tonie przy wyjściu z portu. Cała ta strona jest rozległym cmentarzem, każda zima w przecięciu pożera sześćdziesiąt osad okrętowych. Straszne jest i złowrogie wybrzeże Brestu, ostatni kraniec, cypel starego świata. Dwaj tu nieprzyjaciele stoją na przeciw siebie w ciągłych zapasach, ziemia i morze, człowiek i natura. Lecz w istocie jest tu cóś straszniejszego nad skały, okropniejszego od burzy. Natura sroga, człowiek srogi, a przecież zdają się być z sobą w porozumieniu. Skoro morze nieszczęsny okręt o brzeg roztrąci, wszyscy się zbiegają, mężczyzni, kobiety, dzieci nawet na ten żer się rzucają. Nic nie wstrzyma tych żarłocznych wilków, pod gradem kul spokojnie łupić będą. Gdyby przynajmniéj trafowego czekali rozbitka, ale to gorsza, że, według wiarogodnych zapewnień, sami wywołują nieszczęście żeglarzy. Powiadają, że często wół na rogach ruchomą uno-

sząc latarnię, uwodzi sternika i na skały okręt kieruje. Wtedy Bóg sam świadkiem okropności sceny nocnéj: widziano jak dla zdobycia pierścienia z palca tonącéj kobiety, odejmowano palec zębami.

Zakamieniałym jest człowiek na tém głazami nastruszoném wybrzeżu, natura twardą stała się dlań macochą. Rozhukane bałwany żadnych dla niego nie mają względów, gdy wśród strasznéj nocy zimowéj puszcza się między skały dla ściągnięcia porostu, by nim płonną użyźnił rolę: jakże często szalony bałwan wyrzuca na ląd roślinę, a w odmęt pogrąża człowieka. Nie oszczędza go morze, gdy drżący przesuwa się pod cyplem Raz, około skał czerwonych, *piekła Plogoff*, *zatoki zmarłych* (l'enfer de Plogoff, Baie des Trépassés), gdzie od tylu wieków prądy unoszą ciała rozbitków. Jest to Bretonów przysłowie: »Nikt nie minął cypla Raz bez nieszczęścia lub strachu.« albo téż: »Ratuj mnie, wielki Boże! przy cyplu Raz, mój okręt tak mały a morze tak rozległe.« Tu natura obumarła, człowiek ponury i zimny: nie ma śladu poezyi, mało religii, chrześcianizm jakby wczoraj dopiero zawitał. Na wyspach Sein, Batz, Ouessant, małżeństwa posępne i surowe. Zmysły zdają się tam otrętwiałe, ani ich miłość zapali, ani wstyd zarumieni, ani zazdrość poruszy. Kobieta pracuje tu więcéj niż mężczyzna i jest pospolicie silniejszą od niego; bo ona uprawia rolę, gdy mężczyzna jakby przykuty do swojéj łodzi tłucze się po morzu, skąpego na niém szukając wyżywienia.

Spocznijmy na strasznym cyplu Raz, na skale trzysta stóp nad poziom styrczącéj, skąd oko na trzy mile sięgnąć może brzegów. Tu jest poniekąd starożytny przybytek świata celtyckiego. Poza przystanią *zmarłych* wychodzi z łona morza wyspa Sein, bez drzew, bez cienia, posępna rafa piaskowa; mieszka na niéj kilka ubogich familij. Było to niegdyś siedlisko poświęconych dziewic, wróżących Celtom pogodę lub nawałnicę. W podaniach ludu, jest to kolebka Myrddyna, którego grób na drugiéj stronie Bretanii w lesie Broceliande pod nieszczęsnym kamieniem, gdzie go Vyvyana zaczarowała. Wszyst-

kie te skały do koła są to zapadłe miasta; to jest Donarnenez, to jest Is, Sodoma bretońska: te dwa kruki co w ociężałym locie ku brzegom zmierzają, są to dusze króla Grallon i jego córki, a ten świst wichrów, który ci się zdaje towarzyszem nawałnicy, jest płaczliwym krzykiem cieniów rozbitków, które o pogrzeb błagają.

W Lanvau niedaleko Brestu, wznosi się, nakształt kopca stałego lądu, głaz nieokrzesany Dela, ztąd aż do Lorient, do Quiberon, do Carnac, na całém południowém wybrzeżu nie postąpisz ćwierć mili, byś nie miał spotkać jakiegokolwiek z tych nieforemnych pomników, które druidzkiemi zowią. Zapytaj się mieszkańców, a krótko ci odpowiedzą, że to są domy Torriganów, Courilów, lubieżnych karłów, którzy przechodniom wieczór zastępują drogę i zmuszają do tańca aż do upadłego. W inném miejscu, to Fee zstępujące z gór przyniosły te kamienie w swoich fartuszkach. Te rozrzucone głazy, są to gody skamieniałe. Odosobniony kamień pod Morlaix świadczy o nieszczęściu wieśniaka, którego za bluźnierstwo xiężyc pochłonął.

Morbihan posępnego wejrzenia, smutnych wspomnień: kraj odwiecznych zawiści, pielgrzymek i wojen domowych, ziemia krzemienista, a plemię granitowe. Wszystko tam długo-trwałe, czas nawet wolniéj płynie. Jest to atoli ważnym błędem przekonanie, że ludność zachodnia, bretońska i wandejska, głęboko ma zakorzenione uczucia religijne. W Bretanii, tak jak w Irlandyi, katolicyzm drogim jest dla mieszkańców, jako godło ich pierwiastkowego rodu. Szlachta i duchowieństwo zyskują wysoki szacunek w Bretanii i Wandei, jako obrońcy starożytnych zwyczajów i wyobrażeń. Nie ma przeto nic dziwnego, że to celtyckie pokolenie, najuporczywsze z plemion starożytnych, siliło się jeszcze w ostatnich czasach na przedłużenie swojéj rodowitości; tym samym sposobem broniło jéj w wiekach średnich. Andegawia (Anjou) przemogła w dwunastym wieku, gdy Plantagenetowie posiedli koronę angielską, odzierżywszy zarazem Normandyą i Akwitanią. Wtedy Bretania poddała się Francyi, ależ wiek jeszcze cały wrzała wojna między stronnictwem

Francyi i Anglii. Gdy związki małżeńskie Anny z Ludwikiem XII zjednoczyły Prowancyą z monarchią francuzką, gdy Anna na pałacu swoim w Nantes położyła stare godło Burbonów: (Qui qu'en grogne, tel est mon plaisir, niech mruczy jak kto chce, taka moja wola), wtedy powstała walka stanów, opór parlamentu w Rennes, obrona praw zwyczajowych, wojna przywilejów prowincyonalnych przeciw centralizacyi. Poskromieni surowo przez Ludwika XIV, podnieśli się znowu pod Ludwikiem XV. Dziś dogorywa już upor, Bretania zwolna staje się francuzką: starożytnę narzecze niknie coraz bardziéj, w miarę wciskającéj się francuzczyzny.

Postąpmy za światem celtyckim wzdłuż Ligiery, do granic geologicznych Bretanii, do łomów łupka w Angers, lub do wielkiego druidów zabytku w Saumur, najważniejszego może ze wszystkich jakie czas dotąd oszczędził; albo wreszcie aż do Tours metropolii bretońskiéj w średnich wiekach.

Nantes, małe Bordeaux, mniéj świetne ale rozważniejsze, łączy zamożność kolonialną z oszczędnością bretońską. Miasto ucywilizowane między dwiema barbarzyńskiemi krainami, handlujące wśród dwóch zawichrzeń domowych, rzucone jak tama dla zerwania połączeń. Przez środek płynie poważna Ligiera, tocząc swoje wody między Bretanią i Wandeą, topielisko (noyades) z czasów grozy: »co za potok rewolucyjny!« w zaciekłości zbrodniczéj wykrzyknął Carrier. W Saint-Florent, w tém samém miejscu, gdzie się wznosi kolumna wandejczyka Bonchamps Nomenoe, pogromca Normandów w dziewiątym wieku, postawił swój posąg zwrócony twarzą ku Andegawii, ku Francyi, które za gotową dla siebie zdobycz uważał. Ale Andegawia przemogła.

Korniejszym tym ludom silny przywodził feodalizm; gdy przeciwnie tłumy drobnéj szlachty bretańskiéj nie mogli wielkich przedsiębrać wojen, ani o ważniejsze pokusić się zdobycze. *Czarne miasto* Angers nie tylko na zamku swoim i wieży diabléj, ale nawet na katedrze wytłoczone ma piętno feodalizmu. Kościół Ś. Maurycego nie wizerunkami świętych, lecz uzbro-

jonemi od stóp do głów posągami rycerzów otoczony. Mimo dogodne położenie nad troistą rzeką Maine, w blizkości Ligiery, Angers przecie w głębokiém teraz spoczywa uśpieniu. Poprzestaje na sławie, że niegdyś pod swoimi Plantagenetami władało Anglią, Normandyą, Bretanią i Akwitanią; że późniéj pod dobrym Rajnoldem i jego synami posiadało w części, lub przynajmniéj rościło prawo do tronów Neapolu, Aragonii, Prowancyi i Jerozolimy, wtedy gdy Małgorzata córka tegoż Rajnolda, podżegała Różę czerwoną przeciw białéj, familią Lancaster przeciw familii Jork. Przy lubym szmerze Ligiery drzymie Tours metropolia katolicyzmu za Meroweuszów i Saumur głowa protestantyzmu. Zamek Mornay i zdumiewający *Dolmen* (*), nadają miastu Saumur niejaką ważność w dziejach. Słynniejsze atoli jest miasto Tours, a w niém grób Ś. Marcina, do którego po radę nie raz śpieszyli Merowingowie. Tu była mennica, jak w Paryżu, tu wcześnie wyrabiano jedwabne materye i drogie tkanki. Paryż, Lugdun i Nantes zaćmiły blask przemyślnego miasta Tours. Nie mała wszakże wtém wina łagodnego nieba; praca jest przeciwną naturze ludzi tego próżniaczego klimatu, ojczyzny Rabelego. Jest to kraina wesołych śmiechów i bezczynności: żeby cóś napotkać mniéj zniewieściałego nad Ligierą, trzeba iść w górę rzeki, gdzie zgiętém kolanem zbliża się do Sekwany i poważnego Orleanu, miasta prawników średniowiecznych, późniéj kalwinistów, późniéj jansenistów, a teraz przemyślnych fabrykantów. Lecz już czas postąpić ku południowi.

Poitou na drugim brzegu Ligiery, naprzeciw Bretanii i Andegawii, zamieszkują trzy rozróżnione pokolenia: ztąd pozorną

(*) Dolmen, albo Dolmin, w mowie bretańskiéj oznacza pomnik z czasów druidzkich. Według Creuzera, jest to kamień za ołtarz ofiarny służący. Pomnik, o którym tu mowa, jest pewnym gatunkiem sztucznéj groty, 40 stóp długiéj, 10 szerokiéj, 8 wysokiéj, z jedenastu ogromnych głazów zbudowanéj. Postawiony w dolinie, odpowiada drugiemu, prawie takiemuż na wzgórzu. Podobne położenie mają i inne druidzkie zabytki, osobliwie też w Carnac.

sprzeczność przedstawiają dzieje téj prowincyi. Poitou było punktem środkowym kalwinizmu szesnastego wieku: Poitou za naszych czasów było ogniskiem katolickiéj i rojalistowskiéj oppozycyi wandejskiéj. Pierwsza epoka nadewszystko należy do mieszkańców nadbrzeżnych, druga jest rzeczą gaju wandejskiego; obudwóch jednaż myśl była podnietą, duch nienawistny rządowi centralnemu.

Poitou jest polem bitwy południa i północy. W pobliżu Poitiers Klodowik pokonał Gotów, Karol Martel odniósł zwycięztwo nad Saracenami: tu także armia anglo-gaskońska xięcia Czarnego pojmała króla Jana. Poitou, mieszanina prawa rzymskiego z prawem zwyczajowém, dostarczając prawników północy Francyi, a trubadurów południowi, podobne jest do swojéj Melluzyny, połączenie różnoródnych natur, w połowie kobieta, w połowie wąż. Ostatni błysk poezyi łacińskiéj mignął się w Poitiers z Fortunatem; jutrzenka nowoczesnéj literatury tamże zajaśniała w dwunastym wieku: Wilhelm VII był pierwszym trubadurem.

Polityczne znaczenie téj prowincyi zaczyna się w dziewiątym wieku walką przeciw Karolowi łysemu, rozpoczętą przez Aymona, ojca Rejnalda hrabi gaskońskiego, a brata Turpina, hrabi Angouleme. Była to wielka i potężna familia wodząca przez niejaki czas rej na południu. Lecz hrabiowie Poitiers niszczyli się sami dla utrzymania wielkiego tytułu xiążąt akwitańskich, trwonili siły na wyprawy odległe do Hiszpanii i Jerozolimy; ludzie rozrzutni, za wystawnością i przepychem goniący; rycerze trubadurowie, obyczajów płochych i gwałtownych, ztąd słynna niewiara małżeńska i tragiczne sceny domowego pożycia. Zazdrosna Eleonara xiężna Gwienny zamęczyła piękną Rozemundę w labiryncie, w którym ją ukrył jéj małżonek.

Synowie Eleonory, Henryk i Ryszard Lwie Serce, nie wiedzieli czém są i czém być im należy, Piktonami czy Anglikami, Andegaweńczykami czy Normandami. Burzliwe ich życie, udowodniło tę wewnętrzną walkę dwóch sprzecznych między sobą

uczuć. Z resztą raz połączona z Francyą Piktawia (*) szła już wciąż za popędem ogólnéj monarchii. Fontenai wydało wielkich prawników, Brissonów, Beslich, Tiraqueau. Ze szlachty piktawskiéj wyszedł nie jeden przebiegły dworak, jakiemi byli Thouars, Mortemar, Meilleraie, Mauléon. Najgłębszy polityk, Riszelieu, i najpopularniejszy pisarz Wolter, z Piktawii wschodniéj ród wiodą.

Do Poitou należy Roszella, *miasto białe*, początkowo otwarty przytułek żydów i poddanych z całéj prowincyi. Był czas, w którym to miasto powzięło nadzieję zostać Amsterdamem, którego Coligni miał być Wilhelmem orańskim. Znane są dwa pamiętne oblężenia pod Karolem IX i Riszeliem, owo bohatyrskie wysilenie, ów upor, ów sztylet przez burmistrza miasta na stole w ratuszu złożony, z przeznaczeniem dla tego, ktoby poważył się bąknąć o poddaniu. A przecież w końcu trzeba było uledz: w czasie odpływu morza widać jeszcze szczątki potężnych tam, któremi kardynał zamknął port. Była jedna jeszcze część téj prowincyi nieznana w dziejach, głośno się dopiero stała przez wojnę wandejską. Dolina rzeki Sewry nanteńskiéj, posępne wzgórza, które ją otaczają, cały gaj wandejski, oto najpierwsze i główne miejsce sceny téj okropéj wojny, któréj pożar cały zachód ogarnął. Wandea tyle dziś głośna, którą czternaście rzek skrapia, a żadna z nich spławna, kraina niknąca wśród lasów i zatok, nie była religijniejsza, ani więcéj do monarchii przywiązana (**), jak nie jedna prowincya nadbrzeżna, lecz silnie trzymała się swoich zwyczajów. Dawna monarchia

---

(*) Prowincya Poitou, mieszkańcy jéj Poitevins, w łacińskich kronikarzach zowią się, Pictavia, Pictones: że zaś polskie nazwy po większéj części z łacińskich tworzone, co do wielu miejsc ustaloną już formę przybrały, np. Sekwana, Ligiera, Moguncya i t. p. w razie więc potrzeby użycia, w zakończeniu polskiém, imion własnych francuzkich, zdało mi się najwłaściwiéj dawny zwyczaj naśladować.

(**) Ze szczególnych badań okazuje się, że nakazany przez rząd rewolucyjny pobór 300,000 ludzi do wojska, główną był przyczyną powstania

mało ją niepokoiła, rewolucya za jednym zamachem zrywała jéj przywileje i w ich miejsce narzucała obmierzły im system jedności narodowéj; to rozjątrzyło Wandejczyków, wnet znaleźli się między niemi rycerze. Furman Cathelineau piekł sobie chleb gdy usłyszał odezwę republikanów, otarł ręce i chwycił za karabin. Mnóstwo poszło za jego przykładem i wszyscy ruszyli wprost przeciw *granatowym* (aux bleus). Nie w zaroślach, nie w ciemności, człowiek przeciw człowiekowi, jak Szuanie bretańscy, lecz w massie, na otwartém polu rzucili się w krwawe zawody. Przy oblężeniu Nantes liczono blizko sto tysięcy Wandejczyków.

Postępując ku południowi przejdźmy szybko Limousin, kraj wyniosły, zimny i dżdżysty. Piękne jego pagórki granitowe, w półkula zaokrąglone, rozległe lasy kasztanowe, żywią zacnych mieszkańców, ale ociężałych, bojaźliwych i często niezgrabnych, W niższéj części téjże prowincyi dziwna uderza zmiana, charakter żywy, umysł bystry, znamionuje lud południowy. Wielkie imiona Segura, Saint-Aulera, Noailles, Pompadour, a osobliwie Turenna, wskazują dostatecznie jak dalece mieszkańcy téj krainy przylgnęli do władzy centralnéj i ile na tém zyskali. Owernia (Auvergne) jest łożyskiem rzeki Allier. Rozległe pogorzelisko wygasłe, dziś prawie wszędzie strojne pyszną roślinnością. Tu orzech zapuszcza korzenie w szczeliny bazaltu, a zboże krzewi się na pokładzie pumexu. Ogień wewnętrzny nie wygasł zupełnie, są jeszcze doliny dymiące. Miasta czarne, z lawy budowane (Clermont, Saint-Flour, i t. p.), ale wsie piękne, czyli rzucisz okiem na rozległe błonia Cantalu wśród jednotonnego szmeru wodospadów, czy wejrzysz na płodny Limagne i Puy de Dôme, ten różnobarwny siedmset sążniowy kobierzec, z którym nieustannie igrają chmury, to go posępną okrywając oponą, to znowu pierzchając, jakby nie mogły ani się oddalić od nie-

---

wandejskiego. Wandejczycy nienawidzą wojny, bo nie lubią opuszczać swojéj zagrody. Kiedy tworzono gwardyą Ludwika XVIII, z Wandei nie stawił się ani jeden ochotnik.

go, ani przy nim pozostać; a to dla tego że wiatry ciągłe w szalonym między sobą sporze miotają powietrzem Owernii. Ztąd kraj chłodny, choć pod niebem południowém: człowiek marznie stąpając po lawie, tuli się do obór w grube obwinięty odzienie, lub wiatrem północnym ścięty, twardnieje w téj dziwnéj strefie. Wino cierpkie, sér gorzki, jak trawa, którą się bydło pasie, kwaśne owoce, lawa, pumex, jedyne skarby prowincyi, jedyny przedmiot jéj handlu. Owerniak więcéj pracowity jak przemyślny, dotąd jeszcze radłem drze grunta swoje, i choć w odległe raz po raz udaje się strony, jednak wraca tém czém wyszedł, przynosi nieco grosza, ale żadnego pomysłu. Od wieków do dzikiéj przywiązany barwy, przenosi nad inne wino czerwone, bydło czerwone, suknie czerwone.

Zstąpmy przez Cahors na rozległą południową równinę. Tu wszystko pokryte winnicami. Morwa już z téj strony Montaubanu cień swój roztacza i jedwabne żywi gąsienice. Okiem nieścigniony, na mil kilkadziesiąt rozległy krajobraz przedstawia się z téj strony, nad nim wznoszą się fantastyczne kształty Pireneów, srebrzystemi zdobne głowami. Tu wół w jarzmo za rogi wprzężony żyzną kraje skibę, winna latorośl czepia się wiązu. Daléj nieco na lewo ujrzysz kozę na płonnéj wspiętą skale i muła oliwą obładowanego zwolna po wązkiéj ścieżce pewnym stąpającego krokiem. Tu jest owa stara Tuluza tak wielka i świetna pod władzą swoich hrabiów: za rządu królów parlament tego grodu potrafił mu nadać powagę królewską. Popędliwi prawnicy tutejsi krwawe rozprawy toczyli z różnowiercami i w ciągu niespełna wieku jednego czterechset kacerzy na stosie złożyli. Późniéj zostali narzędziem zemsty Riszeliego, za ich wyrokiem Montmorency poszedł pod miecz katowski w ich sali czerwonéj. Tuluza chlubiła się kapitolem równym rzymskiemu, i pieczarami, w których podobnie jak pod Neapolem, niezepsute ciała zmarłych po pięćset lat przetrwały. Garumna płynie koło Tuluzy, przerzyna Langwedocyą rzymską i gotycką, a zwiększając się co raz, rozlewa się nakształt morza, w obliczu morza, w obliczu Bordeaux. To miasto poniekąd no-

woczesne, długo było stolicą Francyi angielskiéj, a dłużéj jeszcze było angielskie z uczucia: interes handlu zwraca je ciągle ku Anglii, ku oceanowi, ku Ameryce.

Jakkolwiek piękne i bogate są niziny Garumny, więcéj atoli mają pociągu w oddaleniu sterczące szczyty Pireneów. Lecz droga do nich posępna i samotna, okiem nieprzejrzane ciągną się płonne błonia, na których gdzieniegdzie spotkasz dąb korkowy, lub trzodę czarnych owiec, które wieczystą odbywają wędrówkę z błoniów w góry, a z gór na błonia, szukając na północy żarkiego słońca południowego. Wędrowne życie pasterzy należy do malowniczych charakterów południa. Spotkasz ich zdążających w góry seweńskie i pirenejskie z równin langwedockich, z Prowancyi zaś postępują zwolna za swojemi trzodami do gór Gap i Barcelonnety. Te nomady wszystko wiodą z sobą, towarzysze gwiazd w wieczystéj samotności, półastronomy i półczarowniki, pędzą życie azyatyckie, życie Lota i Abrahama, wśród nowoczesnego zachodu. Lecz francuzki rolnik lękając się niszczczącego ich przechodu, wązkim gościńcem ściska ich trzody (*); jeżeli więc chcesz ich ujrzéć w całéj swobodzie świata starożytnego, idź do Apeninu, na równiny Apulii lub kampanii rzymskiéj; a nadewszystko do Hiszpanii: tu właściwie owczarz panuje, pustoszy kraj bezkarnie. Pod opieką wszechwładnéj kompanii *mesta*, pod któréj zarządem około sześćdziesiąt tysięcy pasterzy zostaje, tryumfujący merinos objada bezkarnie całą okolicę od Estremadury począwszy, do Nawarry i Aragonii. Owcarz hiszpański dzikszy od francuzkiego na pierwszy rzut oka ma postać zwierząt, które pędzi przed sobą, odziany skórą baranią, na nogach ma *abarkę*, to jest łapcie z kosmatéj skóry wołowéj sznurkami związane.

Wreszcie straszna zapora hiszpańska przedstawia się nam w całéj okazałości. Nie jest to splątany system alpejski wzniosłych szczytów i miłych dolin, ale poprostu mur niezmierny,

(*) W moc postanowienia parlamentu prowanckiego, gościniec owcarski ma mieć pięć sążni szerokości.

który się zniża w dwóch swoich końcach. Nie masz innego przejścia dla wozów, dla muła nawet w każdém inném miejscu nieprzystępne, a dla człowieka przez sześć lub ośm miesięcy zamknięte są Pirenee. Dwa ludy odrębne, ani rzeczywiści Hiszpanie, ani Francuzi, to jest Baskowie w zachodniéj stronie, Katalończycy i Russillonowie od wschodu, są odźwiernemi dwóch światów. Otwierają lub zamykają; odźwierni drażliwi i kapryśni, znużeni ciągłym przechodem narodów otwierają Abderahmanowi, zamykają przed Rolandem; ileż to grobów między Roncevaux i Seu d'Urgel.

Wedrzyjmy się nie na Mont-Perdu (*), ale tylko do bramy Paillers, gdzie wody rozdzielają się między dwa morza, albo raczéj między Bagueres i Barèges, to jest między piękném i szczytném. Tu za jednym rzutem oka objąć można fantastyczne piękności Pireneów; owe dziwaczne i między sobą sprzeczne widoki, a przecież niepojętą jakąś czarowną sztuką połączone; ową magiczną atmosferę, co naprzemian zbliża i oddala przedmioty; owe zapienione potoki, czyli tak zwaną zieloność wodną; owe zresztą pola klejnotów. Lecz tuż następuje dzika okropność olbrzymich głazów, które się w tyle kryją, jak potwór pod maską nadobnéj dziewicy. Postąpmy wzdłuż potoku Pau, kręta ścieżka wiedzie wśród niezliczonego mnóstwa zwalonych jeden na drugi głazów, sterczących skał, zaspów odwiecznych śniegu: nagle skręca się potok, skała na skałę go rzuca, gniewny toruje sobie łożysko po górach, huczy pod mostem śniegowym, nakoniec spada z grzmotem z wysokości tysiąca dwóch set siedmiudziesięciu stóp: jest to najwyższy starego świata wodospad.

Tu się kończy Francya. Brama Gavarnie, którą wyżéj widać,

(*) Mont-Perdu, najwyższa z Pireneów francuzkich, 10482, stóp nad poziom morza wzniesiona. Ramond, poeta pirenejski, przez lat dziesięć szukał téj góry. «Niektórzy zapewniają, mówi on, że najśmielszy myśliwy nie dosięgnął wierzchołka téj góry bez pomocy szatana, który prowadzi tam po siedmnastu stopniach.»

to burzliwe przejście, gdzie, jak mówią, syn nie czeka na ojca, jest bramą hiszpańską. Na tym tu progu dzielącym dwa światy, szczytna spoczywa poezya historyczna: ztąd bystry wzrok sięgnąć może według upodobania, do Tuluzy lub Saragossy. Roland dwukrotném cięciem swojéj durandali (*), otworzył tę w górach szczelinę na trzysta stóp szeroką. Jest to godło odwiecznych wojen Francyi z Hiszpanią, czyli, co na jedno wyjdzie Europy z Afryką. Roland zginął, ale Francya przemogła. Po za górami jasne niebo, łagodny klimat i nędza: z téj strony chłodno, szaruga, ale przemysł, swoboda i bogactwo. Porównajmy bite drogi Francyi z przykremi ścieżkami Hiszpanii, albo przypatrzmy się u wód Cauterets temu cudzoziemcowi, co poszarpaną odzież troskliwie godnością mantyli pokrywa i z pogardą odrzuca wszelkie porównanie.

Kto chce za jednym rzutem oka poznać wszystkie pokolenia i wszystkie stroje pirenejskich górali, niech się uda na jarmark do Tarbes. Tam z różnych stron, o kilkadziesiąt mil odległych, zbiera się przeszło dziesięć tysięcy dusz. Tam ujrzysz białą czapkę z Rigorre, brunatną z Foix, czerwoną z Roussillon, niekiedy nawet wielki spłaszczony kapelusz aragoński, okrągły z Nawarry i śpiczastą czapeczkę biskajską, w którą się stroi także mieszkaniec Bearnu. Lecz nie trudno ich rozpoznać. Jeżeli ujrzysz skrzętnie tu i owdzie snującego się człowieka, którego język równie skory jak ręce, jest to zapewne syn góry, którą szybko mierzy swoją wielką stopą. Biskajczyk, najstarszy z plemion zachodu, niewzruszony w pirenejskim zakącie, widział wszystkie narody przechodzące koło niego: Kartagińcy, Celtowie, Rzymianie, Wandale, Goty i Saraceny. Lituje się nad świeżą starożytnością innych ludów. Jeden z Montmorencych odezwał się do Biskajczyka: wiesz, że my ród nasz od tysiąca lat datujemy! A my, odpowiedział Biskajczyk, już nie datujemy wcale.

(*) Tak nazywają miecz Rolanda.

Lud ten przez niejaki czas posiadał Akwitanią i na pamiątkę zostawił imię Gaskonii. Przeparty do Hiszpanii w dziewiątym wieku, założył tam królestwo Nawarry, a w ciągu dwóchset lat osiadł po kolei wszystkie chrześciańskie trony półwyspu (Gallicyi, Asturyi i Leonu, Aragonii, Kastylii). Gdy atoli krucyata hiszpańska przeważnie posuwała się ku południowi, Nawarczykowie wykluczeni ze sceny sławy europejskiéj zwolna utracili wszystko: wreszcie Sancho zniszczył swoje królestwo zapisując je w spadku zięciowi swojemu, Thibaultowi hrabiemu Szampanii. W następstwie czasu przechodząc z rąk do rąk dostała się Burbonom, którzy ją utracili dla pozyskania Francyi. Lecz pod wnukiem Ludwika XIV, Burbonowie nie tylko odzyskali Nawarrę, ale posiedli całą Hiszpanią. Tak spełnił się tajemniczy napis na zamku Coaraze, w którym się wychował Henryk IV: *Lo que a de ser no puede faltar*: co ma być, nie może minąć.

Starożytne plemiona, plemiona czyste, Celtowie i Baskowie, Bretania i Nawarra, musiały ustąpić pokoleniom zmieszanym: cywilizacya przemogła naturę. Pirenee wszędzie przedstawiają obraz zniszczenia świata dawnego. Starożytność już tam zniknęła, wieki średnie dogorywają. Te zamki walące się, te wieże maurytańskie, te kości Templaryuszów, które przechowują w Gavarnie, przedstawiają dobitnie świat ustępujący. Góry same, dziwacznem zrządzeniem, zdają się być zachwiane w swoim bycie; okazałe szczyty, które je niegdyś zdobiły, dziś obnażone, świadczą o swojéj znikomości. Nie napróżno tyle gromów w nie uderzało, a człowiek niszczył u spodu. Ten szeroki pas lasów, który pokrywał nagość gór, zniknął pod chciwą ręką rolnika; bujną trawę spłukały wody topniejących śniegów, człowiek musiał uchodzić przed spustoszeniem, którego był sprawcą, zszedł na równinę, lecz i tam go ścigało zniszczenie. Niegdyś wśród traw i zarośli sączyły się zwolna strumyki, orzeźwiającą roznosząc rosę dla ziemi do granitu przylgłéj: po wytępieniu lasów, nagle topiącym się śniegiem wezbrane stru-

mienie, w ogromnych potokach ze skał na skały spadając, unoszą z sobą zwir i odłamki głazów i pokrywają żyzne doliny.

Na widok szerzącego się spustoszenia trwoga opanowała umysły; w roku 1673 postanowiono, iżby każdy mieszkaniec corocznie w lasach skarbowych jedno, a w lasach spólnych gminy dwa drzewka zasadzał. W następnych latach nowe wydano urządzenia, których wykonania pilnować mieli leśniczowie przez rząd mianowani. Rewolucya wszystkie tamy zerwała, uboga ludność tych stron razem się rzuciła do dzieła spustoszenia. Z ogniem i motyką w ręku wdrapali się aż do gniazda orłów: zawieszeni na linach uprawiali przepaści, wycinali drzewa na najmniejszy użytek, spuszczano dwie jodły, by z nich wystrugać parę sandałów. W tym samym czasie drobne bydło rozmnażało się bez liku, a zagnieżdżone w lasach obgryzało drzewa, niszczyło młode wypustki, pożerało nadzieję. Koza nadewszystko, bydlę tych co nieposiadają gruntów, bydlę awanturnicze, które się kosztem ogółu żywi, koza stała się narzędziem tego najścia demagogicznego, postrachem puszczy. Wojna z temi potworami głodującemi nie była jednym z najmniejszych trudów Napoleona. W roku 1813 nie było ich już i dziesiątéj części téj liczby jaka grasowała przy samym wstępie tego wieku, a jednak cała potęga cesarska nie dokonała téj walki przeciw naturze.

Cała ta atoli południowéj Francyi postać, porównana z północną, jest tylko krainą gruzów i zwalisk. Rzuć okiem na fantystyczny krajobraz Ś. Bertranda, Comminges, Foix, miasta jakby przez Fee rzucone, przebież Roussillon, tę małą Hiszpanią francuzką, jéj łąki zielone, czarne owce; z ust nadobnych dziewić posłuchaj katalońskich romansów, a potém zejdź do kamienistéj Langwedocyi: nie ujrzysz tam rzeki spławnéj, same sadzawki słone, grunta słone, krwawnicą tylko (Lythrum salicaria) zarosłe, mnóstwo źródeł wrzących i kleju ziemnego. Wiatr parny afrykański ciąży nad tą krainą, ani jéj ołtarz Cerusowi wzniesiony przez Augusta zasłonić potrafił. Większą część miast, w najpyszniejszém położeniu, niezdrowe otaczają

okolice: Albi, Lodève, Agde czarne obok zagasłego krateru, Montpellier dziedziczka zniszczałéj Maguelony, miasto dowolnie spozierające na Pirenee, Sewenny lub Alpy, zbudowane na gruncie niezdrowym, niezdrową do koła otoczone ziemią.

Stara to bardzo ziemia, ta Langwedocya, gruzy w niéj na gruzach zwalone: Camisardzi na Albigensach (*), Saraceni na Gotach, a pod nimi Rzymianie i Iberowie. W murach Narbonny tkwią szczątki grobowców, ułamki posągów, kamienie ze starożytnemi napisami. Amfiteatr w Nimes ma drzwi i okna oprawne w ramy gotyckie, wieńczy go gzyms saraceński okopciały ogniem Karola Martela. Ze wszystkich atoli najdawniejsi najwięcéj zostawili, ślady Rzymian najgłębiéj wyryte, ich jest potrójny most na rzece Gard, oni wyżłobili kanał narboński sto kroków szeroki, a dwie mile długi, dla największych statków przystępny; ich prawo do innego rodzaju rozwalin należy, w innym sposobie podziwienie budzi. Bez wątpienia prawu rzymskiemu winna Langwedocya, że się u niéj nigdy feodalizm nie zakorzenił, że została od wieków krajem politycznéj i religijnéj oppozycyi: w tych stronach różne raz po raz powstawały kacerstwa i katolicyzm znalazł tu najuporniejszych Jansenistów. Bayle, obadwa Chenierowie, Fabre d'Églantine, ztąd ród swój wywodzą. Nikt nie zaprzeczy ludom téj okolicy rzeźwości i energii, lecz energii morderczéj, popędliwości traicznéj.

(*) Camisardzi (Les Camisards), tak się zwali w początku ośmnastego wieku protestanci seweńscy, zbuntowani z przyczyny uciążliwego poboru pogłównego. Krwawy z nimi bój zakończył ugodą marszałek Villars, przyjąwszy słuszne warunki Camisardów. Z początku w samych tylko koszulach walczyli i ztąd powstało ich nazwisko. Albigensowie od miasta Albi uzyskali imię, którem wszakże oznaczano wszystkich kacerzy téj epoki, jako to: Katharów, Waldensów, i t. p. którzy w końcu dwunastego i w początku trzynastego wieku o przywrócenie pierwiastkowéj formy chrześciaństwa kusili się, wbrew ustalonéj już hierarchii. Ogłoszona przeciw nim krucyata, po upornych walkach, po stracie przeszło stu tysięcy ludzi z obu stron, odniosła tryumf wytępieniem prawie zupełném kacerzy.

Silny i twardy umysł mieszkańca Langwedocyi nie dosyć odróżniono od dowcipnéj lekkości ludzi Gwienny i rozhukanéj swawoli Prowantczyka. Langwedocyanin raz powziąwszy przekonanie upornie przy nim obstaje, znieść nie może innego mniemania, wiarę swoję do srogości posuwa. Przeciwnie Gwienna, ojczyzna Montaigna i Montesquiego, jest krajem wahającéj się wiary. Jeszcze gorzéj postępując daléj ku Gaskonii. Duch prowancki w pewnym względzie zgodniejszy z gaskońskim, niż z langwedockim.

W Prowancyi gościły wszystkie ludy; wszystkie nuciły śpiewy, wiodły tańce Awinionu i Beaucaire, wszystkie zatrzymywały się u przeprawy Rodanu, na téj wielkiéj rozstajnéj drodze południa. Wesołe i nadobne dziewice Arlezyi ujęły za rękę Greka, Włocha i Hiszpana, chętnym, niechętnym rozwodziły farandole (*); a ci już nie chcieli wracać na okręty, pozostali w Prowancyi i potworzyli miasta greckie, saraceńskie i włoskie. Ujęli w kluby potoki, uprawili pagórki, na kamienistych wybrzeżach zaszczepili winnice. Lecz mimo swoję poezyą Prowancya przykrym jest krajem. Śmierć wyziewają jéj bagna, których czterykroć sto tysięcy morgów tu liczą; zabójcze są wichry nagłe i gwałtowne, a mieszkaniec zbyt płochy by się przed niemi w hiszpańską miał osłaniać mantyllę. Dokuczliwy także żar słońca, co jednym promieniem zimę w lato zmienia, ożywia drzewo, ale je także pali. Częste nawałnice strumienie zmieniają w rzeki, a stroskany rolnik z rozpaczą spogląda jak rozhukane fale grunt jego z ziemią sąsiada mieszają. Rodan jest fetyszem téj okolicy, jak Nil Egiptu. Lud nie może się przekonać aby ta rzeka niczém inném nie była, tylko rzeką: on w jéj wartkim pędzie widzi gniew wściekły; bystre jego oko w kipiących odmętach spostrzega konwulsyjne szamotanie się potworu. Tym potworem jest *drac*, albo *tarasque*, jakiś rodzaj

---

(*) Farandola taniec zapewne saraceńskiego zabytku, takby przynajmniéj wnosić wypadało z podobieństwa jego do bolero, tudzież z nazwy dwóch części jego, *Turczynka*, *Maurytanka* (la Turque, la Moresque).

żółwio-smoka, którego wyobrażenie obnoszą w pewne święta, a ta uroczystość nie jest piękną, jeźli choć aby jedno ramię strzaskane nie będzie.

Zuchwały jest polot w literaturze i filozofii uczonych prowanckich: Bretańczyk Pelagiusz znalazł silne odbicie swojego ducha w prowanckim Faustusie, Kassyanie, a nadewszystko w świetnéj szkole Lerins zaszczycie piątego wieku. W ślady bretońskiego Descarta wstępował prowancki Gassendi, a w upłynionym wieku bezbożnicy z St-Malo Maupertuis i Lametrie spotkali się z prowancyalistą d'Argens. Nie bez zasady przeto literatura południowéj Francyi w dwunastym i trzynastym wieku prowanckiéj otrzymała imię. Widziano wtedy wszystko na co tylko wykwintny i subtelny geniusz tych okolic zdobyć się potrafi. Jest to kraj miłych rozprawiaczy, obfitych, zapalonych, szczególniéj pracowitych w obrobieniu wysłowienia, ojczyzna Massilona, Mascarona, Flechiera i Maury, mówców i retorów. Lecz obraz całéj Prowancyi, parlamentu i szlachty, przewrotności i retoryki, uwieńczony świetném zuchwalstwem południowém, odbija się w Mirabeau.

Dla czegoż taki kraj nie uzyskał przewagi i nie został panem Francyi? wszakże w trzynastym wieku owładnął Włochy. Kto chce wyśledzić przyczynę upadku Prowancyi, niech od strony Arlezyi postąpi ku wzgórzom Awinionu, a ztamtąd ku górom sięgającym podnóża Alp; cały ten kraj na granicach swoich ma najznakomitsze miasta. Były to zaś po większéj części osady obce, właściwa Prowancya była zawsze najsłabszą. Hrabiowie Tuluzy opanowali Rodan; Katalończycy owładnęli wybrzeża i porty; rodowici Prowantczykowie pozostali przy Forcalquier, Sisteron, kraju środkowym. Tym sposobem południe rozpadło się w sztuki, a wtedy przybyli Francuzi, obalili hrabstwo Tuluzy, Katalończyków przerzucili do Hiszpanii, a połączeni z Prowantczykami poszli na zawojowanie Neapolu. Tu był kres przeznaczeń Prowancyi.

Skierujmy się ku północy, czas już postąpić ku jodłom Jury, dębom Wogezu i Ardennów, ku bezfarbnym równinom Berry

i Szampanii. Prowincye któreśmy przebiegli, odósobnione przez samą oryginalność, nie mogły służyć do zlepienia jedności narodowéj. Trzeba do tego żywiołów bardziéj giętkich, ludów korniejszych, więcéj przydatnych na ten ścisły rdzeń mający stanowić zaporę Francyi przed najściem od strony lądu i morza, przed najściem niemieckiém i angielskiém. Do tego nie będzie za nadto skupionéj ludności środkowéj Francyi, batalionów normandzkich i pikardzkich, ciężkich legionów Lotaryngii i Alsacyi. Delfinat (Le Dauphinois) należy już do prawdziwéj Francyi, mimo swoję szerokość geograficzną jest on północnym. Tu się zaczyna strefa krajów twardych, ludzi z silną wolą, stanowiących przedmurze Francyi od wschodu. Naprzód Delfinat jako warownia pod wiatrem Alp; daléj bagna Bresse; potém bok z bokiem Franche-Comté i Lotaryngia, złączone z sobą węzłem Wogezów. Silny duch oporu znamionuje te prowincye; może to mniéj dogodne dla wewnętrznego zarządu, ale zbawienne przeciw obcym. Nauki także ztąd zyskują umysły badawcze; Mably i Condillac pochodzą z Grenobli; d'Alembert przez matkę jest Delfińczykiem; Lalande wielki astronom i Bichel anatomista, rodem są z Bourg-en-Bresse.

Ludzi tego pogranicza wojna jest życiem moralném, jest ich poezyą. Wspomnij tylko o przejściu Alp lub Renu, a wnet w Delfinacie znajdą sie Bayardowie, Lotaryngii nie braknie Neyów. Są na tym kresie miasta rycerskie, w których syn po ojcu odziedzicza przywiléj śmierci na placu boju. Sarrelouis zaledwie pięć tysięcy mieszkańców liczące, w przeciągu dwudziestu lat wydało około sześciuset oficerów godłem walecznych ozdobionych. I kobiety się tam wdają do rzemiosła rycerskiego; nigdzie nie ujrzysz téj odwagi i tego wdzięku amazonek, jakim się odznaczają kobiety od Delfinatu aż do Ardennów. Nigdy w Delfinacie feodalizm nie był tak uciążliwy jak w reszcie Francyi. Możni panowie w ciągłych z Sabaudyą zapasach, dla własnego interesu musieli oszczędzać swoich podwładnych. Posiadłości były tam rozdrobnione od niepamiętnych czasów. Nie trudno tam znaleźć dziesięciu właścicieli w jednym domu. Na-

poleon znał dobrze Grenoblę, gdy ją za pierwsze stanowisko obrał w powrocie z Elby (*), chciał on wtedy za pośrednictwem rzeczypospolitéj podźwignąć cesarstwo.

W Grenobli, równie jak w Lugdunie, jak w Besançon, jak w Metz, przemysł wzrastał pod opieką kościoła: były to istne rzeczypospolite biskupie. Trzy miasta kościelne, Metz, Toul i Verdun, położeniem swojém tworzące trójkąt, stanowiły ziemię neutralną, schronienie dla poddanych zbiegłych, żydów nawet, wszędzie prześladowanych, mile przyjmowano w Metzu. Ta ziemia ostrazyjska, zawalona pomnikami Karlowingów, z dwunastą domami, stu dwudziestą parami, z wszechwładném opactwem Remiremont, dokąd Karol W. przybywał na wielkie łowy jesienne, gdzie przed ksienią miecz, znak władzy, noszono, ta Lotaryngia przedstawiała cesarstwo niemieckie w małych ramkach. Tam wszędzie zamieszana była bez ładu Francya z Niemcami, za każdym krokiem trącisz o granicę. Przez dwieście pięćdziesiąt lat władali Lotaryngią książęta rodu alsackiego, cesarzom niemieckim przychylni, na cesarskiéj skończyli koronie. Ci książęta w ciągłéj byli wojnie z biskupstwem Metzkiém, z Szampanią, z Francyą; w roku atoli 1255 jeden z nich zaślubił córkę hrabiego Szampanii i odtąd książęta zostawszy Francuzami dzielnie wspierali Francyą przeciw Anglii, przeciw stronnictwu angielskiemu w Bretanii i Flandryi. Prawie wszyscy chlubną śmierć lub niewolę ponieśli w obronie Francyi pod Courtray, Cassel, Crécy, Auray. Dziewica z pogranicza Lotaryngii i Szampanii, uboga wieśniaczka, Joanna d'Arc, więcéj jeszcze dokazała: podźwignęła siłę moralną narodu, ocaliła od zagłady i pierwszy raz przedstawiła wielki obraz ludu w postaci dziewiczéj i nieskażonéj.

Posuwając się z Lotaryngii ku Niderlandom przez Ardenny, Moza rolnicza i przemysłowa przybiera postać żołnierską. Verdun i Stenay, Mezières i Givet, Sedan, Maëstricht, mnóztwo

(*) Napoleon stanął w domu zajezdnym starego żołnierza, który mu w czasie wyprawy egipskiéj podał pomarańczę.

twierdz sterczy na jéj brzegach. Ona ich zasila wodą lub nurtem swoim zasłania. Cała ta kraina lesista, jakby dla zamaskowania odporu lub zaczepki za zbliżeniem się Belgów. Wielka puszcza Ardennów rozciąga się na wszystkie strony, z natury swojéj wszakże należy ona do biskupstwa Metz, nie może się łączyć z Szampanią. Minąwszy płowe błonia między Reims i Rethel staniesz na krańcu Szampanii: knieje się zaczynają, wśród nich pastwiska i drobne owce Ardennów. Posępny połysk łupka zastępuje miejsce czerwonéj dachówki, domy zakurzone opiłkami żelaza: rękodzielnie broni, garbarnie, łomy łupka smętny widok nadają krainie, ale roztropność, trzeźwość, gospodarność odznacza lud; postać oschła, rysy wybitne. To piętno nie samemu Sedanowi, téj małéj Genewie właściwe, wszędzie jest toż samo. Ziemia niezamożna, nieprzyjaciel tuż nad karkiem, ważny powód do namysłu. Mieszkaniec staje się ponury, duch krytyki przeważa: jest to pospolite u ludzi, którzy czują, iż więcéj są warci niż ich fortuna.

Po za tą twardą i rycerską strefą Delfinatu, Franche-Comté Lotaryngii i Ardennów, rozwija się kraina obfitsza w płody myśli, prowincya lugduńska, Burgundya i Szampania. Strefa winorośli, poezyi natchnienia, wymowy, wykwintnéj i dowcipnéj literatury. Nie tyle wystawiona na ciężkie przygody obcych napadów, mogła swobodnie hodować delikatny kwiat cywilizacyi. Zaraz przy samym wyjściu z Delfinatu, w punkcie połączenia Rodanu z Saoną, stoi Lugdun jakby wielki węzeł zjednoczenia ludów. Za czasów rzymskich tu była stolica administracyi, tu następnie wzniosła się katedra chrześciańskiéj metropolii dla Gallii celtyckiéj (dla Lugdunu, Tours, Sens i Rouen). W okropnych wstrząśnieniach pierwiastkowych wieków średnich, Lugdun, miasto kościelne, otworzył swoje łono na przyjęcie mnóstwa zbiegów; tym sposobem zyskał ludność ze wszystkich pokoleń Francyi zmieszaną, ludność bez gruntów i majątku, za całą własność rękę tylko i Rodan mającą, a tém samém w handlu i przemyśle wyżywienia szukać zmuszoną. To mrowisko pracowite, między skałami i nurtem bystréj rzeki

zamknięte, stłoczone wśród ciasnych i posępnych ulic, nad któremi wieczna mgła wisi, ma przecież swoję poezyą, ma życie moralne. Nie jeden wśród zakopciałych murów marzył o naturze, któréj nie widział, o pięknym blasku słońca którego mu chmury pozazdrościły. Piękna kupcowa za ciemnym stołem sklepowym zadumana, jak Ludwika Labbé, Petronella Guillet, kleiła wiersze melancholiczne i namiętne, których mąż nie był przedmiotem. Lecz przyznać także należy, iż miłość Boga i najłagodniejszy mistycyzm należy do rysów charakteru Lugdunczyków.

W północnéj stronie Lugdunu leży Autun, główne niegdyś Druidów siedlisko, matka lugduńskiéj osady. Świetniejszy atoli los córce dostał się w podziale: usadowiona na wielkim ludów gościńcu, piękna i miła, wzmagała się ciągle: matka tymczasem surowa, wśród tajemniczych lasów pozostała samotna. Ona zwabiła Rzymian do Gallii, którzy podźwignęli Lugdun na jéj zagładę. Napróżno Autun zaparło się świętego imienia Bibracte, by pochlebniejszą dla Rzymian przyjąć nazwę Augustodunum, napróżno złożyło bozkość druidzką, przybrało rzymskie formy, nic go od upadku zasłonić nie mogło: wszystkie wojny rozstrzygały się pod murami Autun, a wszystkie na zagładę starożytnego grodu.

Ponura okolica Autun nie ma najmniejszego śladu przyjemności burgundzkiéj. Wyborna kraina, w któréj miasta winorośl mają w herbie, gdzie wszyscy zowią się braćmi lub krewnemi. Żadna prowincya nie miała większych i bogatszych opactw, Ś. Benigna w Dijon, Cluny niedaleko Macon i Citeaux tuż pod Chalons. Cóż to za świetność musiała być tych klasztorów, gdy raz w Cluny przyjmowano papieża, króla Francyi i mnóstwo książąt wraz z ich orszakiem, bez najmniejszéj przykrości dla zakonników. Citeaux zamożniejsze jeszcze, opat jego miał tytuł opata nad opatami, a w roku 1491 zarządzał 3252 klasztorami. Burgundya jest ojczyzną mówców, wspaniałéj i uroczystéj wymowy. Z Dijonu i Montbaru najdobitniejszy głos rozległ się po Francyi, głos Ś. Bernarda, Bossueta i Buffona.

Francya nie ma żywiołu zdolniejszego pogodzić północ z południem, jak Burgundyą. Jéj książęta, potomkowie dwóch odrośli Kapetów, nadali monarchów królestwom Hiszpanii w dwunastym wieku, a późniéj władców Franche-Comté, Flandryi i Niderlandom; ależ nie potrafili utwierdzić swéj władzy nad łożyskiem Sekwany, mimo silną pomoc Anglii. Losy Francyi nie miały się rozstrzygnąć w Burgundyi: prowincya feodalna nie mogła jéj nadać formy monarchicznéj do któréj zdążała. Na prozaicznych i nędzą rażących równinach Szampanii, w ponurych i biednych miastach Chalons, Troyes, Reims główne były podpory monarchii. W Troyes zwyczaj uświęcający równość działów majątkowych, wcześnie bardzo złamał potęgę możnowładztwa. Przez rozdrobnienie majątków zubożała szlachta chwyciła się małżeństw z synami bogatych mieszczan uświęcając zasadę: *żywot nadaje szlachectwo.* Mimo tę ułudę wszakże dzieci z małżeństw nierównych nie bardzo się oddalały od miejskiego stanu. Nie zyskawszy na tém nic, szlachta złożyła czczą dumę i chwyciła się handlu, a hrabia Szampanii nie tracił bynajmniéj na przyjaźni z nowemi kupcami. To tak wczesne poniżenie feodalizmu, to przekształcenie rycerstwa w handlarzy, musiało koniecznie rozweselać umysł szampańczyków, nadawać tło ironiczne ich złośliwemu dowcipowi.

Przez równiny Szampanii płyną od niechcenia rzeki niderlandzkie, rzeki francuzkie, Moza, Sekwana ze swoją służebnicą Matroną (Marne). Płyną coraz rozszerzając się aby z tém większą godnością zbliżyć się do morza. Ziemia także podnosi się zwolna w pagórki wyspy francuzkiéj (Isle de France), Normandyi i Pikardyi. Francya staje się co raz poważniejsza, nie chcąc stawać w obliczu Anglii z pochyloném czołem; zdobi się wspaniałemi lasami i przepysznemi grodami, i przedstawia swojéj spółzawodniczce tę drugą Anglią, to jest Flandryą i Normandyą. To pogranicze plemion i narzeczy europejskich, jest wielką sceną zwycięztw życia i śmierci. Ludzie tu szybko wzrastają, mnożą się bez liku. a potém krwawe bitwy równowagę stanowią. Tam staczają się wielkie boje ludów i pokoleń. Owa

stanowcza bitwa, która jak mówią, zaszła na pogrzebie Attyli, wznawia się bezustannie w Belgii między Francyą, Anglią i Niemcami, między Celtami i Germanami. W tym to zakącie Europy jest punkt umówiony wojen. Płodne są te równiny, bo krew na nich nie osycha. Do Francyi należą walne bitwy pod Bouvines, Rosebech, Lens, Steinkerke, Denain, Fontenoi, Fleurus, Jemapes; do jéj nieprzyjaciół, pod Eperons, Courtray i Waterloo.

Żeby wskazać środek Francyi, rdzeń około którego miał się skupiać duch narodowy, nie należy szukać punktu w przestrzeni, ten bowiem przypadałby około Bourges, około Bourbonnais, kolebki dynastyi: ani wypada śledzić go w rozgraniczeniu wód, gdyż w takim razie spadziste równiny Dijonu i Langres, kraina między źródłami Saony, Sekwany i Mozy byłaby tém pożądanym środkiem; ani nakoniec w rozdziale plemion, znalazłby się bowiem nad Ligierą, między Bretanią, Owernią i Touraine. Nie, środek Francyi znalazł się oznaczony okolicznościami więcéj politycznemi niż naturalnemi. Jest to środek osobnéj natury: który się opiera o północ, główny teatr życia i działania narodowego, środek w sąsiedztwie Anglii, Flandryi i Niemiec. Sam on się charakteryzuje prawdziwie przez nazwisko wyspy francuzkiéj (Isle de France).

Spojrzawszy na wielkie rzeki Francyi i ziemie im przyległe, rzekłbyś że kraj cały wraz z niemi płynie do oceanu. Ku północy pochyłości nie są zbyt spadziste, a rzeki powolne. Sekwana jest pod wszelkim względem najpierwszą rzeką Francyi, najłatwiejsza do ucywilizowania, bez trudów wielkich przyjmująca wszelkie udoskonalenia. Nie ma ani kaprysnéj i zdradnéj miękkości Ligiery, ani popędliwości Garumny, ani strasznéj gwałtowności Rodanu. Wtedy nawet gdy Szampania zlewa do niéj wody Matrony, a Pikardya zasila ją Oazą, nie potrzebuje silnych tam, pozwala się ująć zwyczajnemi groblami. Pomiędzy rękodzielniami miast Troyes i Rouen, którym dostarcza wody skrapia stopy murów paryzkich. Od Paryża do Havru jedno prawie ciągnie się miasto.

Pierwszy pas Paryża stanowią miasta Rouen, Amiens, Or-

léans, Châlons, Reims: z nim się łączy pas zewnętrzny, Nantes, Bordeaux, Clermont i Tuluza, Lugdun, Besançon, Metz i Sztrasburg. Wir życia narodowego wrze całą siłą na północy, ku południowi coraz wolnieje. Między orleańskim i vermandzkim obwodem, między zakrętem Ligiery i źródłami Oazy, między miastami Orleanem i Saint-Quentin, Francya znalazła stałą posadę, punkt oparcia się i spoczynku. Napróżno go szukała w druidzkiéj krainie Chartres i Autun, lub w głównych siedzibach klanów gallijskich, Bourges, Clermont. Nie znalazła go w stolicach kościoła Merowingów i Karlowingów, Tours i Reims. Francya Kapetów jest między feodalną Normandyą, i demokratyczną Szampanią, rozciąga się od Saint-Quentin do Orleanu i Tours. Orlean zbudowany w miejscu zbliżenia się dwóch wielkich rzek, do uczestnictwa w losach swoich całą pociągał Francyą: imiona Cezara, Attyli, Joanny d'Arc, Gwizyusza, przypominają wszystkie wojny, wszystkie oblężenia jakich to miasto było widownią. Ponury Orleans przytyka do prowincyi Touraine, wesołéj ojczyzny Rabelego, podobnie jak popędliwa Pikardya postępuje obok ironicznéj Szampanii. Dzieje dawnéj Francyi zdają się być skupione w Pikardyi. Za Fredegundy i Karola łysego stolica monarchizmu była w Soissons, Crepy, Verbery, Attigny: gdy feodalizm wygórował wtedy Laon, Péronne, S. Medard w Soissons, schronienia lub turmy na przemian, były miejscem pobytu Ludwika pobożnego, Ludwika zamorskiego, Ludwika V. Między szlachtą pikardzką wcześnie bardzo ustaliła się wielka myśl Francyi. Bohaterski dom Gwizyuszów, odrośl pikardzka książąt lotaryngskich, bronił Metzu przeciw Niemcom, wydarł Calais Anglikom, i o mało nie wytrącił Francyi z rąk królewskich. Śmiało rzec można, iż postępując od środka ku granicy belgijskiéj, krew się ożywia, zapał wzmaga na północy. Większa część wielkich mistrzów sztuki, Klaudyusz Lotaryńczyk, Poussin, Lesueur, Goujon, Cousin Mansart, Lenotre (*), Dawid, do północnych prowincyj należą.

(*) Klaudyusz Lotaryńczyk (Claude le Lorrain) urodził się w Chamagne w Lotaryngii 1600 r. † 1682.— Poussin wiedzie ród z Soissons, uro-

Co się tyczy samego ogniska środkowéj Francyi, to jest Paryża i wyspy francuzkiéj, żeby ich dokładny dać obraz, trzeba całą historyą monarchii odwikłać, wyliczenie kilku imion znakomitych żadnego o nich nie da wyobrażenia; w nich się wyrobił duch narodowy. Paryż i Isle de France nie są zaiste narodem, ale są bez wątpienia treścią, że tak rzekę, narodu. Kto wspomni Paryż, tak dobrze jakby o całéj mówił monarchii. Jakim sposobem jedno miasto dokładném godłem kraju stać się mogło? To tylko dzieje całéj Francyi wyjaśnić potrafią.

Jakżeż to wielki i wspaniały widok! przezierać od środka do ostatnich krańców; obejmować jednym rzutem oka ten rozległy i potężny organizm, w którym różnorodne cześci zręcznie do siebie zbliżone, w którym uderzające widać stowarzyszenie słabego z mocném, sprzecznego ze zgodném. Widzieć wymowną Burgundyą pośrodku między szyderczo-naiwną Szampanią i cierpką lecz bitną Lotaryngią i Franche-Comté; fanatyczną Langwedocyą między płochością prowancką i obojętnością gaskońską; przypatrywać się duchowi zdobywczemu Normandyi, między oporną Bretanią i ciężką Flandryą. Moc i wdzięk całości spoczywa na wzajemném wspieraniu się, na solidarności cząstek składowych, na wskazaniu każdéj właściwych jéj powinności na przyzwoitym podziale prac społecznych. Siła oporu i wojny, własność działania spoczywa na kresach państwa, pojęcie w środku. Prowincye nadgraniczne bardziéj bezpośrednio działające w obronie kraju, przechowują podania wojenne, utrzymują ducha rycerstwa, zasilają bezustannie ludnością rzeźwą środek wycieńczony ścieraniem się szybkiego obrotu spo-

---

dził się 1594 r. † 1665,— Lesueur ur. w Paryżu 1617 † 1655.— Jan Cousin założyciel szkoły francuzkiéj, ur. w Soucy niedaleko Sens około 1501.— Jan Goujon, ur. w Paryżu, † 1572.— Piotr Lescot, budowniczy, jego dziełem jest fontanna niewiniątek, ur. w Paryżu 1510, † 1571.— Callot, pracowity i pełen talentu rytownik, wyrył 1400 rycin, ur. w Nancy 1593 † 1635 Mansart, budowniczy Wersalu i Inwalidów. ur. w Paryżu 1645 † 1708.— Lenotre, ur. w Paryżu 1613, † 1700.

łecznego. Środek zasłoniony od wojen, myśli, nicuje, przerabia, nową postać nadaje w przemyśle, naukach, polityce.

To zjednoczenie Francyi, tę zagładę ducha prowincyonalnego, uważają częstokroć za wypadek podboju prowincyj: podboje mogą skrępować części wzajem sobie nieprzyjazne, ale zlać ich w jednę całość nie zdołają. Wojna i podboje otworzyły bramy prowincyj jednych dla drugich, nastręczyły im sposobność poznania się wzajemnego, reszty dokonała żywa i szybka sympatya geniuszu gallijskiego i zakorzeniona od wieków towarzyskość. Rzecz dziwna! te prowincye rozróżnione klimatem, obyczajami i językiem, zrozumiały się wzajemnie, i wnet zaprzyjaźniły, solidarność zakorzeniła się w ich umysłach. Gaskończyka obchodzi los Flandryi, Burgundczyk okazał spółczucie nad powodzeniem pirenejskich okolic, Bretończyk dumając nad brzegiem oceanu czuł ciosy rozlegające się nad Renem. Tak kształcił się duch powszechny, a miejscowy zwolna znikał: wpływ ziemi, klimatu, pokolenia, ustąpił działaniom towarzyskości i polityki.

W epoce, do której doszliśmy z historyą naszą, w wieku dziesiątym, daleko jeszcze mamy do prawdziwego światła. Ludzkość długo jeszcze dosługiwać, twarde próby przejść, przykremu wtajemniczeniu poddać się musi.

ROZDZIAŁ II.

ROK TYSIĄCZNY. — ROBERT KRÓL FRANCYI. — USTALENIE DYNASTYI KAPETÓW.

Rozwijanie się potęgi Francyi, które dopieroco skreśliliśmy w przestrzeni, a za którém mamy postępować w czasie, w końcu dziesiątego wieku bierze swój początek, wraz ze wstąpieniem

na tron Kapetów (*). Odtąd każda prowincya ma swoję historyą, każda przybiera ton i sama opowiada własne dzieje. Ten ogromny koncert głosów naiwnych i barbarzyńskich jest z początku chrapliwy i niesforny, dziwaczna i fantastyczna harmonia, nic sobie podobnego nie mająca.

W powszechném przekonaniu ludów zakorzenione było mniemanie, że z rokiem tysiącznym po Narodzeniu Jezusa Chrystusa miał nastąpić koniec świata. Świat w wiekach średnich nie miał formy zewnętrznéj starożytnego miasta, trudno było dostrzedz w nim głęboko ukrytego porządku. Świat ten widział sam w sobie zamęt bezładny, wzdychał do porządku, a nadzieję porządku w śmierci pokładał. Prócz tego w wiekach dziwów i cudownych legend, w których wszystko dziwaczne przybierało barwy, jakby widziane przez szkło zczernione, nie możnaż było powątpiewać, czy rzeczywistość widzialna nie jest w istocie snem tylko i marą zwodniczą? Dziwy w pospolite plątały się życie. Całe wojsko Ottona na własne oczy widziało mdlejące słońce, żółte jak szafran. Król Robert, wyłączony z towarzystwa wiernych za poślubienie swojéj powinowatéj, przy rozwiązaniu królowéj ujrzał w swoich ręku potworne dziewczę z szyją i głową gęsią. Sam szatan już sobie nie zadawał pracy w ukrywaniu swojéj postaci, widziano go publicznie występującego. Wśród tylu objawień, widzeń, głosów dziwnych, sztuk szatańskich, któżby śmiał zaprzeczać, azali ziemia na głos trąby fatalnéj nie pójdzie z dymem któregokolwiek poranku? Wtedy właśnie mogło to być, że co my nazywamy życiem, śmiercią było w istocie, że kończąc się świat, zacząłby żyć i przestał umierać.

(*) Capet, lub, jak niektórzy z dawniejszych autorów pisali, Chapet, uważano za przydomek szyderczy od Capito (wielkogłów) wzięty; lecz w takim razie byłby to tylko zwyczaj wieków barbarzyńskich, jak np. Karol łysy, Ludwik zamorski, i t. p. Powszechniejsze atoli i do prawdy podobniejsze jest mniemanie, że Hugo, bardzo pobożny książę, nazywany także opatem, wstępując w ślady karlowingskich monarchów, miał zawsze przy sobie kapę (La Chape, albo Cappe) Ś. Marcina z Tours, jako tarczę od wszelkich przygód w wojnie i pokoju.

Państwo rzymskie w gruzach runęło, cesarstwo Karola W. rozsypało się także, chrześcianizm tylko trwał mający zaradzić nieszczęściom świata. Klęska za klęską, ruina za ruiną; musiało więc koniecznie cóś innego nastąpić i tego z utęsknieniem wyglądano. Jeniec oczekiwał w ciemnéj turmie, w grobowcu żywych; przykuty do skiby rolnik oczekiwał pod cieniem nienawistnéj wieży; zakonnik oczekiwał w klasztornéj wstrzemięźliwości, w samotnéj walce serca, wśród pokus i upadku, zgryzot i dziwnych widziadeł.

Wszyscy gorąco pragnęli wyjść z tego udręczenia za jakąbądź cenę. Lepiéj byłoby dla nich raz już dostać się w ręce bożkie i spocząć na wieki. Mimo to, oczekiwana chwila nie była bez pewnego powabu dla udręczonych, chwila w któréj straszny i przeraźliwy głos trąby archanielskiéj przeszyje uszy grzeszników. Wtedy z turmy, z klasztoru, ze skiby odezwałby się śmiech okropny pośród jęków i szlochania. Ta przerażająca nadzieja sądu ostatecznego wzmogła się wśród klęsk, jakie poprzedziły rok tysiączny, lub tuż po nim nastąpiły. Zdało się że porządek pór roku był przewrócony, że wszystkie żywioły nowym uległy prawom. Straszna zaraza trapiła Akwitanią; ciało dotkniętych chorobą, jakby ogniem trawione, odpadało od kości. Nieszczęśliwi zatłaczali drogi do miejsc pielgrzymki, oblegali kościoły, a osobliwie Ś. Marcina w Limoges: dusili się we drzwiach świątyń pańskich. Nie zrażała ich wcale niemiła wonia otaczająca kościoły. Kilku biskupów z południowych dyecezyj udało się także do miejsca świętego niosąc z sobą relikwie świętych. Tłumy się zwiększyły, a z niemi i zaraza się wzmogła.

W kilka lat późniéj cięższe jeszcze padły klęski. Głód trapił cały świat, począwszy od wschodu, Grecyą, Włochy, Francyą, Anglią (*). Miara zwyczajna zboża, podaje pisarz spółczesny,

(*) Osobliwsza to była epoka: od roku 987 do 1059, to jest na siedmiudziesięciu trzech latach, było czterdzieści ośm lat głodu i towarzyszącéj mu zarazy.

kosztowała sześćdziesiąt soldów złotych. Bogacze schudli i wybledli, ubodzy gryzli korzonki leśne, niektórzy, zgroza wspomnieć! posunęli się do jedzenia ciała ludzkiego. Na drogach publicznych silniejszy chwytał słabszego, rąbał w sztuki, piekł i pożywał. Byli i tacy co zwabiwszy cackami dzieci w ciemnym zakącie pożerali. Ta wściekłość tego doszła stopnia, że bydlę bezpieczniejsze było od człowieka. Tak się z tą okropnością oswojono, że jeden odważył się na publicznym targu ciało ludzkie sprzedawać, jakby pożywanie jego ustalonym już było zwyczajem. Powołany przed sąd, nie zaprzeczył i został spalony. Inny poszedł w nocy odgrzebał ciało, jadł je i także został spalony. W lesie Mâcon, w pobliżu kościoła Ś. Jana de Castanedo, nędznik jakiś zbudował sobie szałas i dławił w nocy tych, którzy u niego szukali schronienia. Wędrownik jeden spostrzegł kości ludzkie, potrafił uciec, a śledztwo wykryło czterdzieści ośm głów męzkich, żeńskich i dziecięcych. Dokuczający głod znaglał ludzi do mieszania kredy z mąką i wypiekania chleba z takowéj mieszaniny. Do téj klęski nowe przyłączyło się nieszczęście, stada wilków znęcone trupami bez pogrzebu zostawionemi, rzucały się na ludzi żyjących. Wtedy ludzie bogobojni kopali rowy, do których syn wlókł ojca, matka syna, brat brata, skoro ich konającemi ujrzeli, a nareszcie i żywi zwątpiwszy o swojém ocaleniu rzucali się na ciała zmarłych.

Tyle klęsk, tak przebrana nieszczęść miara, skruszyła serca możnych, obudziła w nich litość. Drżąc pod mieczem bozkim, schowali miecze własne do pochwy. Nie warto było walczyć o tę ziemię nieszczęsną. którą za chwilę trzeba było opuszczać. Zemsta nie miała powabu, skoro każdy rozważył, że dni tak jego samego jak i nieprzyjaciela policzone. W czasie przeto zarazy w Limoges wszyscy dobrowolnie zobowiązali się u stóp biskupów, że odtąd zachowają się spokojnie, szanować będą kościoły, nie napastować po drogach publicznych, a przynajmniéj ochraniać podróżujących pod opieką duchowieństwa. W dni święte, męką Zbawiciela świata pamiętne, to jest od środy wieczór aż do poniedziałku rano, każdego tygodnia. pod

karą śmierci lub wyłączenia z towarzystwa wiernych, zakazane były wszelkie gwałty, zemsty prywatne, nawet wymagania rękojmi: w dniach tych ustawały wojny: i to nazwano *pokojem*, a później *rozejmem bozkim* (la tréve de Dieu).

Wśród powszechnéj trwogi wielu bardzo w cieniu kościoła szukało spokoju. Tłumami się zbiegali składając na ołtarzach zapisy dóbr, pieniędzy, domów, poddanych. Jednoż i toż samo przekonanie cechuje wszystkie takowe akta, wszystkie niemal w tych układane wyrazach: »Ostatni wieczór świata zbliża się, każdy dzień nową zwala klęskę; przeto ja Hrabia, lub Baron, darowałem temu kościołowi na zbawienie duszy mojéj i t. d.« Inni znowu tak się wyrażali: »Zważając, że poddaństwo przeciwne jest duchowi chrześciaństwa, wyzwalam tego... poddanego mojego, z żoną, dziećmi i wszystkiemi do niego należącemi.«

Lecz i to nie każdego zaspokajało; wielu pragnęło złożyć miecz i wszystkie oznaki wojskowe tych wieków, aby się schronić między mnichy, osłonić ich suknią; błagali o jakikolwiek kącik w klasztorze, dla pozyskania ciszy wewnętrznéj, któréj na świecie próżno szukali. Przełożeni zakonu nie mało użyli trudów, aby wstrzymać wielkich świata, hrabiów książąt, i królów nawet od szlubów klasztornych, od stroju prostego braciszka. Wilhelm I książę normandzki byłby wszystko poświęcił, byle się dostać do celi w Jumiéges, ale mu wzbronił opat. Przynajmniéj miał tę pociechę że dostał kaptur i włosiennicę, które złożył w skrzyni, klucz od niéj zawsze nosząc przy sobie. Hugo I książę burgundzki, a przed nim jeszcze cesarz Henryk II, chcieli koniecznie zostać mnichami. Hugonowi zakazał papież, Henryk zaś, wchodząc do kościoła opactwa Saint-Vanne w Verdun, odezwał się z psalmistą: »Oto spoczynek który sobie wybrałem i moje mieszkanie na wieki wieków!« jeden z zakonników posłyszał i doniósł opatowi. Ten wezwał cesarza przed kapitułę zakonników i zapytał się o zamiary jego. »Pragnę, za łaską bozką, odrzekł ze łzami, zrzucić suknie światowe, przywdziać wasze, i samemu odtąd Bogu służyć z bracią waszą. —Chceszże więc, odezwał się opat, według reguły na-

széj i za przykładem Jezusa Chrystusa, szlubować posłuszeństwo aż do śmierci? —Chcę, odpowiedział cesarz. —A więc przyjmuję cię jako zakonnika i od dziś będę miał pieczę o twojéj duszy. lecz to co ci rozkażę, chcę abyś spełnił w bojaźni bozkiéj. Rozkazuję ci zaś powrócić do rządów państwa, które ci Bóg powierzył, czuwać z całéj siły, z bojaźnią i drżeniem nad zbawieniem całego królestwa.» Cesarz związany daném słowem usłuchał z żalem. Zresztą oddawna był on już zakonnikiem, z żoną swoją żył jak brat z siostrą.

Równie pobożnym był Robert król Francyi. Był to monarcha, za świadectwem kroniki Ś. Bertina, wielce uczony i roztropny, nie zły filozof i wyborny muzykant. Ułożył on prozę o Ś. Duchu: *Adsit nobis gratia*, rytmy *Judaea et Hierusalem*; i *Cornelius centurio*, i te z dorobioną muzyką i nótami złożył na ołtarzu Ś. Piotra w Rzymie, wraz z antyfoną *Eripe* i wielą innemi. Raz także Konstancya żona jego prosiła aby cóś na jéj pamiątkę ułożył. Król napisał rytm: *O constantia martyrum*, królowa z wyrazu *constantia* wniosła, że to o niéj mowa. Król przychodził do kościoła Ś. Dyonizego w ubiorze królewskim z koroną na głowie i tak kierował chórem na jutrzni, mszy i nieszporach, śpiewał z mnichami i nie dał się żadnemu przewyższyć. Oblegając jakiś zamek w dzień Ś. Hippolita, do którego szczególne miał nabożeństwo, opuścił oblężenie i udał się do Ś. Dyonizego by kierować śpiewem w czasie mszy ś. właśnie gdy pobożnie śpiewał z mnichami, *Agnus Dei dona nobis pacem*, mury zamku niespodzianie padły, a wojsko królewskie zamek zdobyło: Robert przypisywał to zawsze zasługom Ś. Hippolita.»

Szczególniejszą atoli okazywał litość dla biednych i żebraków: mnóstwo ich zewsząd cisnęło się do niego, wszystkich zaś żywił i obdarzał w duchu prawdziwie chrześciańskiéj pobożności. Skoro król siadał do stołu, otwierano drzwi sali, a żebracy tłumnie się cisnęli zajmując miejsce u stóp królewskich i żywiąc się podanemi ze stołu potrawami. Nie obrażało go nawet niegodne częstokroć postępowanie niejednego z nich: raz że-

brak takowy u stóp królewskich siedzący oberznął mu ozdobę złotą sukni królewskiéj sześć uncyj ważącą, a gdy królowa Konstancya z oburzeniem na ten postępek powstawała, król odezwał się ze zwyczajną sobie łagodnością: »Zapewne temu co wziął, potrzebniejsze to było jak mnie, niech więc korzysta przy pomocy bozkiéj.« Inny oberznął mu już połowę frandzli złotéj u płaszcza, a gdy się zabierał do reszty, król spojrzawszy na niego odezwał się: »Idź już, idź! resztę zostaw dla drugiego.« Zawstydzony złoczyńca spiesznie uszedł z frandzlą.

Za rządów tak dobrego króla Roberta przypadł właśnie rok tysiączny, zdawało się że jego słodycz, jego pobożność, zmiękczyła gniew bozki; lud się uspokoił i nabrał otuchy dłuższéj trwałości. Powstał więc z śmiertelnego łoża, zaczął żyć, pracować, budować, a naprzód świątynie pańskie. »W trzy lata prawie po roku tysiącznym, mówi Glaber kronikarz, niemal w całym świecie, a osobliwie we Włoszech i Francyi wszystkie kościoły odnawiano, chociaż większa ich część wcale tego nie potrzebowała. Lud atoli chrześciański zdawał się biedz w zawody, kto piękniejszą wystawi świątynię. Rzekłbyś, że świat się otrząsał ze swojéj starości, by przywdziać białe szaty kościelne.«

Ostatnie dni życia dobrego króla Roberta zatruło powstanie dwóch synów jego, z których starszy, Henryk, obyczajem od Pepina zaprowadzonym, już był następcą po ojcu koronowany. To nieszczęście przyjął król w duchu pokory i pokuty i nie przestawał świadczyć przysług synom swoim nawet w ciągu nieprzyjacielskich kroków. W następnym atoli roku (1031) sześćdziesięcioletni monarcha umarł w Melun. Grób jego skropiły szczere łzy wdów, sierot, ubogich, świeckiego i zakonnego duchowieństwa. Robert był królem biednego ludu, i lud go téż nie zapomniał. Cześć jaka go otaczała, sama przez się odbiła się na następcach tego ojca ubogich. Tkliwy obraz króla karmiącego żebraków, utkwił w pamięci ludu, jako pobożne wspomnienie królewskiego dostojeństwa. Tarczą tego podania zasłaniali się potomkowie jego, tak jak Filip silnym był wspomnieniami Ludwika Świętego, a Henryk IV blaskiem cnót swoich oświecał Burbonów.

Powszechne mniemanie ród Kapetów z plebejuszowskiego Sasów szczepu wywodzi. Robert *silny* przez dzielne z Normandami starcie się, w chwili w któréj strach osłupiały krępował wszystkich na odgłos rogu zuchwałych najezdników, zyskał wielkie imię i znaczenie. Odon dziedzic sławy ojca, w ciągłych bojach z Cesarzami, obrońcami ostatnich Karlowingów, zatarł do reszty w pamięci ludu nizki rodu swojego początek. Następni téj dynastyi monarchowie pobożnością i cichemi cnotami zyskali przychylność biskupów; za wpływem téż jedynie biskupów jak otrzymali koronę, tak ją stale dzierżyli. Duchowieństwo zjednało im pomoc Normandów, za duchowieństwa pewno poradą Hugo Kapet chcąc w starożytności rodu Karlowingów uprzedzić, starał się dla syna swojego o córkę cesarzów wschodnich, nie mogąc, jak się wyraża, dla pokrewieństwa z sąsiedniemi monarchami, bliżéj dla niego wynaleźć małżonki. Wnuk jego Henryk I zaślubił Annę córkę wielkiego księcia ruskiego, księżniczkę z władcami bizantyńskiemi familii macedońskiéj spokrewnioną. W podaniach romantycznyh średnich wieków takowe rodowody ważną grały rolę, Kapetowie sięgając Alexandra i Filipa, tém samém od Herkulesa początek swój wywodzili, stąd pochodzi tak często natrafiane imię Filipa w familii Kapetów.

Pobożność Roberta, naciągane rodowody, wielkim wprawdzie urokiem otoczyły nową dynastyą, właściwą atoli jéj podporą było duchowieństwo jakeśmy wyżéj namienili, a osobliwie biskup reimski Gerbert, który pod imieniem Sylwestra II wzniósł powagę stolicy apostolskiéj i na niewzruszonéj oparł ją podstawie. Gerbert był naprzód zakonnikiem w klasztorze owernskim Aurillac, zkąd przeniósł się do Barcelony. Pełen wyższych zdolności zapragnął obeznać się z naukami sławnéj podówczas saraceńskiéj szkoły w Kordubie. Jakoż zdumiewającéj nabył biegłości w arytmetyce, algiebrze i geometryi; zadziwiał rozwiązywaniem zagadnień cyframi arabskiemi, przez co zjednał sobie sławę niepojętéj uczoności. W gęstéj pomroce wieków średnich, a osobliwie téż w dziesiątém i jedenastém

stuleciu, niebezpieczna rzecz była oświeceniem nad innych górować. Lud wówczas nie pojmował wcale, aby wyższe ukształcenie, wynalazki w umiejętnościach, sztukach i rękodziełach, mogły być skutkiem wysileń umysłu, płodem szczególniejszego talentu, uważał je po prostu za figle szatańskie, za czartowskie wysługi, w zamian za cyrograf świadczone: takiéj zaś nekromancyi, pospoliciéj magią zwanéj, rozpalony stos co chwila zagrażał, jeżeli osobiste znaczenie, lub możnych opieka nie zabezpieczała.

Gerbert udał się do Rzymu gdzie go sława zdumiewającego rozumu uprzedziła. Otton W. staraniom jego powierzył swojego syna i wnuka. Wróciwszy do Francyi zajął katedrę nauczycielską w Reims i między uczniami swojemi liczył także dobrego Roberta. Hugon ujęty wysokiém ukształceniem Gerberta, wyjednał mu arcybiskupstwo reimskie i silnie go bronił przeciw zabiegom niechętnych. Ważna to była rzecz dla Kapetów zyskać przychylność tak wielkiego męża: bo gdy go wspierają na arcybiskupiéj stolicy, on nawzajem tron ich dźwiga. Po śmierci wszakże Hugona zmierziwszy sobie ciągłe w Reims zatargi, udał się Gerbert do Ottona III i od niego zyskał arcybiskupstwo raweńskie, a niedługo potém na stolicę apostolską wyniesiony został. Odtąd ściślejsze węzły łączyły papieżów z królami Francyi.

Henryk I, syn Roberta, buntem uprzedził przyszłe panowanie, buntem téż ujrzał zakłócony wstęp rządów swoich. Konstancya przestawszy być królową nie zrzekła się niechęci ku Henrykowi, ona za życia ojca zażegała w nim dumę i wplątała do rokoszu, po śmierci zaś jego poruszyła wszystkie drobne namiętności baronów Francyi, gromadząc ich około ulubionego syna swojego Roberta. Henryk niespodzianie ujrzawszy się opuszczonym, z dwunastą domownikami schronił się do Fécamp, gdzie Robert *diabeł*, podówczas książę Normandyi z całą szlachetnością rycerską ujął się sprawy swojego lennodawcy, tak haniebnie zdradzonego od bezpośrednich wazallów. Dla chluby pierwszych książąt normandzkich wspomnieć należy, iż

wierni wykonanéj na lenność przysiędze, gotowi zawsze byli na obronę swoich monarchów, dopiero od chwili podbicia Anglii granica normandzka stała się nieprzyjazną Francyi, odtąd zaczęto kruszyć kopie w ciągu wypraw wexeńskich. Przy pomocy dzielnego sprzymierzeńca Henryk odzyskał swoje dziedzictwo, ale je drogo opłacił. Naprzód Robertowi, bratu swojemu, odstąpić musiał Burgundyi, Robertowi zaś diabłu księciu normandzkiemu dał w lenność Gisors, Chaumont i Pontoise, czyli tak zwany Vexin; tym sposobem usadowił go o pięć mil od Paryża i zaraz pod następcą jego ujrzano, że to było bardzo blizko.

Miał Henryk I powinowatego Odona, syna Berty pierwszéj żony ojca swojego, z pierwszego jéj małżeństwa z hrabią Blois spłodzonego. Ten Odon miał przydomek Szampańczyka, ponieważ do dziedziny ojczystéj przyłączył część Brie i Szampanii. Następnie posiadł Burgundyą, mając do niéj prawo po matce, zadarł z cesarzami, wezwany zarazem przez Lotaryńczyków i Włochów, którzy mu korony swoje ofiarowali. Uroiwszy w głowie swojéj przywrócenie dawnego Ostrazyi królestwa, wziął Bar i zmierzał do Akwisgranu. Wystąpili przeciw niemu książę lotaryński, hrabia Namuru, biskupi z Leodyum i Metz; Odo pokonany w ucieczce życie utracił, a dziedzictwo jego rozdzielone na dwie części, hrabstwo Blois i hrabstwo Szampanii, utraciło świetność i potęgę. Więcéj uprzejmi jak waleczni, poeci, pielgrzymi, krzyżacy, hrabiowie Blois i Szampanii nie posiadali ani wyrachowanego rozsądku, ani rycerskiéj wytrwałości spółzawodników swoich książąt Normandyi i Andegawii (Anjou).

Familia andegaweńska nie była ani normandzką, jak hrabiów Blois i książąt Normandyi, ani saską, jak Kapetów, lecz miejscową. Tortułf Bretańczyk z Rennes, dzielny łowczy, ma być głową rodu książąt andegaweńskich. Syn jego za waleczność w utarczkach z Normandami uzyskał od Karola łysego włość w Gatinais i pojął za żonę córkę księcia burgundzkiego. Następcy jego, zawzięte wrogi Normandów i Bretonów, starali

się wydrzéć pierwszym krainę Touraine i Maine, drugim ziemie leżące między Angers i Nantes. Zgodniejsi od Bretonów, waleczniejsi od Akwitańczyków, wielkie na południu odnieśli korzyści, posiadłości swoje rozciągnęli aż do Saintes po drugiéj stronie Ligiery. Gdy król Robert zmuszony został rozłączyć się z Bertą, Fulko-Nerra, Andegaweńczyk, dał mu za żonę synowicę swoję Konstancyą, córkę hrabiego Tuluzy. Brat tegoż Fulki, Bouchard, był już hrabią paryzkim i dzierżył ważne zamki Melun i Corbeil, a syn tegoż hrabiego był biskupem paryzkim. Tym sposobem dobroduszny Robert uległy żonie swojéj Konstancyi i jéj wujowi, mógł swobodnie składać rytmy i śpiewom kościelnym przewodniczyć. Takowe wpływy na dworze królewskim nie mało zapewne pomogły andegaweńskim książętom do uzyskania przewagi nad hrabiami Blois i Szampanii. Obiedwie te familie połączyły się związkami małżeńskiemi z Normandami zdobywcami Anglii, lecz hrabiowie Blois i Szampanii krótko bardzo cieszyli się tronem angielskim, gdy tymczasem andegaweńscy książęta, pod imieniem *Plantagenetów*, władali berłem Anglii od dwunastego do trzynastego wieku, zajmując zarazem całe pomorze francuzkie od Flandryi począwszy do Pireneów, mało wtedy brakło by całéj nie posiedli Francyi. Isle de France i sam król wcześnie bardzo wyśliznęli się z rąk Andegaweńczyków. Gdy Bouchard hrabia paryzki wstąpiwszy do klasztoru, Normandom odstąpił zamku Corbeil, odtąd Normandowie kierowali królem i w imieniu jego władali. Kusili się oni o zdobycie Burgundyi dla króla Roberta, przez co byliby zostali panami całéj krainy nadsekwańskiéj.

(*) Niepospolitéj piękności królowa Konstancya miała być nadzwyczaj żywego temperamentu, namiętnie lubiła tańce i huczne zabawy. Kronikarz ówczasowy Glaber, utyskuje że królowa ściągnęła do dworu tłumy Akwitańczyków i Owerniaków, ludzi płochych, równie dziwnego stroju, jak obyczajów, wystrzyżonych jak szarlatani, bez czci i wiary. Oni to wprowadzili modę śpiczastych bótów z zadartymi do góry nosami, które podówczas zwano *à la poulaine*.

Związki atoli familijne od dawna łączyły Kapetów z burgundzkiemi książętami, po śmierci więc króla Roberta, Burgundya dostała się w ręce Kapetów, uzyskawszy księcia w osobie własnego syna królewskiego.

W tych czasach zaczął się zwolna upowszechniać nowy zwyczaj, brzemienny wielką myślą przyszłości, sprężyna ruchu ludów europejskich: zwyczaj pobożnych pielgrzymek, pierwszy zaród silnego starcia się zachodu ze wschodem. Król Robert corocznie odbywał bogobojną wędrówkę to do Rzymu, to do grobu Ś. Jakóba w Compostelli; za jego przykładem mnóstwo ludzi postępowało jeden za drugim, w pokornym pielgrzymów ubiorze, już nie tylko do Rzymu, góry Cassino, Compostelli, ale wprost do Jerozolimy zmierzając. Biedni, którym obmierzło życie feodalne, panowie zgryzotami sumienia szarpani, zakonnicy udoskonalenia chrześciańskiego pragnący, wszyscy do ziemi świętéj zdążali. Wszakże wiek jeszcze upłynie za nim pierwszy pomysł dojrzeje, ściślejsze węzły zjednoczyć muszą społeczność europejską, nim pora działania nadejdzie; lecz we Francyi myśl poczęta, we Francyi rozwinąć się musi; Francya największy mięć będzie udział w olbrzymiém wieków średnich przedsięwzięciu.

Kiedy coraz zwiększała się liczba pielgrzymów, Robertowi diabłu księciu Normandyi przyszło do głowy zwiedzić grób święty. Nim atoli puścił się w drogę zwołał baronów, przedstawił im małego wówczas chłopczyka syna swojego, którego mu powiła piękna Arletta córka garbarza z Falaise: tego on na przypadek śmierci następcą swoim mianował. Był to Wilhelm, który pierwiastkowy przydomek *bękart* (*), zmienił z cza-

(*) Nie było to przeciwne zwyczajom normandzkim, Wilhelm nie jest jedynym przykładem naturalnego syna dziedziczącego spadek ojczysty: dla tego przydomek nadany mu nie musiał drażnić uszu normandzkich, gdy sam Wilhelm ustawę pewną zaczyna od wyrazów: »Ego Guilhelmus, cognomento Bastardus.«

sem na groźniejsze imię *zdobywcy*. Zaledwie doszła wieść do Rouen o zgonie Roberta w Bitynii, gdy możni panowie normandcy postanowili wymówić posłuszeństwo Wilhelmowi: Bretonowie korzystając z domowych rozsterek Normandów zbierali się na granicy dybiąc na łup gotowy. W tak krytycznym stanie rzeczy Henryk I stanął w obronie młodego księcia i mitrę książęcą utwierdził na głowie jego po kilkoletniéj walce, która obyczajem czasów owych na konnych gonitwach rycerstwa i szturmowaniu do zamków zależała. W ciągu téj wojny zdarzyło się, iż w czasie oblężenia zamku Alençon żołnierze jednéj reduty stanąwszy na okopie bili kijami w skóry wołając: *do skóry! do skóry! skrobi skóra!* Syn Arletty zdobywszy redutę, kazał trzydziestu żołnierzom nogi i ręce poobcinać i do miasta odesłać.

Henryk I widząc przezorność i odwagę bękarta żałował danéj mu pomocy i postanowił doświadczyć przeciw niemu dzielności swojego oręża, ale mu się nie powiodło. Pobity pod Mortemer (1054) zawarł przymierze w Rouen. Wkrótce Henryk czując się upadającym na siłach, zwołał hrabiów, baronów i prałatów swoich do Reims i najstarszego z trzech synów swoich Filipa królem namaścić rozkazał. Jeszcze zapewne Kapetowie nie sądzili się dość utwierdzonymi na tronie, dla tego zwykle królowie téj rodziny za życia swojego następców do spólnictwa rządów przypuszczali. Ostróżność ta na ten raz nie była zawczesna, w następnym bowiem roku Henryk rozstał się z tym światem (1060).

Henryk i syn jego Filip I (1031—1108) byli bezczynnemi i niedołężnemi świadkami wielkich wypadków, które za ich czasów wstrząsnęły Europą. Nie mieli oni żadnego udziału w wyprawach Normandów do Neapolu i Anglii, nie należeli do wojen krzyżowych, ani do walki papieżów z cesarzami, nie dali się namówić do wspierania hrabiów Flandryi, Hollandyi, Brabantu i Lotaryngii, w walce Niderlandów przeciw niemieckim cesarzom. Godność królewska we Francyi jest dotąd tytułem jedynie i pewnym rodzajem prawa i nadziei. Francya feodalna

sama w sobie przetrawić się musi, ruch jéj jest odrębny. Kto chce śledzić ten ruch, musi odwrócić wzrok swój od środka kraju, zbyt jeszcze niedołężnego, musi postępować krok w krok za wielką walką kościoła z cesarstwem, towarzyszyć Normandom do Sycylii i Anglii, stanąć pod chorągwią wyprawy do ziemi świętéj. Wtedy dopiero czas będzie powrócić do Kapetów, przypatrywać się jak ich kościół użył za narzędzie, zamiast zbyt nieuległych Normandów; jak im do wielkich przeznaczeń otworzył pole.

ROZDZIAŁ III.

ZATARGI CESARZÓW NIEMIECKICH Z KOŚCIOŁEM. — WYPRAWY NORMANDZKIE.

Małém podówczas był Filip dziecięciem gdy go ojciec odumarł, styrem przeto rządu kierował Baudouin hrabia Flandryi mianowany rejentem przez Henryka; rządy wszakże jego w ciągu téj małoletności niczém nie zasłynęły, gdy tymczasem o ścianę brzmiała sława świetnemi Normandów wyprawami, a z drugiéj strony ciężkie spory toczyli cesarze niemieccy z kościołem.

Barbarzyńskie hordy Niemców starły wszechwładną potęgę Rzymu; ustaleni w swoich siedliskach i jakożkolwiek ogładzeni Niemcy przyjąwszy tytuł władców starożytnego grodu, chcieli połączyć z nim nie tylko powagę doczesnego jedynowładztwa, ale nadto oprzéć je na niewzruszonéj sile moralnéj. Ztąd tytuł: *Świętego rzymsko apostolskiego cesarstwa;* ztąd hierarchiczne tytułów szczeble: cesarz przewodzi nad królami, królowie mają wyższość nad książętami, za témi dopiero postępują margrabiowie, hrabiowie i barony. Po za obrębem cesarstwa nie ma ładu, ani świętości. Kanclerz świętego państwa innych wszechwładców *królami prowincyonalnemi* mianuje; sam zaś

cesarz pragnie ustalić na ziemi wieczny pokój, zaprowadzić stan prawny, w miejsce stanu natury między różnorodnemi narodami dotychczas istnącego. Lecz ten ideał pokoju i porządku za którym świat się od wieków upędza, potrafiż cesarz niemiecki urzeczywistnić, lub maż on do końca swiata, do ostatecznego spełnienia czasów pozostać celem życzeń ludzkich?

Wielki cesarz Fryderyk *rudobrody* nie umarł mówią Niemcy, ale śpi, i to w starém, opustoszałém zamczysku, na wysokiéj górze. Jeden owcarz widział go tam, przedarłszy się przez ciernie i gęste krzewiny; był ubrany w zbroję żelazną i wspierał się łokciami na kamiennym stole, zapewne długo musiał być w tym stanie, gdyż broda jego urosła wijąc się dziewięć razy około stołu. Cesarz ledwie uniosłszy ociężałą głowę ozwał się do owcarza: »Czy kruki latają jeszcze około góry? —Tak jest, jeszcze. —Ah! dobrze, mogę spać dłużéj.«

Niech śpi;... ani on, ani święte wieków średnich cesarstwo, nie zdoła urzeczywistnić ideału rodu ludzkiego, pokoju pod tarczą praw, stanowczéj zgody narodów. Zaiste był to szlachetny świat, ten świat feodalny, który zasnął wraz ze szwabską cesarzów dynastyą: nie podobna go minąć bez westchnienia. Byli wtedy towarzysze i bardzo wierni i zupełnie poświęceni swojemu panu i damie swojego pana; weseli i rozkoszni przy jego stole, przy jego ognisku: z równą radością przedzierali się z nim przez wąwozy alpejskie, jak i śpiekłe azyatyckie pustynie; szlachetne i nieskażone serca męzkie pod stalowym pancerzem! Lecz mimo to i cesarz i cesarstwo przeminie i świat feodalny skończyć się musi; jest w nim cóś takiego co go na zagładę skazuje, a tém jest głęboko zakorzeniony materyalizm. Człowiek przylgnął do ziemi, zapuścił korzenie w tę skałę, na któréj wznosi się jego zamek. *Nie masz ziemi bez pana*, nie ma paną bez ziemi. Człowiek należy do miejsca, usadowił się niewzruszony, przykuty pod głazami swojego zamku, przytłoczony ciężką zbroją. Ziemia jest człowiekiem, do niéj przywiązana istotna osobistość. Jako osoba, jest niepodzielną, musi pozostać jedną i tąż samą, przejść w posiadanie najstar-

szego. Pierworodny sam jeden ją owładnie; przeciwnie! ona nim władać będzie. Zwyczaje do ziemi przywiązane rządzą dumnym jéj posiadaczem, wkładają nań powinności; według dobitnego wyrażenia wieków średnich: *służyć musi swojéj lenności.*

Starszy syn wszystko ogarnie! a młodsi? oh, ich dziedzictwo rozległe! do nich należą wszystkie drogi, a nad niemi niebios sklepienie. Łożem ich próg domu ojczystego, zkąd w mroźny wieczór zimowy, drżący i zgłodniali, przypatrywać się mogą starszemu bratu, siedzącemu przy ognisku, przy którem i oni się grzeli w błogie dni dziecinnego wieku; może im niekiedy rzuci jaki kąsek; a gdy warkną pańskie brytany, wara! to bracia moi, i oni także cóś dostać muszą. Lepiéj im wszakże poprzestać na tém, niż obcego szukać pana, z ubogich, mogliby przejść na poddanych, niewolników. Po roku pobytu u obcych z duszą i ciałem do nich należą. Nieszczęsny co szuka przytułku, okręt o brzeg strzaskany lub na mieliźnie osiadły, do pańskiéj własności należy; on ma prawo spadku i przypływu (le droit d'aubaine et le bris).

Jeden tylko przytułek bezpieczny, a tym jest kościół: tam się uciekają młodsi synowie wielkich domów. Hierarchia duchowna francuzka nie mogąc odeprzéć barbarzyńców, poruczyła władzę feodalności, a zwolna i sama została feodalną. Rycerze nie przestali być rycerzami nawet w sukni księżéj. Kapitularze Karlowingów, jeden za drugim ponawiają zakaz duchownym noszenia broni, polowania, stawania do boju z orężem w ręku, a przecież i pod Kapetami mowy pogrzebowe nie raz się kończą temi wyrazy: »dobry ksiądz, bitny żołnierz.« Biskupi zostają baronami, a baronowie biskupami. Każdy przezorny ojciec wcześnie stara się o biskupstwo, lub opactwo dla młodszego syna. Drobne nawet dziatki każą wazallom swoim na wysokie godności kościelne wybierać, by ich kto inny nie ubiegł nim dorosną: ojcowie tymczasem porządzają się w kościele, a jak? frymarczą plebaniami, odbierają dziesięciny, wazallom każą robić zapisy kościołowi, a sami je grabią; dwoma mieczami za-

razem uderzają lud, walczą na przemian lub klątwą gnębią, zabijają lub potępiają według upodobania.

W takim stanie rzeczy już tego tylko brakło, aby ci waleczni i szlachetni kapłani korzyści dóbr kościelnych nie okupywali wstrzemięźliwością bezżeństwa, aby z godnością kapłańską połączyć mogli przyjemności stanu małżeńskiego, aby mogli wychowywać dziatki przyszłe nadzieje kościoła, następców swoich. Srogością byłoby usuwać je z pałaców i świątyń ich ojców, one musiałyby się stać ich dziedzictwem: dziedzictwo zajęłoby niezawodnie miejsce wyboru, urodzenie miejsce zasługi.

Wyższe zająwszy stanowisko, spojrzyjmy na katolicyzm średnich wieków: małżeństwo bez wątpienia ma swoję stronę świątobliwą; lecz ten dziewiczy ślub kapłana z kościołem, nie poniesież uszczerbku przez śluby mniéj czyste? Ten któremu natura da dzieci według ciała, nie zapomniż o dzieciach według ducha? Kapłan ujmie sobie by wesprzéć biednych, lecz nie ujmie dzieciom swoim. A gdyby nawet oparł się pokusom, gdyby kapłan przemógł ojca, gdyby dopełnił wszystkich powinności kapłańskich, jeszcze i wówczas zostaje pytanie czy zachowa ducha kapłańskiego. Nie, w najświątobliwszém małżeństwie jest cóś zniewieściałego, wyniszczającego, co kruszy żelazo, miękczy stal najtwardszą. Nie masz tam owych rozmyślań samotnych, marzeń tajemniczych, wzniosłych burzy, gdy w nas walczy Bóg i człowiek. »Kto nigdy nie czuwał w płaczu, mówi Goete, kto łoża swojego łzami nie zrosił, ten nie zna cię o potęgo niebieska!«

Cóżby się stało z katolicyzmem, gdyby kościół zmiękczał w prozaiczném życiu małżeństwa, zmateryalizował się w feodalnéj dziedziczności? Znikłaby sól ziemi, stępiałaby siła wewnętrzna, ostygłby zapał niebieski. O zapewne taki kościół nie wzniósłby sklepień katedry kolońskiéj, aniby dźwignął wieży sztrasburskiéj; nie wydałby ani duszy Ś. Bernarda, ani przenikającego geniuszu Ś. Tomasza. Wówczas nie byłoby wypraw krzyżowych. Aby zyskać prawo wojowania Azyi, trzeba

aby Europa naprzód u siebie poskromiła zmysłowość azyatycką, stała się czystszą i więcéj chrześciańską.

Już to nie raz zagrożony niebezpieczeństwem kościół z całém życiem duchowém tulił się w mury klasztorne, na łonie mnichów znajdował schronienie; jest to część jego surowa, bardziéj mistyczna, uboga, posępna, samotna, a ta właśnie pierwszy dała popęd do oczyszczenia i ściślejszego zjednoczenia całego kościoła. Syn ubogiego cieśli, mnich z Clugny, rodem Włoch, z Saony miasta toskańskiego, pogromca Niemców, sam niemieckiego nazwiska, Hildebrand, przedsięwziął zmianę obyczajów i karności kościelnéj i do skutku ją przywiódł. Świątobliwego życia, nieskażonéj cnoty, wielkiego umysłu, niepojętéj wytrwałości mąż, nie zraził się trudnościami, nieugiętą stałością charakteru zwalczył wszelkie zawady, i choć sam prawie w więzach życia dokonał, przecież dzieło jego przetrwało wieki. Jeszcze był w Clugny a już powaga bogobojnego mnicha tak była silną, że Leon IX przypadkiem znajdując się w tym klasztorze, za namową jego udał się w postaci pielgrzyma do Rzymu, złożył tyarę papiezką, którą z rąk cesarza Henryka odebrał, i nowemu poddał się wyborowi. Bystry wzrok Hildebranda, w następstwo wieków sięgający, w sposobie pierwszego wyniesienia Leona postrzegał zagładę władzy duchownéj; widział, że życiem jest walka i ważenie się sił; jedność, tożsamość, jest śmiercią.

Żeby się kościół mógł wydźwignąć z pod władzy świeckiéj. trzeba żeby pierwéj sam przestał być świeckim, żeby odzyskał swoje siły w cnocie wstrzemięźliwości i poświęcenia się, żeby w czystości nowego nabrał hartu. Od tego właśnie zaczął zakonnik kluniacki. Już za rządów dwóch poprzedzających go papieżów, wyjednał oświadczenie, iż ksiądz żonaty nie jest księdzem. Zewsząd wzniosły się przeciw temu krzyki, potworzyły związki; liczbą ozuchwaleni żonaci księża oświadczyli bez ogródki, iż żon swoich nie odstąpią. Hildebrand prawie jednogłośnie na stolicę apostolską w dniu śmierci poprzednika swojego wyniesiony, pod imieniem Grzegorza VII, nie cofnął kroku,

owszem im większa wzmagała się burza, tém śmielsze stawił jéj czoło. Przeciw upornym stawił lud i zakony. Duchowieństwo klasztorne silne wziętością u ludu, bogobojném życiem pozyskaną, wzniosło głos z kazalnic, wnet śmiały mistycyzm znalazł wstęp u ludu, który zwolna przywykał gardzić formą, kruszyć ją nawet, aby tém łacniéj ducha oswobodzić. Tak burzliwe oczyszczenie kościoła, nadało mu niesłychany popęd. Wtedy w surowéj śmiałości swojego dziewictwa, odzyskawszy cnotę i siłę wezwał wiek przed stopnie tronu swojego i zażądał zwrotu należnego mu pierwszeństwa. Cudzołóztwo i świętokradzka przedajność jednych, usuwanie się od związku z kościołem drugich, feodalność wreszcie uosobiona w niemieckim cesarzu, powołane zostały do zdania sprawy.

Tak więc pod postacią kapłańską i cesarskiéj władzy, rozwinęła się w kościele walka prawa z naturą. Henryk IV popędliwy, zapalony, rownie był gwałtownym w obronie natury, jak Grzegorz VII nieugięty w obronie prawa. Z początku siły zdały się zbyt nierówne. Henryk III zostawił synowi w spadku rozległe krainy dziedziczne, wszechwładztwo feodalne w Niemczech, niezmierne wpływy we Włoszech, i przywłaszczone prawo mianowania papieżów. Grzegorz VII nie posiadał nawet Rzymu, nic nie miał, a miał wszystko. Otóż to właściwa natura ducha nie przywiązywać się do miejsca. Wszędzie ścigany a mimo to tryumfujący, nie miał Grzegorz kamienia własnego by na nim wsparł głowę, i umierając wyrzekł: »Postępowałem za sprawiedliwością, unikałem nieprawości, dla tego umieram na wygnaniu.«

Obwiniano obiedwie strony o nieprzełamany upor, a nie zważano, że to nie były zatargi człowieka z człowiekiem. Obadwa władcy, jako ludzie po kilkakroć usiłowali zbliżyć się do siebie, a przecież nigdy pojednać się nie mogli. Kiedy Henryk IV w sieni zamku Canossa trzy dni boso, w koszuli pokutnéj stał u drzwi papieża, musiał go papież przyjąć. Obiedwie strony pragnęły pokoju. Grzegorz VII wraz ze swoim nieprzyjacielem przystępował do stołu pańskiego, wzywając śmierci, jeźliby

winnym był, odwołując się do sądu bozkiego. Lecz sąd równie był niepodobny jak pojednanie. Nic nie potrafi pogodzić ducha z materyą, ciała z duchem, prawa z naturą.

W téj strasznéj walce, którą święta stolica w całéj toczyła Europie, dwóch kościół miał sprzymierzeńców, dwie materyalne i doczesne podpory: naprzód sławną hrabinę Matyldę, tak potężną we Włoszech, czystą, nieskażoną i wierną przyjaciółkę Grzegorza VII; powtóre Normandów, zdobywców Neapolu i Anglii.

Towarzysze Rollona w nowéj osadzie zmieszani z krajowcami, ogładzeni cywilizacyą rzymską i kościelną, zapomnieli języka przodków swoich, przyjęli mowę krajowców, w trzecim już pokoleniu nie było między niemi takiego, coby się ze Skandynawcami rozmówić potrafił; a przecież nie pozbyli się ze wszystkiém ducha awanturniczego, który naddziadów ich na brzegi Francyi przywiódł. Normandya była zbyt mała, policya w niéj nadto baczna, aby mogli jedni u drugich szukać łupów, trzeba więc było uganiać się za fortuną po Europie. Lecz feodalna Europa nastruszona zamkami, nie łatwą w jedenastym wieku przedstawiała zdobycz. Minęły czasy gdy bystre konie węgierskie kłósowały aż do brzegów Tybru i granic Prowancyi; w epoce o któréj mowa, każda przez rzekę przeprawa, każde górujące stanowisko miało warowną wieżę: w każdym przesmyku ujrzałeś zstępujących z góry zbrojnych rycerzy, w towarzystwie giermków i brytanów, wzywających do opłaty lub walki: przetrząsali tabołki wędrowników, zabierali swoję część, niekiedy grabili wszystko, a w dodatku i samego wędrownika. Normandczycy umieli sobie poradzić: odważni i chytrzy, zbierali się bandami po kilku, dobrze opatrzeni i należycie zbrojni, a do tego w ubiorze pustelniczym, z kijem w ręku i bańką u pasa; gdyby ich wtedy kto zatrzymać poważył się, rzekliby pokornie, przewłócząc wyrazy zwyczajem swoim, puszczając głos przez nos, że są ubodzy pielgrzymi, że idą do Monte-Cassino, do grobu świętego, do Kompostelli; wtedy szanowano pobożność tak dobrze uzbrojoną.

Cóżkolwiek bądź Normandowie lubili odległe pielgrzymki, był to jedyny środek na rozpędzenie nudów domowych. Pielgrzymka zawiodła ich do Włoch południowych, gdzie ich czekało królestwo. Resztki trzech plemion żywiły się wówczas płodami Włoch południowych; Lombardowie w górach, Grecy w portach, Saraceni afrykańscy po wszystkich wybrzeżach. Około roku tysiącznego Saraceni oblegali Salerno, dopominając się haraczu, właśnie pod tę porę normandcy pielgrzymi zdążając do grobu świętego pojawili się w tych stronach: uciśnieni mieszkańcy Salernu wezwali ich na pomoc. Za wypędzenie Saracenów sowicie wynagrodzeni, przynęcili większą liczbę swoich. Grecy z miasta Bari najęli ich do walki przeciw Grekom bizantyńskim, a rzeczpospolita partenopejska (Neapol) usadowiła ich w Aversa (1026), by jéj służyli za tarczę przeciw kapuańskim Lombardom. W czasie małoletności Wilhelma gdy niektórzy z baronów chcieli się wyłamać z pod władzy bękarta wtedy synowie Tancreda, ubogiego szlachcica z Coutance, dowiedziawszy się że prosty rycerz normandzki został hrabią Aversy, zabrali się wszyscy szukać szczęścia we Włoszech. Było ich dwunastu, a z tych siedmiu z jednéj matki. Koszta podróży opędzali szablą. Wielkorządca bizantyński przyjął ich na swoj żołd (1037) i wystawił przeciw Arabom. Gdy powoli coraz więcéj ściągało się Normandów, i Tancredowie ujrzeli się dość silnemi, zwrócili oręż przeciw tym co im żołd płacili, opanowali całą Apulią i na dwanaście ją hrabstw podzielili. Za poźno spostrzegli się Grecy, zebrali, jak mówią, sześćdziesiąt tysięcy Włochów by wyprosić zbyt natrętnych gości. Nieodrodni od przodków swoich Normandowie, rozpędzili niesforne tłumy i w zajętéj prowincyi swobodnie się urządzali. Zemstą zapaleni Bizantyńcy wzywają pomocy cesasarzów niemieckich. Dwa mocarstwa, wschodu i zachodu, łączą się przymierzem przeciw synom szlachcica z Coutances. Cesarz Henryk zobowiązał papieża Leona IX swojego krewnego, by się zajął wytępieniem najezdników. Leon towarzyszył wyprawie Niemców wspartych licznemi hufcami Włochów. W chwili

rozpoczęcia walki z kilkąset Normandami; Włochy zniknęły z placu a papież ujrzał się w ręku nieprzyjaciół: lecz jakież było jego podziwienie gdy spostrzegł zwycięzców u stóp swoich klęczących i błagających, by im nadał jako lenność kościelną wszystko co już zagarnęli w Apulii i co jeszcze zagarnąć mogą w Kalabryi i po drugiéj stronie cieśniny. Chcąc nie chcąc papież został wszechwładcą królestwa Obojga Sycylij (1052—1053). Zawojowania Włoch południowych dokonał Robert Guiscard i ogłosił się księciem Apulii i Kalabryi, a najmłodszy brat jego Roger wydarł Arabom Sycylią.

Nowe feodalne królestwo na samym cyplu Włoch powstałe ważne wyświadczyło przysługi dla całego półwyspu. Saraceni nie śmieli już zbliżać się do brzegów, Grecy bizantyńscy wynieśli się, a Niemcy w ustawnych wyprawach do Włoch roztrącali się o hufce normandzko-francuzkie. Grzegorz VII patrzył przez szpary na rozboje Normandów; gdyż oręż ich dzielnie go wspierał przeciw niemieckim i bizantyńskim władzcom. Guiscard wyparł z Rzymu Henryka IV i Grzegorzowi dał u siebie przytułek w Salerno, gdzie też życia dokonał.

Tak dziwne powodzenie prostéj szlacheckiéj familii zapaliło dumę Wilhelma *zdobywcy*, księcia normandzkiego,

i on zapragnął podobnychże względów losu. Obdarzony od natury niepospolitemi zdolnościami, umiał z nich korzystać. Wzrostu dobrego, postawy poważnéj, choć zbytniéj nieco tu-

szy, siły nadzwyczajnéj i równéjże odwagi, z wielkim rozsądkiem łączył chytrą przebiegłość nie przebierającą w środkach do celu wiodących; czoło wysokie i zmarszczone, wzrok przenikliwy, nadawały twarzy jego wyraz pewnéj srogości, która na pierwsze wejrzenie trwogą przeszywała. Posądzano go o przyśpieszenie zgonu księcia Bretanii, by się prędzéj pozbyć jego opieki. Hrabia, który mu nie chciał odstąpić prowincyi Maine, po obiedzie pojednawczym nagle życia dokonał, a Wilhelm prowincyą zagarnął. Zwyczajne zatargi Flandryi z Normandyą załagodził pojąwszy za żonę Matyldę hrabiankę flandryjską. Tak zabezpieczony u siebie skierował myśli na drugą stronę kanału i postanowił korzystać z okoliczności, jakie mu czy traf nasunął, czy chytrość jego uprzędła.

Edward *wyznawca*, ostatni król Anglii, zmuszony w młodości swojéj szukać przytułku w Normandyi, zaciągnął dług wdzięczności, z którego nie wiedział jak sie uiścić. Mówią, że gdy go późniéj Wilhelm odwiedzał, Edward zobowiązał się przekazać mu koronę angielską po swojéj śmierci. Takowe układy oburzyły Godwina naczelnika stronnictwa anglosaskiego, który potrafił zachwiać postanowieniem królewskiém. Po niejakim czasie obiedwie strony zdawały się zapominać o nierozważnych obietnicach, gdy wtém jakieś układy na dwór Wilhelma sprowadziły starszego syna Godwinowego nazwiskiem Harolda, inni utrzymują że burza morska tę przysługę wyświadczyła. Cóżkolwiek bądź, Wilhelm uszczęśliwiony tym wypadkiem, przyjął Harolda z największą uprzejmością, pasował go na rycerza, wziął z sobą na wyprawę przeciw Bretonom, przez co, w duchu wieków owych, Harold stał się towarzyszem broni Wilhelma, jego w pewnym względzie podwładnym i powinowatym. Nie przestaje na tém książę normandzki, ale w obec zebranych baronów swoich każe Haroldowi przysięgać, że go wspiérać będzie w pozyskaniu korony angielskiéj po śmierci Edwarda. Zobowiązał się jeszcze Harold pojąć w małżeństwo córkę Wilhelma, a siostrę swoję zaślubić z jednym z hrabiów normandzkich. Potrójną oplątany siecią Anglo-sas wrócił do swoich, a książę normandzki czekał spokojnie.

Edward umierając (1066 r), za silnym wpływem Godwina, władcy feodalnego całéj niemal południowéj Anglii, przekazał koronę Haroldowi. Zaledwie nowy król ujął berło państwa, gdy posłannicy normandcy stanęli przed tronem jego z oświadczeniem: »Wilhelm książę Normandyi, przypomina ci przysięgę, którąś wykonał usty i ręką na święte relikwie.« Harold odpowiedział, że ani przysięga dobrowolną nie była, ani on mocen przyrzekać, co od niego nie zależało. Co się tyczy siostry dodał, że już nie żyje, czy żąda książę abym jéj ciało posłał? Wilhelm w sposób łagodny i przyjacielski prosi Harolda by choć jeden spełnił warunek i pojął córkę jego, lecz Harold inną wybrał sobie małżonkę. Wtedy Wilhelm przysiągł, że w ciągu roku przybędzie po cały dług, że doścignie krzywoprzysięzcę w miejscu, w którém się najbezpieczniejszym sądzić będzie.

Alexander II zajmował wówczas katedrę Ś. Piotra, lecz sprężyną najdraźliwszych działań był Hildebrand kardynał. Przyjaźń Wilhelma pożądana była dla stolicy apostolskiéj, w niéj bowiem widziała silnego sprzymierzeńca, zdolnego złamać upór kościoła anglo-saskiego, upor nie filozoficzny, jak starego kościoła irlandzkiego za czasów Ś. Kolumbana i Jana Szkota (Erigeny), lecz barbarzyński i nieokrzesany. Takowe usposobienie stolicy apostolskiéj nie tajne było księciu normandzkiemu, dla tego, nim się wziął do broni, całą sprawę oddał pod sąd ojca świętego. Posłowie Wilhelma przedstawili naprzód: obietnicę Edwarda odstąpienia korony księciu normandzkiemu, powtóre: przysięgę Harolda, potrzecie: śmierć Alfreda zdradzonego przez Godwina, po czwarte: zaleganie w wypłacie świętopietrza, nakoniec: wypędzenie Normandczyka, którego Edward arcybiskupem kantorberskim mianował, a Godwin w miejsce jego anglo-sasa osadził. Harold lekceważąc sąd nie posłał nikogo na obronę praw swoich, zaocznie więc skazany został, Anglią Wilhelmowi przysądzono jako lenność stolicy apostolskiéj. Tak więc myśl Hildebranda, zjednoczenia Europy w kościele, połączenia jéj w duchu religijnym, zdawała się urzeczywistnioną.

Skoro wieść rozległa się, że jest królestwo do zdobycia, błą-

kający się rycerze zewsząd gromadzili się na dwór księcia normandzkiego. Byli tam Andegaweńcy, Bretonowie, Burgundy, Akwitańcy, Francuzi (z Isle de France), Piemontczycy nawet i Niemcy z nad brzegów Renu. Wypadek zdawał się niewątpliwy, tém bardziéj, ze Saxonowie sami między sobą niezgodni byli, a Duńczycy napadli Anglią od strony północnéj wtedy, gdy Normandowie lądowali w stronie południowéj: Jedyną obroną Harolda mogła być flotta, lecz ta niedostatecznie opatrzona wróciła po żywność, a Wilhelm wylądowawszy pod Hastings nie spotkał ani flotty, ani wojsk lądowych. Harold wówczas walczył na północy z Duńczykami. Przybył wprawdzie nie długo na czele zwycięzkich hufców, lecz już znużonych, a jak mówią, nieukontentowanych z podziału zdobyczy, sam król był ranny. Książę normandzki nie kwapił się wcale, i kiedy już obadwa wojska stały naprzeciw siebie, on wysyła posłańca do Harolda z oświadczeniem, iż poprzestanie na podziale królestwa: »Jeżeli wszakże upierać się będzie, dodał posłańcowi, i nie poprzestanie na tém co mu ofiaruję, powiedz mu w obec wojska jego, że jest krzywoprzysięzcą i kłamcą, że i on i wszyscy, którzy go wspierać zechcą, są wyklęci przez usta papieża.« Poselstwo nie chybiło celu, Saxonowie zwątpili o swojéj sprawie, a brat rodzony Harolda odradzał mu walkę, mówiąc, że bąć jak bąć, przysięga jest przysięgą.

Normandowie przeważali nad Anglo-sasami i karnością i uzbrojeniem. Wilhelm zamierzając wyprawę skupował najdzielniejsze konie w Hiszpanii, Gaskonii i Owernii, całą siłę swoję na dobréj jaździe zasadzając. Anglo-sasi krótką szablą i niewielkim halabardem zbrojni walczyli pospolicie pieszo. Gdy przyszło do starcia się pod Hastings, Wilhelm nie zaniedbał żadnego środka zdolnego mu zapewnić zwycięztwo. Dla podźwignienia siły moralnéj swojego rycerstwa nakazał modły w obozie: całą noc spowiadali się z największą skruchą normandzcy wojownicy, a równo ze świtem brat księcia, biskup Bayeux, odprawiwszy mszą świętą pobłogosławił wojsko: sam Wilhelm zawiesił na szyi relikwie św. na które przysięgał Ha-

rold, i przy boku swoim kazał rozwinąć błogosławiony proporzec, który od papieża otrzymał na tę wyprawę; Saxonowie tymczasem wśród hucznéj wrzawy i śpiewów całą noc na piatyce przepedzili.

Za danym znakiem do boju wojsko Harolda oszańcowane wytrzymało natarcie łuczników normandzkich, choć sam Harold uderzeniem strzały oko postradał. Wtém wieść się rozbiegła, że książę poległ; ztrwożeni Normandowie pierzchać poczęli. W istocie Wilhelm trzy konie utracił w téj bitwie, jednakże wszędzie obecny gdzie tego potrzeba wymagała, zabiegł drogę uciekającym, wstrzymał ich i do nowego natarcia uszykował. To wstępne powodzenie zgubiło Saxonów; z poza szańców wystąpili na równinę, a tu jazda przeważyła, dzida normandzka wzięła górę nad halabardem. Harold poległ, szańce zdobyli Normandzi, a z wojska Anglo-sasów co ujść nie zdołało, wszystko legło pod ciosem zwycięzców (1066).

Na wzgórzu, na którém zginęła dawna Anglia wraz z ostatnim królem anglosaskim, Wilhelm zdobywca wzniósł pyszne i bogate opactwo, zwane *opactwem bitwy*, dopełniając szlubu Ś. Marcinowi, patronowi rycerstwa francuzkiego. Niezbyt dawno czytać jeszcze można było nazwiska zdobywców ryte na tablicach; była to złota księga szlachty angielskiéj. Harold pochowany na témże wzgórzu. »Strzegł brzegów morskich, rzekł Wilhelm, niech ich strzeże jeszcze.«

Zwycięzca normandzki z wielką łagodnością obchodził się zrazu z podbitémi ludami; przyjął tytuł króla Anglików, zobowiązał się zachować prawa Edwarda wyznawcy, zyskał przychylność Londynu, potwierdził przywileje mieszkańców Kentu. Był to lud najbitniejszy, przednia straż armii angielskiéj, starożytna wolność celtycka tu się najdłużéj przechowała. Dla ściślejszego wymierzania sprawiedliwości nowym poddanym, zaczął się uczyć ich języka, choć mu to nie łatwo przychodziło dla podeszłego wieku. Przy tém wszystkiém nie zaniedbał należytéj ostróżności, wzniósł mnóstwo zamków obronnych, obwarował wszystkie ważniejsze stanowiska.

Jeżeli nie z przekonania i usposobienia, tedy z interesu osobistego pragnął Wilhelm największą zachować względność dla zwyciężonych; tym bowiem sposobem samowolniéj mógł postępować w Normandyi. Lecz ta łagodność nie zgadzała się z widokami rycerstwa nadzieją zdobyczy przynęconego: wszyscy co pod Hastings walczyli, nie mieli na celu zgody Wilhelma z Saxonami, wyglądali oni swojéj części. Zdobywca wrócił do Normandyi i kilka lat w niéj spokojnie siedział, zapewne dla odwłoki, dla zręcznego wykręcenia się; w myśli, że cudzoziemcy znudzeni, z gniewem wrócą do swoich siedzib. Lecz w czasie jego nieobecności wielkie wybuchło powstanie: Anglosasi pojąć nie mogli, aby w jednéj bitwie mieli być ostatecznie znękani. Wilhelm potrzebując zbrojnego rycerstwa, musiał się skłonić do podziału. Wtedy rozpoczęły się te okropne sceny zdzierstwa: cała Anglia pomierzona, grunta spisane zostały, sześćdziesiąt tysięcy lennictw uzyskali rycerze Wilhelma. Ciekawy jest obraz zdobywcy Anglii jaki nam spółczesny kronikarz saski odmalował; oto są główniejsze jego rysy.

»Król Wilhelm był bardzo mądry i bardzo potężny, potężniejszy i więcéj poważany niż którykolwiek z jego poprzedników. Był łagodnym dla dobrych i bogobojnych, ale aż nadto surowy dla upornych. Trzy razy do roku występował w koronie, skoro był w Anglii: na Wielkanoc w Winchester, na Zielone świątki w Westminster, na Boże narodzenie w Glocester. Wtedy w orszaku jego znajdowali się najbogatsi Anglicy, arcybiskupi, biskupi, opaci, hrabiowie i rycerze. Obok tego bardzo ostry i surowy, dla tego téż nikt nie poważył się działać wbrew woli jego. Nie raz upornych hrabiów kazał kuć w kajdany, biskupów i opatów wyzuwał z ich godności, nie oszczędzał nawet brata swojego Odona, kazał go wtrącić do więzienia. Nie należy wszakże zapominać, że wyborny zaprowadził porządek w kraju, każdy mógł bezpiecznie podróżować z trzosem złota u pasa, nikt nie poważył się zabijać drugiego, choćby téż największą miał do niego urazę. Nadał prawa Anglii, i tak się dokładnie z krajem obeznał, iż nie było morgu gruntu o

którymby nie wiedział do kogo należy i jakiéj jest wartości. Ziemia Gallów (Wallia) do niego należała i w niéj pobudował zamki. Rządził także wyspą Man: prócz tego podbił Szkocyą, Normandya była jego lenném dziedzictwem; gdyby jeszcze dwa lata był pożył, byłby zdobył Irlandyą bez wyciągnięcia oręża, przez sam odgłos swojéj potęgi. Zaiste ludzie z czasów jego doznali wiele udręczeń, tysiączne cierpiéć musieli niesprawiedliwości. Pozwolił budować zamki i ciemiężyć lud ubogi. Był to król przykry i srogi. Wycisnął on ze swoich poddanych nie mało grzywien złota i srebra, czasem sprawiedliwie, częściéj atoli niesłusznie i bez potrzeby. Nienasyconéj chciwości, wypuszczał dobra swoje w dzierżawę, jak tylko mógł najdrożéj. Nie pytał się bynajmniéj o nieprawe środki, jakiemi rządcy dóbr jego wyciskali pieniądze z biednych. Im więcéj mówił o prawie, tém bardziéj je gwałcił (*).»

Nie bacząc na charakter i osobiste przymioty zdobywcy, przyznać potrzeba że na Anglią i świat cały nieobliczone stąd spłynęły korzyści. Prawda, że zwyciężeni drogo opłacili zaprowadzony u siebie porządek, ale w postępie czasu miasta się ich zaludniły i otworzyły dla Anglii świetne na przyszłość

(*) Przedstawiać całe pasmo życia wazallów króla francuzkiego, przechodzi zakres niniejszego dzieła; jednakże nie od rzeczy będzie napomknąć o ostatnich chwilach Wilhelma zdobywcy, który choć tylko pośrednio, przeważnie wpływał na losy Francyi.

Cały w roskoszach zanurzony Filip król francuzki, zazdrościł swojemu wazallowi, lecz drżał przed jego potęgą; cichaczem szarpał go, a przez posłów o przychylności swojéj zapewniał. Nie tajne były Wilhelmowi zahiegi Filipa, warzył zemstę w sercu swojém, lecz wybuch ich ważniejsze wstrzymywały sprawy. Niewczesny żart króla sprowadził przesilenie. Wilhelm poddał się środkom lekarskim by się pozbyć zbytniéj tuszy, król w wesołym humorze odezwał się raz do otaczających: «Kiedyż zlegnie ten gruby człowiek? Wilhelm posłyszawszy o tém, w zapędzie gniewu przysiągł, że w kościele Ś. Genofewy stanie do wywodu, a zamiast świec dziesięć tysięcy dzid przywiedzie. Natychmiast obległ Mantes, zkąd żołnierze królewscy niepokoili granice normandzkie. Zdobywszy miasto, gdy

przeznaczenie. Król utrzymał sądy hrabstw i setnictw dla ścieśnienia feodalnéj jurysdykcyi, która prócz tego silną znajdowała tamę z góry, w sądach nadwornych królewskich. A tak przez to zdobycie Anglia ściśniona w pęta żelazne zaczęła poznawać porządek publiczny, a ten porządek rozwinął niepojętą siłę towarzyską. W dwóch wiekach tuż po tym podboju następujących, dźwignęły się owe zdumiewające pomniki, którym cała potęga czasów dzisiejszych zaledwieby wyrównać potrafiła. Jeżeli różność plemion i narzeczy opóźniły wzrost literatury, sztuki przynajmniéj początek znalazły. Z tych to pomników, z téj siły towarzyskiéj, jaka się w nich objawia, sądzić należy o podboju, ale nie z klęsk przemijających, które mu towarzyszyły.

Jakkolwiek Normandowie nie ze wszystkiém spełnili nadzieje Rzymu, jednakże kościół ważne bardzo z ich zwycięztw odniósł korzyści. Normandowie neapolitańscy z samego początku, angielscy zaś za czasów Henryka II i Jana uznawali się lennikami stolicy apostolskiéj. Normandowie włoscy często trzymali na wodzy cesarzów wschodu i zachodu; angielscy, straszni wazalle królów Francyi, zmuszali ich trzymać się bezwarunko-

---

konno przejeżdżał ulice, zachęcając swoich do mordów i rabunku, potknął się z koniem i śmiertelny szwank poniósł. Umarł (1087) w klasztorze Ś. Gerwazego niedaleko Rouen. W téj chwili rozbiegli się dworzanie do dóbr swoich, trzéj synowie zabrawszy co do którego należało udali się w swoje strony, a służący pozostawieni sami, złupili wszystko i ciało zwycięzcy z pod Hastings prawie nagie na podłodze zostawili. Przecież ze wsi przybyły rycerz wziął ciało nieboszczyka w łódkę i zawiózł swoim kosztem do Caen, gdzie je miał złożyć w przygotowanym przez samego księcia grobie. Tymczasem Ascelin mieszczanin występuje ze skargą, że grób jest jego własnością wydartą mu nieprawnie przez zmarłego księcia. Sześćdziesiąt soldów wyliczono Ascelinowi na trumnie zdobywcy, lecz jakby na przekorę wielkości ludzkiéj, grób był za ciasny dla pana Anglii i Normandyi, naciśnięto trumnę siłą, a wtedy pękło ciało. Tak więc za życia straszny dla możnowładców, w zgonie zostawił nie jednemu zbawienną naukę w wieku acz zabobonnéj, lecz głębokiéj religijności.

wo papieżów. W tymże czasie Kapetowie burgundzcy mieli udział w tryumfach Cyda, a przez związki małżeńskie zajęli tron kastylski i utworzyli królestwo portugalskie. W całéj Europie kościół tryumfował orężem Francuzów. W Sycylii i Hiszpanii, w Anglii i wschodniém cesarstwie, Francuzi albo zaczęli, albo dokonali krucyatę przeciw nieprzyjaciołom wiary.

Wszystkie te atoli przedsięwzięcia zbyt były odrębne, zbyt wybitną miały cechę samolubstwa i osobistych korzyści, aby zdolne były spełnić wielką myśl Grzegorza VII i jego następców, myśl zjednoczenia Europy. Dla zbliżenia się do tego wielkiego celu jedności europejskiéj, kościół musiał się wmieszać, a chrześciaństwo silną podać rękę. Świat jedenastego wieku w różnobarwnym swoim składzie miał spólny pierwiastek życia, to jest religią; spólną formę, feodalną i rycerską. Jedna więc tylko wojna religijna mogła go zjednoczyć: nie mógł inaczéj zapomnieć o różności plemion i politycznych interesów, które go dręczyły, jak tylko w obec różności ogólnéj i daleko większéj, to jest takiéj przy któréjby wszelka inna równość znikła. Europa jedynie w obliczu Azyi stanąwszy, mogła się uważać za zjednoczoną i zostać nią istotnie. Nad tém już od roku tysiącznego pracowali papieże, Sylwester II (Gerbert) i Grzegorz VII, sława atoli spełnienia ich życzeń została udziałem Urbana II, również rodowitego Francuza jak i Sylwester II. Niemcy odbywali krucyaty we Włoszech, Hiszpanie mieli je u siebie; lecz wojna święta, do ziemi świętéj, na soborze klermonckim we Francyi postanowiona, głoszona przez Francuza Piotra pustelnika, po większéj części orężem francuzkim dokonaną została. Dwaj Francuzi jaśnieją jako godła wojen krzyżowych, Gottfried z Bouillon rozpoczyna je, Ludwik Ś. kończy.

ROZDZIAŁ IV.

WYPRAWA KRZYŻOWA.

Śmierć Wilhelma zdobywcy oswobodziła Filipa z przykrego nader położenia: na długie lata zabezpieczony od granic normandzkich, puścił wolne cugle swoim chuciom, spoczął na łonie rozkoszy. Małżonkę swoją Bertę, hollenderską księżniczkę, osadził w zamku Montreuil, ujęty wdziękami Bertrady żony hrabiego andegaweńskiego. Bertrada rzadkiéj piękności kobieta, dumą uniesiona, opuściła Tours i połączyła się z królem w Orleanie. Oddawna już kluły się niesnaski między królem Francyi a stolicą apostolską; frymarki kościelnemi beneficyami i prawo inwestytury były ich powodem: ostatni postępek króla jawną sprowadził nieprzyjaźń. Zgromadzone na sobor duchowieństwo rzuciło klątwę, a Filip obojętny na to, kazał odjąć obwódkę złotą od korony, a tymczasem Bertradę koronował. Niebezpieczne wszakże było położenie króla w epoce wygórowanego zapału religijnego, w chwili dośpiewającéj wyprawy do ziemi świętéj.

Odkąd stępiony bułat Mahometa wyznawców przestał być groźnym, ludy Europy straciły z oczu islamizm u bram Carogrodu i podnóża Pireneów już niemal usadowiony, zapomniały o Azyi, téj wspólnéj matce swoich plemion, tém ognisku, z którego jasne promienie wiary świętéj na wszystkie strony rozbłysły. Wieków trzeba było by z ostatnich szlaków ziemi zbiegłe ludy na łup olbrzymiego Rzymu, mogły się zakorzenić w rozszarpanych krainach, oswoić z powietrzem, przesiąknąć rosą zbawczéj nauki, a potém wznieść oczy ku niebu, myślą sięgnąć za kraniec doczesnéj dziedziny.

Islamizm żarem słońca wschodniego rozpalony, w krótkim czasie rozniósł pożogę po najpiękniejszych okolicach świata, lecz wnet ogień jego, ożywczych pozbawiony żywiołów, gasnąć

począł. W trzecim dziesiątku siódmego stulecia (622), nieliczne pokolenie otaczało kolebkę jego w miasteczku pod spiekłém niebem Arabii, a nie spełna w pół wieku późniéj (669) pod murami Konstantyna stolicy zabłysły muzułmańskie księżyce. Jeszcze nie dośpiał wiek siódmy, a już koran na płytkiém ostrzu damasceńskiéj szabli dostał się do Iranu, krainy światła; z wyniosłych minaretów spływające głosy unosiły fale Euxynu i wód kaspijskich; zuchwali wschodu wojownicy ujrzeli atlantyk rzucający swe bałwany śród ziem trzech części starego świata, i wnet potém przekroczywszy ciaśninę, starli ślady Herkulesa, nowe słupom jego Gibraltaru nadali imię. Lecz jak szybko rozlegał się grom imienia proroka, tak prędko ostygł szał pierwiastkowych zdobywców, a wiara na oschłéj mieszaninie podań synów Ismaela i form starego zakonu osnowana, spełniła swoje przeznaczenia i wiek jéj młodzieńczy ze zgrzybiałą zetknął się starością.

Islamizm najświeższy z wyznań azyatyckich, jest zarazem ostatniém i słabém wysileniem wschodu wydobycia się z pod ciążącego nad nim materyalizmu. Bóg jest Bogiem, oto islamizm, religia jedności. Znika człowiek, kryje się ciało; żadnych obrazów, żadnéj sztuki. Familia prawie zerwana, nie masz pokrewieństwa, stargane starożytne węzły Azyi. Kobieta zamknięta w haremie; cztery tylko żony, ale nałożnic bez liku. Słabe związki między braćmi, jeszcze wątlejsze między krewnemi. Familie bez spólnego miana, bez znaków spólnych, zdają się zmieniać z każdém pokoleniem. Każdy buduje sobie dom; a dom upada z człowiekiem. Człowiek nie przywiązuje się ani do człowieka, ani do ziemi. Odosobniony, przemija jak tuman kurzu w pustyni, żadnego po sobie nie zostawiwszy śladu. Taka religia nosi na sobie wybitne piętno Arabii, niebo i ziemia, w pośrodku nic: nie ma sterczących opok, które nas zbliżają do nieba, nie ma tych wonnych wyziewów, które swoją mgłą niebieską zmniejszają przestrzeń, samo tylko sklepienie ciemnego lazuru, jak dopiekający szyszak ze stali.

Gdy oręża szybki obrot przestał podżegać dziki zapał Araba,

w tym momencie namiętności wplątały się do zasad surowych; rozkosze haremu, róże samotne i wodotryski Alhambry, zmiękczyły serce Moslemina. Zmysłowość wyklęta przez religią, materya wygnana, wraca pod inną postacią, a wraca z zuchwalstwem służalca, który się dźwignął na pana. Zamknęli kobietę w Seraju, a kobieta zamknęła ich z sobą. Odrzucili wszelkie pośrednictwo między niebem i ziemią, a od tysiąca lat walczą za Fatemę, przelewają krew za ubóstwienie Alego (*). Potępili panowanie światła Magów, a jedni uczą że Mahomet jest światłem wcieloném, drudzy toż samo twierdzą o Alim, utrzymując że imanowie, potomki Alego są promionami wcielonemi. Kalifowie Fatemici w Egipcie byli reprezentantami widomemi téj familii Alego i Fatemy.

Tajemniczy Egipt wskrzesił starożytne skrytości. Fatemici założyli w Kairze *dom mądrości*: bezwarunkowe posłuszeństwo było podstawą ich nauki, po dziewięciu stopniach wiedli swojego wyznawcę od religii do mistycyzmu, z mistycyzmu do filozofii, powątpiewania, obojętności. Lecz nauka, ta obfite dopiero wydała owoce, gdy się zakorzeniła w górach starożytnéj Persyi, około Kasbinu, w tém samém miejscu, z którego wystąpił niegdyś zbawca Persyi, sławny kowal Gao (**) z fartuchem skórzanym i dzielny rycerz Feridun. To odszczepieństwo dostawszy się pomiędzy ludy nieustraszone, przylgnęło do ich ducha narodowego i wpoiło w nich okropny heroizm poświęcenia

---

(*) Ali, krewny Mahometa, pojął córkę jego za żonę, Fatemę, lub Fatimę zwaną. Odsuniony od kalifatu zajął się układem koranu, łagodząc ostrość przepisów ogłoszonych przez Abubekra, teścia i następcę Mahometa Persowie trzymają się dotąd nauki Alego, tworząc osobną sektę Szyitów,

(**) Gao, kowal, według legendy starożytnéj Persyi, w czasie ucisku narodu pod Zohakiem, zmówił się z Feridunem, rycerzem perskim, i zamiast chorągwi wywiesił na znak swój fartuch skórzany. Feridun zwycięzca przyjął fartuch za chorągiew państwa, a następni monarchowie przyozdobili go klejnotami.

się. Hassan-ben-Sabah-Homairi zarówno wyrzucony z towarzystwa Abassydów jak i Fatemitów, opanował twierdzę Alamut (1090) i tam nowe zawiązał stowarzyszenie. Fatemizm był jego maską, zagłada wszelkiéj religii zdawała się być tajném dążeniem. W Alamut nie brakło ksiąg, pełno było narzędzi matematycznych, zajmowano się tam troskliwie sztukami i naukami. Sektarze ci wszędzie wcisnąć się umieli pod rozmaitemi postaciami, jako lekarze, astrologowie, złotnicy, i t. p. Jeden z sułtanów zamierzył zgubę Hassanidów, lecz obudziwszy się nazajutrz ujrzał sztylet utkwiony w ziemi o dwa cale od swojéj głowy, odstąpił więc zamiaru.

Taki był stan islamizmu w jedenastym wieku. Kalifat bagdadzki skrępowany samowolnością gwardyi tureckiéj, kalifat Kairu upadający wśród własnego zepsucia, kalifat Korduby w sztuki poszarpany; jedna tylko Hassanidów sekta, mocna bezwzględném posłuszeństwem i strasznym heroizmem.

Jakże silniejszy, jak pełen życia był chrześcianizm w epoce wypraw krzyżowych! (*) Zahartowany w czystości klasztornéj, bezżeństwie księży, ściśle się jednoczył pod władzą duchowną, która w téj epoce zrównoważyła świecką. Ogniem świętym zagrzany świat chrześciański przedsięwziął dzieło, którego wielkości pospolite umysły pojąć, a tém samém ocenić nie zdołają. Zresztą ta pielgrzymka krzyżowa nie jest wypadkiem ani nowym ani tak dalece dziwnym. Człowiek z natury swojéj jest pielgrzymem na ziemi: dawno, bardzo już dawno puścił się się w drogę, Bóg wié kiedy stanie u kresu; aby go poruszyć, nie zawsze wielkiéj rzeczy potrzeba. Sama nie raz natura wiedzie go jak dziecię, wskazując mu piękne miejsce pod słońcem, winnicę włoską Gallom, pomarańczę sycylijską Normandom: niekiedy nęci go postacią nadobnéj kobiety. Cesarz wschodni Alexy wzywając Francuzów na wojnę świętą, nie

(*) Ani jest, ani być może myślą naszą porównywać chrześcianizm z islamizmem, mówimy tylko o duchu ożywiającym ludy tych sprzecznych między sobą wyznań.

zapomniał wychwalać im piękności Greczynek. Synowie północy naprożno szukali swojego Asgardu, miasta Azow, bohatyrów swoich i bogów; znaleźli cóś ważniejszego. Biegając na oślep, spotkali się z chrześciaństwem. Nasi krzyżacy świętą zagrzani miłością w pochodzie swoim do Jerozolimy, ujrzeli że bozka ich ojczyzna nie była nad potokiem Cedron, ani na oschłéj Jozafata dolinie. Wtedy wznieśli oczy w górę i w smętnéj nadziei na inną oczekiwali Jeruzalem. Zdumieli się Arabowie ujrzawszy Gotfrieda z Bouillon siedzącego na ziemi. Zwycięzca ozwał się do nich głosem smutnym: »Nie może ziemia dogodném być siedzeniem dla człowieka, kiedy mu w łonie swojém wieczne gotuje mieszkanie?« Arabowie zdumieni oddalili się; wschód porozumiał się z zachodem. Mimo to wyprawy krzyżowe spełnić się musiały.

Ta dążność pobożna, ten ruch dawnych czasów sięga. Osobliwie od roku tysiącznego, od owéj epoki w któréj ludzie nabrali otuchy dłuższego życia, mnóstwo pielgrzymów z kijem w ręku zdążało to do grobu Ś. Jakóba, do góry Cassino, to do świętych apostołów w Rzymie, wreszcie do grobu świętego w Jerozolimie. Była to jednak pielgrzymka i niebezpieczna i trudząca. Szczęśliwy kto powrócił, szczęśliwszy kto skończył życie przy grobie zbawiciela.

Arabowie, lud handlowny, mile przyjmowali chrześcian; Fatemici egipscy nieprzyjaciele koranu Abubekra dobrze się obchodzili z pielgrzymami: wszystko się wszakże zmieniło skoro Turcy ziemię świętą posiedli. Lecz ani trudy, ani prześladowanie nie zrażały pobożnych pielgrzymów. Dumni rycerze, którzy w swoim kraju za wyraz jeden gotowi byli potokami krew przelewać, z pokorą poddawali się obelgom, jakie im wyrządzano w pielgrzymce. Książę normandzki, hrabiowie Barcellony, Flandryi i Verdun, w samym początku jedenastego wieku odbyli pielgrzymkę. W miarę jak się wzmagały niebezpieczeństwa, wzrastała chęć pobożna, pielgrzymi w liczniejsze zbierali się kompanie. W roku 1054 biskup kambrezyjski puścił się w drogę z trzema tysiącami Flamandczyków, a nie mógł

dojść do ziemi świętéj. W trzynaście lat późniéj biskupi mogunccki, ratysboński, bambergski i utrechtski, przyłączyli się do rycerstwa normandzkiego i utworzyli siedmiotysiączny oddział. Dostali się do Jerozolimy z wielką trudnością, a ledwie dwa tysiące z nich oglądało Europę z powrotem. Grecy parci coraz silniéj już z murów Carogrodu widzieli jazdę muzułmańską na drugiéj stronie Bosforu. Alexy cesarz ówczasowy wzywał pomocy chrześcian zachodnich.

Wszystko to atoli nie byłoby wstrząsnęło całéj społeczności europejskiéj, ani spowodowało tego powszechnego poruszenia, gdyby już od dawna nie były się obijały o uszy ludów odgłosy wojny świętéj. W Hiszpanii każdy dzień nową oznaczony był krucyatą, każdy dzień nowe chrześcian zwiastował zwycięztwo. Genueńczycy, Pizanie, zdobywcy Sardynii i Korsyki, już od wieku wyprawy krzyżowe odbywali. Gdy Sylwester II ogłosił pamiętny list w imieniu Jerozolimy, Pizanie natychmiast uzbroili flottę, wylądowali w Afryce, i jak mówią, sto tysięcy Maurów wytępili. Lecz w gruncie rzeczy niebezpieczeństwo ożywiało odwagę Hiszpanów, interes pobudzał Włochów; dla tego ci ostatni pragnęli pobożność pielgrzymów zwrócić do swojéj ziemi. Nie łatważ to jednak rzecz zmienić religijne przekonanie ludów! W ostatniéj niedoli wieków średnich, ludzie dość jeszcze mieli łez by opłakiwać niedolę miasta świętego. Ten wielki głos, który w roku tysiącznym zagroził końcem świata, odezwał się jeszcze raz, nakazując wędrówkę do Palestyny jako dziękczynienie za użyczoną odwłokę Prócz tego wieść biegała, że potęga Saracenów już była na schyłku; że o nic już nie szło, jak tylko postępować naprzód gościńcem, który niegdyś Karol W. utorować kazał; zdążać na wschód słońca i zbierać łupy gotowe. Chwila wyzwolenia nadeszła, koniec nędzy i niewoli. Wschód obfity w nieprzebrane skarby wszystkich zbogacić potrafi. Broń, żywność, okręty, rzeczy wcale niepotrzebne, Bóg wszystkiemu najlepiéj zaradzi. W pobożném i rozrzewniającém uniesieniu synowskiego w Bogu zaufania oświadczyli iż pójdą za śladem najprostszych zwierząt,

a najprostsze zwierzęta z woli wyższéj należytą drogą ich powiodą.

Takie było powszechne usposobienie umysłów w końcu jedenastego wieku, hasła tylko brakło do wielkiego pochodu. Wtedy właśnie ubogi zakonnik z Pikardyi, pod imieniem Piotra pustelnika znany, odbył pielgrzymkę do grobu świętego, widział cierpienia chrześcian, doświadczył prześladowania. Stanąwszy więc z powrotem w Rzymie, złożył papieżowi list patryarchy jerozolimskiego Simona i z takim zapałem przedstawił cierpienia tamtejszych chrześcian, w tak żywych kolorach odmalował obraz prześladowań, na jakie wystawieni byli pobożni pielgrzymi, że ojciec święty rozrzewniony upoważnił go natychmiast do ogłoszenia krucyaty. Niepozorna wprawdzie była postać Piotra pustelnika, wzrost nizki, twarz blada; lecz wzrok ognisty, głos donośny, wymowa najtwardsze serce zmiękczyć, najzimniejszą rozwagę zapalić zdolna; do tego świątobliwe i ostre życie otaczało osobę jego niepojętym urokiem w oczach nie tylko ludu, ale nawet najznakomitszych panów. Boso, z odkrytą głową, z pustelniczą laską w ręku, niekiedy na małym mule, przebiegał Włochy całe, przelewając w serca wszystkich zapał jakim sam był przejęty. Następnie przedarł się przez Alpy i we Francyi głosił wyprawę świętą.

Na stolicy apostolskiéj zasiadał wtenczas Urban II, niegdyś kluniacki zakonnik, przezorny, o dobro religii gorliwy, pragnął zasłonić pielgrzymów i jakążkolwiek nieść pomoc uciśnionym chrześcianom w ziemi świętéj. W tym celu zgromadził sobor do Placencyi. Zebrało się z Włoch, Francyi, Niemiec i innych krajów blizko dwustu biskupów, około czterech tysięcy prałatów i do trzydziestu tysięcy ludzi świeckich różnego stanu i godności. Zaledwie rozpoczęły się narady (dnia 1 marca 1095), gdy w obec całego zgromadzenia posłowie wschodniego cesarza Alexego Komnena przedstawili ucisk wschodniego chrześciaństwa, błagając o najrychlejszą pomoc. Wtedy wzniósł głos ojciec święty, a wszyscy obecni z zapałem przyjęli wezwanie jego i jednozgodnie postanowili nieść żądaną pomoc. Rozrze-

wniająca była gotowość Włochów, lecz troskliwości ojca świętego nie zaspakajała ich waleczność, dla tego postanowił odezwać się do ludu bitniejszego.

Tegoż roku, w dniu 18 listopada, rozpoczął się sobor w Clermont w Owernii, naliczniejszy podobno ze wszystkich w owych czasach, samych biskupów i opatów zebrało się przeszło czterech set, świeckich panów i ludu trudno było policzyć. Skoro się papież odezwał, wszyscy jednozgodnie zawołali *Bóg tego chce*! i natychmiast każdy z obecnych przyczepił na ramieniu krzyż czerwony. Wielkie sztuki materyj jedwabnych i wełnianych, w tym celu przygotowane, suknie nawet czerwone gdzie się pod ręką znalazły, pokrajano w kawałki, a przecież dla mnóstwa obecnych nie wystarczyło. Jakiż to nadzwyczajny widok przedstawiał się wówczas, zdawało się, że cała społeczność ludzka w swoich siedliskach poruszona. Widziano ludzi pogardzających tém, do czego najsilniéj byli przywiązani. Przepyszne zamki, rozległe włości, nadobne żony, dzieci nawet opuszczali. Nie trzeba było zachęcać, jedni drugich słowem i przykładem zachęcali. »A lubo odezwa, mówi jeden ze spółczesnych, do samych tylko Francuzów uczyniona była, jakiż lud nie dostarczył wojowników? Mogłeś tam widzieć Szkotów przybywających z głębi swoich bagnistych krain. W portach naszych wylądowali barbarzyńcy, nie wiem jakiego narodu, nikt nie rozumiał ich języka, a oni zakładając palce na krzyż, dawali znak, że chcą iść na obronę wiary świętéj. Byli tacy, co żadnéj z początku nie mieli ochoty, co szydzili z tych którzy pozbywali się swojego mienia, przepowiadając im przykrą wędrówkę a smutny powrót: a oto nazajutrz ci sami szydercy, niespodzianie wzruszeni, odstępowali majątków za jaką taką summę, i udawali się z tymi, z których dniem pierwéj żartowali.« Ubodzy sprzedawali domy, możniejsi zbywali, lub zostawiali włości, panowie feodalni za umówioną summę odstępowali miastom praw swoich, nie raz równie uciążliwych dla mieszczan, jak prześladowanie tureckie dla chrześcian wscho-

dnich. Król Filip za sześćdziesiąt tysięcy soldów złotych kupił miasto i hrabstwo Bourges.

Żaden z królów do pierwszéj nie należał wyprawy, ale mnóstwo wazallów przyjęło krzyż; gdy ci wszakże naradzają się, opatrują w broń i potrzebne zapasy, lud tymczasem znudzony długiém oczekiwaniem, puścił się w drogę (w Marcu 1096 r.), mocną wiarą zapalony, zdał się zupełnie na opatrzność. Trzydzieści tysięcy prowadził Piotr pustelnik, drugiéj takiéj massie przewodniczył szlachcic burgundzki Walter *bez mienia* (*). Nad Renem poruszyło się nieco ludu niemieckiego pod naczelnictwem niejakiego Gotteschalk. Liczbę tych trzech oddziałów rozmaicie podają spółczesni kronikarze, niektórzy do trzech kroć stu tysięcy ją podnoszą; lecz podobnaż było zliczyć codzień zwiększające się, lub zmniejszające tłumy, w miarę jak jedni przybywali, drudzy z niewygód i utrudzenia ginęli? Nadto któż mógł pomyśléć o porządku wśród ludu niewyćwiczonego, żadnéj sztuki wojennéj, żadnéj karności nie znającego? Wśród tylu tysięcy ludzi było bardzo wiele kobiet pod twardą zbroją delikatną płeć tających, mnóstwo dzieci, a ośmiu tylko rycerzy konnych. Dziejopisowie, którzy najodleglejszych czasów wypadki pod sąd zwyczajów swojego wieku i własnego widzi mi się podciągają, niesforność ludu w czarnych malują kolorach, przypisując mu rabunek, mordy i pożogę. Ta przednia straż, że tak nazwę, pierwszéj wyprawy krzyżowéj, całym tłumem postępowała wzdłuż doliny Dunaju, przez Niemcy i Węgry, zmierzając do Konstantynopola, jako punktu połączenia. Mieszkańcy naddunajscy nieokrzesani, ubodzy, a do tego zamiarów wyprawy wcale nieświadomi, nie mogli, za opłatą nawet, dostarczyć żywności i innych potrzeb ludowi w takiéj massie na raz stłoczonemu, a to w bardzo naturalnym porządku rzeczy wywołało nie jednę scenę gwałtowną, mimo wolę i

(*) Walterus senzavehor, sensaveir (sine pecunia) w łacińskich kronikarzach, we francuzkich zaś nazywa się Gautier-sans avoir.

zamiar stron obudwóch. Jakiegoż wojska pochód obejdzie się bez wyskoków niesforności? Cóżkolwiekbądź cesarz Alexy, który tak usilnie błagał pomocy zachodu, który dość silną był sprężyną tego poruszenia, przeląkł się na widok tego tłumu bez ładu, a jeszcze bardziéj, ujrzawszy nadciągającą zwolna ową straszną massę rycerstwa, która nakształt wezbranego potoku zupełném groziła mu zniszczeniem. Nie było środka, tylko jak najśpieszniéj otworzyć ujście tym okropnym falom.

Na łodziach greckiego państwa przedostał się Walter na drugą stronę Bosforu i w prostoduszném zaufaniu o zdobycie Nicei pokusił. Tu dzielny Kilidże-Arslan, sułtan Turków seldszutskich, władca Azyi mniejszéj aż do cylicyskich wąwozów, stolicę swoję założył. Mieszkańcy wziętość walecznych pozyskali, Arslan zaś śmiały, ustawną walką z cesarzem wschodu do boju przywykły, niemylną zgubą niewprawnym hufcom zagrażał. Cesarz Alexy przewidując smutne skutki poświęcenia się i gorliwości ludu, przekładał dowódcom, aby się do przybycia rycerstwa wstrzymali. Lecz ani Waltera przedstawienia, ani głos samego Piotra nie zdołał poskromić zapału, z jakim niedoświadczone ludy spotkania z niewiernymi pragnęły: chcąc nie chcąc prowadzić ich musieli. Przebiegły Arslan nie tamował im pochodu, lecz w bliskości Nicei zaplątanych w lesie napada i ze szczętem znosi. Poległ Walter, polegli znakomitsi wodzowie, mała garsztka niedobitków schronienie w opustoszałém zamczysku znalazła. Wnet i tu otoczył ich Arslan: wszyscy ranni, głodem i pragnieniem udręczeni, co chwila ostatniéj wyglądali zagłady, gdy Piotr w Konstantynopolu podówczas znajdujący się, potrafił skłonić cesarza do wysłania im posiłków, i oswobodzonych do Konstantynopola zwrócił.

Tymczasem zwolna poruszały się ciężkie rycerstwa kolumny, wiedli je potężni wazallowie, silniejsi wówczas od samych królów, swoich lennodawców: Hugon hrabia Vermandois, brat króla Filipa, równie wielki wódz, jak waleczny żołnierz, szanowany z rzetelności i odwagi; Robert przywodził Normandczykom, sprzedawszy swoje posiadłości Wilhelmowi zdobywcy,

bratu swojemu, za dziesięć tysięcy grzywien srebra. Rycerstwo z Chartres i Blois szło pod dowództwem swojego księcia Stefana, o którym lud mawiał, że ma tyle miast i zamków ile dni w roku. Odwaga wszakże jego nie odpowiadała zamożności, waleczny w boju, w ciężkich przygodach tracił przytomność; jednakże bez jego rady nigdzie się nie obeszło, był on wyrocznią rycerstwa. Waleczny Rotbert był ze swojemi Flandryjczykami. Południowych prowincyj wojownicy stanęli pod chorągwią Raymonda de Saint-Gille hrabiego Tuluzy, najbogatszego ze wszystkich rycerzy, on najpierwszy z możnych panów przyjął krzyż i przysiągł że więcéj nie wróci; dla tego niezliczone summy zabrał z sobą, a włości swoję zostawił naturalnemu synowi. Połączył on pod swoją władzę hrabstwa Rouergue, Nimes i księztwo Narbonny; tak obszerne dziedziny nadawały mu wielkie znaczenie pośród rycerstwa i zbliżały do jego chorągwi hrabiów d'Orange, Forez, Roussillon, Montpellier, Turenne, Albert. Najznakomitszą osobą téj wyprawy był Ademar biskup z Pui opatrzony pełnomocnictwem papieża.

Normandowie włoscy nie byli także ostatnimi, Bohemond, syn Roberta Guiscarda, *zaradnym* (avisé) zwanego, i sam równie jak ojciec zaradny, z działu ojczystego otrzymał tylko Tarent i szablę. Właśnie wtedy oblegał Amalfi, gdy go wieść doszła o wyprawie krzyżowéj: wypytawszy się troskliwie o nazwiska rycerzów, liczbę wojsk, uzbrojenie, zasiłki, nic nie mówiąc opuścił Amalfi i przyjął krzyż. Z nim razem poszedł Tancrède, Normandczyk przez matkę, choć ojca miał miéć Piemontczyka.

Tylu możnym wazallom nikt naczelnie nie przywodził, każdy wiódł swój hufiec niezależnie od drugiego, cel ich tylko jednoczył, a świętość sprawy, za którą walczyć mieli, ścisłym węzłem spajała. Wielkich czynów dokonał Bohemond, saraceńscy pisarze wielbią męztwo Raymunda, przecież powszechny głos tryumf wyprawy przyznał Gottfriedowi księciu Bouillion i Lotaryngii. Familia jego, jak mówią, od Karlowingów pochodząca, wielkiemi przygodami zasłynęła. Ojciec jego hrabia buloński,

szwagier Edwarda wyznawcy, króla angielskiego, wezwany był przez Anglo-sasów do korony, lecz nie wdał się w spółzawodnictwo z Wilhelmem zdobywcą. Dziad jego z matki, Gottfried *śmiały*, trzydzieści lat walczył z cesarzem niemieckim na czele Belgijczyków i w Akwisgranie spalił pałac Karlowingów. Po kilkakroć był skazywany na wygnanie, za wyjętego z pod prawa ogłaszany, więziony; żona jego Beatrix d'Este, matka sławnéj Matyldy, była jeńcem wojennym Henryka III, i przez niego pozbawiona Lotaryngii. Gottfried, bohatyr wojny krzyżowéj, wierny Henrykowi IV był wielkim chorążym państwa. Zaraz po ogłoszeniu krucyaty sprzedał ziemie swoje biskupowi leodyjskiemu i udał się do ziemi świętéj. Jeszcze dziecięciem będąc często powtarzał, że się uda do Jerozolimy nie jako pielgrzym, ale na czele potężnego wojska. Dziesięć tysięcy konnego rycerstwa i siedmdziesiąt tysięcy pieszego wojska postępowało za nim; byli to Francuzi, Lotaryńczycy, Niemcy.

Gottfried na krańcu dwóch narodów posiadłości swoje mający, z rodu Francuz, przez lennictwo w większe stosunki z Niemcami zaplątany, dwoma językami zarówno rozmawiał, a tém samém zbawiennym był pośrednikiem rycerstwa obudwóch narodów. W czasach w których starożytność cześć bałwochwalczą odbierała, dziejopisowie siląc się na pochwały Gottfrieda, wyliczali w nim wszystkie przymioty w bohatyrach Iliady wielbione, i tak, łączył on w sobie mądrość Nestora, przebiegłość Ulissesa, odwagę Achylla, a siłę Ajaxa, te zaś wszystkie przymioty wieńczyła skromność i pokora chrześciańska. Kronikarze zapewniają, że jedném cięciem szabli rozpłatał jeźdźca od głowy do siodła, a gdy wymierzył cios na odlew, głowę wołu, lub wielbłąda odcinał. Nieskażonego życia bohatyr umarł bezżenny w trzydziestym ósmym roku życia.

W pół roku niemal po wyjściu Piotra pustelnika poruszyły się rycerzów zbrojne zastępy (15 Sierpnia 1096). Gottfried obrał drogę przez Niemcy i Węgry. W miesiąc później Robert normandzki, hrabia Blois, hrabia Vermandois brat króla francuzkiego i hr. Flandryi udali się przez Włochy, jedni wylądowali

w Durazzo, drudzy okrążyli Grecyą. Raymond z rycerstwem południowéj Francyi postępował przez Lombardyą i Dalmacyą, Bohemond zaś przerznął się prostą, najkrótszą i najbezpieczniejszą drogą przez puszcze bulgarskie. Konstantynopol był punktem zebrania się wszystkich.

Im bardziéj ścieśniały się granice bizantyńskiego państwa, tém więcéj skupiały się w stolicy jego zabytki starożytnéj sztuki: miasto pyszne złoconemi świątyń kopułami, pełne wspaniałych marmurowych pałaców, jaśniejące zdumiewającemi przemysłu i handlu płodami, przedstawiało czarujący widok dla zachodniego rycerstwa, budząc w nim żądzę posiadania wszystkiego co ich zachwycało. Nie jeden z bohatyrów radby był pobożną tu skończyć wędrówkę, albo wyprawę zajęciem bogatego grodu rozpocząć. Ztąd powstały naprzód pokątne szepty przeciw cesarzowi i greckim jego poddanym, rzucane podejrzenia o podstęp i zdradę, które wnet w głośniejsze zmieniły się utyski przypisujące zatruciu wody, żywności, odzienia nawet, częstszą między rycerstwem śmiertelność, która wyraźnie skutkiem niewygód była i nagłych częstokroć przeskoków z głodu do zbytku. Bohemond i hrabia Tuluzy bez ogródki oświadczyli, iż za karę należy opanować Konstantynopol naprzód, a potém swobodnie zająć się będzie można zdobyciem ziemi świętéj. Nic nad to łatwiejszego, zgody tylko trzeba było; lecz Normandczyk przewidywał, iż strąciwszy Alexego, Tuluzanin mógłby pochwycić koronę. Nadto Gottfried zniweczył wszystkie zamachy, zapewniając, że nie przybył walczyć z chrześcianami. Większość rycerstwa poszła za zdaniem Gottfrieda, w końcu i sam Bohemond je powtórzył.

Cesarz niepospolitéj dał dowód przebiegłości, gdy rycerstwo skłonne i zdolne zburzyć państwo jego, potrafił przywieźć do zaprzysiężenia mu lenności z krajów, jakie na niewiernych zdobyć potrafią. Jeden tylko hrabia Tuluzy pod żadnym warunkiem nie chciał być lennikiem obcego pana, jak się wyraził, zaręczył wszakże, iż nic ze szkodą cesarza nie przedsięweźmie, dopóki ten obietnicom swoim wierny będzie. W istocie ważnym

był dla krzyżaków Konstantynopol; ząpuszczającym się w azyatyckie pustynie, Grecy tylko rychłą i skuteczną pomoc nieść mogli; albo ich więc owładnąć, lub przyjaźń pozyskać wypadało. Grecy ze swojéj strony, dla prędszego pozbycia się z karku zbyt kosztownych posiłków, przyrzekli wszystko czego od nich żądano, żywność, posiłki, a nadewszystko okręty do przewozu przez Bosfor.

Wszystkie rycerstwa zastępy przebywszy ciaśninę, zebrały się w Chalcedonie: liczono tam sto trzydzieści tysięcy jazdy, i pięćkroć stotysięcy piechoty. Z tak ogromną siłą w połowie Maja 1097 stanęli w obliczu Nicei. Cesarz pragnął odzyskać to miasto, do niego więc wskazał drogę rycerstwu. Nieobeznani ze sztuką oblegania, długo bardzo napróżno byliby łamali swoję waleczność, gdyby przebiegłość Greków nie była im oszczędziła czasu. Mieszkańcy przerażeni liczbą wojowników, tajemnie weszli w układy z cesarzem, a krzyżacy zdumieli się, ujrzawszy pewnego poranku chorągiew cesarską powiewającą na murach miasta. Ruszyli więc daléj ku południowi, a lekka jazda Arslana wiernie im towarzyszyła, obadwa okrążając skrzydła i łowiąc odstrychających się od swoich hufców rycerzy. Wreszcie odważyli się Turcy zastąpić drogę i stanąć do bitwy pod Doryleum: drogo wszakże przypłacili śmiałość swoję, doświadczyli jak ciężkie jest cięcie szabli europejskich rycerzy; pierzchnęli w nieładzie, zostawiwszy obóz cały na łup zwycięzcom; lecz i krzyżacy wiele ucierpieli. Zgubniejszą atoli dla wyprawy była sama mnogość rycerstwa, w massie bez ładu postępującego. Grecy i Genueńczycy dostarczali im żywności; lecz wszystko było niedostateczne; w wielu miejscach wody brakło, tak dalece że w jedném stanowisku pięćset osób z pragnienia umarło.

Jeszcze przez czas niejaki postępowali rycerze wpośród szpaleru zawojów tureckich, ależ wreszcie Arslan przekonawszy się o istotnych zamiarach krzyżaków poprzestał morderczéj a bezskutecznéj walki. Spokojniejsze rycerstwo przekroczyło cylicyskie granice; Tankred pokusił się o zdobycie Tarsu, ale go

ubiegł Baldwin (Baudouin) brat Gottfrieda. Wynagrodził sobie tę stratę włoski Normandczyk złupiwszy Adanę, Mamistrę i całą prawie Cylicyą, wszędzie przeważnie gromiąc muzułmańskie zastępy. Zbliżyli się wreszcie krzyżacy pod mury wielkiéj i wspaniałéj Antyochii, pierwszéj stolicy Piotra Ś. gdzie wyznawcy nauki Chrystusa Pana imię chrześcian przyjęli. Trzysta sześćdziesiąt kościołów, a czterysta pięćdziesiąt wież zdobiło niegdyś metropolią stu pięćdziesięciu trzech biskupstw. Już wtedy Antyochia wielka straciła dawną świetność i znaczenie, widok jéj atoli rozweselił umysły rycerstwa, a nadzieja zdobycia pocieszała strudzone wojsko i zdawała się wynagradzać omylone zamachy posiadania Carogrodu. Hrabia Tuluzy i Bohemond, jeden przed drugim, ubiegali się o posiadanie miasta. Otrzymał górę przebieglejszy Bohemond; po ośmio miesięcznem oblężeniu, zdumione rycerstwo ujrzało na murach miasta czerwoną Normandczyka chorągiew (1098).

Zaledwie chrześciańskie hufce na ziemi cylicyskiéj stanęły, gdy Baldwin ze swojém rycerstwem odłączył się i w stronę wschodnią ku brzegom Eufratu skierował. W granicach Mezopotamii bardzo wiele żyło chrześcian, którzy posłyszawszy o waleczności Baldwina z otwartemi przyjęli go rękami. Edessa, główne i w tych stronach najzamożniejsze miasto, bez żadnego oporu otworzyła mu bramy, a Baldwin przyjął tytuł hrabiego Edessy. Nie było to bez korzyści dla wyprawy; z jednéj bowiem strony ułatwiało jakożkolwiek dowóz żywności, z drugiéj strony rozrywało saraceńskie siły, odleglejszych Emirów trzymając na wodzy.

Tymczasem główne wojsko wyprawy wkroczyło do Antyochii. Niewygody obozowe, a może po części zbytek zamożnego miasta, sprowadził zarazę: mnóstwo rycerzy padło jéj ofiarą. Lecz nie na tém koniec niedoli krzyżaków. Jeszcze nie wytchnęli z trudów oblężniczych, a już na ciężkie przygody wystawieni zostali. Korbagat sławny Turków dowódca, Emir Mussulu, w dwakroć sto tysięcy obległ zdobywców Antyochii. Straszny głód złamał odwagę rycerstwa: by zatarasowanych po

domach wyciągnąć na obronę murów miejskich Bohemond domy podpalać kazał. Hugon z Vermandois i Stefan hrabia Blois straciwszy wszelką nadzieję ocalenia, po linach spuścili się z murów miasta i szczęśliwie dostali się do Grecyi, nie oglądając ziemi świętéj. Obrażone rycerstwo napiętnowało ich nazwą *skoczków na linie*. Już dwadzieścia sześć dni trwało oblężenie, najmężniejszych odbiegła nadzieja: wtém kapłan prowancki staje przed pełnomocnikiem papiezkim, biskupem z Pui, i oświadcza, że Ś. Andrzéj we śnie wskazał mu miejsce, gdzie zagrzebana leży włócznia, którą bok Zbawiciela przebito. Za skazówką pobożnego kapłana idą wodzowie rycerstwa i w istocie odkopują zardzewiałe żelazo. Raymond ostatek żywności zgłodniałemu rozdaje rycerstwu, szykuje swoje hufce, i gdy Turcy pewni zdobyczy wesoło w obozie bawią się, chrześcianie nagle pod hasłem opieki bozkiéj, tym widocznym znakiem objawionéj, wypadają, z taką natarczywością uderzając na niezliczone roty niewiernych, iż ci o obronie nawet nie myśląc z placu pierzchnęli, zostawując rycerstwu otwartą drogę do Jerozolimy. Bohemond ogłosił się księciem Antyochii, nie mógł się przecież wyłamać od dalszéj wyprawy.

Ustawne walki z Turkami, głód, zarazy, trudy pochodu pod skwarném niebem Azyi, przerzedziły szeregi świętéj wyprawy; już tylko dwadzieścia pięć tysięcy wojowników wyszło z Antyochii na drogę jerozolimską, lecz był to sam wybór rycerstwa, zahartowanego na bój i wszelkie niewygody.

Wraz z Alexym Komnenem żebrał pomocy chrześcian zachodnich fatemicki kalif Kairu, nieprzyjaciel bagdadzkich Muzułmanów; zanim atoli krzyżowe rycerstwo nadciągnęło, Mustanli, ówczasowy kalif egipski, potrafił Jerozolimę wydrzéć z rąk tureckich, z nim przeto ścierać się mieli chrześcianie. Kto zdolny jest pojąć wzniesienie ducha bogobojne, ten łatwo sobie wystawi zapał, jaki ogarnąć musiał chrześcian na widok szczytów świętego miasta (7 czerwca 1099). Zapomnieli trudów i niewygód, nie baczyli na żadne przysposobienia, zamknęli uszy na radę przywódców, czémprędzéj zabrali się do szturmu, aby

w téj chwili u grobu Zbawiciela złożyć dziękczynne modły za osiągnięty cel wyprawy. Lecz miasto przygotowane było do silnéj obrony; kalif wprowadził tam, jak mówią, około czterdziestu tysięcy zbrojnego ludu. Pierwsze więc natarcie bez machin wojennych, bez potrzebnych do tego drabin, zostało bezskuteczne; trzeba się było zabrać do oblężenia, rozłożyć obozem w spustoszonéj umyślnie okolicy, wystawionéj na żar słońca, bez cienia i wody, gdyż wszystkie studnie i cysterny zawalili Muzułmanie; zdawało się że szatan za zbliżeniem się wojsk chrześciańskich wszystko tchem swoim spalił.

Na szczęście dla oblegających, Genueńczycy świeże na ląd wysadzili posiłki, a co najważniejsza, biegłych dostarczyli rzemieślników, którzy w jedynym lesie w okolicy potrzebne wyrobili machyny i dwie ruchome zbudowali wieże, do tłuczenia murów potrzebne. Zaopatrzeni tym sposobem wojownicy gotowali się do szturmu. Przez kilka dni błagalne na górze oliwnéj odbywali processye, w czasie których Piotr pustelnik w żarliwych kazaniach zapalał ducha męztwa i wytrwałości. Najskuteczniéj atoli sami Muzułmanie przyłożyli się do oburzenia chrześcian, gdy patrząc na ich pobożną processyą z murów miasta, krzyż, godło zbawienia, nogami deptali. Wtedy niepodobna było wstrzymać rozjątrzonego wojska, przysuniono więc wieże od strony, od któréj się najmniéj spodziewali oblężeni, i dnia 15 lipca 1099 roku, w piątek o godzinie trzeciéj, to jest w dniu i godzinie męki Zbawiciela, Gottfried z wieży swojéj dostał się na mur i bramę miasta południową wysadził. Tu się okropna rozpoczęła rzeź, rozjątrzone wojsko nie miało względu ani na wiek, ani na płeć, wszystko czego tarcza krzyża świętego nie zasłaniała, legło pod ognistym mieczem zwycięzców.

Nie rzadką w podobnych zdarzeniach przemianą uczucie pobożności nagle zajęło miejsce uczucia zemsty; rycerze rzucili broń, zdjęli zbroje, a obmywszy ręce z krwi, z pokorą i skruchą całym tłumem pośpieszyli uczcić grób święty. Szczęk oręża, zgiełk wojenny, jęki rannych, pobożne zastąpiły śpiewy i bogobojne processye do miejsc męką Chrystusa pamiętnych. Lecz

już z głębi Arabii i z najodleglejszych kalifatu prowincyj roje wojowników śpieszyły na odsiecz, wypadało więc koniecznie myśléć o obronie tak krwawémi znojami oswobodzonéj ziemi. W ośm dni po zdobyciu miasta świętego, zebrali się na radę naczelnicy rycerstwa: Raymond dla podeszłego wieku zrzekł się zwierzchnictwa; książę normandzki bał się zgryźliwych obowiązków; hrabia flandryjski pragnął jak najprędzéj wrócić do swoich krajów; twarde powołanie przyjął więc Gottfried, książę niższéj Lotaryngii, z tytułem obrońcy i barona grobu świętego. Bogobojność jego nie pozwoliła zaszczycać się tytułem króla w miejscu, w którém Chrystus Pan cierniową nosił koronę. Zaraz na pierwszym wstępie usprawiedliwił położone w sobie zaufanie. Sułtan egipski wyprawił niezliczone tłumy wojowników na odsiecz Jerozolimy, kronikarze liczbę ich, zapewne nie bez przesady, do czterechkroć stu tysięcy wynoszą. Gottfried złamał ich potęgę pod Ascalon i bliższe Jerozolimy oczyścił okolice. Na wieczystą wszakże zanosiło się wojnę, tłumy Arabów snuły się po wszystkich stronach aż pod bramy stolicy nowego królestwa zapuszczając zagony. Tymczasem do pomocy Gottfrieda jeden tylko pozostał Tankred, trzystu jeźdźców i około dwóch tysięcy piechoty.

Niesłychanie ważną to było rzeczą dla chrześciaństwa, że pośród niewiernych usadowili się do koła pierwotnego ogniska swojéj wiary. Dla ustalenia zdobyczy, Gottfried utworzył małą Europę azyatycką na wzór i podobieństwo wielkiéj. Urządził feodalizm według najściślejszych form, ustanowił porządek hierarchiczny, określił sprawiedliwość feodalną w postanowieniach zwanych *Roki jerozolimskie* (Assises de Jerusalem), porozdawał prowincye zasłużeńszym rycerzom. Dziwne to zaiste wydać się musi zjawisko dla każdego, ktoby dziś porównywał słynność biblijną miejsc z nadanemi im średniowiecznemi tytułami; zapewne gotówby to za żartobliwą poczytać parodyą: ciągłe wszakże nawyknienie, w owych wiekach szanownemi bez wątpienia czyniło tytuły księcia Galilei, barona Sydonu, margrabiów Tyru i Jaffy. Palestyna zamieniła się na Francyą: język fran-

cuzki przez Normandów do Anglii i Sycylii zaprowadzony, z wyprawą krzyżową dostał się do Azyi. Już odtąd można poniekąd przypuścić, że język francuzki, od brzegów irlandzkich, aż do granic Arabii upowszechniony, zajął w polityce miejsce języka łacińskiego. Turcy na oznaczenie ludów zachodnich imię Franków przyjęli i dotąd go stale używają.

ROZDZIAŁ V.

NASTĘPSTWA WYPRAW KRZYŻOWYCH.— LUDWIK GRUBY (LOUIS LE GROS),

Odzyskanie Jerozolimy z rąk niewiernych stało się przedmiotem wielkiego tryumfu dla wieków średnich, lecz ten sam wypadek tak pomyślny, tak pocieszający, był powodem nie małego smutku. Sześćkroć sto tysięcy ludzi udało się na wyprawę pod godłem krzyża świętego, w końcu zaś mało co więcéj nad dwa tysiące zostało z Gottfriedem w Jerozolimie, garsztka rycerstwa z Raymondem w Tripolis, druga takaż w Edessie z Baldwinem, w Antyochii z Bohemondem. Dziesięć tysięcy wróciło do Europy opowiadać przygody wyprawy: cóż się stało z resztą? Postępując za szlakiem węgierskim, państwa greckiego i Azyi mniejszéj, łatwo było widzieć ślad wyprawy, kośćmi poległych zabielony. Tyle ofiar dla zdobyczy, o któréj utratę co moment lękać się trzeba było! Nic przeto dziwnego że sam bohatyr jerozolimski zmierził sobie życie i smutnemi przeczuciami udręczony, zgasł przed czasem. Nie przewidywał on istotnych następstw wypraw krzyżowych, i nie łatwo je było wówczas przewidzieć, a przecież okazały się z czasem i nader ważne.

Europa i Azya w skutek tak okropnego wstrząśnienia zbliżyły się do siebie, lepiéj poznały się, i wczęści wzajemną ku sobie nienawiść złożyły. Baldwin, brat Gottfrieda, zostawszy po nim królem Jerozolimy, ze znakomitéj familii niewiernych pojął żonę. Zaczął on Saracenów uważać za ludzi i uznał ich godnymi litości chrześcian. Sami zaś chrześcianie wśród spólnictwa niebezpieczeństw i najokropniejszéj nie raz nędzy, mieli sposobność utwierdzić w sercach swoich uczucie ludzkości, połitowania i równości: a lubo tu i owdzie doczesne widoki przewodniczyły ich zamiarom, przecież większa ich część zasmakowała w cnocie, do świątobliwego zdążała życia. W obliczu niewiernych starali się usilnie wznieść nad siebie i prawdziwemi okazać chrześcianami. Zuchwały baron feodalny, który na udręczenie tylko swoich wazallów z warownego wychylał się zamku, świętéj wyprawy przejęty zapałem sam ich uzbroił, sam im przewodniczył, żył pośrod nich i z nimi razem cierpiał; a to spólnictwo trudów i niedostatku zmiękczyło jego serce. I poddani także znaleźli dla siebie dzieje bohatyrskie. Krewni tylu poległych w Azyi, zostali krewnymi męczenników; dawne legendy poczęli stosować do swoich ojców, braci i powinowatych, a tém samém sądzili się czémśćiś wyższém. Cała ludzkość zwolna przywykała do bezwzględnego szanowania się, i w najniższych społeczności powolaniach zaczęto uważać człowieka. Z tego właśnie wątku wysnuwały się wielkie krucyat następstwa.

Filip I nie tyle może z braku chęci, jak raczéj z winy okoliczności, w które się sam zaplątał, nie należał do wyprawy krzyżowéj, interdykt czynił go tego uczestnictwa niegodnym. Po oddaleniu się najmożniejszych wazallów miał otwarte pole do powiększenia władzy swojéj, tymczasem zabiegi około wywijania się z ciążących na nim zarzutów, nie pozwoliły mu korzystać z najdogodniejszéj pory. Tym sposobem monarcha, którego Grecy naczelnikiem książąt europejskich, królem nad królami mianowali, był niemal sługą swoich bezpośrednich wazallów. Baronowie królewscy coraz wybitniéj objawiali dą-

żność do niezawisłości. Z wyniosłéj turmy swoich zamków władali drogami publicznémi i samowolnie przetrząsali ładunki kupieckie. Powaga majestatu za słabą była do zasłonienia króla samego od zuchwałych żądań wazallów. Między Paryżem i Orleanem, dwoma stolicami króla, w połowie drogi od Etampes, była słynna wieża Montlhery, dziedzictwo zuchwałéj Trousselow rodziny; Filip na czele tylko zbrojnego hufca mógł tędy przebywać drogę od jednéj do drugiéj stolicy. Ta wieża przed czasem okryła siwizną głowę jego, jak sam synowi swojemu oświadczył. Nic wtém nie masz dziwnego; królewska dziedzina szczuplejsza była (*) od posiadłości nie jednego wa-

(*) Bezpośrednie wszechwładztwo króla (souveraineté) rozciągało się tylko nad Isle de France, i częścią orleańskiego obwodu, co odpowiada pięciu dzisiejszym departamentom: Sekwany, Sekwany i Oazy, Sekwany i Marny, Oazy, i Loiret; co wynosiło od wschodu na zachód około dwudziestu dwóch mil niemieckich, od południa na północ trzydzieści takichże mil. Gdyby przynajmniéj w tak szczupłym obrębie wszędzie jednostajną władzę wykonywał; ale i tu miał mnóstwo baronów upornych, niechcących znać wyższości swojego monarchy. Ludwik gruby przez cały ciąg panowania swojego walczyć musiał, by przywieźć do posłuszeństwa panów z Chaumont, Montlhéry, Monfort l'Amaury, Coucy, Montmorency, Puiset i wielu innych. Na północ tego drobnego państwa było hrabstwo Vermandois w Pikardyi, dziedzina brata Filipa, odpowiadająca zaledwie dwom dzisiejszym departamentom, i hrabstwo bulońskie równe jednemu departamentowi. Za to hrabstwo flandryjskie zajmowało cztery departamenta, równało się co do rozległości dziedzinie Filipa, lecz ją przewyższało pod względem ludności i bogactwa; Familia szampańska na dwa szczepy rozdzielona, szampański i Blois, sześć dzisiejszych departamentów posiadała, przytykając do posiadłości królewskich od wschodu i południa. Dom książąt burgundzkich posiadał trzy departamenta; król angielski, jako książę Normandyi miał ich pięć; książę Bretanii drugie tyle; hrabia andegaweński trzy. Tak więc sąsiedni króla wazallowie równali się z nim w potędze. Co się tyczy krajów między Ligierą i Pireneami, trzydzieści trzy departamenta zajmujących, te choć uznawały wszechwładstwo króla Francyi, przecież były mu tak obce, jak trzy królestwa Lotaryngii, Burgundyi i Prowancyi, które uznawały wszechwładztwo cesarzów niemieckich, a odpowiadały w rozległości swojéj dwudziestu i jeden departamentom.

zalla, a do tego, za świadectwem spółczesnych dziejopisów, nie było zakąta Gallii gorzéj urządzonego, jak kraje bezpośrednio królewskie. Takiemi przykrościami znękany król Filip, czując się upadającym na siłach posadził obok siebie na tronie syna swojego Ludwika dwadzieścia jeden lat podówczas mającego (1099 roku).

Odtąd zaczyna się epoka wzrastającéj władzy królewskiéj. Wykształcony feodalizm, w końcu jedenastego wieku doszedł najwyższego punktu wygórowania, z którego koniecznie zstępować musiał. Ludwik tylko co przybrany za spółrządcę, zajął się natychmiast poskromieniem zuchwałych wazallów, którzy lekce ważyli powinności lennicze i posłuszeństwo monarsze, swojemu wszechwładcy, wypowiedzieli. Na równinie Montmorency pierwsze okazał dowody waleczności swojéj, stawając w sprawie opactwa Ś. Dyonizego przeciw upornemu lennikowi zakonu. Następnie wezwał go arcybiskup reimski, późniéj orleański. Poskromienie lenników kościoła zjednało Ludwikowi imię *bitnego* i obudziło dlań poszanowanie z pewnym rodzajem obawy połączone. Guy-Troussel kasztelan wieży Montlhery, jeden ze *skoczków na linie* przy oblężeniu Antyochii, otoczony ze wszech stron szyderstwem, szukał schronienia pod tarczą powagi królewskiéj, z któréj niedawno żartował, i córkę swoję poślubił jednemu z synów Filipa wraz z posagiem wieży Montlhery. Ostatnią walkę za życia ojca toczył Ludwik z Rochefortami, których stronę utrzymywał hrabia Chartres. Zwycięztwo przechyliło się na stronę młodego księcia, który we wszystkich utarczkach nie oszczędzał swojéj osoby, pełniąc obowiązki wodza i żołnierza, przebywając okopy, wdzierając się do wyłomu.

Umarł Filip (1108) przeżywszy lat pięćdziesiąt siedm. Przez pół wieku niemal zajmując tron (48 lat), obojętnie, z założonémi rękami, przypatrywał się wielkim wypadkom, mało nawet bacząc na szerzącą się między bezpośredniemi wazallami niesforność. Z śmiercią tego monarchy Francya przebudziła się ze snu długoletniego, nowe rozpoczęła życie. Po długim szeregu

bezczynnych Karlowingów i obojętnych na wszystko Kapetów, ujął berło Ludwik *gruby* i pierwszy władać niém począł. Nie był on politykiem myślą w odległą przyszłość przedzierającym się, lecz był nieustraszonym wojownikiem. Użył naprzód swojéj szabli na poskromienie zuchwałych lenników kościoła, a kościół przywiódł mu lud na pomoc gdy go potrzebował do walki z własnémi wazallami. Przy obrzędzie namaszczenia pierwszy raz biskupi poświęcony miecz i berło sprawiedliwości podając mu do rąk, wzywali aby ich użył na starcie złoczyńców.

Pierwszém wystąpieniem Ludwika za życia ojca przerażeni panowie, nie chcąc dobrowolnie zrzec się praw ciemiężenia podróżnych i niepokojenia dróg publicznych, praw długiém użyciem, od Karola łysego począwszy, uświęconych, zbrojną między sobą zawiązali ligę. Zamki Rochefort, Puiset, Coucy, Corbeil, postrachem były wędrowników, stolice wcale już niezawisłych panów, którzy bynajmniéj nie taili swoich zamiarów chwyciwszy oręż na spólną obronę. Władca zamku Corbeil, siadając na koń, odezwał się do swojéj małżonki podającéj mu kopią: »Bierze ją z rąk twoich hrabia, a król ci ją powróci.« Śmiało wystąpił Ludwik, król Corbeilu poległ w bitwie w dniu swojéj przechwałki; panowie Montlhéry i Coucy musieli zaprzysiądz posłuszeństwo, a zamek Puiset, po trzykroć szturmem zdobywany, legł nakoniec w gruzach. Trzask walącego się zamku radością napełnił serca ludu okolicznego, był on bowiem postrachem mieszkańców na kilka mil do koła. Pierwszy to bój staczał Ludwik na własny rachunek, pierwszy raz lud pospolity dostarczył królowi swojemu posiłków. Biskupi wdzięczni za daną im pomoc przez króla, uzbroili lud swoich włości, potworzyli bractwa miejskie i pod chorągwią parafialną przywiedli królowi. Tak silną wsparty pomocą Ludwik wzniósł się nad obręb swoich wazallów, którzy dotąd wrówni z królem postępowali. Władza królewska przestała być złudzeniem, a korona godłem, panowie ujrzeli, że tylko przy boku króla możnymi być mogą.

Poskromiwszy wyskoki wazallów król Ludwik, silny orężem licznych zastępów ludu, zwrócił swoję uwagę na najpotężniej-

szego z wazallów księcia Normandyi. Wypadki same nastręczyły mu sposobność do wplątania się w sprawę nader ważną dla króla Francyi. Po śmierci Wilhelma króla Anglii i księcia normandzkiego, korona prawem następstwa spadała na syna jego Roberta: ten wszakże zamiast pośpieszać na odziedziczenie spadku, rok cały biesiadował u Normandów sycylijskich i kiedy przybył do Normandyi już Henryk Beau-Clerc utwierdził się na tronie angielskim i uspokoił wesołego Roberta roczną pensyą trzech tysięcy funtów sterlingów. Następnie Henryk wkroczył do Normandyi, Roberta wziął do niewoli i w zamku osadził. Tu, oddany rozkoszom, zapomniał Robert że był księciem Normandyi, że mógł dzierżyć berło angielskie, lecz poddani jego zapomnieć nie mogli. Wilhelm Cliton pięcioletni syn Roberta podzielał niewolę z ojcem; nauczyciel jego wydobywszy go z zamku udał się do ościennych monarchów szukając pomocy dla królewskiego potomka. Przyjął go Ludwik i do księztwa Normandyi przywrócić postanowił. Ztąd wysnuła się wojna na pozór dość groźna, gdyż hrabiowie Flandryi i Andegawii niepokojeni potęgą Anglo-Normandów przyłączyli się do króla Ludwika. Cztery lata rozlegał się szczęk oręża po całéj Normandyi, zdobywano zamki i znowu je tracono, ścierali się pojedynczo rycerze, lub tłumne odbywali gonitwy, kończące się pospolicie na zajęciu tu i owdzie rycerza do niewoli, za którego stosowny okup wpływał do kassy zwycięzcy. Przyszło wreszcie do walnéj bitwy pod Brenneville (1119). Ludwik na czele czterechset jeźdźców niespodzianie napadnięty przez Henryka w pięćset koni, starł się z nim walecznie; obadwa królowie byli w niebezpieczeństwie, obadwa wyszli z niego dość szczęśliwie; Ludwik jednak przegrał bitwę zostawiwszy stu czterdziestu rycerzy w ręku nieprzyjaciół. Nie była to przecież zbyt krwawa bitwa, za świadectwem spółczesnych kronikarzy, trzech tylko ludzi z obudwóch stron poległo. Ludwik, za namową Montforta, uzbroił lud przeciw Normandom i rozniósł pożogę w dziedzinie swojego wazalla. Już wojna zaczęła przybierać postać zwyczajnego rozboju, gdy za staraniem papieża

stanęła ugoda w Gisors. Zwrócono sobie wzajemnie jeńców i zdobyte zamki, Wilhelm Atheling, starszy syn króla angielskiego, wykonał przysięgę lenniczą Ludwikowi, ten zaś zobowiązał się nie popierać praw Clitona.

Henryk śpieszył z powrotem do Anglii; już miał siadać na okręt w Barfleur, gdy wtém zjawił się niejaki Thomas, właściciel statku Blanche – Nef, którego ojciec przewoził do Anglii Henryka zdobywcę, i on o ten sam zaszczyt upraszał króla. Henryk powierzył mu swoję familią, i łódź wśród okrzyków radości puściła się na morze. Henryk kazał rozdać majtkom trzy miary wina, wszyscy podochocili sobie nad miarę, a osobliwie też kierujący styrem Thomas. Majtkowie silnie jęli się wioseł by wyprzedzić statek królewski, lecz sternik chwiejący się przy rudlu skierował łodź na skałę przypływem morza zakrytą. Silne uderzenie strzaskało bok łodzi; starszy syn króla

ratuje się do małéj barki, cała osada ciśnie się za nim i czółno wraz z niemi niknie w morskiéj toni. Jeden tylko rycerz i rze-

żnik z Rouen przyczepili się do masztu, gdy wtém Thomas wytknąwszy głowę nad powierzchnią wody zapytał się: »Gdzie jest syn królewski: zginął z innemi odpowiedzieli; sternik zanurzył się w przepaści. Wkrótce i rycerz osłabiony puścił maszt, pozostał więc jeden tylko rzeźnik, by dał znać o całém wydarzeniu.

W pierwszych dniach nikt nie śmiał przemówić do króla, w końcu posłano dziecię, które mu całą rzecz objawiło. Henryk padł prawie bez zmysłów; z całéj tak licznéj familii jedna tylko pozostała córka, Matylda, zaślubiona cesarzowi Henrykowi V. Przez długi czas król Anglii nosił żałobę i odtąd nigdy uśmiech nie postał na ustach jego.

To smutne zdarzenie pchnęło Clitona i Ludwika grubego na pole nowych zabiegów, łudząc ich pomyślniejszego wypadku nadzieją; Henryk wszakże zniweczył ich zamachy, a wypłacając się wzajemnością królowi Francyi sprowadził mu na kark zięcia swojego, Henryka V. Z potężnemi rycerstwa zastępy wtargnął cesarz niemiecki do Szampanii, lecz niespodzianie dalszy pochod wstrzymać musiał. Na głos Ludwika, przychylnością duchowieństwa wspartego, zebrał się lud pod chorągwią opactwa Ś. Dyonizego i śmiało przeciw niemieckim hufcom wystąpił. Sześćdziesiąt tysięcy stanęło z obwodu Reims i Chalons, drugie tyle wystawił obwód Laon i Soissons, hrabia Flandryi przybył na czele dziesięciu tysięcy swojego rycerstwa, król zaś postępował z potężném wojskiem Paryżanów i Orleańczyków. Tak silną armią ujrzawszy Henryk V pod murami Reims, cofnął się spokojnie, a król angielski opuszczony, zawrzéć musiał pokój (1125), w którym znowu Wilhelm Cliton nic nie uzyskał. Nie długo wszakże hrabstwo flandryjskie pozbawione swojego pana dał mu Ludwik, i w tém hrabstwie Cliton, w czasie miejskich zamieszek zraniwszy sobie rękę, życia dokonał (1128).

Waleczność i niezmordowana czynność Ludwika rozniosła sławę jego szeroko po świecie, i niezwykłym urokiem potęgi otoczyła imię króla Francyi. Wielu ważnych przedsięwzięć dokonał on za pośrednictwem ludu, który się w miastach koron-

nych na głos swojego monarchy przeciw nieuległym wazallom zbierał. Tu jest początek tworzenia się gmin w miastach Francyi (communes). Na czele ich Ludwik gruby skruszył potęgę i położył tamę łupieztwu Rochefortów, srogości posiadaczów Coucy, nieuległości zuchwałéj panów Puisetu, Montmorency i Corbeil. Bez pomocy gmin miejskich nie potrafiłby stawić czoła śmiałym zdobywcom Anglii i Obojga Sycylij: co większa, gdyby nie waleczność gmin, Normandowie byliby i Francyą między swoje zdobycze policzyli. Pod chorągwią opactwa Ś. Dyonizego zebrany lud wywalczył spokojność publiczną w całéj krainie między Oazą i Ligierą. Pośród rozległych posiadłości swoich wazallów cóżby zdziałał król małéj krainy, gdyby nie miał po sobie miast i duchowieństwa? Silna była podówczas feodalność, liczyła wielu znakomitych ludzi, a przynajmniéj odznaczających się męztwem, energią i bogactwy. Cóż znaczył Filip I, a nawet i Ludwik VI, otyły, blady, pomiędzy *czerwonymi* Wilhelmem angielskim i normandzkim, Robertem flandryjskim; zamożnym Raymondem z Tuluzy, Wilhelmem z Poitiers, Fulkiem andegaweńskim, a nakoniec Gottfriedem lotaryńskim? Cóż mógł zastawić przeciw takiéj sławie i potędze? nic wielkiego zdaje się: czego ani widzieć, ani dotknąć się nie można... to jest prawo; starożytne prawo, odświeżone przez Karola W. na nowo opiewane w poematach, które się teraz właśnie pojawiać zaczynają. W obliczu prawa królewskiego, prawo feodalne zdaje się być przywłaszczeniem. Wszelka lenność bez dziedzica wraca do króla. Jakież to piękne stanowisko monarchy, iluż mu jednało przyjaciół. Boć trzeba było starać się o względy tego, który miał do rozdawania lennictwa.

Krucyata stała się szczęściem króla. Już to niesłychany zysk odziedziczenie zamku Montlhéry, to jest ubezpieczenie drogi z Paryża do Orleanu; korzystniejszą atoli była królowi nieobecność wielu możnych a nieuległych baronów. Bo gdy ci gonili po świecie za rycerskiemi przygodami, trwoniąc włości i dostatki; król tymczasem wzrastał w potęgę, utwierdzał władzę swoję. Nadewszystko sąsiedztwo z Normandami, groźne w ka-

żdym momencie dla króla, jednało mu przychylność duchowieństwa i miast środkowéj Francyi; chociaż drobne królestwo nie mogłoby stawić czoła zdobywcom, gdyby go nie wspierała silnie zawiść Flandryi i Andegawii. Hrabia andegaweński na prośbę swoję otrzymał godność cześnika (sénéchal) królewskiego, przez co w ściślejszy wchodził związek z królem przeciw Normandom. W gruncie rzeczy Normandya była w Anglii, bo tam jéj władcy nieprzerwane mieli zajęcie, dla tego przeciw królowi Francyi małą tylko cząstkę swojéj siły wystawiali, nieodnosząc tém samém żadnych stanowczych korzyści.

Świetniejsze jeszcze poniekąd były wyprawy króla Ludwika na południe Francyi. Wybierając się na wojnę krzyżową hrabia Bourges sprzedał królowi hrabstwo swoje. Posiadłość od granic królestwa kilką mniéj więcéj nieprzyjaznemi ziemiami oddzielona, ważną się nader okazała, gdy pan hrabstwa Bourbonnais wezwał pomocy króla, przeciw roszczeniom brata swojego poprzednika. Ludwik wyruszył z wojskiem (1115) i silną wsparł go ręką. Późniéj po dwakroć odbył pewny rodzaj krzyżowéj wyprawy na południe w obronie biskupa klermontskiego przeciw hrabiemu Owernii. Wielcy wazalle północni, hrabiowie Flandryi, Bretanii, Andegawii, wraz z wielą normandzkiemi baronami, dobrowolnie towarzyszyli królowi, ciesząc się niesłychanie z uczestnictwa w wyprawie południowéj. W kilka lat późniéj biskup z Puy-en-Velay żądał od króla zatwierdzenia, przywodząc za powód nieobecność swojego pana, hrabiego Tuluzy, będącego podówczas w ziemi świętéj.

Tym sposobem po pierwszéj krucyacie powstał król Francyi na czele ludu. Król i lud postępował pod chorągwią opactwa Ś. Dyonizego. *Mont-joie Saint-Denis* było hasło Francyi (*), Saint-Denis i duchowieństwo, Paryż i monarchia, oto punkt

(*) Skoro królowie Francyi odzyskali od Normandów Vexin, lenność opactwa Ś. Dyonizego, chorągiew tegoż opactwa stała się chorągwią królewską, była to sławna *Oriflamme*, którą niegdyś w bitwach przy boku królewskim noszono.

środkowy, w którym się objawiło życie Francyi, a główną i najpierwszą tego życia oznaką był popęd naukowy, silny głos Abelarda.

Dawno już wzniosły się teologiczne szkoły przy katedrach biskupich, naprzód w Reims i Poitiers, następnie w Bec, Mans, Auxerre, Laon i Leodyum. W Orleanie i Angers wykładano naukę prawa. Otwarte w Béziers, Lunel i Marsylii szkoły żydowskie, nie małéj nabyły słynności. Pełni nauki rabini uczyli w Carcassonne, i pod opieką hrabiego Szampanii w Troyes i Vitry, nawet w królewskiém mieście Orleanie. Oświecenie przeto, choć zwolna, coraz jednak widoczniéj rozjaśniało średniowieczną pomrokę. Pisarzy dziejów nie braknie, przerwy w ich następstwie zaledwie dostrzegać się dają. Pominąwszy Ottona de Freisingen wielbiciela wielkich cesarzów z familii Saskiéj, Normandowie włoscy i francuzcy mieli także znakomitych kronikarzy Wilhelma Malaterra, Wilhelma de Jumièges i Wilhelma z Poitiers kapelana zdobywcy Anglii. Francya właściwa miała Raoul Glabera, a pośród mnóstwa dziejopisów krucyat, celują nad innych wymowny Guibert de Nogent, i Raymond d'Agiles. Głów myślących, filozoficznych szereg przerwany na Janie Szkocie, rozpoczyna na nowo Gerbert, nauczyciel w Reims, a późniéj papież. Uczniem jego był Fulbert z Chartres, nauczyciel Berengaryusza z Tours. Ten ostatni nauką o Eucharystyi zakłócił na chwilę spokojność kościoła; ważniejszym następstwom zapobiegł Grzegorz VII zakazując sporów z Berengaryuszem, aby od ważniejszych spraw toczących się wówczas nie odwracać umysłów. Tym sposobem nauka Berengaryusza, jak wielu podobnych jemu, poszła w zapomnienie. Silniéj daleko wstrząsnął szkolną filozofią czasów owych Jan Roscelin kanonik z Compiègne, twórca nominalistów, którzy w czternastym wieku dzielnego znaleźli obrońcę w Wilhelmie Occam zakonniku franciszkańskim i zwolna w piętnastym wieku rozszerzyli się po uniwersytetach Niemiec i Francyi.

Dwaj arcybiskupi kantuaryjscy, Lanfranc i Ś. Anzelm, wstąpili w szranki dyalektyczne z Berengaryuszem i Roscelinem,

lecz był to tylko wstęp do ważniejszych zapasów, gdy sprawy polityczne ustąpiły miejsca dysputom filozoficznym i moralnym. Była chwila, w któréj głęboka cisza zdawała się panować w dziedzinie nauk. Anzelm z Laon i Wilhelm z Champeaux, uczniowie Ś. Anzelma kantuaryjskiego słynęli nauką, pierwszy w szkole w Laon, drugi w Paryżu. Już wtedy ruch umysłowy zaczął się objawiać. Ogłoszono tłumaczenie Biblii na język pospolity; wydano przekład instytucyj rzymskich; nazwisko uniwersytetu zaczęło się upowszechniać w Paryżu; stolica Francyi powoli stawała się ogniskiem oświecenia, punktem środkowym około którego stłaczała się feodalność: słowem Paryż począł być stolicą politycznéj i naukowéj władzy.

Zmiany téj pierwszym początkiem był człowiek młody, przystojny, miły, szlachetnego rodu Bretonów. Nikt nad niego nie opiewał miłości piękniejszym wierszem w języku pospolitym. Do tego łączył niesłychaną w wiekach owych massę wiadomości; on jeden umiał po grecku i po hebrajsku. Dwie w téj epoce były szkoły główne w Paryżu: dawna szkoła biskupia w gmachach katedry Najświętszéj Panny, i druga u Ś. Genowefy; ta ostatnia słynęła nauką Wilhelma z Champeaux. Abelard, ów młody człowiek, zasiadł na ławce między uczniami Wilhelma. Sławny niepospolitém oświeceniem i dyalektyczną subtelnością nauczyciel zamilkł na dowcipne wybiegi ucznia. Chciał on broni swojéj doświadczyć i w Laon, lecz Anzelm, professor, a zarazem biskup, wygnał go ze swojéj dyecezyi. Tak więc błędny rycerz dyalektyki wędrował z miejsca na miejsce wyzywając w szranki najsłynniejszych mistrzów. Sam o sobie mawiał, iż zrzekł się turniejów, przez szczególne upodobanie w dyalektyczném szermierstwie. Zwycięzca wszędy, wolny od spółzawodnika, założył katedrę w Paryżu i w Melun, gdzie zwykle przebywał Ludwik gruby, dokąd się tłumnie feodalni zbierali panowie. Rycerze podżegali zuchwałego mistrza, w mniemaniu, że sława człowieka ich rodu, i na nich spływać będzie.

Łatwo bardzo wykryć powody zdumiewającego powodzenia Abelarda. On pierwszy oswobodził naukę z grubéj powłoki

średniowiecznéj łaciny, i przedstawił ją w całéj wytworności pospolitéj mowy. W wykładzie jego szczególniejsza zachwycała prostota, jasność i równa i dla wszystkich przystępność. Nic nie mieszało przyjemnego rozprawiacza, wszystko dla niego było łatwém, dowcipnie w najtrudniejszych wywijał się zadaniach. Tak giętka filozofia szybko się rozszerzała; za jednym skokiem dostała się za morze, przekroczyła Alpy, wcisnęła się do wszystkich stanów. Była to wszakże niebezpieczna nauka, równie dla religii jak dla moralności; Abelard zaślepiony tryumfami posunął się do wniosków śmiesznych i niedorzecznych, które na nieszczęście w sposobie życia swojego udowodnić pokusił się. Powodzenie jego doszło wreszcie stopnia wygórowania, w którym człowiek zaślepiony w wielkie wpada błędy. Wszystko mu się udawało: najznakomitsi uczeni zamilkli w obecności jego; kobiety miłosne rzucały spojrzenia na człowieka młodego, miłego, nadobnéj twarzy i potężnego umysłu. »Do tego doszedłem, sam mówi o sobie, że jakąkolwiek kobietę zaszczyciłbym moją miłością, mogłem być pewny że jéj nie odrzuci.« Jedna wszakże szczęśliwszą była w tym względzie nad inne.

Heloiza, synowica kanonika Fulberta, młoda, piękna, znakomitém ukształceniem słynna, uległa zwodniczym oświadczeniom Abelarda, którego jéj stryj za nauczyciela nadał. Zatarte już we Francyi ślady średnich wieków, lepiéj tam zapewne znają bogów Grecyi i Rzymu, niż świętych swojego narodu, przecież pamiątka Heloizy tkwi jeszcze w umysłach ludu; miły pomnik grobowy (*), który łączy dwoje małżonków, odwiedzają dotąd z takiém zajęciem, jakby wczoraj dopiero był postawiony.

Upadek Abelarda, jak z jednéj strony wzniósł godność Heloizy, słynném i niesłychanie popularném zrobił jéj imię, tak z drugiéj strony był niemal głównem źródłem jego nieszczęść. Nie tu jest miejsce przedstawiać szlachetne uczucia Heloizy, ani malować prawdziwie heroiczne poświęcenia się dla ubóstwia-

(*) W Paryżu na cmentarzu wschodnim.

nego przedmiotu; tém bardziéj że pewszechnie znany jest ten ideał godności kobiecéj, obok zimnego wyrachowania dyalektyka, obojętnego, że nie powiem, nikczemnego, zwodziciela. Cóżkolwiek bądź, małżonek Heloizy srogą odcierpiał pokutę za błędy swoje.

Wchodząc w związki małżeńskie z Heloizą, zastrzegł sobie Abelard tajemnice tego szlubu, ile się zdaje nawet, zgodne to było z życzeniem jego małżonki, lecz nie zaspakajało familii troskliwéj o honor swojéj krewnéj, zaczęto więc głosić wszędzie związki Abelarda. Heloiza śmiało zaprzeczyła wieściom, nie zważając na prześladowanie familii. Abelard, dla ochronienia jéj od przykrego obejścia się krewnych, umieścił ją w klasztorze w Argenteuil; to właśnie dało powód do okrutnéj zemsty wywartéj na Abelardzie. Pozbawiony męzkości i zdrowia, cofnął się od świata i przyjął regułę Ś. Benedykta w Saint-Denis (1119), Heloiza została zakonnicą w Argenteuil. Nie znalazł Abelard pokoju w nowém ustroniu. Na soborze w Soissons potępiony, spalił własną ręką pisma swoje i zamknięty został w klasztorze Ś. Medarda w Soissons. Ztąd powrócił do Saint-Denis, lecz powtórnie uchodzić musiał, obraziwszy na siebie nie tylko zakonników, ale nawet i dwór którego opieką dotąd się zaszczycał. Schronił się więc na ziemię hrabiego Szampanii i tu, zubożały, w pustyni niedaleko Nogent, wystawił sobie szałas z trzciny, nazwawszy swoję pustelnią *pocieszycielem* (Le Consolateur, albo Le Paraclet). Mnóstwo uczniów zbiegło się do nowego schronienia Abelarda, pobudowali sobie obok niego szałasy i wnet na puszczy powstało miasto nauki. Abelard musiał otworzyć katedrę, którą jednak wkrótce upuścił zmuszony przyjąć obowiązki przeora klasztoru bretońskiego. I tu prześladowany, błąkał się z miejsca na miejsce, w końcu zażądał spotkania się w rozprawie teologicznéj ze świętym Bernardem, którego świątobliwe życie nie dawało spoczynku zuchwałemu dyalektycznemu szermierzowi.

Nieograniczony, prawie niepojęty wpływ, nie tylko na duchowieństwo francuzkie, ale niemal na cały kościół wywierał

wówczas opat z Clairvaux, Ś. Bernard: równie szlachetnego rodu jak Abelard, pochodził z wyższéj Burgundyi, ojczyzny Bossueta i Buffona. Wychowaniec klasztoru Citeaux, spółzawodnika kluniackiego, uważał go zbyt świetnym i bogatym dla siebie, dla tego przeszedł do ubogiéj Szampanii i w dolinie piołunowéj (vallée d'Absinthe) założył klasztor Clairvaux. Tu mógł prowadzić życie umartwione, za którém wzdychał, od którego nic go oderwać nie potrafiło. Mógł był zostać arcybiskupem, papieżem nawet; nie zdawało mu się wszakże aby mógł być czém inszém, nie prostym zakonnikiem. Zmuszony odpowiadać królom, którzy u niego rady zasięgali, stał się potężnym mimo woli, rządził Europą mimo wiedzy. Za jednym listem świętego Bernarda armia króla francuzkiego opuściła Szampanią. Jego wdanie się utrzymało Innocentego II na stolicy apostolskiéj. Udzielał on się światu, ale mu się nie oddawał. Po dziesięć wierszy pisał do władców państw, po dziesięć kart do ubogiego zakonnika. Człowiek życia wewnętrznego, modlitwy i poświęcenia się, wśród zgiełku świata umiał być samotnym, odosobnionym. Od ciągłych umartwień ciała ledwie się mógł utrzymać na nogach, a przecież dość miał siły głosić krucyatę stu tysiącom ludzi. Podobniejszy do ducha jak do człowieka, gdy stanął przed zebranym tłumem, z siwą brodą, siwémi włosami, słaby, wyschły, zaledwie iskrę życia na licach wskazujący, z delikatną i prawie przezroczystą cerą. Lecz kazania jego aż do głębi duszy przenikały; matki przed głosem jego chroniły synów, żony mężów: wszyscyby za nim do klasztorów poszli. On zaś wionąwszy dech życia na tę tłuszczę, wracał do Clairvaux i w pustelni z chrostu i liści wystawionéj, w pokoju duszy rozważał pismo święte.

Łatwo sobie wystawić z jaką boleścią serca spoglądać musiał mąż święty na powodzenie Abelarda. Ś. Bernard nie był dyalektykiem mogącym się śmiało mierzyć z wyćwiczonym w dowcipnych zwrotach spółzawodnikiem, przecież na wyzwanie Abelarda stanął, choć ze wstrętem, na soborze w Sens. Król, hrabiowie Szampanii i Nevers, mnóstwo biskupów miało

sądzić zdania dwóch mistrzów. Abelard widokiem świętego męża zmieszany nie śmiał się bronić i odwołał się tylko do sądu papieża. Ojciec święty nienawidził Abelarda w uczniu jego Arnaldo di Brescia, który przebiegał Włochy podburzając miasta. Z ucznia wnosząc o mistrzu, kazał go zamknąć w klasztorze. Uprzedził wyrok Abelard, schroniwszy się do Cluny, gdzie zaszczycony względami opata Piotra czcigodnego (venerabilis) we dwa lata życia dokonał (1142) (*).

Wskrzesiciel filozofii średnich wieków, następca Pelagiusza, poprzednik Descarta, bretończyk jak i ci dwaj, zdawał się nam godnym obszerniejszego przedstawienia. Ważną on nader epokę w dziejach Francyi zaczyna. Nie żeby miał utworzyć nowe zasady filozofii, lub znane uporządkować i w lepszém świetle wystawić; lecz że wstrząsnąwszy formami szkolnéj filozofii, pchnął świat na drogę głębszéj rozwagi, a tém samém wzrost oświecenia zapewnił.

Nowe, w następstwach swoich niemniéj ważne zjawisko przedstawia Bretończyk, Robert d'Arbrissel, mąż świątobliwego życia i prawdziwie chrześciańskiego poświęcenia. Żarliwe kazania zgromadziły około niego mnóstwo uczniów obojéj płci: dla tych, a osobliwia dla kobiet, zbudował i urządził (około 1100) klasztor pustelniczy w lesie Fontevrault, który wkrótce stanął na czele zakonu szybko we Francyi rozkrzewionego. Robert szczególniéj zajmował się wielkiemi grzesznicami, w najohydniejszych miejscach głosił nieprzebrane miłosierdzie bozkie, jawnogrzesznice skłaniał do pokuty i zwracał je na łono Zbawiciela świata. Łaska nieograniczona sprowadziła nieznacznie nowy

---

(*) Według innych miał umrzéć w Saint Marcel, niedaleko Chalons-sur-Saone, mając lat 63. Heloiza podówczas ksieni klasztoru Paraclet, urządzonego dla niéj przez Abelarda, sprowadziła tamże ciało jego, kazawszy i dla siebie grób obok niego zbudować. W roku 1808 popioły ich sprowadzone zostały do Paryża i w Muzeum francuzkich pomników umieszczone; w roku zaś 1817 złożone w osóbnéj kaplicy na cmentarzu Monamy.

popęd religijny. Kościół lugduński z wielką uroczystością obchodził (1134) Niepokalane poczęcie, wznosząc ideał czystości macierzyńskiéj.

Za danym więc przez Roberta popędem, kobieta, niewolnica na wschodzie, zamknięta u Greków w osobnym zakącie domu, przywrócona do praw swoich przez Chrystusa Pana, w dwunastym wieku stanęła w równi z mężczyzną. Tu widzimy ją wdającą się w sprawy państwa, kierującą interessami wielkiéj wagi. Bertrada Monfort przewodzi zarazem i nad pierwszym swoim małżonkiem Fulkiem andegaweńskim, i nad drugim Filipem, królem Francyi. Ludwik VII datuje swoje akta od koronacyi królowéj Adeli. Kobiety zostawszy sędziami zapasów rymotworczych i turniejów miłosnych, wraz z mężami zasiadły do rozpoznawania spraw najważniejszych. Prawo spadkobierstwa, zaprzeczone przez feodalność, przyznane im zostało w pierwszéj połowie dwunastego wieku. Dziedzictwo otwarte dla nich zostało w Anglii, Kastylii, Aragonii, Burgundyi, Flandryi, Akwitanii, Prowancyi, niższéj Langwedocyi, Hainaut i Vermandois. Tym sposobem za wygaśnięciem potomków męzkich wnoszą udzielne wszechwładztwa do obcych familij, mieszają świat, ułatwiają skupianie się narodów, przygotowywują centralizacyą wielkich państw.

Ze wszystkich domów królewskich, jedyna prawie rodzina Kapetów nie uznała praw kobiet; zabezpieczyła się przez to od zmian powstających z przenoszenia krajów od jednéj dynastyi do drugiéj. Familia Kapetów przyjmowała, nic w zamian nie dając. Królowe obce przybywały, pierwiastek żeński zmieniał się, męzki zawsze pozostał ten sam, a z nim jedność ducha, ciągłość nieprzerwana podań. Ta niewzruszona stałość dynastyi, najwięcéj zapewne przyłożyła się do otrzymania jedności narodu tyle skłonnego do częstych przemian.

ROZDZIAŁ VI.

LUDWIK VII. — DRUGA WYPRAWA KRZYŻOWA.

Ludwik VI w młodości swojéj *rzeźwym* albo *bitnym* (L'Eveillé, le Batailleur), przy schyłku lat, dla otyłości, *grubym* zwany, już kończył pięćdziesiąty pierwszy rok życia, a Kapetowie, jak mówi jeden z dziejopisów, prędko się starzeli; kazał więc czternastoletniego syna swojego Filipa namaścić w Reims (1129). Lecz we dwa lata późniéj młody Filip jadąc ciasną uliczką w blizkości Greve, spadł z konia, którego spłoszył nagle wybiegły wieprz, rozbił się o kamień narożny i tegoż wieczoru życia dokonał. Ten smutny przypadek mocno uczuł Ludwik, dopiero w rok późniéj pocieszyły go nieco radosne okrzyki ludu, gdy papież Innocenty namaścił drugiego syna, Ludwika VII.

Słabowitego ciała i umysłu młody Ludwik, przyszły następca króla, łagodnością swoją i pobożnością czynił otuchę szczęśliwego panowania. Wkrótce szczególnym trafem zwrócił uwagę na siebie. W Betisy, niedaleko Compiègne, Ludwik gruby przyjął posłów akwitańskich. Wilhelm książę Akwitanii wybierając się na pielgrzymkę do Kompostelli wszystkie posiadłości swoje przekazał córce Eleonorze, z warunkiem, że zaślubi syna króla francuzkiego; deputowani z tą wiadomością przybywszy, donieśli zarazem królowi, że książę ich umarł w drodze. Wilhelm potężnym był panem, wpływy jego rozciągały się na cały pas ziemi francuzkiéj po za Ligierą sięgając nawet za Pirenee. Gdy Ludwik gruby z Henrykiem angielskim ścierali się w mało znaczących utarczkach, staczali bitwy ze stratą trzech ludzi, wtedy książę akwitański wiódł posiłki aragońskiemu królowi, krwawe z Saracenami zwodził harce, w których po piętnaście tysięcy poległych liczono, jak w bitwie pod Cotence (1120). Dla tego też niewymowna była radość na dworze Ludwika, na głos tak szczęsnego połączenia, które podwajało siły Francyi, stawiąc

ją w możności zmierzenia się z potęgą anglo-normandzką. Młody król pospieszył czémprędzéj po swoją małżonkę i objął rozległą jéj dziedzinę. Wracał ztamtąd już królem Francyi, ojciec bowiem w tym czasie życia dokonał (1137).

Jak najśpieszniéj chciał król stanąć w Paryżu, gdy go rozruch ludu w Orleanie zatrzymał. Mieszkańcy tego miasta utworzyli gminę (commune), pewny rodzaj miejskiego stowarzyszenia, w którém członkowie obowiązywali się do wzajemnéj obrony; był to właściwy zaród średniego stanu (tiers-état). Pierwszy pomysł i urządzenie gmin przypisywano Ludwikowi grubemu, tymczasem syn jego, świadomy zapewne zamiarów ojca, temiż samemi otoczony doradcami, zniósł gminę orleańską i przywodców jéj haniebną śmiercią pokarał. Podobniejszy przeto do prawdy zdaje się wniosek, że gminy rzeczone zwolna i nieznacznie się zawiązywały i kształciły, a to już żadnéj nie podpada wątpliwości, że ich pomocą wsparta monarchia wzrosła w potęgę i górę wzięła nad roszczeniami zuchwałéj feodalności.

Bezpośredni wazallowie lekce ważąc ośmnastoletniego monarchę mniemali, iż się z łatwością z pod jego władzy wyłamać potrafią; wnet atoli poskromieni w karby posłuszeństwa wrócili. Następnie udał się młody król na południe, hrabstwo Aunis zmusił do uznania władzy swojéj, załatwił spór hrabiego Angoulème z jego wazallami, i postanowił utwierdzić powagę tronu w południowych prowincyach. W tym celu obległ Tuluzę. Śmiały to był postępek, lecz zawczesny, dla tego się nie powiódł. Lennicy jego północni przerażeni nagłym wzrostem władzy królewskiéj, silnéj przy ich pomocy, słabéj bez nich, odstąpili krola, który tém samém poprzestać musiał na czczéj formie hołdu lenniczego, jaki mu wykonał hrabia Tuluzy.

Dziwne zjawisko przedstawiają nam dzieje Francyi z téj epoki; w czasie najzaciętszych sporów stolicy apostolskiéj z cesarzami niemieckiemi o prawo inwestytury, królowie Francyi wykonywali je dowolnie, nie tylko bez najmniejszego zaprzeczenia, ale nawet z pewnym rodzajem delikatnéj względności ze strony Rzymu. To pobłażanie pobożnością jedynie i świą-

tobliwością życia monarchów francuzkich dające się usprawiedliwić, o mało niespowodowało zatargów niemieckim podobnych. Innocenty II, osadził na katedrze arcybiskupiéj w Bourges (1141), metropolii akwitańskiéj, synowca swojego La Châtre; król widząc, że Ś. Bernard i Piotr czcigodny nie pochwalali tego wyboru, przysiągł, iż póki żyć będzie, nie dopuści aby La Châtre stolicę arcybiskupią zajmował. Hrabia Szampanii stanął w obronie nowego arcybiskupa, król włości hrabiego ogniem i mieczem spustoszył. W czasie tego zajazdu, gdy pożar ogarnął miasteczko Vitry, tysiąc trzysta mieszkańców unosząc życie przed pożogą schronili się do głównéj świątyni; tymczasem płomienie dosięgły tego przytułku nieszczęśliwych, król usłyszawszy jęk ludu, chciał koniecznie pośpieszyć mu z pomocą, lecz usiłowania jego były bezskuteczne. Ten straszny wypadek skruszył serce króla i spowodował zgodę jego z papieżem.

Odtąd nie miał król spokojnéj chwili: to pożar kościoła stawał mu przed oczyma, to go dręczyły skrupuły, że przysiągł nierozważnie, i że przysięgi nie dokonał; dla ulgi przeto stroskanego umysłu przyjął udział w wyprawie krzyżowéj, którą Ś. Bernard ogłosił w Vezelay (1145), tém bardziéj, że sądził się obowiązanym do spełnienia szlubu, jaki w tym względzie starszy brat jego przed śmiercią uczynił.

Jerozolima już była w wielkiém niebezpieczeństwie: mała garsztka rycerstwa na obronę grobu świętego zostawiona uległa przewadze Muzułmanów, którzy nowemi co chwila rojami do boju występowali. Prawda, że kiedy niekiedy przybywały do ziemi świętéj drobne oddziały pobożnego ludu i rycerstwa, lecz i przy tych szczupłych posiłkach nieustanne harce łamały siłę rycerstwa. W ciągu ośmnastoletniego panowania Baldwina rzadko minął dzień, w którymby żałobny dźwięk dzwonu trwogi nie dawał znać o zbliżających się Saracenach do bram świętego miasta. Odleglejsze stanowiska Edessy, Antyochii i Trypolis jeszcze bardziéj narażone były. Nureddin, sułtan Alepu, napadł Edessę (1144) i jednéj nocy w pień wyciął chrześcian.

Ta klęska wzruszyła chrześcian zachodnich, hasło nowéj wyprawy krzyżowéj rozlegało się po wszystkich zakątach Europy.

Ta druga wyprawa jakżeż odmienny od pierwszéj przedstawia nam obraz! Słabe to już odbicie owego ducha bogobojności, owego zapału religijnego, który niegdyś poruszał wszystkich bez rożnicy stanu i urodzenia. Suger, opat świętego Dyonizego, niegdyś nauczyciel króla, a teraz poufny jego doradca, wszelkiemi siłami chciał króla wstrzymać od wyprawy, byłby może swojego dokazał, gdyby snujący się przed oczyma widok płomieni kościoła Vitry nie był silniejszą pobudką. Do poruszenia cesarza Konrada trzeba było całéj żarliwości, całéj siły wymowy Ś. Bernarda. Zdaje się że spółcześni sami się łudzili wykazywaniem potęgi téj wyprawy (*). Najpodobniejsza do prawdy, że obiedwie armie nie przechodziły liczby dwóchkroć stu tysięcy ludzi zbrojnych, prócz tłumu pielgrzymów, którzy pod zasłoną siły zbrojnéj tém pewniéj grób święty uczcić spodziewali się.

Lubo cesarz Konrad z liczném wojskiem Niemców wybrał się na wojnę świętą, przecież wielu jego lenników z królem Francyi się połączyło, jako to: biskupi z Toul i Metz, hrabiowie Monferatu i Sabaudyi i wszyscy prawie pąnowie królestwa Arelatu. Między wazallami króla postępowali hrabiowie Tuluzy, Flandryi, Blois, Nevers, Dreux, panowie Bourbon, Coucy, Lusignon, Courtenay, i mnóstwo innych. Obecność królowéj Eleonory zdawała się być potrzebną dla utrzymania w posłuszeństwie gaskońskich rycerzy, lecz jéj przykład pobudził nie mało kobiet do przywdziania zbroi i towarzyszenia rycerzom krzyżowym. Naczelniczkę, którą sobie obrały, kronikarze zowią *damą w złotych trzewikach*.

(*) Jeden z kronikarzy nowoczesnych powiada: że za świadectwem kilku krzyżaków, każda z dwóch armij liczyła po siedmdziesiąt tysięcy kiryśników, prócz piechoty i lekkiéj jazdy. Inny daléj jeszcze ten rachunek posuwa, utrzymując, iż słyszał od Greków, że krzyżacy przeszli do Azyi w liczbie dziewięciukroć stu tysięcy pięciu set sześćdziesięciu sześciu.

Król sycylijski doradzał przeprawę morską, jako najbliższą i najdogodniejszą, lecz drogę przez Węgry i Konstantynopol pierwsza już wyprawa uświęciła. Tą drogą udał się Konrad, a przebywszy Hellespont rzucił się w góry frygijskie. Król francuzki rok cały strawił na przygotowaniach: i on, i jego rycerze wszystko zmieniali na brzęczącą monetę, dla tego włości i zamki spadły w cenie, zbroje i oręż nadzwyczaj zdrożały. Nie jeden rycerz wartością swojéj dziedziny ledwie był w stanie zbroję opłacić. Duchowieństwo także na tę wyprawę nie mały złożyło podatek. Wreszcie w sam dzień zielonych świątek (1147) Ludwik młodszy opuścił Paryż. Stu tysiącom zbrojnego ludu towarzyszyło niezliczone mnóstwo kobiet, służalców i pielgrzymów, których jedynym celem było cześć oddać miejscom świętym pod tarczą rycerstwa. Już od pierwszéj wyprawy francuzcy panowie oswojeni byli z myślą obalenia państwa wschodniego, gdy więc cesarz grecki domagał się od nich lenniczéj przysięgi z krajów zdobyć się mających, niektórzy z rycerstwa popierać zaczęli dawny Normandczyków wniosek. »Na nieszczęście nasze, mówi dziejopis téj wyprawy, wniosek ten nie utrzymał się.« Jak niegdyś Gottfried, tak teraz Ludwik był mu przeciwny. Przebywszy Bosfor król Francyi powziął wiadomość na jakie trudy i niebezpieczeństwa naraził się Konrad w obranéj przez siebie drodze, dla tego brzegów morza Azyi mniejszéj pilnować się postanowił. Dogodna to była droga, lecz dla swoich zakrętów zbyt nudna dla francuzkich wojowników; znaglony ich szemraniem puścił się Ludwik w głąb kraju i wnet ujrzał się obskoczony rojami lekkiéj Turkomanów jazdy. Wychodząc z Laodycei przednią straż poruczył król niejakiemu Gottfriedowi Rançon baronowi z Poitou. Ten ku schyłkowi dnia wdarłszy się na szczyt dość przykréj góry, ujrzał przed sobą piękną i dla obozu dogodną równinę, do niéj więc na spoczynek zdążał. W téj chwili Turcy opanowali górę i niespodzianie nadciągający korpus Ludwika napadli, łamiąc nieprzygotowane do boju szyki. W tém zamieszaniu król odcięty od swoich, otoczony tłumem Muzułmanów, zeskoczył

z konia i po gałęziach drzewa wdarł się na odłam stromej skały gromiąc nacierających. Pod ciosem królewskiego bułata odpadały ręce pnących się na skałę, pękały głowy, a zbroja jego najeżała się mnóstwem strzał.

W końcu chęć łupów odwiodła wojowników tureckich, opuścili mężnego rycerza nie wiedząc kto nim był, a król tymczasem wśród ciemnej nocy usłyszał przejeżdżających w blizkości skały Francuzów i z nimi dostał się do obozu.

Po krwawych znojach przybyli krzyżaccy rycerze do Satalii nad cypryjską zatoką: ztąd czterdzieści dni drogi lądem mieli

jeszcze do Antyochii; ale brakło im cierpliwości, postanowili puścić się morzem, i żadne przedstawienia zmienić ich zamiaru nie zdołały. Wsiedli więc na greckie okręty, pielgrzymów i chorych poruczywszy opiece hrabiów Flandryi i Bourbon; Ludwik zostawił im wszystkie swoje zapasy. Wkrótce hrabiowie ujrzawszy się zbyt słabémi, opuścili poruczone im stanowisko, a nieszczęśliwi częścią w niewolę grecką, częścią w ręce Turków popadli. Właściwa atoli siła wyprawy polegała na rycerstwie, które z Ludwikiem szczęśliwie dostało się do Antyochii. Mogło ono przeważnie wpływać na losy chrześcian ziemi świętéj, żadnéj przecież nie odniosło korzyści. Raymond z Poitiers najpiękniejszy owego czasu mężczyzna, wuj królowéj Eleonory, był księciem Antyochii. Królowi zdało się, że wuj zbyt wielką uprzejmość okazuje dla swojéj siostrzenicy, nawzajem siostrzenica była więcéj niż grzeczną dla wuja, dla tego Ludwik lękając się złych skutków dla siebie, nagle opuścił Antyochią, zdążając do ziemi świętéj. Tam się połączył z Konradem, ale spółzawodnictwo wodzów i ludów niszczyło najlepsze zamiary, z niczém więc odeszli od oblężenia Damaszku, i ze wstydem wrócili do Europy (1149).

Dumna, a przytém lekkomyślna Eleonora, opuszczając Antyochią oświadczyła, że nie może być żoną krewnego, tém bardziéj że w mężu swoim nie króla, lecz zakonnika uważa. Król ze swojéj strony nie mógł zapomnieć zajścia w Antyochii, za powrotem więc swoim myślił o rozłączeniu się z Eleonorą. Suger, zupełne zaufanie Ludwika posiadający, rządca państwa w czasie nieobecności króla, wszelkiemi siłami sprzeciwiał się zamiarom rozwodu ze względów politycznych. Lecz skoro cnotliwy doradca rozstał się z tym światem (w Styczniu 1152), natychmiast król żądanie swoje oddał pod rozpoznanie synodu w Beaugency, który uznał nieważność małżeństwa. Wraz z Eleonorą pozbył się król rozległych prowincyj, ojczystego jéj dziedzictwa, południowa Francya znowu na niejaki czas oderwała się od północnéj. Dnia 18 Marca 1152 ogłoszony został wyrok sądu duchownego, a w sześć tygodni późniéj Eleonora została

małżonką dziewiętnastoletniego Henryka Plantagenet księcia andegaweńskiego i normandzkiego, a niedługo potém króla Anglii.

Szybko nadzwyczaj wzniosła się rodzina Plantagenetów andegaweńskich. Henryk I, książę normandzki, król Anglii, jedyną córkę swoję Matyldę, wdowę po cesarzu Henryku V, zaślubił Gottfriedowi Plantagenet księciu Andegawii, zapewniwszy jéj następstwo tronu angielskiego. Nie miłe były Ludwikowi VI związki pomnażające potęgę książąt normandzkich, już i tak dla Francyi groźnych; dla tego z radością patrzył na zatargi po śmierci Henryka o następstwo w Anglii wszczęte i jak mógł wikłał sprawy normandzko-angielskie. Gdy Matylda ociągała się z wyprawą do Anglii, Stefan, hrabia buloński, szwagier zmarłego Henryka, stanął czémprędzéj w Londynie; grzecznością i szczodrobliwością ujął sobie lud i panów, syna swojego połączył z siostrą Ludwika młodszego (VII), i nim rok upłynął, już silną ręką dzierżył berło Anglii. Gottfried nie zrzekł się jednak korony, już w roku 1150 wyjednał od Ludwika młodszego przyznanie lennictwa Normandyi synowi swojemu Henrykowi. Sprzyjało to wówczas widokom króla francuzkiego, ścieśniało bowiem władzę Stefana na saméj koronie angielskiéj poprzestać zmuszonego, lecz wypadki następne skrzyżowały zamiary królewskie. Henryk Plantagenet książę normandzki odziedziczył po ojcu księztwo andegaweńskie, hrabstwa Maine i Touraine, wraz z trzynastą innemi posiadłościami, przez zaślubienie zaś Eleonory został księciem Akwitanii i Gaskonii, i hrabią Poitou. We dwa lata późniéj śmierć Stefana otworzyła mu drogę do tronu angielskiego. Conan książę bretański w czasie zawichrzeń wewnętrznych szukając wsparcia, uznał wszechwładztwo Henryka i odstąpił mu hrabstwo Nantes. Teodoryk alsacki udając się do ziemi świętéj, poruczył mu opiekę nad hrabstwem Flandryi. Tym sposobem Henryk Plantagenet król Anglii, książę normandzki, był panem całego pomorza francuzkiego od granic Flandryi począwszy aż do podgórza Pireneów. Tak potężnego państwa na ziemi francuzkiéj nie widziano od epoki ustalonego feodalizmu.

Pierwszy zaród nieprzyjaźnego spółzawodnictwa Francyi z Anglią, znajduje się w połowie jedenastego wieku za Wilhelma zdobywcy; w drugiéj zaś połowie dwunastego wieku wzajemna tych dwóch narodów zawiść najwyższego dosięgła stopnia, za Ludwika młodszego we Francyi, Henryka II w Anglii, i następców ich Filipa Augusta i Ryszarda *lwie serce*. Początek wieku trzynastego był poniekąd chwilą przesilenia, odtąd Francya półtora niemal stulecia (1200—1346) przewagę trzymała. Gdyby losy narodów ściśle od ich wszechwładców zawisły, królowie Anglii bez wątpienia byliby górę wzięli. Od Wilhelma zdobywcy począwszy, do Ryszarda lwie serce, wszyscy bitnymi byli wojownikami; tymczasem zwycięztwo zostało w ręku monarchów spokojnych. Żeby pojąć ten dziwny wypadek, trzeba rozważyć charakter monarchów obudwóch tych narodów, tak, jak się w ogólnym wieków średnich obrazie przedstawia.

Król Francyi zwierzchnik angielskiego, jako księcia Normandyi, spokojnie piastuje nieruchome berło; cichy i w porównaniu ze swoim spółzawodnikiem nic prawie nie znaczący. Wyjąwszy drobne wyprawy Ludwika grubego, i smutną krucyatę Ludwika młodszego (VII), zresztą monarchowie Francyi otuleni swoim paludamentem, królują nad władcami Anglii jako lennikami normandzkiemi, swoimi synami w duchu rycerskich wieków, lecz synami złymi, którzy biją swoich ojców. Potomkowie Wilhelma zdobywcy, bez względu na stopień spowinowacenia, są to ludzie dobréj tuszy, rumiani, waleczni i chciwi zmysłowi i srodzy, popędliwi, w ustawnych sporach z kościołem. Do tego nie mają tak swobodnych chwil jak król francuzki; ostrzem szabli rządzą trzema lub czterema narodami, których mowy nawet nie rozumieją. Anglo-sasów powściągają siłą normandzką, Normandów trzymają na wodzy za pomocą Anglo-sasów, odpierają w ich góry Gallów i Szkotów; a gdy się tak na wszystkie strony pasują, król francuzki spokojny w swoim pałacu nie raz plącze sieci: on jest ich zwierzchnikiem, wszechwładcą, starszym synem kościoła; on ma za sobą prawo, *tę starą matkę, z zardzewiałém wędzidłem, którą zowią*

prawem (*). Król Anglii zaufany w sile swojéj szydzi z prawa, żadnych nie szanuje związków; »To jest pospolite w naszéj familii, mówił Ryszard lwie serce, że synowie nienawidzą swojego ojca,« a jakżeż mogą zachować wzgląd dla swojego wszechwładcy?

Cierpliwości, przyjdzie koléj na króla Francyi. W téj postaci miernéj, bladéj, jest zaród wielkiéj siły, która się z czasem rozwinąć musi. Jest to król kościoła i mieszczan, król ludu i prawa. Potęga jego nie objawia się w bohatyrskich czynach, wzrost jéj powolny, ale ciągły. Król Francyi jest wyrazem, godłem całego narodu; im wybitniéj go przedstawia, tém mniéj znaczącym sam się być zdaje. Osobistość w nim słaba, rzekłbyś, że to nie człowiek, ale idea; istota bezosobista, życiem ogółu ludu, kościoła, żyjąca. Dagobert, Ludwik pobożny, Robert dobry, Ludwik młodszy, Ludwik święty, oto są trafne wizerunki królów Francyi. Tacy monarchowie koniecznie przeważyć z czasem musieli, mimo omyloną nie raz polityki rachubę, mimo zbieg nieprzyjaźnych okoliczności.

Położenie króla angielskiego, króla zdobywcy, było niesłychanie drażliwe. Żadne węzły nie łączyły zwycięzców ze zwyciężonymi, inny język, inne plemię, król otoczony towarzyszami, spólnikami podboju, w każdym widział pana równego sobie, jeden tylko hrabia Moreton posiadał sześćset lennych włości. Tacy hrabiowie głosili się wazallami króla, w istocie zaś uważali go jedynie za pierwszego między sobą: Że mu nie wypowiedzieli zupełnie posłuszeństwa, to jedynie z interesu własnego. Nie liczni w massie wielkiéj obcego sobie narodu, którego w niczém nie oszczędzali, musieli koniecznie mieć zwierzchnika, któryby ich na przypadek powstania zgromadził, któryby im przedstawiał obraz ich normandzkiéj ojczyzny. To właśnie jest podstawa téj siły związku feodalnego w kraju, w którym wazallowie potężniejsi od swojego wszechwładcy, mogli byli

(*) Szekspire, Henryk IV sc. 2.

pokusić się o jego zagładę, niezrobili wszakże tego, bo w nim był ich punkt zjednoczenia się, on był ich podporą.

W takim stanie rzeczy Henryk młody (II), to ulubione dziecię fortuny, posiadł tron Anglii, odziedziczywszy w saméj Francyi przestrzeń kraju odpowiadającą czterdziestu siedmiu departamentom dzisiejszym, wtedy gdy król francuzki ledwie ich dwadzieścia posiadał. Nadto urodzenie samo Henryka II jednało mu niezmierną popularność, bez najmniejszych z jego strony zabiegów. Dziadek jego, Henryk Beauclerc, był Normandczykiem, babka Anglo-saska, ojciec Andegaweńczyk, tak więc łączył w osobie swojéj wszystkie plemiona zachodu, był spólnym węzłem zwycięzców i zwyciężonych, południa i północy. Osobliwie też zwyciężeni w nim spełnienia nadziei wyglądali, zmartwychwstania Artura (*), urzeczywistnienia przepowiedni Merlina. Na poparcie wróżby, nie wiadomo z dobréj woli czy z musu, cały świat celtycki, Szkocya i Irlandya, Gaelowie i Bretańczycy, złożyli mu hołd. Kazał szukać i wynalazł grób Artura; tajemniczy grób! którego wykrycie miało być znakiem upadku niepodległości celtyckiéj i spełnieniem czasów. Wszystko to zapowiadało zwyciężonym ziszczenie ich oczekiwań. Wychowany w Angers, mieście oddawna szkołą prawa rzymskiego słynném, prawa, które zwiastowało wzrost władzy monarchicznéj i zabezpieczenie równości obywatelskiéj pod opieką jedynowładcy, Henryk chcąc korzystne dla siebie, a pożądane

---

(*) Jak Karol W. z dwunastą parami, w legendach francuzkich, tak Artur z rycerzami okrągłego stołu w legendach anglo-normandzkich wielką gra rolę. Jest to powieść z piątego wieku po Chrystusie. Merlin, słynny czarnoxiężnik, nakłonił chrześciańskiego monarchę w Bretanii, Uterpendragona, do urządzenia stołu, przy którymby w czasie biesiad uroczystych najwaleczniejsi, najwierniejsi i razem najczotliwsi rycerze zasiadali. Miejsce przy tym stole było na 50 osób, lecz wybór padł tylko na 49, próżne miejsce miał zająć rycerz nad rycerzami, który się dopiero miał narodzić. Tym był Artur, syn i następca króla. Artur ranny w bitwie z królem Piktów, zniknął z placu boju i nikt o grobie jego nie wiedział. Powiastka mówi, iż go uniosła zakochana w nim Fea.

dla zwyciężonych utwierdzić prawo w Anglii, przybrał do rady i zaufaniem obdarzył ucznia sławnéj szkoły bolońskiéj, Tomasza Becket, późniéj znanego pod imieniem Ś. Tomasza kantuaryjskiego od miasta Kenterbury, stolicy arcybiskupiéj na którą wyniesiony został, i na któréj męczeńską śmierć poniósł.

Męczeństwo Ś. Tomasza zwaliło brzemię nieszczęść na głowę Henryka. Król Francyi wielbiciel cnot męczennika i w ciągu prześladowań jego, jedyny opiekun i obrońca czcigodnego prymasa, uroczystą zaniósł skargę do Rzymu wraz z hrabią Szampanii. Arcybiskup z Sens ogłosił natychmiast klątew przeciw Henrykowi. Okropne w całém państwie powstało wzburzenie, wszyscy zgon świętego męczennika Henrykowi przypisywali, odstąpili go więc ci nawet, którzy mu dawniéj najprzychylniejsi zdawali się i których dobrodziejstwy obsypywał. Tak groźna burza nie złamała odwagi Henryka, zniósł jéj gromy cierpliwie, z najtrudniejszych przygód szczęśliwie wywikłać się potrafił. Naprzód normandzcy biskupi zawiadomili ojca świętego, że król przez trzy dni i nocy płakał, nic nie jedząc, ani pijąc. »Smutkiem przejęci z powodu zgonu prymasa, pisali biskupi, obawialiśmy się, by nam nie przyszło opłakiwać króla.« Sam Henryk zaręczał, że nie miał najmniejszego udziału w zamordowaniu Ś. Tomasza, poddał się pokucie, złożył świętopietrze z Irlandyi, przyrzekł znaczne zasiłki pieniężne na krucyatę, sam nawet oświadczył się gotowym do jéj odprawienia, wreszcie Anglią uznał lennictwem stolicy apostolskiéj.

Takiemi ofiarami uspokoił poniekąd lud i przebłagał papieża, lecz Ludwik król francuzki z jednéj strony powodowany szczerą przychylnością ku Ś. Tomaszowi, z drugiéj strony korzystając z dogodnéj pory do złamania groźnéj dlań potęgi swojego wazalla, z całą siłą powstał przeciw Henrykowi. Trzech synów wtedy miał król angielski, najmłodszemu, Ryszardowi, nadał hrabstwo Poitou, średniemu, Gottfriedowi, Bretanią, najstarszego zaś, Henryka, koronował królem Anglii przeznaczając mu zarazem Normandyą, i lubo wszyscy trzej musieli mu wykonać przysięgę wierności, przecież w czasie uroczystego aktu

koronacyi, posłyszano z ust Henryka II, wyraz zrzeczenia się korony. W chwili najwyższego wzburzenia umysłów po zgonie Ś. Tomasza, synowie królewscy opuścili dwór ojca, królowa Eleonora, w ciągu przygotowań do odjazdu przytrzymana, osiadła pod strażą w zamku dla niéj na turmę przeznaczonym. Król francuzki zwabił do siebie Henryka młodego jako przyszłego swojego zięcia.

Młody król Henryk ogłasza się naprzód mścicielem śmierci świętego męczennika, swojego nauczyciela, a następnie, na zasadzie koronacyi, a bardziéj jeszcze odwołując się do wzmiankowanego wyżéj zrzeczenia się ojca, żąda odstąpienia rządów, lub przynajmniéj udziału w nich. Nie mało znalazło się wazallów wahających się w uznaniu rzeczywistego monarchy; wówczas każdy wyraz brano w jego właściwém znaczeniu, trzymano się litery prawa, nie wdając się w jego objaśnienie. Do tego młody Henryk miał ważną, acz pozorną wymówkę: król Francyi, wszechwładca ojca jego, zapewniał mu pomoc, utrzymywał stronę jego, związki zaś lennicze w owym wieku, ważniejsze były od wszelkich połączeń familijnych. Gdy więc posłowie Henryka II przybyli do Francyi wzywając młodego Henryka do ojca, zastali go siedzącego na tronie obok Ludwika VII, w stroju królewskim; Ludwik zaś odezwał się do posłów: »O jakimże królu Anglii mówicie? oto jest król Anglii; jeżeli zaś ten tytuł dajecie ojcu jego, byłemu królowi, wiedzcie, iż ten już nie żyje od czasu, w którym syn przyjął koronę; a jeżeliby chciał się jeszcze uważać za króla po zrzeczeniu się tronu na rzecz syna swojego, temu wkrótce się zaradzi.« Dwaj młodsi bracia Henryka młodego, Gottfried i Ryszard, przybyli także na dwór Ludwika VII, i złożyli hołd królowi francuzkiemu.

Niebezpieczeństwo było wielkie; prawda że Henryk II z zadziwiającą szybkością zapewnił obronę posiadłości swoich na stałym lądzie, ale posłyszał, że starszy syn przy pomocy hrabiego Flandryi zamyśla wylądować do Anglii, w tym samym czasie, gdy król szkocki miał na nią uderzyć z drugiéj strony.

W tak trudném położeniu nie stracił odwagi Henryk, zebrał tłumy najemnego żołdactwa Brabantczyków, prosił papieża o wsparcie lennego królestwa, udał się nakoniec do grobu świętego Tomasza dla odprawienia przyrzeczonéj pokuty. Takowe zabiegi pomyślny uwieńczył skutek. Król szkocki dostał się w jego ręce, hrabia flandryjski nie odważył się przeprawiać do Anglii, a wazallowie przychylni młodemu królowi ulegli pod przewagą ojca jego. Tak więc król widział się zabezpieczonym w swoich posiadłościach zamorskich, lecz na południu, w Akwitanii, wrzała wojna z rozmaitą szczęścia koleją, podsycał ją król francuzki. Po większéj części i tu zwycięzko wychodził Henryk, lecz go drogo kosztowały brabanckie posiłki, zawarł więc przymierze z Ludwikiem VII w Montmirail (1169), na mocy którego najstarszy syn Henryka otrzymał w dziale Maine i Andegawią, Gottfried Bretanią, a Ryszard Akwitanią; sam Henryk ponowił królowi francuzkiemu przysięgę lenniczą.

Przymierze, w którym tyle ofiar złożył Henryk II, nie zapewniło mu pożądanéj spokojności, nie podobna było utrzymać zgodę w rodzinie tak się wzajemnie nienawidzącéj, jak plemiona, których krew w niéj się mieszała. Synowie Henryka II, z familiami Normandów, Akwitańczyków i Sasów spokrewnieni, nie wiedzieli czy do szczepu ludów południowych, czy północnych należą, ale to wiedzieli, że się wzajem nie cierpią. Tę ich nienawiść podsycała Eleonora, przez zemstę ku mężowi swojemu za twarde z nią obchodzenie się; jątrzył ją Ludwik VII, dla starcia grożnéj dla niego potęgi. Tylą przeciwnościami znękany Henryk, na łonie rozkoszy chciał zapomnieć o swoich zgryzotach: piękna Rosamonda łagodziła przez niejaki czas cierpienia jego, lecz i wtém go ciosy fortuny dosięgły. Eleonora wdarła się do labiryntu w którym Henryk ukrywał przedmiot swoich miłostek i, jak wieść niesie, własną ręką poświęciła Rosamondę na ofiarę swojéj zemście. Wkrótce Henryk i Gottfried, dwaj starsi synowie których najwięcéj kochał, pomarli; jeszcze wszakże cięższe czekały nań troski.

Ludwik VII około tego czasu dosięgał sześćdziesiątego roku swojego życia, paraliż blizki mu zgon zapowiadał, postanowił

więc zapewnić tron synowi swojemu Filipowi, i dzień wniebowzięcia na uroczystość koronacyjną przeznaczył. Nadchodził czas oznaczony, czternastoletni Filip udał się na polowanie i uniesiony myśliwskim zapałem zbłąkał się w lesie pod Compiègne. Ten przypadek tak przeraził młodego księcia, iż niebezpiecznie zachorował. Stroskany Ludwik, wiekiem i słabością przyciśniony, odbył pielgrzymkę do grobu Ś. Tomasza kantuaryjskiego dla uproszenia zdrowia dla swojego syna. Za powrotem ujrzał wprawdzie Filipa zdrowego, lecz sam trudami znękany wkrótce życia dokonał (1180).

Filip młody rozpoczął rządy swoje pod opieką hrabiego Flandryi, a kierunkiem Klemensa z Metz, swojego nauczyciela. Przydomek Augusta pozyskał od miesiąca w którym się rodził. Monarcha spokojny, poważny, nie wiele się troszczył o sławę, skoro ją bezkorzystną widział, a przecież zbiegiem szczęśliwych okoliczności raczéj, niż własném staraniem, w podaniach ludu jaśnieje blaskiem rycerskiéj godności, występuje nieledwie jako istotny założyciel monarchii. W rzeczy saméj panowanie Filipa Augusta świetniejszém jest od rządów poprzedzających go Kapetów. Baronowie północni coraz powolniejsi się stają pod ręką królewską; potęga anglo-normandzka skruszona; prowincye z nad Ligiery wracają pod rząd króla paryzkiego; wyprawa krzyżowa i bitwa pod Bouvines otaczają tron urokiem sławy bohaterskiéj, i do imienia Augusta świetniejsze przywiązują wspomnienia, nad te z którego początek jego wywodzą.

Wkrótce po wstąpieniu na tron Filip młody pojął za żonę córkę hrabi flandryjskiego, która mu wniosła w posagu Amiens z nadzieją odziedziczenia hrabstw Artois, Valois i Vermandois; były to przedmurza Sommy i Oazy: pozyskawszy je król francuzki, nie miał się już czego obawiać ze strony Flandryi, do Normandyi zaś z dwóch stron otwartą zyskał drogę. Był to cios dla Henryka II, który zkąd inąd miał powody lękać się Filipa. Po śmierci dwóch starszych synów, pozostało mu jeszcze dwóch młodszych, gwałtowny Ryszard i chytry Jan. Ryszardowi zdawało się, że ojciec za długo żyje, tak go paliła

żądza panowania; stary zaś Henryk nie chciał się pozbyć ani cząstki władzy, syn więc udał się do Filipa, który go z otwartemi przyjął rękami i obchodził się jak z najserdeczniejszym przyjacielem, a tymczasem korzystając z okoliczności zajął Mans i Tours, dwa nader ważne stanowiska: przez jedno z nich niepokoił Normandyą i Bretanią, z drugiego władał brzegami Ligiery. Wtedy w obrębie państwa swojego miał trzy arcybiskupie stolice: Reims, Tours i Bourges, metropolie Belgii, Bretanii i Akwitanii.

Opuszczony od swoich, smutne wlókł ostatki życia Henryk II, lekceważony od monarchy, którego niedawno tak małym widział. Na zjeździe w Bons-Moulins w Normandyi, Filip wstawiał się za Ryszardem, lecz zawzięty Henryk głuchym był na głos króla francuzkiego; w tém zniecierpliwiony Ryszard: »Towarzysze, rzekł do zebranych baronów, teraz ujrzycie, czegoście się wcale nie spodziewali,» i w ręce Filipa złożył hołd lenności. Zawstydzony niedołęztwem swojém Henryk, odwołał się do zdania stolicy apostolskiéj, a nic nie zyskawszy, postanowił doświadczyć losu oręża. Zawiodło go szczęście, trzeba było uledz konieczności i przyjąć twarde warunki przymierza w Colombière przez które uprawnił bunt synowski. Rzecz osobliwsza, jakieś złowrogie przygody towarzyszyły ostatnim czynom rządów, tak niegdyś świetnych. Kiedy pod Colombières układali się obadwa królowie siedząc na koniach, najpogodniejsze niebo nagle się zachmurzyło i piorun uderzył w sam środek prawie między umawiające się strony. Wspięły się konie spłoszone, a Henryk hukiem grzmotu ciągłego przerażony zemdlał i na łożu boleści warunki pokoju miał podpisać. W téj uroczystéj chwili cały wątek rozlicznemi przygodami słynnego życia wysnuwał się przed oczyma gasnącego monarchy. Podany przez posłów Filipa warunek uznania się wazallem króla Francyi i zdania się na łaskę jego, przyjął już bez oporu, pragnąc jedynie zapewnić koronę angielską dla Jana, który mu zdawał się najprzychylniejszym; gdy atoli przyszło do punktu amnestyi dla spólników rokoszu, kazał sobie odczytać ich nazwiska.

Pierwsze, które usłyszał, było Jana, najmłodszego syna. Wtedy konwulsyjném wstrząśnieniem dźwignął się, siadł na łożu, a błędném i przerażającém tocząc do koła wzrokiem: »Możeż to być, rzekł, aby Jan, dziecię moje ulubione, którego więcéj nad innych kochałem, dla którego miłości tylu nieszczęściom uległem, miał mnie opuszczać? — gdy go zapewniono o rzeczywistości, wtedy padając na łóżko, z odwróconą do muru twarzą dodał: niech się dzieje co chce, już nie dbam ani o siebie, ani o świat.» W kilka dni po tym wypadku dokonał życia, złorzecząc synom. Dla uzupełnienia traiczności zgonu tak potężnego pana, dworzanie złupiwszy pałac rozpierzchli się na wszystkie strony: zaledwie znaleziono prześcieradło do obwinięcia zwłok, i konie do przewiezienia ich do Fontevrault, gdzie je pochowano (1189).

Śmierć Henryka II zgubnym była ciosem dla potęgi anglo-normandzkiéj, dźwigała się ona wprawdzie jeszcze za Ryszarda, lecz tém haniebniéj upadła za Jana. Natomiast król Francyi coraz więcéj wzrastał w siły i znaczenie. Śmierć Ś. Tomasza skruszyła szczęście Henryka, przychylny głos ludów odezwał się za Ludwikiem obrońcą św. męczennika. Duchowieństwo sprzyjało monarsze, gorliwemu opiekunowi praw kościoła, naród szanował śmiałego wojownika. Od chwili nabycia hrabstwa Vexin Ludwik wazalem Ś. Dyonizego zostawszy, chorągiew opactwa (oriflamme) w przedniéj straży umieścił, a do herbu przybrał lilie białe, godło czystości wiary, ważne nader w oczach ludów średnich wieków. Filip August nie odstrychnął się od toru, którym ojciec postępował: ramię jego zawsze gotowe było na obronę kościoła, na pomoc duchowieństwa gdzie tego potrzeba było. Bluźniercy i kacerze nie mogli się rozpościerać bezkarnie. Ścigał on i tępił bandy brabanckich jurgeltników, którzy rozpuszczeni przez Henryka II łupili południowe prowincye. Zasłaniał kościoły od prześladowania panów, nie przepuścił nawet krewnemu swojemu księciu Burgundyi złego obchodzenia się z duchowieństwem. Tym więc sposobem zyskiwał przychylność, na któréj oparł swoję potęgę.

ROZDZIAŁ VII.

WIEK TRZYNASTY. — TRZECIA KRUCYATA.

Zbyt silnie wstrząsnęła umysły ludów piérwsza wyprawa krzyżowa, wrażenia jéj nie mogły być przemijające. W obrębie religijnym zapalona fantazya, w nim szukała żywiołu. Ponury smutek ogarnął chrześciaństwo, skoro ujrzano nadzieje krucyat na niczém pełznące, duch szukał pociechy: nie dość było dla niego przekonania, że religia nie może być do jednego zakąta ziemi przywiązana, puścił się w odmęt rozumowań i wniosków, piął się coraz wyżéj; nic przeto dziwnego że doznał zawrotu. Koniec dwunastego wieku wraz z początkiem trzynastego wydał mnóstwo mistrzów fałszu, którym nie brakło zwolenników. Ten głosił swoje marzenia, tamten zastarzałe odgrzewał kacerzów zdania. Nic równego nie było zuchwalstwu tych wznowicieli, którzy po większéj części w paryzkim uniwersytecie nauki swoje głosili. Abelard odżył i przemówił przez usta ucznia swojego Piotra Lombarda, który z katedry paryzkiéj kierował filozofią całéj Europy: pięciuset komentatorów liczą dzieł tego scholastyka. Szał wznowień dwie silne znalazł podpory. Szkoły prawa dźwignęły się obok wykładu teologii, i dla samych tylko ludzi świeckich otwarte zostały. Metafizyka Arystotelesa przywędrowała z Carogrodu, a komentatorowie jéj ryczałtem tłumaczeni z arabskiego rozlewali się z Hiszpanii po całéj Europie. Było to najście Grecyi i wschodu w dziedzinę filozofii chrześciańskiéj. Arystoteles samowładnie opanował wszystkie katedry, podszyte zaś pod niego nauki Arabów i Żydów cichaczem się rozszerzały z panteizmem Averrhoesa i subtelnościami kabały. Dyalektyka wdarła się do wszystkich przedmiotów i zuchwale o najważniejszych wyrokowała zadaniach.

Simon z Tournai na zawołanie dowodził za i przeciw (*), zdumiewając chciwych nowości Paryżanów. Szkoła paryzka wznosiła się między młodemi gminami Flandryi a starą municypalnością miast południowych; potęga loiki szerzyłą się pośród handlu i przemysłu.

Pokątne szepty i dyalektyczne rozprawy zwolna wywołały ogromny ruch religijny w dwóch zarazem punktach, racyonalizm waldeński w Alpach, mistycyzm niemiecki nad Renem i w Niderlandach. W końcu jedenastego wieku zawiązane, a w dwunastym i trzynastym kwitnące zgromadzenie kobiet pod nazwą Beginów (Beguinów), to jest modlących się, obudziło ducha pobożności w Niemczech i w Niderlandach. Bez ustawy, bez szlubów zakonnych, zbierało się po kilka set, a nawet po tysiąc kobiet poświęcających się modłom, ćwiczeniom religijnym i wychowaniu dziewcząt. Rycerstwo niemieckie i szlachetni śpiewacy Minny (Minnesänger) opiewali kobietę, nadobną małżonkę Landgrafa Turyngii, tak słynną w rymotworczych walkach Wartburga; lecz lud składał cześć ideałowi płci żeńskiéj, do niebiańskiéj wzdychał dobroci, nie bacząc na zmysłowe zalety. Wojna i biesiady stanowiły życie rycerstwa, zalotna była poezya na takim gruncie osnowana; lud pracowity a nędzny, osobliwie w przemysłowych miastach niderlandzkich, wznosił myśl wyżéj, lgnął do tajemniczości. Przemysł utworzył świat ludzi ubogich, których zaspokojenie potrzeb codziennych stłaczało po ciemnych i wilgotnych lochach warsztatów; pracowici a w nędzy, nie mieli miejsca na słońcu, które Pan Bóg dla wszystkich swoich dzieci utworzył. Byli to po większéj części tkacze. Ze słyszenia tylko dowiadywali się co to jest ta zieloność pól, ten śpiew ptastwa, wonność kwiatów. Samotni i niemal dzicy wśród najludniejszych miast, całą duszą garnęli się do Boga, Bóg jedyném był ich dobrem. Lecz obraz tego Boga sami sobie tworzyli, a wiary ich własnego wymysłu nic

(*) Mówią, iż w późniejszym wieku stracił pamięć i takim został idyotą, iż syn jego wiele trudów użył, aby go znowu nauczyć *Ojcze nasz.*

im wydrzéć nie zdołało, nadzieją błogiéj przyszłości zagrzani ochoczo szli na stos, lub niekiedy zbrojni narzędziami swojego rzemiosła, straszni zaślepieniem i liczbą wychodzili ze swoich kryjówek szerząc mordy i pożogę. W Gand tkacze w owych wiekach trzecią część ludności składali, a do koła Ypres było ich wtedy przeszło dwakroć sto tysięcy. Wśród tego tłumu rzadko kiedy iskra wznowień religijnych strasznym nie buchła pożarem. Inne rzemiosła pospolicie nie były obojętne, mniéj liczne, ale złożone z ludzi silnych, zuchwałych, ufnych w ciężar swojéj pięści; kowali, co w każdém zaburzeniu kuli młotem w żelazną rycerzów zbroję; piekarzy, co każdy bunt wyrabiali jak zwyczajne ciasto, rzeźników, bez wzdrygnienia doświadczających swojego rzemiosła na ludziach. W Gand, Bruges, Ypres, mieszkańcy uzbrojeni, na pułki zawczasu podzieleni, zbierali się pod chorągwie burmistrza za pierwszém uderzeniem w dzwon trwogi. Po co? rzadko kiedy oni o tém wiedzieli, ale odurzeni jakimkolwiek pozorem bili się do upadłego.

Na drugim krańcu Francyi, wśród podgórza alpejskiego, żywioły wbrew przeciwne sprowadzały burze zupełnie podobne. Od dawna górale Delfinatu, ludzie zimni, rozprawiacze, pod wagę swojego rozumu podciągali godła, obrazy, tajemnice religii. Za czasów Karola W· Klaudyusz z Turynu na podgórzu włoskiém głosił swoje zasady; w dwunastym wieku na stronie francuzkiéj Piotr z Bruys wznowił jego marzenia. W Akwitanii znalazł mnóstwo zwolenników; uczeń jego Henryk dostał się na północ do Maine, większemi jeszcze tłumami słuchaczów otoczony. Uspokojone na chwilę to kacerstwo pojawiło się znowu w Lugdunie pod styrem kupca Vaud inaczéj Valdus zwanego. Z początku stronnicy tego sektarza głosili zamiar powrócenia kościoła do pierwiastkowéj czystości, apostolskiego ubóstwa; dla tego zwano ich ubogimi lugduńskiemi. Co większa w prostocie ducha żądali od stolicy apostolskiéj upoważnienia swoich błędów, lecz było to toż samo jak gdyby prosili o pozwolenie odłączenia się od kościoła. Prześladowani, ścigani, utrzymywali się przecież między górami aż do szwaj-

carskiéj reformy. Niejaki Olivier marzenia Valdusa rozsiał po całéj Langwedocyi, gdzie się na nieszczęście ludzkości zbyt bujnie rozkrzewiły. Tu wszakże straciły pierwiastkową cechę. Waldeńczyków zasady, rozliczne przybierając zmiany i poprawki, pozbyły się nawet właściwéj nazwy, a przybrały imię od miasta Albi. Walką niemal stuletnią, wojną okropnego zniszczenia, słynniejszemi się stali Albigensowie od swoich mistrzów Waldeńczyków.

Wszelkie pomysły religijne łatwo nader szerzyły się w Langwedocyi. Kraina na skręcie wielkiego gościńca Francyi, Hiszpanii i Włoch położona, dziwny przedstawiała zlew krwi iberyjskiéj, gallijskiéj, rzymskiéj, gockiéj i saraceńskiéj: ztąd koniecznie wypływać musiały uporne plemion i wyznań sprzeczki. Semicki pierwiastek, Żydów i Arabów, silny był w Langwedocyi. Narbonna długo bardzo była stolicą Saracenów francuzkich; szkoły rabińskie w Carcassone, Montpellier, Nimes dla wszystkich wyznań otwarte, niepospolitą wziętością słynęły; umiejętności matematyczne i medycyna, do potrzeb materyalnych zastosowane nauki, były szczególniejszym przedmiotem wykładu w tych szkołach. Handel czynny jednoczył te różnorodne ludy, a morze zamiast rozdzielać, bardziéj je do siebie zbliżało. Kupcy langwedoccy udawali się raz wraz do Azyi, z krzyżem wprawdzie na ramieniu, ale nie w zamiarze bronienia lub odwiedzania miejsc świętych, lecz raczéj w celu nabycia pięknych materyj wschodnich na targach Saint-Jean d'Acre, które ich już w części pojednały z Muzułmanami.

Zdawałoby się że szlachta powinna być nieprzystępna tym wznowieniom; ależ nie było to rycerstwo północnych prowincyj, pobożne i do wyprawy świętéj w duchu religijnym gotowe. Szlachta południowa znała się dobrze na swojéj wartości trudnoby było między nią znaleźć takiego, któryby zstępując, po gałęziach swojego drzewa genealogicznego, nie natrafił między babkami swojemi jakiéj saracenki lub żydówki. W istocie zaś, w krainie prawa rzymskiego, pośród municypiów cesarstwa nie było wcale szlachty, albo przeciwnie biorąc, wszyscy

mieszczanie municypalni byli szlachtą. Pod władzą rzymską miasta tworzyły pewny rodzaj szlachectwa w porównaniu z mieszkańcami wiosek, a ta pierwiastkowa ustawa, zakorzeniona, przetrwała wszystkie zmiany, i w czasach o których mówimy, mieszczanin langwedocki tak dobrze miał dom obwarowany, z mostem zwodzonym i basztą, jak rycerz w północnych prowincyach; występował na turnieje, kruszył kopie z rzeczywistym rycerzem i nieraz go z siodła wysadzał. Wnosząc z wzajemnego szkalowania się, jakie w poezyach trubadurów natrafiamy, przyznać trzeba, że szlachta południowa więcéj zalecała się dowcipem, niż godnością charakteru. Sławny Bertrand de Born, Gaskończyk, zacięty wróg pokoju, co przez całe życie podżegał rozterki aby je potém opiewać, synowi Eleonory, burzliwemu Ryszardowi, szyderczy daje przydomek: *Tak i nie*. Lecz przydomek ten właściwy jest wszystkim tym niespokojnym umysłom południowego rycerstwa.

Poezya w tych stronach wcześnie się wykształciła; wyczerpnięta z ducha i życia mieszkańców, była lekka, miła, ale nie moralna; nigdy innego nie znała ideału nad miłość zmysłową, miłość kobiety. Dla tego podobna do kwiatu, który wzrosł na skale, rozpostarł mdłą wonność i szybko zwiądł, gdy go ludzie północni ciężką przytłoczyli prawicą. Kiedy albigeńskie zaczęły się krucyaty, już poezya południowa upadała, miejsce natchnienia zajął akądemicki dogmatyzm, a wyszukany dowcip, zbyt substelny, stłumił naiwną prostotę. Duch scholastyczny i prawniczy wdarł się nawet do słynnych sądów miłości. Form prawnych z największą ścisłością przestrzegano w rozpoznawaniu sporów uchybionéj zalotności: mimo to wyroki były niemoralne. Ermengarda, piękna hrabina Narbonny, w wyroku swoim stanowi, że rozwiedziony małżonek może zostać znowu kochankiem dawéj żony, zaślubionéj z kim innym. Eleonora z Gwienny zawyrokowała, że nie masz miłości między małżonkami, dla tego dozwala przyjąć na niejaki czas kochankę, aby doświadczyć małżonki. Hrabina flandryjska, z domu książąt andegaweńskich, córka Eleonory (1134) zaprowadziła podobneż

sądy na północy; nie przypadło wszakże do smaku rycerstwu prawnictwo dam południowych, bezbożném je uznali.

Żeby lepiéj pojąć przyczyny wstrząśnień religijnych na południu Francyi, rzućmy okiem na stan polityczny tych okolic. W samym środku Langwedocyi była wielka Tuluza, rzeczpospolita pod władzą hrabiego. W czasie pierwszéj wyprawy krzyżowéj był to najbogatszy pan we Francyi. Odtąd posiadłości jego co raz się rozszerzały. Minęła go korona jerozolimska, ale za to posiadł hrabstwo trypolitańskie (w Azyi). Lecz właśnie potęga hrabiego Tuluzy budząc zawiść mnożyła mu nieprzyjaciół. Hrabiowie Poitiers i Barcelony ród swój od Ś. Wilhelma, opiekuna Ludwika pobożnego wywodzący, hrabiego Tuluzy za przywłaszczyciela poczytywali. Toż samo, i z téj saméj przyczyny głosili hrabiowie Roussillonu, Cerdagne, Conflant, Bezalu, wszyscy nieprzyjaciele hrabiego Tuluzy. Nie byli mu przychylniejsi panowie z Beziers, Carcassone, Albi i Nimes, a w Pireneach rodziny Foix, Albret i Armagnac. Nigdy te rodziny nie łączyły się z sobą, i jeżeli w czém zgodność i podobieństwo między nimi upatrzyć można, to chyba jedynie w ustawnych sporach z duchowieństwem. Klątwa kościelna mało ich obchodziła. Hrabia Comminges żył spokojnie z trzema żonami zarazem, a Rajmond VI hrabia Tuluzy cały utrzymywał harem. Langwedocyą zwano Palestyną francuzką, w istocie miała ona swoją Sodomę i Gomorę, a lękać się należało aby słuszny gniew kościoła nie zrobił tu morza martwego. Do takiéj krainy łatwo przedrzeć się mogły wszystkie wznowienia, i w istocie wszystkie błędne religie znalazły tam zwolenników, wszystkie atoli przytłumił manicheizm, sekta najobrzydliwsza ze wszystkich, jakie się tylko z chrześciaństwa wyrodziły. Tuluza była jéj głównem gniazdem; w blizkości tego miasta niejaki Nicetas przewodniczył (1167) soborowi kaznodziejów manichejskich, wykładając naukę azyatycką téj sekty, gdzie jéj było pierwsze ognisko. Tak więc plątały się między sobą nauki, pokolenia, zacierała się nienawiść plemion, ludów i języków. Zdawało się jak gdyby dwie rozgałęzione rodziny,

europejska i azyatycka, ruszyły się zarazem z siedlisk swoich i na wzajemne spotkanie postąpiły ku sobie; każda z nich okrzesywała coś ze swoich zwyczajów, przybierała coś od drugiéj, aby różnica między niemi mniéj uderzającą była.

Jakżeż to przykra była epoka dla widoméj głowy kościoła. Z wysokości katedry swojéj rzuciwszy okiem do koła, mógł ojciec święty dojrzeć niezliczone tłumy postępujące z młotem w ręku, pokolenie za pokoleniem, zdążające na zniszczenie wielkiego i wspaniałego gmachu religii. Prawda że silne były mury, budowla żyjąca wzniesiona trudami apostołów, świętych, doktorów kościoła, utwierdzona krwią męczenników, ofiarą wyznawców, na opoce zbudowana, głęboko zapuściła fundamenta: lecz wściekłe wichry zewsząd się o nią roztrącały, huczały koło niéj burze wschodu i zachodu, Europy i Azyi, przeszłości i przyszłości. Najmniejszy obłok na horyzoncie nawałnicą zagrażał.

Innocenty III, Rzymianin, zasiadał wtedy na stolicy apostolskiéj, wielkością umysłu równy wielkości niebezpieczeństwa. Wymowny, w prawie nad podziw biegły, w wyrokach ściśle sprawiedliwy, w ukształceniu równego sobie nie mający. Jakkolwiek zawichrzenie było wielkie, przecież w gruncie rzeczy kościół miał niezmierną większość za sobą, miał głos ludu: za nim przemawiało wszędzie i we wszystkiém prawo odwiecznego, przedawnionego posiadania, za nim było prawo pisane. Czegoż od niego żądali wznowiciele? nikt zgadnąć nie mógł. Wśród téj zmieszanéj wrzawy niepodobna było istoty rzeczy pojąć. Każdy czego innego domagał się. Jedni chcieli niby do czasów apostolskich powrócić; drudzy w duchu perskim woleli dwóch bogów, albo na wzór islamizmu za jednym obstawali. Islamizm też posuwał się ku Europie. W tym samym czasie gdy Saladyn posiadł Jerozolimę, Almohadowie z Afryki wdarli się do Hiszpanii, nie na czele armii, jak niegdyś Saraceni, ale w przerażającéj postaci wędrówki narodów. W bitwie pod Tolozą miało ich być około czterykroć sto tysięcy. Mówią że Filip August przerażony postępem oręża muzułmańskiego,

najpierwszy z królów Francyi utworzył dla siebie gwardyą przyboczną. Obawa i zgroza poruszały lud: rozpuszczano wieści trwożące które lud wymyślał, a wymyślonym upornie wierzył. Jest to naturalny wypadek wielkich wstrząśnień. Żydzi, obraz wschodu pośród chrześciaństwa, zdawali się przeznaczeni do utrzymywania zawiści religijnych. W chwilach klęsk naturalnych, w wielkich nieszczęściach politycznych, lud natychmiast posądzał żydów o zmowę z nieprzyjaciołmi, o wzywanie niewiernych. Tysiączne przeciw nim wznoszono skargi. W zamkniętych mieszkaniach ich, podejrzliwa ludu wyobraźnia, czegoś nadzwyczajnego domyślała się. Wtedy już powstało między ludem przekonanie o potrzebie krwi chrześciańskiéj do ich obrzędów. Przesądy ludu, szał krwawéj zawiści i trwogi, rozszerzał się po wszystkich stanach, tu i owdzie w okropne wybuchał prześladowanie. Byłoby to wszakże wielką niesłusznością, posądzać ówczasowych naczelników, że samolubstwo lub interes władzy był pobudką ich działania. Nie, w trzynastym wieku głęboko jeszcze zakorzeniona była religia, wszyscy z najmocniejszém przekonaniem stawali w jéj obronie, bez względu na widoki światowe.

Świat polityczny roztrącał się wówczas między cesarzem niemieckim, królem angielskim i królem francuzkim. Dwaj pierwsi nieprzyjaciele kościoła, a z nich cesarz był najbliższym. Od dawna już weszło w zwyczaj, że Niemcy peryodycznie zalewali Włochy, cofali się potém do swojego łożyska, nie zostawując żadnego śladu. Cesarz przez wąwozy tyrolskie wkraczał do Lombardyi, w Medyolanie wkładał na głowę koronę żelazną, a jeżeli wyprawa miała być świetniejszą, posuwał się do Rzymu i z rąk papieża cesarską odbierał koronę; po czém spokojnie wracał, najczęściéj sam, gdy utrudzeni żarem włoskiego słońca niemieccy baronowie jeden za drugim go opuszczali. Król angielski nie mniéj był niechętnym papieżowi; nieprzyjaciel jego lub lennik na przemiany, był to właśnie ów straszny Ryszard lwie serce, nieodrodny syn Eleonory. Wraz z bratem swoim Janem lubił on południową Francyą, ojczyznę

swojéj matki, porozumiewał się z Tuluzą, w zgodzie był z nieprzyjaciołmi kościoła. Podejmując wyprawę krzyżową łączył się z Muzułmanami.

Dla króla francuzkiego Filipa śmierć Henryka II, stała się istotném nieszczęściem; tron bowiem posiadł przyjaciel jego Ryszard, z którym w jednymże pokoju sypiał, przy jednymże stole jadał, a który mu był tak dogodny do udręczenia starego króla. Ryszard zostawszy królem stał się spółzawodnikiem Filipa, spółzawodnikiem świetnym, uposażonym we wszystkie błędy ludzi średnich wieków, i tém milszym dla nich. Syn Eleonory szczególniejszego uwielbienia stał się przedmiotem dla popędliwéj odwagi, któréj nie rzadkie wzory między południowemi mieszkańcami natrafić się dadzą (*). Skoro się dorwał dziedzictwa ojczystego, natychmiast rozdawał, sprzedawał, trwonił. Trzeba mu było pieniędzy, aby jak najprędzéj wyprawić się na wojnę świętą i lubo w Salisbury znalazł po ojcu skarb sto tysięcy grzywien zawierający, chcąc jednak miéć więcéj, sprzedał biskupowi z Durham hrabstwo Northumberland na dożywocie; królowi szkockiemu zbył Berwich, Roxburgh i wszechwładztwo. By pozyskać przychylność brata Jana, dał mu jedno hrabstwo w Normandyi a siedm w Anglii, co prawie trzecią część królestwa stanowiło. Pewny był, że w Azyi zdobycze sowicie mu wynagrodzą poniesione w Europie ofiary.

Krucyata co raz naglejszą się stawała; Ludwik VII i Henryk II przyjęli krzyż, ale nie dokonali wyprawy, a to ich uchybienie przyśpieszyło upadek Jerozolimy (1187). Po tylu wysileniach i ofiarach był to okropny cios dla chrześcian zachodnich, grzech ciążący na duszy zmarłych królów, plama na ich pamiątce, którą synowie zetrzeć byli obowiązani. Filip nie wielką miał ochotę do tak kosztownéj wyprawy, lecz uchylić się od niéj było niepodobieństwem. Skoro zajęcie Edessy spowodowało drugą krucyatę, upadek Jerozolimy miałże być obojętnym?

(*) Jak w naszych czasach król Murat i marszałek Lannes.

Chrześcianie ziemi świętéj oblegali Acre, był to już jedyny port mogący utrzymać jakieżkolwiek połączenie z zachodem.

Od pięćdziesięciu lat przeszło, około czasów zdobycia Edessy, islamizm ciągłym uległy wstrząśnieniom znacznéj doznał reformy. Atabekowie syryjscy i Iraku (starożytnéj Medyi), utworzyli między Tygrem i Eufratem potęgę wojenną fatemitom egipskim, równie jak i innym islamizmu odszczepieńcom nieprzyjazną. Zenghi i syn jego Nureddin nowym zapałem natchnęli muzułmańskie hufce i zwycięztwo na swoję przeważyli stronę. Salaheddin (Saladyn) wódz Nureddina, z szlachetności rycerskiéj wielbiony, zacięty wróg chrześciaństwa, obalił fatemicki kalifat w Kairze, a na miejscu jego wzniósł sułtaństwo egipskie. Szczęśliwy wojownik strącił synów Nureddina, zniósł wojska chrześciańskie pod Tyberiadą, króla Lusignana wraz z najznakomitszém rycerstwem wziął do niewoli i został panem miasta świętego.

Postęp oręża muzułmańskiego, głośne męztwo Saladyna, zdobycie Jerozolimy, ożywiło rycerskiego ducha chrześcian zachodnich: liczne zastępy rycerstwa zbierały się na odsiecz miasta świętego. Frederyk rudobrody na czele stu piedziesięciu tysięcy wojowników niemieckich przedarł się do Azyi, przełamał wszelkie zawady, zniósł potężne wojsko sułtana Ikonium pod miastem jego stołecznem (*), lecz w ciągu tak świetnego powodzenia znalazł grób w nurtach Cydnu (1190). Syn i następca jego w dowództwie, sam słabowity, nie umiał utrzymać ducha męztwa w niezgodnych między sobą baronach i ledwie garsztkę strudzonych wojowników przywiódł do obozu chrześcian pod Saint Jęan d'Acre.

Już dwa lata trwało oblężenie, gdy Filip August z rycerstwem francuzkiém stanął pod murami twierdzy. Saladyn na wzgórzu

---

(*) W bitwie pod Ikonium miało być przeszło trzykroć sto tysięcy Turków. Wkrótce po tém zwycięztwie cesarz Frederyk według jednych zarwał się na moście rzeki Cydnus, według innych kąpiąc się zgrzany, utonął.

Karuby, naprzeciw Akry, roztoczył obóz; zbierali się do niego ze wszech stron Muzułmanie na obronę swojego koranu; i obóz chrześciański wzmacniały co moment świeże krzyżaków hufce, lecz dzielny opór oblężonych tępił odwagę krzyżackich rycerzy; już wreszcie odstępowała ich nadzieja, gdy wtém przybycie francuzkiéj wyprawy ożywiło ducha chrześcian, nowym ich natchnęło zapałem. W kilka dni wysoką usypali górę, a ciągle rzucając ziemię przed siebie przysunęli ją do murów miasta. Tu dopiero ruszyły się tarany i machiny wojenne. Saladyn przerażony, na próżno ofiarował poddanie miasta pod temiż warunkami, jakie przy jego zdobyciu chrześcianom przyznał, szeroki wyłom w murze robiąc nadzieję prędkiego zdobycia, tamował drogę układów. Już wszystko było gotowe do szturmu, gdy ostatnie wspomnienie przyjaźni wstrzymało Filipa, postanowił on czekać przybycia Ryszarda, aby mu także zostawić część sławy przy zdobyciu warowni, a w czasie téj odwłoki oblężeni wznieśli drugi mur za wyłomem.

Obadwa królowie, Francyi i Anglii, morską obrali drogę, obadwa razem z portów Marsylii, Tulonu i Genui wypłynęli (1190), zimę przepędzili razem w Sycylii, lecz tu właśnie z różnych drobiazgowych powodów zwaśnili się i Filip z początkiem wiosny sam ruszył do Akry. Późniéj i Ryszard opuścił Sycylią, lecz znowu zatrzymał się na wyspie Cypr, do któréj podbicia wyborny nastręczył mu się pozór. Chcąc wszakże łatwy uświetnić tryumf, wziętego w niewolę króla wyspy w srebrne ujął łańcuchy; sam zaś jedwabny na siebie zarzucił płaszcz w srebrne zdobny półksiężyce. Nacieszywszy się nową zdobyczą, puścił się daléj ku ziemi świętéj.

Jeden z kronikarzy liczy sześćkroć sto tysięcy chrześcian, którzy jedni po drugich wstępowali w szranki pod murami Akry. Sto dwadzieścia tysięcy grób tam znalazło (*), i to nie

(*) W spisie umarłych znajdują się nazwiska sześciu arcybiskupów, dwunastu biskupów, czterdziestu pięciu hrabiów, pięciuset baronów.— Jeden z kronikarzy arabskich liczy sto ośmdziesiąt tysięcy poległych Muzułmanów.

motłochu, ludu różnego stanu i urodzenia, jak w pierwszéj wyprawie, lecz żołnierzy, kwiatu rycerstwa europejskiego, bo cała niemal Europa miała tam swoich reprezentantów. Z drugiéj strony Saladin miał pod swoją chorągwią posiłki wszystkich muzułmańskich mocarzy. Nie o samą więc szło Akrę, lecz była to walka Europy z Azyą. Tak zapaleni wojownicy jak Ryszard i Saladyn inne wcale musieli knuć zamiary. Jeden z kronikarzy napomyka, że śmiałemu sułtanowi snuła się po głowie antykrucyata, wielka wyprawa, w któréj przedarłszy się przez środek Europy mógłby sięgnąć aż do głębi kraju Franków. Zuchwały a razem płochy to był pomysł, a przecież trwogą zdjęta zadrżałaby Europa, gdyby Saladyn skruszywszy słabe Greków państwo pojawił się w Węgrzech i Niemczech w téj chwili, w któréj Almohadowie na czele czterechkroć stu tysięcy pirenejską złamać zaporę usiłowali.

Do wielkiego celu obiedwie strony zmierzały, wielkie też obudwóch stron były wysilenia. Wszystkich sposobów użyto, jakie tylko wojenna sztuka nastręczała, taktyka starożytna i feodalna, europejska i azyatycka, wieże ruchome, ogień grecki, machiny znane podówczas, wszystko było w ruchu. Chrześcianie, piszą historycy arabscy, przynieśli z sobą lawę Etny i rzucali ją do miasta, jak pioruny miotane przeciw zbuntowanym aniołom. Lecz najstraszniejszą machyną wojenną był sam Ryszard, pozyskał on między Saracenami niezatartą wziętość nadzwyczajnéj waleczności i okrucieństwa. Gdy osada Akry zmuszona została do poddania się, a Saladyn nie chciał wykupić jeńców, Ryszard tych, którzy mu się w dziale dostali, kazał wymordować w obliczu obudwóch obozów. Straszny ten wojownik nie oszczędzał nikogo, ani swoich, ani nieprzyjaciół, ani siebie samego. Powracał pospolicie z bitwy cały nastruszony strzałami, podobny do poduszki utkanéj szpilkami. Długo jeszcze, po skończonych wyprawach, saraceńskie matki Ryszardem straszyły niesforne swoje dzieci. A gdy koń Araba w bok rzucił się nagle spłoszony, jeździec odzywał się zwykle: czyś Ryszarda angielskiego spostrzegł?

Na niewiele się przydały te wysilenia i ta zdumiewająca waleczność. W obozie chrześciańskim byli zbrojni reprezentanci wszystkich ludów europejskich ale zarazem i wszystkich zawiści narodowych. Nie dość że każdy działał na własny rachunek, ale co gorsza jeden drugiemu zawadzał umyślnie. Jerozolima była w ręku Saladyna, a w obozie chrześciańskim pod Akrą dwóch było królów jerozolimskich. Lusignana wspierał Filip August, Konradem z Tyru i Montferatu opiekował się Ryszard. Lecz nie tylko ten jeden powód był zawiści między dwoma królami, każdy świetny czyn Ryszarda drażnił Filipa, nienawidził obozu w którym wazalla wielbiono i za dowódzcę uważano, opuścił więc Palestynę i nad brzegami Sekwany mścić się za poniżającą go waleczność Ryszarda postanowił. Zaraz za powrotem swoim zawarł układ z Janem bratem Ryszarda, mocą którego zapewnił mu posiadanie Anglii wymówiwszy dla siebie najlepszą część krajów po téj stronie kanału.

Ryszard zostawszy sam w Azyi nie troszczył się wcale o sprawy europejskie, bawiło go rycerskie rzemiosło. Z obozu pod Ramla w dzień zwodził harce z muzułmańskiemi hufcami, a w wieczór wracał do obozu z dziesięcią, dwudziestą, trzydziestą głowami nieprzyjaciół, któremi napiersnik ognistego rumaka swojego zdobił. Lecz równe waleczności zuchwalstwo i duma zrażały serca rycerzów, nikt go szczerze nie wspierał, a on dla nikogo wzgardy nie szczędził. Xiążę burgundzki układał śpiewki przeciw niemu, Ryszard mścił się paszkwilami (sirventes) prowanckiemi. Przy zdobyciu Akry Leopold austryacki zatknął swoję chorągiew na jednym rogu muru, król angielski kazał ją strącić w rów, a natomiast swoję postawił. Późniéj chciał, by krzyżacy wznieśli mury Askalonu. »Nie jestem ani cieślą, ani mularzem« odezwał się książę austryacki, Ryszard go nogą potrącił. Nic więc dziwnego iż w takim stanie rzeczy wyprawa spełzła na niczém. Rycerze nie mogli skłonić się do powrotu zostawując miasto święte w ręku niewiernych, miesiąc cały strawiono w obozie o siedm mil tylko od Jerozolimy, Ryszard nie chciał przystać na układ zapewniający życie

załodze; a gdy dał hasło do pochodu, by miasto wziąć szturmem, książę burgundzki opuścił obóz z resztką francuzkich wojowników. Wtedy wszystko już było stracone; gdy rycerz jeden wskazywał Ryszardowi Jerozolimę, ten spuścił szyszak na oczy, mówiąc ze łzami: »Panie nie dozwalaj mi oglądać swojego miasta, ponieważ nie potrafiłem go oswobodzić.« Po czém zabrał się do powrotu.

Ściśle biorąc była to ostatnia wyprawa rzeczywiście krzyżowa. To silne starcie się dwóch części świata zbliżyło je do siebie. Pola Akry stały się niejako węzłem ich ludów, tu zmierzyły one swoje siły, tu w codziennych potyczkach bliżéj się poznały. Obóz chrześciański stał się zwolna miastem do którego kwapili się kupcy obudwóch wyznań i chętnie się między sobą ocierali. Co większa, z każdéj strony nie tyle już okazywano nienawiści ku nieprzyjaciołom, ile wzajemnie między sobą. Dla Ryszarda nieznośniejszym był Filip jak Saladyn, sułtan zaś większą czuł odrazę od Alidów, jak od chrześcian. Odtąd wielkie wyprawy chrześcian pod nazwą krzyżowych przedsiębrane, więcéj miały na celu Konstantynopol, Egipt, lub jakikolwiek inny kraj raczéj, nie ziemię świętą.

Ryszard w powrocie do swoich krajów powziąwszy wiadomość o stanie rzeczy, nie chciał przebywać Francyi, puścił się więc przez Niemcy. Lecz choć skrycie podróż odbywał, w towarzystwie jednego tylko sługi umiejącego po niemiecku, przecież po wyszywanych rękawiczkach i saraceńskim szyszaku poznany w Austryi, przytrzymany został przez tegoż Leopolda, który nie zapomniał zajścia pod Akrą i Askalonem. Następnie wydał go książę cesarzowi Henrykowi VI, z warunkiem, iż będzie miał część swoję wykupu. Było to prawo średnich wieków, wędrownik bez pozwolenia pana przebywający jego dziedzinę, schwytany, stawał się jego własnością. Cesarz byłby chętnie zatrzymał Ryszarda; zniszczywszy Normandów sycylijskich, byłby tym sposobem zniszczył i angielskich, bez względu na rycerza świętéj wyprawy; tém bardziéj że Filip wraz z bratem Ryszarda takiż sam okup ofiarowali, jakiego cesarz od

Ryszarda domagał się. Lecz papież wdał się w tę sprawę, Eleonora się odezwała za swoim synem, i baronowie niemieccy ujęli się za rycerzem ziemi świętéj. Uwolnił go więc cesarz odebrawszy sto pięćdziesiąt tysięcy grzywien srebra i przysięgę lenniczą z tytułu króla arelateńskiego.

Wrócił więc Ryszard (1194) po trzynasto-miesięcznéj niewoli, królem arelateńskim, lennikiem cesarstwa, lecz zubożony. Wszyscy spodziewali się wojny okropnéj, wojny zemsty, ale niedostatek w skarbie złagodził serce Ryszarda. Pogodził się z bratem, a lubo rozpoczął wojnę z Filipem, słabo ją atoli popierał i wnet zawarł przymierze naglony buntem Akwitańczyków. Wkrótce przy oblężeniu zamku Chaluz, w którym wielkich spodziewał się skarbów, ugodzony strzałą poległ (1199), zostawiwszy wolne pole Filipowi. Następcą swoim oznaczył Artura księcia Bretanii, synowca swojego, mimo to wszakże Jan tron odziedziczył.

ROZDZIAŁ VIII.

ZATARGI KRÓLA FILIPA Z KRÓLEM JANEM — CZWARTA WYPRAWA KRZYŻOWA — KRUCYATA PRZECIW ALBIGENSOM.

Gdy Henryk skłonił się do przyjęcia okupu i wyzwolenia Ryszarda, Filip zawiadomiając o tém Jana napisał do niego; »Miéj się na baczności, już djabeł spuszczony z łańcucha.« Aż nadto dobrze korzystał Jan z przestrogi, bo nie tylko upokorzył się przed bratem, ale nadto dla przypodobania się jemu, osadę francuzką w Evreux wymordować rozkazał; to oburzyło Filipa i odtąd zaciętym został jego wrogiem. Skoro więc po śmierci Ryszarda Jan ujął berło Anglii, wnet wywiązało się między nim a Filipem pasmo zatargów zgubnych dla króla Anglii, a tém samém wznoszących potęgę króla Filipa. Ważniejsze

sprawy zatrudniły na czas niejaki króla Francyi, zostawując kilka chwil swobodnych królowi Janowi.

Jeszcze w roku 1193 król Filip szukając sprzymierzeńca przeciw groźnéj potędze Ryszarda pojął za żonę Ingeburgę, siostrę króla duńskiego; tymczasem nieodgadniona dotąd tajemnica zniszczyła rachubę króla i nie małych trosków stała się mu przyczyną. W dniu koronacyi młodéj i pięknéj królowéj Filip spojrzawszy na nią zbladł nagle i ledwie mógł doczekać końca uroczystego obrzędu. W trzy miesiące późniéj zebrany synod biskupów francuzkich w Compiègne wyrzekł nieważność małżeństwa, na mocy wykrytego spowinowacenia króla z jego małżonką. Królowa nie chciała wracać do Danii, lecz osiadła w klasztorze flandryjskim w Cisoing, po za obrębem posiadłości królewskich i od postanowienia synodu odwołała się do Rzymu. Filip zaś w trzy lata późniéj pojął za żonę córkę księcia niemieckiego piękną Agnieszkę de Meranie. Dotąd wszystko szło pomyślnie, lecz w roku 1198 na stolicę apostolską wyniesiony został Innocenty III i w téj chwili zmieniła się postać rzeczy. Papież nieprzyjaciel nadużyć, baczny stróż sprawiedliwości, kazał na nowo rozpoznać wyrok synodu biskupów francuzkich, uznał go niesłusznym i królowi rozkazał opuścić Agnieszkę, a przyjąć Ingeburgę prawną małżonkę. Filip który dotąd nikomu nie uległ, odrzucił wprost postanowienie papiezkie, w skutek którego nastąpił interdykt, nie na samego króla, lecz na cały kraj rzucony. Z początku Filip uporną rozpoczął walkę. Ingeburgę, niewinną przyczynę tych niesnasek, zamknął w więzieniu w Etampes, zaczął prześladować duchowieństwo, ciemiężyć dobra kościelne; wnet atoli postrzegł że upor na nic mu się nie przyda, po ośmiomiesięcznym więc interdykcie oddalił Agnieszkę, sprowadził do dworu Ingeburgę (1200), lecz obchodził się z nią jak z obcą osobą. Agnieszka w kilka tygodni umarła, spokojność wróciła do kraju, a król mógł swobodnie zamiary swoje względem Jana rozwijać.

Artur, pretendent do tronu angielskiego i z mocy prawa po ojcu swoim Gottfriedzie drugim synu Henryka II i w skutek

ostatniéj woli Ryszarda, stał się narzędziem Filipa. Naprzód nadał mu inwestyturę hrabstw Poitou, Maine i Andegawii, mieszcząc go tym sposobem na pierwszéj straży wojennéj wyprawy przeciw Normandyi. Artur miał podówczas lat szesnaście. Król Jan odgadnął cel Filipa i postanowił jak najprędzéj skończyć z Arturem. Niespodzianie wpadł z wojskiem do Poitou, dostał do rąk Artura i osadził go w wieży zamku Rouen (1202). Tu w kilka miesięcy nagle zniknął jeniec: co się z nim stało? nikt tego z pewnością nie wie; ale Akwitańczycy za nadto wielkie w młodym księciu położyli nadzieje, aby mieli poprzestać na téj niepewności. Naprzód więc szeptano sobie do ucha że zginął z rozkazu króla Jana; następnie wieść się rozeszła że go stryj własną ręką życia pozbawił i przywiązawszy kamień do szyi w nurtach Sekwany zatopił. Wreszcie kapelan króla Filipa opowiadał, jak gdyby na własne oczy widział, że Jan wziął Artura na statek, że go dwa razy pchnął sztyletem, że o trzy mile od Rouen rzucił w Sekwanę. Bretańczycy zaś całą scenę tego wydarzenia zbliżali do granic swojego kraju, twierdząc że to się stało niedaleko Cherburga, u stromych brzegów morza, które tyle zgubnych przedstawiają otchłani. A tak podanie przechodząc od ust do ust, nowe coraz przybierało szczegóły, większéj nabywało dramatyczności.

Wyborne było to zdarzenie dla króla Filipa: cała Bretania wzięła się do broni, przyjaciele Artura wzywali sprawiedliwości króla francuzkiego, który jéj nie odmówił. Król Jan jako wazal, wezwany został przed sąd prałatów i baronów, których zwyczajem dawnym parami (*) nazywał Filip. Nie stawił się

(*) Parowie (Pairs) od wyrazu łacińskiego *par* (równy), tak nazwani, tworzyli najwyższą przyboczną radę króla i sąd najwyższy, osobliwie też w sprawach wazallów. Było ich dwunastu, sześciu duchownych, sześciu świeckich. Duchowni parowie byli: arcybiskup reimski, biskupi Langres i Laon z tytułem książąt, biskupi z Beauvais, Noyon, Châlons sur Marne z tytułem hrabiów. Do świeckich należeli książęta Normandyi, Gwienny i Burgundyi, hrabiowie Flandryi, Tuluzy, Szampanii. Po wcieleniu pro-

Jan, nie ufając sprawiedliwości tak interessowanego sędziego, zwłaszcza, że Filip posyłał mu list bezpieczeństwa na przyjazd do Paryża, powrót zaś miał zależéć od wyroku parów. Zebrany przeto sąd wydał wyrok zaoczny nakazujący konfiskatę Normandyi i wszystkich posiadłości Jana we Francyi na korzyść korony francuzkiéj. Dotąd wszystko miało pozór igraszki, Jan téż żartował sobie i w zamku Rouen grał w kostki, lub bawił się wesoło przy boku młodéj małżonki Izabelli Angoulême; lecz gdy zebrani parowie z szablą w ręku popierać wykonanie wyroku swojego postanowili, wtedy sprawa groźniejszą postać przybrała. Normandya naciśnięta zbrojnemi ze wszech stron hufcami, od strony Bretanii, Andegawii, Maine i Vexin, nie mogła stawić czoła tylu razem nieprzyjaciołom. Jan trwogą zdjęty, nie sądząc się bezpiecznym w Rouen, dopadł statku, na którym się do Anglii przeprawił. Tu przedzielony morzem od swoich nieprzyjaciół, swobodniéj odetchnął i weseléj mógł się

---

wincyj lenniczych do korony królowie nadawali godność parów znakomitym familiom w nagrodę zasług. Wtedy nie było wazallów, a tém samém i sporów między nimi, parowie przeto zajmowali miejsce w parlamencie paryzkim, ilekroć ważniejsze sprawy pod rozstrzygnięcie parlamentu przychodziły. Godność parów, zniesioną w czasie rewolucyi, przywrócił Ludwik XVIII (1814), lecz jako osóbną władzę prawodawczą, tak zwaną izbę parów, czyli wyższą. W zmianach 1830 utrzymano izbę parów, ale parostwo przestało być dziedziczne. W wywodzie nazwy i epoki ustanowienia parów nie zgadzają się historycy. Już to jest niewątpliwe, że nazwisko wzięte od wyrazu *par*, lecz nie ma pewności, czy się ma rozumiéć *par regi*, równy królowi, czyli raczéj *pares inter se*, równi między sobą. Zdaje się, że pierwsze stosuje się bardziéj do parów angielskich, drugie do parów francuzkich, tém bardziéj że ci ostatni od najdawniejszych czasów mieli tytuł Pairs de France. Ci którzy ustanowienie parów przypisuią Karolowi Wielkiemu nie składają na to przekonywających dowodów, tém mniéj ci, którzy to Hugonowi Kapetowi przyznawają. Pierwszy raz występujących parów w całéj okazałości widzimy przy koronacyi Filipa Augusta (1179), trzymali wtedy insignia koronacyjne, co się późniéj stało przywilejem parostwa. Sprawa króla Jana, jako normandzkiego wazalla, była pierwsza w któréj parowie wyrokowali.

bawić. Tymczasem najemne żołdactwo jakby od niechcenia broniło posiadłości książęcych, król Filip zajął kraj cały i ostatnie zamki Rouen, Arques i Verneuil obsaczył. Rouen stolica Rollona i Wilhelma zdobywcy, dotąd dzielna spółzawodniczka Paryża, silny opór stawiła. Do ostateczności przywiedzeni mieszkańcy zawierają rozejm na dni trzydzieści, z warunkiem poddania się jeżeli w tym przeciągu czasu nie uzyskają pomocy. W tym celu jak najśpieszniéj wyprawiają posłów do Anglii. Właśnie król Jan grał w kostki, czy w szachy, gdy weszli posłańcy normandzkiéj stolicy, zatrzymał ich póki nie dokończył gry, a potém wysłuchawszy ich przedstawienia: »Ja nic nie poradzę, rzekł, brońcie się jak możecie.« Miasto się poddało. Tak więc Normandya przez dwieście dziewięćdziesiąt dwa lat niepodległa (912—1204) wcielona została do posiadłości koronnych.

Na tak dogodnéj drodze nie zatrzymał się Filip, szybko postępował daléj: zajął Andegawią, Piktawią, Touraine; w Saintonge i Angoumois rozłożył swoje wojska. Zagrzęzły w zbytkach i rozkoszach Jan otrząsnął się przecież ze swojéj gnusności i z liczném wojskiem wylądował w Roszelli. Ludzie południowi nie bardzo życzliwi królowi północnemu, powstali przeciw szerzącéj się jego władzy i wydarli mu kilka miast świeżo zdobytych. Na uporną zdawało się zanosić wojnę, gdy papież dobro ogólne chrześciaństwa mający na celu, położył kres zatargom z osobistych widoków wynikłym, aby oręż chrześciański na obronę ziemi świętéj i przeciw szerzącemu się kacerstwu obrócić. Za wdaniem się stolicy apostolskiéj Filip zawarł rozejm (1208), zatrzymał dotychczasowe zdobycze, a z dalszemi czekać jeszcze postanowił.

Na wschodzie ustawnym bojem znużone obiedwie strony zawarły rozejm na czas niejaki: rycerze zachodni stracili nadzieję pomyślnego skutku wyprawy, w któréj bohatyr ich, Ryszard lwie serce, niczego dokazać nie zdołał; lecz raz dany popęd nie łatwo się mógł zatrzymać, tém bardziéj gdy co chwila nowe znajdował podniety. Polityka pokusiła się ciągnąć korzyści z świętego zapału, barwą pobożności zdobiąc dumne zamachy.

Henryk VI sam głosił krucyatę w Worms, chcąc odpokutować, jak mówił, za więzienie Ryszarda. Zapał był niewypowiedziany, mnóstwo książąt niemieckich przyjęło krzyż. Znaczna część znaną już przez Carogrod puściła się drogą, resztę przekonał cesarz, że Sycylia jest najwłaściwszym gościńcem do ziemi świętéj. Przy dzielnéj pomocy krzyżackich rycerzy owładnął Henryk królestwo sycylijskie, dziedzictwo swojéj żony, ztąd zamyślał greckie posiąść cesarstwo, a wtedy całe Włochy byłyby władzy jego uległy. Tak wielkie zamiary śmierć zniweczyła.

Marzenia Henryka względem państwa greckiego urzeczywistniła czwarta krucyata sposobem nieprzewidzianym. Śmierć Saladyna zerwała rozejm przez niego zawarty, nowe rozpoczęły się walki w ziemi świętéj; w téj chwili na stolicę apostolską wyniesiony Innocenty III był właśnie jednym z tych rzadkich geniuszów, których opatrzność zsyła na świat, by ludzkości drogę szczęścia i zbawienia torowali. Zawiścią uwiedzeni, lub lekkomyślnością zbłąkani dziejopisarze w fałszywych kolorach malują obraz tego papieża; tymczasem bacząc na epokę w któréj żył, na ludzi i okoliczności go otaczające, sprawiedliwa historya składa mu hołd należny za to co zdziałał dla religii, moralności i w ogóle dla dobra świata. W czasach panowania wyuzdanych namiętności nic dziwnego, że i najlepsze nie raz chęci, przez niebaczne wykonanie, przeciwne zamierzonym wydały skutek, same przecież usiłowania w dobrém, bez względu na wypadek, już na wdzięczność zasługują.

Najgorętszém i prawie jedyném życzeniem nowego papieża było, nieść pomoc chrześcianom wschodnim, odzyskać miasto święte. W tym celu pięciu zarazem upoważnił kaznodziejów do głoszenia krucyaty. We Francyi północnéj Foulques de Neuilly, świątobliwością życia równie jak dzielnością wymowy zalecony, powszechny obudził zapał. Na jego wezwanie mnóstwo rycerzy przyjęło krzyż, najznakomitszym zaś między nimi był hrabia Szampanii, władca tysiąca ośmiuset włości lennych. Do jego to wazallów należał marszałek szampański Gottfried Villehardouin, spólnik téj wielkiéj wyprawy i zarazem jéj dzie-

jopis; pierwszy podróżnik francuzki i pierwszy historyk w języku francuzkim. Wazallem także hrabiego szampańskiego był pan na Joinvillu, który późniéj nieco opisywał wyprawę Ludwika Ś. i koniec wojen krzyżowych.

Nieszczerém postępowaniem cesarzów wschodnich zrażeni rycerze zachodni, nadto unikając trudów pochodu przez Azyą mniejszą, zarzucili już drogę przez Konstantynopol i morzem wprost do ziemi świętéj zdążać postanowili. Wenecya w téj wyprawie miała być punktem zebrania się. Kupiecki rząd nie opuścił bez korzyści tak dogodnéj pory: ośmdziesiąt pięć tysięcy grzywien srebra trzeba było złożyć za koszta przewozu, a lubo papież sprzedał srebra stołowe, na drewnianych i glinianych przestając naczyniach, rycerze złożyli swoje klejnoty, przecież i tak jeszcze brakło trzydziestu czterech tysięcy grzywien, bez ktorych ruszyć z miejsca nie można było. Tymczasem napływ rycerstwa zaczął niepokoić Wenecyan: wtedy ośmdziesięcioletni Dandolo, doża ówczasowy, godząc interes kraju z niedostatkiem wyprawy, przedstawił rycerstwu, że na rachunek braknącéj summy wyboczą z drogi na chwilę dla opanowania Zary, miasta dalmackiego, które władzy królów węgierskich ulegało. Naprożno legat papiezki opierał się temu, bezskuteczne były najsurowsze zakazy papieża, znudzeni przewłoką rycerze przyjęli warunek, a stary Dandolo przyczepiwszy krzyż na książęcą mitrę siadł na okręt, by kierować zdobyciem miasta chrześciańskiego przez wojsko wyprawy świętéj. Pierwszy to był przykład zwrócenia krucyaty do celu wbrew jéj przeciwnego.

Gdy pod murami Zary chrześciańscy rycerze krwawym bojem dopłacają należności przeprawy do ziemi świętéj, »Oto zdarza się, mówi Villehardouin, dziw wielki, wypadek nadzwyczajny i wcale niespodziewany. Młody książę grecki, syn Jzaaka cesarza strąconego z tronu przez zabiegi brata, przybywa do obożu krzyżackiego błagając o pomoc dla swojego ojca. Dwakroć sto tysięcy grzywien srebra, pomoc Greków w zdobyciu Jerozolimy, uznanie władzy papieżów, miało być nagrodą pomocy. Dandolo najpierwszy przyjął warunki i nie trudno mu

było skłonić rycerstwo do rozpoczęcia wyprawy świętéj od zdobycia Konstantynopola. Oparł się temu Simon Montfor i z garsztką rycerstwa odłączywszy się, popłynął wprost do Palestyny. Papież rzucił klątew na rycerzy gotujących się do wyprawy przeciw chrześciańskiemu państwu, lecz myśl zjednoczenia kościoła greckiego przeważyła klątwę, i większość rycerstwa pod naczelnictwem Bonifacego, margrabiego Montferratu, a kierunkiem weneckiego doży udała się do Konstantynopola. Zuchwałe było to przedsięwzięcie; Villehardouin liczy dwadzieścia tysięcy rycerstwa, a Grecy, dodaje, mieli czterykroć sto tysięcy wojska. Ztémwszystkiem nie pierwszy to przykład w dziejach, że liczba ludzi nie stanowi siły państwa. Na odgłos zbliżającego się rycerstwa niesłychana trwoga opanowała umysły mieszkańców stolicy wschodniego cesarstwa, na każdéj stronnicy historyi Nicetasa widocznie pokazuje się strach poprzedzający szeregi krzyżaków. W jedném miejscu rycerzów zachodnich nazywa ludźmi z bronzu, w inném daje im imię aniołów niszczycieli, przywódcy ich, mówi, olbrzymim wzrostem równają się ze swojemi dzidami. Przy takiém usposobieniu umysłów opór nie mógł być silny, za pierwszym szturmem przywłaszczyciel strącony z tronu, Izaak wydobyty z więzów odzyskał berło (1203).

Nie na tém wszakże był koniec wyprawy, trzeba było dopełnić warunków, które do jéj przedsięwzięcia skłoniły rycerstwo. Młody Alexy który je podał w imieniu ojca swojego Izaaka w smutném ujrzał się położeniu, nie mogąc dotrzymać przyrzeczeń. Ztémwszystkiém chcąc ile możności zaspokoić niesfornych obrońców swoich, kazał stopić naczynia kościelne, obrazy świętych, by zebrać obiecane dwakroć sto tysięcy grzywien. Patryarcha z ambony musiał ogłosić ludowi zgodę z papieżem, a lud uciśniony żywił krzyżaków. To wszystko oburzało lud przeciw łacinnikom, jak nazywano chrześcian zachodnich, odstręczało umysły od przywróconego przez nich cesarza, który z resztą równie był niedołężnym jak i poprzednik jego. Do tych powodów niechęci, niesforność krzyżackich wojowników co dzień nowe dostarczała. Flamandczycy wdali się w kłó-

tnię z żydami, przy czém wszczął się pożar w części miasta najludniejszéj, niewiadomo ręką Greka czy Łacinnika rozniecony: trwał dni ośm i niemal połowę miasta w gruzy zamienił. To nieszczęście dopełniło miary oburzenia ludu. Alexy Dukas Murzuphles książę rodziny cesarskiéj, odważny i czynny, szanowany od Greków, lecz razem straszny dla nich ilekroć zmarszczył gęste i szerokie brwi, mniemał, że to była chwila podźwignienia godności cesarskiéj znienawidzonéj od ludu, lekceważonéj od łacinników, a prawie zdeptanéj przez Wenecyan (*). Usunąwszy więc Izaaka cesarza wraz z jego spółrządcą, uchwycił berło pełen otuchy świetniejszéj przyszłości. W istocie, gdyby jeszcze iskra życia tlała w państwie greckiém, Murzuphles byłby jedynym do jéj rozniecenia. Odrzucił ze wzgardą warunki Wenecyan chytrze skłaniających się do przyjęcia pieniężnego wynagrodzenia, które niezawodną zgubę mu rokowało, czyniąc go w oczach ludu równie nienawistnym jak był poprzednik. Nowy cesarz ściągał pieniądze, lecz na wojnę, nie na okup, uzbroił flottę, po dwakroć usiłował podpalić okręty weneckie. Łacinnicy ujrzeli się wielkiém zagrożeni niebezpieczeństwem. Czynny, roztropny, szlachetnym ożywiony zapałem Murzuphles, wszędzie był obecny, lecz na nieszczęście wszędzie sam jeden, nawet wśród licznych i z przepychem uzbrojonych zastępów. Świadek naoczny tych wypadków i naiwny ich dziejopisarz Nicetas wspomina, że w czasie wycieczki, któréj sam cesarz przywodził, Piotr Bacheux, rycerz francuzki, sam jeden na całą armią grecką uderzył, godząc wprost na Murzuphla. Trwogą zdjęci greccy wojownicy pierzchnęli bez ładu na widok rycerza, który im się wydał olbrzymem najmniéj pięćdziesiąt stóp wysokim. Taka nikczemność greckich żołnierzy przeko-

(*) Alexy, syn i spółrządca Izaaka cesarza, musiał podzielać obozowe biesiady Wenecyan, na jednym z takich bankietów podochocona starszyzna wenecka grającemu w kostki Alexemu, zdejmowała koronę z głowy, wkładając wełnianą majtków czapeczkę, wśród kucznych śmiechów całéj rzeszy.

nała Murzuphla o niepodobieństwie oporu, opuścił więc miasto, które bez wielkich trudów opanowali krzyżacy.

Łacinnicy tak pewni byli zwycięztwa, że nim poszli do szturmu pierwéj ułożyli się o podział zdobyczy. Po wzięciu miasta nielitościwy nastąpił rabunek. Złoto i srebro, klejnoty i drogie materye, gdziekolwiek się znajdowały, przeszły w ręce zdobywców. Z kościołów zabierano relikwie świętych, ściągano posągi bronzowe, pomniki dawnéj sławy i potęgi Rzymu. Mnostwo kosztownych zabytków kruszyło się w rękach o ich posiadanie walczących. Wreszcie, gdy przyszło do ogólnego działu zdobyczy, okazało się, że prócz tego, co kto mógł zataić, co odliczono na spłacenie reszty należności Wenecyanom, zostało jeszcze pięćkroć sto tysięcy grzywien srebra, i około dziesięciu tysięcy bogatych rynsztunków.

Skoro minęło pierwsze upojenie radości z tak łatwéj zdobyczy, zaczęto myśléć, kto na opróżnionym tronie zasiądzie, czyim udziałem być ma zaszczyt odnowienia cesarstwa, lub założenia nowego władztwa. Najdogodniejszym zdawał się być stary Dandolo; nie zgadzało się to wszakże z duchem rzeczypospolitéj; a prócz tego Wenecyan sława mało obchodziła, szukali oni korzyści, to jest portów, składów, pasma kantorów, aby tym sposobem zapewnić sobie drogę wschodniego handlu; w tym celu zajęli na swój kupiecki rachunek wyspy i wszystkie wybrzeża, z ośmiu zaś cyrkułów Konstantynopola trzy tylko owładnęli, przybrawszy dziwaczną nazwę *panów ćwierci i pół państwa wschodniego.* Tytuł cesarza wraz z czwartą częścią państwa dostał się Baldwinowi hrabiemu Flandryi, potomkowi Karola W. spowinowaconemu z familią króla francuzkiego. Reszta podzielona na sztuki rozdana losem panom francuzkim. Ludwik hrabia Blois został księciem Nicei, Reinhard de Trit księciem Philipopolis, Burgundczyk Otto de la Roche księciem Teb i Aten, Gottfried de Villehardouin, synowiec kronikarza, otrzymał w dziale Achają, Sycyon i Miceny. Z panów włoskich jeden tylko Bonifacy margrabia Montferatu został królem Macedonii. Kandyą zaś za trzydzieści funtów złota sprzedał

Wenecyanom. Nowe cesarstwo łacińskie przez Francuzów opanowane, na wzór francuzki urządzone zostało, wszyscy książęta, hrabiowie i baronowie, Baldwinowi lenniczą złożyli przysięgę. Wkrótce atoli państwo łacińskie podobnymże kolejom losu uległo, jak i cesarstwo greckie; pokazało się niedługo że łatwiéj było wydrzéć władzę Grekom, jak bronić granic od napaści Bulgarów. Francya w pierwszéj wyprawie krzyżowéj zaniosła swój język i zwyczaje do Palestyny; w téj wyprawie upowszechniła mowę swoję w Grecyi, a obok niéj słynną od wieków ogładę francuzką. Cesarstwo łacińskie w rzędzie mocarstw świata nie dłuższym cieszyło się bytem od królestwa Jerozolimskiego (*), a przecież Montaner Katalończyk zapewnia, że w początkach czternastego wieku, w księztwach Morei i w Atenach tak dobrze mówiono po francuzku jak w Paryżu. Ale téż na tém kończył się cały zysk Francyi, innéj ona korzyści z téj wyprawy nie odniosła; Wenecya za to niezmierne materyalne osiągnęła pożytki, jéj duchem owładnięta krucyata dla niéj tylko działała, przez tę właściwie wyprawę kupieckie Wenecyan państwo wzniosło się do téj potwornéj potęgi, która dość długo podziwem była świata.

Innéj wcale natury była wyprawa krzyżowa we Francyi, przeciw Francyi głoszona, następstwa jéj daleko ważniejsze były dla Francyi. Wyprawa ta uzyskała dziwny tytuł krucyaty przeciw Albigensom, różnowiercom, tak zwanym od miasta Albi w Langwedocyi; ale też w tym zamęcie różnorodnych i dziwacznych opinij, trudno było cóś wybitniejszego odwikłać, i dla tego wszystkie razem, jakkolwiek między sobą sprzeczne, przecież w nienawiści ku katolikom zgodne wyznania, od miasta, spólnego ich ogniska, mianowano. Nie byli to pojedynczo występujący sektatorowie, lecz kościół cały, który się zawiązał

(*) Cesarstwo łacińskie w 1204 roku powstałe, upadło w roku 1261. Księztwo Nicei rok ledwie przetrwało, gdy książę Ludwik w walce z Bulgarami poległ 1025.

przeciwny katolickiemu kościołowi. Groźne to było dla religii, moralności i w ogóle dla kraju niebezpieczeństwo. Imię kapłana zniewagą okryte, dobra kościelne rozszarpane. Jeżeli gdzie katolicki missyonarz odważył się głos podnieść, wnet go stłumiły wrzaski szydercze, ani go przekonywająca wymowa, ani świątobliwość życia nie zasłoniła; sam święty Bernard nie uszedł ich szyderstwa. Taki był stan opłakany kościoła katolickiego w Langwedocyi.

Na samym wstępie trzynastego wieku walka religijna była nieuchronna. Odszczepieńcy południowi podnieśli zuchwałą głowę: bez względu na różne odcienia w zdaniach utworzyli kościół, zaprowadzili hierarchią, któréj stolicą była Tuluza. Na wszystkie strony rozsyłali zapalonych missyonarzy; nauka wznowicieli wkradła się do najodleglejszych krain, zaczęła się krzewić w Pikardyi, Flandryi, Niemczech, Anglii, Lombardyi, Toskanii, u bram samego Rzymu w Viterbo. Obok tego wszakże dziwaczne manichejskie zasady nie zgadzały się ze zdrowym rozsądkiem większéj massy ludu. Przypuszczać dwa różne pierwiastki, złego i dobrego, osóbnego dla każdego z nich marzyć twórcę, było toż samo co szatana wprowadzić do nieba i równać z Bogiem; takowe obłąkanie, takowe bluźnierstwo oburzało prawych chrześcian. Nie sama wszakże mniemań religijnych różność była podnietą krwawéj i zaciętéj walki: zbieg różnych okoliczności, częstokroć zupełnie odrębnych, bez związku z głównem dążeniem, zwolna pierwéj kołysze namiętnościami ludzkiemi, nim je do wielkiéj burzy przygotuje, w niepohamowane stoczy fale. Pospolite jest mniemanie, że różnowiercy w średnich wiekach okropnego doznawali prześladowania: tak było w istocie, omyłka tylko zachodzi w wykazaniu przyczyn. Pierwsze przykłady prześladowania wychodziły z łona różnowierców. Słabi w pierwszym zawiązku pokryjomu błędy swoje rozszerzali, skoro zaś ujrzeli się dość silnymi, gwałtem narzucali swoje zdania, w przekonaniu, że godziwym jest przymus nawrócenie do prawéj wiary mający na celu. Wojenny charakter wieków średnich i w sporach religijnych wybitnie się

objawia, obiedwie strony rozburzone, nie przebaczyły sobie nawzajem, zwycięzcy lub zwyciężeni, prześladujący lub prześladowani z zaciętością walczyli. Nie były to pierwsze wieki chrześciaństwa, w których męczennicy wiary spokojnie pod miecz prześladowców głowy swoje poddawali. Ztémwszystkiém nie tając uchybień oddajmy świadectwo prawdzie, powiedzmy na zaletę katolicyzmu, że nie będąc wyzywającą stroną, długo doświadczał wszelkich dróg, by zbłąkanych przekonać i łagodnością zniewolić. Cystersi, odrośl benedyktyńskiego zakonu, nauką i świątobliwém życiem zaleceni, z rozkazu papieża raz po raz wysyłali missyonarzy do miast kacerstwem zarażonych. Z niebezpieczeństwem życia, z narażeniem się na rozliczne obelgi, usiłowali bogobojni kapłani nawrócić różnowierców. Z polecenia także papieża religijne prace podzielali z Cystersami biskup z Osma i Ś. Dominik, twórca inkwizycyi świętéj, która w ręku polityki tak straszną się późniéj stała. Był on synem szlachetnych kastylijskich rodziców nadzwyczaj pobożny i litościwy, obdarzony wymową i najtwardsze serce do łez poruszyć zdolną. Jeszcze był uczniem w Palencyi, gdy w czasie wielkiego głodu sprzedał wszystko co miał, książki nawet najpotrzebniejsze, i zebrane pieniądze oddał na wsparcie biednych. Posłyszawszy że uboga wdowa z nędzy ginąćby musiała, porzuciwszy Albigensów, gdy nic nie miał na jéj wsparcie, chciał się w niewolę zaprzedać, by jeszcze i tę duszę zbawić.

Cała ta gorliwość, wszelkie usiłowania były bezskuteczne. Najdzielniejsza wymowa, najgruntowniejsza loika, wstrzymać wezbranego potoku nie zdołała. Piotr Castelnau, za to że hrabiemu Tuluzy chytrość wyrzucał na oczy, legł pod morderczą ręką; Ś. Dominik łaskawszych dla siebie znalazł kacerzy, nie czyhali oni na jego zgubę, dość było dla nich, gdy go błotem zbryzgali, gdy mu na pośmiewisko ludu słomiane z tyłu przyczepiali warkocze. Raymund VI hrabia Tuluzy, podpora kacerzy, pojednawszy się z dawnémi wrogami swojéj familii: królem aragońskim, hrabią niższéj Prowancyi, królem angielskim i zarazem księciem Gwienny, nie lękał się niczego, wszelkie

złamał względy. W wojnach Langwedocyi z wyższą Prowancyą, hrabia ciągle utrzymywał brabanckich jurgieltników, których kościół potępił. W pochodach wojennych nie oszczędzał dóbr ani świeckich, ani duchownych, nie baczył ani na święto, ani na wielki post, wypędzał biskupów, a otaczał się kacerzami i żydami.

Do oburzenia przeciw różnowiercom nie mało przyczynili się jurgieltnicy wojenni różnych panów, po większéj części z Brabantczyków, Akwitańczyków i Basków zebrani. Górale południowi, którzy dziś zstępują z gór swoich do Francyi lub Hiszpanii dla zarobienia kilku groszy swoim drobnym przemysłem, wędrowali podobnież i w wiekach średnich, lecz wówczas jedynym ich przemysłem była wojna. Najemne żołdactwo zkądkolwiek pochodziło, równie było uciążliwe dla księży jak i wieśniaków. Nikczemnicy stroili żony swoje w poświęcone ubiory kościelne, bili księży, zmuszając ich do śpiewania mszy na pośmiewisko; łamali krzyże, bezcześcili wizerunki świętych. Pożądane to przecie było wojsko, właśnie dla téj bezbożności, kary bowiem kościelne obojętne były dla niego; lecz jakżeż straszna była wojna, toczona przez ludzi bez wiary i ojczyzny, przed którymi kościół nawet nie mógł ochronić; a jeszcze opłakańszy był stan kraju po skończonéj wojnie, gdy rozpuszczeni jurgieltnicy bez żołdu, bez wodza, kradli, łupili, mordowali gdzie im się zdarzyło. Kiedy lud udręczony ich łotrostwem utworzył bractwo kapturowe (des capuchons) na ich wytępienie, a Filip August wsparł wojskiem swojém usiłowania bractwa, wtedy w jednéj tylko obławie dziesięć tysięcy jurgieltników wymordowano.

Bezbożność takowego żołnierstwa ze srogością połączona, jakież wyobrażenie mogła tworzyć w umysłach ludu północnéj Francyi o mieszkańcach południa, skoro zaczęto głosić że się odszczepili od kościoła, że nie szanują świętych, łupią kościoły. Wyprawy krzyżowe zbliżając wschód z zachodem, Europę z Azyą, rzuciły pierwszy zaród niechęci między południową a północną Francyą. W czasie tych wypraw lud północnéj Fran-

cyi pierwszy raz przypatrzył się dobrze południowi, i znienawidził je: raził go duch więcéj handlowy niż rycerski, dumna i pogardzająca zamożność, wytworność i płochość szydercza, tańce, zabawy i ubiory maurytańskie, postaci saraceńskie. Północnym wszystko się nie podobało w południowych, na ich pokarmy nawet ze wstrętem patrzyli, czosnek, oliwa i figi zdawały im się wskazywać mieszaninę krwi Maurów i Saracenów.

Gdy więc kościół wyczerpnął środki łagodności, bez żadnego skutku, a poniekąd z przeciwnym zamierzonemu wypadkiem, ozuchwalając upornych powolnością swoją, w końcu więc postanowił użyć nienawiści północnych przeciw południowym, krucyatę głoszoną przeciw niewiernym zwrócić przeciw kacerzom: kaznodziejami jéj byli Benedyktyni i Cystersi.

Raymund, hrabia Tuluzy, wielbiciel i zwolennik różnowierców, był ich główną podporą. Przeważna na południu potęga hrabiego ozuchwalała kacerzy: papież wprost do niego się udał z żądaniem, aby tamę złemu położył. Wśród tryumfów nad Rodanem odebrał Raymund groźny list Innocentego III, z szyderstwem odrzucił i groźby i wezwanie: papież rzucił klątew. Tak szybkie i energiczne postępowanie przeraziło hrabiego, uległ więc, ale bez zamiaru spełnienia przyrzeczeń. Piotr Castelnau, zakonnik, z rozkazu papiezkiego przypominał hrabiemu zobowiązanie i w żarliwém uniesieniu napomknął o chytrości układu. Raymund, nieprzywykły do znoszenia wyrzutów, nie mógł powściągnąć gniewu swojego i pogroził zemstą zakonnikowi, w podobnych zapewne wyrazach jak Henryk II Tomaszowi Becket. Skutek był ten sam: poświęcenie się lenników dla swojego pana nie dozwalało aby najmniejsze jego życzenie bez skutku zostało; ci których żywił mniemali, że do niego należą z duszą i ciałem, bez względu nawet na zbawienie wieczne. Jeden więc z rycerzy Raymunda doścignął Piotra Castelnau przy przeprawie przez Rodan i w kłótni rozmyślnie wszczętéj utopił mu miecz w boku. To było hasłem okropnéj wojny, papież bowiem przekonał się, że ani missye, ani groźby do niczego nie przyprowadzą, kazał więc natychmiast głosić krucyatę (1208).

Rycerze burgundcy, normandcy, andegawenscy, mnóstwo baronów Francyi (Isle de France), przyjęli z zapałem odezwę. Filip August nie mieszał się do téj wyprawy, spory z królem angielskim w inną stronę baczność jego zwracały. W krótkim czasie sto tysięcy zbrojnego rycerstwa stanęło pod murami Lugdunu, z krzyżem na piersiach, dla różnicy od wypraw do ziemi świętéj, w których rycerze krzyż na ramieniu przyczepiali. Nie było tam ani kobiet, ani dzieci, ani pielgrzymów, sam tylko lud zbrojny na wojnę dążący, zapalony namiętnościami ze wszech stron roznieconemi.

Walka nie byłaby łatwa, gdyby Raymund VI mógł był użyć wszystkich sił i zerwać wszelkie względy dla kościoła. Był on najpotężniejszym a zarazem i najbogatszym z władców południowéj, a podobno i całéj Francyi: Hrabia Tuluzy, margrabia wyższéj Prowancyi, pan Quercy, Rouergue i Vivarais, nabył Maguelonę; król angielski odstąpił mu Agenois, a król aragoński Gévaudan w posagu za siostrami swojemi. Jako książę Narbonny był lennodawcą Nimes, Béziers, Usez, hrabstw Foix i Comminges w Pireneach. Lecz nie mógł liczyć na szczere spółdziałanie wielu wazallów, a mianowicie wicehrabiego Béziers od dawna już w sporach z nim będącego; Tuluza zaś była pewnym rodzajem rzeczypospolitéj, nie zawsze po woli swojego hrabiego działającéj. Te okoliczności znagliły Raymunda do uległości, poddał się naznaczonéj sobie pokucie, i w kościele S. Idziego, w którym zwłoki Piotra Castelnau pochowane były, odebrał z rąk legata publiczną dyscyplinę, zobowiązał się osobiście przywodzić wyprawie, już teraz przeciw synowcowi swojemu, wicehrabiemu Béziers, skierowanéj.

Młody wicehrabia przygotował się do dzielnego odporu, uzbroił miasta i zamki, obsadził je rycerstwem, sam zamknął się w Carcassone. Lecz potęga krzyżowéj wyprawy zbyt przemagająca była: prócz mnóstwa panów francuzkich i burgundzkich, wielu także Niemców z sąsiedzkiéj Lotaryngii przyłączyło się do téj wyprawy. Najwaleczniejszymi, atoli i najbieglejszymi okazali się rycerze z Isle de France, a pomiędzy nimi Simon

Montfort. Rodzina tych Montfortów zdawała się być opętaną od okrutnéj dumy. Potomkowie Bertrady, która porzuciła pierwszego męża, hrabię andegaweńskiego, i połączyła się z królem Filipem I. o mało nie odziedziczyli korony francuzkiéj. Młodszy syn Simona Monfort miał już w ręku króla i królestwo angielskie, on to szukając szczęścia za morzem otworzył gminom angielskim drzwi parlamentu, w końcu atoli zwyciężony życie utracił. Simon Montfort, o którym wspomnieliśmy, dowódca krucyaty albigeńskiéj, był to stary wojak z wypraw krzyżowych, zahartowany w ciągłych utarczkach z niewiernymi. Wracając z ziemi świętéj, zastał wojsko czwartéj krucyaty w Wenecyi; nie chciał mu towarzyszyć do Konstantynopola, posłuszny rozkazom papieża, i to było podstawą jego wywyższenia. Zbyt srogi wykonawca woli kościoła, zalecał się cnotami prawdziwie rycerskiemi. Waleczny, obyczajów surowych, nieograniczonéj ufności w Bogu, dla najniższych ze swojego orszaku okazywał względy nieznane w czasie krucyat. Raz z rycerstwem swoim przebywszy wpław wezbraną rzekę, ujrzał że piechota i pielgrzymi pozostali na drugiéj stronie: natychmiast zwrócił koniem i w towarzystwie czterech lub pięciu rycerzy powrócił, bez względu na niebezpieczeństwo. »Niech Bóg broni, odezwał się, abym ja miał pozostać na miejscu bezpiecznem, wtedy gdy ubodzy w Chrystusie na oczywistą narażeni są zgubę.« Pozostał między niemi póki mostu nie naprawiono. I w téj tak krwawéj i zaciętéj wojnie nie jeden szlachetny rys charakteru Montforta zachowały dzieje.

Zebrane wojska stanęły pod Béziers, zażądano wydania kacerzy; mieszkańcy odrzucili żądanie i zrobili wycieczkę chcąc znienacka podchwycić oblegających zajętych rozłożeniem obozu; lecz odpór był tak silny ze strony krzyżaków, iż wycieczka pierzchła bez ładu, a za nią ścigający dostali się do miasta. »Tu się rozpoczęła rzeź jakiéj dotąd niewidziano, mówi spółczesny kronikarz, żadnego nie było przebaczenia, żadnego wyjątku, ani stan, ani wiek, ani płeć, nic nie zabezpieczało od zguby, żywa dusza nie została w mieście.« Nastąpił potém ra-

bunek a wreszcie podłożono ognie, które całe miasto pochłonęły. Była to zemsta zbyt sroga, mówi kronikarz langwedocki, zwłaszcza że hrabia nie był ani kacerzem, ani do żadnéj nie należał sekty.

Po zburzeniu miasta Béziers wyprawa zwróciła swój pochód do Carcassonne, gościńcem opustoszałym: cała bowiem ludność, ze wszystkiém co się zabrać dało, schroniła się w góry przed tą pożogą. Carcassonne na szczycie stroméj góry zbudowane, dość długo wytrzymywało oblężenie, wreszcie brak wody niepodobnym czynił dalszy opór; kobiety więc, dzieci i lud, który tu ze wsi okolicznych schronienia szukał, wysłał wicehrabia drogą podziemną z miasta, a sam żądał listu bezpieczeństwa, by mógł sprawy swojéj bronić przed sądem krzyżaków. Mówią że go podstępnie pojmano, pięciudziesięciu jeńców na szubienicy, czterechset na stosie życia dokonało. Ten początek wyprawy taki postrach rzucił na całą Langwedocyą, że mieszkańcy poopuszczali miasta i wioski, a wojownicy pierzchnęli z warowni, cały kraj zmienił się w rozległą pustynię.

Na tém się skończył pierwszy popęd krucyaty: ogłaszający żądali tylko wyprawy czterdziestodniowéj, jako służby lennéj: czas ten upłynął, rycerstwo wracało do domów. Trzeba było zostawić kogoś na straży zwycięztwa takiém zniszczeniem okupionego; gdy nikt przyjąć nie chciał niebezpiecznego zaszczytu, Simon Montfort, powzdragawszy się nieco, przyjął lenność Béziers, a z nią obowiązek ciągłéj krucyaty. Szczęściem dla niego wicehrabia, będący w jego ręku, wkrótce życia dokonał, osierocona więc lenność stała się poniekąd prawném Montforta dziedzictwem. Drzaźliwe atoli było jego położenie; wśród rozjątrzonego ludu pozostał sam z garsztką wojska, któremu wysoki żołd płacić musiał.

Hrabia Tuluzy pokutą w kościele Ś. Idziego odbytą okupił tylko niejaką przewłokę. Po upadku wicehrabiego Béziers, siły krucyaty zwróciły się przeciw Tuluzie. Hrabia Raymund korzystając z oddalenia się rycerstwa pierwszéj wyprawy, za nim Montfortowi nowe nadeszły posiłki, udał się do Filipa Augusta,

następnie do Rzymu, zapewniając papieża o czystości swojéj wiary. Tymczasem różnowiercy klęską Béziers i Carcasonne nauczeni, nie ufali żadnemu miastu, chronili się więc po warownych zamkach, w których waleczna szlachta z nimi się łączyła. Zamek Minerwy przy bramie Narbonny był ich głównym przytułkiem: oblegli go krzyżacy, zamknięci w nim różnowiercy ani się spodziewali, ani też nawet żądali litości, oblężenie więc było srogie i mordercze. Na nic się wszakże nie przydała odwaga, trzeba się było poddać: wtedy legat papiezki ofiarował przebaczenie każdemu, któryby się nawrócił. Jeden z krzyżaków począł szemrać przeciw temu warunkowi: »Nie troszcz się, rzekł mu legat, ani jeden się nie nawróci.« W istocie byli to sami *doskonali*, to jest najznakomitsi w hierarchii kacerskiéj, wszyscy więc, mężczyzni i kobiety, w liczbie stu czterdziestu osób, ochoczo sami pobiegli na stos. Podobnyż los spotkał drugie schronienie różnowierców w zamku Termes. Tu między skazanymi na stos znalazł się jeden nawracający się, lecz Montfort obstawał za spaleniem go, mówiąc: »Jeżeli zmyśla, tedy na stosie odbierze zasłużoną karę; jeżeli zaś rzeczywiście chce się nawrócić, tym sposobem odpokutuje za dawne grzechy.«

Widoczna rzecz była, że Montfort opanowawszy warowne zamki w górach zwróci się na równinę i uderzy na Tuluzę. Raymund przerażony żebrze pomocy po wszystkich stronach, udaje się do cesarza, do królów angielskiego, francuzkiego, aragońskiego; lecz każdy z tych władców własnemi zajęty sprawami nie mógł podać ręki hrabiemu. Król Filip wstawiał się do papieża, podobnież król aragoński. Ten ostatni chciał pozyskać Montforta, zezwalając na przyjęcie od niego hołdu z posiadłości wicehrabiego Béziers, prócz tego udał się z Raymundem do Arles na synod (1211) by się wstawić za nieszczęśliwym hrabią. Tu otrzymali warunki pokoju równające się wypowiedzeniu wojny. Król aragoński wrócił do krajów swoich a Montfort obległ Tuluzę.

Nieszczęściem dla Raymunda los Hiszpanii potęgą Almohadów zagrożonéj wymagał połączonych sił wszystkich książąt

hiszpańskich, i Don Pedro aragoński nie mógł się wyłamywać od uczestnictwa w tak ważnéj walce. Męztwo i wytrwałość Hiszpanów świetnym uwieńczone zostały tryumfem pod Tuluzą, walka plemion i wyznań skończona (1212), Hiszpania nowe życie rozpoczęła. Wtedy głos króla aragońskiego za swoim szwagrem nabył niejakiéj ważności, papież skłonił się do zgody z Raymundem, lecz Montfort i spólnicy jego, nadzieją korzyści zaślepieni, inaczéj rzecz przedstawili. Zebrał zatém Don Pedro znaczne wojsko i postępował na odsiecz Tuluzy. Mniéj wprawdzie liczne były hufce Montforta, ale w ciągłym boju zatwardziałe i wybornie uzbrojone: w tém zaufany wódz krzyżacki postanowił się zmierzyć z królem aragońskim. Gdy się obadwa wojska spotkały pod Muret, w blizkości Tuluzy, Montfort udał jakoby chciał uniknąć walki, zwrócił się więc a potém nagle uderzył na Aragończyków, rozbił ich szeregi i zupełne odniósł zwycięztwo ze stratą ośmiu tylko ludzi i jednego rycerza. Don Pedro poległ w téj bitwie i jak mówią, przeszło piętnaście tysięcy z wojsk jego zginęło (1213).

Zwycięztwo pod Muret podało całe południe w ręce naczelnika krucyaty; Raymund wraz z synem opuścił Tuluzę, która otworzyła bramy zwycięzcom, we dwa lata późniéj sobor lateraneński uprawnił zdobycz. Wtedy Montfort wrócił do Franyi dla złożenia hołdu z nowych posiadłości swojemu dawnemu wszechwładcy. Cały lud w uroczystéj processyi wyszedł naprzeciw bohatyra krucyaty, każdy się tłoczył aby się dotknąć kraju szaty jego; lecz w Langwedocyi inne wcale wrzało uczucie. Wśród gruzów miast, opustoszałych wiosek ponure panowało milczenie. Nienawiść zanadto głęboko zapuściła korzenie aby miano zaniechać zemsty. Wkrótce pojawił się Raymund z synem swoim, Prowancya i Aragonia dostarczyły mu posiłków. Ze wszech stron ściągali się rycerze przez Montforta zgnębieni, opuszczali kryjówki lasów i gór niedostępnych. Tuluza bunt podniosła. Mieszkańcy raz uśmierzeni (1216), w roku następnym powtórnie powstali. Z nożami, kamieniami i kijmi uderzyli na Francuzów w czasie gęstéj mgły i zmusili ich do

zamknięcia się w zamku narbońskim. Niebezpieczeństwem zagrożona osada wzywa pomocy Montforta, lecz ciągłe wysilenia i trudy złamały tę twardą duszę: czuł się znużonym, już tylko »prosił Boga, by mu dał pokój śmierci.« Wszyscy krewni jego padali jeden po drugim. Wreszcie gdy dnia jednego Tuluzanie ogólną zrobili wycieczkę, Montfort ubolewając nad zgonem brata swojego rozciągniętego na ziemi, ugodzony został w czoło kamieniem rzuconym z machiny, którą kobiety w blizkości jednego kościoła ustawiły. Prysła w sztuki głowa, która tak długo losy krucyaty ważyła (1218).

Amaury (Amalrych) Montfort, młody syn Simona, ogłoszony został natychmiast hrabią Tuluzy, lecz nie posiadał on uroku jaki otaczał zwycięzcę pod Muret. Za słaby przeciw powszechnemu powstaniu, równie srogiemu i zaciętemu jak było podbicie, pośpieszył do Paryża szukając pomocy. Uzyskał ją wprawdzie od króla Filipa, lecz Tuluzanie pierwszém powodzeniem ośmieleni z niewypowiedzianą zaciętością walczyli. Amaury na wszystkich punktach pokonany, straciwszy wszystkie posiadłości przez ojca z takim trudem nabyte, po krwawéj kilkoletniéj walce wrócić musiał do rodzinnego zamku z czczym tytułem pana Tuluzy i Béziers.

Wojna na południu nie była obojętną ani dla króla Francyi, ani dla króla Anglii, lecz odmienne ich interesa nie tylko nie pozwalały mieszać się do niéj, ale nadto nie dozwalać sobie nawzajem zbrojnego wdawania się nakazywały. Filip August wyglądał zjednoczenia się południa ze swoją koroną, jako naturalnego wypadku tych okropnych zapasów i nienawiści ku zwycięzcom; król Anglii na południu najdzielniejszych miał sprzymierzeńców przeciw groźnéj dla niego przemocy króla francuzkiego. Do tego przyczyniły się jeszcze ważniejsze poniekąd okoliczności. W tym samym roku, w którym albigeńską ogłoszono krucyatę (1208), papież na godność arcybiskupa kantuaryjskiego wyniósł niejakiego Langtona, z rodu Anglo-sasów, jak samo nazwisko pokazuje, a nadto osobistego nieprzyjaciela króla Jana. Głowa kościoła angielskiego, prymas państwa,

prócz władzy religijnéj niepospolite w polityce tego kraju zajmował stanowisko; ważną przeto było rzeczą dla króla miéć na stolicy arcybiskupiéj człowieka sobie przychylnego, i dla tego zwykle polecał wybór swoim normandzkim prałatom. Augustyanie kantuaryjscy ciągle protestowali przeciw temu nadużyciu, domagając się zwrotu należnego im od wieków prawa wyboru. Innocenty korzystając z tego zbiegu okoliczności, stanął w obronie Augustyanów, a gdy ci zgodzić się nie mogli w wyborze, papież z własnego natchnienia mianował i poświęcić kazał Langtona.

Zaledwie król Jan posłyszał o tém mianowaniu, w zapędzie gniewu niepohamowanego wypędził Augustyanów z Kantuaryi (Kenterbury), zagrabił ich mienie i przysiągł, że skoro tylko papież rzuci klątew, on natychmiast skonfiskuje wszystkie dobra duchowne, nosy i uszy poobrzyna wszystkim Rzymianom, których tylko w kraju swoim wyśledzi. W skutek tak gwałtownego postępowania nastąpiła klątew, lecz nikt nie ważył się objawić jéj królowi. Wszyscy sobie szeptali do ucha tę straszną nowinę, nikt jéj atoli publicznie głosić nie śmiał, ani się do niéj stosować nie poważył. Król tymczasem przybrawszy postawę groźnego przeciwnika kościoła, żartował sobie ze wszystkiego, bawił się wesoło, wyciskał pieniądze z duchownych, z miast i z żydów. Przez pięć lat przerwane były wszelkie związki z Rzymem, odszczepieństwo zdawało się nieuchronne, nie był to wszakże wiek szesnasty.

Pomyślny wypadek albigeńskiéj wojny zwrócił baczność papieża ku północy, rozkazał ogłosić krucyatę przeciw Janowi, i króla Filipa Augusta mianował wykonawcą wyroków stolicy apostolskiéj (1212). Tego właśnie czekał król Francyi, potężna flotta zebrała się pod Boulogne, liczne wojsko zgromadziło się pod murami Rouen: zadrżał król Jan na widok groźnego niebezpieczeństwa, nie śmiał doświadczać wątpliwego losu wojny, upokorzył się więc, podpisał układ, uznał się lennikiem stolicy apostolskiéj, zobowiązał do płacenia rocznego haraczu tysiąca grzywien sterlingów i na ręce legata papiezkiego lenniczą wy-

konał przysięgę. Pogodził się więc z kościołem król Jan, a Filip August otrzymał wezwanie nie mieszania się do sprawy tak szczęśliwie załatwionéj.

Zgoda nie odpowiadała rachubie Filipa, którego same przygotowania sześćdziesiąt tysięcy liwrów kosztowały, postanowił więc trzymać się pierwszego rozkazu i wojska swoje skierował do Boulogne. Szczęściem dla króla Anglii, w chwili siadania na okręty odstąpił Filipa Ferrand hrabia Flandryi. Od dawna rycerstwo francuzkie zazdrosném spoglądało okiem na zamożne i zuchwałe gminy tkackich miast flandryjskich: do tego Gandawa i Bruges nie lepszą miały wziętość religijną jak langwedoccy albigensowie; król nienawidził w nich sprzymierzeńców Anglii, z którą w handlowych zostawali związkach. Te widoki razem zebrane skłoniły króla Filipa do obrócenia całéj potęgi przeciw Flandryjczykom. Flotta więc okrążyła brzegi morskie i zarzuciła kotwicę w Dam, porcie miasta Bruges, mieście składowém handlu flamandzkiego. Miejsce to najpierwsze doznało okropnych skutków najścia, ze szczętem zrabowane zostało; Cassel, Ypres, Bruges, Gand, musiały się okupić znaczną summą pieniędzy. W téj chwili flotta angielska nadeszła na odsiecz uciśnionym Flandryjczykom, część okrętów francuzkich popadła w ręce angielskie, resztę sami Francuzi spalili, by nie została łupem nieprzyjaciół, a mszcząc się téj klęski w gruzy zamienili miasta Dam i Lille; strata jednak była niewynagrodzona, cel wyprawy uchybiony.

Wkrótce król Jan o mało co nie oddał wet za wet niebezpieczeństwa na jakie był narażony. Dawne neustryjskie plemię wraz ze swoim królem, po długiéj bezczynnéj odrętwiałości, nagle na wszystkie strony rozniosło postrach, w zbyt wielu punktach dało uczuć swoję przewagę. Simon Montfort, baron francuzki, trzymał w szponach całe południe; pod ciosem panów szampańskich i burgundzkich legł Konstantynopol, Filip obaliwszy na zachodzie panowanie anglo-normandzkie zniweczył przewagę, która jakożkolwiek ciążyła na szali władzy królewskiéj; zamiary jego zjednoczenia Francyi przestały być

tajemnicą; wypadki zaś jawnie pokazały, jak straszną był bronią w ręku jego sąd parów, ze swojemi wyrokami konfiskaty. To wszystko, a osobliwie też ostatnie najście Flandryi za błahą nieuległość, obudziło baczność całego feodalizmu. Ledwie kilka upłynęło miesięcy, a cały kraj między Renem i Mozą, Brabancya, Flandrya, Hollandya, Luxemburg, Lotaryngia, niektórzy nawet francuzcy panowie, utworzyli straszną koalicyą, na której czele stanęli Jan król angielski i cesarz Otton IV. Ważną na plac boju wytoczono sprawę, czy plemię francuzkie i monarchiczna jedność ma górę wziąść nad niepodległością feodalną.

Jeżeli trudno było Filipowi ukryć zamiary centralizacyi, sprzymierzeni władcy feodalni wcale nie taili zamysłów rozszarpania dziedziny króla francuzkiego, na któréj spoczywała przyszłość Francyi. Jan miał odzyskać swoje posiadłości, hrabia buloński sięgał po sąsiedzkie hrabstwo Vermandois, Paryż i Isle de France należyć miały do działu Ferranda flandryjskiego, Otton zagarniał Etampes, Chartres i Orleans z prawem majestatu (suzerainеté); nawet Hugon de Boves, dowódca jurgieltników, uczestnik koalicyi, zamówił sobie Amiens w nagrodę.

Filip August śmiało gotował się do boju, losy Francyi rozstrzygać mającego. Wszystkie środki obrony zgromadził, jakich niegdyś w podobnymże niemal razie użył dziad jego Filip gruby. Już wojska Ottona zebrane pod Valenciennes hasła tylko czekały, król angielski wśród zimy (15 lutego 1214) wylądował w Roszelli, mając uderzyć na Filipa od strony południa w tym samym czasie, w którymby Niemcy i Flamandczycy natarli od północy. Pierwszemu wystąpieniu króla Jana nad Ligierą szalone sprzyjało szczęście, w szybkim postępie zagarnął Saint-Floreul, Ancenis, Angers: cała Piktawia, niechętna Filipowi, przyjęła go z otwartémi rękami. Król Francyi zwróciwszy oręż przeciwko Ottonowi, syna swojego Ludwika wysłał na spotkanie króla angielskiego. Skoro obadwa wojska stanęły naprzeciw siebie, padł na nie strach osłupiały, obadwa zarazem pierzchły. Król Jan szybkie swoje zdobycze jeszcze prędzéj stracił, Akwitańczycy z równą chęcią przyjęli Ludwika, z jaką poprze-

dnio witali Jana; szczęśliwym przeto poczytał się król Anglii, że za pośrednictwem papieża uzyskał rozejm opłacony sześćdziesięcią tysiącami grzywien srebra i wrócił do Anglii.

W tym samym czasie gdy się rozpoczynała walka w południowych stronach Francyi, w północnych rycerstwo i wojsko z gmin francuzkich zebrało się pod Peronne, ztąd Filip August wkroczył do Flandryi łupiąc i niszcząc wszystko w pochodzie: zmierzał on do Tournai, chcąc uderzyć na wojsko Ottona w blizkości Skaldy rozłożone; powziąwszy jednak wiadomość o dogodności stanowiska nieprzyjacielskiego, zwrócił się do Lille. Dnia 27 lipca, była to właśnie niedziela, oddział jazdy francuzkiéj pod przywództwem wicehrabiego z Melun, dosięgnąwszy pagórka ujrzał wojsko Ottona w szyku bojowym postępujące, posunął się więc aż do mostu Bouvines i tam zajął stanowisko. Już słońce wzniosło się dość wysoko, upał był nieznośny, obiedwie armie zdawały się namyślać, czy w dniu niedzielnym mają się spotkać z sobą. Król Filip znużony zdjął zbroję i spoczął pod cieniem wiązu w blizkości kaplicy Ś. Piotra. Wtém nadbiegają gońcy z wiadomością że walka rozpoczęta, że tylna straż w niebezpieczeństwie, wicehrabia nie może wytrzymać natarczywości wojsk Ottona. Z radością Filip przywdział zbroję, szybko dosiadł rumaka i jakby na gody cwałem puścił do miejsca bitwy. Otoczyli króla starzy rycerze, towarzysze krzyżowéj wyprawy, a kwiat rycerstwa, sławny Wilhelm z Barres, stanął przy boku królewskim dla zasłony w przypadku osobistego starcia się z nieprzyjacielem. Na rozkaz króla przywołana chorągiew państwa (oriflamme) w pierwszym zabłysła szeregu, wiernym gmin ludem otoczona. Z przeciwnéj strony widać było cesarza Ottona, obok niego na wielkim wozie wznosił się orzeł z bronzu złoconego, w miejscu chorągwi, a do koła najwaleczniejsze rycerstwo. Filip zwracając się do swoich, utwierdzał w nich ufność, oświadczając, że Otton pod klątwą kościoła zostaje, poczém kapelan zaśpiewał psalm *Exurgat Dominus*, a trąby dały znak do boju.

Kawaler zakonu Ś. Jana, czyli braci szpitalnych, pospolicie bratem Guerin zwany, ustawiał wojsko królewskie w szyku bojowym. Jego roztropności przypisują, co mogło być dziełem trafu, że armia Ottona w ciągu całéj walki miała słońce w oczy, a to nie małą korzyść dla wojska królewskiego stanowiło. Filip August dowodził środkiem, prawém skrzydłem książę burgundzki, lewém zaś hrabiowie Dreux i Ponthieu. Z przeciwnéj strony cesarz prowadził wybór swojego rycerstwa wprost naprzeciw króla, hrabia buloński stał na czele prawego skrzydła, flandryjski zaś walczył na lewém. Tu pierwsze nastąpiło starcie się. Wojsko gmin miejskich, ze swoją oriflammą na czele, z taką gwałtownością uderzyło na Flamandczyków, że ci zmieszani dotrzymać kroku nie mogli. Nadbiegło rycerstwo flamandzkie i przebiwszy zwycięzką łuczników gmin linie, zmierzyło się z rycerzami burgundzkiemi i szampańskiemi. Hrabia Saint-Pol dwunastą zarazem ugodzony kopiami, utrzymał się na siodle i rany żadnéj nie odniósł. Ścisłe jego związki z hrabią bulońskim wznieciły podejrzenie w umyśle króla, spostrzegł to Saint-Pol, odezwał się do swoich: »Dziś się pokaże kto jest zdrajcą« i walczył z największym zapałem. Trzy godziny w tym punkcie trwał bój zacięty, wreszcie Ferrand hrabia flandryjski spadł z konia, obskoczony od Burgundczyków poddać się musiał, pierzchnęli flandryjscy rycerze, zwycięztwo w ręku Francuzów zostawując. Najuporniejsza atoli i najważniejsza walka była w środku, od niéj los boju zależał. Tu Otton z wyborowém Niemców rycerstwem wprost godził na króla Filipa, jeszcze przed bitwą zobowiązawszy swoich aby go żywego, lub nieżywego do rąk dostali. Waleczność Filipa wyrównywała natarczywości niemieckich rycerzy, kilku ich zsadził z koni, kilku trupem położył. W tym zamęcie ścierającego się z obudwóch stron rycerstwa, oddział niemieckiéj piechoty obszedłszy linią francuzką obskoczył króla, jeden z nich ugodził go rohatyną, jakiéj niegdyś w boju używali Frankowie, włócznia z dwoma hakami przy żelezcu; gdy zaplątaną około naszyjnika zbroi królewskiéj chciał gwałtem oderwać, ściągnął króla z konia, zasłonił

go wszakże dzielny chorąży, póki nadbiegłe rycerstwo nie wstrzymało zapędu Niemców, a Tristan poddał świeżego konia królowi. Następnie cesarz Otton w niemniejszém znajdował się niebezpieczeństwie, jeden z rycerzy francuzkich pochwycił za uzdę konia cesarskiego, lecz gdy się pasuje w téj wrzawie i natłoku walki, by go do swoich uprowadzić, w téj chwili zraniony koń wspina się, wyrywa z rąk rycerza i między swoich unosi Ottona. Za przykładem wodza i rycerze niemieccy ustępować zaczęli. Tak więc zupełne zwycięztwo przechyliło się na stronę króla Filipa; pięciu najwaleczniejszych hrabiów dostało się do niewoli, flandryjski, buloński, Salisbury, teklemburski i dortmundzki. Chwała waleczności, choć nie tryumfu, została udziałem brabanckich jurgieltników w służbie króla Jana. W liczbie pięciuset walczyli mężnie bez względu na powszechną porażkę, żaden się poddać nie chciał, wszyscy legli na placu boju, jednego tylko, jak mówią spółcześni kronikarze, wydobyto ze stosu trupów, i ten się wyleczył z ran odebranych.

Odgłos zwycięztwa poruszył całą Francyą, radość niesłychana ogarnęła umysły wszystkich, cała ludność wysypała się na spotkanie króla bohatyra. Wszędzie brzmiały dzwony, drogę kwiatami i zieloném usypywano liściem, domy w kobierce i bogate strojono materye. Na całéj drodze, którą król Filip powracał, wieśniacy opuszczali swoje roboty, z grabiami i kosą na ramieniu biegli, by ujrzéć oblicze monarchy szczęśliwego, nacieszyć się widokiem znakomitych jeńców. W Paryżu siedm dni i nocy nieprzerwane trwały uroczystości, okazujące widocznie, że lud pojmował całą ważność odniesionego tryumfu.

Bitwa pod Bouvines w ciągłém podaniu ludu francuzkiego otrzymała wziętość stanowczéj walki narodowéj, szczegóły jéj najdrobniejsze zachował w swojéj Filipidzie Wilhelm, bretońskim zwany, kapelan królewski i świadek naoczny. Prawda, że niewolnicze naśladowanie Eneidy, i chęć zastosowania walki Eneasza z Turnusem do bitwy Filipa z Ottonem, rzuca niejakie powątpiewanie na rzetelność historyka, jednakże zważywszy strony walczące, cel ich niewątpliwy do którego zmierzały, nie

można odmówić ważności temu starciu się, od którego losy Francyi zawisły. Czy w istocie Otton stał na czele stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, a Filip w pięćdziesiąt tysięcy tylko wystąpił, czy mniejsze siły z obudwóch stron walczyły, następstwa boju równie są ważne w dziejach narodu, przez zniweczenie zamachów na jego zagładę. Dziwna przeto, że dwaj czasów naszych najsłynniejsi dziejopisarze lekce ważą tę bitwę, oparci na domyśle małéj liczby walczących, domyśle nieudowodnionym, a z podaniami wszystkich dawniejszych kronikarzy zupełnie sprzecznym. Nie we wszystkich bitwach wieków średnich, choć o losie ludów i władców stanowiących, tak liczne ścierały się zastępy, jak w czasach naszych pod Austerlicem, Friedlandem i Lipskiem, ważność ich skutkami, nie liczbą walczących, oceniać wypada. Bitwa pod Bouvines nieobliczone korzyści przyniosła dla Francyi i jéj króla: ztąd wypływa tak wielka jéj popularność. Zuchwali wazallowie, uczęstnicy koalicyi, srogo upokorzeni; południowe prowincye raz po raz poskramiane, zawsze jednak królowi niechętne i do buntów skore, tém większym przejęte zostały strachem, im mocniejsze w sile koalicyi pokładały zaufanie, złożyły więc zawiść bezsilną i ściśléj jednoczyć się poczęły z monarchą, któremu opierać się nie zdołały; baronowie, bezpośredni lennicy korony, jedni utwierdzili się w przywiązaniu do tronu, drudzy szacunkiem ku dzielnemu monarsze przejęci, złożyli skrytą niechęć i szczere królowi nieśli usługi. Że Filip August dalszych nie ścigał korzyści, jest to oznaką głębokiego rozsądku i trafnéj polityki, nie była to bowiem pora de zupełnego poniżenia możnowładców.

Bitwa pod Bouvines ważny także wywarła wpływ na Anglią, lecz w odwrotnym stosunku. Jan spłoszony w południowéj Francyi zbiegł do Anglii, sądząc się bezpiecznym w Londynie; tymczasem niedołęztwo brata Ryszarda ozuchwaliło wreszcie baronów angielskich: osłonięci pozorem pielgrzymki do świętego Edmunda, zebrali się tajemnie i ułożyli ustawę, znaną pod imieniem wielkiéj karty (magna charta), którą podali królowi do podpisu. Ograniczeniem władzy rozgniewany Jan, w unie-

sieniu odezwał się: »Tym samym sposobem mogą zażądać odemnie korony,« podpisał jednak ale natychmiast kazał ogłosić, że wszyscy jurgieltnicy życzący sobie służby, mogą przybyć do Anglii i zająć włości buntowniczych baronów. Na to wezwanie zbiegło się chciwych połowu około czterdziestu tysięcy Brabantczyków, Normandów, Gaskończyków i ze wszystkich końców świata zebranych awanturników. Zagrożeni srogą zemstą baronowie udają się do króla Filipa, ofiarując koronę synowi jego Ludwikowi. Blanka, księżniczka kastylska, małżonka Ludwika, była siostrzenicą Jana i choć prawo następstwa bezpośredniego nie do niéj należało, przecież Ludwik temi związkami ubarwił swoję do Anglii wyprawę. Papież naprzód zniósł ustawę wymuszoną na królu Janie, jako nieprawą i bezbożną, a następnie zakazał Filipowi mieszać się do spraw królestwa, lennością stolicy apostolskiéj będącego. Król francuzki nie chciał zrywać stosunków przyjacielskich z ojcem świętym, pomny na ciężkie troski, jakich już raz z tego powodu doświadczył; z drugiéj atoli strony niepodobna było zasypiać tak dogodnéj pory, postanowił więc ratować się wybiegiem, przez który dwa sprzeczne z sobą pogodziłby interessa. Kazał synowi swemu Ludwikowi, niby przeciw swojéj woli udać się do Anglii (*). Zaledwie książę stanął na ziemi angielskiéj z pocztem zbrojnego ludu, natychmiast arcybiskup kantuaryjski i wszyscy baronowie Kentu połączyli się z nim. Londyn otworzył mu bramy, jurgieltnicy nawet króla Jana po większéj części przeszli na stronę Ludwika, który tym sposobem bez żadnego trudu berło Anglii osiągnął (1216). Król

---

(*) Na dowód jak błahe formy miały przecież swoję wagę w polityce owych wieków, przytoczymy tu pomieniony wybieg Filipa Augusta. W Melun zebrał się sąd parów, Ludwik, w ubiorze królewskim, zasiadł obok ojca swojego króla Filipa i rzekł: „Panie! jestem twoim lennikiem z krajów, które mi nadałeś po téj stronie morza, lecz co się tyczy Anglii, nie do ciebie należy stanowić.... Proszę cię więc jedynie, abyś mi nie stawił zawady w moich zamiarach, gdyż ja chcę walczyć o odzyskanie dziedzictwa mojéj żony.“ Król oświadczył, iż żadnéj synowi nie da pomocy.

Jan opuszczony od wszystkich, ujrzał się wygnańcem w swoim własnym kraju, błąkał się tu i owdzie, nigdzie nie mając bezpiecznego schronienia: w téj właśnie chwili usprawiedliwił nazwę, jaką mu dawniejsi dziejopisarze nadają, *Jana bez ziemi* (Jean sans terre). Kilka miesięcy przepędził na wyspie Wight trudniąc się korsarstwem. W ciągu takowéj wędrówki z miejsca na miejsce, w przeprawie przez rzekę utracił skarby swoje, jedyną nadzieję ratunku; ta przygoda do reszty go znękała, wpadł w febrę i wkrótce życia dokonał (1216).

Śmierć Jana stała się zgubnym ciosem dla Ludwika: Henryk III pozostały syn jego, dziecię dziewięcioletnie, nie odziedziczył po ojcu nienawiści, która Ludwikowi utorowała drogę do tronu, a tymczasem duma Francuzów oburzyła panów angielskich; w mgnieniu oka zmienił się stan rzeczy. Baronowie przechyliwszy się na stronę Henryka, powstali przeciw Ludwikowi, oblegli go w Londynie, marynarze pięciu portów, Douvres, Sandwich, Romney, Hastyngs i Hythe, zniszczyli flottę francuzką, którą Ludwikowi małżonka jego przysłała. Zmuszony do układów, zwrócił oryginał wielkiéj karty, zrzekł się tytułu króla Anglii, którym się przez ośmnaście miesięcy zaszczycał, i pożyczywszy od kupców londyńskich tysiąc funtów sterlingów na koszta podróży, wrócił do Francyi (1217).

Ostatnie to już były zabiegi panowania Filipa Augusta: odtąd pięć jeszcze lat przeżył w spokojności, zwiedzając zamki swoje w Isle de France, z daleka przypatrując się ostatnim wysileniom południowych prowincyj, przewidując blizkie ich połączenie z koroną. Ztémwszystkiém ofiarowanego sobie w roku 1222 zwierzchnictwa przyjąć nie chciał, zapewne większego jeszcze oczekując wyniszczenia, aby osłabionymi tém bezpieczniéj mógł władać. W roku następnym (1223) dokonał życia, w ciągu którego blizko czterdzieści cztery lata władał berłem Francyi, otwierając jéj pole wielkich przeznaczeń. Nie jaśniał Filip August szczególnym geniuszem, ani się nawet wyższémi nie odznaczał zdolnościami, a przecież przy zimnéj rozwadze, przy rozsądnéj umiejętności korzystania z każdego wypadku, włada-

nia okolicznościami, potrafił przez świetne czyny uwiecznić panowanie swoje, wznieść godność monarchy, utorować drogę następcom do osiągnięcia jedynowładztwa, zostawiwszy im wzór łamania niepodległości wazallów.

Filip August, właściwie mówiąc, utwierdził monarchią przyłączywszy Normandyą do Pikardyi. On pierwszy śmiałą ręką podkopał przywileje feodalne, rzucił nasiona owéj hierarchii instytucyj królewskich, które się późniéj po całym kraju rozkrzewiły. Ustalił jurysdykcyą królewską zagaiwszy sąd parów czynem ludzkości, czynem niesłychanie popularnym, potępieniem Jana księcia normandzkiego, ukaraniem morderstwa Artura. Wielkie dziedziny feodalne wątlały, Flandrya, Szampania, Langwedocya przeszły pod wpływ króla. Wśród saméj szlachty znalazło się stronnictwo królewskie; Filip w łonie możnowładztwa utworzył demokracyą, wzniosłszy i uświęciwszy zasadę niezawisłości młodszych synów rodziny od najstarszych, a w systemie feodalnym jedynych spadkobierców. Poskromił zajazdy baronów, bezpośrednich swoich lenników, stanowiąc prawo czterdziestodniowego przedziału między obrazą a zemstą. Najdzielniejszą atoli sprężyną w ręku Filipa był sąd parów, trybunał z ludzi królowi przychylnych złożony, za podszeptem jego wyrokujący. Pod tarczą postanowień téj rady dworskiéj śmiało udawał król łagodność i umiarkowanie, wolę swoję pokrywał cieniem woli narodu. Na drodze centralizacyi nie mały krok stanowi rozszerzenie obwodu dobrego miasta Paryża: stolica musiała wzrastać wraz ze swoim królem, stroić się stosownie do zwiększonych jego dochodów. Król Filip w pyszne przybrał ją ozdoby. Dokończył katedry Najświętszéj Panny (Notre-Dame), wzniósł pyszną wieżę Luwru, która nie długo nad całą miała styrczéć Francyą, postawił okazałe gmachy targowe (halles), dźwignął uniwersytet przez nadanie mu rozlicznych swobód i ważnych przywilejów, przez co rzucił pierwsze zarody przyszłéj umysłowéj przewagi Francyi. Najdzielniejszą atoli podporę powagi królewskiéj zostawił w urządzoném przez siebie stałém wojsku z płatnych najemników złożoném;

przez to bowiem na każde zawołanie, w każdym nagłym wypadku, miał broń gotową przy boku, broń straszną dla wazallów. Zaprowadzenie téj siły zbrojnéj pociągnęło za sobą nowe określenie wojennych obowiązków wazallów pośrednich i bezpośrednich (Ban et arrièreban), nowe urządzenie gmin miejskich i milicyi parafialnéj. Milicya, że ją tak nazwiemy, nie wytrzymała pod Bouvines natarcia pancernego rycerstwa, lecz gromadząc się przy boku królewskim, dodawała monarsze siły materyalnéj zarazem i moralnéj, z którą żaden wazal odrębnie nie ważył się wystąpić w szranki. Odtąd lennicy koronni za słabi do walki pojedynczéj z królem, wiązać się wspólnie poczęli na obronę praw swoich, nastąpiła epoka koalicyj feodalnych, których pierwszą próbą było spotkanie pod Bouvines, a ostatnią Fronda; między temi dwoma punktami zawarte są dzieje ustalenia powagi królewskiéj.

ROZDZIAŁ IX.

PANOWANIE LUDWIKA VIII — LUDWIK IX, ŚWIĘTY.

Filip August tak się już na tronie Francyi ustalonym uważał, iż koronowanie syna za życia swojego, dotychczasowym zwyczajem Kapetyngów, za rzecz zbyteczną poczytał; obrzędu więc tego dopełnił Ludwik VIII po śmierci ojca (1223), przyjąwszy w Reims koronę i namaszczenie z rąk arcybiskupa tego miasta. Trzyletnie panowanie tego monarchy, którego żartobliwie zapewne nazwano Ludwik *lew*, albo jak niektórzy dodają Ludwik *lew spokojny*, nie ma odrębnéj cechy: jaką drogą postępował ojciec, taką szedł daléj syn, tak dalece, iż zdawałoby się, że te trzy lata są odłamkiem rządów Filipa, jakimś sposobem po śmierci tego króla zawieruszone.

Choć krótkie było panowanie Ludwika VIII ale w wypadki płodne. We Flandryi utrzymał hrabinę Joannę, świadcząc jéj ważną przysługę przez zatrzymanie męża w turmie Luwru, do któréj się dostał po bitwie przy Bouvines. Joanna była córką Baldwina, pierwszego łacińskiego cesarza w Konstantynopolu, który, według niepewnéj wieści, miał poledz w bitwie z Bulgarami. Niespodzianie ten Baldwin pojawia się we Flandryi, córka go nie uznaje, ale lud ciśnie się do niego, tak dalece, że Joanna zmuszoną się ujrzała szukać schronienia i pomocy na dworze Ludwika, który natychmiast z liczném wojskiem stanął w Peronne. Wezwany przed króla ów Baldwin, czy nie chciał, czy nie umiał odpowiedzieć na kilka zadanych mu pytań, być nawet może, iż dwudziestoletnia niewola nadwątliła pamięć starca, cóżkolwiek bądź odebrał rozkaz ustąpienia z kraju. Wyrok takowy strwożył mieszkańców przychylnych czy samozwańcowi, czy też rzeczywistemu hrabiemu, wszycy go odstąpili. Uciekający do Burgundyi w ubiorze kupca, schwytany i z rozkazu Joanny jako wichrzyciel powieszony został. Lud niechętny hrabinéj w wyroku jéj uznawał niewątpliwe ojcobójstwo.

Henryk III, młody król Anglii nie przybył na obrzęd koronacyjny Ludwika, według dawnego zwyczaju, ale owszem przedstawił mu żądanie zwrotu Normandyi, opierając się na układzie londyńskim, mocą którego miał się zobowiązać Ludwik powrócić Normandyą za wstąpieniem na tron. Ludwik ze swojéj strony zarzucał Henrykowi uchybienia przeciw temuż układowi i zaraz z wojskiem wkroczył do Gwienny. Wkrótce opanował całą krainę aż do Garumny i zapewne byłby położył kres panowaniu angielskiemu na ziemi francuzkiéj, gdyby wypadki nie zwróciły oręża jego w inną stronę.

Amalryk Montfort wypędzony z Langwedocyi przez Raymunda VII, hrabiego Tuluzy przybył do Ludwika VIII, ustępując mu wszystkich zdobyczy ojca swojego w Langwedocyi. Ofiarę tę odrzucił Filip i syn więc nie chciał jéj płocho przyjmować, pierwéj odwołał się do zdania kościoła. Na soborze w Bourges (1225) ponowiono wyrok przeciw Raymundowi pozbawia-

jący go posiadłości, a król wtedy podjął się wykonania uchwały soboru. Na czele stu tysięcy wojska ruszył Ludwik: zdawało się iż wszystko ulegnie tak przeważnéj sile oręża, tymczasem na samym wstępie mury Awenionu wstrzymały całą armią. Rząd téj rzeczypospolitéj prowanckiéj przychylniejszy hrabiom Tuluzy niż królowi, pozwolił wprawdzie przejścia wojsku Ludwika, lecz mimo murów swoich, a tymczasem w porozumieniu z nieprzyjaciołmi króla i kościoła, kazał ze wsi uprzątnąć wszystkie zapasy i cały dobytek. Obrażony król postanowił siłą otworzyć sobie drogę i obległ miasto. Rycerstwo zawistne wzrastającéj potędze monarchy, a między niém najzawziętszy Teobald (Thibaut) hrabia Szampanii, pod pozorem spełnienia czterdziestodniowéj służby feodalnéj, opuścił obóz królewski. Mimo to Awenion został zdobyty, opłacił koszta wojenne,' mury zniszczył. To rzuciło postrach na całą Langwedocyą: Nimes, Albi, Carcassone, Beaucaire poddały się królowi; zdawało się że ostateczne uśmierzenie południa będzie wypadkiem téj wyprawy, tymczasem oblężenie Awenionu stało się zgubą wojska i króla. Nadszedł czas upałów, a te stały się przyczyną zaraźliwych w obozie chorób, które i samego króla dosięgły. Zwrócił się więc Ludwik, lecz zaledwie dostał się do gór owerńskich gdy go śmierć zaskoczyła (1226).

Zgon króla nie mógł w gorszą nastąpić porę; pokątne wieści sprawcą tak niespodzianéj śmierci mieniły hrabiego Szampanii, być może dla tego, że wkrótce po jego oddaleniu się z obozu nastąpiła. Umarł Ludwik VIII w saméj sile wieku, bo dopiero trzydzieści dziewięć lat liczył; umarł wśród najświetniejszych nadziei zdobycia prowincyj angielskich i uśmierzenia południa. Pozostała po nim wdowa i syn dwunastoletni mieli stawić czoło groźnym wazallom na odzyskanie dawnéj przewagi dybiącym: szczęściem że tą wdową była Blanka kastylska, a synem Ludwik *święty*.

Rejencya i opieka nad młodym Ludwikiem IX należała, według zwyczajów feodalnych, do stryja jego Filipa Hurepel (szorstki) hrabi bulońskiego; legat papiezki i hrabia Szampanii

przyczynili się do oddania rejencyi królowéj matce. Była to nowość niesłychana, aby kobieta przywodziła tylu rycerzom, zdaje się iż ten wypadek uważać można za przejście z systemu wojennego i barbarzyńskiego na drogę spokojnego ducha nowoczesnego. Kościół był w tym razie przewodnikiem, gdyż prócz legata, arcybiskup z Sens i biskup z Beauvais, obecni przy śmierci króla Ludwika VIII zapewnili, iż tenże na łożu śmiertelnym królowę mianował rejentką.

W pierwszych dniach swojéj rejencyi królowa matka nie małych doznała przeciwności. Pragnęła ona jak najprędzéj namaścić syna w Reims, a tymczasem znaczna liczba panów za warunek swojego przyzwolenia podała, oswobodzenie jeńców z pod Bouvines, przywrócenie dawnych zwyczajów przez nadużycie władzy królewskiéj naruszonych; niektórzy posunęli się nawet do żądania zwrotu ziem skonfiskowanych pod panowaniem obudwóch poprzednich monarchów. Śmiała Kastyllanka odbyła uroczystość koronacyjną bez obecności sprzecznych wazallów, i w téj chwili straszna przeciw niéj zawiązała się liga.

Na czele związku feodalnego nie był Filip, stryj młodego króla, ani hrabiowie Marche i Lusignan, pierwszy ojczym, drugi brat króla angielskiego, lecz książę Bretanii, Piotr Mauclerc, potomek jednego z synów Ludwika grubego. Bretania lenność normandzka a tém samém angielska, równie jak francuzka, wahała się między dwiema koronami: książę jéj umiał korzystać z takowego położenia. Wychowaniec szkoły paryzkiéj, zawołany dyalektyk, pierwiastkowo przeznaczony był do stanu duchownego, zapalony atoli prawnik i rycerz, nienawidził księży i ztąd poszedł jego przydomek Mauclerc (mauvais-clerc). Osobliwszy ten człowiek porywał się na rzeczy, którym podołać nie mógł. We Francyi chciał poniżyć władzę monarchiczną, w Bretanii dążył do samowładztwa. W tym celu starał się o przychylność wieśniaków nadając im różne przywileje, wolność pastwiska, wrębu po lasach, zniżenie podatków. Sprzyjali mu panowie środkowéj, to jest francuzkiéj Bretanii, Avaugour, Vitré, Fougères, Châteaubriant, Dol, Châteaugirou: uciskał

zaś panów nadbrzeżnych, Léon, Rohan, Faou, zaprzeczył im prawa przypływu (bris), mocą którego rozbitki i ich okręty stawały się własnością tych do czyich lądów przybiły. Taki to człowiek był głową koalicyi wazallów. Z nim się łączyła szlachta całéj Piktawii, w któréj żałowano władzy angielskiéj, wspierała go Akwitania i Normandya, przychylna dawnym swoim panom. Tyloletniemi trudami nabyte korzyści zdawały się w jednéj chwili wysuwać z rąk królewskich; miłość ocaliła wszystko. Słodkie wejrzenie Blanki i jéj piękna postawa od dawna już ujęły serce hrabiego Teobalda; wszystkie ściany pokojów swoich w pałacach w Troyes i Provins zapisał on śpiewkami na jéj cześć: wyrzuty ulubionéj damy wzięły górę nad interesem politycznym. Zamiast połączyć się ze związkowemi udał się do króla do Tours, a ta niespodziana uległość zmieszała szyki sprzymierzonych, jedni po drugich z kolei śpieszyli ze złożeniem hołdu.

Filip Hurepel uwziął się postawić na swojém. Zaczaił się w zamku Corbeil oczekując powrotu króla z Orleanu; lecz Blanka, przestrzeżona przez Teobalda, chroni się do Montlhéry wzywając pomocy Paryżanów. Wezwani chętnie przybyli w takiéj massie, że droga od Montlhéry do Paryża, zatłoczona była ludem zbrojnym i bezbronnym, wśród okrzyków radości, proszącym Boga o pomyślność i długie życie dla swojego monarchy. Pod tak bezpieczną zasłoną król minął Corbeil, żywy duch nie poważył się tamować tak uroczystego pochodu. Chybiony ten zamach dał powód do nowego spisku. W roku następnym książę Bretanii jawny bunt podnosi, baronowie na wezwanie królewskie stawają na granicy bretańskiéj, każdy w towarzystwie dwóch tylko giermków. Blanka nie wiedziała jaką przybrać postawę naprzeciw groźnéj armii bretańskiéj, gdy wtém Teobald, jéj duch opiekuńczy, przybywa do obozu na czele trzechset rycerzy. Piotr musiał zawrzéć pokój, a związani z nim panowie, rozjątrzeni przeciw Teobaldowi, postanowili zburzyć jego hrabstwo, powołując do buntu własnych jego kasztelanów. Szczęściem Teobald miał przychylne sobie gminy miejskie, które

pod murami Troyes wstrzymały napaść, póki królowa nie nadesłała pomocy. Wdania się królewskiego nie chciała Blanka za daleko posuwać, by nie narazić powagi monarszéj, dla tego baronowie francuzcy wkroczyli w imieniu Alixy cypryjskiéj, krewnéj hrabiego, królowa zaś przywiodła do skutku układ, mocą którego Teobald zobowiązał się zapłacić Alixie czterdzieści tysięcy liwrów i dwa tysiące rocznéj pensyi, za ustąpienie wszelkich praw do hrabstwa. Lecz że w skarbie hrabiego nie było takiéj summy, królowa przyszła w pomoc, za którą uzyskała Blois, Chartres, Sancerre i Chateaudun (1229).

Złamawszy niedołężne zamachy ligi północnéj Blanka śmiało działać mogła w nieustających dotąd zamieszkach na południu. Nowa krucyata udała się do Langwedocyi. Hrabia Tuluzy musiał uledz, zwalił mury miasta, przyjął załogę francuzką, pozwolił na zaprowadzenie inkwizycyi świętéj, odstąpił Francyi niższéj Langwedocyi, Tuluzę zaś po śmierci swojéj przekazał w posagu dla córki, która miała być zaślubioną z bratem królewskim, wyższą zaś Prowancyą oddał kościołowi, i to jest początek praw papiezkich do hrabstwa awenionskiego.

Tryumf na południu odniesiony nie zapewniał jeszcze pokoju. Mauclerc oddawna wzywał pomocy króla angielskiego, który wreszcie na czele dość licznéj jazdy wylądował w Saint-Malo (1230). Rejentka natychmiast zwołała sąd parów, który ogłosił wyrok konfiskaty przeciw księciu Bretanii, za to, że się poważył hołd składać obcemu monarsze. Byłby Mauclerc żartował z wyroku, gdyby go silniéj był wsparł Henryk III; lecz gdy ten czas najdroższy trwonił na ucztach, książę sam sobie zostawiony zawrzéć musiał trzyletni rozejm (1231). Za jego przykładem poszli inni panowie, a mszcząc się za swoje poniżenie niszczyli Szampanią. Hrabia Teobald okupił pokój, zobowiązawszy się do przyjęcia krzyża na nową wyprawę do ziemi świętéj, a to dla odpokutowania za śmierć Ludwika VIII, jak brzmi warunek układu, co się równa przyznaniu się do winy. Wkrótce atoli szczęśliwe okoliczności uwolniły monarchią od dwóch najniebezpieczniejszych wrogów, Teobalda i Mau-

clerca. Pierwszy został królem Nawarry po śmierci teścia swojego, drugi zrzekł się Bretanii na rzecz syna, a sam przyjął dowództwo wyprawy do ziemi świętéj. Obudwom towarzyszyło mnóstwo niechętnéj królowi szlachty, unosząc z sobą nie mało żywiołów wewnętrznych zawichrzeń.

Wśród ciągłych zatargów zbliżył się wreszcie kres utrudzonéj dla rejentki małoletności. Ludwik doszedł dwudziestego roku życia (1234), królowa matka myśliła dla niego o związkach małżeńskich. Żeby atoli nie tracić powagi macierzyńskiéj i w osobie małżonki syna nie miéć spółzawodniczki władzy nad nim, wybrała mu Małgorzatę, księżniczkę prowancką, dwunastoletnie dziecię, z którą przez długi czas obchodziła się jak z wnuczką, nie jak z królową. Joinville, spółczesny kronikarz, opowiada, że długo po zaślubieniu trzymała ją królowa matka jakby w zamknięciu, a w podróżach nie dopuszczała, aby jednoż mieli pomieszkanie. Raz, w czasie pobytu w Pontoise, Ludwik zajmował mieszkanie nad pokojami swojéj żony i często cichaczem uwalniał się od surowego nadzoru matki, lecz za porozumieniem się ze swoimi domownikami, którzy bili psy, aby skomleniem ostrzegały o zbliżaniu się Blanki. Przecież go raz zeszła niespodzianie: zmieszany Ludwik skrył się za krzesełko swojéj żony, spostrzegła go jednak matka i wziąwszy za rękę rzekła: »Pójdź ztąd, nie masz tu nic do roboty,« i natychmiast z nim wyszła.

Lękliwego charakteru książę, który ukradkiem tylko odwiedzał swoję żonę, bał się połajania matki, już wtedy odznaczał się walecznością i był potężnym monarchą. Nie zalecał się wprawdzie wcześnie jaśniejącemi przymiotami, lecz głęboko miał w sercu zakorzenione delikatne uczucie i trwożliwe zamiłowanie obowiązku, choć długo bardzo obowiązek przedstawiał mu się pod postacią woli matki. Z matki Hiszpan, z babki Flamandczyk, z mlekiem wyssał tę żarliwą pobożność, obcą, jak się zdaje, wielu z jego bliższych poprzedników, nieznaną następcom. Blanka powierzyła duchownym wychowanie swego syna, sama jednak kierowała niém z największą troskliwością;

mawiała ona pospolicie, że wolałaby raczéj widzieć go nieżywym, aniżeli żeby miał choć jednego śmiertelnego grzechu dopuszczać się. Nic przeto dziwnego, że na tle takowego wychowania pobożność stała się głównym rysem charakteru Ludwika: z niéj on czerpał zasady swojego postępowania, na niéj opierał prawidła rządu, ona była podstawą stosunków jego z obcymi książętami.

Przeznaczenie było młodego i nieskażonego Ludwika odziedziczyć puściznę po Albigensach i innych kościoła nieprzyjaciołach. Dla niego Jan, potępiony bez wysłuchania, utracił Normandyą, a syn jego Henryk Piktawią (Poitou); dla niego Montfort wymordował dwadzieścia tysięcy ludzi w Béziers, a Fouquet dziesięć tysięcy w Tuluzie. Prawda, że ci którzy śmierć ponieśli, byli odszczepieńcy, niedowiarki, ale zawsze były to stosy trupów. Zaiste nie mały to był powód wewnętrznéj niespokojności i wahania się młodego króla. Czuł potrzebę mocnéj wiary i ścisłego połączenia się z kościołem, aby sam przed sobą mógł usprawiedliwić i ojca i dziada swojego za przyjęcie takiéj darowizny. Drażliwe położenie duszy lękliwéj! Nie mógł tego zwrócić bez ubliżenia pamiątce ojca i bez obrazy Francyi; z drugiéj strony, zatrzymując, zdawał się uświęcać wszystko co się stało, wszystkie z tego powodu spełnione nadużycia i gwałtowności. W takim stanie rzeczy, krucyata, oswobodzenie Jerozolimy, mogło być jedynym celem do którego dusza jego zwracać się mogła. Tam, znajdującéj się w ręku jego potęgi, źle czy dobrze nabytéj, mógł użyć należycie z pewnym rodzajem odpokutowania. W krucyacie jedyna była nadzieja jeżeli nie tryumfu, tedy przynajmniéj świątobliwéj śmierci.

Nigdy krucyata nie była potrzebniejszą i prawniejszą: zaczepna dotąd, teraz odporną stać się miała. Na całym wschodzie głuche rozchodziły się wieści o wielkim i strasznym wypadku: było to nakształt szumu wielkich wód przed zalewem, jak trzask tamy, jak pierwszy huk katarakty niebieskiéj. Mongołowie poruszyli się ze swoich siedlisk północnych i zwolna rozlewali się po całéj Azyi. Ci koczownicy wlokąc za sobą

narody, przed sobą pędząc ludy z ich trzodami, zdawali się chcieć zatrzeć wszelkie ślady miast na ziemi, wszelkie budowle, zagładzić cywilizacyą aż do ostatnich szczątków, powierzchnią ziemi przerobić na pustynią, na wolne pastwisko, po którémby swobodnie bujać można było bez żadnéj zawady.

Wszystkie sekty, wszystkie wyznania, które rozdzielały Azyą, równą zdjęte były trwogą na samo imię tych barbarzyńców, bez żadnéj nadziei wstrzymania ich postępu. Sunnitowie i Szyitowie, kalif Bagdadu i kalif Kairu, Assassinowie Syryi i chrześcianie ziemi świętéj, w równém byli oczekiwaniu ostatniego sądu. Ucichły rozprawy, pojednali się zawistni, Mogołowie wszystko przyjęli na siebie. Posuwali się, powolni i niewstrzymani jak gniew bozki: już wszędzie byli obecni przez sam postrach jakim przerażali. W roku 1238 Fryzowie i Duńczycy nie śmieli opuszczać żon swoich zestrachanych i zaniedbali zwykłego połowu śledzi na wybrzeżach Anglii. W Syryi dzień za dniem wyglądano tych wielkich głów rudych i drobnych koni z rozczochranemi grzywami. Wschód pojednał się z zachodem. Książęta muzułmańscy, a między innemi Stary góral (le vieux de la montagne) (*), wysłali poselstwo do króla Francyi z prośbą o pomoc, jeden z posłów udał się do Anglii.

Z drugiéj strony cesarz łaciński z Konstantynopola przekładał Ludwikowi swoje smutne położenie. Gdy późniéj sama cesarzowa przybyła wzywać litości Ludwika, Joinville mając ją przed-

---

(*) Około roku 1090 Iman Hassan-Ben-Sabbah ze sekty Izmaelitów muzułmańskich, dał początek państwu w Syryi, które stało się postrachem całego wschodu, przez śmiałość i poświęcenie się wyznawców téj sekty. Hassan i jego siedmiu następców znani są na zachodzie pod nazwą *Starego górala*, z powodu założonéj rezydencyi w zamku warownym na górze Mesiade w Syryi. Ztąd oni rozsyłali swoich zwolenników na rabunek i tajemne mordy, upoiwszy ich pierwéj sokiem odurzających roślin, od czego nazywano ich Haszyszym. Chrześcianie zachodni przekręcili ich nazwisko na Assassinów i dotąd u Francuzów wyraz ten utrzymał się na oznaczenie mordercy i morderstwa: assassin, assassinat.

stawiać królowi, musiał jéj sprawić stosowny ubiór. Cesarz ofiarował królowi skarb nieoceniony, prawdziwą koronę cierniową, którą nosił na swojém czole Zbawiciel Świata. Król w zamian posłał cesarzowi sto sześćdziesiąt tysięcy liwrów i cały dochód z konfiskaty żydowskiéj; z największą pobożnością przyjął tę relikwią i kazał dla niéj wznieść w Paryżu świętą kaplicę (la Sainte-Chapelle).

Krucyata z roku 1235 uwolniła króla od wielu głów burzliwych, lecz nie była w stanie poprawić interessów wschodu. Król Nawarry, Teobald szampański, książę burgundzki i hrabia Montfort, pobici zostali. Ryszard, brat króla angielskiego, zyskał wielką wziętość tylko przez wykupienie mnóstwa jeńców z rąk niewiernych. Mouclerc jeden odniósł niejakie korzyści. Młody król, mimo chęć najszczerszą, nie mógł w tym czasie opuścić królestwa, by odwetować klęski chrześcian na wschodzie; w posiadłościach angielskich tlało żarzewie buntu. Dla złudzenia uczuć narodowych w prowincyach zachodnich, nowemu panowaniu niechętnych, Ludwik VIII testamentem przeznaczył na udzielnych władców dwóch młodszych synów swoich, Karola dla Andegawii i Maine, Alfonsa dla Piktawii i Owernii. Ludwik IX ze zwykłą uroczystością wprowadził brata swojego do Poitiers, stolicy nadanych mu posiadłości (1241). Prawie wszystka szlachta obecna była temu aktowi i wykonała przysięgę nowemu hrabiemu. Lecz tytułu tego nie zrzekł się jeszcze Ryszard, brat króla angielskiego: w kilka więc dni po obrzędzie wprowadzenia Alfonsa jeden z przywódców stronnictwa angielskiego, Hugon Lusignan hrabia z Marche, przybył do Poitiers z orszakiem zbrojnych ludzi, wypowiedział wojnę Alfonsowi, zaprzeczył przysięgi w wyrazach obelżywych. Henryk III gotów już był na poparcie nowych wysileń szlachty piktawskiéj, w trzy miesiące po tym wypadku przybył z trzystą rycerzami i trzydziestą beczkami złota. Wkrótce przybył i Ludwik na czele potężnego wojska: Hugon dla wstrzymania pochodu królewskiego palił zasoby żywności, zasypywał, lub zatruwał studnie, mimo to król zdobywał zamki jedne po drugich i wreszcie

stanął naprzeciw armii nieprzyjacielskiéj. Nie szeroka, lecz głęboka szaranta przedzielała obiedwie strony, wązki most pod Taillebourg łączył dwa jéj brzegi. Henryk uszykował swoje rycerstwo tuż za mostem, to jednak nie wstrzymało Ludwika: z szablą w ręku sam prawie przebył most i uderzył śmiało na nieprzyjaciela, a tymczasem rycerstwo jego prawie pojedynczo biegło mu na pomoc. Nic wstrzymać nie zdołało natarczywości wojska francuzkiego zapalonego przykładem króla; Henryk zwątpiał o swojém ocaleniu i byłby się niezawodnie dostał w ręce Ludwika, gdyby go nie wyratował Ryszard, w którym król Francyi szanował bohatyra krucyaty. Złożywszy hełm i pancerz, z białą w ręku laską przybył on do obozu królewskiego jako pośrednik pokoju i wyjednał rozejm jednodzienny. Dosyć to było dla Henryka, przez ten czas potrafił on cofnąć się do Saintes. W też za nim tropy postępował Ludwik; dnia następnego wznowiła się walka w wąwozach do tego miasta wiodących i winnicach przyległych. Żołnierze Henryka nigdzie dotrzymać placu nie mogli; król angielski posłyszawszy że Francuzi ścigając pierzchających już do miasta wdzierali się, dopadł konia i cwałem umknął do Bordeaux. Za nim puścili się jego rycerze, a za tymi cały motłoch z takim uciekał pośpiechem, że droga około piędziesięciu mil angielskich wynosząca zawalona była poprzewracanemi wozami, ludźmi i końmi z utrudzenia padającemi, sprzętami potrzaskanemi, tak że serce bolało patrzéć na to zniszczenie, mówi jeden z kronikarzy (Mathieu Pâris) naoczny świadek wyprawy (1242).

Henryk III bezpieczny w murach Bordeaux bawił się wesoło, nie troszcząc się bynajmniéj o wojsko swoje, które Ludwik nękał w bagnach Annis i piaskach Gwienny. Niezdrowy atoli klimat zaczął trapić hufce francuzkie, tysiące ich codziennie padało ofiarą chorób zaraźliwych, wreszcie i sam król zapadł na febrę. W tym samym czasie Henryk w rozkosznych biesiadach ze swoimi Gaskończykami wypróżnił beczki złota; trzeba było czémprędzéj ukończyć wyprawę. Zawarto więc układ w Bordeaux, który obadwa królowie dnia 7 kwietnia 1243 r.

podpisali. Francuzi zatrzymali Akwitanią aż do Girondy (*), a król angielski zobowiązał się wypłacić w ciągu lat pięciu summę pięciu tysięcy funtów sterlingów. Henryk tryumfujący, z wielką okazałością wylądował w Portsmouth.

W tym samym prawie czasie i hrabia Tuluzy, Raymund, niepomny swoich przyrzeczeń, łamiąc uroczystą przysięgę wykonaną w Paryżu, wziął się do broni i wciągnął wielu panów do swojego spisku; lecz klęska Henryka pod Taillebourgem i Saintes tak przeraziła zbuntowanych wazallów, iż dla własnego bezpieczeństwa opuścili hrabiego Tuluzy i z hołdem swoim pośpieszyli do obozu Ludwika, co także i Raymunda do uległości skłoniło. Wśród tych tryumfów król Ludwik zajaśniał umiarkowaniem świętego i roztropnością polityka. Hrabia Tuluzy odzyskał wszystko na zasadzie układu przed czternastą laty w Paryżu zawartego. Hrabia Lusignan wraz z dumną małżonką swoją Izabellą, wdową po Janie królu angielskim, a matką Henryka III, wykonał przysięgę Alfonsowi w obec króla Ludwika, lecz gdy młody jakiś rycerz, mieniący się obrażonym od hrabiego, wyzywał go na pojedynek, król nie dopuścił walki nierównéj i ocalił honor i życie starca. Jeden z baronów nie chciał się poddać bez wiedzy i zezwolenia króla angielskiego, którego był także wazallem, Ludwik nie obstawał przy swojém, zwrócił mu zamek i poprzestał na jego słowie. To jednak dało powód do nowéj ustawy względem panów w dwóch krajach lenne dziedziny posiadających. Na zgromadzeniu wazallów oświadczył król wyrazami Pisma Ś. że nikt dwom panom służyć nie może, wszyscy zatém lennicy dwóch koron winni oświadczyć się czyimi chcą być hołdownikami i zrzec się lennictwa drugiéj korony. Większa część panów czy przez obawę, czy przez szacunek oświadczyła się hołdownikami króla Ludwika, niektórzy jednak woleli pozostać lennikami króla angielskiego.

(*) Rzeka Garumna (Garonne) od miejsca w którém się z nią łączy spławna rzeka Dordogne przybiera nazwisko Gironde.

Nowe to prawo zapobiegło wielu nadużyciom, a osobliwie też kładło tamę tajnym zmowom.

Wyprawy południowe tak dalece nadwerężyły zdrowie Ludwika, iż w ciągłéj prawie słabości przepędził rok cały, w końcu zaś tak zachorował w Pontoise, iż już go za umarłego poczytano, i kobiety pielęgnujące króla w chorobie już chciały mu twarz śmiertelnym zakryć prześcieradłem, gdy wtém ustąpiły mdłości i skoro tylko oczy otworzył i przemówić zdołał, natychmiast rozkazał Wilhelmowi biskupowi paryzkiemu, aby mu podał krzyż, godło rycerza świętéj wyprawy. Napróżno biskup, matka stroskana i zebrani najznakomitsi panowie starali się odwieźć króla od postanowienia, tak widoczném niebezpieczeństwem grożącego, Ludwik trwał nieporuszony w swoim zamiarze, i odzyskawszy zdrowie pisał do chrześcian ziemi świętéj, żądał od papieża missyonarzy do głoszenia krucyaty i zajmował się jedynie przygotowaniem do wyprawy.

Jawnie wtedy okazało się jak nizko spadł w téj epoce duch religijny naprzód, a potém rycerski, duch który natchnął i ożywiał pierwsze krucyaty. Przez cztéry lata Ludwik IX wzywał pod swoje chorągwie rycerstwo europejskie, zachęcał chrześcian wszystkich krajów: nikt się do niego nie zgłosił, każdy był zajęty u siebie. W Anglii baronowie niespokojnym okiem śledzili zamiary Henryka III względem zniszczenia przywilejów, które ojcu jego wydarli. W Niemczech i we Włoszech wszystkie umysły zajęte były zaciętym sporem papieża z cesarzem Fryderykiem II. We Francyi ze wstrętem skłaniano się do życzeń króla, większa część panów wręcz odmówiła udziału w wyprawie. To jednak nie zrażało króla, stały w swojém przedsięwzięciu wszelkiemi sposobami dążył do celu. Oddawna był zwyczaj we Francyi, że królowie w wigilią Bożego Narodzenia znakomitym panom rozdawali kosztowne płaszcze, które obdarowani natychmiast przywdziewali. Korzystając z tego Ludwik kazał zawiadomić panów, że w dniu oznaczonym na ten obrzęd bardzo rano uda się na nabożeństwo. Zebrali się więc panowie w godzinie oznaczonéj w sali, w któréj umyślnie słabe tylko

zostawiono światło: nadszedł król i według zwyczaju rozdał płaszcze i szybko w towarzystwie tychże panów udał się do kościoła. Jakież było zadumienie wszystkich, gdy przy blasku światła w kościele ujrzeli na danych im sukniach wyszyte krzyże, a lubo widzieli w tém żart królewski, przecież wstydzili się odmówić wezwaniu. Innym, brakiem funduszów wymawiającym się, król z własnéj szkatuły znaczne summy zaliczyć kazał; za niektórych ręczył pożyczki, wielu płacił żołd, tak dalece, że żadna podobno wyprawa słuszniéj od imienia dowódcy nazwaną nie była, jak wyprawa Ludwika *świętego*.

Na wielkiém zebraniu wazallów, w początku roku 1247 w Paryżu, oświadczył Ludwik, iż w dniu 12 czerwca roku następnego udaje się na wschód. W tym przedziale czasu starał się urządzić i zabezpieczyć kraj. Wewnątrz spokojność panowała i żadnéj nie było obawy o jéj zakłócenie, skoro najpochopniejsi do buntu panowie przyjęli udział w wyprawie: z królem angielskim ponowiono rozejm; obeznana z zarządem państwa Blanka mianowana rejentką z nieograniczoném pełnomocnictwem, zgoła co tylko opatrzna przezorność troskliwego o dobro kraju króla zrobić może, to wszystko zrobił Ludwik przed swojém oddaleniem się. Wreszcie jako pobożny chrześcianin, udając się na wyprawę pełną niebezpieczeństw, ułożył testament i rozesłał po całym kraju zaufanych zakonników, aby wezwali w imieniu jego wszystkich mieszkańców do przedstawienia królowi, w czémby przez niego samego, lub jego podwładnych mogli być pokrzywdzeni. Rzecz dziwna, nikt się nie zgłosił, i to nie z bojaźni, bo słowu króla Ludwika wszyscy ufali. Henryk III był jedynym, który z tego chciał korzystać: posłał on brata swojego Ryszarda, aby w imieniu jego zażądał zwrotu Normandyi i Piktawii. Przedstawienie Ryszarda zachwiało umysłem króla, zdawał on się uznawać słuszność żądania Henryka, a jak mówią, oddawna chciał królowi angielskiemu ustąpić Piktawii, Andegawii i Maine, w zamian za zrzeczenie się praw do Normandyi: teraz témbardziéj życzył uskutecznienia swoich zamiarów, lecz nie wiedział jakby do tego przystąpić

bez obrazy Francyi. Życzenie więc Ryszarda oddał pod wyrok swojéj rady parów, a gdy ci odmówną dali odpowiedź, król nie poprzestając na tém odniósł całą sprawę pod sąd biskupów normandzkich, lecz i ci się oświadczyli przeciw żądaniu Henryka; bezkorzystne więc zostały zabiegi Ryszarda.

Nadszedł dzień oznaczony na wyprawę świętą (12 czerwca 1248), Ludwik zgromadziwszy około stu tysięcy wojska udał się w uroczystéj processyi do kościoła Ś. Dyonizego, odebrał z rąk opata chorągiew wyprawy i laskę pielgrzymską; poczém wojsko ruszyło do portu Aigues-Mortes, gdzie miało siadać na okręty.

Od czasów Saladyna ziemia święta została prowincyą sułtańskiego egipskiego, opanować więc kraj od którego zależała Palestyna, w nim założyć środkowy punkt działań wojennych na wschodzie, roztropna doradzała taktyka. Już w 1219 roku dość silna wyprawa z Węgrów i Niemców po większéj części złożona, doświadczyła téj nowéj drogi, lecz zdobywszy Damiettę, bramę Egiptu, zapuściła się w głąb kraju i tam zgubę znalazła. Ludwik IX postanowił na nowo sprobować szczęścia. Lecz nie dość było dla świątobliwego króla oswobodzić ziemię świętą, dalszéj on myślą sięgał przyszłości, spodziewane zdobycze na trwalszych oprzéć chciał zasadach. Do widoków jego należało ustalić chrześciańską osadę w Egipcie, zapewnić związki jéj z Francyą, a tém samém mocną dać podporę chrześcianom ziemi świętéj. W tym celu kazał wyprawie zabrać potrzebną ilość narzędzi i sprzętów rolniczych, zakupił na wybrzeżu prowanckiém wioskę rybacką Aigues-Mortes, odłożył znaczne summy na urządzenie portu i wystawienie warownego zamku, przeznaczając to miejsce na punkt stałego połączenia z Egiptem, inne bowiem porty prowanckiego morza należały do posiadłości brata królewskiego Karola andegaweńskiego.

Wyspa Cypr przeznaczona była na miejsce zbierania się wojsk wyprawy. Henryk Lusignan, król tamtejszy, oddawna już przysposabiał zapasy żywności, a przezorność ta okazała się nader zbawienną. »Beczki wina pod gołém niebem w stosy ustawione,

mówi Joinville, zdawały się patrzącemu z daleka podobne do ogromnych domów, a kupy pszenicy, jęczmienia i innego zboża nakształt gór sterczały, tém bardziéj, że wystawione na zmiany powietrza całkiem po wierzchu porosły, pod tą jednak zwierzchnią skorupą zboże wcale nie zepsute było.» Przybywającego króla przyjął Lusignan z największą uroczystością, nim atoli przybył Alfons brat Ludwika, nim się z oddzielnemi wojsk hufcami pościągali baronowie, uczestnicy wyprawy, spóźniona pora zmusiła Ludwika do przepędzenia zimy na wyspie. Nie był to wszakże czas stracony, użył go król na obejrzenie się w nowéj strefie, na pogodzenie zwaśnionych zakonów świątyni i szpitala (Templaryuszów i Johannitów), pojednał króla Armenii z księciem Antyochii, skłonił do rozejmu Genueńczyków z Pizanami, zręcznie załatwił spory własnych wazallów.

Za nadejściem wiosny (1249) zebrani na radę znakomitsi wodzowie dzielili się w zdaniach: jedni od Akry wyprawę rozpoczynać radzili, zdobycie Jerozolimy za cel swojego poświęcenia uważając, zdanie drugich przemogło; wnosił je zaś król cypryjski, a silnie popierał sam Ludwik. Twierdził on, że Jerozolima w sąsiedztwie potężnego władcy Kairu nigdy się utrzymać nie zdoła, że chcąc utrwalić władzę chrześcian w ziemi świętéj, wypada skruszyć potęgę niewiernych w głównym ich gniaździe: osiedliwszy się w Kairze, bez żadnego trudu będzie można oswobodzić Jerozolimę. W skutek tego wyprawa skierowała się ku Egiptowi. Zdaje się iż zamiarem króla było wylądować pod Alexandryą, nawałnica morska rzuciła ten oddział flotty, przy którym się sam król znajdował, na wybrzeże Damietty. Niezliczone tłumy Saracenów, w szyku bojowym ustawione, czekały na przyjęcie chrześcian: sam sułtan stał na ich czele, rozpoznać go można było zdala po złotolitéj zbroi, którą błyszczał pośród swoich, nakształt słońca, jak się wyraża Joinville. Trąby, surmy i wielkie kotły okropną wrzawą napełniały powietrze. Muzułmanie ochłonęli już z pierwszego przestrachu, oswoili się z wyobrażeniem najścia i zdawali się być gotowymi do dzielnego odporu.

Równo ze świtem wojska przeznaczone do lądowania wsiadły do szalup i płytkich czółen i, pod gradem strzał, w trzech kolumnach zbliżały się do brzegu. Środkowa kolumna pod wodzą Joinvilla posunęła się naprzód: krzyknięto aby się kierowała według statku na którym była oriflamma, lecz wódz kazał natężyć siły wioślarzom, wyskoczył na ląd i wojsko swoje w szyku bojowym ustawił. Silne było pierwsze natarcie Muzułmanów, lecz wstrzymał ich zapęd Joinville, a tymczasem wsparł go hrabia Jaffy, i hufiec królewski w znacznéj części stanął na lądzie. Ujrzawszy król chorągiew zatkniętą na brzegu i waleczne rycerstwo pasujące się z nieprzyjacielem, nie mógł dłużéj powściągnąć swojego zapału, wyskoczył z łodzi i z mieczem w ręku brodząc po ramię w morzu, zdążał do brzegu;

za tym przykładem poszło rycerstwo z orszaku królewskiego. Skoro król stanął na brzegu, w téj chwili starły się obadwa wojska z taką gwałtownością, że Muzułmanie dotrzymać placu

nie mogąc pierzchnęli w nieładzie drogą do Kairu wiodącą, a Damietta trwogą rażona, po drugi raz bramy chrześcianom otworzyła (*).

Radość niewymowna opanowała umysły rycerstwa, król wraz z małżonką swoją, która mu towarzyszyła na wschód podzielając trudy i niebezpieczeństwa wyprawy, z orszakiem wyborowego rycerstwa, w uroczystéj processyi wszedł do miasta (dnia 8 czerwca 1240). Z największą pobożnością złożono Bogu dziękczynne modły, zaraz atoli po skończoném nabożeństwie zubożałe rycerstwo i wojsko rzuciło się do rabunku zamożnego podówczas miasta; nie było siły zdolnéj powściągnąć chciwość i swawolę, przesycenie je uspokoiło. Król Ludwik chcąc uniknąć zgubnéj dla wojska bezczynności, a zarazem korzystać z pierwszego popłochu między niewiernymi, zamierzał posuwać się w głąb kraju na drodze do wielkiego Babilonu, tak wówczas Francuzi nazywali miasto Kair, stolicę egipskich sułtanów. Mauclerc, hrabia bretański, dla zabezpieczenia Nilu radził naprzód zwrócić oręż przeciw Alexandryi; lecz większa część baronów ruszyć się z miejsca nie chciała, pókiby rozproszone przez burzę okręty nie zebrały się i oczekiwana rezerwa pod wodzą Alfonsa nie nadciągnęła. Tak więc marnowano czas i siły napróżno, a nieprzyjaciel się wzmacniał i coraz więcéj nabierał otuchy.

Wreszcie tęsknie oczekiwany Alfons przybył ze znacznemi w wojsku i pieniądzach zasiłkami, wyprawa tym sposobem wzmocniona liczyła około sześciudziesiąt tysięcy ludu do boju zdolnego. Zostawiwszy więc w Damiecie załogę dla zasłony chorych i do boju nienależących, ruszył król drogą do Kairu wiodącą (dnia 20 Listopada 1249), drogą klęskami Andrzeja i Jana de Brienne oznaczoną. Dziesięć mil było tylko do Man-

(*) Jan de Brienne król jerozolimski wsparty posiłkami wyprawy krzyżowéj któréj przywodził Andrzéj król węgierski, obległ Damiettę i po półtoroletniém oblężeniu zdobył (1218). Wyprawa Andrzeja spełzła na niczém, a Damietta w ośm miesięcy wróciła pod władzę egipskich sułtanów.

sury, gdzie wojsko egipskie stało obozem, lecz kraj poprzerzynany kanałami utrudzał pochód, trzeba było także przebyć jednę odnogę Nilu, by dosięgnąć egipskiego obozu. Tu dopiero zaczęła się mozolna i mordercza praca: Francuzi, czy dla braku potrzebnych materyałów, czy też usposobionych budowniczych, zamiast rzucić most przez rzekę, postanowili usypać tamę. Z wielkim zapałem jęli się téj roboty, lecz z drugiéj strony Muzułmanie, w miarę postępu tamy, podkopywali przeciwny brzeg rzeki niszcząc prócz tego machiny i ludzi ogromnemi głazami, które z potężnych kusz rzucali i greckim ogniem którego nieznany Francuzom sekret w Konstantynopolu nabyć potrafili. »Ogień grecki, mówi Joinville, taki huk sprawiał, iż rzekłbyś, że to piorun spada z nieba: tak potężny jak beczka, wlokący za sobą długi ogon ognisty, nakształt wielkiego smoka latającego, takie zaś rzucał światło w nocy, że w naszym obozie jasno było jak wśród dnia białego.... Za każdym razem skoro nasz dobry król usłyszał, iż rzucali taki ogień, padał na ziemię a wzniosłszy oczy i ręce ku niebu, wylewając łzy obfite mawiał: —Dobry Panie Boże Jezu Chryste ratuj mnie i mój lud wszystek.»

Już trzy miesiące nad brzegiem odnogi nilowéj strawili krzyżacy sypiąc groblę bezustannie, a jeszcze daleko byli od brzegu przeciwnego, który się ciągle usuwał przed nimi, wreszcie przybył do obozu krajowiec i zobowiązał się wskazać Francuzom brod za pięćset bizantyńskich sztuk złota: natychmiast układ zawarto i przednia straż przeszła na drugą stronę, (dnia 8 lutego 1250). Dowodził nią Robert z Artois, brat królewski, niepohamowanéj odwagi rycerz, nie mógł on doczekać przejścia większéj siły i mimo przedstawień Templaryuszów rzucił się zapamiętale na hufce saraceńskie i w jednéj chwili rozbił

(*) Napoleon sądził, że gdyby Ludwik święty tak postępował jak Francuzi w roku 1798, wyszedłszy z Damietty 8 Czerwca mógł był stanąć dnia 12 w Mansurah a 26 w Kairze.

je, a pędząc pierzchających dosięgnął drugiego ramienia Nilu, przebiegłszy przez sam środek miasta Mansury. Postępowali za nim Templaryusze, gdyż nie mogli pohamować zapału młodego księcia, a nie chcieli być posądzonymi o brak odwagi. Stary rycerz, głuchy, Foucaud de Melle, zacieklejszy jeszcze od Roberta, pochwycił za wędzidło jego rumaka i ciągnąc go w cwał krzyczał na zabój: *daléjże daléj na nich!* Lecz nad brzegiem rzeki zmieniła się postać bitwy: Bibars dowódca zuchwałych mameluków nie ustąpił kroku, a tymczasem i żołnierze saraceńscy ochłonęli z pierwszego przestrachu: Robert cofać się musiał, w mieście wśród zatarasowanych ulic ze wszech stron ściśnięty, z okien pociskami, wrzącą wodą, kamieniami, rozpalonym piaskiem rażony, mimo cudów waleczności towarzyszącego mu rycerstwa, poległ wraz z trzystą swojemi rycerzami i dwustą ośmdziesiąt Templaryuszami. Książę Bretanii i W. Mistrz Templaryuszów niepojętym sposobem ocaleli.

W tym samym czasie okropny wrzał bój w saraceńskim obozie nad brzegiem rzeki rozłożonym. Król, na dzielnym rumaku, potężny niemiecki bułat oburącz ująwszy, śpieszył gdzie najzaciętsza walka, narażał osobę własną prostego zastępując żołnierza. W jednéj chwili już go sześciu otoczyło Saracenów, już za cugle schwycili by go uprowadzić, lecz szablą uwolnił się sam z niebezpieczeństwa. Piechota egipska najwięcéj godziła na konie rycerzy, dla tego wielu ich pieszo także walczyć musiało. Joinville pięć ran odebrał, a koń jego dwadzieścia pięć. Ze strony egipskiéj, w samym początku natarcia, poległ naczelny wódz Fakreddin, poległo wielu Emirów i mnóstwo znakomitego ich rycerstwa, dla tego walka choć była zacięta, lecz bez żadnego planu toczona.

Na wieczór armia francuzka w zdobytym nieprzyjaciół obozie nocne leże zajęła. Tu króla zawiadomiono o zgonie hrabiego Artois, a gdy wkrótce ktoś, nieświadomy wypadku, pytał się go o los brata, rzekł król: »To tylko o nim wiem, że już jest w niebie.« Mamelucy, jazda z zakupionych niewolników utworzona, niedługo spoczywać chrześcianom dozwolili: trzeciego

dnia ponowili walkę z większą jak pierwéj zaciętością. Hrabia andegaweński najdaléj posuniony na drodze do Kairu, najpierwsze ich wytrzymać musiał natarcie. Przez dwa zarazem oddziały, konny i pieszy, napadnięty, byłby uległ niezawodnie, zwłaszcza że Egipcyanie razili chrześcian ogniem greckim, który z długich rur miedzianych miotali; lecz król posłyszawszy o niebezpieczeństwie hrabiego, rzucił się pośród Muzułmanów z orszakiem przybocznego rycerstwa i zmusił niewiernych do odwrotu. W téj utarczce koń królewski całą grzywę od ognia greckiego miał opaloną. Hrabia piktawski już się dostał do niewoli, lecz marketani, rzeźnicy, kobiety i cała obozowa czereda, posłyszawszy o tém, przywiązaniem ku swojemu panu wiedzeni, z taką wściekłością rzucili się na nieprzyjaciela, iż pana swojego z rąk jego wydarli. Tak się ciągnęła walka aż do wieczora, wtedy wódz egipski dał znak do odwrotu, a Ludwik z całą armią dziękował Bogu za wsparcie: w istocie był to cud jawny, że rycerze wszyscy prawie ranni, pieszo walcząc, odeprzéć zdołali szalone natarcie licznéj i dzielnéj jazdy.

Już odtąd ani można było myśléć o dłuższéj obronie, a tém mniéj o postępie naprzód, wszyscy pragnęli wrócić do Damietty nie mając żadnéj nadziei posiłków. Choroby zaraźliwe do reszty znękały wojsko chrześciańskie, szybki odwrót jedynym był ratunkiem armii, ale król nie chciał opuszczać rannych i chorych. Wojsko królewskie rozłożone było po obudwu brzegach Nilu, wielki most drewniany na nizkich i gęstych palach zbudowany utrzymywał połączenie. Po bitwie ciała poległych z obudwóch stron rzucano w rzekę, a te gnijąc, dość prędko wypływały na wierzch i pokrywały rzekę w całéj przestrzeni, »jak daleko można było kamieniem dorzucić« mówi Joinville. Prócz tego był to post, wojsko więc po większéj części żywiło się pewnym gatunkiem ryb małych, ale nadzwyczaj żarłocznych, karmiących się pływającemi po Nilu trupami. Takowy pokarm, wśród zarażonego wyziewami powietrza, musiał koniecznie zrodzić zarazę okropną. Puchły im i gniły dziąsła, tak dalece, że je wyrzynać trzeba było, aby mogli połykać, z niesnośnego

bólu okropne jęki rozlegały się po obozie, a złe codziennie się wzmagało, wkrótce cały obóz zmienił się w szpital i cmentarz. Król ustawnie odwiedzał chorych, pocieszał, ratował i przykładem swoim do wytrwałości zachęcał, lecz w końcu i sam uległ zarazie. Wtedy już zabrano się do odwrotu, ale król nie mógł udźwignąć zbroi, w jedwabnéj więc sukni, na małym podjezdku powoli postępował. Przybywszy do pierwszéj wioski, zwanéj Kazel, już w dalszą drogę puścić się nie mógł: złożony w małym domku, wsparł głowę na łonie mieszczanki paryzkiéj, która przypadkiem znajdowała się przy wojsku. Chatillon, rycerz, zobowiązał się strzedz króla, który tak dalece osłabł, iż zdawał się blizkim zgonu. Saraceni w też tropy przybyli ze wszech stron nacierając: Chatillon bronił przystępu do uliczki, przy któréj król był złożony, silném cięciem szabli w prawo i lewo gromił nacierających: raz po raz cofał się; by powyrywać strzały, któremi puklerz jego był nastruszony tak, iż go ledwie mógł dźwignąć, wracając znowu do walki, wołał z całego gardła: »Do Chatillona rycerze, do Chatillona!« lecz rycerze nie przybywali, sam walczyć musiał póki mu sił starczyło, a gdy wreszcie padł na placu, Egipcyanie wzięli króla w niewolę (1250 dnia 5 kwietnia).

Ludwik IX w niewoli zachował godność człowieka odważnego serca. Sułtan chcąc korzystać z tak szczęśliwéj zdobyczy domagał się od króla, jako okupu, wydania wszystkich miejsc ziemi świętéj w ręku chrześcian będących. Król na to odpowiedział, że jedne są lennością cesarzów niemieckich, drugie są posiadłością rycerskich zakonów, nie do niego przeto należy rozrządzanie temi miejscami. Niezyskawszy nic namową sułtan Turan-Szach pogroził królowi *berniklami*, rodzajem okropnéj tortury, przez którą męczonym wszystkie kości druzgotano; niezachwiany monarcha, kazał oświadczyć: »Jestem jeńcem sułtana, może zrobić ze mną co mu się podoba.« Wtedy złagodniał sułtan i podał za warunek wyzwolenia milion bizantyńskich sztuk złota i zwrot Damietty jako okup za króla i innych jeńców. Na to odpowiedział Ludwik: »Król francuzki nie opłaca

się złotem, dla tego za osobę własną odstępuje Damiettę, za jeńców zaś milion sztuk złota wyliczy.» Ujęty szlachetnością monarchy sułtan sam odstąpił piątą część żądanéj summy (*) i na téj zasadzie ułożony rozejm na lat dziesięć podpisał król.

Już wsiadł Ludwik na statek udając się wraz z sułtanem do Damietty, gdy niespodzianie, przez bunt dość pospolity na wschodzie, Turan-Szach utracił tron i życie od ręki Bibarsa. naczelnika Mameluków, którzy się za pokrzywdzonych uważali. Król na statku swoim świadkiem był téj krwawéj sceny i w niemałém zostawał niebezpieczeństwie; wkrótce bowiem jeden z morderców sułtana zbliżył się do króla, trzymając w ręku serce i rzekł: »Co mi dasz za to, żem zabił twojego nieprzyjaciela, któryby cię zgładził był niezawodnie, gdyby był jeszcze dłużéj pożył?» Król nie odpowiedział mu ani słowa. Między starszyzną mamelucką byli niektórzy co żądali śmierci wszystkich jeńców bez różnicy, lecz większa ich liczba oparła się temu, a tak zawarty z sułtanem układ potwierdzony został, król odzyskał wolność (dnia 8 maja 1250).

Królowa Małgorzata w czasie niewoli króla powiła syna, któremu dała imię: Jan Tristan. Po zawartym układzie opuściła ona Damiettę i wraz z rycerstwem zdrowém jeszcze wsiadła na okręty, a Muzułmanie zająwszy miasto, nie bacząc na warunki ugody, wymordowali wszystkich rannych i chorych, jakich w Damiecie znaleźli. Król przybywszy do Ptolemais zasięgał rady panów swoich względem dalszego postępowania: chrześcianie syryjscy błagali jego pomocy, królowa zaś matka jak najśpieszniego żądała powrotu, tego pragnęli i bracia królewscy; król jednak zważając, że pobyt jego na wschodzie jakiżkolwiek ratunek przynieść może chrześcianom ziemi świętéj, a żadnego nie zrządzi uszczerbku dla Francyi, postanowił jeszcze pozostać

(*) Bizantyńska złota moneta znana była we Francyi pod nazwą bezanów, nawet za Ludwika IX wybijano ją we Francyi. Każda sztuka miała mieć wartość dwóch dukatów. Niektórzy kronikarze summę okupu podają tylko na czterykroć sto tysięcy bezanów.

dając wolność panom wracania do kraju, którzyby tego pragnęli. Z tego pozwolenia najpierwéj korzystali obadwa bracia królewscy.

Korzystne dla Ludwika otwierały się widoki: Saraceni syryjscy ze zgrozą przyjęli bunt Mameluków, nie chcieli uznać ich sułtana i wynieśli na tę godność Haleba prawnuka Saladynowego. Nowy sułtan Damaszku wezwał pomocy króla francuzkiego opłacając ją przyrzeczeniem zwrotu Jerozolimy. Gdy atoli emirowie egipscy zobowiązali się do rzetelnego wykonania zawartéj poprzednio z królem umowy, jeńców wojennych oddali, drugiéj połowy zawarowanego okupu w złocie zrzekli się, król więc przystąpił do zgody z nimi (1252). W rok jednak późniéj pogodzili się Egipcyanie z Syryjczykami i wszyscy razem zwrócili oręż przeciw chrześcianom. Ludwik więc zasoby jakie miał jeszcze obrócił na wzniesienie nowych warowni, lub naprawę starych, w miejscach w ręku chrześcian będących, jako to: w Ptolemais czyli Akrze, Cezarei, Joppe i Sydonie.

W tym czasie doszła króla wiadomość o śmierci Blanki. Zasłabła ona w Melun, a czując zbliżający się zgon wezwała do siebie ksienię zakonu Cystersek z Maubuisson i z rąk jéj przyjęła zasłonę. Wkrótce téż dokonała życia w sześćdziesiątym piątym roku wieku swojego (dnia 1 Grudnia 1252). Monarchini rzadkich cnot i niepospolitych talentów, jakich złożyła dowody w czasie rejencyi. Była to drażliwa i dla monarchizmu niebezpieczna epoka, a przecież Blanka, kobieta, cudzoziemka, bez podpory związków familijnych, na wątpliwém prawie władzę swoję opierająca, potrafiła nie tylko odziedziczoną po dziadzie i ojcu syna swojego powagę tronu utrzymać, lecz ją znacznie rozprzestrzenić i ustalić. Dumni wazallowie do uległości zmuszeni, niedołęztwo swoje rzucanemi na królową potwarzami osłonić mniemali. W pierwszych zaraz chwilach potrzebna jéj pomoc kościoła i rozsądna w krytycznych okolicznościach rada, nakazywały jéj starać się o przychylność Romana, legata papiezkiego: pozyskane wsparcie jego, krzyżujące zamiary zuchwałego możnowładztwa, ogłosili baronowie skutkiem ściślej-

széj poufałości z prałatem. Teobald szampański kilkakrotném zdradzeniem sprzysiężonych wazallów i własnych interesów dał powód rozjątrzonym do posądzania królowéj o zabiegi miłosne. Prawda, że główną sprężyną działań hrabiego była miłość, królowa, wiedząc nie wiedząc, korzystała z jego usług w najkrytyczniejszych okolicznościach; lecz nie dość na tém, że nie ma najmniejszego pozoru wzajemności z jéj strony, ale nadto są jawne dowody, że królowa dobro syna swojego, dobro kraju jedynie miała na celu. Umiał Ludwik odpłacić to matki poświęcenie. Dzieje świata mało przedstawiają przykładów podobnego przywiązania, podobnéj ufności synowskiéj, jakie zachował Ludwik dla swojéj matki. Monarcha potężny, niezachwianéj stałości charakteru, pełen odwagi i waleczności, z największém był uszanowaniem dla woli matki, z zupełną dla jéj rad powolnością. Udając się na wojnę krzyżową zostawił jéj władzę bez najmniejszego zastrzeżenia i za jéj życia zupełnie był spokojny o los Francyi; skoro tylko odebrał wiadomość o zgonie, natychmiast uczucie obowiązku względem poddanych swoich przemogło wszelkie inne widoki i postanowił opuścić ziemię świętą. Jakoż w same święta wielkiéj nocy (1254) wsiadł na galery włoskie i po długiéj, dość utrudzonéj i niebezpiecznéj żegludze zawinął do portu Hyeres w końcu czerwca, a we wrześniu stanął w Paryżu.

Smutny i znękany wracał Ludwik z wyprawy, widok Francyi nie mógł go pocieszyć. »Gdyby na mnie samego spadł ten wstyd i nieszczęście, odezwał się do jednego z biskupów, gdyby grzechy moje nie zwróciły się na uszczerbek kościoła powszechnego, zniósłbym wszystko z pokorą; lecz niestety! całe chrześciaństwo przezemnie poniżone.« Odtąd uśmiech nie postał na ustach jego, nie bawiła go muzyka, ani wesołe rozmowy. Radosne okrzyki ludu, który się tłoczył w czasie przejazdu, nie zdołały przerwać jęków, ani rozweselić oblicza jego, ciągle oczy w ziemię wlepione trzymał.

Jeżeli wszakże ucisk chrześcian wschodnich tyle dręczył Ludwika, stan w jakim zastał Europę za powrotem, nie był wcale

zaspokajający. Klęski które opłakiwał nie były tyle dotkliwe i zgubne dla kościoła, jak owa szczególna niespokojność i niepewność która owładnęła wszystkie umysły. Mistycyzm zakorzeniony pomiędzy ludem przez ducha krucyat, zatrważające począł wydawać owoce: wyrodził się w zagorzałość, rozhukaną żądzę swobody religijnéj i politycznéj. Ta cecha jego wybitniéj jeszcze objawiła się w wiekach następnych, w tak zwanéj we Francyj żakeryi (jacquerie), to jest powstaniu chłopów: wstępem do tego i niejako pierwszą próbą było poruszenie pasterskie (la revolte des pastoureaux), w czasie nieobecności króla wybuchłe.

W czasie świąt wielkanocnych (1251) odebrano we Francyi wiadomość o klęsce wyprawy krzyżowéj i niewoli króla Ludwika; w tym momencie pojawił się jakiś szalbierz nazwiskiem Jakób, pospoliciéj *mistrzem węgierskim*, od kraju z którego pochodził, mianowany, ten przebiegając wioski Flandryi i Pikardyi ogłaszał ludowi, że Jezus Chrystus nie chciał dozwolić oswobodzenia ziemi świętéj za pośrednictwem dumnych baronów, że ten zaszczyt zachowany dla ludu prostego, dla ubogich, a osobliwie téż pasterzy. Dowodem tego jest, że Chrystus Pan będąc na ziemi nazywał się sam pasterzem, barankiem bożym. Ktoby to był ten mistrz węgierski, rzecz do zbadania niepodobna. Mówią, że pierwiastkowo zakonnik cysterski, zaparł się wiary i został Mahometa wyznawcą; głoszono także iż był poddanym egipskiego sułtana, któremu przyrzekł wyludnić Francyą i całe zachodnie chrześciaństwo. Nie mając dowodów ani na potwierdzenie, ani na zbicie tych domysłów, mniemam, iż mogł to być zwyczajny zapaleniec, o jakich nietrudno w czasach tlejących zarodów niespokojności. Długa, aż do pasa sięgająca broda, twarz blada i sucha, oczy zapadłe ale iskrzące, głos grzmiący, łzy na zawołaniu, oto są przymioty, które go w oczach ludu istotą wyższą, posłańcem bozkim wystawiały. Niezliczone zewsząd tłumy zbiegały się na słuchanie jego nauki, lud porzucał pługi, opuszczał trzody i obory a szedł za mistrzem węgierskim. Wkrótce zebrało się trzydzieści tysięcy

w Amiens. Ztąd cała tłuszcza posunęła się do Isle de France zwiększając się po drodze zbiegami, wygnańcami, pastuchami, którzy zbierali się zbrojni siekierami obusiecznemi, widłami, rożnami, maczugami, zardzewiałemi szablami. Powybierali sobie naczelników i dowódców, w należytym porządku paradowali przechodząc miasta i miasteczka, każdy oddział miał swoję chorągiew, których niedługo namnożyło się do pięciuset; na niektórych jako godło znajdował się baranek z krzyżem, na innych obraz Najświętszéj Panny, wizerunki świętych, wreszcie i postać samego mistrza węgierskiego. Skoro mistrz ujrzał się dość silnym, liczba bowiem zwolenników jego szybko do stu tysięcy dorosła, wtedy zaczął powstawać przeciw biskupom, prałatom, zakonom żebrzącym, mnichom czarnym i białym (Benedyktynom i Cystersom), nazywał ich światowymi i mięsożerami, a lud chętnie słuchał tego szkalowania. Już tu i owdzie zabijano księży których spotkano po drodze, niesforność takiego tłumu ludu uciążliwą się stawała dla miejsc, przez które przechodzili: królowa Blanka nie śmiała im stawić oporu, owszem za przybyciem ich do Paryża obsypała darami mistrza węgierskiego, który pierwszy raz w Paryżu odważył się przemawiać do ludu z infułą biskupią na głowie, pobłogosławił wodę święconą w kościele Ś. Eustachego, a tym czasem uczniowie jego rozproszeni po mieście mordowali duchownych, skoro im się który nawinął. W Orleanie już po domach napadali i zabijali księży, do czego im sami mieszkańcy pomagali. Te gwałty i rozboje obudziły przeciw téj bandzie powszechne oburzenie. Biskup orleański rzucił klątew na wszystkich, a królowa Blanka poleciła władzom poskromienie ich. Mistrz tymczasem przybył do Bourges i zastał tam zebrane tłumy czekające z niecierpliwością na zapowiedziane przez niego cuda; gdy się wszakże długo nie pokazywały, ze wszech stron zaczęto szemrać, a wtém kat pomiędzy ludem ukryty, zbliżył się do mistrza i ugodziwszy toporem, głowę mu rozpłatał. Nim lud ochłonął z pierwszego przestrachu, zbrojni sądu służalcy porozpędzali go na wszystkie strony. Tenże sam los spotkał dwie

odstrychniete bandy, z których jedna zwróciła się ku Marsylii, druga zaś do Bordeaux, naczelnicy ich dokonali życia na szubienicy, a gmin o żebranym chlebie wracał do swoich kątów.

Dość łatwo przytłumiono wyskok niesforności ludu, lecz to usposobienie jego musiało mocno dotknąć bogobojnego monarchę, już i tak klęskami chrześciaństwa strapionego; z innych miar atoli szczęśliwe były ostatnie lata panowania jego. Ta śmiała pobożność, jakiéj wszędzie dawał dowody, sama nawet niewola, otoczyły imię króla Ludwika blaskiem świątobliwości, wzniosły go nad wszystkie książęta ziemi, tak, iż według wyrażenia trubadurów, żaden monarcha spółczesny nie ważył się z nim równać. Anglicy, Niemcy, Burgundowie, Lotaryńczycy, całe plemię drobnych baronów, tak żarliwe w utrzymaniu stopni hierarchii feodalnéj, zewsząd się do niego cisnęło, mijając swoich naturalnych wszechwładców. »Ludzie, którzy nie byli jego lennikami, mówi Joinville, tak byli do niego przywiązani z powodu zabiegów jakie czynił około utrzymania zgody między nimi, iż udawali się z prośbą o rozstrzygnięcie swoich sporów.«

Umiarkowanie świętego monarchy usprawiedliwiało ten powszechny szacunek. Układ jego z Henrykiem III (1259) przedstawia wzór niesłychanéj w dziejach delikatności sumienia, którą nawet trudno oznaczyć, tak dalece wychodzi z zakresu wyobrażeń polityków wszystkich wieków. Ludwik wspomniawszy na sposób jakim dziad jego zagarnął prowincye zachodnie, dziedzinę potomków Wilhelma zdobywcy, czuł jakąś niespokojność sumienia widząc się ich panem. Już w roku 1255 w czasie zjazdu w Paryżu wynurzył Henrykowi III wewnętrzne życzenie zwrócenia mu Normandyi, »lecz, dodał zaraz, mój cały baronat i moi dwunastu parowie, nie zezwolą nigdy.« W trzy lata późniéj Henryk w uroczystém poselstwie zażądał od Ludwika zwrotu swojego spadku po przodkach. Bracia królewscy i nadworni panowie ze śmiechem przyjęli to zuchwałe żądanie; Ludwik pozwolił im śmiać się, a w roku następnym zwrócił królowi Anglii, Perigord, Limousin, posiadłości w Saintonge, z wszechwładztwem nad Angoumois, pod warunkiem że Henryk

ze swojéj strony zrzecze się wszelkich roszczeń do reszty. Ludzie moralni i bogobojni wielbili to złamanie zasad polityki, lecz ustąpione prowincye nie mogły tego przebaczyć Ludwikowi, a gdy późniéj król pomiędzy świętych zaliczony został, mieszkańcy rzeczonych prowincyj nie chciały święta jego obchodzić. Rokiem pierwéj zawarł przymierze podobnéjże natury z królem aragońskim, z tą tylko różnicą, że tu się obeszło bez ofiar z obudwóch stron, wymieniono tylko roszczenia za roszczenia: Ludwik zrzekł się praw po Karolingach odziedziczonych do marchii hiszpańskiéj, król zaś aragoński odstąpił takichże praw do hrabstwa Tuluzy.

Dobrowolna uległość króla francuzkiego tém większą ma zasługę, że niebyło nawet cienia obawy wojny. Anglią podówczas trapiła wojna domowa między królem a baronami, która mu nie dozwalała myśléć o interesach zewnętrznych. Obiedwie strony znużone zatargami zdały się na sąd Ludwika; wyrok jego wypadł na korzyść króla, a tém samém nie zakończył sporów, lecz sam wybór na sędziego czyni zaszczyt niemały królowi Francyi.

Gdy tak wszystko schylało się przed spokojną i poważną postacią Ludwika świętego, a on w suknię z prostego kamlotu ubrany, siadłszy na trawie w lasku Vincennes wymierzał sprawiedliwość swoim poddanym, hrabia Prowancyi przybył, by przerwać błogie sercu jego zatrudnienia. Ten brat Ludwika świętego, Karol andegaweński, którego wielbiciel Villani tak straszny obraz przedstawia, ten *człowiek czarny, mało bardzo sypiający*, był szatanem kusicielem świętego Ludwika. Zaślubił on najmłodszą z czterech córek hrabiego Prowancyi. Trzy starsze były monarchiniami, najmłodsza zaś u podnóżka ich tronu siadać musiała. Beatrix małżonka Karola, zraniona w uczuciach swoich, podżegała gwałtowną i chciwą duszę swojego męża; trzeba jéj było także tronu, mniejsza o środki ku jego osiągnięciu. Prócz tego Prowancya pragnęła jakiéjkolwiek pociechy za nienawistne jéj związki, przez które w moc francuzką przechodziła; skoro marsylskie okręty zmuszone były wywiesić

banderę francuzką, trzeba było przynajmniéj żeby ta bandera tryumfowała na morzu, upokarzając flagę włoską.

Śmierć Fryderyka II rozstrzygnęła na korzyść kościoła stuletnią niemal wojnę z dynastyą szwabską. Koronę cesarską i neapolitańską ofiarował papież Ludwikowi IX, lecz wierny swoim zasadom król nie przyjął ani jednéj, ani drugiéj. Nie tak draźliwego sumienia był brat królewski. Karól, mimo rady Ludwika i odmówienie mu wszelkiéj w tym względzie pomocy, nie wzgardził berłem sycylijskiém, korciło go posiadanie tronu i dla własnéj dumy i dla zaspokojenia żądzy małżonki. Zajął się więc uzbrojeniem flotty w Marsylii i na czele tysiąca jazdy stanął w Rzymie (1265). Neapolem władał podówczas Manfred, dorywczy syn Fryderyka II, pełen świetnych przymiotów, lecz rozwiozły, bezbożny jak ojciec, człowiek jedyny, którego nikt nie kochał ani nienawidził przez połowę. Urodzenie swoje uważał sobie za zaszczyt, w równi z wielą bohatyrami i bogami pogan: mawiał często, że wielcy ludzie są pospolicie płodem związków zakazanych. Jedyną jego podporą byli Saraceni, im powierzał straż miejsc warownych i skarbów ojca swojego, na ich czele uderzył na Francuzów w ostatniéj bitwie pod Benewentem (26 Lutego 1266). Mówią że Karol zwycięztwo winien wydanemu wojskom swoim rozkazowi ranienia koni, coby było przeciw prawom rycerstwa. Środek ten atoli nie bardzo był potrzebny i tak pancerna jazda francuzka miała wyższość nad lekką Manfreda kawaleryą. Ujrzawszy pierzchających swoich wojowników Manfred postanowił zginąć, po dwakroć przywiązywał swoj kask, po dwakroć spadał mu na oczy, zawoławszy więc, *to jest skinienie bozkie* (Hoc est signum Dei), rzucił się pośród rycerzy francuzkich i legł na placu. Karol odmówił pogrzebu zwłokom Manfreda, jako wyklętemu, lecz Francuzi sami znieśli każdy po jednym kamieniu i ułożyli mu grobowiec.

Zwycięztwo tak łatwe nie złagodziło srogiego zdobywcy. Rozpuścił po kraju ćmy żarłocznych ajentów, którzy padając jak szarańcza objedli owoce, strawili drzewo i niemal ziemię spożyli. Papież sam żałował, że taką sprowadził pożogę; skargi

rozległy się po całych Włoszech, przedostały się nawet po za Alpy. Gibellinowie (*) neapolitańscy, toskańscy, a nadewszystko pizańscy wzywali pomocy młodego Konradina, ostatniego potomka dynastyi szwabskiéj. Matka długo wstrzymywała syna swojego od nieszczęsnych Włoch, w których cała jéj familia grób znalazła. Lecz gdy młody książę doścignął piętnastego roku życia swojego nie było sposobu wstrzymania. Wierny jego przyjaciel Fryderyk austryacki, równie jak on pozbawiony swojego spadku, przyłączył się do jego losu. Z liczném rycerstwem przebyli Alpy, znaczna liczba włoskich Gibellinów połączyła się z nimi. Karol i z tymi w jednym dniu skończył. W bitwie pod Tagliacozzo (1268) Konradin dostał się do niewoli, a srogi zwycięzca, przez nakręcone zapewne tłumaczenie prawa rzymskiego, wmówił w siebie, że pokonany nieprzyjaciel może być sądzony za zbrodnię obrażonego majestatu, a prócz tego wyłączony od kościoła już tém samém wyjęty był z pod prawa. Karol dobrał sędziów do rozstrzygnięcia sprawy Konradina, jednakże wypadek ten tak dalece przechodził zwyczajny tok spraw owych czasów, iż między wybranymi nawet sędziami znaleźli się obrońcy nieszczęśliwego księcia, drudzy milczeli, jeden tylko go potępił i zobowiązał się czytać wyrok śmierci na rusztowaniu; i temu nie uszło bezkarnie: własny zięć Karola, Robert flandryjski, wskoczył na rusztowanie, jedném cięciem szabli zgładził go, mówiąc: »Nędzniku! nie do ciebie należy skazywać na śmierć tak szlachetnego i zacnego pana.« Jednakże nieszczęśliwy Konradyn został ścięty wraz z nierozłącznym

(*) W jedenastym wieku znakomita dynastya książąt z Włoch do Niemiec przesiedlona, posiadłszy rozległe dziedziny, pod nazwą Welfów czyli Gwelfów znana była. Później tém imieniem oznaczano potężne stronnictwo w Niemczech, a bardziéj jeszcze we Włoszech, przeciwne roszczeniom cesarzów i jego stronników Gibellinami zwanych. Trzysta lat prawie zaciętą toczyły walkę obadwa stronnictwa, zmieniając formę, cel i nazwisko, jak np. Gwelfowie bieli i czarni (Bianchi e Neri) we Florencyi, wreszcie pozostało stowarzyszenie Gwelfów najsroższe ze wszystkich.

przyjacielem swoim Fryderykiem austryackim. »O matko moja, jak gorzką nowinę usłyszysz o mnie!» rzekł, i rzucił rękawicę pomiędzy tłum. Mówią, iż podjętą rękawicę wiernie oddano siostrze Konradina i szwagrowi jego królowi Aragonii. W trzynaście lat późniéj nieszpory sycylijskie krwawym były odwetem zgonu Konradina.

Śmierć Konradina zraziła umysły wszystkich; powszechne przeciw Karolowi panowało oburzenie: tym sposobem stracił on nadzieję owładnięcia Włoch całych, a rojąc ciągle plany rozszerzenia władzy swojéj w inną stronę zwrócił uwagę. Z zachodniego cypla Sycylii dawny hrabia prowancki sięgał okiem bogatych okolic w których niegdyś dumna i potężna stała Kartagina. Instynkt jego zdobywczy szeptał mu, że z tego punktu, przerzuciwszy się do Afryki mógłby ważne odnieść korzyści. Lecz pod tę porę ojczyzna Annibala i Ś. Augustyna była w ręku dzielnego Merinidów pokolenia; Karol zaś nie był jeszcze tyle ustalonym w nowych posiadłościach, aby o własnéj sile mógł się odważyć wejść w szranki z nieprzyjacielem przed którym drżała Hiszpania; wspomniał więc o bracie swoim królu Francyi, którego ciągle dręczyły wspomnienia klęsk pierwszéj jego krucyaty. Przekładał on Ludwikowi, że zostawszy panem Tunetu, łatwo mu będzie owładnąć Kair, klucz do ziemi świętéj. Żeby go tém prędzéj skłonić do swoich widoków, przyrzekał uzbroić flottę i liczne w pole wyprowadzić wojsko.

Inne wcale względy skłaniały Ludwika świętego do przedsięwzięcia nowéj krucyaty. Bibars wódz Mameluków, waleczny lecz srogi wojownik, uznany został przez Syryjczyków w godności sułtana: wstrzymał on straszną pożogę Mogołów, lecz się stał groźnym chrześcian wrogiem. Zdobył już Joppe i Antyochią i sięgał po resztę posiadłości chrześciańskich. Gońcy smutnych wieści z Azyi skruszyli serce Ludwika, zwołał zgromadzenie panów swoich do Paryża (1267) i przedstawiwszy im srogi ucisk chrześcian ziemi świętéj, przypiął krzyż sobie i trzem starszym synom swoim, Filipowi, Janowi Tristan i Piotrowi, za tym przykładem poszło wielu innych panów, a ci co się

jeszcze wówczas wahali, późniéj zostali uczestnikami wyprawy świętéj. Dnia 1 Lipca 1270 roku zebrało się w Aigues-Mortes około sześćdziesiąt tysięcy zbrojnego ludu, na którego przyjęcie genueńskie czekały galery. Tu na radzie zebranych wodzów oświadczono Ludwikowi, że władca Tunis Mulej-Mostansa gotów był przyjąć religią chrześciańską, obawa jedynie buntu poddanych wstrzymywała go od spełnienia swoich życzeń. Niektórzy utrzymują, że tunetański wódz powziąwszy wiadomość o przygotowaniach do wojny świętéj we Francyi, któréj, według wieści, on miał być pierwszym celem, dla oddalenia burzy, istotnie wprost do samego króla udał się z wynurzeniem swoich zamiarów przyjęcia religii chrześciańskiéj. Cóżkolwiekbądź król wsiadłszy na okręt kazał skierować do portu starożytnéj Kartaginy, może w tém przekonaniu, że obecność siły zbrojnéj skłoni Mostansę do spełnienia przyrzeczeń. Zadrżeli Tunetańcy, trwogą zdjęci na widok tak potężnéj armii, tak dalece, że gdyby Ludwik korzystając z pierwszego popłochu śmiało uderzył na nieopatrzoną warownię, byłby ją bez wielkiego trudu owładnął; lecz król czekał na przybycie brata swojego, a tymczasem Muzułmanie zwolna nabrali otuchy, obwarowali należycie miasto i trapić poczęli chrześcian nowym rodzajem broni. Zamknięci w warowni Tunetanie w stanowczą nie chcieli wdawać się bitwę, pewni będąc iż skwarne niebo Afryki walczyć będzie skuteczniéj od ich oręża. Drażnili więc tylko wojowników francuzkich, nie dawali im odpoczynku, rzucali na nich tumany rozpalonego piasku, naciśnięci zaś kryli się po za warownię. Rozłożeni obozem na skwarnych piaskach, na żar słońca ciągle wystawieni Francuzi, nie mając najmniejszego cienia do ochłody, ani nawet czém ugasić pragnienia, wnet ulegli chorobom które niebawem zamieniły się w okropną zarazę. Ludwik, sam opadły na siłach, chodził od namiotu do namiotu, orzeźwiał chorych, pocieszał umierających, wznosił odwagę zdrowych; w końcu jednak przyszła koléj i na niego, legł na łożu boleści, ofiarą powszechnéj zarazy, któréj się bynajmniéj nie chronił.

Czując zbliżający się zgon przywołał do łoża swojego najstarszego syna, Filipa, który za kilka dni miał zostać królem Francyi. »Miły synu, rzekł mu, najpierwsza rzecz, którą ci wskazuję i któréj zachowanie ci polecam, jest, abyś z całego serca i przedewszystkiém kochał Boga, i miał serce przystępne dla biednych... Bacz pilnie aby poddani twoi żyli w pokoju i poczciwości pod rządem twoim, osobliwie téż w dobrych twoich miastach, zachowuj ich przywileje i swobody, miéj dla nich względy i przywiązanie, ponieważ zamożność i potęga twoich dobrych miast wstrzyma twoich nieprzyjaciół i przeciwników, a osobliwie podobnych tobie i baronów, którzy nie odważą się powstać przeciw tobie i knuć spisków... Proszę cię, moje dziecię, abyś po moim zgonie pamiętał o mojéj biednéj duszy, i udzielam ci błogosławieństwo, jakie tylko kiedy ojciec mógł udzielić dziecięciu swojemu, prosząc całą Trójcę niebieską, Ojca, Syna i Ś. Ducha, aby cię strzegli i bronili od wszelkiego złego.» Po czém żądał sakramentów świętych, kazał się złożyć na łożu okrytém popiołem i niedługo wejrzawszy w niebo i wymówiwszy te wyrazy: *Introibo in domum tuam, adorabo ad templum sanctum tuum* (wejdę do domu twojego, złożę cześć w kościele świętym twoim), spokojnie przeszedł na łono wieczności (25 sierpnia 1270).

Prawie w tym samym momencie gdy Ludwik święty skonał, Karol andegaweński zawinął z całą swoją flottą, z rozpuszczoną banderą, wśród odgłosu trąb i kotłów. W obozie głuche panowało milczenie. Karol wysiadł na ląd i natychmiast się o wszystkiém dowiedział. Pobiegł czém prędzéj do miejsca w którém złożone było ciało brata jego i skropił je łzami, szczerszemi może, aniżeliby się spodziéwać można było po człowieku twardym i samolubnym; wyprawa bowiem spełzła na niczém. Trwały wprawdzie utarczki przez niejaki czas, ale te do żadnego nie doprowadzały wypadku. Za zbliżeniem się zimy Muley-Mostansa uwolnił swoje państwo opłaciwszy koszta wyprawy baronom i przyrzekłszy roczny haracz królowi sycylijskiemu.

Krucyata świętego Ludwika była ostatnią. Wieki średnie przedstawiły swój ideał, wydały kwiat i owoc; zgon ich nastąpić musiał. Filip *piękny*, wnuk Ludwika świętego, rozpoczyna dzieje nowoczesne. Długo jeszcze mówić będą o krucyatach, lecz każdy już wié co o nich sądzić, czego po nich spodziewać się należy. Późniéj nieco (1327) Wenecyanin Sanuto przedstawił papieżowi wniosek krucyaty handlowéj. »Nie dość, mówił on, zdobyć Egipt, trzeba go zniszczyć.« Środek przez niego podany polegał na otwarciu drogi handlowéj przez Persyą, aby towary indyjskie nie przechodziły przez Alexandryą. Tak więc już wtedy przebija się duch nowoczesny; handel, nie religia, ma zostać pobudką wypraw w dalekie strony świata.

Że król francuzki stał się niejako wizerunkiem religijności ówczesnego świata był to niezmiernie ważny punkt dla monarchizmu i dla dynastyi we Francyi. Na téj zapewne zasadzie następcy Ludwika świętego tak śmiało postępowali w wydarzających się sporach religijnych. Dostojność królewska nabyła w oczach ludu powagi religijnéj i świętéj. Znalazł się król według pomysłu ludu, sprawiedliwy i potężny, bezstronny sędzia wszystkich, i ten otoczył świętym urokiem godność monarchiczną na długie bardzo wieki.

Miała już Francya kilku monarchów prawdziwie pobożnych, między wszystkimi atoli góruje Ludwik, jako rzeczywisty ideał pobożności. Na niéj on opiérał wszystkie swoje działania, a wszystkie jego działania nosiły na sobie cechę godności, która nawet i w niewiernych wzbudzała cześć i poszanowanie. Ścisłe dopełnianie najdrobniejszych nawet obrządków religijnych nie przeszkadzało mu bynajmniéj w ważném panującego powołaniu. Był Ludwik dość słabéj budowy ciała, wzrostu wysmukłego, twarzy ujmującéj, wzrok zaś objawiał, że myśl nie światowemi tylko miał zajętą sprawami. Nadzwyczaj ludzki i wyrozumiały, w zarządzie państwa czynny i sprężysty. W najzawilszych sprawach z niepojętą trafnością i przenikliwością wyrokował. W trudnych przygodach szybko się namyślał i śmiało działał. W wyborze nieskażonych urzędników nadzwy-

czą troskliwy, w wymiarze sprawiedliwości ścisły, skory i niezachwiany.

W dobrach Vesnon kupiec na drodze publicznéj wśród dnia zrabowany został, król rozkazał posiadaczowi dóbr szkodę wynagrodzić; każdy bowiem pan obowiązany był czuwać nad bezpieczeństwem dróg publicznych w obrębie posiadłości swoich.

Trzej młodzieńcy flandryjscy bawiący we Francyi dla nauczenia się języka francuzkiego wyszli raz do pobliskiego lasu na polowanie na króliki: zapał myśliwski uniósł ich do lasu Engerralda Coucy, możnego i popędliwego pana. Schwytani przez leśniczych, z rozkazu Engerralda powieszeni zostali. Na zaniesioną skargę król kazał się stawić Engerraldowi przed sądem swoim. Dumny pan stanął wprawdzie, lecz nie chciał odpowiadać, utrzymując, że jako baron przez parów tylko i baronów sądzonym być może. Przekonany wszakże, iż sam nie był parem tylko prostym lennikiem, wtrącony został do turmy Luwru, pod ścisłą straż służby dworskiéj. Przerażeni baronowie, przyjaźnią lub powinowactwem z możnym Engerralda domem połączeni, lękając się o życie jego, gdyż Ludwik nie taił bynajmniéj iż chce oddać wet za wet, prosili króla aby im pozwolił

należéć do sądu. Nie odmówił im tego w mocném przedsięwzięciu nie zezwolenia na żadne tamowanie sprawiedliwości.

Rozpoczął się sąd, Engerrald chciał się oczyścić pojedynkiem, lecz król pragnąc znieść ten barbarzyński zabytek sądowego postępowania, oświadczył, iż pojedynek miejsca miéć nie może, ilekroć bowiem szłoby o ukaranie ucisku biednych, występek zostałby bezkarnym, bo ci nie znaleźliby zapaśników (champions) w sprawie swojéj. Przecież Jan hrabia Bretanii obstawał za pojedynkiem, wtedy król ze zwykłą sobie powagą rzekł: »Hrabio, gdy baronowie twoi oskarżyli cię przedemną i żądali pojedynku, wtedy ty prosiłeś mnie o postępowanie sądowe, twierdząc, że pojedynek nie jest dowodem prawnym.« Zamilkł hrabia, zamilkli baronowie, jeden tylko Jan Thourot z Noyon, mruknął szyderczo: »Gdybym był królem, kazałbym wszystkich baronów wywieszać: krok jeden zrobiony, drugi już nic nie kosztuje.« Król dowiedziawszy się o tém, kazał stanąć przed sobą Janowi i odezwał się do niego: »Jak to Janie, mówisz że powinienbym kazać wywieszać baronów? nie, ja nie każę wieszać baronów, ale karać będę złoczyńców.« Baronowie widząc niezłomną wolę króla, rzucili mu się do nóg błagając o łaskę. Rozrzewniony Monarcha, »Engerraldzie, rzekł, gdybym był pewny, że Bóg chce śmierci twojéj na zmazanie winy, ani cała Francya, ani powinowactwo nasze nie byłoby w stanie zasłonić cię od kary.« Poprzestał król na wrażeniu jakie ta sprawa na umysłach baronów sprawiła, Engerraldowi odebrał jurysdykcyą w dobrach jego, zabronił mu polowania na króliki, las w którym nieszczęśliwi schwytani zostali klasztorowi odstąpić polecił, i znaczne summy na cele dobroczynne złożyć nakazał. Baronowie z radością przyjęli ten wyrok, szło im bowiem jedynie o ocalenie życia Engerralda.

Pewni szlachta mając krewnego złego człowieka, który się nie chciał poprawić, prosili Symona z Nielles, do którego należała jurysdykcya w téj ziemi, aby go cichaczem pozwolił sprzątnąć, iżby się nie dostał w ręce sprawiedliwości i z hańbą familii na szubienicy życia nie dokonał. Symon odmówił po-

zwolenia, lecz doniósł o tém królowi. Król zakazał, chciał bowiem aby w całém królestwie złoczyńcy karani byli publicznie, w obliczu ludu, a nie pokątnie.

Raz w wielki piątek, gdy król odmawiał psalmy, krewni jednego szlachcica osadzonego w turmie, zbliżyli się do tronu błagając o łaskę, przedstawiając, że to właśnie był dzień przebaczenia. Król położywszy palec na wierszu który czytał: »Błogosławieni którzy strzegą sądu i sprawiedliwość czynią w każdym czasie.« Kazał wezwać do siebie sędziego paryzkiego a tymczasem daléj czytał psalmy. Sędzia przybywszy oświadczył, iż zbrodnie uwięzionego były bardzo wielkie. W skutek tego Ludwik święty kazał natychmiast winowajcę prowadzić na szubienicę.

Tę wzniosłość umysłu, która słuszność przekładała nad prawo, winien był Ludwik święty po większéj części Dominikanom i Franciszkanom, którzy się zawsze przy boku jego znajdowali. W najdrażliwszych okolicznościach zasięgał rady św. Tomasza z Akwinu, a na wzór wysłańców pańskich (missi dominici) Karola Wielkiego wysyłał zakonników żebrzących dla przekonania się o stanie prowincyj. Do tych dwóch niedawno powstałych zakonów tak dalece był przywiązany, iż radby był podzielić się na dwie części, jak sam mawiał, aby mógł do obudwóch zarazem należyć klasztorów. Dla tego dwóch miał zwykle spowiedników, jednego Franciszkana, drugiego Dominikana, w końcu nawet panowania zaledwie go królowa Małgorzata odwieźdź potrafiła od zamiaru przyjęcia reguły świętego Dominika, tercyarzem zaś franciszkańskim dawniéj już został. W téj epoce życia swojego zatopiony w mistycyzmie, w dobréj wierze bez wątpienia, stanął w oppozycyi z władzą duchowną swojego kraju, a nawet była chwila w któréj samemu papieżowi sprzecznym się okazał (*).

(*) W roku 1240 papież objawił zamiar zerwania rozejmu, zawartego z Fryderykiem II cesarzem: Ludwik święty chcąc temu zapobiedz, kazał wstrzymać zasiłki pieniężne, które legat papiezki od duchowieństwa fran-

Prałaci królestwa zebrani stanęli raz przed Ludwikiem świętym i biskup z Auxerre w imieniu ich przemówił: »Najjaśniejszy Panie, zgromadzeni tu arcybiskupi i biskupi upoważnili mnie do wynurzenia Waszéj królewskiéj Mości, że chrześciaństwo pod panowaniem Jego upada.» Król przeżegnawszy się: zapytał: »Proszę powiedzcież mi jakim to sposobem? —Najjaśniejszy Panie, rzekł daléj biskup, oto ludzie wyłączeni od kościoła, wolą umiérać, niż starać się o odpuszczenie i zadosyć uczynić kościołowi. Upraszamy zatém, abyś W. K. M. rozkazał swoim przełożonym i sędziom (Prévost et bailli) aby wyłączonych od kościoła po skończonym roku przez zajęcie dóbr znaglali do starania się o odpuszczenie.» Na to król odpowiedział, iż chętnie to uczyni względem winnych, lecz byłoby przeciwne Bogu i rozumowi gdyby miał znaglać niewinnych.

Francya oddawna ślepo ulegająca władzy duchownéj, w początku trzynastego wieku sprzeczną jéj być poczęła, tém gorzéj że opór swój formami prawnemi osłaniała. Filip August w zatargach swoich z papieżem z okoliczności małżeństwa, znalazł przychylnych sobie wielu biskupów i wszystkich prawie panów. W roku 1225 panowie zagrozili wojną jeżeliby król nie zapobiegł nadużyciom. W rok późniéj Piotr Mauclerc nieprzyjaciel duchowieństwa, łącznie z księciem Burgundyi, hrabiami Angoulème i Saint-Pol zawiązał ligę przeciw władzy kościelnéj, do któréj znaczna liczba szlachty przystąpiła. Ludwik Ś. w prostocie serca przyłączył się do tych sporów przeciw duchownym, których wypadek korzystnym się okazał dla władzy monarchicznéj; z równąż prostodusznością należał do walki prawników przeciw panom. Przyznał on monarsze prawo cofnięcia gruntów darowanych kościołowi, a w roku 1268 pod-

---

cuzkiego uzyskał. W roku 1247 papież wysłał do Francyi Dominikanów i Franciszkanów w celu zaciągnięcia pożyczki od duchowieństwa francuzkiego. Król zawiadomiony o tém zakazał Prałatom swoim składania téj pożyczki, pod utratą dóbr.

pisał uchwałę pragmatyczną, którą poniekąd uważać można za pierwszą podstawę swobody kościoła gallikańskiego (*).

Klęski krucyaty, zgorszenia po wszystkich stanach, wątpliwości ze wszech stron mnożące się, zagłębiały Ludwika świętego w życiu wewnętrznem. Czytanie i rozważanie stało się jedynym jego żywiołem. Nadewszystko czytał Biblią i pisma ojców świętych, osobliwie też Ś. Augustyna. Kazał przepisywać rękopisy i z nich utworzył sobie bibliotekę: z tych to szczupłych pierwiastków miała z czasem wzrość biblioteka królewska. Pragnąc utwierdzić religią w sercach wszystkich, zapobiegał rozprawom w przedmiotach wiary, nie chciał aby się w nie wdawali ludzie należytego ukształcenia nie mający. Raz opowiadał Joinvillowi, że rycerz obecny rozprawom mnichów z żydami, rzucił pytanie jednemu z uczonych żydowskich, a usłyszawszy odpowiedź, uderzył go laską w głowę, tak iż ten padł na ziemię. —Dla tego mówię wam, dodał król, że kto nie jest doskonałym księdzem, nie powinien się wdawać w rozprawy: człowiek świecki skoro usłyszy mówiących przeciw prawu chrześciańskiemu, nie powinien bronić prawa chrześciańskiego, jedną tylko szablą.

Często król mawiał, że wiara jest to przedmiot w który mocno wierzyć powinniśmy, choćbyśmy inaczéj nie byli pewni,

---

(*) Główne punkta uchwały pragmatycznéj Ludwika świętego są następujące: 1. Prałaci, kollatorowie beneficyów i opiekuni używać będą w spokojności praw swoich. 2. Kościoły katedralne i inne zachowają wolność wybierania swoich prałatów. 3. Przedajność i symonia beneficyów zniesiona być ma. 4. Posuwanie na wyższe stopnie, rozdawanie godności, beneficyów i urzędów kościelnych, ma być wykonywane stosownie do powszechnego prawa rozporządzeń soborów świętych i zwyczajów ustalonych przez dawnych ojców kościoła świętego. 5. Żaden pobór ani opłaty pieniężne nie mogą być ściągane przez dwór rzymski w całéj rozciągłości królestwa, chyba w nagłéj potrzebie i to za przyzwoleniem króla i zgodą kościoła gallikańskiego. 6. Wszystkie kościoły i duchowni w całém królestwie zatrzymają wolności, swobody i przywileje, udzielone im przez królów poprzednich.

tylko z powziętych wieści. Sam też ściśle się trzymał téj zasady. Joinville i Villani wspominają, że raz królowi dano znać, iż Chrystus Pan objawił się w hostyi w czasie mszy świętéj: »Niech ci idą przypatrywać się, rzekł, którzy powątpiewają, ja zaś widzę go w mojém sercu.» Opowiadał także Joinvillowi, że doktór teologii przyszedł raz do Wilhelma biskupa paryzkiego i przedstawił mu ze łzami, że nie mógł »serca swojego znaglić do wierzenia w sakrament ołtarza.» Biskup zapytał się, czy znajdował w tém upodobanie gdy mu djabeł zsyłał tę pokusę: teolog odpowiedział, iż go to mocno dręczyło, i wolałby się raczéj w sztuki kazać porąbać, niżby miał zrzec się wiary w Eucharystyą. Wtedy biskup pocieszył go, zapewniając, iż ma więcéj zasługi od tego, który żadnéj nie ma wątpliwości.

Drobne te szczegóły mało ważnemi na pozór zdają się być wypadkami, ważne to atoli są skazówki i godne głębszego zastanowienia. Skoro sam Ludwik święty był niespokojny, ileż to dusz pobożnych musiało powątpiéwać i cierpiéć w milczeniu! Lecz co najdotkliwszego było w tém pierwszém osłabieniu wiary, to że wahano się wyznać je przed sobą samym. Dziś nie pojmujemy tego stanu, obojętni na wszelkie wątpliwości, lub zatwardziali na jéj udręczenia: lecz przenieśmy się myślą do owych czasów, w których dusza żywa jeszcze, pełna gorącéj wiary i miłości, pierwszy raz poczuła wciskający się zimny sztylet. Ugruntować całe życie na jednym pomyśle, zahaczyć je na miłości nieskończonéj, a potém ujrzéć to wszystko usuwające się! Kochać, wątpić, czuć się znienawidzonym za to powątpiewanie, czuć usuwającą się ziemię pod nogami, gręznąć w niezbożności, w tém zlodowaciałém piekle, w którém miłość bozka nie przyświeca nigdy: a przecież chwytać się gałęzi powiewających nad tą otchłanią, silić się wierzyć w to, że się jeszcze wierzy, obawiać się miéć jakąś obawę, wątpić o swojém powątpiewaniu, a jeżeli wątpliwość jest wahająca się, jeżeli myśl nie jest pewna myśli, czyż to nie otwiera nowéj sfery powątpiewaniom, piekła pod piekłem?... Otóż to pokusa nad pokusami, wszystkie inne niczém są obok niéj

Czasy Ludwika świętego ważną są epoką we względzie ducha religijnego. Jeszcze nie zakrzepła krew Albigensów, jeszcze tlały głownie zburzonych miast i zamków, a już się zajmowało nowe żarzewie równie strasznym grożące pożarem. Wieczna walka łaski z prawem rozpoczęła się za Ludwika świętego między uniwersytetem a żebrzącemi zakonami. W dwunastym wieku uniwersytet odstrychnąwszy się od swojéj kolebki, szkoły przysionku katedry Najświętszéj Panny, rozpoczął spór z biskupem paryzkim; w dwunastym wieku wszedł w szranki z zakonami żebrzącemi; w czternastym zaczął się ścierać z samym papieżem. To stowarzyszenie tworzyło twardą i silną anarchią, w któréj piętnaście do dwudziestu tysięcy młodzieży różnych narodów wprawiało się w obroty dyalektyczne: miasto dzikie wśród miasta, które niepokoiło rozhukaną swawolą, gorszyło rozwiozłemi obyczajami. Lecz mimo to, od niejakiego czasu ten uniwersytet był wielkiém polem gimnastyki umysłowéj. W samym trzynastym wieku wyszło z łona jego siedmiu papieżów i mnóstwo kardynałów i biskupów. Najznakomitsi cudzoziemcy, w dojrzałym już wieku przybywali zajmować miejsce u stopni katedry Duns Skota. Należało to do zaszczytów odbyć dysputę uczoną w Paryżu. W trzynastym wieku zakonnicy klasztorów żebrzących otrzymali górę nad dawnymi dyalektykami. Słynni mówcy i kaznodzieje, prawili o miłości: pochwycili na nowo godło świętego Augustyna. Oschła logika, która tak wielkie robiła wrażenie za czasów Abelarda, teraz nie była już dostateczną.

Jan z Parmy ogłosił dzieło z tytułem: *Introductorium ad Evangelium aeternum*, (Wstęp do Ewangelii wiecznéj); naucza on, że Ewangelia nie jest dostateczną do udoskonalenia człowieka, że niedługo zacznie się ewangelia trwalsza, ewangelia ducha; że dotąd kościół trzymał się tylko litery. Naukę mistrza swojego podzielało wielu Franciszkanów, przyjęli ją także niektórzy Dominikanie. Wtedy odezwał się uniwersytet. Najznakomitszy podówczas z doktorów uniwersyteckich był Wilhelm de Saint-Amour, człowiek pełen dowcipu delikatnego, ale cierpkiego:

ten puścił w obieg mnóstwo rozpraw uszczypliwych przeciw zakonom żebrzącym, w których sili się dowieść im kacerstwa. Nieszczęściem aż nadto jawnie pokazuje się, że autor nie miał na celu interessu kościoła; spółzawodnictwo naukowe, zawiść rzemieślnicza główną była pobudką pism jego. W czasie rejencyi Blanki zakonnicy żebrzący uzyskali katedrę w Paryżu (1230), a mędrcy uniwersyteccy zgaśli w obliczu Alberta wielkiego (Albertus magnus) i potężnego dyalektyka świętego Tomasza z Akwinu.

Sprawa wytoczyła się przed trybunał papiezki w Anagni. Przeciwnikami Wilhelma de Saint-Amour wystąpili, dominikanin Albert wielki arcybiskup moguncki i Ś. Bonawentura, generał franciszkański. Papież potępił zdania Wilhelma, lecz zarazem i dzieło Jana z Parmy uległo cenzurze, a tak jednakowyż wyrok dosięgnął i rozumujących i mistyków, stronników litery i ducha. Ten środek tak trudny do utrzymania, na którym kościół starał się oprzeć nie przechylając się ani na prawo, ani na lewo, wskazany został przez świętego Tomasza: i na tém polega jego największa chwała. Wystąpiwszy w końcu średnich wieków, podobnie jak Arystoteles w końcu świata greckiego, został Arystotelesem chrześciaństwa, skreślił jego prawodawstwo, siląc się pogodzić logikę z wiarą, na pognębienie wszelkiego kacerstwa. Olbrzymi pomnik który wzniósł, wprawił w zadumienie wiek jego. Albert wielki wyrzekł, że św. Tomasz ustalił prawidło, które trwać będzie do spełnienia wieków.

Nadzwyczajny ten mąż całe życie poświęcił temu zawodowi: od piątego roku wieku swojego wziąwszy biblią w rękę nie przestał nad nią rozmyślać przez całe życie. W takowém rozmyślaniu zatopiony, martwym był na wszystko co go otaczało. Raz będąc na morzu nie uważał wcale, że gwałtowna burza miotała okrętem: drugi raz tak silnie był zajęty przedmiotem rozmyślania, iż nie puścił świecy, która mu się w palcach dopalała. O niebezpieczeństwie kościoła zawsze i wszędzie rozmyślał; będąc na obiedzie u króla Ludwika zdarzyło się, że

zamyślony nagle uderzył ręką silnie w stół, wykrzyknąwszy: »Otóż mam dowód niezbity przeciw Manichejczykom.« Król rozkazał natychmiast dowód ten napisać. W walce z Manichejczykami zgadzał się ze św. Augustynem; lecz w przedmiocie łaski widocznie odstrychnął się od ojca kościoła św. przypuszcza wolność. Jako teolog kościoła obstawał za hierarchią i rządem kościoła. Odsunąwszy zaś wolność, człowiek niezdolny będzie do posłuszeństwa, a bez tego nie ma rządu. Nie wdając się w rozbiór tego rozumowania, to tylko namienimy, że niebezpieczną było rzeczą oddalać się od św. Augustyna, przez to bowiem otwierały się szerokie wrota dla każdego ktoby chciał po nieprzyjacielsku wedrzéć się do kościoła.

Taki był widok świata w trzynastym wieku pod względem religii. U szczytu niedostępnéj skały św. Tomasz zagłębiony w myślach nad swojém zadaniem. Tu człowiek i wolność, tam Bóg, łaska, przewidzenie bozkie, przeznaczenie: z téj strony obserwacya zaprzecza wolności człowieka, z tamtéj logika gwałtem go ciągnie do fatalizmu. Obserwacya rozróżnia, logika ujednoistnia; popuśćmy téj ostatniéj cugli, a wnet człowiek rozpłynie się w Bogu, Bóg w przyrodzeniu, przywiedzie ona świat do niepodzielnéj jedności, w któréj zniknie wolność, moralność, życie nawet praktyczne. Dla tego téż prawodawca kościelny oparł się na krańcu pochyłości, zdrowym rozsądkiem gnębiąc własną logikę, którąby go była z sobą uniosła. Silny geniusz wstrzymał się na ostrzu brzytwy między dwiema przepaściami których zmierzył głębokość: uchwycił szale, szukał równowagi i umarł ze znużenia.

Pod tą wzniosłą strefą, którą zajmował św. Tomasz, huczały wichry i burze. Pod aniołem był człowiek, pod metafizyką moralność, pod św. Tomaszem św. Ludwik. W osobie tego ostatniego wiek trzynasty przedstawia obraz swojéj męki. Rozumiem przez to pierwsze udręczenie, jakiém przejmowało duszę wykluwające się powątpiéwanie: gdy cała harmonia średnich wieków zmieszała się, gdy gmach w którym się usadowiono chwiać się począł, gdy święci ludzie spór wytoczyli przeciw

świętym ludziom, prawo wystąpiło naprzeciw prawa, wtedy dusze najpowolniejsze, najuleglejsze ujrzały się skazanemi sądzić, roztrząsać. Pobożny król Francyi, który pragnął jedynie ulegać i wierzyć, wcześnie bardzo zmuszony został walczyć, powątpiewać, wybierać. Lecz walka nie trudną była dla niego pod tarczą silnéj wiary, wątpliwość nie mogła się zakorzenić na gruncie żarliwéj pobożności, a proste i nieskażone serce ułatwiło wybór.

ROZDZIAŁ X.

STAN FRANCYI W WIEKU TRZYNASTYM POD WZGLĘDEM RZĄDU, NAUK I SZTUK.

Wiek trzynasty ważnym jest w dziejach narodów europejskich, dla Francyi jest on szczytem budowy wieków średnich, chwilą przesilenia: odtąd zaczynają się wyrabiać żywioły świata nowoczesnego, niewykończone formy w nowe powoli przekształcają się postaci, zmienia się dążność ludów, duch ogólny nowego nabiera polotu. Jeszcze wszakże przykre czekają świat koleje; jeszcze przez długie lata twarde przygody, krwawe zapasy, dotkliwe klęski ludzkość znosić musi, nim jedna myśl przeważy, nim sobie drogę dalszego postępu utoruje.

Wyprawy krzyżowe wstrząsnęły całym feodalizmu systemem, ściśle atoli biorąc, pierwszy cios zgubny wymierzył nań Filip August, a następcy jego ciągle podkopując wazallów swoich potęgę, na jéj gruzach utwierdzali fundamenta władzy królewskiéj. Konfiskata Normandyi olbrzymi stanowi krok w postępie monarchizmu. Przez to pozbył się król sąsiedztwa potężniejszego od siebie wazalla, podwoił swoje posiadłości, otworzył

sobie drogę do południowéj i południowo-zachodniéj Francyi, a co największa tytuł króla otoczył nieznaną dotąd powagą, złamał śmiałość wszystkich wazałłów. Urządzenie gmin miejskich nie małą stanowiło podporę tronu (*). Już odtąd żaden z wazallów pojedynczo mierzyć się z królem nie odważył, a bitwa pod Bouvines okazała, że i związek kilku możnych lenników za słaby był przeciw potędze króla. Odtąd nie jeden zapomnianą od dawna przysięgę lenniczą (hommage lige) złożyć musiał, do czego pierwszy przykład dał hrabia Szampanii, zaprzysięgając wierność królowi i pomoc przeciw wszystkiemu co żyć i umierać może. Na téj drodze zwolna wprawdzie, ale ciągle postępował Filip: zniósł on zwyczaj zmuszający króla do składania lenniczéj przysięgi, skoro w dziedzinie swojego wazalla pośrednią uzyskał lenność, i z tego powodu utwierdził zasadę, że król ani może, ani powinien składać hołdu komukolwiekbądź. Zwyczaj był powszechny, że uzyskujący cząstkową lenność od posiadłości wielkiego wazalla oddzieloną, temu tylko wykonywał przysięgę, jako lennik pośredni, przez co związki z koroną słabiały, a władza króla upadała. Filip, za zgodą kilku możnych panów, których ująć sobie potrafił, prawem zawarował, że każdy taki lennik prócz przysięgi swojemu lennodawcy, obowiązany jeszcze składać przysięgę zwierzchnikowi całego lennictwa. Pierwsze to było prawo, któremu król umiał nadać moc obowiązującą po za obrębem dzierżaw koronnych. Prawda, że to nastąpiło za przyzwoleniem kilku możnych wazallów, lecz właśnie w tém okazuje się niepospolita zręczność Filipa, że umiał do swoich widoków nakłonić zdania wazallów, i zasłonić przed nimi przepaść, która ich z czasem pochłonąć miała.

(*) Gminy (communes), były to za upoważnieniem królewskiém potworzone stowarzyszenia, w których mieszczanie zobowiązywali się obstawać jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. W razie potrzeby zbierali się pod chorągwią parafialną i przywództwem własnego plebana. Pierwszy przykład takowych stowarzyszeń dały miasta biskupie i opackie.

Dzielném do tego narzędziem był sąd parów i częste możnych na dworze królewskim zabawy.

Groźném było imię królewskie w osobie Filipa Augusta, bo osobista powaga tego monarchy podwyższała godność majestatu; lecz wazallowie nie mogli od razu zapomnieć władzy, którą król im z rąk wytrącił. W czasie małoletności Ludwika IX po kilkakroć kusili się o odzyskanie dawnych przywilejów: śmiała i przezorna Blanka niweczyła ich zamachy, a tém samém utwierdzała dzieło dziada syna swojego. Ludwik IX z prawdziwą pobożnością niepospolitą w działaniu sprężystość łączący, nie tylko otrzymał odziedziczoną po przodkach władzę, lecz nadto granice jéj znacznie rozszerzył i to po większéj części bez oporu ze strony wazallów. Inne bowiem pobudki kierowały działaniami jego; staranie się o dobro ogółu, ścisły wymiar sprawiedliwości, bez względu na stan i urodzenie, uważał on za główny obowiązek korony i dla tego w prostocie ducha wydawał rozporządzenia ścieśniające władzę wazallów, choć w gruncie serca nie miał zamiaru ścieśniać ich przywilejów. Ograniczył naprzód prawo zajazdów między wazallami, określiwszy ściśléj drogi postępowania sądowego. Zabezpieczył appellacyą do sądu królewskiego pośrednim lennikom, zasłaniając ich od zemsty swoich lennodawców. Prawo to nie nowe wprawdzie, lecz nie było w użyciu poki król nie miał dość mocy do nadania mu należytéj powagi. Zniósł pojedynki jako dowód prawny, a natomiast zaprowadził zeznanie świadków, lub inne dowody piśmienne. Ufność w sprawiedliwości króla i jego sądów pomnożyła znacznie odwoływania się do niego od wyroków wazallów, parowie wystarczyć nie mogli, ustawiczne zbieranie się było dla nich uciążliwe, i to skłoniło króla do powierzenia wymiaru sprawiedliwości sędziom wyłącznie do tego wezwanym i stosownie do powołania swojego ukształconym. Takowy sąd najwyższy, przy boku króla znajdujący się, pierwszy raz za Ludwika IX przybrał nazwę parlamentu. Członkowie jego z początku usiłowali zrównać się ze szlachtą

przybrawszy śmieszną nazwę rycerzy prawnych (*); wkrótce atoli sumiennością wyroków swoich zjednali sobie wziętość i znaczenie i stali się dzielną podporą tronu. Są skazówki nieomylne, że parlament paryzki już w wieku trzynastym zyskał udział władzy prawodawczéj.

Ludwik IX z niezmordowaną troskliwością starał się o zaprowadzenie bezpieczeństwa osób i majątków, o szybki i ścisły wymiar sprawiedliwości w każdym zakącie państwa swojego: dla tego nie tylko czuwał nad sumiennością sędziów obwodowych i przełożonych (Baillif et Prevôts), ale nadto dostarczał im wszelkiéj pomocy ku wykonaniu wyroków potrzebnéj, i w tym celu pomnożył liczbę zbrojnych sług sądowych, wkładając na nich obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem dróg publicznych, chwytania złoczyńców i wałęsów, dochodzenia fałszerzy monet. Z tego to rodzaju sądowéj służby powstała milicya policyjna po miastach i obwodach, z początku zwana senechaussée nastepnie zmieniła nazwisko (maréchaussée) nie zmieniając powołania, a wreszcie przeistoczyła się w znaną dziś we Francyi żandarmeryą (gens d'armes). Bezpieczeństwo, łatwość w poszukiwaniu i uzyskaniu sprawiedliwości, potęga wreszcie króla zdolna zasłonić od przemocy niesprawiedliwego najezdnika, korzystnie wpływały na stan wewnętrzny kraju. Wzmogło się rolnictwo, zawiązał przemysł i handel (**), wzrosła zamożność kraju, a tém samém i dochody królewskie prawie w dwójnasób się pomnożyły.

(*) Z początku prawnicy z powołania wzywani byli na posiedzenia parów celem wyjaśnienia prawnego stanu sprawy, lub zastosowania prawa. Nieokrzesani a dumni parowie z pogardą na nich spoglądali. Żeby im więc nadać w oczach ich wyższą powagę, utworzono nowy rodzaj rycerstwa pod nazwą, milites literati, albo legales, chevaliers en loix, albo chevaliers-es-lettres.

(**) Ludwik IX nienawidził handlu, osobliwie też znieść nie mógł żydów, wówczas jedynych prawie kupcówFrancyi. Pobożność wszakże jego nie dozwalała żadnego ucisku ani prześladowań, jakich żydzi pod poprze-

Z wzrostem potęgi, obszerności kraju i dochodów, wzrastała także świetność dworu królów francuzkich. Dygnitarstwa wprawdzie jakie znane były za Karolingów, takie z małą zmianą obowiązków utrzymywały się dotąd. Wielki stolnik (Seneschal) pierwsze od dziesiątego wieku począwszy, aż do trzynastego zajmował miejsce, podpisując rozporządzenia królewskie pierwéj przed kanclerzem (Cancellarius, Chancelier). W. koniuszy (Connetable) piastował prawie wyłącznie naczelną władzę nad wojskiem. W. podkomorzy (Chambrier) dawniejszy camerarius miał dozór nad ubiorami królewskiemi, obowiązek ten wszakże wykonywał za pośrednictwem szambelanów. W. podczaszy (Bouteillier, albo Boutillier) czuwać miał nad piwnicami dworskiemi. Były to wszakże pozorne tylko obowiązki jakby na usprawiedliwienie tytułów przydane, rzeczywiste bowiem powinności wypełniała niższa służba dworska, daleko liczniejsza niż dygnitarstwa. Na utrzymanie takiego dworu znakomitych potrzeba była funduszów, i dygnitarze bowiem wysoką pobierali płacę, częścią w monecie, częścią w różnéj natury przedmiotach. Rozsądna oszczędność Ludwika świętego wystarczała na wszystko nie potrzebując uciekać się do środków uciążliwych; lecz poprzednicy jego, równie jak i następcy nie zawsze poprzestawali na zwyczajem uświęconych daninach. Z dóbr koronnych ciągnął król dochody podobnie jak inni właściciele, z dzierżawy folwarków, łąk, młynów, rybołóstwa, z opłat od pras winnych, spławów, targów, jatek rzeźniczych, i t. p. Nadto od każdéj sprzedaży włości pośrednio lennéj król piątą lub

---

dniemi i następnemi rządami doznawali, a dla których podobało się jednemu z kronikarzy zamieścić uwagę, że ówczasowy rząd francuzki obchodził się z żydami jak z gąbką, pozwalał im dobrze nasiąknąć, aby w razie potrzeby od razu wycisnąć. Nadewszystko brzydził się Ludwik lichwiarstwem i z największą surowością wypędzać z kraju polecał lichwiarzy, znanych pod nazwą karsynów, którzy z Włoch przybywszy, trudnili się wypożyczaniem na zastawy ciągnąc niekiedy procent dziesięć od sta na miesiąc.

szóstą część umówionéj summy pobierał. Od wszelkiéj darowizny lub spadku takiéjże lenności należał się królowi roczny jéj dochód. Od zapisów klasztorom i kościołom król sam, według upodobania, oznaczał opłatę pod tytułem droit d'amortissement. Prócz tego podatki gruntowe i osobiste, cła, kary sądowe, opłaty przywilejów, dary i pożyczki, zresztą konfiskaty pomnażały skarb królewski, a skoro zwyczajne dochody nie wystarczały, wnet wynajdowano nadzwyczajne, od których i duchowieństwo częstokroć nie było wolne.

W czasie wyrabiania się zasad rządu i prawa, duch narodu wszechstronnego nabierał wykształcenia. Chrześciaństwo jest żywiołem wieków średnich, męka jest gruntem chrześciaństwa. Od trzeciego wieku po Chrystusie aż po piętnastego, literatura, sztuki, całe rozwinięcie umysłu ludzkiego na téj polega tajemnicy. Wieczna tajemnica! choć ideał jéj na Golgocie tylko, przecież nie koniec jéj. Męka trwa i trwać będzie. Cierpi ją ludzkość w ciągu długiego życia historycznego, cierpi każde serce, jakkolwiek krótkie jest jego bicie. Lecz na czém cały dziw polega, że ta męka nie jest w zupełności bierną, jest to czynność od przyzwolenia, od wolnéj woli cierpiącego zawisła, a tém samém jest to przedmiot nadzwyczaj dramatyczny. Choć jednak ta męka jest dobrowolną, przez to samo że ta wola, ta dusza cierpiąca jest w osłonie, jest w ciele, musi przeto miéć chwilę trwogi i wątpliwości. W tém jest cała tragiczność dramatu, na tém polega jego przerażenie. Wszystkie dusze bohaterskie, które się odważyły na wielkie dzieła dla dobra ludzkości, doświadczyły téj próby, wszystkie mniéj więcéj zbliżyły się do tego ideału boleści. W takiéj to zapewne chwili Brutus odezwał się: »Cnoto, ty jesteś tylko czczą marą.« W podobném udręczeniu wyrzekł Grzegorz VII. »Szedłem za sprawiedliwością, unikałem nieprawości i dla tego umieram na wygnaniu.«

Lecz być opuszczonym od Boga, poruczonym samemu sobie, własnym siłom, wyobrażeniu obowiązku, przeciw ciosom świata, to jest dopiero wielkość kolosalna, to jest prawdziwe hasło człowieka: w tém on kosztuje owéj bozkiéj goryczy owocu wia-

domości, o którym w pierwszym dniu świata powiedziano: »Ujrzycie się bogami, zostaniecie bogami.« Oto jest cała tajemnica średnich wieków, cały sekret łez niezatartych i głębokiego owych czasów geniuszu. Drogie łzy! płynęły one w przejrzystych kryształach legend, cudownych poematów, a skupiając się w twarde klejnoty dźwignęły się w olbrzymie katedry, które chciały sięgnąć aż do podnóżka tronu przedwiecznego.

Usiadłszy nad brzegiem poetycznego potoku wieków średnich, łatwo rozróżnić dwa źrodła jego po kolorze wody. Strumień epopei, który wyrwał się niegdyś z głębi natury pogaństwa, skrapiał bohatyrskie wieki Grecyi i Rzymu, płynie zmieszany i zmącony z wodami zawichrzonego świata. Obok płynie czysta krynica chrześciańska u stopni krzyża wytryskująca. Z tąd dwie poezye, dwie literatury: jedna rycerska, wojownicza, miłosna, wcześnie przybrała barwę arystokratyczną: druga zawsze religijna i popularna. W samym zarodzie i pierwsza była popularną: rozpoczyna ją wojna przeciw niewiernym Karola W. i Rolanda. Nie przeczę bynajmniéj, że wówczas, a nawet i pierwéj były poemata rodu, że tak powiem, celtyckiego, w których głoszono ostatnie starcie się zachodu z Rzymianami i Germanami pod imieniem Fingala lub Artura; lecz nie chcę przesadzać w cenieniu ważności pierwiastku rodzinnego, żywiołów celtyckich; to jest właściwy przymiot Francyi, nie miéć nic właściwego, lecz przyjmować wszystko, przywłaszczać sobie wszystko, być Francyą i być światem. Grunt rodzinny nie raz był zatopiony, użyźniony przez zalewy obce. Wszystkie poezye świata w strumykach lub w potokach spływały do Francyi. Podczas gdy z pagórków Gallii i Bretannii kroplami zciekały starożytne Celtów podania, wtedy w rozhukanych potokach lały się ze szczytu Pireneów karlowingskie romanse. Góry Szwabii i Alsacyi przez Ostrazyą zlały fale Nibelungów. Ze starego świata klassycznego, przez śnieżne Alp wierzchołki, dostała się pełna eurydycyi poezya o Alexandrze i Troi. Wschód, otwarty przez krucyaty, w bajkach, powieściach i parabolach zlał rzeki odzyskanego raju.

Europa uczuła czém jest, wdawszy się w walkę z Azyą i Afryką: ztąd powstał Homer i Herodot; ztąd wiodą początek karlowingskie poemata, z wyprawą świętą hiszpańską, zwycięztwem Martela i zgonem Rolanda. Literatura jest pierwszém uczuciem narodowości. Naród występuje ujednoistniony w jednym człowieku. Roland umiera w uroczystym przechodzie gór dzielących Europę od afrykańskiéj Hiszpanii: podobnie jak dwaj Filenowie (*) ubóstwieni w Kartaginie, poświęca zgonem swoim granice swojéj ojczyzny. Wielkim jak walka, wzniosłym jak heroizm, jest grobowiec bohatyra, jego olbrzymia mogiła, bo tém są Pirenee same. Bohatyr umierający za wiarę chrześciańską jest chrześcianinem: widzi się przecież odstąpionym, opuszczonym przez chrześcian: ze szczytu Pireneów woła, dmie w róg, którego głos sięga z Tuluzy do Saragossy. Trąbi a zdrajca Ganelon z Moguncyi, i oziębły Karol W. nie chcą go słuchać. Trąbi, a chrześciaństwo za które się poświęca, nie chce mu się odezwać. Wtedy łamie szablę i chce umrzéć. Lecz nie zginie ani od broni saraceńskiéj, ani od własnego oręża. Nadyma ostatni ton skargi żałobliwéj, a żyły szyi wytężone pękają, krew szlachetna upływa: umiera z oburzenia na tak haniebne opuszczenie.

W miarę jak krucyata hiszpańska posuwała się co raz daléj ku środkowi półwyspu, słabiał odgłos téj wielkiéj poezyi: wiatr unosił niknące tony Rolanda, w miarę jak feodalne rozdrobnienie zacierało ślady jedności chrześciańskiéj i cesarskiéj,

---

(*) Kartagińcy spór wiedli z mieszkańcami Cyreny o granicę, zgodzili się wreszcie, że po dwóch młodzieńców z każdéj strony wybranych zarazem z oznaczonych miejsc wyjdą, a punkt w którym się spotkają stanowić będzie obudwóch krajów granicę. Dwaj bracia Filenowie ze strony kartagińskiéj zbyt szybko szli i za daleko w kraju Cyrenejczyków spotkali się z wysłańcami Cyreny. Ci więc zostawili im do wyboru, albo się cofnąć, albo na miejscu legnąć. Filenowie obrali to ostatnie, a wdzięczni Kartagińcy świetnym dla nich grobowcem uzacnili kopiec graniczny i obchód uroczysty pamiątce ich poświęcili.

która góruje w poematach karlowingskich. Poezya rycerska odurzona siłą osobistą, dumą bohatyrską, która była duszą świata feodalnego, znienawidziła monarchizm, prawo i jedność. Rozwiązanie cesarstwa, starcie się panów z władzą centralną za Karola łysego, i ostatnich Karlowingów, z tryumfem rozgłoszone w powieściach w Gerardzie z Roussillonu, w Quatre-fils-Aymon galopujących na jednymże rumaku: mnogość w tém miejscu nie jest bez znaczenia. Ideał przecież nie mieści się w mnogości, lecz w pojedynczéj osobie, w Rejnoldzie (Rénaud) z Montauban, bohatyrze osiadłym w wieży na górze; a na równinie oblegającymi są król i lud, w niezliczoném mnóstwie przeciw jednemu zebrani i jeszcze ledwie zabezpieczeni. Poezya feodalna nie pojmuje króla silnego liczbą, przedstawiającego wyobrażenie liczby: w niéj on się wydaje trwożliwym, nikczemnym. Dla tego już Karol wielki w drugim pasmie powieści nędznie wygląda: opuścił Rolanda, nie pomyślił nawet o jego ocaleniu. W tych zaś nowych powieściach, ściga nikczemnie Rejnolda, Gérarda z Roussillonu, podstępem przeważa nad nimi. Ściśle biorąc przedstawia się tu widocznie nienawiść prawa; lecz powstanie pojedynczości przeciw ogółowi dość słabą podporę znajduje w Rejnoldzie, w Gerardzie, to jest w szabli feodalnéj. Król ma tu większe prawo i na tym fundamencie przeważy on z czasem, weźmie górę nad baronem i nad ludem. To ostatnie wyobrażenie tkwi wplątane w dramat satyryczny, który z Azyi przywędrował, zwiedziwszy wszystkie kraje Europy i na wszystkie przełożony języki: jest to rozmowa Salomona króla z Morolfem (Markulem). Morolf jest to Ezop, błazen nieokrzesany, prostak, nikczemnik; a przecież miesza on króla Salomona przebiegłością swoją. Przeciw powadze, królowi i prawu, Rejnold feodalny występuje z szablą i siłą; Morolfa bronią jest rozumowanie i szyderstwo, równie silne, lecz w innym sposobie.

Król zwycięży barona nie tylko w potędze, ale nawet w popularności. Epopeja przeto feodalna wcześnie bardzo gubi wszelką cechę popularności i zamyka się w szczupłym możnowładztwa obrębie. Myśl wspólna obudwom pasmom powieści,

Rolanda i Rejnolda, jest wojna, bohaterskie poświęcenie się; walka zewnętrzna i wewnętrzna. Lecz wyobrażenie heroizmu sięga nieskończoności, ciągle rozszerza swoję sferę. Dziw poetycki, który z początku unosił się nad Ardennami, otaczał Pirenee, posunął się na wschód; jak Hesperia starożytnych z Włoch cofnęła się do Hiszpanii, a ztamtąd do Atlantydy. Za Iliadami postępują Odyssee. Poezya zapędza się w kraje odległe ścigając swoje ideały, szukając piękności nieograniczonéj, zdobyczy nieograniczonéj. Wtedy przypomina sobie, że Grek, że Rzymianin został panem świata; lecz nowy mieszkaniec zachodu nie przyjmie Alexandra, ani Cezara, póki mu się nie przedstawią w barwie zachodniéj. Pasuje ich więc na rycerzy: Macedończycy i Trojanie zostają przodkami Francuzów; Saxonowie pochodzą od wojowników Cezara, Bretonowie od Brutusa. Poezya w swojém natchnieniu przeziera pokrewieństwo ludów indogermańskich, które w ściślejszém badaniu wiek nowoczesny wykazał.

Ztémwszystkiém bohatyr nie jest jeszcze doskonałym, żeby go do tego stopnia doprowadzić, napróżno wiek średni oparł się na starożytności: omylony, zwrócił się do pierwiastku rodzimego, do celtyckiego dolmenu, do grobowca Artura. Artur powraca, ale nie ów mały przywodzca klanu, równie barbarzyński jak zwycięzcy jego Saxonowie, lecz Artur ogładzony w zawodzie rycerskim. Jest to jednak postać blada, ten król walecznych, z małżonką swoją Genofewą i dwunastą rycerzami okrągłego stołu. I cóż oni przynoszą światu po tym długim spoczynku, gdy kobieta usypia wieszczka Merlina? Przynoszą na powrót miłość kobiety: na tém się opiera ich wyobrażenie bohaterskie. Ciągle kobieta, ciągle Ewa, to zwodnicze godło natury, zmysłowości pogańskiéj, które czyni otuchę rozkoszy nieskończonéj, a trzyma łzy i żałobę. Posępni kochankowie, bieżcie na oślep w lasy, słabi i udręczeni, krążcie w nieskończonéj epopei, jak w owym kole Danta, w którym ofiary miłości bujają na łasce wiatrów nieustannych.

Do czegoż posłużyły te formy, te wtajemniczenia, te spólne

uczty rycerzy? Jest to usiłowanie do przeistoczenia wszystkiego, do uzacnienia poezyi światowéj, do przywiedzenia do pokuty. Obok świeckiego rycerstwa goniącego za sławą i kobietą, powstał inny rodzaj rycerstwa. I temu nie wzbraniano uganiać się na oślep, lecz inny cel wytknięto. Zostawiono mu Artura i jego walecznych, z warunkiem wszakże aby się poprawiali. Nowa poezya kieruje pobożnych pielgrzymów do tajemniczéj świątyni, gdzie złożony skarb święty. Rozkochany Lanselot, że się poważył zbliżyć do niego, rażony niemocą został jakby bez duszy przez trzydzieści cztery dni. Nowe rycerstwo Grala (*) udzielają księża: Titurela rycerzem biskup pasuje. Lecz ta poezya tak wysoko wznosi swój ideał, że przez to samo staje się czczym i bezwładnym. Cóż ztąd że wywyższa przymioty Grala, kiedy ten zostaje samotny; dzieci tylko Parsevala, Lanselota i Gauvaina mogą się jedynie zbliżać do niego. A gdy w końcu chce urzeczywistnić obraz prawdziwego rycerza, godnego strażnika Grala, musi powoływać do tego niejakiego Galahada, doskonałego ze wszech miar, świętego za życia, lecz wcale nieznanego. Taki bohatyr umyślnie utworzony, nie wywiera żadnego wpływu.

Taka była bezsilność poezyi rycerskiéj, wkrótce została ona siostrą scholastyki; scholastyką zarówno miłości jak i pobożnego uniesienia. Na południu, gdzie poetyczni kuglarze (Jongleurs) roznosili ją na tandetę w drobnych poematach po dworach i zamkach, znikła pod formą sztucznie wyrobioną, w kajdanach wysmażonego i niesłychanie kunsztownego wierszowania. Na północy z epopei spadła na romans, od symbolu przeszła do allegoryi i rozpłynęła się w czczości. Zgrzybiała, podrzeźniała jeszcze w ciągu czternastego wieku posępny romans Róży

(*) Gral, według innych Graal, była święta misa z wieczerzy pańskiéj, według podania w ręku Józefa z Arymatei znajdująca się. W podaniach bretańskich, z czasów nieutwierdzonego jeszcze chrześciaństwa, Gral przedstawiał czaszę z okrągłego stołu Artura, zapewne ze wspomnieniem kotła Ceridwena.

w posępniejszém jeszcze naśladowaniu: a tymczasem powoli wznosił się nad nią cierpki głos szyderstwa ludu w powieściach i bajkach.

Poezya rycerska musiała wreszcie poddać się śmierci. Jakąż przyniosła korzyść dla ludzkości przez tyle wieków? Człowiek, którego w swojéj zarozumiałości przyjęła prostodusznym, nieukiem, niemym prawie, obiecując go przez stopnie wtajemniczenia rycerskiego doprowadzić do godności chrześciańskiego rycerza, został słabym, nędznym, zniechęconym. Wiodła błędnego po lasach, goniąc za olbrzymami i potworami; lub szukając kobiety. Poezya rycerska nie wykształciła swojego bohatyra, zostawiła go w stanie dziecięcym. Dla tego też i on porzucił swoję matkę: podobnie jak Gérard z Roussillonu porzucił rycerstwo i został węglarzem, Rejnold z Montauban zajął się mularstwem i dźwiga na barkach głazy pomagając do wzniesienia katedry kolońskiéj.

Rycerz zostaje człowiekiem, miesza się pośród ludu i oddaje się kościołowi. Bo téż wówczas w kościele jedynie jest rozum człowieka, prawdziwe jego życie, spoczynek. Podczas gdy obłąkana dziewica epopei rycerskiéj ugania się po górach i jarach w tyle za siodłem Lanselota i Trystana, dziewica roztropna kościoła trzyma gorejącą lampę nim nadejdzie czas przebudzenia.

Kościół był podówczas prawdziwym przytułkiem ludu. Dom człowieka, ta nędzna lepianka, do któréj wracał wieczorem, była jego tylko chwilowém schronieniem. Właściwie mówiąc jeden był tylko dom, dom boży. Nie napróżno kościół miał prawo schronienia; było to podówczas schronienie powszechne: tam się schroniło życie towarzyskie. Człowiek modlił się w kościele, gmina odbywała w nim obrady, dzwon był głosem miasta. Wzywał on do prac rolniczych, do zatrudnień cywilnych, niekiedy dawał znak do bojów miejskich. Handel odbywał się około kościołów; odpusty były zarazem jarmarkami. Towary były błogosławione, zwierzęta nawet przyprowadzano do błogosławienia, kościół nie odmawiał go nigdy, pozwalał

zbliżać się do siebie *maluczkim*. Nic przeto dziwnego że budowa kościoła stała się przedmiotem, iskrą ożywczą sztuki.

Sztuka, w istotném znaczeniu tego wyrazu uważana, jest działaniem, jest dramatem według nazwy greckiéj: boć dramat jest działaniem, sztuką nad sztukami, zasadą i szczytem sztuki. Działanie, dramat, sztuka, obce są materyi. Żeby bezwładna materya przyjęła ducha, żeby przedstawiła działanie, sztukę, żeby się wcieliła, musi być naprzód pokonaną, musi cierpiéć, musi znieść szarpanie, okrzesywanie, rąbanie, toczenie: musi wytrzymać młot, dłóto, musi skwierczyć, syczyć, jęczyć. Otóż jéj męka. Przeczytajmy w balladzie angielskiéj, *Męczeństwo ziarna jęczmiennego*, ileż to ono znieść musi pod cepem, na lasach, w kadzi. Podobnież winogrono w prasie. Prasę winną nie raz brano za figurę krzyża człowieczego. Człowiek, winogrono, ziarno jęczmienne, pod tłokiem udręczenia przybierają najwznioślejszą formę; grube i nieokrzesane poprzednio, nabywają ducha. Kamień także ożywia się, tchnie duchem pod ciosem stali, pod surową i rozognioną ręką sztukmistrza. Dla tego trafnie bardzo zwano go w średnich wiekach, »Mistrzem żywych kamieni« (Magister de vivis lapidibus).

Ta walka dramatyczna człowieka i natury, staje się dla téj ostatniéj zarazem męką i wcieleniem, śmiercią i życiem. Łącznie z sobą wydają owoc wspólny: naturę ożywioną, materyą duchem natchniętą, sztukę. W obliczu téj wszechwładnéj natury, która igra z nami w zwodniczéj fantasmagoryi dzieł swoich, wznosimy drugą naturę ukształtowaną według naszego widzi mi się. Mordercza a razem roskoszna natura, która uśmiecha się do nas w chwili gdy nas niweczy, tak dalece zyskuje naszę przychylność, że całą roskosz zakładamy w jéj naśladowaniu.

Dziwna rzecz, w Indyach natrafiamy pierwsze szczęśliwe zapasy sztuki z naturą, pierwsze usiłowania w przelaniu życia, myśli, uczuć i dążeń w głaz niemy. Rozległe w łonie gór pieczary, w tajemniczéj swojéj ciemnicy, ożyły duchem sztuki i zdają się gotowe pochłonąć człowieka w swoich wnętrznościach. To znów objawiając polot człowieka, gwałtowny oddech

miłości, w rozkosznych piramidach sięgają niebios. Wszystkie ich atoli pomniki religijne mają wspólną cechę, która je odróżnia od pomników innych narodów. Świątynie Hindusów, choćby też najrozleglejsze, zdają się być ukształtowane z połączenia, i jeżeli tak rzec można, z dodania cząstek jednakowych do siebie, któreby mogły nawet pozostać niezależne od budowy do któréj należą, tak dalece zachowują wszystkie jéj stosunki. Każdy ich pomnik jest poniekąd summą większéj, lub mniejszéj liczby innych pomników, na tęż samą formę zbudowanych, w rozmiarach jedynie różniących się, tak dalece, że połączenie ich nie tworzy całości, lecz skupienie w ogóle swojém podobne do części składowych. Kształt piramidalny, piramida do swoich trzech linij przywiedziona, tworzy trójkąt. W trójkącie stożkowym (ogive) dwie linie są krzywe, to jest złożone z nieskończonéj liczby linij prostych. Ten spólny polot linij nieskończonych w liczbie, tajemnica trójkąta stożkowego, pojawia się w Indyach i Persyi, panuje na zachodzie w średnich wiekach. Na dwóch końcach świata objawia się dążność nieskończoności do nieskończoności, inaczéj mówiąc, dążność powszechna, katolicka.

Jednakże jest to bardzo daleko od Indyi do Niemiec, od Persyi do Francyi. Sztuka jednaż w swoim pierwiastku, zmienia się w przechodzie, zbogaca się temi odmianami i przynosi nam haracz kosztowny. Zaledwie przekroczyła granice Azyi, a jużci świątynia grecka, proste połączenie kolumn pod spłaszczonym trójkątem frontu, zaledwie słabe przedstawia wspomnienie śmiałego ku niebu polotu, który cechuje pomniki Indyi, Persyi i Egiptu. Polot znika, piękność polega tu na porządku, na skupieniu; lecz samo skupienie nie silne. Ten szereg kolumn, ta rzeczpospolita budownicza, jeszcze nie połączona, nie zamknięta sklepieniem. W sztuce greckiéj, równie jak w społeczności tego narodu, węzły są słabe.

Świat etruski i rzymski inaczéj wcale związany, podobnie więc i sztuka włoska. Tu pojawia się łuk, krzyżuje się, sklepienie zamyka. Jaka społeczność, taka sztuka. Tu już jest

hierarchia towarzyska, siła stowarzyszenia potężna. Kolumna niedostateczną jest do wyrażenia takiego świata, i łuk nawet. Wschód przedstawił nam naturę, Grecya miasto, Rzym miasto prawa, Zachód i Północ mają z tego wyrobić miasto bozkie. Bazylika (*), trybunał rzymski (**) były pierwszemi świątyniami chrześciańskiemi. Kościół zajął to samo pretorium, w którém go Rzym potępił. Miasto bozkie owładnęło miastem prawniczém. Trybunał nabrał większéj rozciągłości i utworzył chór. Kościół pierwiastkowy, podobnie jak miasto rzymskie, zamknięty, wyłączny; nie dla wszystkich dozwala przystępu: zdaje się żądać wtajemniczenia. Lubi jeszcze ciemnice katakumb, w których pierwsze chwile przepędzał: kopie rozległe krypty, które mu przypominają jego kolebkę. Katechumeny nie mają wstępu do przybytku świętego, jeszcze przed bramą kościelną czekać muszą. Chrzcielnica po za obrębem świątyni, podobnież i cmentarz: wieża nawet, głos kościoła, wznosi się obok świątyni. Ciężki łuk rzymski przytłacza swoim ciężarem kościół podziemny, zatopiony w swoich tajemnicach. W takim stanie zostawał kościół póki trwała walka, póki nie minęły fale barbarzyńskich napadów, póki świat niepewny był swojego bytu. Lecz skoro szczęśliwie upłynął złowrogi rok tysiączny, skoro hierarchia kościelna ujrzała się panią świata, skoro się uzupełniła i zamknęła, skoro chrześciaństwo zaciągnięte pod chorągiew krzyża potrafiło się zjednoczyć, wtedy kościół zrzucił

(*) W początkowych wiekach rzeczypospolitéj Rzymianie budowali na użytek publiczny wspaniałe prostokątne gmachy, ozdobione marmurową kolumnadą, zwane bazylikami. W nich obywatele zgromadzali się rozprawiając o interessach państwa, w nich początkujący mówcy wprawiali się w deklamacyą, w nich rymotworcy czytali swoje wiersze chcącym ich słuchać. Konstantyn zdobywszy koronę cesarską, kilka takowych bazylik przeznaczył chrześcianom na odprawianie nabożeństwa. Ztąd w następstwie pierwsze chrześcian kościoły bazylikami zwano.

(**) Trybunał rzymski za czasów rzeczypospolitéj, było na placu publicznym wywyższenie na którém Pretor zasiadał na krześle kurulném, to jest z kości słoniowéj, i rozsądzał spory stron zwaśnionych.

swoję ciasną szatę, wyszedł z ciemnych krypt, wzniósł swoje sklepienia i w łuku rzymskim odżył wschodni trójkąt stożkowy.

Hierarchia rzymska skupiała łuk na łuk; hierarchia duchowna stłacza trójkąt na trójkąt, piramidę na piramidę, świątynię na świątynię, miasto na miasto. Świat chrześciański ogarnął wszystkie światy poprzednie, świątynia chrześciańska obejmuje w sobie ozdoby wszystkich świątyń. Ujrzysz tu kolumnę grecką, lecz kolosalną; łuk rzymski śmielszy (*); na szczycie wieży pojawia się obelisk egipski, lecz obelisk na podstawie kościelnéj. Posągi aniołów, proroków, świętych otaczają kolumny. Otóż to dzieło olbrzymie, większą od olbrzymiéj prawicy siłą wzniesione: to jest tchnieniem potężnego ducha. Tém tchnieniem wydęte zostały sklepienia, wieże dmuchnięte ku niebu. Duch jest twórcą własnego mieszkańca, działaczem swojéj kamiennéj pokrywy, wymodelował ją stosownie do swojego użytku, napiętnował wewnątrz i zewnątrz rozmaitością myśli; w niéj umieścił dzieje swoje, wyrył swoje wspomnienia, nadzieje, żale i miłość. Na tym zimnym głazie złożył swoje marzenia, najskrytsze myśli. Raz wydobywszy się z katakumb, z tajemniczéj krypty, w któréj go zamykał świat pogański, pchnął tęż kryptę ku niebu, a im głębszą była pierwéj, tém wyżéj się wzniosła teraz: iskrząca wieża wyrwała się w górę jak głębokie westchnienie z piersi od tysiąca lat uciśnionych. Tak zaś silny był oddech, tak potężnie biło serce rodu ludzkiego, iż ze wszech stron w swojéj pokrywie pootwierał przystęp

(*) Sklepienia półkoliste częstokroć uginają się w swoim wierzchołku. Sklepienia gotyckie nigdy prawie nie były budowane z kamienia ciosowego, lecz z drobnych kamyków z dostateczną ilością wapna zmieszanych, a przecież w wielu kościołach sklepienie takowe nie przechodzi sześciu cali grubości, w katedrze N. Panny w Paryżu nie grubsze jest nad trzy lub cztery cale; dla tego też wiązanie dachu nie opiera się wcale na sklepieniu, ciąży tylko na sciany poboczne. Na tém wiązaniu spoczywa pokrycie dachu ołowiane, ważąc czterdzieści dwa tysiące dwieście czterdzieści funtów. Niegdyś wznosiła się nad niém ładna dzwonnica, sto cztery stopy wysoka.

światłu dziennemu. Spojrzyjmy na to oschłe i głębokie zaokrąglenie okna gotyckiego, tego oka stożkowego, jak sili się rozewrzéć w jedenastym wieku. To oko gotyckiego okna jest cechą według któréj porządkuje się nowe budownictwo. Sztuka starożytna, czcicielka materyi, rozgatunkowywa się na zasadzie materyalnych podpór świątyni, na zasadzie kolumn toskańskich, doryckich, jońskich. Sztuka nowoczesna, córka duszy i umysłu, nie przyjmuje za zasadę formy, lecz postać, oko; nie kolumnę lecz okno; nie massę, lecz próżnią. W dwunastym i trzynastym wieku okna zatopione w głębokości murów, zwolną występują na zewnątrz, wreszcie równają się z powierzchnią muru, jaśniejąc pięknemi różami mistycznemi. Zaledwie atoli wiek piętnasty minął, te róże psuć się poczęły, zmieniły się w figury płomieniste: czy to są wizerunki płomieni, serc lub łez? trudno odgadnąć, być może wszystkich zarazem.

Takiż sam postęp objawia się w powiększaniu kościoła. Duch nigdy nie jest swobodny w pomieszkaniu swojém; niech je rozciąga, urozmaica, zdobi, zawsze mu przecież w niém duszno. Jakkolwiek piękne były katedry z ich wieżami, kwiatami z kamienia, lasem kolumn marmurowych, przecież około kościoła trzeba było budować kościołki, piękne kaplice. Po za ołtarzem wzniósł się drugi ołtarz, przybytek święty za przybytkiem. W trzynastym wieku chór zwykle jest dłuższym niż był w porównaniu z łódką kościoła: przedłużono poboczne części około samego przybytku i otoczono je kaplicami; zwykle za chórem była kaplica N. Panny.

Dziwną jest rzeczą, że to namiętne działanie ducha, które zdaje się powinno było na ślepy traf rzucać swoje rysy, przecież rozwinęło się w prawo regularne, ograniczyło swoję płodność liczbą, rytmem bozkiéj geometryi. Rozmiar i sztuka, prawda i piękność spotkały się. Na téj zasadzie wyrachowano w ostatnich czasach, że linia krzywa najstosowniejsza do budowy trwałego sklepienia, jest właśnie ta, którą Michał Anioł wybrał, jako najpiękniejszą do kopuły Ś. Piotra.

Te rozmiary piękności najwybitniéj się objawiają we wzorze

budownictwa gotyckiego, w katedrze kolońskiéj; jest to ciało wzrosłe w stosunkach mu właściwych z regularnością kryształów. Krzyż kościoła pierwotnego jest ściśle wywiedziony z figury za pomocą któréj Euklides rysował trójkąt równoboczny. Ten trójkąt, zasada pierwotnego trójkąta stożkowego, może być wpisany w łuk sklepienia; tym sposobem figurę stożka zarówno oddala od niemiłéj oschłości okien spiczastych z północy, jak i od ociężałego spłaszczenia łuków bizantyńskich. Liczba dziesięciu i liczba dwunastu wraz z ich dzielnikami i mnożnikami panuje w całéj budowie. Dziesięć jest liczbą ludzką, liczbą palców; dwanaście liczba bozka, astronomiczna: do tego dodajmy siedm, na cześć siedmiu planet. W wieżach i całéj budowli części niższe wypływają z kwadratu i rozdzielają się na ośmiokąt; części wyższe zakończone trójkątem zozwijają się w sześciokąt, w dwunastokąt. Kolumna w stosunku swoim średnicy do wysokości zachowuje proporcyą porządku doryckiego. Wysokość równa się szerokości łuku stosownie do przepisów Witruwiusza. Tak więc w tym wzorze architektury gotyckiéj tkwią podania starożytne.

Łuk rzucony z jednego filaru do drugiego ma pięćdziesiąt stóp szerokości. Ta liczba powtarza się w całéj budowli. Jest to miara wysokości kolumn. Boki niższe mają połowę szerokości łuku, fasada ma trzy razy tyle. Cała długość gmachu równa się potrójnie wziętéj szerokości, czyli inaczéj mówiąc obejmuje dziewięćkrotną szerokość łuku. Szerokość równa się długości chóru i łódki. Długość tak się ma do wysokości, jak dwa do pięciu. Zresztą łuk, boki niższe powtarzają się zewnątrz w pilastrach podporowych i łączących je łukach, które utrzymują całą budowlę. Liczba siedmiu, to jest siedmiu darów Ducha Ś. siedmiu sakramentów, jest także liczbą kaplic chórowych, dwa razy siedm jest liczba kolumn utrzymujących też kaplice.

To upodobanie w liczbach mistycznych pokazuje się we wszystkich kościołach. Katedra reimska ma siedm wejść; reimska i w Chartres ma siedm kaplic około chóru. Chór N. Panny

w Paryżu wspiera się na siedmiu łukach, okna są na 144 stóp wysokie, co uczyni 16 razy dziewięć, szerokość ich wynosi 42, to jest 6 razy siedm: jest to także szerokość jednéj wieży, średnica jednéj z wielkich róż, wieża tegoż kościoła ma 204 stóp to jest 18 razy 12. Liczą tam 297 kolumn (podzielone przez 3=99, to znowu podzielone przez 3=33, te jeszcze raz przez 3=11), 45 kaplic (5 pomnożone przez 9). Dzwonnica wznosząca się nad wielkiém oknem miała 104 stóp, podobnie jak sklepienie główne. Kościół N. Panny w Reims ma w świetle 408 stóp (34 razy 12). W Chartres 396 stóp (6 razy 66). Łódki kościołów, Saint-Ouen w Rouen, katedry w Strasburgu i w Chartres, wszystkie trzy mają równą długość, 244 stóp. Sainte Chapelle w Paryżu wysoka 110 stóp, długa 110, szeroka 27 (sześcian z 3).

Sztuka gotycka ma bez wątpienia cóś odpowiedniego w Bizancyum, w Persyi i Hiszpanii, mimo to wszakże należy ona do miejsca na którém najgłębiéj zapuściła korzenie, w którém się najbardziéj zbliżyła do swojego ideału. Bardzo wiele jest w Normandyi katedr nadzwyczaj pięknych, urozmaiconych; w Anglii kościoły są niesłychanie bogate, w częściach swoich najdelikatniéj wykończone. Lecz duch mistyczny najwybitniéj się przedstawia w kościołach niemieckich: jest to ziemia dokładnie wyrobiona, grunt najwłaściwszy do wydawania kwiatów Chrystusa Pana. Dusza niemiecka zachwycona, rozczulona kwiatami, drzewami, pięknemi wzgórzami, cudownemi dziełami bozkiemi, wydała w prostocie swojéj cuda sztuki. Niemcy w średnich wiekach wydały te szanowne dusze, które przeszły, a nikt ich nie spostrzegł, dusze niewinne ale głęboko myślące, które nie wyszły z łona wieczności, z wzrokiem w błękit nieba wlepionym nie zważały na fale rozburzonego świata przepływające koło nich. Jakże się zwały? Któż to wie? — To tylko wiadomo, że należały do nieznanego a rozległego stowarzyszenia budowniczych, cieślów i mularzy. W Kolonii i Strasburgu były ich bractwa. Godłem ich był młot Thora, młot pogański, uświęcony w ich ręku chrześciańskich, z którym pracowali po

świecie, nad wielkiém dziełem nowéj świątyni. Z jakąż pracą usilną, z jaką gorliwością zajmowali się swojém dziełem: chcąc się o tém przeświadczyć trzeba przejrzéć części najniedostępniejsze katedr. U szczytu wież, dokąd rzemieślnik pokrywający dachy zaledwie wspiąć się drżący odważy, znajdziesz wystawione na wściekłość wichrów i wieczną szarugę jakieś dzieło wytworne, mistrzowski płód sztuki snycerskiéj, nad którém pobożny robotnik całe strawił życie. Nie ma nazwiska, żadnéj litery, najmniejszego znaku. Pracował on jedynie dla Boga i dla zbawienia duszy własnéj. Jedno przecież imię przez uprzedzającą grzeczność przekazano potomnych pamięci, jest to imię dziewicy, Sabiny Steinbach, która pracowała także nad wzniesieniem wieży strasburskiéj i część jéj wyższą własną ręką wykończyła (*).

Panna jest także patronką mularzy, święta Katarzyna, któréj wizerunek znajduje się na planie katedry kolońskiéj, z jéj kołem geometryczném i tajemniczą różą. Tamże odmalowana druga panna świętą Barbara, wsparta na wieży z trzema oknami.

(*) Katedra strasburska na rozwalinach starego kościołka częścią drewnianego, częścią murowanego wzniesiona. Fundamenta jéj założono 1015 roku i odtąd przez dwieście szesnaście lat nad jéj budową pracowano. W roku 1277 Erwin Steinbach przejrzawszy rysunek wieży założył jéj fundamenta i sam 40 lat nad nią strawił. Po śmierci Erwina syn jego Jan zajął się dalszą budową przy pomocy siostry swojéj Sabiny. Lecz i ci jéj nie dokończyli, w roku 1365 Jan Hiltz z Kolonii, przy pomocy nieznanego z nazwiska budowniczego z Szwabii, doprowadził ją do stanu w jakim się obecnie znajduje. Nad przedsionkiem poniżéj zegara ręką Sabiny z kamienia wyciosane są godła chrześciańskiego kościoła i żydowskiéj synagogi. Pierwsze po prawéj stronie w postaci świętéj dziewicy z krzyżem w prawéj, z kielichem w lewéj ręce; drugie po lewéj w postaci kobiety z pochyloną głową, zawiązanemi oczyma, w prawéj ręce złamany pocisk, w lewéj trzyma tablicę Mojżesza, z koroną u stóp. Po jednéj i po drugiéj stronie stoją figury dwunastu Apostołów. Mimo dochowanych kilku nazwisk znakomitych budowniczych z wieków średnich, większa ich przecież część została nieznaną.

Wszyscy ci pokorni mularze pracowali na cześć Najświętszéj Panny, jéj poświęcali mistyczne wieże, zaledwie o sażeń w górę posunione w ciągu życia całego pokolenia: ona tylko wié ile tam żywotów poświęcono, ile nieznanych ofiar, ile modłów złożono.

W innych stronach Niemiec, we Francyi i Anglii budownictwo nie tyle przejęte idealizmem religijnym przyjęło więcéj urozmaiconą cechę historyczną, przedstawiając obok myśli religijnéj całą zmienność okoliczności rzeczywistych, ludzi i czasów. Sztuka niemiecka, więcéj bezosobista, rzadko kiedy przedstawia imię sztukmistrza; francuzka zaś na każdéj niemal świątyni zachowała znamię zapalonéj osobistości: imiona ich znajdują się na murach katedry paryzkiéj, na grobowcach w Rouen, na kamieniach grobowych w Reims. Chciwość lub zazdrość sławy, żądza uwiecznienia swojego nazwiska, spółzawodnictwo usiłowań, doprowadzało nie raz sztukmistrzów francuzkich do rozpaczy. W Caen, w Rouen powtarzają zdarzenie Dedala przez zawiść zabijającego swojego synowca. W kościele w Rouen na jednymże kamieniu znajdują się dwie nieprzyjazne figury, grożące sobie nawzajem: Alexandra Bernewal i jego ucznia, którego pchnął sztyletem; leżące u stóp ich psy, jeszcze zdają się warczéć na siebie. Nieszczęśliwy młodzieniec, smutkiem zdjęty z chybionych swoich przeznaczeń, ma na piersiach niezrównaną różę, w któréj miał nieszczęście przezwyciężyć swojego mistrza (*).

Niepodobna jest wyliczyć wszystkie piękne kościoły we Francyi, o niektórych przynajmniéj pokrótce namienimy. Katedra Najświętszéj Panny w Paryżu (Notre-Dame de Paris) jest to właściwie księga historyczna, pamiętnik losów monarchii. Ale-

(*) W początku piętnastego wieku Berneval dokończył okna w kościele Saint-Ouen w Rouen, i w roku 1439 wyrobił różę w stronie południowéj. Uczeń jego wykończył drugą taką w stronie północnéj, i przewyższył swojego mistrza. Berneval w rozpaczy odebrał mu życie i sam skazany został na szubienicę.

xander III papież w roku 1163 położył kamień węgielny téj budowy. Główny przedsionek otoczony niegdyś wizerunkami wszystkich królów Francyi, jest dziełem Filipa Augusta; drugi od strony południowo-wschodniéj wzniósł Ludwik święty, północny zaś Filip piękny. Rozległy i ociężały gmach, cały upstrzony w lilie, należy bardziéj do historyi jak do religii. Nie widać w nim téj wzniosłości, która na pierwszy rzut oka uderza w kościołach Strasburga i Kolonii. Katedra paryzka jest kościołem monarchii, reimska zaś kościołem koronacyi. Ta jest zupełnie wykończona przeciw pospolitemu zwyczajowi katedr; bogata, przejrzysta, wabna swoją kolosalną zalotnością, zdaje się wyglądać nowéj uroczystości. Obładowana i przeładowana rzeźbą, więcéj niż inne pokryta godłami kapłaństwa, przedstawia symbol związku króla z religią. Ś. Dyonizy jest kościołem grobów: nie owa smętna i ponura nekropolia pogańska, lecz tryumfująca, rozjaśniona wiarą i nadzieją, przestworna i nie zaciemniona, jak dusza Ludwika św. który ją budował. Świątynia prosta w swojéj powierzchowności, nadobna wewnątrz, wysmukła i lekka, jakby umyślnie dla tego, aby mniéj ciężała nad umarłymi. Łódka wznosi się do chóru kilku schodami, które zdają się oczekiwać uroczystego orszaku pokoleń, mających wstępować i schodzić ze zwłokami królów.

Budownictwo gotyckie dosięgło wreszcie najwyższego stopnia: krótka była chwila poważnéj dziewiczéj piękności, nastąpił czas stroju i bogatych ozdób. W drugim wieku budowli gotyckiéj, kościoły występują zdobne w pyszne okna trójkątami zakończone. Te trójkąty stają się upodobaną ozdobą czternastego wieku, wtedy dodano je nie jednym drzwiom i oknom w kościołach z trzynastego stulecia. Ładne tabernakule zahaczone przy drzwiach, wieżach, filarach; delikatne, przezroczyste koronki z kamienia wysnute na wrzecionie Feów; i tak postępowała sztuka tryumfująca coraz nowemi ozdobami. Próżne wysilenia, istotna piękność więdła, a pyszne naramienniki wisiały na oschłém ramieniu. Wreszcie budownictwo pobratało się ze scholastyką, pastwiło się nad kamieniem, chcąc konie-

cznie wydobyć z niego niknące co raz bardziéj życie, wyżłobiało go, okrzesywało, szlifowało. Nastąpiły działy i poddziały, nakształt pasma syllogizmów do rozwiązania dojść nie mogących. Oziębłość opanowała to gotyckie wyszukanie.

Tą koleją posuwając się naprzód, człowiek napotkał człowieka, to jest siebie samego; część ludzka i naturalna chrześcianizmu zaczęła się rozwijać i owładnęła świątynią. Nastąpiły wizerunki dłutem lub pędzlem wyrabiane, obrazy świętych, apostołów. Malarstwo i snycerstwo wzięło górę nad budownictwem. Posągi, obrazy, pokryły nagie ściany kościoła, człowiek wszędzie wcisnął swoje wyobrażenie. Z początku dość było dla niego prostéj kamiennéj płyty, na któréj wyrznął swój portret; z czasem płyta się wzniosła, rozparła na boki, a portret wyrosł na posąg, grobowiec nabrał okazałości mauzolu, który zapełnił część kościoła i utworzył osóbną kaplicę.

Jeżeli istotą sztuki jest bezinteresowność, jeżeli sama w sobie i sama dla siebie ma być celem, wtedy sztuka gotycka jest mniéj sztuką, niż sztuka grecka. Ta ostatnia szuka jedynie piękności, nic więcéj, jest to sztuka młoda, którą zaspakaja i cieszy kształt. Gotyzm zdąża do dobrego i świętego, sztuka jest w nim jako środek religijny, potęga moralna. We wszystkich utworach gotyckich, tak w rzeźbiarstwie jak i budownictwie, jest cóś twardego, zamatwanego, starego. Potężna massa kościoła wspiera się na niezliczonych pilastrach, pracowicie ustawionych. Oko się morduje patrząc na to mnóstwo podpór, które przedstawiają widok starego domu grożącego zawaleniem, albo gmachu niedokończonego. Tak jest, gmach groził upadkiem, nie mógł być skończony. Sztuka błędna w swojéj formie, chybiała także w zasadzie społecznéj. Towarzystwo, w którém początek swój wzięła, było za nadto nierówne i zbyt niesprawiedliwe. Panowanie kast, jakkolwiek osłabione przez chrześciaństwo, istniało przecież. Kościół pośrod ludu powstały, wcześnie bardzo oddalił się od ludu, wszedł w przymierze z feodalizmem, dawnym swoim nieprzyjacielem, a następnie z monarchią skoro ta tryumf odniosła nad feoda-

lizmem. Tymczasem świat stary musi minąć, ślady wieków średnich zatrzeć się i zniknąć wraz z światem rzymskim, greckim i wschodnim; obok zwłok tych światów legną zwłoki świata średnio-wiecznego.

ROZDZIAŁ XI.

FILIP ŚMIAŁY — FILIP PIĘKNY.

Zaraza tunetańska większą wyświadczyła przysługę nowemu królowi Francyi, niżby zdobycie tego miasta mogło było wyświadczyć Karolowi andegaweńskiemu. Filip III z przydomkiem *śmiałego* (le hardi) wracając z wyprawy do Paryża z posępną lecz wielką uroczystością złożył w grobach Ś. Dyonizego pięć trumień. Zwłoki ojca swojego sam na ramionach dźwigał przez przedmieście do opactwa wiodące, i długo po śmierci Filipa pokazywano siedm małych piramid kamiennych, które w pewnych ustawione odległościach wskazywały miejsca spoczynku nowego króla w czasie tego pobożnego pochodu. Osłabiony i sam umierający prawie ujrzał się Filip spadkobiercą całéj niemal rodziny. Po bracie Janie Tristan, odziedziczył Walezyą, stryj zaś Alfons zostawił mu całe królestwo na południu, Poitou, Owernią, Rouergue, Tuluzę, Albi, Quercy, Agenois. Śmierć Teobalda hrabiego Szampanii i króla Nawarry, podała w ręce Filipa tę bogatą puściznę.

Po żałobnym obrzędzie świetne nastąpiły uroczystości koronacyi w Reims. Okazałość zwiększała się z wzrostem potęgi królewskiéj. Pyszne turnieje i rycerskie popisy dodawały blasku obchodom dworskim. Wkrótce okoliczności znagliły króla do ujęcia oręża. Spór między nowemi wazallami wszczęty zagrażał powadze tronu jeszcze nie bardzo utwierdzonego w kraju

na pół podbitym. Niejaki Giraud z Cosaubon, zadarłszy z domem Armagnac, szukał wsparcia u króla, ten wskazał mu schronienie w zamku langwedockim w Sompuy. Roger hrabia Foix, głowa armaniackiéj familii nie bacząc na wdanie się królewskie wysadził Girauda z zamku (1272). Na poskromieniu zuchwałego Armaniaka wiele zależało królowi, zwołane przeto rycerstwo do Pomiers wnet stanęło u stop zamku Foix. Dumny hrabia, na niedostępnéj skale bezpieczny, natrząsał się z wojsk królewskich, lecz ujrzawszy pionierów torujących drogę i rycerzy tuż do murów zamku zbliżających się, spuścił z tonu, upokorzył się królowi. Dla przykładu wszakże zasadzony na rok do turmy i dochodów przez ten czas pozbawiony, odebrał chętkę do podobnych zawichrzeń skorym Akwitańczykom.

Przez połączenie z koroną posiadłości południowych, oparł się król o granicę Hiszpanii i Włoch, starcie się więc z téj strony stało się nieuchronném. Zaraz w roku 1274 oręż francuzki przeniósł się za Pirenee. Henryk szampański, król Nawarry, z przydomkiem *tłusty*, już w dwudziestym ósmym roku życia swojego takiéj doszedł tuszy, że na machinie z kółkami brzuch swój unosić musiał. Ten zbytek otyłości stał się przyczyną zgonu jego. Umierając zostawił rejencyą żonie swojéj, z warunkiem aby dla córki Joanny wybrała męża we Francyi, ziemi ich rodzinnéj; Blanka bowiem, małżonka Henryka, była synowicą Ludwika św. Warunek zaślubienia takowego obraził dumę Nawarczyków, na zgromadzeniu w Puenta de la Reina obrali sobie osóbnego pana, a Blankę wraz z jéj córką odesłali do Francyi. Nie zaspał tak dogodnéj pory Filip, Joannę natychmiast zaślubił z synem swoim Filipem i w imieniu nowego króla ruszył wojska przeciw Nawarczykom. Eustachy z Beaumarchais, seneschal Tuluzy z orężem w ręku przybył na objęcie korony dla syna królewskiego. Wybrany przez Nawarczyków naczelnik zaraz w początku wojny legł od morderczéj ręki przywódcy kastylskiego stronnictwa, a to rozdwojenie ułatwiło postęp oręża francuzkiego. Brat królewski Robert z Artois dowódcą wojsk mianowany, zdobył Pampelonę i cały kra

uśmierzył, z wyjątkiem siedmiu fortec, które się do ostatniego broniły; a tym czasem zatargi hiszpańskie w inną stronę uwagę króla zwróciły.

Siostra Filipa śmiałego zaślubiona była z kastylskim infantem Ferdynandem, który umierając w roku 1275 zostawił dwóch synów, Alfonsa i Ferdynanda. Dziadek, ich żył jeszcze, a przecież don Sansza, stryj infantów, korzystając z niechęci kastylskiéj ku Francuzom, wyjednał od kortezów w Segowii, iż go mianowały następcą domniemanego dziedzica tronu Alfonsa. Filip ujął się krzywdy swoich siostrzeńców i już potężne wojsko stanęło na granicy hiszpańskiéj, gdy zdrada lub niedbalstwo zniweczyły szczęśliwie rozpoczęte dzieło. Brak żywności, ulewne deszcze w górach, zmusiły armią do odwrotu. Piotr Labrosse, szambelan i poufny doradca królewski, obwiniony o zmowę z Kastyllanami odpokutował na szubienicy, lecz zgon jego klęski nie naprawił; trzeba było wdać się w układy, a tymczasem ważniejsza jeszcze sprawa zajęła Filipa.

Klęską pod Tunis wyparty do swojego królestwa neapolitańskiego Karol andegaweński nie zrzekł się nadziei zdobyczy. Użył on i nadużył fortuny. Hrabia Prowancyi, król obójga Sycylij, senator rzymski, wikaryusz cesarski w Toskanii, Placencyi, Kremonie, Parmie, Modenie, Ferrarze i Reggio, późniéj nawet pan Medyolanu i Romanii, rozrządzał dowolnie Włochami, władał nawet papieżem. Wtedy można było bezpiecznie zastosować do niego, co niegdyś wyrzeczono do Ugolina słynnego ciemiężcy Pizy. »Czegoż mi nie dostaje?« odezwał się Ugolin. »Niczego, odpowiedziano, tylko gniewu bozkiego.« Lecz Włochy nie mogły objąć dumy Karola: z cypla sycylijskiego sięgał do Afryki, z Otranto wzdychał do Grecyi. Zaślubił on córkę swoję z pretendentem cesarstwa łacińskiego, z młodym Filipem, cesarzem bez cesarstwa. Już Karól knuł zamachy na nowe zdobycze, już się radośnie kołysał nadzieją potężnego tronu, gdy wtém niespodzianie wyśliznęły mu z rąk Włochy, które były dla niego punktem oparcia.

Udręczony papież zuchwalstwem Karola postanowił dźwi-

gnąć władzę cesarską i stawić ją naprzeciw zamachom króla neapolitańskiego. Cesarzem podówczas został Rudolf hrabia na Habsburgu, waleczny i sprężysty monarcha, z którym nie życzył sobie Karol doświadczać losu oręża. Król aragoński nadzieją korony sycylijskiéj ujęty i cesarz grecki, z obawy napaści, przyłączyli się do tajemnego związku przeciw Karolowi. Tak więc utworzyła się liga zewnątrz, gdy wewnątrz spisek podkopywał fundamenta władzy Karola.

Procida, niegdyś lekarz i w tym charakterze poufny doradca Fryderyka i Manfreda snuł cały wątek tajemnych zabiegów. Włochy są mistrzami w sztuce zmów tajemnych. Od dawna przywykli oni do knowania spisków, które im się rzadko udawały; lecz dla nich było to przedmiotem sztuki, dramatem bez zmyślenia (bez fikcyi), trajedyą rzeczywistą, w któréj znajdowali upodobanie. Procida przebrany biegał po Europie szukając wsparcia dla swojego spisku. Od Michała Paleologa, cesarza wschodniego, uzyskał trzydzieści tysięcy uncyj złota na podnietę spisku wewnątrz; od króla Aragonii, którego syn zaślubił córkę Manfreda, a tém samém nabył praw do korony sycylijskiéj, przyjął zapewnienie zbrojnéj pomocy. Gdy tak wszystko już było ukartowane, Procida czekał tylko poruszenia wewnętrznego. Przez szesnaście lat panowania Karola wrzała zemsta w piersiach sycylijskich i nagle wybuchła. W poniedziałek wielkanocny 1282, gdy mieszkańcy Palermu tłumem cisnęli się do bram na odpust w poblizkim kościele, kilku młodych Francuzów stojących na straży, dla dania baczności czy lud nie niesie ukrytéj broni, użyli tego za pozór do zaczepiania kobiet. Na krzyk córki jednego ze znakomitych obywateli, Rogera de Maitre-Ange, do któréj posunął się swawolny Francuz, cała ludność zwróciła się, i w chwili gdy dzwon odezwał się wzywając wiernych na nieszpory, powszechna wszczęła się rzeź. Wnet pożar ogarnął całą wyspę, dwóch tylko Francuzów uszło z życiem, zaciekły lud nie przepuszczał nawet własnym kobietom w związkach z Francuzami będącym.

Na odgłos niespodziewanego buntu przybiegł Karól z wojskiem, obległ Messynę. Uciśnieni mieszkańcy przedstawili warunki poddania się, nie słuchał ich Karol, a wtém zebrana w portach hiszpańskich flotta pod wodzą Lorii, kalabryjskiego marynarza, spólnika Procidy, staje w obliczu Messyny i przy samém wejściu do portu zatapia galery Karola (1283). Zemstą zapalony Karol śpieszy do Prowancyi, nową zbiera potęgę morską i lądową i śpieszy na powrót, pełen otuchy niemylnego zwycięztwa. Już stanął w obliczu Neapolu, gdy wtém odebrał wiadomość, że Loria powtórnie nad flottą odniósł zwycięztwo i syna jego Karola pojmał. Zima nadeszła, rozbroił więc flottę z Marsylii przywiedzioną, i w Styczniu ze zgryzoty życia dokonał (1285 roku).

Nie mógł Filip obojętnym być widzem walki, w któréj zarówno szło o utrzymanie przewagi Francyi, jak o los stryja. Po śmierci Karola ujął się za sprawą syna jego, dotąd w ręku Aragończyków zostającego, i żeby za jednym zámachem rozciąć ten węzeł, na czele stu tysięcy zbrojnego ludu pokusił się o zdobycie Aragonii. Wyprawa pod szczęśliwą wróżbą rozpoczęta, zdawała się pomyślnego wypadku nieomylną rokować nadzieję. Papież ogłosił Don Pedra za odpadłego od korony aragońskiéj i przyznał to królestwo młodemu Karolowi, hrabiemu Walezyi, młodszemu synowi Filipa śmiałego. Francuzi z zapałem biegli do broni, nadzieją obfitych łupów nęceni. Flotta z okrętów genueńskich, marsylskich i narbońskich złożona, sto żagli licząca okrążała brzegi dostarczając żywności i potrzeb wojennych. Lecz doświadczenie wskazało, że Hiszpania nie łatwa do zdobycia: źle ona strzeże bram swoich, ale tém gorzéj dla tych, co się odważą je przekroczyć.

Krol Aragoński stanął przy wąwozie Pannisar czekając na pierwsze powitanie Filipa śmiałego, tymczasem zakonnicy z Saint-André de Sureda wskazali Francuzom boczne ścieżki, któremi obeszli niebezpieczny dla siebie wąwoz. Figueras, Empurias, drobne zamki w Lampurdan, uległy przewadze oręża francuzkiego, lecz Gironna wstrzymała zwycięzców. Waleczny

Raymond de Cardonne odpierał zapędy napastnicze przez półtrzecia miesiąca, a tymczasem też rozwinęła się zaraza. Ogromne chmury wielkich much padły na obóz francuzki, mnóstwo koni legło, a powietrze wyziewami zarażone, z zaniedbania porządku i czystości w obozie, sprowadziło choroby. Upały lipcowe do reszty znękały wojsko, odjęły mu wszelką energią. Niezmordowany Loria umiał korzystać z pory, zniósł flottę francuzką i odciął dowóz żywności. Filip zaledwie miał czas objąć zdobytą Gironę i natychmiast dał znak do odwrotu. Już było za późno, i jego choroba dosięgała, nie mógł się utrzymać

na koniu, w lektyce więc zdążał drogą do Perpignan. Don Pedro czatował na najmniejsze poruszenie armii francuzkiéj i szarpał ją w pochodzie. Większa część została po drodze, król z małą garsztką przedostał się do Perpignan i tam życia dokonał (1285), ani stopy ziemi nie utrzymawszy w Hiszpanii.

Filip IV *piękny* (le Bel), starał się jak najprędzéj zakończyć wojnę bezkorzystną a dość niebezpieczną na południu, którą

mu ojciec zostawił w puściźnie; rozburzone atoli fale nie mogły się od razu uspokoić. Robert hrabia Artois, rejentem Sycylii mianowany w czasie niewoli młodego Karola, chciał jeszcze doświadczyć losu oręża, lecz zebrana przez niego flotta dostała się w ręce Lorii, który wszędzie stał Francuzom na zawadzie. Tak szczęśliwe powodzenie nie zabezpieczało króla Aragonii, czuł on mocno, że je winien był skojarzeniu szczęśliwych okoliczności, ciągle zaś niepokoiło go przyznanie korony Karolowi walezyjskiemu, równie jak ważne uzbrojenia w Langwedocyi, na które papież przeznaczył Filipowi dziesięciny kościelne z lat trzech. Gdy zaś do tego wszystkiego Don Sansza w bliższe stosunki wszedł z Filipem, położenie króla aragońskiego stało się tém krytyczniejsze, pragnął więc wydobyć się z niego przez jakiekolwiek układy. Życzenia obustronne spełniły się: za pośrednictwem papieża zawarte zostało przymierze w Anagni (1295). Król aragoński odstąpił Karolowi andegaweńskiemu Sycylii, a Karol walezyjski zrzekł się praw do korony aragońskiéj.

Wojny domowe, rozszerzenie władzy królewskiéj wewnątrz kraju, zajmowało Anglią przez długi czas, tak iż od ostatniego rozejmu przez Ludwika św. (1259) podpisanego, przez ciąg lat trzydziestu przeszło Francuzi ani pomyśleli o Anglii. Dzielność atoli i przebiegłość Edwarda I, zaczęły niepokoić Filipa. Na zachodzie Anglii i w stronie północnéj były dwa kraje, których nie dosięgnął oręż normandzki, a przynajmniéj władza zdobywców zagnieździć się w nich dotąd nie mogła. Edward przykładem Francyi zachęcony począł się starać o zjednoczenie wyspy. Wallia, niezgwałcone dotąd Celto-gallów siedlisko, podzielona na drobne, słabo między sobą związane klany, po sześcioletnim boju uległa przewadze króla angielskiego. Ściślejsza była massa północnéj Szkocyi, nie odważył się też Edward uderzać na nią od czoła, lecz korzystając z okoliczności wygaśnięcia rodziny królewskiéj skłonił naprzód panów szkockich do uznania go wszechwładcą (suzerain), a tymczasem nadał im za króla Jana Bailleul, czekając sposobnéj pory do zdjęcia korony, którą mu sam na głowę włożył.

Wzrost potęgi króla angielskiego obudził zawiść Filipa, może i król szkocki nie kontent z roli wazalla stał się po części podnietą niechęci; cóżkolwiek bądź uśpione dwóch narodów zatargi drobna obudziła okoliczność. W porcie Bajonny dwaj zwaśnieni majtkowie, Anglik z Normandczykiem, rozpoczęli bójkę. Jeden z nich słabszy, niewiadomo który, nie mogąc siłą podołać przeciwnikowi, nóż mu wsadził między żebra. Ujęli się towarzysze poległego i wnet powszechna w porcie wszczęła się walka między majtkami obudwóch narodów, a niebawem na obszerne wydostała się morze. Anglicy zabrali dwieście statków normandzkich, które po ładunek wina przybyły. Bajończycy wylądowali w Roszelli. Pokrzywdzeni udali się ze skargą do Filipa, ten zaś zażądał od Edwarda wynagrodzenia: odmówną otrzymawszy odpowiedź, wezwał króla angielskiego, jako swojego wazalla z posiadłości w południowéj Francyi, aby przed sądem parów odpowiadał za wykroczenia swoich ludzi. Odebrawszy wezwanie Edward uśmiechnął się mówiąc, że uda się do Paryża, ale z dziesięcią tysiącami rycerskich kopij. Sąd parów wyrzekł konfiskatę posiadłości angielskich we Francyi, a Edward zaczął się gotować do wojny.

Nie była to sprawa z Janem bez ziemi, zapał ogarnął Anglików. Duchowieństwo odstąpiło połowę dochodów na poparcie wojny, mieszczanie szóstą część, reszta ludu dziesiątą. Sprawy Edwarda ujęli się, cesarz Adolf nassauski, książęta Brabantu i Bretannii, hrabiowie Flandryi, Baru i Sabaudyi. Filip aż w głębi Norwegii szukał sprzymierzeńców, Eryk król tamtejszy dybiąc na Szkocyą, przyrzekł mu dwieście okrętów, o których jednak nikt później nie słyszał. Przeciw Sabaudyi poburzył hrabiego Vienny, Hollendrów przeciw Flandryi, Alberta zaś ustryackiego przeciw cesarzowi; głównéj atoli podpory spodziewał się w Szkocyi.

Wojna rozpoczęła się zajęciem Gwienny (1296), wnet atoli pożar ogarnął Normandyą pomną na dawnych swoich panów. Maciéj Montmorency spalił Douvre, Anglicy w odwet toż samo zrobili z Cherbourgem; lecz powstanie Wallii, groźna postać

interessów szkockich, nie dozwoliły Edwardowi skutecznie działać we Francyi. Wyręczyli go w tém sprzymierzeńcy. Filip zawiadomiony o przymierzu hrabiego Flandryi z królem Edwardem, zwabił go do Corbeil i wtrącił wraz z małżonką do turmy Luwru, z któréj się wykupił twarde przyjmując warunki z poddaniem się klątwie za ich niewypełnienie. Zaledwie atoli wrócił do Flandryi, gdy natychmiast rozpoczął wojnę z Filipem. Było we Flandryi stronnictwo po większéj części z rzemieślników złożone, pospolicie stronnictwem lilii zwane: sprzyjało ono Francyi przez zemstę za uszczuplone przez hrabiego swobody. Skoro więc król Francuzki na czele swoich baronów wkroczył do Flandryi, fakcya mu przyjazna wszędzie torowała drogę. Napróżno syn hrabiego, Guy (Wit Dampierre) wszelkie wytężał siły, by obronić Lille, miasto niechętne zawarło kapitulacyą, a młody Guy ledwie skrycie ujść potrafił. Pod Furnes, w ciągu bitwy, stronnictwo lilii opuściło hrabiego Guy, i tym sposobem zgubę jego przyśpieszyło. Edward zajęty sprawą szkocką zostawił Flandryą losowi własnemu, zawarł z Filipem naprzód rozejm dwuletni, a następnie stałe przymierze we wsi Asnières nad Sekwaną niedaleko Paryża (20 maja 1303). Mocą téj ugody zawarowano sobie wzajemnie stan w jakim się w téj chwili znajdowała Gwienna, Filip zobowiązał się nie podżegać Szkotów, a Edward nie mieszać się do spraw Flandryi.

Zostawiony własnym siłom hrabia Guy nie mógł się oprzéć potędze Filipa, na czele któréj walczył Karol z Walezyi: za namową więc wodza wojsk francuzkich i uzyskaném od niego przyrzeczeniem, że za rok wróci do swoich posiadłości, udał się hrabia flandryjski z częścią familii i znakomitszemi stronnikami do Paryża. Ozięble przyjął go Filip, ofuknąwszy Karola walezyjskiego za jego przyrzeczenia i natychmiast cały orszak rozrzucił po więzieniach swojego królestwa. Posiadanie bogatéj i ludnéj Flandryi łechtało żądzę Filipa, świetnym otoczony orszakiem udał się wraz z małżonką swoją na zwiedzenie nowéj zdobyczy. Mieszkańcy zawzięci na hrabiego za nadwerężenie swoich przywilejów z oznakami szczeréj radości wszę-

dzie go witali. Francuzi nie mieli wyobrażenia o miastach flamandzkich, w których opaśli fabrykanci posiadali książęce skarby, a cechy rzemieślnicze krocie zbrojnego ludu wywodziły w pole. Królowa przybywszy do Bruges zdumiała się nad przepychem stroju w jakim piwowarki, rzeźniczki, piekarki, cisnęły się do jéj boku; w uniesieniu obrażonéj próżności odezwała się: »Sądziłam że ja jedna tylko tu będę królowa, a tymczasem widzę ich więcéj jak sześćset.«

Po takiém oświadczeniu wnet spostrzegli Flamandcy, że nie zyskali na zmianie. Rycerstwo francuzkie przywykłe u siebie do lekceważenia mieszczan i rzemieślników, nie lepiéj zaczęło się obchodzić we Flandryi jak bracia ich w Sycylii, skutek więc ten sam nastąpić musiał; z tą różnicą że Flamandcy nie czekali lat szesnastu, nie szukali gdzieindziéj pomocy, lecz w pierwszéj chwili ucisku, z bronią w ręku wystąpili. W Bruges wszczął się spór między rzemieślnikami a władzą miejską; rzemieślnicy odwołali się do Jakóba z Châtillon wielkorządcy flandryjskiego: ten kazał wypędzić z miasta przywódców kłótni, między któremi znajdował się Piotr König, czyli jak go Francuzi zowią Le Roy, starzec sześćdziesięcioletni, mały, zgarbiony, prostak, tkacz z rzemiosła, ale śmiały i przedsiębierczy. Ten przybrał za towarzysza swoich zamiarów niejakiego Jana Breyel rzeźnika olbrzymiéj postaci, który się krył przed śledztwem za zabicie Francuza. Obadwa łącznie wrócili jednego wieczora do Bruges, a nazajutrz rano udali się na okopy, które Châtillon, ufny w zwycięztwo, mieszkańcom rozrzucać kazał. Nie trudno im było oburzyć już i tak zniechęconych rzemieślników, w jednéj chwili wyparli Francuzów z miasta i owładnęli rząd. W Gand władza miejska czując zbliżający się bunt zakazała rzemieślnikom pod karą śmierci, aby się nie ważyli opuszczać swoich warsztatów: tymczasem wszyscy o jednéj godzinie razem wywarli się z domów, bijąc w kotły kuchenne dali znak rokoszu. Powstanie szybko rozszerzyło się po całéj Flandryi, Châtillon zawiadomił króla, że jeżeli rychłéj nie odbierze pomocy, cała prowincya będzie niezawodnie stracona. Pośpieszył

król z żądanemi posiłkami: hrabia Artois stanął na czele siedmiu tysięcy rycerstwa i czterdziestu tysięcy piechoty. Przeciw tak potężnéj sile Flamandczycy wystawili milicye miejskie w liczbie sześciudziesiąt tysięcy zbrojnych w wyborne kirysy, długie i ciężkie dzidy, któremi śmiało wyrabiać umieli. Jeden z synów hrabiego Flandryi który się uchronił niewoli Filipa, stanął na czele powstańców, uszykował ich za szerokim kanałem pod Courtray i oczekiwał natarcia. Wszyscy wiedzieli co ich czekało: głoszono że Châtillon pełne wiózł beczki powrozów na stryczki dla Flamandczyków; że królowa miała polecić wodzom wojsk, aby wykłówszy wieprzów flamandzkich, nie oszczędzali macior.

Konetabl Raoul de Nesle radził oskrzydlić Flamandczyków i odciąć ich od Courtray, lecz Robert hrabia Artois, krewny królewski i naczelny wódz wyprawy, odparł ze wzgardą: »Czy się lękasz tych królików, czyś może futrem ich podszyty?« Konetabl, którego małżonka była córką hrabiego Flandryi, uczuł mocno brutalski przycinek i z dumą odpowiedział: »Panie, jeżeli pójdziesz tam dokąd ja pośpieszę, bardzo daleko musisz się zapędzić!» i w téj chwili rzucił się na oślep na czele swojego rycerstwa tumanem kurzu lipcowego okryty (11 lipca 1302). Wszyscy ruszyli naprzód popychając jeden drugiego, wtém pierwsi spotkali, co w tym kraju spotkać nie trudno, kanał pięć sążni szeroki. Już nie podobna było wstrzymać się, ani zwrócić się, wszyscy tłumem wpadli w kanał. Wybór rycerstwa francuzkiego znalazł tu grób, hrabia Artois, Châtillon, Nesle, Eu, Aumale, Dammartin, Dreux i mnóstwo innych poległo. Flamandcy bez litości mordowali pasujących się w kanale rycerzy, mówią że niejaki Wilhelm Saltinga młotem żelaznym ubił czterdziestu rycerzy, a tysiąc czterysta pieszych, jest to jednak oczywista przechwałka; to tylko pewna że cztery tysiące ostróg pozłacanych zawieszono w kościele katedralnym w Courtrai. Złowrogie godła tryumfu; w ośmdziesiąt lat późniéj Karol VI widział te ostrogi i kazał mieszkańców w pień wyciąć.

Ta straszna klęska, która zniszczyła przednią straż armii francuzkiéj, to jest wielką część możnych panów; która za jednym zamachem otworzyła tyle spadków dla małoletnich pod opieką króla, osłabiła wprawdzie na niejaki czas wojenną potęgę Filipa, lecz nie złamała jego energii. We dwa miesiące późniéj już był we Flandryi w ośmdziesiąt tysięcy wojska; lecz pora dżdżysta nastała, ledwie się więc pokazał i zaraz wracać musiał. Wlokła się jednak wojna, Filip znudzony chciał doświadczyć drogi układów, w tym celu wypuścił z więzienia hrabiego Guy by uspokoił zbuntowanych lub wrócił za kratę; nowi wszakże rządcy słuchać nie chcieli dawnego pana, Guy nic nie sprawiwszy wrócił do swojéj turmy do Compiegne. By raz skończyć uprzykrzone zatargi król postanowił uderzyć na Flandryą od strony morza i lądu. Grimaldi, Genueńczyk, z flottą królewską stanął na brzegach flandryjskich, odniósł świetne zwycięztwo, a król tymczasem z wojskiem lądowém przebywszy rzekę Lys, stanął pod Mons en Puelle, gdzie już na niego czekali Flamandczycy otoczeni nieprzerwanym łańcuchem bryk i wozów. Król pamiętny klęski pod Courtray nie ruszył przeciw nim rycerstwa, lecz wysłał gaskońską piechotę, która ich cały dzień niepokoiła. Zgłodniali Flamandcy, (żywność bowiem mieli na wozach i przez cały dzień ruszyć jéj nie mogli), pod wieczór z wściekłym zapędem wyrywają się z po za szańcu, uderzają na obóz francuzki. Nic ich natarczywości oprzéć się nie może, król sam, właśnie zabierający się do stołu, w niemałém był niebezpieczeństwie. Lecz gdy się flamandcy wojownicy do namiotów dostali, rzucili się do rabunku, a tymczasem Francuzi ochłonąwszy z pierwszego popłochu, stanęli w szyku, natarli dzielnie na rozproszonych po obozie nieprzyjaciół i sześć tysięcy ich trupem położyli, reszta korzystając z ciemności nocy ucieczką się ratowała.

Król uszczęśliwiony zwycięztwem podstąpił pod Lille, pełen otuchy prędkiego poddania się Flandryjczyków; lecz jakże się zdumiał, ujrzawszy Jana hrabiego Namuru na czele sześciudziesiąt tysięcy ludzi do boju występującego: »Flamandczycy

z deszczem padają,» odezwał się do otaczających go panów, którzy nie mieli ochoty w dalsze wdawać się boje z ludem tak zaciękłym. Za ich poradą zawarł Filip zgodę, na mocy któréj zatrzymał część Flandryi po rzekę Lys, niemal tę samą, która i teraz do Francyi należy, resztę odstąpił synowi starego Guy, zapewniając wnukowi jego hrabstwo Rethel, jako dziedzictwo żony. Takie odniosłszy korzyści Flamandczycy nie troszczyli się wcale o tryumfy Filipa ze zwycięztwa pod Mons-en-Puelle. W istocie dziwne było położenie rzeczy, król wracał do Paryża jako zwycięzca, w uroczystym pochodzie udał się do katedry, konno wjechał do kościoła, i na podziękowanie Panu Bogu za ocalenie z niebezpieczeństwa ofiarował posąg swój na koniu, uzbrojony od stóp do głów; z drugiéj strony Flamandczycy dwie bitwy przegrawszy, celu swoich usiłowań w skutku ugody dopięli (1304).

Zdobycie Flandryi, i jako bogatéj, i jako angielskiéj, silnie zajmowało umysł Filipa chciwego władzy i pieniędzy, zostawiło mu przecież dosyć czasu do czynności nie mniéj uderzających, osobliwie pod względem moralnym. Wkrótce po wstąpieniu na tron zwrócił baczność na urządzenie parlamentu, uważając władzę sądową za podporę wzrastającéj powagi tronu, owszem za pewny środek tego wzrostu. Już Ludwik święty w swoich urządzeniach oświadczył: że skoro kto miéć będzie sprawę z panem jurysdykcyą w swojéj ziemi mającym, takowa przychodzić powinna pod rozpoznanie sądów królewskich, bo nikt nie może być sędzią w swojéj sprawie (Ne quis in sua causa judicet). Rozporządzenie takowe, na zasadzie słuszności oparte, zwolna oswajało możnych lenników z władzą królewską i zarazem nieznacznie podskubywało ich powagę. Dla Filipa IV nie dość było ograniczać władzę możnych, zdążał on do wzniesienia powagi swojéj nad wszystko co go otaczało, do zjednoczenia w osobie swojéj wszystkich żywiołów samowładnego rządu. Już dotąd nie jeden krok był zrobiony w celu okrzesania feodalnych przywilejów możnych panów, Filip piękny daléj się posunął wyłączając duchowieństwo od uczestnic-

twa władzy cywilnéj. Pod pozorem odpowiedzialności za uchybienia i ścigania wydarzyć się mogących nadużyć, nakazał król, aby wszyscy panowie mający władzę sądowniczą w swoich posiadłościach oddalili sędziów duchownych, a w to miejsce mianowali sędziów cywilnych.

W moc takowego rozporządzenia parlament królewski został władzą zupełnie cywilną i zyskał nowe urządzenie (1291). Dnie posiedzeń stale oznaczone, obowiązki i zatrudnienia członków wyraźnie wskazane, prawidła odwoływania się jasno określone. Dla zjednoczenia władzy sądowniczéj parlament w Tuluzie zniesiony, odwoływanie się od wyroków sądów niższych dla całéj Langwedocyi do parlamentu paryzkiego nakazane.

Feodalizm także musiał krok postąpić ku téj monarchicznéj centralizacyi. Rozporządzenia sądowe dotychczasowych królów wydawane były jedynie dla posiadłości koronnych, za Filipa pięknego Beaumanoir, autor wielkiéj księgi zwyczajów hrabstwa Vermandois, zręcznie dowodzi, że król nie tylko dla dóbr swoich i dla bezpośrednich wazallów prawa stanowi, ale dla całego królestwa. Od niejakiego czasu najpoufniejszymi doradcami królów Francyi byli prawnicy, za Filipa stali się oni wyraźną plagą Francyi. Plasian, Nogaret, dwaj bracia Marigni z okropną obojętnością trzymali się niewolniczego naśladownictwa prawa rzymskiego. Dla tych dusz żelaznych, serc kamiennych, pandekta były biblią, ewangelią. Nic ich nie zmieszało, nie zarumieniło, skoro tylko stosownie, lub niestosownie odpowiedzieć mogli: »tak napisano« (scriptum est). Oni to przez swoje cytaty, texty, nakręcania, przekręcania, zagładzili wieki średnie, zniszczyli feodalność, rycerswo, podkopali hierarchią kościelną.

Lecz z drugiéj strony ci burzyciele wieków średnich, przyznać trzeba, są twórcami porządku nowoczesnego: oni urządzają centralizacyą monarchiczną. Po prowincyach, obwodach i miastach, stanowią przełożonych sądowych (prévôts), wojtów (baillis), audytorów, prokuratorów królewskich, dozorców monety, leśniczych. Nowi ci urzędnicy wszyscy razem uwzięli się na

podkopanie jurysdykcyi feodalnéj. W środku téj sieci pajęczéj osiadła rada prawników pod imieniem parlamentu, od r. 1302 w Paryżu ustalonego. Do tego punktu środkowego wszystko zwolna ściągać się będzie, umarzać i w powadze monarchicznéj gręznąć.

To wszakże zlepienie nowego rządu niesłychanie kosztowne było. Zkąd wziąć potrzebne summy na utrzymanie téj armii sądowniczéj i administracyjnéj? Przemysł jeszcze się nie rozkrzewił: społeczność nowa już ulega klęsce, która zgubiła społeczność starożytną: nic nie przysposabia, a wiele bardzo spożywa. Przemysł i zamożność muszą z czasem wypłynąć z porządku i bezpieczeństwa, lecz ustanowienie tego porządku jest tak kosztowne, iż długo bardzo zdawało się, że przedsięwzięte środki pogorszyły złe, zamiast je usunąć. Nie jest to więc winą rządu ówczasowego, jeżeli się okazuje chciwym i zgłodniałym. Głód jest jego naturą, koniecznością, gruntem temperamentu. Dla zaspokojenia go musi używać na przemian siły i wybiegów.

Urządzenie wewnętrzne kraju chłonęło ogromne summy, wojna z Edwardem angielskim jeszcze więcéj trawiła. Edward zatargami Wallii i Szkocyi zajęty, szukał sprzymierzeńców którzyby nękali Filipa, lecz gdy ich opłacał aby walczyli: Filip nie żałował pieniędzy na okupienie ich bezczynności. Była to wojna przekupstwa, walka na srebro. Trzeba było płacić przyjaciołom, płacić nieprzyjaciołom, a zasiłki królów nadzwyczaj szczupłe. Prawda że Edward i Filip nakazali wynosić się żydom ze swoich krajów, zatrzymując ich własność jaką tylko dosięgnąć mogli; nie wiele jednak na tém zyskali: żydzi nie raz już tego losu doświadczywszy, baczni na wszelkie przygody, umieli zręcznie wyśliznąć się z całém swojém mieniem. Filip za poradą swoich ministrów, włoskich bankierów, nałożył opłatę na Włochów, Lombardów, którzy lichwiarskiém rzemiosłem żywili się we Francyi. Żeby zaś dosięgnąć wszystkich co kupują i sprzedają, chwycił się pierwszy raz środka, tak pospolitego w czternastym wieku, fałszowania monety. Wreszcie trzeba było użyć

sposobu prostszego, nałożyć podatek powszechny, który lud obmierzłą oznaczył nazwą *maltôte*. Był to ostatni środek, wynalazek zdolny wydobyć ostatni grosz, jeżeli się ten jeszcze gdzie ukrywał. Na nic się jednak nie przydała prassa, lud był już tak suchy, iż nic z niego wycisnąć nie można było.

W czternastym wieku główne pytanie, zaród wszystkich zatargów, było: kościół, czy król ma ciągnąć dochody z Francyi? Filip nałożywszy na lud maltôte, zniżywszy wartość monety obdarłszy Lombardów, już tém samém wprost lub ubocznie cios zadał Rzymowi. Na stolicy apostolskiéj zasiadał wtedy Bonifacy VIII, mąż jednegoż hartu duszy, co Grzegorz VII, Innocenty III, choć może nie tą samą czystością zamiarów wiedziony jak dwaj jego wielcy poprzednicy, ale ani tak zły, jak go legiści Filipa bezczelnie wystawili. Pobożność królów Francyi, ciągła ich z duchowieństwem zgoda, pochopność niesienia pomocy uciśnionemu kościołowi, były to przyczyny dla których taż władza ulegała chętnie chwilowéj burzliwości. Rzym na Francyi najwięcéj polegał, oszczędzał ją jako główną swoję podporę, dla tego sam Grzegorz VII i Innocenty III nie okazali téj niezachwianéj stałości, jakiéj inne doświadczyły narody. Bonifacy VIII długo bardzo ulegał Filipowi: wezwany na pośrednika między nim a królem Anglii z upokarzającym warunkiem, aby to uczynił jako osoba prywatna, zastosował się we wszystkiém do życzeń króla. Ułatwił zawarcie przymierza z królem Aragonii, Karolowi walezyjskiemu starał się torować drogę do tronu cesarskiego, przyjął go z największą uprzejmością, mianował wodzem wojsk i rządcą Romanii: zgoła w każdym kroku objawiał chęć zgody i jak najlepszego porozumienia. Gdy wszakże w miarę uległości papieża wzrastała duma Filipa, gdy duchowieństwo francuzkie zaniosło skargi na ucisk, wtedy Bonifacy VIII ogłosił bullę (1296) *Clericis laicos*, w któréj w ogólnych wyrazach, bez wymienienia kogożkolwiek bądź, rzuca klątew i na duchownych którzy składać będą podatki lub ofiary, i na świeckich, którzy tego bez potrzeby nagłéj wyciągać się poważą.

Filip widząc siebie powodem i celem téj bulli w odwecie wydał ze swojéj strony postanowienie także ogólne, zakazujące wywozu z kraju, srebra, złota, broni i t. p.; pozorem do tego była wojna z Anglią, lecz skutki rozporządzenia dotkliwsze były dla Rzymu jak dla Anglii.

Mimo różne zatargi przecież godność papiezka świetnym jeszcze jaśniała blaskiem. Bonifacy VIII zdawał się w swoich ręku dzierżyć losy świata: występował on jako sędzia polubowny między Francyą i Anglią, Anglią i Szkocyą, Neapolem i Aragonią, Adolfem nassauskim i Albertem austryackim. Lecz w najwyższéj okazałości zabłysła powaga stolicy apostolskiéj w roku 1300. Bonifacy VIII ogłosił powszechny jubileusz, odpust zupełny dla tych co w ciągu dni trzydziestu odbędą pielgrzymkę do kościoła ŚŚ. Apostołów. Jeszcze podówczas nie ostygła wiara w sercach ludów; niezliczone zbierały się tłumy do Rzymu, na sta tysięcy rachowano pielgrzymów, a w końcu już nawet niepodobna było liczyć. Ani domy, ani kościoły objąć przybywających nie mogły; obozem rozkładali się po placach publicznych i ulicach, pod szałasami umyślnie na prędce wzniesionymi, pod namiotami, pod gołém wreszcie niebem. Rzekłbyś, że to już spełnienie czasów, że ród ludzki zebrał się przed swoim sędzią na dolinie Jozafata. Kto chce pojąć pyszny widok owoczesny, niech spojrzy teraz jeszcze na Rzym w czasie wielkiego tygodnia, w pełną chwały uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego. W tych wielkich dniach wypada z myśli, że to jest Rzym owdowiały po dwóch starożytnościach.

Niech nas nie dziwi to zamiłowanie przodków naszych w pielgrzymkach, ta wiara w odradzającą własność przywiązaną do odległych przybytków świętych. Szronem wieku pokryty starzec żegna się z miejscami w których spełnił swój zawód, opuszcza familią stroskaną i trwożną o los ukochanego ojca. Słaby, zadyszany, wlecze się jak może, orzeźwia się mocną wolą gdy go gnębią lata i trudy wędrówki... Cóż dopiero gdy celem jego pielgrzymki jest Rzym w chwili uroczystéj, w któréj ma uderzyć godzina życia świata: gdy w téj mówię wielkiéj

chwili dosięgnie odwiecznego miasta, ujrzy, dotknie się pomników, dawnych grobów, o których tyle się nasłuchał: wtedy stawszy się spółczesnym tylu wieków, konsulów i męczenników, przeżywszy dzieje od epoki do epoki, od kapitolu do kolizeum, od Panteonu do Ś. Piotra, przypatrzywszy się tylu zgonom, tylu zwaliskom, — zwraca się ku ziemi rodzinnéj, ku familijnym grobom z mniejszym żalem życia i z większą pociechą na śmierć. I cóżby było dziwnego, gdyby papież, ośmdziesięcioletni starzec, uległ złudzeniom, widząc ród ludzki zebrany w Rzymie na kolana padający przed nim?

Minęły uroczystości jubileuszu; zatargi z tém większą odżyły zaciętością; uporna walka rozwinęła się między kościołem a starszym synem kościoła, z obudwóch stron zażalenia: starszy syn kościoła chce być starszym od matki swojéj. Do pierwszego powodu nieporozumień mnóstwo nowych przyczyn się zebrało. W nowych sporach między Edwardem a Filipem papież względniejszym, a może téż, sprawiedliwszym tylko zdał się być dla Flamandczyków; hrabia Artois w popędliwości swojéj wyrwał bullę z rąk posła papiezkiego i rzucił w ogień. Filip przyjął z uprzejmością śmiertelnych wrogów papieża destytuowanych przez niego dwóch kardynałów z familii Colonna. Najgwałtowniejszy atoli wybuch nastąpił z okazyi włości, o którą od dawna spór toczyli papieże z królami Francyi. Zatargi wnet groźną przybrały postać, obiedwie strony rzecz do ostateczności posuwały, używając wszelkich środków jakie się tylko w zakresie władzy ich nastręczyć mogły. Filip chcąc zjednać sobie spółdziałanie narodu, zwołał do Paryża zgromadzenie stanów na dzień 10 kwietnia 1302. Zebrali się w katedrze N. Panny prałaci, baronowie, i pierwszy raz wezwani gmin miejskich posłannicy: tu po krótkiéj naradzie podpisano trzy listy, jak się zdaje wcześniéj już wygotowane, od duchowieństwa wprost do papieża, od baronów zaś i gmin miejskich do kollegium kardynalskiego.

Głównemi sprężynami tych zatargów byli: Piotr Flotte kanclerz i następca jego Nogaret ze swoim doradcą Plasianem.

Obadwa ci ostatni z Gaskonii rodem z familii albigeńskich, a tém samém duchowieństwu nie bardzo przychylni: mowią nawet, iż dziad Nogareta na stosie kacerskim spłonął. Bonifacy VIII wydał bullę *Ausculta fili*, Nogaret zaś ogłosił okropny przeciw papieżowi manifest, a Plasian na zgromadzeniu baronów odczytał ułożony przez siebie akt oskarżenia. Jeden już tylko zostawał krok i ten obiedwie strony zarazem postąpiły. Papież podpisał klątew i miał ją dnia 8 września 1303 r. ogłosić, a dniem pierwéj Nogaret zbrojny pełnomocnictwem Filipa, wpadł z najemniczém żołdactwem do Anagni, rezydencyi czasowéj Bonifacego, wysadził bramy pałacu i choć nie zdołał skłonić papieża do złożenia tyary, tedy przynajmniéj przeszkodził ogłoszeniu klątwy, a tymczasem téż papież w skutek wypadków w Anagni życia dokonał dnia 11 października 1303.

Wśród tak krytycznych okoliczności legiści w radzie królewskiéj niesłychaną rozwinęli czynność, by się na wszelki zabezpieczyć wypadek. Postanowienie królewskie z dnia 23 marca 1302 zapewniło poprawę zarządu krajowego, zaprowadzenie jednostajności sądownictwa, usunięcie przedajności; przyrzekło opiekę duchowieństwu, zachowanie względów na przywileje baronów; zawarowało bezpieczeństwo osób i majątków: w téjże atoli chwili król urządzał Châtelet, pomnażał zbrojną policyą, sierżantów pieszych, sierżantów konnych, sierżantów straży, sierżantów potuzinowych (á la douzaine). Ważną nader dla króla było rzeczą oświadczenie się na korzyść jego uniwersytetu, które pozyskał nie szczędząc łask i względów dla grona teologów i prawników, téj wysokiéj i wielkiém znaczeniem w świecie uczonym słynnéj szkoły.

Benedykt XI zasiadł na stolicy apostolskiéj, przyjął mile życzenia króla Francyi złożone mu za pośrednictwem Plasiana, oskarżyciela zeszłego papieża, i chciał całą tę sprawę umorzyć ogłaszając przebaczenie dla wszystkich do téj zwady należących, z wyjątkiem jednego tylko Nogareta. Obraźliwa zdała się królowi ta łaska, z natury bowiem rzeczy wypływało przypuszczenie winy; posłał więc do Rzymu Nogareta i Plasiana

z żądaniem nie przebaczenia, lecz cofnięcia klątwy. Byłoż to żądanie szczere? możnaby wątpić bacząc na posłańców, których interesem było niedopuszczać zgody niezawodną dla nich zgubę rokującéj. Jakoż w skutek ich poselstwa papież ogłosił klątew przeciw uczestnikom w wypadkach w Anagni. Zdawało się że i król nią objęty był. Bulla podpisana była dnia 7 czerwca 1304 a dnia 4 lipca już Benedykt nie żył. Kardynałowie z obawy łatwego wykrycia sprawcy tak nagłego zgonu zaniechali śledztwa.

Powiodło się Filipowi zawrzéć układ z Flandryjczykami, nie mógł wszakże w żadnéj sprawie dojść końca. Zaraz sam układ zostawiał wątpliwość czy zajęta część Flandryi ma się uważać za nabytą, lub tylko jako rękojmia przyszłéj spokojności prowincyi zatrzymaną. Pieniędzy, których tak pragnął i tyle potrzebował nie nabył. Spory z papieżem bardziéj niż kiedykolwiek rozjątrzone. Do tego wszystkiego doczepił się głód, a poszukiwanie zboża wzburzało naród. Zaczęto szemrać pokątnie. Jeden z członków uniwersytetu odważył się głośno rozprawiać i został powieszony. Uboga beguinka z Metzu miała sobie objawione kary dla ciemiężców ludu przeznaczone: Karol walezyjski chcąc ją skłonić do wyznania, że proroctwo z podszeptów szatańskich pochodziło, kazał jéj obiedwie nogi przypalić. Ztémwszystkiém pojawiona w roku następnym kometa z przerażającym blaskiem (*) jedne przepowiednie utwierdziła, a do drugich dała nowy powód.

(*) Pojawiona w tym czasie kometa (1305) jest kometą Halleja. Pierwszą o niéj wzmiankę czyni Justyn. Mówi, że ją w r. 130 prz. N. Chr. spostrzeżono, to jest w czasie urodzin Mitrydata. Wówczas przez ośmdziesiąt dni miała być jaśniejszą od słońca. W późniejszym czasie częste o niéj natrafiamy wzmianki. Ostatecznie widzieliśmy ją w październiku 1835 roku.

ROZDZIAŁ XII.

TEMPLARYUSZE.

Wiek czternasty, epoka, któréj w dziejach naszych dosięgliśmy, jest wstępem panowania złota. Jest to bożyszcze nowego świata, który się przed nami otwiera. »Złoto, mówi Krzysztof Kolumb, jest wyborną rzeczą, jest to podstawa skarbów: złotem wszystkiego dokazać można.« Strzeżmy się złorzeczyć złotu: porównane z własnością feodalną, z ziemią, złoto wyższą postać bogactwa przedstawia. Drobne, ruchome, podzielne, łatwe do wymiany i obrotów, nie trudne do ukrycia, jest bogactwem usubtelnioném. Póki zamożność była nieruchomą, człowiek przez nię przykuty do ziemi i jakby w niéj zakorzeniony, równie był nieporuszonym jak zagon po którym się czołgał. Właściciel był poddanym ziemi, grunt przeważał nad człowiekiem. Dziś przeciwnie, człowiek unosi z sobą grunt, którego istotę, że tak rzekę, przetopił na złoto. Giętki metal wciska się do każdéj ugody, z łatwością rozpływa się po wszystkich kanałach handlu i przemysłu.

Nagłe utworzenie i rozgałęzienie rządu wywołało konieczną i nieskończoną potrzebę złota; lecz cała trudność polegała na tém, jak je wydobyć z kryjówek w których bezczynne spoczywało. Wieki średnie nie mogły za jednym rzutem wznieść się do wysokości nowoczesnego pomysłu: *człowiek zdolny jest tworzyć skarby*, podłą materyą zmienia w przedmiot szacowny, nadając mu wartość z siebie samego wydobytą, to jest wartość kształtu, sztuki, ważność woli rozumnéj. Wieki średnie szukały naprzód skarbów nie w kształcie, lecz w materyi. Alchemik pastwił się nad materyą, w zaciekłém zamiłowaniu dręczył naturę, domagał się od niéj już nie samego bogactwa, lecz życia,

nieśmiertelności (*). Ależ mimo niepojęte majątki Lullego i Flamela (**) złoto tylekroć wynajdywane, pojawiało się i nikło, alchemikowi tchu nie starczyło do rozżarzania węgli, złoto nielitościwie parowało, ulatniało się, a z niém topniała istota człowieka, życie jego, rzucone na dno alchemicznego tygla.

Tymczasem do złota wzdychali wszyscy, nieograniczone były potrzeby, nieograniczona musiała powstać żądza. Byli przecież ludzie, którzy złoto pełnemi zgarniali rękami, zkąd je brali? Niebezpieczno było wskazać źródło, korzystniéj daleko odurzyć gmin ciemny niepojętemi dziwami. Szatan, bez wątpienia, był stróżem nieprzebranych skarbów najszczerszego złota; udzielić ich gotów za umówioną cenę i uzyskany cyrograf. Siedzibą jego były jary, zarośla, dreszczem zdejmujące puszcze. Niekiedy wychodził na łąki frymarcząc z czarownicami Macbeta. Czarodziejstwo, odrażający wyrodek zatraconych wyznań pogańskich, stało się przecież przedmiotem odwołania się, nie do natury jak alchemia, lecz do woli, ale do woli złéj, do szatana. Niedobry to przemysł, który nie mogąc osiągnąć skarbów przez

---

(*) Ostatecznym celem alchemii nie było wynalezienie sposobu robienia złota, lecz właściwie otrzymanie złota czystego, napoju nieśmiertelności, powszechnego przeciw wszelkim dolegliwościom środka. Opowiadano podówczas o pasterzu sycylijskim powiastkę, który wygrzebawszy z ziemi złotą flaszeczkę, wypił zamknięty w niéj płyn i cudownym sposobem rzeżwą młodość odzyskał.

(**) Byli alchemicy, którzy chełpili się, że nie napróżno dmuchali na węgle. Między innymi rozsiewano wieść, że Rajmund Lulle Hiszpan, rodem z Majorki, biegły alchemik z początku czternastego wieku, by zachęcić króla angielskiego do krucyaty, zamienił w wieży londyńskiéj prosty kruszec na czyste złoto wartości sześciu milionów dukatów. Mikołaj Flamel rodem z Pontoise, mieszczanin paryzki, uchodził za biegłego alchemika. Ogromny majątek na owe czasy, dwanaście milionów złotych szacowany, stał się powodem domysłu, jakoby posiadał sekret robienia złota. Być może, iż Flamel sam wieść tę o sobie rozpuścił, aby uniknąć poszukiwań i losu spólnika swojego Jana de Montaigu, któremu książę burgundzki za nadużycia głowę ściąć rozkazał.

zgodę z naturą, silił się zyskać przez gwałt i zbrodnie, to co jedynie praca, cierpliwość i rozsądek nadać mogą. Lecz prawdziwym czarnoxiężnikiem, rzeczywistym alchemistą, jedynym człowiekiem w średnich wiekach, który wiedział gdzie jest złoto, był żyd i mistrz jego w lichwiarskiém rzemiośle, Lombardczyk. Tych wziął na cel Filip piękny.

Po nagłéj śmierci Benedykta XI zebrani w Peruzie kardynałowie dziewięć miesięcy radzili o jego następcy, wreszcie padł wybór na Gaskończyka, Bertranda de Goust, arcybiskupa z Bordeaux. Filip wcześnie o tém zawiadomiony, spotyka się z Bertrandem w lesie niedaleko Saint-Jean-d'Angely, i zyskuje od niego przyrzeczenie spełnienia czterech punktów, z których trzy król natychmiast mu przedstawił, czwarty do późniejszego czasu odłożył. Bertrand zasiadł na stolicy apostolskiéj pod imieniem Klemensa V, chcąc okazać królowi swoję przychylność oświadczył, iż koronacyą odbędzie w Lugdunie (14 listopada 1305). Uroczystość ta, według dziejopisów włoskich, rozpoczyna babilońską niewolę kościoła, odbyła się zaś z nienajpomyślniejszą w oczach ludu wróżbą. W chwili gdy orszak przechodził ulicą Gourguillon kawał muru zatłoczony widzami oberwał się, książę bretański, brat papieża i wiele znakomitéj szlachty znaleźli śmierć pod gruzami, król z lekkiém uszedł stłuczeniem, a tyara potoczyła się po bruku.

Między punktami umowy były dość twarde, które papież radby był wyminąć, dla zaspokojenia przeto króla przyzwolił na ściągnięcie dziesięcin, a gdy te wkrótce nie odpowiedziały potrzebom skarbu, Klemens wydobył się jeszcze na chwilę z drażliwego położenia oddając Filipowi żydów. Tajemnica i szybkość z jaką w jednym dniu w całym kraju wolę Filipa wykonano, czynią zaszczyt urzędnikom królewskim. Mówią, że ani jeden żyd się nie wymknął. Natychmiast sprzedano ich mienie, pociągnięto ich dłużników, a im samym pod karą śmierci zakazano powrotu do kraju.

I to jeszcze nie zaspokoiło skarbu, trzeba było użyć dawniéj już doświadczonego sposobu, zniżenia wartości monet, dwa

liwry rzeczywistéj wagi stanowiły ośm imiennéj. Do skarbu wszakże też samę monetę przyjmowano tylko w trzeciéj części jéj imiennéj wartości; dwa bankructwa w sensie odwrotnym. Z takowéj mieszaniny tysiące wysnuło się sporów: porozumienie się było niepodobne, kraj przedstawiał obraz babilońskiéj wieży. Skończyło się na buncie pospólstwa paryzkiego, przed którym król ledwie się schronił do Templu, a tymczasem rozburzony motłoch zabawiono rabunkiem domu niejakiego Bowbeta, którego wskazano jako sprawcę, albo raczéj doradcę fałszerstwa monety. Na tém skończył się rozruch, kilkuset winniejszych, lub za takich uznanych powieszono na drzewach przy drogach wiodących do Paryża. Ta surowość wstrzymała ważniejszy wybuch, lecz nie zastąpiła braku w skarbie królewskim, trzeba było szukać nowego źródła dochodów. Niespodziana okoliczność wskazała je królowi.

Rycerski zakon Templaryuszów słynął powszechną zamożności wziętością, król oddawna szukał środków otwarcia sobie przystępu do skarbu zakonu. Naprzód pożyczył znacznych summ od Wielkiego Mistrza, następnie wynurzył chęć przyjęcia reguły zakonnéj. Tymczasem kapituła zakonu odmówiła królowi zaszczytu rycerstwa, a W. Mistrz zażądał zwrotu summ pożyczonych. Wtém dwaj bracia zakonu, jeden były przeor z Montfaucon, a drugi rycerz nazwiskiem Noffo-Dei, za jakieś występki wykluczeni i w turmie zamknięci, potrafili przesłać królowi zaskarżenie zakonu. To mając w ręku Filip pośpieszył czémprędzéj do Poitiers, gdzie właśnie zatrzymał się papież chorobą znękany. Nie ma wiarogodnego dowodu, wieść tylko powtarzają kronikarze, że król domagał się od papieża spełnienia czwartego warunku do czasu zachowanego, a tym miało być zniesienie zakonu. Nie mogąc wdawać się w wywikłanie udziału papiezkiego w téj sprawie, zostawiamy to historyi kościelnéj i szczególnéj historyi zakonu, trzymać się jedynie będziemy wątku do osnowy dziejów Fyancyi należącego, starając się wywikłać tok całego postępowania przeciw Templaryuszom, o ile sam król miał w niém udziału.

Naprzód wypada nam napomknąć, co to byli Templaryusze? powtóre, co to był Templ? Takowe wiadomości przedwstępne zdają nam się koniecznemi do wyjaśnienia toku sprawy.

W roku 1118 Hugo de Payens i Gottfried z St Omer wraz z siedmią rycerzami francuzkiemi tknięci niedolą pielgrzymów, na tysiączne dolegliwości wśród pustyń Palestyny wystawionych, zawiązali między sobą stowarzyszenie w celu pielęgnowania chorych i znużonych pielgrzymów, bronienia od napaści niewiernych wracających do ziemi rodzinnéj pobożnych wędrowników. Sobor w Troyes, w Szampanii, na przedstawienie Hugona zatwierdził stowarzyszenie i zobowiązał Ś. Bernarda do ułożenia stosownéj dla niego ustawy (1128). Reformator Cystersów skreślił twarde prawa rycerskiego zakonu. Dobrowolne wygnanie i wojna święta do śmierci, oto jest cała podstawa reguły. Templaryusz zawsze powinien być gotów do walki, choćby też jeden przeciw trzem; na polu bitwy nie żądać łaski (pardon), nie składać na okup ani płata muru, ani stopy ziemi. Odjęta im wszelka nadzieja spoczynku, wzbronione przejście do mniéj surowych zakonów. »Idźcie szczęśliwi, idźcie spokojni, odzywą się do nich Ś. Bernard, uganiajcie się śmiało za nieprzyjaciołmi krzyża Chrystusowego. W każdém niebezpieczeństwie powtarzajcie sobie hasło: *żywi lub umarli należymy do Pana*... Pełni chwały zwycięzcy, szczęśliwi męczennicy.«

Oto są ostre zarysy w których nam przedstawia postać Templaryusza: »Głowa ostrzyżona, włosy najeżone, kurzem nabite; czarny od żelaznéj zbroi, ogorzały od wichrów i słońca... Lubi konie szybkie i ogniste, lecz nie w kosztownym rzędzie.« Żołnierz ma sławę, zakonnik spoczynek; Templaryusze wyrzekali się i jednego i drugiego: łączyli oni co obadwa rodzaje życia mają najtwardszego, niebezpieczeństwa i wstrzemięźliwość. Wielką sprawą wieków średnich była wojna święta, krucyata: ideał krucyaty zdawał się być urzeczywistnionym w zakonie Templaryuszów. Była to krucyata nieustająca; szczytny obraz téj krucyaty duchowéj, téj wojny mistycznéj, którą każdy chrześcianin toczy aż do śmierci z nieprzyjacielem wewnętrznym.

Podobnie jak bracia szpitalni (kawalerowie maltańscy) poświęceni obronie miejsc świętych, tém się od nich różnili, że wojna wybitniejszym była celem ich zakonu. I jedni i drudzy wielkie wyświadczyli przysługi. Pobożny pielgrzym wędrujący drogą z Jaffy do Jerozolimy, tumanem kurzu otoczony, drżący co moment przed napaścią arabskich rozbójników, jakże był szczęśliwy, jak uradowany skoro spotkał rycerza, zdaleka zoczył zbawienny krzyż czerwony na płaszczu białym Templaryusza. W boju obadwa zakony tworzyły na przemian przednią lub tylną straż, w środku stawali nowi przybysze, do trybu wojny azyatyckiéj nie przywykli. Rycerze zakonu otaczali ich, osłaniali, *jak matka swoje dziecię*, mówi dumnie jeden z rycerzy. Templaryusze szli w przedniéj straży pod Mansurą, kiedy młody zapaleniec, hrabia Artois, uwziął się ścigać nieprzyjaciela wbrew ich napomnieniu, towarzyszyli mu dla utrzymania honoru i wszyscy polegli.

Nic dziwnego że dla zakonu, z takiém poświęceniem, tak korzystnie działającego, nie sądzono aby można było za wielkie nieść ofiary. Dla tego najzaszczytniejszemi obdarzony został przywilejami. Nikt ich sądzić nie mógł, tylko sam papież; lecz do sędziego tak daleko i tak wysoko umieszczonego nikt się nie odwoływał, dla tego sami Templaryusze w sprawach swoich byli sędziami. Nie wolno im było rozdawać komanderyj na przedstawienie i zabiegi możnych panów, królów nawet. Wolni byli od podatków i opłat wszelkiego rodzaju, a co najważniejsza, nigdy klątew nad nimi ciążyć nie mogła. Któżby nie pragnął należyć do zgromadzenia takiemi względami obsypanego? Sława męztwa i odwagi, a ztąd powszechny szacunek nie małą także w wiekach owych był ponętą. Wnet przeto zakon wzrosł w liczbę i bogactwa, zajaśniał potęgą groźną dla niewiernych.

Póki chrześcianie mieli jeszcze stopę ziemi na wschodzie, póty jéj mężnie bronili Templaryusze; lecz gdy wszystko zginęło, gdy Europa ważnemi zajęta zmianami, które się w jéj łonie wyrabiały, całą baczność na siebie samą skierowała;

wtedy zakon spuścił z oczu ziemię świętą, przerzucił się na zachód i stale zagnieździł w rozległych posiadłościach (1291). Gdyby Templaryusze, wzorem kawalerów Ś. Jana (maltańskich) zająwszy raz stałą posadę na wyspie Cyprze, wierni swojéj ustawie szczerze jéj bronili, byliby długo jeszcze przeciągnęli walkę z niewiernymi i utrzymali byt zakonu, nie mieszając się do spraw obcych swojemu powołaniu, ani drzaźniąc chciwości widokiem skarbów ogromnych.

Większość zakonu stanowili Francuzi, dla tego téż po opuszczeniu wschodu cały zakon zwrócił się naprzód do Francyi, główne siedlisko założył w Paryżu. Tu było zwykłe mieszkanie wielkiego mistrza zakonu, tu się zbierała kapituła, tu zgromadzano oszczędzone dochody. Templ w obrębie swoim zajmował wielki cyrkuł Paryża, posępny, nieludny, ale niemal trzecią część miasta co do rozległości stanowiący: zmieniła się postać téj dzielnicy miasta, pierwotne atoli miano dotąd nie zaginęło. Pod cieniem Templu i jego silną opieką żywiło się mnóstwo służalców, domowników i braci przybranych: nie mało także kryło się ludzi wyrokami potępionych, domy bowiem zakonu miały prawo schronienia. Tam też Filip piękny znalazł przytułek przed wzburzonym motłochem (1306). Pamiątka tego wypadku przetrwała jeszcze do końca ośmnastego wieku, wielka wieża, czterema otoczona wieżyczkami w r. 1222 wzniesiona, więzieniem Ludwika XVI nowéj nabyła słynności.

Ślubem czystości i ubóztwa związani rycerze wnet ujrzeli się najzamożniejszymi z owoczesnych zakonów. Była to przepaść która chłonęła całe pokolenia młodszych synów familij, przenoszących rozkoszne życie templu, nad czołganie się u progu rodzinnego domu, nad łaskę starszych braci. Nie jeden zamożny lennik zmierziwszy sobie samotne życie w osowiałém zamczysku, pukał do drzwi zakonu i obszerne włości zamieniał za krzyż czerwony na białym płaszczu rycerza. Posiadłości zakonu rozciągały się jak potężna sieć, po całéj prawie Europie: były w Niemczech, w Anglii, we Włoszech, w Hiszpanii, lecz główne ognisko we Francyi, gdzie była stolica wielkiego mistrza,

w godności zrównanego z książęty, w potędze nad niejednym górującego monarchą. Już w roku 1244 liczyli Templaryusze dziewięć tysięcy wybornie urządzonych ekonomij, przeorstw i komanderyj.

Takowa zamożność powszechną zwracała uwagę i skrytą budziła zawiść. Prócz tego Templ rozżarzał imaginacyą Francuzów: tajemniczość i niepojęty dreszcz, jakim widok jego przejmował, miały szczególny pociąg dla ludzi do dziwów wzdychających. Nowicyuszów przyjmowano w kościele zakonu, w nocy, przy zamkniętych drzwiach. Bracia niższych stopni (*) wyłączeni byli od tego obrzędu, lud nawet cichaczem szeptał, że gdyby król Francyi dostał się wówczas do ich świątyni, jużby z niéj więcéj nie wyszedł. O formach towarzyszących obrzędowi przyjęcia, tysiączne między ludem krążyły powiastki, którym tajemniczość niejakiś pozór prawdy nadawała. Głoszono że nowicyusz zaprzéć się Chrystusa musiał, że do nieprzyzwoitego braterskiego pocałowania był obowiązany, że mu kazano cześć oddawać Baffometowi, bożyszczu w postaci ludzkiéj głowy z długą srebrną brodą, że za złożony ślub bezżeństwa otrzymywał wolność oddawania się lubieżności przeciwnéj naturze. Rozgadywano, że bracia zakonu odrzucali sakramenta, że się wdawali w czarnoxięztwo, szatańskie rzemiosło. Okropne

(*) Templaryusze, podobnie jak bracia szpitalni, czyli kawalerowie Ś. Jana, późniéj maltańskiemi zwani, i kawalerowie niemieccy, czyli maryańscy, dzielili się na klassy. Do pierwszéj klassy należeli właściwi rycerze, do drugiéj zbrojni giermkowie, do trzeciéj bracia służący. W roku 1172 dodano zakonowi Templaryuszów braci duchownych, którzy pełnili obowiązki kapelanów i pisarzy zakonu. Bracia służący przywdziewali suknią szarą, lub czarną, wszyscy inni ubierali się biało na wzór Cystersów, rycerze mieli nadto płaszcz biały. Urzędnicy zakonu wybierani byli jedynie z pośród rycerzy. Marszałkowie i chorążowie byli wodzami w czasie wojny Szatni (drapiers) mieli dozór nad ubiorem: przeorowie byli zwierzchnikami pojedynczych domów zakonnych. Opaci, komandorowie, wielcy przeorowie stali na czele prowincyj, lub téż obszerniejszych włości.

krążyły wieści o więzieniach, w których dręczono braci mających zamiar opuszczenia zakonu (*). Lud zubożały, zamożności zakonu zazdrosny, chętnie nadstawiał ucha na takowe wieści, chciwie chwytał nieprzychylne zakonowi pogłoski. Sama nazwa Templu do opacznych dawała powód tłumaczeń. Zapomniano że ubogim dziewięciu rycerzom, gdy żadnego jeszcze nie mieli schronienia, Baldwin II król jerozolimski przeznaczył gmach na miejscu dawnéj Salomona świątyni, skąd poszło Templu i Templaryuszów nazwisko, przez długi czas blaskiem sławy jaśniejące. Teraz kacerskie jakieś w téj nazwie upatrywano znaczenie. Templ przywodził na myśl świątynię Salomona, wspomnienie drogie dla żydów, szanowne w oczach Muzułmanów, a któż wie, czy się w tém jeszcze nie kryła myśl odwiecznéj rodu ludzkiego świątyni?

Jakkolwiek ważna była sprawa tak potężnego zakonu, wplątane do niéj namiętności więcéj jeszcze wagi jéj nadały, lecz zarazem zbłąkały zdania dziejopisów i rzecz całą zmieniły w zagadkę, nad któréj rozwiązaniem na wieki silić się będą badacze. Wolni od uprzedzenia, przedstawimy wiarogodniejsze zdania i wnioski, ostateczny wyrok przenikliwości czytelnika poruczając.

(*) Być może, iż dziwaczność obrzędów zakonu wypływała z pierwiastkowego symbolizmu, którego wiek czternasty nie pojmował, a tém samém chwytał wyraz nie bacząc na jego znaczenie. Dla tego wszystko co nosiło na sobie cechę jakiegoś godła podejrzaném się zdawało, jak n. p. szczególniejsze upodobanie Templaryuszów w trójce. Nim nowicyusza wprowadzono do kapituły pierwéj pytano się go *trzy* razy. Nowicyusz po *trzy* razy żądał chleba, wody i spólnictwa zakonu. Składał *troisty* ślub. Rycerze zachowywali *trzy* wielkie posty. Przystępowali do stołu pańskiego *trzy* razy do roku. Jałmużnę we wszystkich domach zakonu *trzy* razy na tydzień rozdawano. Każdy z rycerzy miał *trzy* konie. Mszę świętę odprawiano im *trzy* razy w tygodniu. Mięso jedli przez *trzy* dni tylko w tygodniu. W dni postu wolno im było jeść *trzy* różne potrawy. Uroczystą cześć krzyżowi św. oddawali *trzy* razy do roku. Przysięgali że nie pierzchną przed *trzema* nieprzyjaciołmi. Po *trzy* razy biczowano, w obec całéj kapituły, tych, którzy na tę karę zasłużyli, i t. p.

Są ważne zeznania żadną męką, żadną obawą nie wymuszone, a punkta wątpliwe nabierają wiarogodności, skoro zwrócimy uwagę na naturę ludzką, bacznie śledzić zechcemy stan zakonu w jego ostatnich czasach. W naturalnym toku rzeczy ludzkich, rozwolnienie musiało się wcisnąć do zakonu rycerskiego, w którym młodsi synowie wazallów puszczali się na różne przygody zdala od chrześciaństwa, pośród niebezpieczeństw wojny na zabój i pokus skwarnego klimatu, w kraju niewolników, w lubieżnéj Syryi. Póki tlała iskierka nadziei dla ziemi świętéj, duma i honor wstrzymywały zakon. Dzięki mu, że tak długo opierać się potrafił. Nie było tygodnia, aby dzwon jerozolimski nie zwiastował zbliżania się Arabów; a wtedy Templaryusze, bracia szpitalni, daléj na koń, zwodzić harce na opustoszałych polach.... Wreszcie stracili Jerozolimę, stracili Akrę. Możnaż się dziwić, że żołnierze opuszczeni, placówki stracone, wieczór po walnéj bitwie dwóch wieków opuścili ręce? Im większe wysilenia, tém cięższy upadek. Dusza wzniosłszy się wysoko w heroizmie i świątobliwości, jeżeli upada, tedy jak bezwładne brzemię legnie na ziemi. Taki zdaje się był upadek Templaryuszów. Cokolwiek było świętego w zakonie, stało się z czasem grzechem i zmazą.

Lecz gdyby niegodziwości, gdyby bezbożność była powszechną w zakonie, to jeszcze nie spowodowałoby jego zagłady: główną przyczyną zguby Templaryuszów było ich bogactwo i potęga. W miarę jak ostygał w Europie zapał do wypraw krzyżowych wzrastały darowizny dla zakonu: liczba braci honorowych pomnażała się niesłychanie, dość było zobowiązać się do składania rocznie dwóch lub trzech denarów, by dostąpić tego zaszczytu. Byli tacy co mienia całego odstępowali, inni osoby własne zakonowi poświęcali. Ztąd przyszli Templaryusze do niesłychanie rozległych włości. W jednéj prowincyi hiszpańskiéj, w królestwie Walencyi mieli siedmnaście miejsc warownych. Za gotowe pieniądze kupili wyspę Cypr, lecz jéj utrzymać nie zdołali. Tak bogaci, tak uprzywilejowani, mogliż być pokornymi? Niejaki Fulko, człowiek świątobliwego

życia, rozmawiając z królem Ryszardem lwie serce o jego dworze, odezwał się, iżby król powinien jak najprędzéj oddalić z niego trzy niepohamowane dziewczęta, pychę, rozwiązłość i chciwość. »Jużem to zrobił odpowiedział król, pychę zaślubiłem Templaryuszom...«

Niespokojni a bitni wojownicy gnębili chrześcian, gdy nie mogli Muzułmanów. Toczyli wojnę z królem Cypru, z księciem Antyochii. Złożyli z tronu króla jerozolimskiego Henryka II. Splądrowali Tracyą i Grecyą. Od niejakiego czasu krzyżacy wracający z ziemi świętéj głośno i bez ogródki skarżyli się na zdradę Templaryuszów, na ich stosunki z niewiernymi. Wyraźnie byli w związkach z Assassinami syryjskiemi, lud pospolity ze zgrozą upatrywał niejakie podobieństwo ich ubioru do stronników starego górala (Vieux de la montagne). Przyjmowali sułtana w domu swoim, dozwalali obrządków mahometańskich, ostrzegli niewiernych o przybyciu Fryderyka II. Zapewniano, że odebrali życie naczelnikowi muzułmańskiego pokolenia, za to że chciał przyjąć chrzest. św. by się uwolnić od haraczu. W szalonym zapędzie zawiści przeciw Joannitom aż do grobu św. miotali pociski (*). Dwór francuzki miał nadto szczególne powody niechęci ku Templaryuszom. Oni mieli być przyczyną śmierci Roberta z Brienne w Atenach. Nie chcieli przyczynić się do uzupełnienia okupu św. Ludwika. W ostatnich czasach oświadczyli się za familią aragońską przeciw hrabiom andegaweńskim, obojętnie patrzyli na rozruch pospólstwa paryzkiego, przed którym król u nich szukał przytułku.

Po utracie ziemi świętéj Templaryusze wrócili, niepotrzebni, straszni, znienawidzeni. Przynieśli z sobą do kraju wycieńczonego skarb wówczas niepojęty, sto pięćdziesiąt tysięcy dukatów w złocie i ładunek dziesięciu mułów w srebrnéj monecie. Z tylą pieniędzmi i z taką potęgą co robić zamyślali wśród

(*) Zawiść między Templaryuszami a Joannitami do tego doszła stopnia, że w roku 1259 stoczyli bitwę zaciętą, w któréj, jak mówią, Templaryusze w pień wycięci zostali, jeden tylko z nich ocalał.

pokoju? Nie weźmież ich pokusa utworzyć sobie na zachodzie niezależne władztwo, jak kawalerowie niemieccy w Prusiech, bracia szpitalni na wyspie Malcie? Gdyby się połączyli z Joannitami, jak sobie tego życzono, żaden król nie potrafiłby się oprzéć ich potędze. Prawda, że w ogóle nie było ich więcéj nad piętnaście tysięcy, lecz byli to rycerze zahartowani w boju w pośród ludu odwykłego od oręża: wyborni jeźdcy, spółzawodnicy mameluków, równie zwinni jak feodalni rycerze ociężali; a do tego wszystkiego połączeni z całą szlachtą Francyi.

Powszechne zdanie dziejopisarzy zamożność zakonu za pierwszy i główny powód zagłady jego poczytuje. W istocie skwapliwość w zajęciu Templu zdawałaby się nie błahym być dowodem na poparcie takowego wniosku; gdy wszakże aż nadto jawną jest rzeczą, że Filip potrzebował złota, jako środka tylko do dopięcia wyższych zamiarów, do ugruntowania monarchizmu, rozszerzenia samowładności, nie możnażby więc przypuścić z większém do prawdy podobieństwem, że potęga zakonu więcéj miała wpływu na działanie Filipa aniżeli skarby.

Templaryusze angielscy zaufani w siłach swoich, ośmielili się przemówić do Henryka III: »Będziesz królem, póki będziesz sprawiedliwym.« Takowa pogróżka w ustach Templaryuszów nie mogła być obojętną dla Filipa. W czasie ważnych zatargów z Bonifacym VIII pierwszy raz mógł Filip uczuć niebezpieczeństwo ze strony zakonu grożące, gdy większa ich część warunkowo tylko na zamachy króla przyzwalała. Gdy rozruch ludu groził niebezpieczeństwem królowi, Templaryusze zupełną obojętność zachowali, żaden o obronie króla ani pomyślił: kto wie czy ta okoliczność nie utwierdziła w umyśle Filipa postanowienia zguby zakonu. Jeszcze brzemienne gromem chmury wisiały nad głową Filipa; napaść na Anagni, okropne obejście się z papieżem mogło przy lada okoliczności groźną sprowadzić burzę; była ona tém niebezpieczniejszą, im lud więcéj do buntu okazywał pochopności z powodu różnorodnych nakładów. W Normandyi co chwila obawiano się wybuchu, tak dalece, że pod najsurowszą karą zakazane było zbieranie się więcéj

nad pięć osób bąć na ulicy, bąć na placu publicznym, bąć wreszcie w domu jakimkolwiek. Gdyby zakon chciał korzystać z takowych okoliczności, połączył się z nieukontentowanemi, bez wątpienia król nie byłby mu dotrzymał placu, uprzedzić go więc należało, skoro się pora po temu zdarzyła. Dla Templaryuszów nie był to cios niespodziany; w oburzeniu ludu, w niechęci powszechnéj, mogli widzieć i widzieli niezawodnie złą dla siebie wróżbę, lecz duma ich zaślepiała, ufni siłom swoim mniemali, iż nikt się na nich targnąć nie poważy.

Jakób Molay, ówczasowy W. Mistrz zakonu, ubogi szlachcic burgundzki, lecz osiwiały w bojach żołnierz, był na wyspie Cyprze ostatni wymierzając cios szabli chrześciańskiéj na karki niewiernych; wezwany przez papieża, nie bez wiedzy króla, pod pozorem naradzenia się względem zamierzonéj krucyaty, przybył do Paryża znaczne z sobą wioząc summy pieniędzy. Mile przyjęty przez króla, nowémi wraz z zakonem obdarzony względami, jeszcze dnia 12 października 1307 wezwany był do trzymania całunu na pogrzebie bratowéj króla, a nazajutrz wieczorem Nogaret udał się do Templu i uwięził Jakoba Molay wraz ze stu czterdziestą rycerzami. Tegoż samego dnia i o téjże godzinie pojmano mnóstwo rycerzy po różnych punktach Francyi, a dnia następnego król ze swoim skarbem i gabinetowemi aktami zajął mieszkanie w Templu. Natychmiast po całéj Francyi rozbiegło się oskarżenie zakonu zgrozą przejmujące dusze wiernych chrześcian; sam wstęp okólnika już był zdolny przerazić każdego: »Rzecz gorzka, rzecz opłakana, rzecz o któréj strach pomyśléć, zgroza słyszéć; rzecz obmierzła i niecna!... Duch obdarzony rozumem lituje się i miesza w swojém politowaniu widząc naturę, która się sama wyzuwa z praw natury, zapomina o swoim początku, depce własną godność i równa się z bydlęty pozbawionemi rozsądku, co mówię? która w bydlęcości same zwierzęta przeważa!...« Daléj następowała treść oskarżenia, powtórzenie tego, co już cichaczem między ludem biegało.

Przystąpiono natychmiast do badania, w skutek którego

otrzymano zeznanie stu czterdziestu rycerzy mniéj więcéj zgodne, potwierdzające wszystkie punkta oskarżenia. Wtedy król odesłał papieżowi W. Mistrza wraz z trzema naczelnikami zakonu, dołączając akta początkowego badania. Jakób Molay nie dostał się do Poitiers, zatrzymany w Chinon i tam badany potwierdził zeznania uczynione w Paryżu przez braci swojego zakonu. W takim stanie rzeczy, król wyjednał u króla neapolitańskiego pozwolenie przytrzymania wszystkich Templaryuszów w Prowancyi (1308) i tegoż roku zwołał wielkie zgromadzenie panów do Tours, na którém dwudziestu sześciu panów najznakomitszych dało na piśmie przyzwolenie do działania przeciw zakonowi. Między temi były podpisy książąt Burgundyi i Bretanii, hrabiów Flandryi, Nevers i Owernii, wicehrabiego Narbonny, hrabiego Talleyranda Perigord. Między podpisami Lusignana i Coucy znajduje się imię Nogareta. Z takowym aktem udał się król do Poitiers, przedstawił rzecz papieżowi i lubo nie bez trudności uzyskał przecież od niego (1 sierpnia 1308) polecenie arcybiskupom i biskupom wydane, aby się ściśle w téj sprawie przepisów prawa trzymali. Zaraz atoli dwunastego dnia tegoż miesiąca papież mianował osóbne kommissye instrukcyjne, dla Francyi, w Paryżu, pod przywództwem Idziego Aiscelina arcybiskupa narbońskiego; w Anglii przewodniczyć miał arcybiskup kantuaryjski; w Niemczech zaś arcybiskupi koloński, moguncki i trewirski. Tym sposobem wyjaśniony stan sprawy miał być przedstawiony do ostatecznego zawyrokowania powszechnemu soborowi, który za dwa lata miał się zebrać w Viennie, mieście Delfinatu, podówczas do rzeszy niemieckiéj należącém.

Kommissya paryzka zebrała się dnia 7 sierpnia 1309, lecz do żadnych czynności przystąpić nie mogła, nie mając przed sobą ani winnych, ani obrońców. Codziennie przy rozpoczęciu posiedzenia woźny donośnym głosem wywoływał: »Jeżeli kto chce wystąpić w obronie milicyi templowéj, niech staje śmiało i bez żadnéj obawy.« nikt przecież na takowe wezwania nie pojawiał się. Wreszcie w listopadzie zezwolił król na stawienie

W. Mistrza przed kommissyą papiezką. Tu skoro oświadczył się gotowym stanąć w obronie zakonu, kazano mu zaraz odczytać pierwsze jego zeznanie. Nie mógł tego słuchać z zimną krwią stary rycerz; nie było to właściwie jego zeznanie. nie wiadomo z jakiego powodu przy pierwszém badaniu W. Mistrz nie chciał sam mówić, lecz dał pełnomocnictwo jednemu z braci służących aby w imieniu jego odpowiadał. Żeby się wszakże lepiéj na obronę przygotować, prosił o zwłokę kilku dni, którą mu chętnie udzielono. Stanąwszy powtórnie, oświadczył, za namową zapewne Plasiana, iż odstępuje od obrony, prosi tylko aby go jak najprędzéj stawiono przed papieżem. Dodał wreszcie: że w żadnym kościele nabożeństwo z taką okazałością nie odbywało się jak u Templaryuszów; że żaden zakon tak hojnych nie rozdawał jałmużn; że nikt więcéj krwi nie przelewał za wiarę, i niczyje imię straszniejsze nie było dla niewiernych. Na to odezwał się jeden z członków kommissyi: »Bez wiary wszystko to nic nie pomoże do zbawienia.«

Mimo cofnięcie się Wielkiego Mistrza nie ustawało przecież postępowanie w téj sprawie. W końcu marca 1310 pięciuset czterdziestu sześciu rycerzy oświadczyło gotowość bronienia zakonu. Lecz gdy wszyscy razem mówić poczęli, kommissya dla uniknienia wrzawy poleciła im aby wybrali z pośród siebie prokuratora, któryby w ich imieniu mówił: »to także w imieniu naszém prokuratora tylko na tortury brać należało« odezwali się wszyscy; jednakże wybrali dwóch prokuratorów. Odtąd co raz więcéj przybywało obrońców zakonu i co raz śmieléj występujących. Objawienie postępowania przy pierwszych badaniach, widok udręczenia, jaki przedstawiali rycerze z więzień do kommissyi prowadzeni, wzbudził powszechne politowanie. Sprawa poczęła brać obrot niebezpieczny: oskarżyciele zwolna zajmowali stanowisko oskarżonych, tém bardziéj gdy się zaczęły przebijać cele po za obrębem religii będące. Jednego z rycerzy przy użyciu tortury badano, do jakiéj summy dochodził skarb zakonu przywieziony z ziemi świętéj. Byłże zbrodnią skarb, czy to jest główny tytuł oskarżenia? Największém atoli

groziły niebezpieczeństwem przychylne dla Templaryuszów wyroki po innych stronach Europy. Dnia 17 czerwca 1310 ogłoszono ich niewinność na synodzie w Rawennie, dnia 1 lipca w Moguncyi, dnia 21 Października w Salamance.

Sposób postępowania w innych krajach czynił łatwym do przewidzenia wypadek sprawy, dla tego Filip piękny postanowił rzecz przyśpieszyć. Marigni, brat Enguerranda, najzaufańszego ministra królewskiego, mianowany arcybiskupem w Sens, zgromadził prowincyonalny synod w Paryżu i gorliwie zajął się sprawą rycerzy. Dnia 10 maja 1310 pierwsze było posiedzenie synodu, a dnia 12 kommissya papiezka powziąwszy wiadomość, że pięćdziesięciu trzech Templaryuszów skazano na śmierć, wezwała arcybiskupa z Sens, aby rozważnie działał. Dnia 13 istotnie pięćdziesięciu trzech rycerzy zgorzało na stosie, a kommissya papiezka odebrała odpowiedź od arcybiskupa, że gdy sprawa już od dwóch lat się wlecze bez żadnego stanowczego wypadku, on widzi się zmuszonym zająć się nią gorliwie, nie przeszkadzając wszakże czynnościom kommissyi. Gdy wszakże liczba członków kommissyi papiezkiéj zmniejszyła się do trzech, odroczono więc posiedzenia jéj do dnia 3 listopada.

Tymczasem sprawa szybko postępowała na synodach prowincyonalnych. W Senlis spłonęło dziewięciu rycerzy, w innych miejscach mnóstwo na wygnanie lub dożywotne więzienie skazano. Wśród tego zebrał się sobor w Vienne mający ostatecznie zawyrokować o losie zakonu. W tym celu przybył Filip piękny z trzema synami i licznym dworzan orszakiem, obecność wszakże jego nie wywarła wpływu jakiego pragnął; owszem duch przychylny zakonowi zdawał się przeważać w całém zgromadzeniu. Wtedy dziewięciu rycerzy w właściwym ubiorze zgłasza się z obroną zakonu. Przerażony papież kazał ich wtrącić do turmy, i czém prędzéj na mniejszém zebraniu kardynałów i biskupów dnia 22 marca 1312 roku postanowił zniesienie zakonu: dnia 3 kwietnia bulla w tym celu wygotowana publicznie ogłoszoną została. Tak zniknął rycerski zakon, który przez sto ośmdziesiąt cztery lata był ozdobą chrześciaństwa. Rozległe dobra

pomnożyły w części skarb monarchów, w części dostały się w dziale zakonowi braci szpitalnych, którzy we Francyi, w moc dawniejszych postanowień, drogo ten nabytek opłacić musieli, tak iż odtąd z długów wydobyć się nie mogli.

Ostateczne rozwiązanie całéj téj sprawy jeszcze się dwa lata ciągnęło. W. Mistrz z trzema naczelnikami zakonu, to jest wizytatorem Francyi, mistrzami Akwitanii i Normandyi czekał na wyrok papieża, który sam sobie zastrzegł ostateczne względem nich postanowienie. Wreszcie ustanowiona dla nich osóbna kommissya przyjęła ich zeznania i wyrzekła dożywotne więzienie. Wszystko zdawało się skończone, gdy W. Mistrz wraz z mistrzem normandzkim cofnęli swoje zeznania. Kommissya zdumiona odłożyła rozpoznanie ich odwołania do dnia następnego, a tymczasem powierzyła ich straży przełożonego paryzkiego (prevôt); lecz Filip zniecierpliwiony, odwołanie się ich poczytał zapewne za zbrodnię obrażonego majestatu, i tegoż samego dnia obudwóch na końcu wyspy starego miasta, po za ogrodem pałacowym, na stosie spalić rozkazał (11 marca 1314). Nie wyszło dni czterdzieści umarł papież Klemens V (19 kwietnia 1314) a w tym samym roku (29 listopada) dokonał życia król Filip.

ROZDZIAŁ XIII.

ŚMIERĆ FILIPA PIĘKNEGO. — LUDWIK X. — FILIP V. — KAROL IV.

Jeszcze tlały głownie Templaryuszów stosu, wiatr z dymem roznosił po Francyi ostatnią wróżbę W. Mistrza, gdy występki familijne wywołały srogie wyroki Filipa. Lud do wniosków pochopny widział w tém ducha zemsty, który się już nad domem Filipa unosił, niezbyt odległą szczepu jego zagładę rokując.

Trzej synowie jego zaślubili trzy burgundzkie księżniczki, Ludwik Małgorzatę córkę Roberta II księcia Burgundyi, Filip Joannę córkę Ottona IV hrabiego Burgundyi, Karol zaś Blankę młodszą siostrę Joanny. Wszystkie trzy niespodzianie z początkiem wiosny 1314 roku obwinione zostały o niesłychaną rozwiązłość. Do nich to niektórzy, choć niesłusznie, odnoszą podanie o królowéj wieży Nesle, która miłosne zastawiała sidła na młodzieńców, znęcała ich wieczorem, a rano topiła w Sekwanie. Parlament paryzki uznał Joannę niewinną, a tém samém pogodził ją z małżonkiem. Jedni mówią, że prawdziwe przywiązanie Karola do swojéj żony, inni zaś że Franche-Comté wniesione w posagu, było zasadą wyroku parlamentowego i ukrytą pobudką zgody. Małgorzata i Blanka nie były tyle szczęśliwe: potępione wyrokiem sądu, postrzyżone haniebnie, odarte z szat książęcych do ciasnéj turmy wtrącone zostały. W rok późniéj (1315) Ludwik chcąc nowe zawrzéć śluby, kazał Małgorzatę w więzieniu udusić. Za spólników zbrodni księżniczek powołani dwaj bracia Walter (Gauthier) i Filip Aulnay ze szlachty normandzkiéj do dworu królewiczów przyjęci, torturą do przyznania zbrodni znagleni, srogie męczarnie wytrzymać musieli. Na placu Martroi Saint-Gervais pozbawiono ich znamion męzkości, odarto żywcem ze skóry, wreszcie poucinano głowy i za łopatki na hakach pozawieszano. Dwóch ofiar było za mało, wzięto jeszcze odźwiernego, za nim mnóstwo innych osób mężczyzn i kobiet, jednych cichaczem potracono, drudzy w nurtach Sekwany śmierć znaleźli.

Raz na drogę spraw karnych trafiwszy nie łatwo z niéj wycofać się było. Występków nie brakło, zbrodnie się mnożyły, jakby zaraza powszechna. Lecz choćby téż i nie było występków, sądownictwo nie mogło się wstrzymać w zapędzie wyrokowania. Duch wojowania ze złém raz obudzony w sprawie Bonifacego i Templaryuszów, nie mógł się nagle zatrzymać, trzeba mu było żywiołu, sprawy wielkiéj, zbrodni przerażających, dziwnych, godnych okropnéj kary. Nie potrzebował ich czekać, oskarżenia sypały się jak grad, o trucizny, cudzołóztwa, fałszerstwa,

a nadewszystko czary. Te ostatnie mieszały się do wszystkich występków, stanowiły ich przyprawę, powiększały zgrozę. Zimny dreszcz przejmował sędziego na krześle, gdy składano na stole jawne dowody czarów, filtry (*), amulety, ropuchy, sowy, nietoperze, koty czarne, figurki szpilkami pokłute... Przyznać trzeba że takowe sprawy musiały trwożną budzić ciekawość, sprawiać cierpką rozkosz zemsty i strachu, dla tego też trudno się było niemi nasycić, im więcéj palono, pławiono, tém więcéj przybywało. Mimowoli ciśnie się na myśl wniosek, że epoka, która nas obecnie zajmuje, była panowaniem szatanów. Diabelstwo wykształciło się jako sztuka, z niego wyrodziły się czary. Już nie dosyć było wiedzieć nazwiska, obowiązki i przymioty złych duchów, trzeba było umieć ich użyć na usługę człowieka (**). Liczba tych pokus rodu ludzkiego wzrosła niesłychanie: każdy klan szkocki, każdy zamożniejszy dom francuzki, każda familia niemiecka, każdy zresztą przemyślniejszy człowiek miał swojego ducha (skrzatka, chochlika). Nie jednego pociągano do sądu, że sprzedawał diabła zamkniętego w butelce.

Pierwszy proces z powodu czarów był wytoczony przeciw Guichardowi, że przez urok przyśpieszył śmierć królowéj. Niektórzy mniemają, że więcéj głośne niż udowodnione podanie o królowéj wieży Nesle, do téj się pani rzeczywiście odnosi, nie do jéj synowych; cóżkolwiekbądź nie cierpiała ona Guicharda, ponieważ ochronił człowieka jednego, którego nienawidziła,

---

(*) Filtry, czyli napoje miłosne przyrządzali ludzie wielką osłonieni tajemnicą. Łatwo domyśleć się, iż to rzemiosło dość zyskowne być musiało, dla tego i lekarze owych wieków nie brzydzili się mieszaniem tego rodzaju olejków. Vanhelmont zmarły 1644 r. sławny swojego czasu lekarz, sili się na wykazanie naturalnych zasad filtrów. Zdaje się że od filtrów do trucizn nie wielki był przeskók.

(**) Jan Bodin w dziele swojém Demonomania, w księdze de Praestigiis, (druk. w Bazylei 1578 r.) mnóstwo niesłychane nazwisk djabłów i ich przymiotów wymienia. Powiastki o djabłach usługujących człowiekowi, pomagających do wzniesienia nadzwyczajnych budowli, początek swój mają w wieku czternastym.

odtąd postanowiła jego zgubę. Guichard udał się do czarownicy żądając naprzód filtru, a następnie przyśpieszenia śmierci. Mówią, że w nocy udawał się do ciemnéj kryjówki czarownicy dla zaczarowania królowéj. Ulepili figurkę z wosku w obecności babki położniczéj, ochrzcili ją Joanną i zakłóli szpilką. Tymczasem istotna Joanna nie umierała. Guichard co noc powracał, czarownica ze strachu zbiegła i całą rzecz objawiła. Wkrótce umarła królowa, ale czy nie można było nic Guichardowi dowieść, czy téż możni na dworze wspierali go przyjaciele, sprawa ta wlokła się bez końca, a Guichard tymczasem siedział w więzieniu.

Rozżarzona w ten sposób wyobraźnia ludu wszędzie upatrywała zbrodnie, w każdéj śmierci widziała czary lub truciznę. Królowa umarła z czarów, siostra jéj podobnież, złośliwy człowiek czarami opętał synowe królewskie. Filip piękny miał być otruty, przez kogo? przez tych co wszystko tracili ze śmiercią jego; podobnież i ojciec jego trzydziestą laty pierwéj zmarły. Chętnieby i wyżéj jeszcze postąpiono byleby więcéj nagromadzić zbrodni.

Tak smutny był stan świata gdy go Filip opuszczał spełniając termin, jaki mu ze stosu swojego przeznaczył Molay, dopełnił go już i Klemens V wcześniéj daleko; bo téż jak wieść niesie pierwszego wzywał Mistrz przed upływem roku, drugiego zaś nim przejdzie dni czterdzieści. Mówią że król w czasie polowania na dziki w lesie pod Fontainebleau spadł z konia i już się odtąd podźwignąć nie mógł. Spółczesny dziejopis żadnéj o tém zdarzeniu nie czyni wzmianki; mówi on że król zgasł, bez febry, bez choroby widocznéj, z wielkiém podziwieniem lekarzy, którzy żadnego przeciw takiéj słabości nie mieli środka, twierdząc, że król nie powinien był jeszcze umierać, kończył bowiem dopiero czterdziesty szósty rok życia. Umarł w Fontenaibleau (29 listopada 1314) i tamże pochowany.

Panowanie Filipa pięknego ważną jest dla Francyi i w wielkie wypadki płodną epoką; jaki mógł miéć udział w sprawach państwa, rzecz trudna do zbadania. To pewna iż nie ma wa-

żniejszego wypadku, na korzyść lub szkodę państwa, w którymby Filip nie znajdował się osobiście. Dla tego widzimy go ustawnie przebiegającego kraj, znajdującego się na każdéj scenie wielkiego działania: pod Courtray i pod Mons-en-puelle, pod Saint-Jean-d'Angely i w Lugdunie, w Poitiers i w Vienne. Nie możemy przypuścić aby w twardych okolicznościach, w jakich się nie raz znajdował, miał być jedynie igrzyskiem legistów radę jego składających, skłonniejsi daleko jesteśmy do wierzenia, że gwałtowne postępowanie względem papieża i Templaryuszów, obudziło uczucie politowania dla uciśnionych, a tém samém zapaliło niechęć ku sprawcy ucisku bez względu na jego pobudki i korzyści. Nadto pomyślny wypadek wielkich spraw wymagał koniecznie wydatków nie małych, te pociągnęły za sobą przykre podatki, które lud oburzały, a przecież ściągnięte summy szły na dobro kraju. Filip nader był ścisłym i porządnym pod względem kassowości, co dwadzieścia pięć dni słuchał rachunków swojego skarbnika, a nie ma żadnego śladu prywatnych wydatków. Nie wdając się atoli w stanowcze rozstrzygnienie pytania, czy Filip był dobrym lub złym człowiekiem i królem, to przyznać musimy że rozpoczyna nową erę porządku cywilnego we Francyi, że jest rzeczywistym założycielem nowéj monarchii.

Trzech synów zostawił Filip, wszyscy trzéj młodzi i dorodni rycerze, zyskali przychylność szlachty zachowując jéj zwyczaje i nałogi: któżby pomyślił, spojrzawszy na nich, że nowy szczep królów niedługo tron Francyi posiędzie! W ciągu lat czternastu trzej synowie Filipa zniknęli jeden po drugim, nie zostawiwszy ani potomstwa, ani śladu po sobie: rzekłbyś, że to są skutki jakiegoś przekleństwa, że cienie Bonifacego i Jakoba Molay ścigały do ostatka tę rodzinę.

Ludwik X *swarliwy* (le hutin) objął rządy po ojcu jako najstarszy z braci. Dziecię płoche, swawolne, nie raz od ojca karcone za wrzaskliwe zabawy, mogłoż odpowiadać ważności swojego powołania? Karol walezyjski, stryj młodego króla, ujął styr rządu w imieniu swojego synowca. Człowiek wielkiej du-

my, lecz miernych zdolności, przez całe życie igrzyskiem był losu, nowe co chwila roił zamiary, żadnego nigdy nie dopiął. Nie osiągnąwszy aragońskiéj korony, którą mu sycylijskie nieszpory do rąk podawały, gonił za fortuną we Włoszech, ofiarą stawszy się tysiącznych ułudzeń. Sycylia, Rzym, Florencya, korona cesarska, dziedzictwo odpadłych od tronu cesarzów łacińskich, wabiły go na przemian i z rąk mu się wysuwały. Wróciwszy do Francyi nie umiał nawet drugiéj po bracie odgrywać roli, przeważniejszym był wpływ legistów: za to korzystał z władzy, jaką mu podała w ręce niedołężność synowca.

Już w ostatnim roku panowania Filipa pięknego zbierały się zewsząd żywioły buntu, śmierć króla uprzedziła burzę, teraz więc z całą srogością wybuchła. Zbuntowani wieśniacy w Sens obrali sobie króla, papieża i kardynałów. Panowie feodalni potworzyli związki, dla ich uspokojenia musiano im przyznać ustawy na wzór wielkiéj karty angielskiéj. Takowe prawa wyjednały dla siebie Normandya, Burgundya, Owernia, Langwedocya, Pikardya, Szampania. Szlachta odzyskała prawo zajazdu i pojedynku sądowego, gminy uwolnienie od uciążliwych podatków i zabezpieczenie jednostajnéj wartości monet. Nie dość na tém, Karol idąc za popędem zawiści poświęcił zemście ludu legistów mieniąc ich przyczyną wszystkiego złego.

Kanclerz Piotr Latilly pociągnięty został do sądu. Raoul Presler, generalny adwokat króla Filipa, wtrącony do turmy u Ś. Genowefy w Paryżu, doświadczył téj saméj tortury, którą tak dawniéj szafował. Flottę i Nogaret umarli na rok przed zgonem Filiya IV i dobrze na tém wyszli, za nich i za siebie odpokutował Enguerrand le Portier, zwany pospolicie Marigny. Tego szczególniéj nienawidził Karól walezyjski, jako najulubieńszego doradcę zmarłego króla, który według kroniki spółczesnéj był istnym marszałkiem pałacowym, koadjutorem królestwa, rzeczywistym królem. Wtrącony do wieży Luwru, następnie do więzienia Templu, stawiony został przed sądem w Vincennes; pierwéj zaś przy odgłosie trąb kazał ogłosić Karol: »aby wszyscy dobrzy ludzie, bogaci lub ubodzy, którym

Enguerrand dokuczył, zanieśli skargę przed sąd królewski, a odbiorą sprawiedliwość.» Ludwik zanadto był roztargniony aby miał podzielać nienawiść stryja swojego, być może, iż go po części wstrzymywał szacunek pamiątki ojca, dla tego myślił on wskazać wypadłemu z łask ministrowi wyspę Cypr, gdzieby łącznie z Joannitami walczył przeciw niewiernym. Nie tak łatwo dał się zaspokoić Karol. Wnet znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że Enguerrand z niejakim Jakóbem Delor nekromanem z Paryża, czarodziejskiemi sztukami przyśpieszyli zgon Filipa, na dowód tego złożono figurkę woskową szpilkami pokłutą. Więcéj nie trzeba było: parlament skazał Enguerranda na powieszenie na wystawionéj przez niego samego szubienicy.

Młody król uczuł przecież całe niedołęztwo takiego wstępu panowania, chciał otoczyć się blaskiem sławy wojennéj: Flandrya gotowe do tego otwierała pole. Korzystając z trudnego położenia nowego rządu hrabia Robert, postanowił zerwać węzły, które go łączyły z Francyą. Ludwik zwołał sąd parów, który nie omieszkał ogłosić hrabiego odpadłym od lenności; lecz trzeba było wyrok wykonać z bronią w ręku. Ludwik zabierając się do dzieła, spostrzegł, że mimo wrzaski Filip i jego doradcy nie źle robili, i on ujrzał się zmuszonym szukać zasiłków w podatkach nadzwyczajnych. Niepodna było chwytać się środków zużytych przez ojca, bo te stały się powodem rozruchów; nowy przeto wynalazł sposób ściągania pieniędzy: sprzedawał wolność poddanym włościanom, polecając władzom swoim obkładać pieniężnemi karami tych, którzy nie znając lub lekce ważąc tak wielkie dobrodziejstwo po wykupienie jego nie kwapili się.

Tak więc zebrawszy pieniądze dobrowolnie złożone, lub przymusem wydarte wybrał się król na wyprawę flandryjską 14 lipca 1314. Była to wszakże spóźniona pora; przy samém rozpoczęciu wyprawy ulewne deszcze popsuły drogi, tak dalece, że za świadectwem spółczesnego kronikarza, kontynuatora kroniki Wilhelma Nangis, trzeba było trzydzieści koni zaprzęgać, żeby sprowadzić jednę kufę wina do obozu. Wkrótce nie można

było postępować ani naprzód ani w tył, spaliwszy więc namioty i sprzęty obozowe wrócił król nic nie zdziaławszy. Najważniejszy to był czyn Ludwika X. W czerwcu następnego roku rozgrzany mocno grą w piłkę w lasku Vincennes dla ochłodzenia się wszedł do groty i nabawił się febry, która w kilka dni przecięła pasmo życia jego po krótkiém panowaniu, bo rok tylko i miesięcy ośm trwającém.

Po śmierci Ludwika pozostała wdowa, Klemencya księżniczka węgierska, była przy nadziei, jeżeliby więc powiła syna, tron prawem następstwa do niegoby należał; z tego więc powodu Filip, młodszy brat nieboszczyka ogłoszony został rejentem państwa. Był on podówczas w Lugdunie, mieście przez ojca jego do Francyi wcieloném: tam czekał na wybór nowego papieża; lecz powziąwszy wiadomość o śmierci brata, pośpieszył do Paryża, stryja roszczącego prawo do rejencyi wysadził z Luwru i natychmiast wyprawił się na załatwienie sporów wszczętych o spadek hrabstwa Artois. Wracając z Amiens w drodze odebrał wiadomość, że Klemencya powiła syna, któremu dano imię Jan. W ośm dni po urodzeniu dziecię umarło, Filip na własnych ręku zaniósł je do opactwa Ś. Dyonizego i złożył w grobie ojca (22 listopada 1316). »Nie widzę przyczyny, mówi dziejopis Daniel, dla czego niektórzy wypuszczają go z listy królów Francyi; rodząc się nabył już tego prawa; i tego są ślady w aktach archiwum królewskiego.« »Dla tego też, dodaje jeden z nowoczesnych historyków, zostawiamy mu jego stopień mieszcząc go w poczcie królów pod imieniem Jana I.«

Ważniejsze atoli do rozstrzygnienia zostawało pytanie; czy osierocony tron ma do Filipa należyć, czy na nim zasiędzie pozostała po Ludwiku X córka Joanna? Filip w sprawie o następstwo Artois sam siebie potępił, uznawszy prawa Matyldy, córki ostatniego dziedzica, przed prawami Roberta, wnuka jego po najstarszym synu; lecz dziwactwa zwyczajów feodalnych uświęcały w jednéj prowincyi to, co było w drugiéj potępione. Filip odwołał się do prawa Franków salickich, które w sercu Francuzów wyryte było, mówi jeden z dawnych dziejopisów

tego kraju. Zapytani legiści nie mogąc znaleźć stanowczéj odpowiedzi w dygestach, nie zmieszani bynajmniéj tym brakiem wydobyli text z przysłowiów Salomona, *Lilia non nent* (lilie nie szyją), a na téj zasadzie prawo salickie przeważyło szalę na stronę Filipa, który mu zawdzięcza sześć lat panowania.

Filip V *długi* (le Long) dla wzrostu tak nazwany, bohatyrskiemi nie zasłynął czynami, ważne atoli wyświadczył przysługi Francyi przez ustawy tyczące wewnętrznego zarządu kraju. On pierwszy powziął myśl ujednostajnienia miar i wag w kraju, lecz myśl zbyt wczesną, gdy dziś nawet, kiedy przyjęta jest za zasadę nie może się przecież upowszechnić w pospolitém zastosowaniu. Urządził jakożkolwiek rachunkowość, rozkazując, aby poborcy po spłaceniu wszelkich należytości pozostałą w kassie resztę natychmiast odsyłali do skarbcu królewskiego, ale w sekrecie, *aby nikt nie wiedział ani dnia, ani godziny*, téj przesyłki. Przełożeni w obwodach (baillis) i seneszalowie powinni co rok przybywać do Paryża do obrachunku. Podskarbiowie dwa razy do roku składają rachunki. Ma się wyszczególniać w jakich monetach uskutecznione wypłaty.

W tym samym czasie odwołał król wszelkie darowizny dóbr od czasów Ludwika św. począwszy, w szczególności atoli w tém rozporządzeniu wymienione są darowizny, które od Filipa pięknego uzyskali Flotte, Nogaret, Plasians i im podobni. Zawziętość nie przestawała ścigać doradców ucisku ludu, a przecież naród winien im był porządek i siłę wewnętrzną. Filip V nie ufając panom zbyt rozdrażnionym postanowieniami ograniczającemi ich władzę, a może bardziéj jeszcze temi, przez które nie dawno część starożytnych odzyskali przywilejów, puścił się koleją już dobrze przez poprzedników, a osobliwie téż Filipa pięknego utorowaną. Głaskał miasta, nadewszystko Paryż i jego uniwersytet, silną władzę paryzką. Przysięgę wierności od panów odbierał w przytomności mistrzów uniwersytetu. Postanowił, aby dobre jego miasta miały własne herby, aby mieszczanie mieli broń w miejscu bezpiecznem, mianował dowódców dla każdego obwodu (1316 r.). W tém

rozporządzeniu wymienione są miasta i krainy jak następuje, Senlis, Amiens, kraina Vermandois, Caen, Ronen, Gisors, krainy Cotentin i Caux, Orleans, Sens i Troyes.

Urządzenie silnéj władzy sądowniczéj zabezpieczało pokój wewnętrzny, parlament coraz bardziéj się utwierdzał. Kto chce powziąć wyobrażenie o sprężystości parlamentu paryzkiego, niech czyta w kontynuatorze Nangisa opis sprawy Jordana de Lille, »pana gaskońskiego słynnego wysokiém urodzeniem, lecz niecnego dla swoich łotrostw..« Zaślubił on siostrzenicę papieża i tym sposobem uzyskał przebaczenie króla. Użył go wszakże na dopełnienie miary zbrodni. Uchodziło mu przecież wszystko bezkarnie, gdy wtém przybył do niego posłaniec królewski, a on go ubił tą samą laską z herbem króla, którą miał z sobą jako godło swojego poselstwa. Za to powołany został przed sąd. Człowiek zuchwały, przybył do Paryża z orszakiem świetnym hrabiów i baronów najznakomitszych w Akwitanii... Nic to wszakże nie pomogło, wtrącony do więzienia Châtelet, skazany na śmierć przez prezydujących w parlamencie, w wigilią św. Trójcy przywiązany do ogonów końskich, wleczony po ulicach i nakoniec powieszony został na szubienicy zwyczajnych złoczyńców. Lecz parlament tak silnie broniący honoru królewskiego, był sam królem pod względem sądowniczym. Strój jego królewski, suknia długa, purpura i gronostaje. Nie jest to wszakże, jakby się przynajmniéj zdawało, cień, obraz króla; nie, jest to raczéj myśl jego, wola stała i niezmienna.

Wśród mnóstwa rozporządzeń, które zapełniają krótkie panowanie Filipa V, znajduje się także ustawa określająca dworski ceremoniał. Wszystkie te atoli rozporządzenia nie zmniejszały cierpień ludu. Za Ludwika X straszna śmiertelność zabrała, jak mówią, trzecią część ludności północnéj. Wojna flandryjska wyczerpała ostatnie zasiłki skarbowe, trzeba ją było zakończyć (1320) jakiémkolwiek przymierzem, kraj wewnątrz miał dosyć do czynienia. W tym samym roku wznowiły się krwawe sceny, jakie niegdyś zakłóciły rejencyą Blanki, w czasie krucyaty Ludwika świętego. Tłumy biednych ludzi, wieśniaków, pasterzy

(pastoureaux) zgromadzone przez oszustów wybrały się za morze na oswobodzenie ziemi świętéj. Wnet do nich przyłączyły się włóczęgi, próżniaki wszelkiego rodzaju, dzieci z domu rodziców zbiegłe. Z początku postępowali o proszonym chlebie, czując się zaś na siłach już bez proszenia brali. Przełożony paryzki w czasie ich przechodu wtrącił kilku do więzienia, lecz ich siłą wyzwolili, przełożonego zrzuciwszy na kark ze schodów Châtelet. Tak posuwając się bezkarnie, wkroczyli do Langwedocyi w liczbie czterdziestu tysięcy, tu ich nacisnął Seneszal z Carcassone: część rozpędził, część pochwytał i na gałęziach po dwudziestu, po trzydziestu wieszać rozkazał i tym sposobem poskromił niesforną wyprawę.

Dziwna ta wędrówka ludu nie była wypływem zapału religijnego, ale raczéj skutkiem cierpień i nędzy. Panowie zubożeni fałszywą monetą, uciśnieni lichwą, tłoczyli chłopów: ci nie mając innego środka porzucali trzody i chałupy, uchodzili w świat, łupili i mordowali żydów. Że lud żydowski był prześladowany, dręczony w epoce krucyat, w czasie religijnéj żarliwości, zdaje się rzecz choć niewłaściwa, lecz bardzo naturalna: mylne wyobrażenia pobudzały lud do bezprawiów w prostocie ducha pełnionych; w wieku atoli czternastym wina zostaje nawet bez pozoru usprawiedliwienia, podła chciwość stała się podnietą złego. Lud zabiegły, trzeźwy, oszczędny, a przytém usłużny, zyskał przychylność możnych panów, podsycał ich zbytki dostarczając złota i srebra, a w procentach nie zapominał o sobie. Była to chwila, w któréj żydzi w Hiszpanii i południowéj Francyi byli poborcami, skarbnikami, poufnymi panów doradcami w przedmiocie finansów. Za Filipa Augusta (1267) widziano ich na urzędzie sędziów i przełożonych w obwodach (bailli). Przyznać trzeba, że ta pomyślność zawróciła im głowę, im usłużniejsi byli dla możnych, tém hardziéj obchodzili się z ludem. Filip piękny wypędził żydów, cichaczem jednak wrócili, a Ludwik X zapewnił im pobyt na lat dwanaście, polecając zwrot ksiąg, bożnic, cmentarzy, dziedzin za połowę ceny sprzedanych, długów niespłaconych, których król dwie trzecie dla siebie zamówił.

W skutek takowego postanowienia zarządzone poszukiwania obudziły zastarzałą nienawiść, a wtém wśród zatrważającéj śmiertelności rozchodzi się wieść że żydzi i trędowaci (*) są tego przyczyną przez zatrucie wody w studniach. Dziedzic włości Parthenay pisze do króla, że w jego dobrach jeden nadzwyczaj trędowaty zeznał, iż dostał od bogatego żyda woreczek z trucizną i znaczne pieniądze aby go wrzucił do studni. Ta trucizna składała się z krwi ludzkiéj, uryny po trzech ziołach i hostyi; wszystko wysuszone i wrzucone w woreczku do studni. Nikt wówczas o téj zbrodni nie wątpił. »Ja sam, mówi spółczesny kronikarz, na własne oczy widziałem te woreczki: trędowata pewna z bojaźni by jéj nie pochwycono, rzuciła w szmatce zawinięte, głowę żmii, łapki ropuchy, i niby kobiece włosy olejkiem czarnym i nieprzyjemnéj woni napuszczone. To wszystko rzucone na wielkie żarzewie niechciało się palić, jawny dowód gwałtownéj trucizny... Najpodobniejsza do prawdy, że król Maurów z Granady wszedł w zmowę z żydami na wytępienie chrześcian...« Zemsta króla Grenady oczywiście bajeczna, wina żydów i trędowatych niczém nieudowodniona, przecież wieści takowe zamierzony skutek wywarły; nastąpiła rzeź okropna, i jednych i drugich bez litości mordowano. W Chinon wykopano rów obszerny, naniecono w nim ogień i spalono sto sześćdziesiąt żydów bez różnicy płci i wieku. Skarb na tém nie źle wyszedł, w samym Paryżu sto piędziesiąt tysięcy liwrów wpłynęło do kassy.

Jeszcze nie ustało niedorzeczne, ale srogie prześladowanie,

(*) W ciągu wypraw krzyżowych zagęściła się między ludem południowéj osobliwie Francyi, choroba uznana wówczas za trąd nieuleczony. Ludwik św. kazał pobudować szpitale dla trędowatych o podal od miast i wiosek, gdzieniegdzie osóbne tylko budowano domki, z których żadnemu wychodzić nie wolno było, ani zbliżać się do innych ludzi, ani z nimi rozmawiać. Rażonego trądem przeprowadzano do takowego domku z obrzędem tym samym jak umarłego na cmentarz, z towarzyszeniem śpiewów pogrzebowych.

gdy Filip długi zachorował na febrę 1321 w miesiącu Sierpniu. Żaden z lekarzy nie mógł odgadnąć przyczyny słabości, która go przez pięć miesięcy dręczyła i w końcu przecięła pasmo dni jego. Wielu uważało wtém skutek złorzeczeń udręczonego ludu. Karol brat zmarłego króla bez trudu odziedziczył tron nie mając względu na pozostałe po nim córki, równie jak Filip nie zważał na córkę Ludwika X.

Panowanie Karola IV *pięknego* nie więcéj wzbudziło interesu jak rządy obudwóch starszych braci. Ludwik de Rethel wydobywszy się z więzienia z Bruges, w którém go zbuntowani poddani jego flandryjscy przez półtora lata trzymali, przybył do Karola z prośbą o pomoc. Już zaczęto robić przygotowania do wyprawy, gdy Flamandczycy nie ufając dawnym zwycięztwom woleli zastawić się workiem jak orężem, zgodzili się więc z hrabią wyliczywszy królowi 200,000 liwrów.

Już téż nadszedł kres téj rodziny. W Grudniu 1325 Karol walezyjski legł obok brata swojego i dwóch synowców w grobach Ś. Dyonizego. Smutne jakieś przeznaczenie ścigało go do samego końca: po tylu zwodniczych marzeniach, po tylu trudach i zabiegach byłby wreszcie ucieszył się koroną francuzką, gdyby go śmierć dwoma laty zawcześnie nie zaskoczyła. Z śmiercią synowca jego, która w początku 1328 r. nastąpiła, korona przeszła do jego familii, lecz ją odziedziczył syn jego Filip.

KSIĘGA PIĄTA.

Walezyusze.

OD ROKU 1328 DO ROKU 1498.

KSIĘGA PIĄTA.

WALEZYUSZE.

OD ROKU 1328 DO ROKU 1498.

ROZDZIAŁ I.

FILIP VI. — WOJNA FLANDRYJSKA. — WOJNA ANGIELSKA.

Opaczne zrządzenie losu, jakby na wyszydzenie przezorności ludzkiéj, mieć chciało, aby Filip walezyjski w zaprzeczeniu ojca własnego znalazł zawadę do tronu, którego najbliższym był dziedzicem. Karol, ojciec Filipa, po śmierci Ludwika X, nie przezierał szczęsnéj gwiazdy, która wkrótce rodzinie jego w drodze do tronu przewodniczyć miała, dla tego z całą siłą popierał prawa córki zgasłego monarchy. Legiści tymczasem pożyczoném przysłowiem, jakeśmy wyżéj wspomnieli, podłatali prawo salickie, nie przeczuwając, że wyrok ich wkrótce na korzyść Filipa posłuży.

Karol IV umierając zostawił żonę blizką rozwiązania; skoroby powiła syna, Filip miał być jego opiekunem i rejentem królestwa w czasie małoletności; w przeciwnym razie parowie i baronowie obowiązani byli oddać berło komu z prawa należy. Taka była ostatnia wola ostatniego w prostéj linii Kapeta. Nie

śmiał on otwarcie niszczyć zasady, któréj zawdzięczał koronę, wolał więc los potomstwa swojego względności parów poruczyć. W trzy miesiące po śmierci króla pozostała po nim wdowa wydała na świat córkę. Na zgromadzeniu parów Robert hrabia Artois silnie popierał prawo do tronu Filipa dotychczasowego rejenta, w tém przekonaniu, że łatwiéj potrafi odzyskać dziedzinę, którą ciotce jego naprzód Filip piękny, a późniéj i Filip długi przysądził. Głos Roberta znalazł silne poparcie w uczuciu narodowém zebranych panów; obudził je zaś straszny na pozór, nie przez prawo, lecz przez potęgę spółzawodnik Filipa. Był to Edward III król angielski dopominający się korony jako spadku macierzyńskiego po Izabelli córce Filipa pięknego. Utrzymywał on, że »prawo salickie wyłącza kobiety od następstwa tronu dla ich niezdolności do rządów państwa, lecz ten powód nie ma żadnéj wagi względem ich synów, dziedziców ich praw i roszczeń.« Wspomnienie Edwarda I wstrętem przejęło całe zgromadzenie ku jego wnukowi, wszyscy jednozgodnie oświadczyli w odpowiedzi na powyższe twierdzenie: »Nikt nie daje praw, których sam nie ma.« Robert korzystał z oburzenia panów i wnet zdania wszystkich skłonił na stronę Filipa hrabiego Walezyi. Przyjął Filip koronę, sprawa wszakże jego nie zdawała się być ostatecznie rozstrzygniętą: Edward odwołał się do cesarza Ludwika bawarskiego, a Flamandczycy, niechętni królom Francyi za klęski od nich doznane, nowego monarchę królem *znajdkiem* (le roi trouvé) nazwali.

By się zabezpieczyć wewnątrz kraju na wszelkie przygody zatargów zewnętrznych, Filip ustąpił córce Ludwika swarliwego królestwa Nawarry, do którego prawo sobie rościła, a sam zatrzymał Szampanią i Brie. Teraz postanowił korzystać z okoliczności i koronę jeszcze chwiejącą się na głowie swojéj otoczyć blaskiem sławy wojennéj, zjednać jéj należne uszanowanie u swoich, wstrzymać nieprzyjazne zamachy obcych. Ludwik hrabia Rhétel, przez zbuntowanych Flandryjczyków do ustąpienia z kraju zmuszony, żebrał pomocy Filipa. Z chęcią ją ofiarował król Francyi szczęśliwy, ze znalazł sposobność upoko-

rzenia tego, jak Francuzi zwali, motłochu flandryjskiego. Gminy miast Bruges, Ypres, Cassel i całéj Flandryi zachodniéj pozbywszy się swojego hrabiego urządziły sobie rzeczpospolitą pod przewodnictwem Mikołaja Zanekin, burmistrza z Bruges. Cała szlachta północnéj Francyi i Niemiec nadreńskich oburzyła się na sam odgłos, że mieszczanie flandryjscy odważyli się być niezawisłymi; skoro więc Filip wziął oryflammę z kościoła Ś. Dyonizego, ze wszech stron zbiegało się rycerstwo by miéć udział w walce tak szlachetnéj. Wkrótce król na czele stu siedmiudziesiąt chorągwi przeszedł granice Flandryi i roztoczył obóz pod miastem Cassel u stóp góry, na któréj oszańcował się Zanekin z wyborem miejskiéj milicyi. Stanowisko flamandzkie nie łatwe było do zdobycia, wiedzieli oni o tém dobrze i dla tego w brutalskiéj chełpliwości wystawili w obozie na wysokim drągu malowanego koguta z napisem:

Na tego koguta zapianie
Król znajdek tu się dostanie (*).

Żeby dotrzymać słowa tego napisu dość mieli Flamandczycy odwagi, brakło im jedynie cierpliwości i wytrwania. Filip nie pokusił się o zdobycie obozu lub miasta, lecz wysłał dwóch wodzów aby okolice Bruges ogniem i mieczem pustoszyli. Z wysokości swojego stanowiska Flamandczycy obejmowali wzrokiem rozległe równiny kraju swojego; dręczyła ich przerwa w interesach, warsztaty w Ypres spoczywały, paki towarów zwalone do Bruges nie miały pokupu; dusza kupców i fabrykantów mimowolnie wracała do kantorów. W takowém udręczeniu skoro wieczorem ujrzeli płomienie gorejących wiosek swoich i zakładów, wtedy całą noc obliczali poniesione straty i chybione korzyści. Trzeba im było koniecznie bitwą stanowczą wydobyć się z tak przykrego położenia. Zanekin, w ubiorze rybaka, idzie przejrzéć obóz francuzki: nikt w nim ani myśli

(*) Quand ce coq icy chantera,
Le Roy trouvé cy entrera.

o nieprzyjacielu. Panowie postrojeni odwiedzali się nawzajem, bawili się, gawędzili, w kostki grali. Flamandczycy na trzy kolumny podzieleni w najgłębszém milczeniu postępują, wieczorną osłonieni pomroką wprost do królewskiego zmierzają namiotu, kładąc trupem przed sobą cokolwiek im się nawinęło. Szczęściem że jeszcze ludzie marszałków polowych byli na nogach, ci się naprzód starli dając czas rycerstwu do przywdziania zbroi. Wkrótce król stanął na miejscu walki, rycerstwo skupiło się koło oryflammy i wśród narodowego wówczas odgłosu *Mont-Joie Saint-Denis!* natarło na nieprzyjaciół. Otoczeni ze wszech stron Flamandczycy, w trzech ściśnionych kolumnach stawili czoło francuzkiemu rycerstwu, lasem dzid długo broniąc przystępu; lecz albo przez zbytnią w siłach ufność, albo przesadzoną przezorność, a może wreszcie przez chełpliwą zamożności wystawę, piechota flamandzka przywdziała ciężką rycerzów zbroję; prawda że była zabezpieczona od ciosów nieprzyjacielskiego miecza, ale za to ruszać się z miejsca trudno jéj było, gdy więc raz się dostali do środka kolumny francuzcy rycerze, już nie było zbawienia dla Flamandczyków, wszyscy prawie legli na trzech stosach wraz ze swoim dowódcą. Trzynaście tysięcy na polu bitwy poległych liczono, a dziesięć tysięcy wytępił hrabia wróciwszy do swojéj posiadłości.

Straszna bitwa pod Cassel (23 sierp. 1328) ukończyła wojnę za jednym zamachem, wszystkie miasta niższéj Flandryi otworzyły swoje bramy. Był to świetny wstęp nowego panowania, uśmierzenie prowincyi, w któréj tylu klęsk doznali poprzednicy Filipa: dla tego też dość przykro było królowi że w cudzéj sprawie ściągnął na siebie nienawiść bohatyrskich Flandryjczyków, oddalając się dał to przynajmniéj uczuć Ludwikowi de Rhetel. »Hrabio, odezwał się do niego, przybyłem na prośbę twoję, a może z przyczyny zaniedbania sprawiedliwości. Wiedz, że ta pomoc nie obeszła się bez kosztu i trudów moich, równie jak i rycerstwa mojego; oddaję ci wszakże dziedzinę uspokojoną bez żadnych wynagrodzeń, ale staraj się, abym tu nie wracał dla braku sprawiedliwości; bo w takim razie przybędę nie na twój, lecz na własny rachunek.»

Zaiste w téj chwili król Francyi był wielkim królem; przywiódł Flandryą do posłuszeństwa; król angielski Edward III z posiadłości francuzkich Gwienny i Ponthieu, rad nie rad wykonał mu przysięgę lenną; pałac jego zdobił dwór z królów złożony, królowie Nawarry, Majorki i Czech ciągle, król szkocki często bawił w Paryżu. Sławny Jan czeski z familii luxemburskiéj po całéj bujał Europie, zawsze jednak wracał do Paryża, utrzymując, iż w całym świecie przyjemniejszego i więcéj rycerskiego pobytu nie ma. Nieprzerwana była na dworze uroczystość, ciągłe turnieje, codzienne rycerskie gonitwy, urzeczywistnienie rycerskich romansów, czasów króla Artura i stołu okrągłego. Cóż to było za upokorzenie dla Edwarda takiemu królowi składać hołd lenniczy, którego mimo całą świetność ledwie za równego sobie raczył uważać, a przecież obrządek rycerski wymagał, aby się stawić przed tym królem znajdkiem, z gołą głową, bez szabli i ostróg, a do tego na klęczkach. Edward przybył w zupełnéj zbroi z koroną na głowie, i ledwie na nim wymódz można było, że zdjął ostrogi i odpasał szablę. Takowy obrzęd rozdrażnił umysły i lubo obadwa królowie wzajemną niechęć płaszczykiem uprzejméj pokrywali grzeczności, przecież obadwa zarówno widzieli blizkie zerwanie téj pozornéj przyjaźni. Sprawa hrabiego Artois przyśpieszyła wybuch.

Robert hrabia Artois popierał wybór Filipa walezyjskiego w nadziei większych względów aniżeli ich doznał od Filipa pięknego i synów jego; jakoż Filip zawdzięczając przysługę Roberta dał mu córkę za żonę, posiadłość jego Beaumont podniósł do godności hrabstwa, nadał mu tytuł para, w wojnie flandryjskiéj poruczył mu zaszczyt dowództwa przedniéj straży. Nie zaspakajało to wszakże Roberta; ciągle on miał na myśli hrabstwo Artois: przedstawił więc królowi nowe dowody na poparcie praw swoich, wraz z pięćdziesięcią świadkami na ich potwierdzenie, prosząc o wyznaczenie kommissyi do ich rozpoznania. Filip poruczył całą sprawę parlamentowi, który dowody uznał za sfałszowane, niejaką Divion, damę z dworu biskupa Arras, o fałszowanie tych dowodów przekonaną na stosie spalić, świad-

ków zaś pod pręgierzem w koszulach w języki czerwone malowanych wystawić rozkazał. Hrabia Robert nie czekał końca sprawy, cichaczem wymknął się z Paryża i schronił do Bruxelli; parlament bowiem zawyrokowawszy w sprawie sfałszowania dowodów pociągał go do odpowiedzialności o otrucie ciotki i jéj córki, dziedziczek hrabstwa Artois, o zamach na życie księcia burgundzkiego, kanclerza, podskarbiego i kilku innych nieprzyjaciół swoich, a to przez nasłanych morderców, wreszcie o czary na życie królowéj i jéj syna. W sprawach o truciznę i inne zamachy mógł się jeszcze wywinąć, lecz za czary stos był gotowy. Nie stawił się więc na wezwanie parlamentu, wyrokiem zaocznym skazany na utratę dóbr, uchodzić musiał do Londynu, mając sobie odmówiony przytułek w Brabancyi na żądanie Filipa.

Dostawszy się Robert do dworu Edwarda, namawiał go do popierania orężem prawa do korony francuzkiéj, zawichrzenia atoli szkockie wstrzymywały Edwarda. Filip aż nadto jawnie podżegał Szkotów i na wszelkie przedstawienia króla angielskiego obojętnym się okazywał. To znagliło Edwarda do zwołania baronów swoich do Nottingham w celu naradzenia się względem sprawy francuzkiéj. Filip przyjął to za jakąś pogróżkę wojenną i rozkazał Ludwikowi hrabi flandryjskiemu przytrzymać wszystkich Anglików znajdujących się we Francyi; Edward toż samo zrobił z Flandryjczykami w Anglii, a nadto zakazał wywozu wełny i wprowadzania sukna (*). To stało się dla Flandryjczyków hasłem wybuchu tłumionéj nienawiści przeciw Francyi i hrabiemu Ludwikowi, który, nie dość że naruszył ich przywileje, że im dziesięć tysięcy ludzi wymordował, ale do tego pozbawił ich niemal połowy handlu najkorzystniejszego. We wszystkich miastach rozległ się okrzyk buntu, a w skłonnéj do rozruchów krainie nie brakło przywódcy: teraz wystąpił niebezpieczniejszy

(*) Anglia podówczas opatrywała fabryki flandryjskie w potrzebną im wełnę, a w zamian brała sukna z fabryk téj prowincyi.

od wszystkich poprzednich. Był to wielki cechmistrz wszystkich rzemiosł w Gand, Jakób Artevelle, bogaty piwowar, przeszło dziesięć tysięcy robotników w swoich browarach zatrudniający. *Pan Jakób*, tak zwali Artwela Gandawianie, objąwszy naczelną władzę nad sprzymierzonemi miastami Flandryi, odbierał podatki należne hrabiemu i rozrządzał niemi według swojego uznania, stu łuczników towarzyszyło mu skoro się pokazał na ulicy, wszyscy mieszczanie mu się kłaniali jakby rzeczywistemu hrabiemu, łucznicy zaś na najmniejsze skinienie gotowi byli ubić każdego nieprzyjaciela wielkiego cechmistrza. »Wszystko się stało, i dobrze się stało, mówi Froissard spółczesny kronikarz, skoro chciał przywodzić całéj Flandryi z brzega w brzeg.«

Szlachta flamandzka nie mogąc się oprzéć przewadze gmin, ujściem z kraju przynajmniéj protestowała przeciw nienawistnéj władzy piwowara: wojna stała się nieuchronną, lecz skoro Edward wystąpił na plac, sprawa hrabiego i Flandryjczyków znikła w obec walki dwóch królów. Robert niecierpliwy zebrawszy nadwornych rycerzy króla Edwarda, przysięgą na sokoła zobowiązał ich do uderzenia na kraje Filipa bez najmniejszéj straty czasu. W skutek tego rycerze angielscy udali się do Valenciennes by się umówić z Niemcami. Edward ofiarował piętnaście florenckich dukatów za zbroję żelazną, i za tę cenę byłby miał niemal całe rycerstwo nadreńskie. Artevelle niby najwięcéj interessowany w téj wojnie, najdłużéj jednak ociągał się. Flamandczycy tak zuchwali dla swoich hrabiów drżeli na wspomnienie klątwy papiezkiéj, a papież awenioński był sługą Filipa. Legat Benedykta XII, zakazał Flandryjczykom wojny z królem francuzkim *ktokolwiek byłby nim* (*) pod karą dwóch milionów złotych. Szło im więc o płacę tak wysoką, a nadto bali się utraty mszy, brzęku dzwonów i wszystkich obrzędów kościelnych. *Pan Jakób* ratując się wybiegiem przedsta-

(*) Wyrazy cursive drukowane są dosłównem tłumaczeniem autentyku; téj formy oznaczenia wyrazów obcych trzymać się będziemy w ciągu całego dzieła.

wił Edwardowi wniosek, aby przyjął tytuł króla francuzkiego, tym bowiem sposobem zabezpieczeni od klątwy Flandryjczykowie mogliby go wspierać wszelkiemi siłami.

Przedstawienie tak dziwaczne, w poufnéj rozmowie czynione, zdumiało Edwarda. Zanadto sprzeczne to było z wyobrażeniami rycerskiemi przyjmować koronę nie zdobywszy kraju; gdy się więc namyślał, Walter de Mauny, jeden z najwaleczniejszych rycerzy Edwarda rozpoczął wojnę napadłszy na wyspę Cadsand, na któréj osada hrabiego Ludwika tamowała związki między Anglią i Flandryą. W roku następnym (1338) Edward wylądował w Antwerpii dla porozumienia się z Ludwikiem bawarskim, głównym króla Filipa nieprzyjacielem. Cesarz na zgromadzeniu w Coblenc ogłosił Filipa VI za odpadłego od tronu, Edwarda zaś mianował wikaryuszem państwa na lat sześć w prowincyach lewego Renu. W połowie lata 1339 rycerstwo belgijskie i nadreńskie ruszyło w pole; Walter de Mauny przysiągł damom, iż naj-

pierwszy wkroczy do Francyi i dla tego, wziąwszy z sobą czterdziestu zbrojnych jeźdźców, ruszył naprzód i ubiegł zamek Thun-l'Evêque: tymczasem Robert d'Artois wprowadził wojsko do Pikardyi, gdzie codziennie dwanaście do czternastu mil kraju ze szczętem pustoszono. Dał się wreszcie skłonić Filip do postąpienia naprzód, przeszedł Sommę i rozbił obóz pod Vironfosse o milę od Capelle gdzie stały wojska Edwarda. Armia francuzka liczyła sto tysięcy ludzi, król angielski zaledwie mógł stawić naprzeciw niéj czterdzieści cztery tysiące, a przecież żądał bitwy i otrzymał przyrzeczenie na dzień 22 października. Tymczasem był to piątek, dzień nieszczęśliwy, a do tego Robert neapolitański, krewny Filipa, dzielny astrolog, ostrzegł go aby nie ufał gwiaździe Edwarda w szyku bojowym; gdy więc król angielski wystąpił do walki, Filip ani ruszył się z miejsca i tak dzień naznaczony minął spokojnie. Nazajutrz rano Edward zwinął obóz i opuścił Francyą. W Bruxelli powitał go Arteville otoczony konsulami (*) wielkich miast Flandryi: tu Edward skłonił się wreszcie do przedstawienia Artevella, przyjął tytuł króla Francyi i na tarczy herbowéj odkreślił osóbne pole dla pomieszczenia lilij obok paszczy lampartów. Flandryjczykowie mając tym sposobem króla Francyi dla siebie, wykonali mu natychmiast lenną przysięgę.

Na wieść tak niespodzianą zatrząsł się cały Louvre, zawrzał gniewem Filip i natychmiast pchnął gońców do Awenionu. Na nic się nie przydał wybieg Artevella, klątew padła na kraj, tak surowa, iż żaden kapłan nie poważył się odbywać nabożeństwa. Dla zaspokojenia dobrych miast Edward zapewnił, iż przywiedzie z sobą księży, którzy im będą odprawiać mszę św. Na wiosnę następnego roku (1340) Jan książę normandzki, najstarszy syn Filipa, rozpoczął nową wyprawę pustosząc kraj flan-

(*) W miastach wolnych, a przez naśladownictwo i we wszystkich wielkich miastach belgijskich i niemieckich burmistrzów nazywano po łacinie konsulami.

dryjski, podobnie jak roku zeszłego Anglicy niszczyli Francyą, następnie obległ zamek Thun-l'Evêque. Przybiegli Flandryjczykowie na odsiecz oblężonym, posunął się téz i Filip, znowu obadwa wojska gotowe były do boju i znowu na niczém się skończyło; Flandryjczykowie nie ważyli się walczyć w nieobecności Edwarda, naczelnego wodza w téj wojnie.

Kiedy tak rycerstwo na lądzie opieszale działało, wojna morska toczyła się z większą daleko sprężystością. Marynarka francuzka nabrała wielkiego znaczenia, uczuły jéj potęgę miasta portowe Anglii, Plymouth, Douvres, Southampton, Rye i Sandwick: największy okręt angielski Ś. Krzysztof wpadł w ręce marynarki francuzkiéj. W tym momencie gdy Edward siadał na okręt przy ujściu Tamizy, flotta francuzka zajęła stanowisko w przystani niedaleko miasta Sluys w zamiarze przeszkodzenia lądowaniu do Flandryi; liczyła ona wtedy sto czterdzieści wielkich statków pod wodzą dwóch admirałów i słynnego generała Barbavara, doświadczonego kondotiera na morzu (*), który z czterdziestą własnemi galerami przyjął służbę u Filipa. Król

angielski zoczywszy las masztów skierował swoje okręty wprost do Sluys i natychmiast uderzył na stłoczoną flottę francuzką

(*) W ciągu wojen miast włoskich potworzyły się zbrojne bandy, których rzemiosłem była wojna, naczelnicy tych band nazywali się *condo-*

(23 grudnia 1340). Jeszcze podówczas na starożytnych podaniach oparci marynarze bitwie morskiéj postać walki lądowéj nadawali: na łańcuchach umocowane haki zarzucali na burty nieprzyjacielskich okrętów, przyciągali je do siebie i dostawszy się na pokład walczyli jak na lądzie. O szóstéj rano rozpoczął bój Edward odzyskaniem okrętu Krzysztofa, o trzeciéj dokonał zupełnego zniszczenia flotty francuzkiéj. Przeszło trzydzieści tysięcy Francuzów zginęło w téj walce, gdyż i ci co się szczęśliwie na ląd wydobyli od rozjątrzonych Flamandczyków nielitościwie wymordowani zostali. Barbavara przezorny jurgieltnik zręcznie się wycofał z téj bitwy ocaliwszy swoje okręty.

Po zwycięztwie tak stanowczém Edward z tryumfem przyjęty od Flamandczyków obległ Tournai w sto dwadzieścia tysięcy wojska, lecz kwiat rycerstwa francuzkiego zamknięty w twierdzy silną artylleryą (**) opatrzonéj, dzielny dawał odpór oblegającym. Robert, dla którego wojna zbyt ospale toczyła się, podstąpił pod Saint-Omer wsparty posiłkami Artevella: zamierzał on to miasto obrać za podstawę działań przeciw hrabstwu Artois; z hańbą jednak wrócić musiał. Zwolna poruszał się Filip z liczniejszém jeszcze wojskiem aniżeli hufce Edwarda, rozbił obóz między Lille i Douai aby miéć na oku poruszenia nieprzyjacielskie. Edward dręczony tytułem, którego najmniejszą zdobyczą usprawiedliwić nie mógł, wyzwał Filipa do walki pojedynczéj. Rycerze francuzcy nudami obozowemi dręczeni głośno domagali się bitwy, król zaś unikał jéj wszelkiemi siłami, strwożony zapewne astrologiczną przepowiednią. W takim

---

tiere. Takowi kondotierowie przyjmowali służbę i walczyli w sprawie tego, który im najwięcéj zapłacił.

(*) Wyraz artyllerya pierwszy raz tu jest użyty w znaczeniu właściwém. Kronikarze z téj epoki używają tego wyrazu przy wstępie panowania Walezyusza, niekiedy nawet i o wcześniejszych daleko mówiąc wojnach, artylleryą wspominają: lecz wtedy rozumieją pod tym wyrazem starożytne machyny wojenne, tarany, balisty, katapulty. O użyciu właściwych dział pierwsza jest wzmianka pod rokiem 1340.

stanie rzeczy nie trudno było Joannie, siostrze Filipa Walezyusza, a teściowéj Edwarda przywieźć do skutku rozejm roczny, który następnie przedłużono do 1342 roku.

W ciągu tych kilku lat panowania swojego Filip Walezy potrafił wszystkich ku sobie zniechęcić. Panowie nie mogli mu darować haniebnego processu Roberta Artois; mieszczanie oburzeni byli przez narzucenie taxy na towary i zabałamucenie monet; papieża obrażały ciągłe pogróżki; narody chrześciańskie ze wstrętem powzięły wiadomość o życzeniu króla wybierania dziesięcin na wojnę krzyżową.

W sprawie Roberta król zdawał się niewinnym: fałszerstwo było zbyt jawne a w téj epoce, równie jak czary, tak pospolite, iż nie powinno, zdaje się, nikogo uderzać; ztémwszystkiém tak możny, tak znakomitego rodu pan, tak haniebnie i tak publicznie poplątany, ściągnął plamę na całe możnowładztwo. Brak przeto względności ze strony króla zraził umysły panów ku niemu. Słuszniejszy jednak powód nieukontentowania miały gminy miejskie. Król rozkazał przełożonym obwodów oznaczać ceny towarów na targach w ten sposób, aby odpowiadały połowie wartości. Z jednéj więc strony król chciał wszystko płacić na pół, a z drugiéj strony podatki dwoił i dobrą jedynie monetę przyjmować dozwalał. Najprzykrzejsze atoli było położenie papieża w Awenionie, była to jego istotna babilońska niewola. Król Filip układał się z cesarzem niemieckim a papieża znaglał do kłótni z tymże cesarzem. Benedykt XII ze łzami wyznał posłom cesarskim, że Walezy zagroził mu gorszém jeszcze obejściem się niż go doznał Bonifacy VIII, skoroby się poważył zdjąć klątew z cesarza. Tenże papież zaledwie zdołał obronić się przed natarczywością króla, z jaką domagał się: naprzód: wolności szafowania przez trzy lata wszystkiemi beneficyami we Francyi do rozrządzenia papiezkiego należącemi; powtóre: przywileju wybierania dziesięcin przez lat dziesięć ze wszystkich krajów katolickich, a to pod pozorem krucyaty. Te dwa prawa wznosząc niesłychanie potęgę króla, byłyby w tym samym stosunku poniżyły godność stolicy apostolskiéj.

Rozejm trwał wprawdzie między królem Anglii i Francyi lecz wojna nie ustawała: powstanie szkockie podżegane przez Filipa zajmowało Edwarda; i przeciwnie, zaledwie gasł ogień we Flandryi gdy straszniejszy pożar wybuchał w Bretannii, rozżarzał go zaś Edward na przekorę Filipowi. Flandrya, na któréj całe nadzieje oparł Edward, okazała się niczém w ręku jego. Flandryjczykom szło jedynie o to, aby nic nie płacić; panowie zaś belgijscy żądali jeszcze do tego aby im płacono; jakoż brali pieniądze od obudwóch stron, i nie ruszali się z miejsca. Inna wcale rzecz była z Bretanią. Trudno powiedzieć aby mieszkańcy jéj byli kiedykolwiek spokojni w wiekach średnich; jeżeli nie mieli wojny u siebie, to zapewne najmowali się do boju gdzie indziéj. Za Filipa pięknego i aż do bitwy pod Cassel chętnie szli za obozem królów francuzkich, bo się żywili w bogatéj Flandryi i piękne ztamtąd wynosili łupy; lecz skoro Edward stanął na drodze, Bretonowie wrócili do domów i u siebie wojnę rozpoczęli.

Jan III książę bretański umarł bezpotomnie, pozostał po nim brat młodszy i synowica, córka brata starszego, małżonka Karola hrabiego Blois, księcia rodziny królewskiéj. Król i szlachta Bretanii francuzkiéj sprzyjali synowicy, brat młodszy, Montfort, miał po sobie Bretańczyków właściwych i pomoc Anglii. Edward we Francyi popierał prawa kobiet, w Bretanii zaś stawał w obronie prawa salickiego. Król francuzki w tym samym duchu działał, lecz w sensie odwrotnym: na zasadzie salickiego prawa otrzymał berło Francyi, wspierał zaś Karola przeciw prawu salickiemu.

Montfort zaraz na wstępie walki o spadek braterski zamknął się nierozważnie w Nantes, mieście więcéj francuzkim jak bretańskim; Karol pobożny, ale obok tego srogi, wojnę o następstwo za bunt zwyczajny uważał i sądził, iż ma prawo karać przeciwników swoich; przystąpiwszy więc do oblężenia Nantes wrzucił naprzód do twierdzy trzydzieści głów rycerzy bretańskich poprzednio do niewoli zabranych. To skłoniło Nantańczyków do układu, wydali Montforta, który wbrew warunkom

umowy w turmie Louvru osadzony został. Na tém wszakże nie skończyła się wojna, małżonka hrabiego, Joanna Montfort, odwagę męzką a serce lwie mająca, jak mówi Froissard, w Rennes podówczas znajdowała się. Za odebraną wiadomością o niewoli swojego męża, wzięła na ręce małego synka swojego, i wszedłszy na zgromadzenie panów bretońskich poruczyła go ich opiece, jako przyszłego mściciela ojca. Przybył jéj na pomoc Edward angielski, zdawało się, iż ważne nastąpią wypadki, zwłaszcza że i Filip postępował z liczném wojskiem; skończyło się jednak na niczém. Obadwa królowie nowy rozejm zawarli, zostawując na placu boju Bretonów, z orężem w ręku sprawę swoję rozstrzygać mających.

Zawarty w Bretanii rozejm miał trwać do roku 1346, lecz Filip przyśpieszył jego zerwanie. Nieprawném więzieniem Montforta podźwignął on silnie stronnictwo jego, a straceniem piętnastu panów bretońskich rozżarzył zaciętą wojnę. Mówią że hrabia Salisbury obrażony na Edwarda za zbałamucenie pięknéj jego żony, zawiadomił Filipa o tajnych zmowach panów bretońskich z królem Edwardem. Zaproszeni Bretonowie na turnieje przybyli do Paryża, i tu z obrazą praw rycerskich pochwyceni, bez sądu żadnego szubienicą ukarani zostali. Nie długo potém z téj saméj przyczyny skazał na śmierć trzech panów normandzkich, dybał szczególniéj na hrabiego d'Harcourt, ale ten szczęśliwie uszedł do Anglii, jedynego podówczas schronienia wszystkich nieukontentowanych, i nie mniéj był korzystnym dla Edwarda jak zmarły niedawno Robert d'Artois.

Przybycie do Londynu hrabiego d'Harcourt ważnym było dla Edwarda wypadkiem. Utracił on w tym czasie dzielne podpory swoich zamachów. Robert d'Artois umarł z ran odebranych w wojnie bretońskiéj, Montfort zamknięty był w wieży Louvru, Artevelle poległ od zbuntowanego ludu. Wojna rozpoczęła się w Gwiennie (1345). Hrabia Derby odzyskał wszystko cokolwiek w tych stronach utracili Anglicy w czasie wojny flandryjskiéj; nieszczęśliwe atoli wypadki na północnéj granicy

Francyi zaćmiły tę pomyślność oręża angielskiego. Artevelle mimo całą przebiegłość nie zdołał utrzymać władzy nad ludem tak chciwym niepodległości. Flamandcy pozbywszy się hrabiego oręż własny sami przeciw sobie obrócili. Gminy wiejskie powstały przeciw samowolności miast wielkich; w miastach wielkich wadziły się różne między sobą rzemiosła. W Gand robotnicy użyci w foluszach domagali się podwyższenia płacy, ztąd przyszło do krwawéj i zaciętéj walki między nimi a tkaczami, w skutek któréj tysiąc pięćset foluszników legło na placu. Dzień ten nazwano złym poniedziałkiem. Syndyk tkaczów, zwycięzca, zaczął podkopywać wziętość piwowara. Hrabia Ludwik ze swojéj strony nurtował także, burząc miasteczka przeciw samowolności miast wielkich. Artevelle mniemał, że odwróci burzę skoro Flandryą odda w ręce angielskie, bo o francuzkich myśléć nawet nie można było. W tym celu zwołał wszystkich syndyków do Sluys, przybył tam i Edward, lecz gdy posłannicy miast ujrzeli zamiar oddania kraju w ręce księcia Wallii, syna króla Edwarda, wszyscy oświadczyli, iż bez przyzwolenia gmin tak ważnego kroku czynić nie mogą.

Artevelle za powrotem do Gand ujrzał się zgubionym: lud, który go niegdyś z uprzejmością witał, teraz tyłem się do niego obracał. W czasie przejazdu dochodziły uszu jego różne wyrzuty, skoro więc przybył do domu swojego, kazał drzwi zaryglować. Wkrótce atoli zebrany tłum dobijać się począł wśród niesfornych okrzyków. Artevelle przystąpił do okna, płaczem i łagodnemi słowy chciał ująć lud wzburzony, próżne usiłowania! Zgiełk coraz bardziéj się wzmagał, lud dopominał się rachunku z summ, które jak głoszono do Anglii miały być przewiezione. Wreszcie wyważono drzwi i Artevelle padł pod ciosem rozjątrzonego ludu.

Tym sposobem Edward utracił Flandryą i Bretanią, wojna na dwóch skrzydłach rozpoczęta nie powiodła się, wymierzył więc natarcie na sam środek, które daleko zgubniejsze było dla Francyi, zwłaszcza że niém kierował Normandczyk Gottfried d'Harcourt. W lipcu 1346 roku król angielski wsiadł na

okręt w Southampton wraz z synem swoim księciem Wallii, wiodąc liczne hufce łuczników angielskich i piechoty wallijskiéj i irlandzkiéj. Zamiarem króla było nieść pomoc wodzowi swojemu Derby, któremu zagroził najstarszy syn królewski, Jan książę Normandyi, w sto tysięcy wojska na wyparcie Anglików posłany. Tak utrzymuje kronikarz spółczesny dodając, że nawałnica morska całą flottę angielską rzuciła napowrót na brzegi Kornwalli, a tu hrabia d'Harcourt potrafił skłonić króla Edwarda do skierowania sił swoich do Normandyi, »kraju najobfitszego w świecie, oddawna odwykłego od broni.« Rada była wyborna. Prowincya ogołocona z wszelkiéj obrony, lud spokojny, rzemiosłami i uprawą roli zajęty do najmniejszego oporu nie był zdolny; a zbrojne rycerstwo o kilkadziesiąt mil oddalone trwoniło siły swoje w Akwitanii przy szturmie nędznego zamczyska Aiguillon.

Flotta angielska rzuciła kotwicę przy cyplu Hogue, nie daleko posiadłości hrabiego d'Harcourt. Edward podzielił wojsko na trzy kolumny rabując i paląc kraj cały. Porty Harfleur, Valogne, Carentan, Saint-Lô, Cherburg zdobyte i złupione jedne po drugich. Hrabiowie Eu i Tancarville chcieli bronić Caen, mieszkańcy ośmieleni wyszli na spotkanie najezdników, lecz za pierwszém natarciem zmieszani, w popłochu, bez ładu pierzchali, a zwycięzcy wisząc im nad karkiem wraz z niemi wdarli się do miasta. Ztąd trzymając się lewego brzegu Sekwany postąpił Fdward do Poissy i tam zajął stanowisko, a tymczasem drobne hufce jego snuły się po wszystkich stronach plądrując zamki i pałace królewskie, jakich nie mało było w okolicy Paryża z téj strony. Saint-Germain, Nanterre, Ruel, Boulogne, Saint-Cloud, Bourg-la-Reine, Neuilly, Chantilly, ze szczętem złupione zostały. Od czasów sławnego alleluja, które cesarz Otton na wzgórzach Montmartre zaśpiewać rozkazał, Paryżanie nie widzieli tak blizko nieprzyjacielskiego obozu; widok palących się do koła wiosek więcéj oburzenia niż trwogi w nich budził. Filip niespodzianie napadnięty nie mógł z początku żadnego stawić oporu, zaraz jednak udał się do opactwa św.

Dyonizego: tam zaczęły się zbierać wojska gmin, a pozostali w zamkach swoich rycerze spieszyli do oryflammy. Ściągali się także niemieccy sprzymierzeńcy: książę Lotaryngii, hrabiowie Salm i Namur, Jan król czeski i syn jego Karol IV świeżo cesarzem przez papieża oznaczony. Wnet obóz Ś. Dyonizego liczniejszym był od obozu w Poissy.

Król Edward ujrzał całe niebezpieczeństwo swojego położenia: zapędzony w głąb wielkiego królestwa, pośród miast spalonych, włości zrabowanych, ludu zemstą pałającego, oddalony od flotty, od posiadłości południowych, naprzeciw potężnego wojska, które się codziennie wzmagało, mógł ciężko odpokutować za rabunek swojego ludu. Dla wyratowania się z tak krytycznego stanowiska umyślił czémprędzéj przerznąć się przez Pikardyą, przebyć Ponthieu, dziedzictwo swojéj matki, i zbliżyć się do Flandryi. Zaledwie jednak przeszedł Sekwanę przez rzucony naprędce most, gdy mu zaszła drogę milicya z Amiens do obozu Ś. Dyonizego zdążająca. Usunął wprawdzie tę zawadę, lecz nie bez krwawego i upornego boju; ale za to Filip w też tropy zdążał za nim i nacisnął go nad brzegiem Sommy, na któréj wszystkie mosty pozrywać kazał. Stroskany Edward łamał głowę nad sposobami przeprawy, gdy mu przywiedziono jeńca, masztalerza z miasteczka Saint-Valery, który, ujęty chciwością przyrzeczonych przez króla dukatów, wskazał Anglikom brod pod Blanche Taque, kędy w czasie odpływu morza przebyć można było rzekę kolumną dwunastu ludzi od czoła, po »twardym gruncie białego marglu.« Bronił wprawdzie przeprawy oddział wojska francuzkiego dwanaście tysięcy wynoszący, lecz go łucznicy angielscy odparli. Przyśpieszonym pochodem znużone wojsko nie mogło dosięgnąć flandryjskiéj granicy, Edward przeto ujrzał się zmuszonym zwrócić czoło i zająć stanowisko wśród lasu Crecy, o pięć mil od Abbeville. Przez całą noc sypano okopy do koła obozu, w którym stanęły królewskie tabory. Nazajutrz (dnia 26 sierpnia 1346) na pochyłości pagórka ustawił król wojsko swoje w trzy linie, w pierwszéj stanął syn królewski, a przed nim łucznicy rozproszeni *w formie brony*.

Francuzi o pięć mil drogi oddaleni byli od obozu angielskiego, z takim zaś postępowali zapałem, iż ich nie wstrzymał ulewny deszcz w tym dniu. Anglicy tymczasem najadłszy się do sytu siedzieli na ziemi, łuki przed deszczem schroniwszy do sajdaków. Siedmdziesiąt tysięcy wojska Filipa postępowało chorągiew za chorągwią, jak się komu zdarzyło. Radzono królowi, aby kazał spocząć wojsku, lecz możni panowie ujęci punktem honoru feodalnego biegli na wyścigi jeden przed drugim, któremu się uda stanąć w pierwszym szyku bojowym. Król też zbliżywszy się skoro ujrzał Anglików: »krew w nim zawrzała, bo ich nienawidził... rzekł więc do swoich marszałków: »niech idą naprzód nasi Genueńczycy, rozpoczynajcie bitwę w imię Boga i Ś. Dyonizego.» Wystąpili naprzód Genueńczycy, ale szemrali: cięciwy bowiem ich łuków od deszczu zwolniały, tak dalece, że pociski z nich rzucone o kilka kroków przed nimi padały, gdy przeciwnie strzały angielskich łuczników jak grad leciały. »Trzeba się pozbyć tych łotrów, odezwał się hrabia d'Alençon, brat królewski, żadnéj z nich nie ma korzyści w razie potrzeby.» Naszpilkowani strzałami Genueńczycy zaczęli się tłoczyć pod zasłonę rycerstwa. Król gniewem uniesiony zawołał: »Nuże daléj na tych rabusiów, którzy drogę zatłaczają bez potrzeby.» Nierozważne wyrazy stały się hasłem najokropniejszego zamieszania. Łucznicy i rycerze rozpoczęli walkę między sobą, ci dzidą godzili, a tamci długimi kordelasami konie płatali, Anglicy zaś z zimną krwią rzucali strzały w te zmieszane tłumy. Rozstawione działa w szykach angielskich roznosiły śmierć i trwogę w liniach francuzkich, zdawało się, że sam Bóg gromy rzuca, mówi Villani, tak okropny był trzask i drżenie.

Król czeski stary i niewidomy trzymał się na koniu między swoimi giermkami; gdy mu powiedziano co się dzieje, uznał że bitwa przegrana. Waleczny ten książę przepędziwszy życie przy familii królewskiéj, mając dobra we Francyi, jako wazal i jako rycerz prawy dał przykład z siebie. Rzekł do swoich: »Proszę was i zaklinam prowadźcie mnie na przód abym raz

przynajmniéj mógł szablą ugodzić.» Usłuchali go giermkowie, związali swoje konie z jego koniem i tak razem rzucili się na oślep w pierwszą linią bojową. Nazajutrz znaleziono ich leżących obok trupa swojego pana, i jeszcze byli związani. Najznakomitsi panowie francuzcy, hrabia d'Alençon, hrabiowie Blois, Aumale, Auxerre, Sancerre, Saint-Pol, przepysznie uzbrojeni i herbami zdobni przerznęli się pomiędzy łucznikami angielskiemi i dosięgli szczupłego hufca rycerstwa, któremu przywodził trzynastoletni książę Wallii. Hrabia Warwick lękając się o młodego księcia pośpieszył do króla Edwarda, który

z wiatrakowego pagórka śledził postęp bitwy. »Syn mój poległ, czy ranny? zapytał się król szybko hrabiego. — Nie, Najja-

śniejszy Panie, ale potrzebuje posiłków. — Oh, wybornie! niech się chłopiec dobija ostróg; pragnę, aby przy pomocy bozkiéj dzień ten do niego należał.» Te wyrazy pokrzepiły męztwo rycerzy angielskich, złamali szeregi nacierających przy pomocy łuczników swoich i rybaldów (*) wallijskich i irlandzkich, którzy bez litości mordowali kto się im tylko nawinął. Rycerze wówczas przywdziewali nadzwyczaj ciężkie zbroje żelazne i to było ich nieszczęściem w tym dniu, skoro bowiem który spadł z konia, już się sam podźwignąć nie mógł. Gdy wieczór nadszedł, rozpoczęła się rzeź okropna, rycerstwo francuzkie rozproszone na polu bitwy padało pod morderczym łuczników angielskich kordelasem.

Nazajutrz Anglicy przeglądając pole bitwy i licząc poległych, znaleźli trupów jedenastu książąt, ośmiudziesiąt panów herbowych, tysiąca dwóch set rycerzy i około trzydziestu tysięcy wojska. Anglicy widocznie odurzeni byli tak łatwém, a zarazem tak stanowczém zwycięztwem, gdyby nie to, zapewne Filip byłby także na czele téj fatalnéj listy. Już pod nim jednego ubito konia: pod wieczór już tylko pięciu baronów i około sześdziesiąt rycerstwa miał przy boku swoim, a jeszcze nie mógł się oderwać z placu bitwy. Wtedy Jan de Hainaut uchwyciwszy za cugle konia i zwracając go rzekł: «Najjaśniejszy Panie, oddal się, już czas: i niemal gwałtem uprowadził króla.» Mały ten hufiec przybył do zamku Broye, lecz zastał most zwiedziony, gdyż noc była mglista i ciemna. «Otwórz, otwórz, zawołał Filip udręczony, otwórz kasztelanie, ja to jestem nieszczęśliwy król Francyi.»

Ta straszna klęska była wstępem do straszniejszéj daleko: Anglicy usadowili się we Francyi. Edward nie bawiąc się ra-

---

(*) Rybaldami oddawna zwano najemników wojennych, którzy za umówiony żołd każdemu służyć byli gotowi. Przez długi czas szanowani byli we Francyi, straż nawet przyboczną królewską stanowili: w téj atoli epoce już stracili swoję wziętość, i nazwisko rybalda (ribauds) stało się nazwiskiem obelżywém.

bunkiem postępował daléj, zajęty jedynie wynalezieniem stałego punktu oparcia się w dalszych napadach na Francyą. Calais zwróciło jego uwagę. Wyborne stanowisko, siedm mil od brzegów Anglii odległe, dla mnóstwa korsarzy kupcom angielskim obmierzłe. Dla tego to miasta nadmorskie dla poskromienia kaletanów ofiarowały królowi flottę: Douvres, Bristol, Winchelsea, Shoncham, Sandwick, Weymouth, Plymouth, oddały do rozporządzenia królewskiego każde po dwadzieścia do trzydziestu okrętów; Yarmouth samo dostarczyło ich czterdzieści trzy. Niektóre miasta z głębi kraju przyłożyły się także, lecz w stosunku nadzwyczaj małym: bogaty York dał jeden tylko okręt i dziewięciu ludzi. Zgubna to była wojna dla kupców angielskich, dla tego ostatni składali grosz, by owładnąć przeprawę kanału.

Calais silnie było obwarowane, miało dzielną osadę: Edward lękał się zawodu przypuszczonego szturmu przez swoich rybaldów, a po tylu ofiarach przez miasta złożonych, jakżeby śmiał stanąć w Anglii chybiwszy celu wyprawy. Dla tego postanowił głodem znękać miasto. »W niewielkiéj odległości od miasta Calais odnoga rzeki Haule zwraca się ku zachodowi, między łożyskiem téj odnogi, morzem i miastem jest przestrzeń dość rozległa. Na tém miejscu Edward kazał wybudować nowe miasto z drzewa, domy pokryte słomą i janowcem. Ulice tego miasta przytykały do wielkiego rynku, na którym co środa i sobota odbywały się targi. Były tam sklepy, targowiska, domy zajezdne jak w wielkich miastach: z Anglii i Francyi kupcy zwozili tam różne towary na handel. Nowe to miasto król nazwał: *Ville-neuve-la-hardie* (Nowe miasto śmiałe), i usadowił się w niém, jakby dziesięć, lub dwanaście lat miał mieszkać.«

Fortuna rozkochała się w Edwardzie, ze wszech stron obsypywała go względami; mógł śmiało zasypiać na laurach które mu zbierała. Jeszcze przed bitwą pod Crecy Francuzi odstąpili od oblężenia Aiguillon spiesząc ku Paryżowi; hrabia Derby postąpił za niemi, wziął szturmem Poitiers, rozniósł postrach w całéj krainie aż do brzegów Ligiery i w Bordeaux zajął

zimowe leże. Z drugiéj strony król szkocki, Dawid Bruce, za podszeptem i w interesie Filipa działając, wkroczył do Anglii, by Edwarda wywabić z nowego miasta; lecz królowa Filipina zniosła wojsko szkockie pod Newcastle (17 października) i samego króla wzięła do niewoli. Wojsko angielskie pozostawione w Bretanii pojmało pod Roche-de-Rien pretenda francuzkiego Karola de Blois. Flamandczykowie zaraz po bitwie pod Crecy oblegli Bethune. Mimo ustawne bunty sprzyjali oni jednak familii swoich hrabiów i dla tego po śmierci Ludwika de Rethel ofiarowali rządy synowi jego. Młody Ludwik de Mâle, ranny przy boku ojca pod Crecy, postanowił bąć co bąć trzymać się polityki jego. Nie chciał on żadną miarą przystać na warunek podany mu przez Flamandczyków zaślubienia córki Edwarda; że zaś połączenie takowe zgodne było z widokami handlowemi hrabstwa, Flamandczycy więc gwałtem prawie do skutku przywiedli zaręczyny. Na kilka dni wszakże przed ślubem młody hrabia, pod pozorem polowania z sokołem, wyjechał z Gand i nie oparł się aż w Artois. Na dworze Filipa brzmiały śpiewki o Izabelli opuszczonéj, a Edward trzymał w ręku Flandryą, Ludwika zaś hrabstwo na polowaniu wraz z sokołem uleciało (1347).

Dla króla francuzkiego nic gwałtowniejszego, nic naglejszego nie było, jak biedz na pomoc Kaletanom: lecz niedostatek był tak wielki, monarchia pół feodalna, tak niedołężna i zawikłana że ledwie po dziesięciu miesiącach oblężenia mógł się wyruszyć, kiedy już Anglicy byli dobrze obwarowani, silnemi palisadami i głębokiemi przekopami zabezpieczeni. Zebrawszy pieniądze ze zniżenia wartości monet, z monopolium soli, z dziesięcin kościelnych, z konfiskaty majątków lombardzkich, ruszył wreszcie na czele potężnego wojska, równego temu, które pobite zostało pod Crecy. Dwie drogi prowadziły do Calais. jedna środkiem bagien prawie niedostępna, druga po nadbrzeżnych wydmach piasczystych, pod ogniem angielskich okrętów. Od strony Gravelines najdogodniejszy przystęp zajmowali Flamandczycy. Król, by otworzyć sobie wstęp do miasta

z téj strony, odstępował Flamandczykom Lille, Bethune, Douai, złote góry obiecywał, wszystko napróżno: tak silna była nienawiść. Wreszcie wyzywał do walki Edwarda, lecz i ten z miejsca się nie ruszył.

Kaletańczycy w ciągu tak długiego oblężenia spożyli wszelkie zapasy, już nawet koni i zwierząt domowych nie starczyło. Poświęcenie się dwóch marynarzy z Abbeville, Maranta i Mestriela, którym się udało przerznąć przez flottę angielską z żywnością dla oblężonych, było niedostateczne. W takim stanie Filip pokusił się o wyswobodzenie miasta i podstąpił z wojskiem przez Hesdin: armia jego, według świadectwa spółczesnych, zajmowała przestrzeń trzech mil: ujrzawszy jednak Anglików obwarowanych w nowém mieście, nie odważył się doświadczać losu z pod Crecy i wrócił nie tknąwszy oręża. Kaletanie straciwszy z oczu chorągwie Filipa już nie mieli na czém pokładać nadziei, trzeba było pójść w ręce nieprzyjacielskie, byleby ich przyjąć chciano; lecz Anglicy nie cierpieli ich jako marynarzy, a jeszcze bardziéj rozjątrzało ich wspomnienie korsarstwa mieszkańców. Zdaje się, że i król Edward za swoje nudy całorocznego oblężenia, za wyrzucenie ogromnéj na owe czasy summy dziesięciu milionów franków, radby był wszystkich Kaletanów w pień wyciąć, na coby się niezawodnie zgodzili kupcy angielscy: lecz rycerze jego oświadczyli bez ogródki, iż skoro tym sposobem obejdzie się z Kaletanami żaden z nich nie będzie bronił twierdzy z obawy odwetu. Ustąpił więc Edward i okazał się gotowym przyjąć zdanie się miasta na łaskę, byleby kilku z najznakomitszych mieszkańców podało mu klucze boso, z gołemi głowami i z powrozem na szyi.

Wielkie groziło niebezpieczeństwo tym, którzy pierwsi staną przed obliczem króla; lecz ludzie nadbrzeża morskiego narażający się codziennie na wściekłość rozhukanego oceanu nie ulękli się człowieka. Wnet znalazło się sześciu gotowych na ofiarę dla ocalenia reszty, między nimi najpierwszy Eustachy de Saint-Pierre. Na widok posłańców zgrzytnął zębami Edward i kazał przywołać oprawcę; szczęściem królowa tylko co przy-

była po bitwie pod Newcastle: ta rzuciła się do nóg mężowi i wyjednała przebaczenie szlachetnym posłannikom. Nad innemi jednak mieszkańcami zemścił się król, wypędził ich z miasta, a opustoszałe domy Anglikami obsadził. Tak więc Calais zostawszy angielskiém było przez dwa wieki bramą Francyi dla cudzoziemców otwartą. Anglia połączyła się niejako ze stałym lądem, zniknęła ciaśnina.

Bitwa pod Crecy objawiła tajemnicę, któréj się nikt dotąd nie domyślał, niedołęztwo wojenne tego świata feodalnego, który się dotąd wyłącznie ludem żołnierskim być sądził. Cząstkowe wojny baronów z baronami, małych prowincyj, w pierwiastkowém rozdrobnieniu wieków średnich, nie były zdolne przekonać świat o téj prawdzie; szlachtę podówczas szlachta tylko zwyciężała. Dwa wieki ciągłych klęsk w czasie krucyat nie zmniejszyły ich wziętości, całe bowiem chrześciaństwo miało interes w tajeniu przed sobą tryumfów muzułmańskich. Nadto wojny te zbyt były odległe aby się nie miały znaleźć pozory uniewinniające klęski; waleczność Gottfrieda, męztwo Ryszarda rzucało blask na resztę. W trzynastym wieku gdy feodalne proporce przywykły do orszaku królewskiego, gdy tyle dworów pańskich stopiło się w jeden, świetniejszy nad wszelkie pomysły romansów, wtedy szlachta zmalała w potędze, wzrosła w dumie; poniżeni sami w sobie, zdali się zwiększać w królu. Oceniali się mniéj lub więcéj w miarę udziału w uroczystościach królewskich. Ten co najhuczniejsze na turniejach zyskał oklaski, uważany był, ba i sam się uważał za najwaleczniejszego na polu bitwy. Samochwalcze odgłosy, wejrzenie króla, rzut oka pięknéj damy, wyższą upajały rozkoszą jak istotne zwycięztwo. Upojenie tego doszło stopnia, że za Filipa pięknego nie mruknąwszy nawet odstąpili braci swoich Templaryuszów. W każdym razie wspierali króla przeciw papieżowi, bo dziesięciny wydarte duchowieństwu pod pozorem jakiéjkolwiek krucyaty w znacznéj części szły na korzyść szlachty.

Pod Courtray usprawiedliwiali klęskę bohatyrską nierozwagą, kanałem flamandzkim. Łatwa rzeź pod Mons-en-Puelle i pod

Cassel podźwignęła wziętość rycerstwa. Przez kilka lat skarżyli się na króla że im odbierał sposobność tryumfu. Pod Crecy była pora do tego: całe rycerstwo było zebrane, wszystkie proporce igrały z wiatrem; te dumne tarcze, lwy, orły, wieże, smoki, cały pyszny symbolizm herbowy. Naprzeciw, z wyjątkiem trzech lub czterech tysięcy rycerstwa, massa składała się z bosych piechurów gmin, nieokrzesanych górali wallijskich, lub irlandzkich pasterzy, ludu dzikiego, który nie umiał ani po francuzku, ani po angielsku, ani wiedział co jest rycerstwo; nie przeto jednak mniéj godził na proporce, nie mniéj ubił rycerzy. Goel lub Irlandczyk nie rozumiał barona ofiarującego mu skarby za ocalenie życia, kordelasem odpowiadał na prośby. Przepyszne feodalnych panów proporce w tym dniu splamione zostały; nie ujęła ich rękawica równych szlachetnością panów, lecz twarda dłoń prostego wojaka. Wtedy pierwszy raz wiara w rycerstwo znalazła swoich niedowiarków. Symbolizm herbowy stracił cały urok. Zaczęto powątpiéwać czy te lwy gryść potrafią, czy te jedwabne smoki istotnie ogniem zieją.

Klęska pod Crecy i zajęcie Kaletu położyło kres wojnie. Edward śpieszył się z powrotem do Anglii po dwuletniém z niéj oddaleniu, chętnie więc zezwolił na rozejm, który trwał do śmierci Filipa. W téj przerwie morowa zaraza znana pod nazwą zarazy florenckiéj »przeszło trzecią część ludności sprzątnęła,« mówi Froissard (1348). Rycerstwo pikardzkie pokusiło się o odzyskanie Calais, ze stratą jednak cofnąć się musiało. Za to Filip z workiem w ręku wetował na południu straty poniesione na północy. Sto dwadzieścia tysięcy talarów zapłacił za Montpellier, Delfinat zaś kupił za dwa kroć sto tysięcy florenckich dukatów. Między warunkami kupna téj ostatniéj dziedziny umieszczono zobowiązanie, aby odtąd (1349) najstarszy syn króla tytuł Delfina przybierał. W tym samym czasie Edward schlebiając miłości własnéj ludu wallijskiego, najstarszego syna swojego mianował księciem Wallii.

Kontynuator kroniki Wilhelma de Nangis namienia, że skoro ustała zaraza, ludzie na wyścigi się żenili, kobiety nadzwyczaj

były płodne, gdziekolwiek było rzucić okiem, wszędzie się napotkało kobietę brzemienną. Po dwoje, po troje dzieci na raz jeden rodziły. Uwagę tę zastosować można do wszystkich czasów po wielkich klęskach świata: niepohamowana żądza życia i potomstwa ogarnia wszystkich. Właśnie to dało się widzieć we Francyi po morowéj zarazie marsylskiéj, po czasach rewolucyjnego terroryzmu. Król owdowiały zamierzał ożenić syna z Blanką powinowatą swoją, lecz ujrzawszy młodą dziewicę, mówi Villani, osądził ją zbyt piękną dla syna i zatrzymał dla siebie. Miał wtedy lat pięćdziesiąt ośm, Blanka ośmnaście; syn pojął wdowę dwudziesto-cztero letnią, dziedziczkę Owernii i Boulogne. Wnuk królewski pojął za żonę córkę księcia Bourbon, hrabia flandryjski córkę księcia Brabantu. Same tylko były śluby i wesela na dworze królewskim.

Ciągłe niemal uroczystości wywołały dziwaczną okazałość mód, które od niejakiego czasu wcisnęły się do Francyi i Anglii. Dworzanie, może dla odróżnienia się od rycerzy prawnych (chevaliers-ès-lois), ludzi w długich sukniach, przybrali suknie obcisłe, często w dwóch częściach różnych kolorów. Włosy związane w warkocz, broda gęsta, potworne trzewiki, à la poulaine, śpiczaste z zadartym do góry końcem, nadawały postać osobliwszą, zakrawającą na szatana. Kobiety wtłaczały na głowę potężne kołpaki, z których szczytu spadały wiewające się różnokolorowe wstęgi, jak przy masztach okrętowych. Już nie chciały dosiadać paradnych koni, żądały ognistych rumaków. Nosiły po dwa kindżały za pasem. »Takowe mody, mówi jeden z kronikarzy, stały się przedmiotem pośmiewiska ludzi; stały się one, jak wypadki tego dowiodły, bardzo dogodne do uciekania przed nieprzyjacielem.«

Te zmiany były zwiastunami innych: świat zmienił aktorów, jak ubiory. Te igraszki wśród nieszczęść, te śpieszne zaślubiny nazajutrz po morowéj zarazie, musiały także wywołać nowe pogrzeby. Filip Walezy wkrótce zasłabł przy młodéj małżonce i zostawił koronę synowi swojemu (1350).

ROZDZIAŁ II.

JAN DOBRY. — BITWA POD POITIERS. — ZABURZENIA W PARYŻU. — BUNT CHŁOPÓW.

Jan *dobry* (Le Bon) syn Filipa, wstępował w ślady ojca: tak jak on z duszą i ciałem oddał się szlachcie, tak jak on pobity został. Im bardziéj niknął duch rycerstwa, tém więcéj silono się na ożywienie form jego. Jan obrał sobie za wzór najpłochszego, najrozrzutniejszego z książąt téj epoki, króla Jana czeskiego: z tą różnicą, że Jan czeski dał się ubić pod Crecy, a Jan francuzki poszedł do niewoli pod Poitiers. Dziwne to było szczęście tego monarchy: pozyskał on wziętość i piękny przydomek nie wiedziéć jakim sposobem. Popędliwy, srogi, mściwy, godność monarchy na okazałości i świetnych ucztach, a rycerstwo na potężném cięciu szabli zasadzający, mało dbający o lud, nie wzdrygający się na żadne zdzierstwo, żaden

gwałt, zyskał przecież wspomnienie uczciwego człowieka, i to na przekorę historyi jego panowania.

Wśród uroczystości koronacyjnych kazał przełożonemu paryzkiemu uwięzić Raoula de Nesle hrabiego Eu i Guines, konetabla swojego, a w trzy dni później w dziedzińcu zamkowym kazał mu głowę ściąć. Za co? nikt wówczas nie wiedział, i nikt dziś nie wie. Godność Raoula i część dóbr jego oddał Karolowi de Lacerda, z rodu królów hiszpańskich, młodzieńcowi rzadkiéj piękności, który do tego stopnia zyskał przychylność królą Jana, że ludzie złego języka Sodomę w téj poufałości upatrywali. Lubo Karol był spowinowacony z domem królewskim, przecież w oczach panów francuzkich był cudzoziemcem ścigającym po świecie względy fortuny. Nagłe szczęście kosztem człowieka straconego bez sądu nabyte, nie mogło mu zjednać przychylności, ani pokryć względów króla tak złośliwie tłumaczonych.

Potrzeba pieniędzy, która ciągle ścigała ród chciwy a rozrzutny Walezyuszów, pobudziła króla do środków dla ogółu narodu obmierzłych. Chcąc regularne utrzymywać wojsko postanowił Jan płacić żołd rycerstwu, panowie prawo chorągwi mający, czterdzieści soldów dziennie pobierali, zwyczajni rycerze połowę tego. Dumni baronowie zniżyli się do stopnia jurgieltników, król zyskał niby wojsko, lecz niesłychanie pomnożył swoje wydatki. Drobiazgowe zdzierstwa żydów i Lombardczyków (*), konfiskaty włości baronów nie wystarczały, trzeba było zwołać stany dla wyjednania od nich odpowiedniejszego dochodu. Zebrali się posłannicy stanów w Paryżu (1351) i uchwalili podatek od soli (la gabelle) i taxę od towarów, sześć denarów od liwru. Nie dość było na przyzwoleniu stanów, musiał król osóbno układać się niemal z każdą prowincyą i podpisywać sprzeczne między sobą żądania. Szlachcie pikardzkiéj zapewnił prawo zajazdów, mieszczanom normandzkim przyrzekł zniesienie tychże zajazdów. Fabrykantom pary-

(*) Pod nazwą Lombardczyków rozumieją się kapitaliści wypożyczający summy na procent. Byli to Włochy, po większéj części spekulanci lombardcy.

zkim podpisał urządzenie określające płacę robotników, po ostatniéj zarazie morowéj nadzwyczaj podwyższoną. Mimo takowe przyzwolenia skarb królewski chwilowy tylko zyskał zasiłek, wszędzie bowiem podatek na rok jeden tylko przyznany został.

Żeby w tak upokarzający sposób nie żebrać łaski stanów, król Jan chwycił się innego środka z którego nikomu nie był obowiązany składać rachunków. Tym środkiem było fałszowanie monet w sposób odurzający. Przy wstąpieniu na tron króla Jana grzywna srebra miała wartość 5 liwrów, 5 soldów; w końcu 1351 podwyższona została do 11 liwrów; tym sposobem w ciągu roku jednego moneta poskoczyła o sto procent. To był tylko wstęp. W miesiącu lutym roku 1352 grzywna spadła nagle z 11 na 4 liwry 5 soldów, wkrótce podniosła się do 15 liwrów 15 soldów, znowu spadła na 4 liwry 10 soldów, potém wzniosła się do 18 liwrów. W tym jednym roku szesnaście zmian liczono. Wszystkie te dochody miały być obrócone na ściągnięcie stu piędziesięciu tysięcy wojska, aby wojnę ukończyć za jednym zamachem; i rzeczywiście ukończono ją pod Poitiers.

Zdawało się że marnotrawny król łamał jedynie głowę nad wyszukaniem przedmiotów trwonienia summ tak nędznemi wybiegami zebranych. Nie chcąc się dać w rycerstwie wyprzedzić Edwardowi angielskiemu, który na cześć pięknéj hrabinéj Salisbury utworzył bractwo Ś. Jerzego czyli order podwiązki; król Jan ustanowił order *Gwiazdy* albo *Dom szlachty*. Było to cóś podobnego do dawnych zakonów Templaryuszów i braci szpitalnych, lecz na korzyść króla zwrócone. Rycerze obowiązani byli przysiądz, iż przed nieprzyjacielem tylko o cztery morgi cofać się będą, nigdy wszakże nie pierzchną i raczéj ubić się lub do niewoli pojmać dadzą. Pięciu set od razu wykonało tę przysięgę i wszyscy jéj święcie dochowali pod Poitiers: — wszyscy dali się zabrać do niewoli.

Gdy król bawi się temi igraszkami rycerskiemi, Anglicy wojnę toczą na całéj granicy Gaskonii i Poitou. Wycięczenie skarbu

z obudwóch stron spowodowało przedłużenie rozejmu mimowolne, obiedwie wszakże strony uważały się w stanie wojennym. W końcu roku 1351 król Jan obległ Saint-Jean-d'Angeli, zdobył je, ale za to oddział jego wojska poniósł klęskę pod Taillebourg. Odtąd ciągnęła się mała wojna, zbrojne oddziały przebiegały kraj, wydzierały sobie nawzajem małe miasteczka i zamki, rabowały i paliły włości. Te gonitwy i zajazdy codzienne najsroższe były w Bretanii. Dziesięć lat ciągłych zapasów nie znużyły Bretonów. Obojętni na klęskę pod Crecy, na zdobycie Calais, wśród grasującéj zarazy morowéj, z największą mordowali się zaciętością. Ciągłe utarczki oswoiły lud z wyobrażeniem śmierci, z zimną krwią na nią się narażali.

Wśród tych zamieszań Karol, król Nawarry, nazwany został na dworze króla Jana, złośliwym zdrajcą. Karol Lacerda ulubieniec królewski dał mu ten przydomek, rzucając nań zgubne podejrzenie tajemnéj zmowy z Anglią. »Łżesz złośliwa lalko, odezwał się król Nawarry do Lacerdy, ty mi nie ujdziesz, choćbyś się za pas króla Jana skrył.« Co wyrzekł to wkrótce wykonał: nasłani przez niego siepacze zamordowali Lacerdę w zamku Laigle w Normandyi. Na tę wieść zaciekły w gniewie król Jan odezwał się: »Ani widzieć się, ani mówić z nikim nie będę, póki się nie zemszczę nad tym zdrajcą Nawarczykiem.« Łatwo było wymówić, lecz nie łatwo dokonać. Ten co tak zuchwale śmiał narazić się królowi, silnym ufał podporom. Nizkiego wzrostu, obrotny, dowcipny, czarującéj wymowy, ujmującego obejścia się, zyskał miłość dam i przychylność ludu, dwie nowe władze z których on pierwszy potrafił ukuć broń polityczną. Obok tego śmiały i mściwy, za srogość w przytłumieniu rokoszu barcellońskiego dostał przydomek Karola *złego*, który mu dziejopisarze francuzcy utrzymali za bunty przeciw krajowi. Z królestwa swojego Nawarry podawał on ręce Anglikom gaskońskim, a w Normandyi był najzamożniejszym panem. Posiadał Evreux, Cherbourg, Avranches, Mortain, Pont-Audemer i mnóstwo drobniejszych włości i zamków. Hrabiowie Harcourt i Longueville, krewni jego, byli gotowi na

każde zawołanie, jedném tylko słowem mógł sprowadzić Anglików. Książę Lancaster pisał do niego: »Przyślij do króla pana naszego jakiego człowieka zaufanego, z którym moglibyśmy się ułożyć o warunki związku.« Rozważywszy to król Jan skłonił się do zgody za wstawieniem się dam dworskich. Pozorne to wszakże było pojednanie, król nie zrzekł się zemsty, a Karol nawarski nie ustąpił nic z dumy swojéj, obadwa cichaczem dybali na wzajemną szkodę.

Karol bawiąc w Paryżu poddmuchywał żarzewie tlejące pośród mieszczan paryzkich Dla obmyślenia zasiłków na wojnę angielską zwołane stany państwa zebrały się dnia 2 grudnia 1355. Obrady rozpoczęły się oświadczeniem, iż »wszyscy gotowi są żyć i umierać z królem.« Przyzwolono na zasiłek dla trzydziestu tysięcy wojska, lecz podatek na wszystkich zarówno miał ciążyć: duchowieństwo, mieszczanie, szlachta, król sam i dzieci jego, wszyscy pociągnięci zostali do opłaty. Kommissya wybrana z pośród stanów czuwać miała nad poborem i użyciem podatku. Był to wstęp do zbierającéj się burzy; zanosiło się widocznie na przejście władzy królewskiéj w ręce zgromadzenia stanów. Sławny Stefan Marcel, przełożony (pre-

vôt) kupców paryzkich już teraz wystąpił na ścenę: on to przemawiał do króla w imieniu dobrych miast. Sprawy kró-

lewskie w zatrważającym sposobie wikłały się, bunt podnosił głowę po wszystkich punktach. Książę Wallii wrócił do Bordeaux z tysiącem wozów łupami Langwedocyi naładowanych, a na domiar nieszczęścia król nawarski zbuntował Delfina przeciw ojcu. Wcześnie zawiadomiony król o zamachu syna potrafił go utrzymać w karbach posłuszeństwa, a zawziętość jego przeciw królowi Nawarry przeszła wszelką miarę.

Delfin zostawszy księciem Normandyi, zajął mieszkanie w Rouen z dworem swoim i nie zerwał stosunków z królem Nawarry, owszem zaprosił go na ucztę na niedzielę kwietnią (1356). Zawiadomiony o tém król Jan wpadł niespodzianie do zamku zbrojnym ludem otoczony i króla Nawarry wraz z kilką przyjaciołmi pochwycił. Hrabia Harcourt, wraz z trzema znakomitemi panami tegoż wieczoru ścięci zostali po za obwodem zamku na placu *Przebaczenia*, a ciała ich na szubienicy zawieszone: Karol nawarski naprzód wtłoczony do turmy Luwru, a następnie przeniesiony do więzienia Châtelet, codziennie słyszał jak mu grożono zawiązaniem w worek i wrzuceniem do Sekwany. Bez wątpienia tego pragnął król Jan, nie odważył się jednak, zbyt bowiem groźnych sprzymierzeńców miał król nawarski: brat jego Filip i hrabia Gottfried d'Harcourt stanęli natychmiast pod bronią. Książę Wallii na czele dwóch tysięcy rycerstwa i sześciu tysięcy łuczników szalony powziął zamiar przerznąć się przez środek Francyi i podać rękę zbuntowanym Normandczykom. Już spalił przedmieścia Bourges, posunął się do Issoudun i Vierzon, gdy mu doniesiono, iż król Jan zwołał swoich lenników do Chartres, i że przejścia Ligiery licznem wojskiem obsadzone; nie było przeto roztropniejszéj rady, jak cofać się czémprędzéj.

W szybkim pochodzie zdążał król Jan za uciekającym księciem i już go niemal wyprzedzał pod Poitiers. Książę Wallii ujrzał, że jedynie bitwa ocalić go może, postanowił więc stoczyć ją bez względu na szczupłość sił swoich. Kardynał Talleyrand z polecenia papieża starał się zawrzéć rozejm. Książę gotów był zwrócić całą zdobycz, oddać jeńców, ze zdobytych

zamków ustąpić; lecz król żądał, aby się sam książę poddał ze stu rycerzami. Zwycięzca z pod Crecy odpowiedział hardo, że i jego i rycerzów przy nim będących, jedynie z bronią w ręku pojmać będzie można; bitwa więc stała się nieuchronną. O dwie mile od Poitiers ciągną się wzgórza polem Maupertuis zwane, krańce ich pochyłości zarosłe krzewami, jedna tylko drożyna głęboka, z dwóch stron płotem cierniowym jakby ramami ujęta, przystęp na wzgórza otwierała. Książę Wallii tu uszykował wojsko swoje, szerokim je rowem i palisadami osłonił od czoła, a część łuczników po za płotem wzdłuż drogi ustawił.

Czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy wojska liczył król Jan, całą drogę dwumilową między Poitiers i Maupertuis zalegała jazda francuzka, w całéj przestrzeni wiatr igrał z proporcami wazallów. Ślepa ufność nie była mniejszą jak pod Crecy, i klęska też podobna. Król Jan na dzielnym białym rumaku przebiegając szeregi odezwał się do swojego rycerstwa: »W Paryżu, w Chartres, Rouen, lub w Orleanie, w rozmowach waszych groziliście Anglikom i pragnęliście z przyłbicą na głowie stanąć naprzeciw nich. Otóż jesteście teraz, tu ich macie przed sobą.« W trzech bojowych liniach ustawił wojsko swoje król Jan: pierwszą sam dowodził, na czele dwóch innych postawił Delfina i brata swojego księcia Orleanu. Trzystu rycerzy cwałem puściło się drogą do wzgórzów wiodącą, reszta zaś zsiadłszy z koni, odjąwszy ostrogi, z krótką włócznią w ręku postępowała w celu dokonania zwycięztwa. Zaledwie jazda rozciągnęła się w opłotkach, gdy łucznicy rozstawieni gradem ją strzał powitali. W mgnieniu oka okropne powstało zamieszanie, konie ranne wspinając się padały jedne na drugie, cała kolumna musiała się zwrócić ku oddziałowi księcia Normandyi. Tymczasem wybór jazdy angielskiéj obszedłszy krzewinę wpadł z boku na linią Delfina, a uszykowani na wzgórzu angielscy rycerze zawaloną drogą poległemi końmi i rycerzami francuzkiemi puścili się naprzód, uderzając od czoła na korpus Delfina. Słabowitéj budowy ciała książę, rycerskiemu powołaniu wcale nie odpowiedni, pierzchnął z placu z ośmiąset kopijnikami. Za jego

śladem poszedł książę orleański. Wtedy sławny wódz angielski Chandos zawołał: »Mamy ich! Dalejże wprost na króla Francyi. waleczny on jest, będzie naszym. — Naprzód więc! odezwał się książę Walii.» Wkrótce król Jan ze swoimi tylko rycerzami gwiazdy pozostał i z najmłodszym synem Filipem, który walecznością w téj potrzebie okazaną przydomek *śmiałego* pozyskał. Gdy nakoniec chorąży z oryflammą legł przy boku królewskim, wtedy Jan opadły na siłach złożył szablę w ręce Dyonizego Morbecque, Francuza za zabójstwo z kraju wywołanego, a teraz trafem w szeregach księcia Walii walczącego.

Zwycięzca z rycerską prawdziwie skromnością użył swojego tryumfu. Z największemi honorami przyjął króla w namiocie swoim, a gdy w Bordeaux Gaskończycy, chciwi okupu, domagali się wydania króla, książę uspokoił ich stu tysiącami dukatów, aby miał pociechę pokazać króla Francyi damom angielskim. Wjazd króla do Londynu był prawdziwie tryumfalny: w rycerskiéj zbroi, na ognistym białym rumaku jechał na czele towarzyszącego mu rycerstwa, o kilka kroków za nim, w czarnéj zbroi, na małym karym podjezdku postępował zwycięzca, *czarnym* księciem wtedy może pierwszy raz nazwany, dla żelaznego rynsztunku odbijającego od błyszczącéj zbroi króla Jana. Edward III wyszedł naprzeciw króla, którego mu syn przywiódł i przeznaczył mu mieszkanie w zamku Windsor, gdzie wzorem panów owoczesnych świetne pędził życie, dzieląc czas między myśliwskie zabawy i huczne biesiady.

Delfin Karol uszedłszy z bitwy przybiegł drżący do Paryża, zwołał stany królestwa i zabierał się do rządów w nieobecności ojca. Lecz zgromadzenie śmiało podnoszące głowę pod samowładnym rządem króla Jana, musiało koniecznie zuchwalszém jeszcze okazać się w obec młodego księcia, którego ucieczka sprowadziła klęskę pod Poitiers. Zanim przystąpiono do wysłuchania wniosków księcia podano za warunek wyzwolenie króla Nawarry, uwięzienie siedmiu głównych radców królewskich, przyjęcie z pośród stanów wybranych czterech prałatów, dwunastu ze szlachty i tyluż z mieszczan, którzy razem zebrani

mieli tworzyć nową radę księcia. Na téj zasadzie oświadczyły stany gotowość uchwalenia żołdu dla trzydziestu tysięcy ludzi. Delfin, pod pozorem naradzenia się z cesarzem Karolem IV, rozwiązał zgromadzenie stanów i chwycił się dawnego środka fałszowania monet. Tymczasem Marcel otwarcie podniecał bunt, nowych soldów nikt brać nie chciał. Książę wezwał do siebie Marcela rozkazując mu aby się nie mieszał do spraw mennicznych. Marcel wróciwszy od księcia kazał wstrzymać roboty w warsztatach rzemieślniczych i wszystkich mieszkańców wezwał do broni pod chorągwie cechowe. Karol ustąpił. Cofnął z obiegu nową monetę, oddalił radców wywołanych przez zgromadzenie, i zwołał stany na dzień 5 lutego 1357.

Nowe zgromadzenie daléj się jeszcze posunęło w swoich żądaniach. Robert Le-Coq, biskup z Laon, w imieniu stanów domagał się zawieszenia wszystkich urzędników królewskich, pókiby stany nie rozpoznały ich sprawowania się. W imieniu szlachty wystąpił Jan de Pecquigny, baron pikardzki. Mieszczanie, którzy w liczbie ośmiuset deputowanych przeszło czterech set swoich liczyli, szli zawsze za głosem Marcela silnego spółdziałaniem rzemieślników paryzkich. Le-Coq, Pecquigny i Marcel stanowili przez niejaki czas istny tryumwirat, całą władzę w ręku mający. Czytając ich przedstawienie podane Delfinowi zdawałoby się, że to jest oświadczenia stanów z roku 1789. Wszystkie nadużycia wytknięte były bez ogródki, środki zapobieżenia im nadal zostawione stanom.

Król Jan jeszcze podówczas był w Bordeaux, gdy go wieści tych wypadków doszły; wysłał on do Paryża trzech z ramienia swojego panów, rozkazując, aby stany natychmiast się rozwiązały, aby podatki w imieniu króla wybierano. Wzburzenie umysłów za daleko doszło, aby rozkaz króla, w niewoli będącego, miał być szanowany: owszem Marcel daléj się posunął, Paryż postawił w stanie obronnym. Lecz już niezgoda wkradać się poczęła do zgromadzenia stanów. Szlachta i duchowieństwo odstrychać się zaczęło. Póki mowa była o nadużyciach, wszyscy razem popierali sprawę, którą za spólną uważali; lecz skoro

ujrzano przewagę mieszczan, tworzącą się jakąś demokracyą, wtedy szlachta wróciła do wyobrażeń monarchicznych i duchowieństwo cofnęło się z niebezpiecznego stanowiska. Tryumwirowie przelękli się, postanowili skryć się pod zasłonę króla Nawarry. Wydobyli go więc z więzienia i sprowadzili do Paryża. Tu król, dla ujęcia sobie ludu, na placu publicznym w rozczulającéj przemowie niewinność swoję i ściętych rycerzy przedstawiał.

Delfin widząc przedsięwzięte środki ku uspokojeniu burzy bezskuteczne, począł myśléć o zgromadzeniu rycerstwa, które się chętnie na pomoc monarchizmu zbierało. W miarę zwiększającego się hufca zbrojnych, książę stawał się śmielszym; ale na odwrót, w miarę wzrastającéj odwagi Delfina rosło zuchwalstwo przełożonego kupców paryzkich. Zebrawszy zbrojnych rzemieślników, których odznaczył osóbnym rodzajem czapek

w kolorze czerwonym i błękitnym (*) udał się do pałacu Delfina, w oczach jego kazał zamordować dwóch najzaufańszych radców księcia, marszałka Szampanii i marszałka Normandyi.

Już też panowie ochłonęli z trwogi po klęsce pod Poitiers, coraz więcéj nabierali odwagi; ani jeden nie pojawił się na zgromadzeniu stanów w 1358 roku. Delfin potrafił się wydobyć z Paryża, stanął na czele szlachty, stany wezwał do Compiègne, a większość zniechęcona dumą rzemiosł paryzkich z chęcią się udała na wezwanie Delfina, w nim pokładając nadzieję ukończenia rozruchów. Marcel niezrażony tém zbiegostwem przygotował Paryż do walki, gdy wtém niespodziane zawichrzenie nowego rodzaju zwróciło uwagę stron obudwóch.

W czasie gdy władzę wydzierały Delfinowi stany, a stanom municypalność paryzka, właściwie biorąc nie było żadnéj władzy. Z tego bezrządu korzystały bandy rozproszonego pod Poitiers wojska i żywiły się rabunkiem wieśniaków. Biedny lud krył się przed tą pożogą po lasach, bagnach, podziemnych jamach. Że zaś każdy mianował się i uważany był za rycerza, kto tylko żelazną przywdział zbroję i kopią wziął do ręki, wieśniacy więc ucisku swojego sprawcami mienili szlachtę, choć to po większéj części były włóczęgi, Bóg wie jakiego rodu i narodu. Nagle 28 maja 1358 roku, w okolicy Clermontu, opanowała chłopów jakaś rozpacz wściekła, w téj przypadłości postanowili wytępić wszystką szlachtę. Z początku było ich tylko około stu i ci napadli dom jednego pana, wymordowali wszystkich i spalili całą osadę: za tą poszła druga i trzecia. Banda zaczęła się zwiększać, obrała sobie naczelnikiem silnego chłopa, nazwiskiem Karlot, który sam przybrał imię *Jakóba dobrodusznego* (Jacques-Bonhomme). Był to pospolity przydomek, który chłopom nadawało rycerstwo, a który oni teraz w zemście swojéj jakby na szyderstwo zatrzymali. W kilka dni chłopi tworzyli

(*) Chaperon nazywają ówczasowe nakrycie głowy dziejopisowie francuzcy, jest to pewny rodzaj kaptura lub spiczastéj furażerki.

już znaczną armią, która się rozlała po równinach Pikardyi mordując, paląc, gwałcąc, drobne dzieci na rożnie piekąc. Przerażeni panowie tą pożogą, zapomnieli spółzawodnictwa politycznego, Anglicy i Francuzi łączyli się dla położenia tamy tym srogim hordom. Król Nawarry i Pecquigny wzięli się do broni przeciw nim. Paryżanie zagrożeni wojną z Delfinem wahali się przez czas niejaki, wreszcie Marcel posłał chłopom na pomoc tysiąc dwieście zbrojnych ludzi do Méaux. Na targowisku w Méaux, na wyspie którą tworzy Marna z kanałem Cornillon, schroniło się trzy sta pań najznakomitszego rodu, pod zasłoną garsztki rycerzy.

Delfin kazał targowisko otoczyć murem. Mieszczanie niekontenci z téj nowéj osady czekali niecierpliwie zbliżenia się Karlota. Przyjaźny szlachetnym paniom los sprowadził w te strony dwóch rycerzy wracających z pruskiéj krucyaty z sześćdziesięcią kopijnikami. Ci dowiedziawszy się co za osada napełniała targowisko miejskie, i jakie jéj groziło niebezpieczeń-

stwo, bez długiego namysłu postanowili bronić pań. Nadszedł korpus Karlota około dziewięć tysięcy liczący, mieszczanie natychmiast otworzyli mu bramy, zastawili ucztę na ulicach miasta i ochoczo raczyli swoich sprzymierzeńców. Wśród uczty rycerze krzyżowi w porządnym szyku wpadają na rozłożony obozem motłoch, za pierwszém natarciem powalają wszystko, część w pień wycinają, część w nurty Marny pędzą. Miasto podpalają wraz z mieszkańcami a burmistrza na szubienicy zahaczają. Siedm tysięcy chłopów legło w tém pierwszém spotkaniu.

Ten przykład dodał odwagi panom, otoczyli Delfina i rozpoczęli zawziętą wojnę z chłopami, których nawet przewyższyli w srogości. Dwadzieścia tysięcy wymordowanego chłopstwa w ciągu jednego miesiąca nie nasyciło zemsty panów. Karlot chciał się schronić pod opiekę króla Nawarry, lecz ten ukoronował go rozpalonym trójnogiem żelaznym, a z bandy jego przeszło trzy tysiące ubił. Tak więc poskromione chłopstwo; Marcel pozostał sam naprzeciw całéj szlachty. Widział on niebezpieczeństwo swojego położenia i jedyny ratunek w królu Nawarry upatrywał. Żeby zyskać jego porękę przyrzekał ogłosić go królem Francyi. Przeniknęli Paryżanie zamiary Marcela, obudziło się w nich uczucie dumy narodowéj. Pana za pana, woleli swojego, jak Nawarczyka, przyjaciela Anglików. Wnet utworzyło się stronnictwo przeciwne zamachom Marcela pod którego ciosem poległ przełożony kupców, tym samym sposobem jak niedawno Artevelle podobny mu w znaczeniu i działaniu.

Śmierć Marcela położyła koniec powstaniu. Nazajutrz czapki czerwone i błękitne zniknęły, a Delfin dnia 2 Sierpnia odprawił wjazd do Paryża, jako rejent królestwa. Dnia 4 rozpoczął się odwet mściwy. Naprzód spadła głowa kupca korzennego, który posiadał zaufanie Marcela, w kilka dni ścięto dwóch adwokatów i dziesięciu radców parlamentu, ciała ich wrzucono do Sekwany, następnie co dzień nowe głowy spadały, a majątki winowajców pomnażały skarb królewski. To atoli postępowanie zmienić się musiało, król bowiem Nawarry stał z wojskiem u bram Paryża, Pecquigny dowodził w Pikardyi a przy

nim znajdował się Le-Coq, wreszcie król Edward III nową groził wyprawą. To skłoniło rejenta do przebaczenia gminom i do układów z królem Nawarry, który cofnął wojska swoje otrzymawszy zapewnienie zwrotu zabranych mu posiadłości w Normandyi.

Skoro wszystko wróciło w karby posłuszeństwa we Francyi, król Jan zaczął tęsknić do władzy wolnéj od niebezpieczeństwa, i żeby prędzéj do niéj wrócić podpisał wszystko czego tylko Edward zażądał. Odstąpił Normandyi, Guyenny, Piktawii, Maine, Touraine i Andegawii, z prawem niezawisłego wszechwładztwa, Bretanii z wszechwładztwem lenném, nadto za okup swój i książąt cztery miliony talarów złotych wyliczyć zobowiązał się. Gdy te warunki przeczytano na zgromadzeniu stanów, powszechne objawiło się nieukontentowanie, dały się nawet słyszéć głosy, »lepiéj żeby król Jan pozostał w Anglii.« Z takiego usposobienia umysłów korzystając rejent, własną powagą zniósł umowę londyńską i gotował się do wojny nieuchronnéj.

Król Jan w uniesieniu gniewu posądził króla Nawarry o takowy opór swojéj woli: »Ha, dobry synu, pisał do rejenta, ty ufasz królowi Nawarry, któryby stu takich jak ty sprzedał!« Inaczéj wcale rzecz pojmował Edward i dla tego z orężem w ręku wykonania układów dochodzić postanowił. Wylądował więc w Calais (28 października 1359) i niezwłocznie posunął się do Reims. Rejent pierzchliwym odwrotem z pola Maupertuis dowiódł, że rycerskie zapasy nie były jego rzemiosłem, opatrzywszy więc twierdze w dostateczne załogi, siedział spokojnie w Paryżu, gdy Edward swobodnie przebiegał kraj bez najmniejszego oporu, łupiąc i paląc wsie i miasteczka bezbronne. Wreszcie znużony pochodem bez celu skłonił się do zgody i podpisał pokój w Bretigny (8 maja 1360), mniéj wprawdzie uciążliwy dla Francyi, zawsze jednak bardzo korzystny dla Anglii.

Szczęsny los sprzyjał Janowi mimo jego błędy, za uszczerbek poniesiony traktatem bretyńskim wynagrodził go spadek księstwa burgundzkiego, które przyłączywszy do korony przez szlachetność rycerską oddał synowi swojemu Filipowi, nieodstę-

pnemu towarzyszowi pod Poitiers. Była to wspaniałomyślność dla igraszki, a przecież sprowadziła ona ważne zawikłania z Niemcami, których rozplątanie przez długie lata trudziło następców Jana.

»Gdyby dobrą wiarę spłoszono z całéj ziemi, wtedy jeszcze powinna znaleźć przytułek w sercu królów» wyrzekł Jan gdy się wybierał do Anglii, by zastąpić syna swojego księcia andegaweńskiego, który się wyśliznął z niewoli Edwarda. Szlachetne zdanie, gdyby życie człowieka, któremu je przypisują, nie było z niém w otwartéj sprzeczności, i nie kazało go raczéj uważać za wyskok rycerskiego dowcipu, aniżeli za wpływ wewnętrznego przeświadczenia. Zdaje się, że dziejopis spółczesny przedsięwzięciu królewskiemu udania się do Anglii dodając mały wyraz, *dla igraszki* (causa joci), rzeczywistéj dotknął jego pobudki. Zaledwie wstąpił na ziemię angielską gdy wznowiły się zabawy i uczty pierwszéj jego niewoli, wśród których śmierć go w czwartym miesiącu zaskoczyła. Umarł w Londynie (8 kwietnia 1364), jak mówi dziejopis Daniel, z niewielką stratą dla Francyi. Smutna mową nad grobem króla Francyi! a do tego w ustach Jezuity.

ROZDZIAŁ III.

KAROL V. — DU-GUESCLIN. — WOJNA Z ANGLIĄ.

Nie nowe to właściwie rządy rozpoczyna Karol V słusznie *mądrym* (le Sage) nazwany; odbył on już czteroletnią próbę wśród twardych okoliczności, w jakich się znajdowała Francya w czasie jego rejencyi; należycie przysposobiony wstąpił na tron i naród mógł już odgadnąć czego się po nim miał spodziewać. Monarcha młody, bo dopiero dwudziestego siódmego roku życia sięgający, lecz słabowity, do znoszenia trudów wo-

jennych nie zdolny. Mówią, że Karol zły, król Nawarry, zawadzającego mu księcia postanowił trucizną usunąć z drogi, że lekarz przez cesarza niemieckiego nadesłany ocalił króla, lecz trucizna zostawiła ślady. Wypadek ten miał zajść w tym samym roku, w którym pokój w Bretigny podpisano, a przecież ucieczkę z pod Poitiers już niektórzy słabowistości zdrowia Karola przypisują. Cóżkolwiek bąć przenosił on suknią gronostajami bramowaną nad pancerz żelazny, a mimo to panowanie jego nieprzerwane przedstawia pasmo wojen i bitew. Król Edward III mówiąc o swoim bracie spółzawodniku, odezwał się: »Nie znam króla, któryby rzadzéj przywdziewał zbroję, a któryby mnie tyle zatrudniał.« Pochodzi to ztąd że Karol miał szczęście wynaleźć człowieka, który za niego szablą władał.

W czasie wojen o posiadanie Bretanii, między rycerzami bretońskiemi popierającemi Karola de Blois był niejaki Giecquin, Gleaquin, Glayaquin, Glesquin, Cleyquin, Claiquin i Bóg wie nie jak w aktach swojéj krainy rodzinnéj nazywany, Francuzi stałe mu imię Du Guesclin nadają. Sam on wywodził ród swój od Hakima króla Maurów, który wypędzony przez Karola W. zostawił syna w zamku Glay, ten ochrzczony z rozkazu Karola W. dał początek rodzinie Guesclina. Karol V miał sposobność poznać go przy oblężeniu Melun. Był to śmiały towarzysz, silny, lecz jak sami Bretończycy mówią, brzydki. Wzrostu miernego, postawy krępéj, twarz śniada, nos zadarty, barki szerokie, ramię długie, pięść dzielna, prawdziwy typ wojaków czternastego wieku, dla których wojna była wiarą i rzemiosłem; ludzi gonących mary po świecie, ścigających fortunę; wodzów w służbie królów Francyi lub Anglii, albo prostych przywódców band zbrojnych, braterstwem broni między sobą połączonych. Mówią że jeszcze dzieckiem będąc zbierał wiejskich chłopców i z nimi bójki staczał, w których się bez ran i guzów nie obeszło. Zniecierpliwiony skargami ojciec zamknął go, lecz panna Tiphaine, między Bretonami za czarownicę poczytana, przepowiedziała mu świetną przyszłość, późniéj taż sama panna została jego małżonką. Jednego poranku młody Du Guesclin dosiadłszy robo-

czego konia ujechał do Rennes do wuja swojego. Wkrótce w czasie turniejów na pożyczonym rumaku piętnaście skruszył kopij, za szesnastą poznany, stał się znakomitą osobą swojéj rodziny. Stanąwszy pod chorągwią hrabiego Blois zjednał sobie imię walecznego rycerza. Niepohamowany wojak był, podobnie jak wszyscy Bretonowie, wyborny towarzysz zabawy, człowiek szczodry, nie raz bogaty, częściéj biedny, nie raz na okup swoich całe mienie oddawał; ale za to chciwy i okrutny łupiezca,

w wojnie srogi nikomu nie przebaczał. Wzorem wodzów swojego wieku wolał podstępem wojować i zwyciężać niż innym jakimkolwiek sposobem. Przed bitwą był taktykiem, obfity

w środki i przebiegi, umiejący przewidywać i zapobiegać; ale raz dobywszy szabli już nie był panem siebie, rzucał się w największy zamęt i często zapędzał się tak daleko, że odwrót stawał mu się niepodobny. Dwa razy popadł w niewolę, dwa razy wielki złożył okup. Takim był człowiek na którym spoczywały losy Karola V.

Król Nawarry usadowiony nad brzegami Sekwany z dwóch stron Paryża, w Mantes i Melun, trzymał stolicę w szponach. Oswobodzić Sekwanę najnaglejszą było rzeczą króla; w tym celu porucza Du Guesclinowi rządy Pontorsu, w środku Normandyi, wraz z naczelnictwem wyprawy przeciw królowi Nawarry. Naprzeciw tak srogiemu wojownikowi Karol zły postawił sławnego kaptała (*) Buch, Jana de Grailli, który wylądował w Cherbourgu z czterystą kopijnikami, a wkrótce stał na czele tysiąca pięciu set rycerzy. Tyleż prawie miał pod swoją chorągwią Du Guesclin. Dwaj najsławniejsi swojego czasu bohatyrowie spotkali się niedaleko Evreux przy moście pod Cocherelle. Kaptal Buch mocne zajął na wzgórzu stanowisko; niepodobna było iść na nie wstępnym bojem: Du Guesclin przepędziwszy dwa dni na równinie, zmyśla ucieczkę. Ruszają z góry Anglicy, chcąc Francuzów na moście przydybać, wtedy i kaptal rad nie rad postąpił za nimi. Ujrzawszy Bretończyk hufce nawarsko-angielskie na równinie, »Sieć wybornie zarzucona, odezwał się do swoich, ptaszki będą nasze.» W téj chwili zwrócił się i rozpoczął bój. Kaptal Buch okazał się godnym nabytéj sławy, musiał jednak uledz bretońskiemu wodzowi, dostał się w ręce jego; inni dowódcy i rycerze w większéj części legli na placu. Świetne to zwycięztwo odniósł Du Guesclin dnia 16 maja 1364, wiadomość o niém odebrano w Reims we dwa dni późniéj w wigilią koronacyi Karola V. Piękny to był wiązarek dla nowego króla, który go po królewsku odwdzięczył nadając Du Guesclinowi hrabstwo Longueville, dziedzinę króla nawarskiego.

(*) Captal w Gaskonii znaczył toż samo co pan, naczelnik lub dowódca.

Następnego roku skończyła się wojna bretońska. Na czele licznych zastępów spotkali się pod Auray obadwa spółzawodnicy. Montfort wsparty posiłkami angielskiemi korzystne zajął stanowisko na wzgórzu, hufcom jego przywodził sławny wódz Jan Chandos, właściwy zwycięzca pod Poitiers. Wojsko Karola de Blois prowadził Du Guesclin, stosować się jednak musiał do woli hrabiego. Chandos ujrzawszy szyk bojowy francuzki zawołał: »Jak mi Bóg miły tak to prawda, że tam jest zebrany kwiat rycerstwa, wyborne rozporządzenie.« Obadwa spółzawodnicy do księztwa Bretanii walczyli na czele, był to pojedynek na śmierć. Dwudziestoletnia wojna znużyła wreszcie Bretończyków, pragnęli końca, który śmiercią jedynie któregokolwiek z pretendentów mógł być osiągnięty. Starły się więc obadwa wojska, z obudwóch stron z równą walczono zaciętością, wreszcie padł Karol de Blois a z nim i sprawa jego. Du Guesclin walczył jeszcze, dowiedziawszy się o śmierci hrabiego, rzucił się na oślep w najgęstszy hufiec rycerstwa angielskiego: od silnych ciosów prysła szabla w jego dłoni, pękł następnie topor: bezbronny poddał się Chandosowi.

W całéj Bretanii bitwę pod Auray za sąd bozki poczytano, wszyscy więc Montforta bez trudności uznali. Karol V zanadto był przezorny aby miał się opierać potokowi, uznał więc nowego księcia, a ten mu lenniczą wykonał przysięgę. Tym sposobem mądry król zapobiegł przerzuceniu się Bretanii na stronę angielską.

Uspokojenie Bretanii, zwalczenie króla Nawarry, ważne były zaiste wypadki dla Francyi, lecz pokój z jednéj strony nowe klęski sprowadził z drugiéj. Już po bitwie pod Poitiers rozpuszczone bandy jurgieltników rozbiegły się po kraju żywiąc się kosztem mieszkańców. Pokój w Bretigny pomnożył ich liczbę. Potworzyli między sobą tak zwane kompanie, rozłożyli się porządnie w środkowéj Francyi ciągnąc się ku Lugdunowi, i jakby z prawa należne im odbierali daniny. Byli to po większéj części Anglicy z wojsk zwiniętych rozpuszczeni, czepiali się ich wszakże Niemcy, Gaskończycy i mnóstwo uboższéj

szlachty francuzkiéj. Po zawartym pokoju z królem Nawarry i po uspokojeniu Bretanii kompanie liczyły do trzydziestu tysięcy ludzi w boju zahartowanych, którym najznakomitsi z różnych stron dowódcy przewodniczyli. Nie było sposobu poskromienia tych kompanij, jedyny pozostawał środek wskazać im wojnę gdziekolwiek.

Na tronie kastylskim siedział Piotr, okrutnym zwany. Łączył on w sobie dwa sprzeczne pierwiastki: chełpił się uczuciami rycerskiemi, a całą ufność pokładał w żydach i Saracenach. Gdyby nie to byłby zupełną zyskał przychylność gmin za srogie obchodzenie się ze szlachtą. Dla przypodobania się małéj, pięknéj i dowcipnéj Padili, kochance swojéj, wtrącił do turmy Blankę, małżonkę swoję, przyrodną siostrę Karola V a potém ją otruł. Tym samym sposobem pozbył się już nie jednego z członków swojéj rodziny. Brat jego Henryk de Transtamare, lękając się podobnegoż losu, schronił się do króla Francyi, wywołując zemstę jego za śmierć siostry.

Wyborna to była sposobność pozbycia się kompanij. Król Aragonii wolne ofiarował przejście, a papież upoważniał do zajęcia Kastylii. Młody książę Bourbon z imienia, a Du Guesclin w istocie miał być dowódcą; lecz był on jeszcze w niewoli angielskiéj a Edward III wyzwolić go nie chciał inaczéj, jak za okupem stu tysięcy franków. Karol V, papież i Don Henryk złożyli się na opłacenie téj summy.

Du Guesclin zastał kompanie w massie obozem rozłożone pod Châlons-sur-Saône, złożył im ze strony króla dwakroć sto tysięcy dukatów, uczynił nadzieję zdobycia na Saracenach królestwa Grenady po zawojowaniu Don Pedra, wreszcie objawił im papiezkie odpuszczenie wszystkich grzechów. Kończąc swoje przedstawienie dodał: »Otóż to, lepiéj nam tak zrobić, zbawić dusze nasze, aniżeli iść na potępienie i oddać się djabłu; bośmy już dużo nagrzeszyli i złego narobili, jak każdy sam w sobie uzna, a przecież wszyscy raz skończyć musimy.« Osobliwsza przemowa do takich słuchaczów! Mając atoli w ręku wstęp nie zważali oni na domówienie; układ podpisany i kompanie wzmo-

cnione mnóstwem znakomitych panów Francyi ruszyły przez Avignon, poprzyczepiawszy białe krzyże na zbrojach, na znak krucyaty przeciw Saracenom. Ztąd nazwani zostali *kompanią białą*.

Jakikolwiek był cel wyprawy, jakkolwiek wielcy panowie do niéj należeli, zawsze przecież obok rycerskich obyczajów wybijała się na wierzch łupiezka chętka kompanii. Następujący rys wybornie maluje charakter téj bandy. Blizko bram Avignonu spotkał całą czeredę kardynał z ramienia papiezkiego wysłany, chciał on rozmówić się z dowodcą: Anglik jeden bez ogródki zapytał się, czy przynosi pieniądze. Z pośród wodzów najpierwéj zabrał głos marszałek Francyi: »Stoimy na czele ludu, który niezmierne klęski zadał Francyi, prowadzimy go przeciw Saracenom Grenady, prosimy więc Jego Świątobliwości aby nam dał sto tysięcy liwrów i odpuszczenie.» Kardynał to ostatnie tylko przyrzekał. Wtedy Du Guesclin rzekł: »Mamy tu ludzi którzy się obejdą bez odpuszczenia, ale nie obejdą się bez pieniędzy; niechże będą jak najprędzéj, bo im dłużéj tu zabawimy, tém gorzéj.» Uzyskawszy żądaną summę i odpuszczenie, kompania ruszyła do Hiszpanii.

Imię Du Guesclina, wspomnienie kompanii, taką trwogą przejęło Hiszpanów, iż za pierwszém pojawieniem się wojsk nad Ebrem, cały dwór opuścił Piotra okrutnego, miasta jedne po drugich poddawały się i Henryk Transtamare zasiadł na tronie kastylskim. Don Pedro schronił się do Gallicyi i wezwał pomocy księcia Wallii. Czarny książę nudził się długim spoczynkiem, pamiątka zwycięztw pod Crecy i Poitier już się zacierała, chciwie więc przyjął wezwanie i wkroczył do Hiszpanii przeciągnąwszy pierwéj kompanie na swoję stronę. Henryk zebrał co mógł wojska, Du Guesclin zyskał posiłki z Francyi i tak zastąpili drogę księciu pod Nawarette. Pod chorągwią księcia czarnego walczył kaptal Buch i Jan Chandos. Henryk widząc swoje szyki złamane, przebił się przez środek nieprzyjaciół i uszedł do Francyi, a Du Guesclin dostał się do niewoli. Wykupiony powtórnie za sto tysięcy franków, powtórnie wpro-

wadził do Kastylii Henryka, lecz teraz szczęśliwiéj, bo Don Pedro legł pod mieczem brata.

Co raz szczęśliwsze dla Karola V rozwijały się wypadki: Gaskonia uciśniona podatkami powstała przeciw władzy angielskiéj; miasta północnéj Francyi dybały tylko na porę wyłamania się z nienawistnego im posłuszeństwa: książę czarny znękany trudami i zbytkiem cierpiał wodną puchlinę; Jan Chandos poległ w utarczce, cały urok potęgi angielskiéj zniknął. Karol V nabrał odwagi, naprzód wezwał księcia Wallii (1369) przed sąd parów, a następnie przez służącego z kuchni swojéj posłał Edwardowi wypowiedzenie wojny. Dla zabezpieczenia sobie potrzebnych na wojnę zasiłków pieniężnych Karol zwołał do Paryża (1369) nie zgromadzenie stanów, lecz zgromadzenie znakomitych (l'assemblée des notables), którzy, w większéj części z urzędników i dygnitarzy korony wybrani, bez oporu na wszystkie żądania króla przystali. W tym to czasie dokończył król budowy Bastylii, która wówczas miała nazwę Bastide du château Saint-Antoine.

Już wszystko było gotowe do wojny, wtedy król przywołał z Hiszpanii Du Guesclina, obecność jego była nieuchronną. Za nim bretoński rycerz opuścił dwór Henryka Transtamare pierwéj zawarł z nim w imieniu króla Francyi przymierze zaczepnie odporne, na mocy którego król Kastylii obowiązywał się na każde zawołanie Francyi dostarczyć flottę do walki z Anglią. Dnia 14 maja 1370 parowie ogłosili króla Edwarda za odpadłego od Gwienny i wszystkich lenności; odtąd rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Edward wysłał na pomoc księciu Wallii znakomitą siłę zbrojną pod wodzą Roberta Knoll znanego we Francyi wodza we wszystkich bitwach za króla Jana. Knoll wylądował w Calais, a król francuzki czepił się taktyki, która mu się już w roku 1360 szczęśliwie udała. Wszystkie miasta warowne zbrojnym poobsadzał ludem, zakazał najsurowiéj wdawać się w bitwę na otwartém polu, małe tylko puścił hufce lekkiéj jazdy, które pod zasłoną twierdz szarpały z boków angielską armią. Knoll palił wsie i miasta, lecz nigdzie nie mógł

się zmierzyć z nieprzyjacielem. Karol V z okien swoich widział palące się wioski, a gdy go rycerze do walki zachęcali, z zimną krwią odpowiadał. »Bądźcie spokojni, nie puszczą oni z dymem mojego dziedzictwa.«

Wreszcie pochodami bez celu znużony Knoll zajął z wojskiem leże nad brzegami Ligiery. Przybył też i Du Guesclin konetablem Francyi przez króla mianowany, a nie tracąc czasu napadł na Grantsona, wodza oddziału rozłożonego w Pont-Vallain, zniósł go zupełnie, samego naczelnika do niewoli zabrał. Następnie wojsko konetabla wśród okrzyków: *Du Guesclin*, *Mont Joye*, *Saint-Denis!* gnębiło jeden oddział za drugim, tak że z całéj armii Knolla ledwie sto ludzi ocalało. Książę czarny

słabością znękany wrócił do Anglii opuściwszy Gwiennę i Poitou, gdzie coraz silniejsze wzmagało się powstanie. Edward wysłał znaczne wojsko pod wodzą hrabiego Pembrocke na poskromienie Gaskończyków, lecz naprzeciwRoszelli flottę przewozową rozpędził Roderyk de Roux, którego na mocy przymierza Henryk Transtamare z eskadrą kastyllańską królowi Francyi posłał na pomoc. Pod Soubise kaptal Buch dostał się w ręce Roderyka, ostatnia podpora władzy angielskiéj w prowincyach południowéj Francyi. Król Edward wielki okup ofiarował za kaptala, lecz Karol V inaczéj oceniał wartość swojego jeńca: turmę Templu przeznaczył mu na dożywotnie mieszkanie, a w miejsce okupu przez konetabla swojego zagarniał miasta i zamki warowne w Bretanii i Gwiennie.

Śmierć Edwarda III (1377) utwierdziła zdobycze króla Francyi, tém bardziéj że i książę czarny zstąpił już do grobu dwoma laty wcześniéj od ojca swojego, berło więc Anglii dostało się w ręce Ryszarda II jeszcze podówczas dziecięcia. Odtąd Karol V śmiało postępował w swoich zaborach. Król Nawarry utracił resztę posiadłości w Normandyi, za to że miał knuć zamachy na życie króla. Monfort książę Bretanii oskarżony o zdradę, powołany przed sąd parów, nie stawił się wprawdzie, ale mimo to zaocznie na konfiskatę księztwa skazany został. Wykonanie atoli wyroku doznało nieprzełamanych trudności. Du Guesclin, w którym król całą pokładał nadzieję, odesłał szablę konetabla, wszyscy bretońscy wodzowie, w służbie francuzkiéj będący, natychmiast opuścili swoje miejsca. Bretania przez nienawiść ku Anglii przerzuciła się na stronę Francyi, walczyła w jéj szeregach, ale nigdy w jéj sprawie; Bretania odpychając Anglią nie chciała być francuzką; dla tego skoro się wieść rozeszła konfiskaty Bretanii, w téj chwili szlachta i gminy miejskie jednym duchem ożywione wezwały Montforta, a Karol uległ okolicznościom i całą siłę zwrócił na Gwiennę.

Du Guesclin skłoniwszy się do przyjęcia na powrót służby francuzkiéj udał się na dokonanie zdobyczy posiadłości angielskich w południowéj stronie. Zdaje się iż w przeczuciu bli-

skiego zgonu oddalając się rzekł do Karola V. »Nie wiem czy powrócę z miejsca do którego się udaję; bo już jestem stary, ale jeszcze nie znużony. Proszę cię Najjaśniejszy Panie najpokorniéj, zawrzyj pokój z Bretanią, gdyż wojownicy téj krainy wspierali cię szczerze we wszystkich zdobyczach, i nadal toż samo zrobią, jeźli Ci się Panie podoba ich użyć.» W istocie ostatnia to była wyprawa tego bohatyra: przy oblężeniu zamku Randan zachorował, a czując się blizkim zgonu kazał sobie podać szablę, ucałował ją, potém zwracając mowę do swoich starych kapitanów polecił im przedewszystkiém, aby w czasie wojny oszczędzali »kobiet, dzieci, służby kościelnéj i *biednego ludu.*» Dnia 13 lipca 1380 zakończył życie Du Guesclin; dowódca Randanu oddanie zamku na dzień 12 podpisał, jeżeli w tym czasie nie uzyska posiłków; przybywszy do obozu francuzkiego już tylko martwe zwłoki konetabla zastał, na trumnie więc jego złożył klucze twierdzy, oświadczając, iż jemu jednemu się poddaje choć nawet umarłemu.

Du Guesclin śmiercią swoją kończy poniekąd panowanie Karola V, którego za życia był ozdobą, a razem główną podporą. We dwa miesiące późniéj (16 września) Karol V zszedł z tego świata, zostawiwszy berło jedenastoletniemu synowi. Rzut oka na przyszłość nie małéj troskliwości był przedmiotem dla Karola V. W nadziei zapobieżenia wyniknąć mogącym zatargom, postanowieniem na sześć lat przed śmiercią wydaném pełnoletność młodego króla na rok czternasty oznaczył. Blizki zgonu nie ufał rozporządzeniom swoim, trwożliwą przezornością wiedziony, chciwemu i popędliwemu księciu Andegawii posłał rozkaz, aby się nie ruszał ze swojéj prowincyi, niby z obawy napaści Montforta i Anglików, a tymczasem przyzwał do siebie trzech młodszych braci, księcia Bourbon, Burgundyi i Berry i tym trzem objawił ostatnią wolą swoję, tym sposobem mianując ich poniekąd rejentami państwa.

Du Guesclin umarł całując swoję szablę, Karol V równie wierny zatrudnieniom ulubionym całego życia konając dyktował otaczającym go legistom rozporządzenie znoszące podatki

nie zatwierdzone przez stany. Polecił także aby starano się wszelkiemi sposobami zjednać Bretonów przychylność dla Francyi. Du Guesclin z rozkazu królewskiego pochowany został w grobach królów w St. Denis obok Karola V, być może, że głaskanie dumy Bretonów miało także swój udział w przyznaniu tego zaszczytu konetablowi. Monarcha ten umarł dość młodo

(w 44 roku życia swojego), niczego niedokończywszy, zostawił jednak dwie ważne rzeczy, twierdze należycie wzmocnione i pieniądze. Wyliczywszy znaczne summy Anglikom, plądrującym kraj kompaniom, potrafił jeszcze zsypać do kufrów ośm milionów, ogromną summę na owe czasy. Skarb ten zasklepił w murze zamku Vincennes, ale nie syn korzystał z niego.

Karol V nie mógł w słabéj dłoni dźwignąć szabli, a przecież mimo zupełny brak rycerskiéj odwagi wziął górę w tym wieku rycerskim. Wstępując na tron zastał Francyą wycieńczoną, bezładną, poszarpaną w sztuki przez Anglików, spustoszoną przez zbrojne hufce zahartowanych w boju łupiezców; zostawił ją zaś swojemu następcy ożywioną, kwitnącą, zabezpieczoną

w swoich granicach, a co dziwniejsza, wszystko to zrobił w głębi swojego gabinetu, rozprawiając swobodnie z najzaufańszym doradcą swoim Bureau de la Rivière. Przedstawia on typ doskonały królów nowoczesnych, których podówczas Francya nie znała. Pokazał płochym wojakom z pod Crecy i Poitiers co może rozwaga, cierpliwość i wytrwałość. Jeszcze prawda nie jednę przykrą trzeba było przetrwać naukę, ale przynajmniéj cel już był wytknięty i Francya choć zwolna, ale ciągle ku niemu zbliżała się wiedziona ręką Ludwika XI, Henryka IV, Riszeliego i Colberta.

W mamiącym porządku, który podziwiano za Karola V, równie jak w ogólnym systemie czternastego wieku, było cóś wątłego, cóś fałszywego. Nowy monarchizm na którym się wszystko opierało, sam na chwiejącéj się spoczywał podstawie. Pod wpływem legistów wszechwładztwo feodalne zmieniło się w monarchią rzymską, monarchią cesarską. Ustawy wyspy francuzkiéj i orleańskiéj krainy stały się ustawami całéj Francyi. Król pozbawił sił, wytrącił oręż z rąk feodalizmu, a gdy się potém wojna na kraj zwaliła, chciał mu broń zwrócić. Istniał podówczas feodalizm bezsilny, ale dumą nadęty. Była to olbrzymia zbroja choć wewnątrz czcza, groźna przecież i potrząsająca włócznią. Runęła skoro ją potrącono pod Crecy i Poitiers. Wtedy cała nadzieja była w jurgieltnikach, to jest, trzeba było wojnę toczyć srebrem: ale zkąd go brać? Duchowieństwa nie śmiano obdzierać, a przemysł jeszcze się nie wykluwał. Cała mądrość Karola nie potrafiła temu zaradzić: w ostatnich czasach wszystko zdawało się go opuszczać. Takiż sam stan niedołęztwa i odurzałości całą prawie podówczas ogarnął Europę. Rządy państw były w ręku ludzi nieumiejętnych lub przewróconego zdania. Po sławnym Edwardzie III nastąpił płochy Ryszard II, po roztropnym Karolu IV w Niemczech obrany opiły Wacław, po Karolu V mądrym idzie obłąkany Karol VI; Piotr kastylski, Jan Visconti medyolański wyraźne oznaki nieporządku umysłowego okazywali. W Polsce po Kazimierzu W. rejencya Ludwika, wielkiego dla Węgrów monarchy, nie oka-

zywała wprawdzie zawrotu głowy, niemniéj atoli niesforne było jéj działanie.

Młody, dwunastoletni monarcha, odurzony polowaniem i wojną upędzał się raz za jeleniem w lasach Senlis. Lasy Francyi były podówczas gęstsze i rozleglejsze, a klęski ostatnich lat czterdziestu pomnożyły jeszcze zarośla zmniejszając ludność kraju. W czasie tego polowania Karol VI dziwne miał zdarzenie: ujrzał jelenia, który miał nie krzyż jak jeleń Ś. Huberta, ale piękną pozłacaną obrożę na szyi z łacińskim napisem: »Caesar hoc mihi donavit (Cezar mi to dał).« Że jeleń tak długo żył, wszyscy się zgadzali, że to rzecz dziwna i jakiéjś nadzwyczajnéj wróżby. Ale jak pojmować tę wróżbę? Czy to skinienie bozkie, świetne tryumfy swojemu pomazańcowi rokujące? czy też jedno z tych sideł szatańskich w które wróg rodu ludzkiego chwyta dusze, pędzi je pośród przepaści, póki w nich karku nie skręcą? Cóżkolwiekbądź wyobraźnia młodego króla romansami rycerskiemi już rozogniona niesłychanego doznała wstrząśnienia; w wigilią zwycięztwa pod Roosbek widział we śnie tegoż samego jelenia. Odtąd na tarczy herbu swojego umieścił, jako podstawę herbu państwa, figurę nieszczęsną rogatego i trwożliwego zwierza. Nie był to pocieszający widok, królestwo, nakształt zabawki, poruczone rękom dziecięcia: wszyscy nadzwyczajnych spodziewali się wypadków, dziwne zjawiska obudzały tęskne oczekiwania.

Komuż zagrażały te zjawiska? królestwu, czy jego nieprzyjaciołom? Rzadko słabszy był monarcha, ale dotąd nigdy Francya silniejszą nie była. Przez cały wiek trzynasty i czternasty, wpośród klęsk i szczęsnego powodzenia, ciągle naród wzrastał. Po przegranéj pod Courtray, Francya zyskała Szampanią i Nawarrę, po klęsce pod Crecy, zajęła Delfinat i Montpellier; po bitwie nieszczęsnéj pod Poitiers nabyła Gwiennę, Burgundyą, Flandryą. Osobliwsze mocarstwo, któremu się powodziło mimo błędy, co większa przez same błędy. Lecz nie tylko kraj wzrastał, i król coraz więcéj stawał się królem. Panowie lenni złożyli w ręce jego swój miecz sprawiedliwości i oręż

wojenny; gotowi za danym przez niego znakiem siadać na koń i biedz nie pytając się dokąd. Ta potężna siła w którąż się stronę ma obrócić? Na co naprzód uderzyć? W niepewności swojéj wahała się w ręku młodych, nieudolnych a popędliwych.

Naprzód stryjowie i wujowie króla młodego zacięty rozpoczęli spór o rejencyą. Książę andegaweński, jako najstarszy, największe do tego zdawał się miéć prawo, był to jednak pan powszechnie niecierpiany dla swojéj chciwości, twardego i upartego charakteru; Karol V wyraźnie mu nie sprzyjał skoro ostatnią wolę swoję książętom burgundzkiemu, Berry i Bourbon objawił. Utrzymał się wszakże przy swojém prawie książę andegaweński i choć z pewném ograniczeniem rejencya mu przecież przyznaną została. Rozpoczął ją od zagarnięcia na swój użytek sreber i klejnotów królewskich w pałacu Saint-Pol nagromadzonych. Następnie owładnął skarb przez Karola V zamurowany, około ośmiu milionów liwrów wynoszący. Mówią, że strawiwszy czas niejaki na bezskutecznych poszukiwaniach wysłał swojego synowca na koronacyą do Reims, a sam wszedł niespodzianie do pokoju Filipa de Savoisy mając przy boku swoim kata, oświadczył mu iż w téj chwili utraci głowę, jeżeli mu nie wskaże miejsca gdzie skarb ukryty, o którém on jeden tylko wiedział. Savoisy przestraszony uległ przemocy, a skarb natychmiast przeszedł do kufrów księcia andegaweńskiego, poczém sam książę udał się na uroczystość koronacyjną.

Po odbytym obrzędzie wjazd króla do stolicy (1381) był nader świetny, fontanny tryskały mlekiem, winem i wodą różaną, a lud nie miał chleba. Słyszano, że zmarły król zniósł jakieś podatki, tymczasem nowy rejent nakazał ich wypłatę, co stało się hasłem okropnego zamieszania. Pierwszy poborca, który zażądał od zieleniarki złożenia ustanowionéj taxy, padł ofiarą wzburzonego pospólstwa. Przełożony kupców, by zyskać na czasie, zwołał zgromadzenie znakomitszych mieszkańców; przezorność na mało przydała się: ze znakomitszemi przybyło mnóstwo nieznakomitych i wszyscy razem wśród wrzawy niesfornéj zmusili przełożonego, iż ich poprowadził do pałacu·

Książę andegaweński wraz z kanclerzem drżący ze strachu wstąpili na stół marmurowy, w środku dziedzińca stojący, na posłuchania ludu oddawna przygotowany: z tego miejsca zaczęli przemawiać do pospólstwa w celu uśmierzenia rozruchu. Wszystko było próżne. Nazajutrz lud w większéj jeszcze massie zbrojny młotami ołowianemi z ratusza wziętemi, z których nie jeden dwadzieścia pięć funtów ważył, stanął na dziedzińcu pałacowym i w téj chwili rozwiązał pytanie. Rada rejencyjna przerażona widokiem młotników (maillotins); tak nazwano ówczasowych rokoszan, kazała ogłosić zniesienie podatków. Już było za późno; lud chciał doświadczyć nowéj broni, rzucił się więc na bióra poborców, poniszczył spisy i rachunki, zabrał pieniądze i kosztowniejsze sprzęty. Następnie wpadło mu do głowy uderzyć na żydów, którzy spokojnie mieszkali w Paryżu, opłacając królowi znaczne summy za użyczoną opiekę. Napaść ta na rękę była wielu możniejszym panom, wszystkie bowiem rewersa bez śladu zniknęły, a choć po zupełném uspokojeniu rozruchu ogłoszono rozkaz królewski przy odgłosie trąb po rogach ulic, aby każdy zabrane rzeczy i papiery żydom zwrócił, mało się przecież znalazło posłusznych rozkazowi królewskiemu.

Nie w samym tylko Paryżu nędza czuć się dawała, doznawały jéj i inne miasta królestwa, dla tego téż zawichrzenia paryzkie znalazły odgłos w Rouen, Orleanie, Reims i wszystkich prawie miastach koronnych. Dla uspokojenia zbuntowanych zwołano deputowanych do Compiègne, trudna atoli była zgoda, bo miasta o podatkach słyszyć nie chciały; a jak rządzić bez podatków? W końcu jednak trzeba było ustąpić, paryżanie zyskali pokój za wyliczoną summę stu tysięcy franków. Odjazd księcia andegaweńskiego przyśpieszył zgodę. Interesa neapolitańskie już od dwóch lat go wzywały, póki jednak było co do brania w królestwie, póty się nie mógł oderwać od niego: dwóch tych lat użył na odarcie Francyi i kościoła francuzkiego. Wreszcie udał się w drogę obsypany skarbami i złorzeczeniem ludu. Wcześniejsze nieco pojawienie się w Neapolu

byłoby i królową Joannę ocaliło i prawa księcia do tronu poparło, tymczasem gdy on bawił się łupieniem Avenionu i Prowancyi, Karol Duras utwierdzał się w Neapolu, Joanna utraciła życie uduszona materacem, a książę strwoniwszy ogromne summy, straciwszy wojsko głodem i chorobami znękane, sam ze zgryzoty, niektórzy mówią, z zażytéj trucizny życie utracił.

Książę Bretanii, Jan Montfort, wahał się przez czas niejaki między Anglią a Francyą, na przedstawienie jednak Clissona, sławnego towarzysza Du Guesclina, Beaumanoira, również znakomitego wojownika, i wielu innych naczelników bretońskich skłonił się do złożenia hołdu królowi francuzkiemu (15 stycznia 1381) i zobowiązał się dostarczyć posiłków przeciw Anglii, Nawarrze i każdemu innemu nieprzyjacielowi Francyi. Skoro wódz angielski powziął wiadomość o zawartych z Montfortem układach, natychmiast wrócił z wojskiem do Anglii: a tak z rozległych niegdyś posiadłości Edwarda III we Francyi, udziałem wnuka jego pozostało tylko wybrzeże Atlantyku, a mianowicie Calais, Cherbourg, Brest i Bordeaux.

Z trzech stryjów Karola VI najstarszy, książę andegaweński zgubił się szukając korony we Włoszech: drugi, książę Berri, w radzie rejencyjnéj stłumiony wpływem dwóch spółzawodników swoich, książąt Andegawii i Burgundyi, utworzył sobie władztwo udzielne na południu rządząc samowolnie w Langwedocyi i Gwiennie i nietroszcząc się o resztę. Trzeci, książę Burgundyi, pozbywszy się dwóch wyżéj namienionych, swobodnie mógł kierować królem i królestwem. Flandrya miała być jego dziedzictwem, jako spadek żony, tam przeto powiódł króla, by stłumić powstanie prawom jego grożące.

Wybuchy wewnętrznych zawichrzeń objawiały się w tym czasie (1380—1382) po wszystkich kątach świata chrześciańskiego. Nie zdaje się aby jakikolwiek między niemi był związek, choć zakonnik opactwa Ś. Dyonizego będąc w Londynie miał odebrać ostrzeżenie: »Wiedz, że we Francyi cóś okropniejszego nastąpi i to wkrótce.« W istocie powstania po różnych stronach wybuchłe prawie jednocześnie, wszystkie jednakowąż sro-

gością napiętnowane, mogły naprowadzić na domysł ogólnéj zmowy, przynajmniéj między sąsiedniemi narodami; odmienne atoli przyczyny tych buntów, różne ich cele, bezzasadnemi czynią wszelkie przypuszczenia tajemnych związków. W Langwedocyi chłopi powszechnym uciskiem panów swoich do rozpaczy przywiedzeni, rzucili się na wszystkich którzy nie mieli rąk ciężką pracą stwardniałych, i mordowali nielitościwie szlachtę i księży. W Anglii dekarz stanął na czele wzburzonego pospólstwa, powiódł je do Londynu, domagał się od króla zniesienia poddaństwa chłopów, nic więcéj nie zamierzał tylko przywrócić pierwiastkową równość, kiedy Ewa przędła, Adam zaś ziemię kopał. We Flandryi, w kraju nieprzerwanych zawichrzeń, zawiść dwóch zamożnych miast rozpaliła pochodnią wojny domowéj, którą sam hrabia Ludwik de Mâle niechcący rozżarzył. Bruges, pierwszy wówczas kantor chrześciaństwa, miasto wielkie i bogate, rozciągnęło do koła nielitościwe monopolium, owładnęło dwadzieścia cztery miast sąsiednich, za pozwoleniem hrabiego skierowało rzekę Lys do swojego kanału. To oburzyło Gandawian, którzy rzekę Lys za swoję uważali. Gand, w dogodniejszém położeniu, ludniejsze, do boju pochopniejsze, znalazło sprzymierzeńców czynnych w Ypres i Courtray; Leodium, Bruxella i cała Hollandya sprzyjała Gandawianom. Filip Artevell, syn sławnego Jakoba, równie jak on przebiegły i śmiały przywodził w Gandawie i gnębił Bruges.

W Rouen kompanie miejskie wsadziły na wóz opasłego sukiennika, i jakby na tronie siedzącemu kazały być królem. Biedny człowiek chcąc nie chcąc musiał słuchać rozhukanéj tłuszczy widząc topor nad karkiem: zniósł podatki i poborców zemście ludu poświęcił. Trwoga była niemała; szlachta wszędzie w jednymże czasie zaczepiona, nie wiedziała kogo się trzymać. »Lękano się, mówi Froissart, aby szlachectwo nie zaginęło.» Księciu burgundzkiemu szło jedynie o Flandryą. Rouen w trzech dniach uspokojone, naczelnicy buntu śmiercią ukarani. W Paryżu zamożniejsi mieszkańcy pojednali się z królem, lecz zbrojny lud tak groźną jeszcze zachował postawę, iż zemstę trzeba było do przyjaźniejszéj odłożyć pory, a spieszyć do Flandryi.

Wojna w téj bogatéj krainie niesłychaną miała ponętę dla wojowników: całe massy Burgundów, Bretonów, Normandów spieszyły pod chorągwie królewskie. Postrach padł na miasta flandryjskie, jedne po drugich otwierały bramy. Gandawianie samym sobie zostawieni śmiało jednak wystąpili w pole pod Rosbek, a nie mając jazdy powiązali się mocno między sobą, aby ich rycerstwo francuzkie nie tak łatwo rozbić mogło. Ta przezorność była ich zgubą, ściśnięci ze wszech stron, nie pobici, lecz w massie zduszeni zostali. To zwycięztwo zawróciło głowę młodemu królowi, posłyszawszy że w Courtrai znajdowało się kilka set ostróg rycerzy francuzkich, kazał mieszkańców w pień wyciąć. Takiém powodzeniem zapalony Karol chciał daléj postąpić, lecz już pora była spóźniona, a Gand mocno obwarowane; trzeba więc było wracać, tém bardziéj, że Paryż uspokojony łatwiejsze obiecywał łupy. Jakoż zą powrotem króla rozpoczęły się krwawe sceny: naprzód skazano przywodców buntu, za temi poszli ludzie spokojni, którzy najwięcéj przyłożyli się do uśmierzenia rozruchu, na resztę nałożono ciężkie kary pieniężne, pod tytułem okupu. Podatki podwyższono, dochody miejskie przeszły do skarbu koronnego, nikt na to ani mruknął, nie było bowiem miasta, przełożony kupców (prevôt) skasowany, a tém samém i ławnicy i gmina zniesiona. Podobnegoż losu doznały miasta Rouen, Reims, Châlons, Troyes, Orleans i Sens, wszystkie okupić się musiały. Większa atoli część tych summ dostała się do kieszeni możnych panów, w skarbie mało co zostało; lecz zostały skutki ważne: zuchwalstwo szlachty nadętéj zwycięztwami pod Rosbek i w Paryżu, odurzenie młodego króla, który odtąd na wszystko był gotów.

W następnym roku (1383) umarł hrabia flandryjski Ludwik de Mâle, zięć przeto jego książę burgundzki, Filip śmiały, stryj Karola VI, odziedziczył hrabstwo. Flamandczycy przez zawziętą nienawiść ku Francuzom rozgłosili, że książę Berry sztyletem odebrał życie hrabiemu; na to nie ma dowodów, lecz gdyby tak było, książę mimowolnie wyświadczyłby wielką przysługę bratu swojemu. Filip nie miał żadnéj do Flamandczyków urazy, dla tego wnet ich uspokoił. Przyzwolił na wszystko, czego

tylko żądali, zaprzysiągł wszystkie przywileje, jakie mu przedłożyli, dla niego istotą rzeczy było czémprędzéj odziedziczyć spadek teścia, przez co stał się niemal drugim królem Francyi.

Już też Karol VI minął epokę pełnoletności przez ojca ustanowioną, rejencya zgubna była dla kraju, nie miła dawnym doradcom Karola V, szukali przeto sposobów skłonienia młodego króla do pozbycia się opieki. Zawiść książąt Burgundyi i Berry, krzyżująca wszelkie zamiary i działania rządu, usunięcia ich dla dobra kraju koniecznie wymagała. Wreszcie Karol VI doszedłszy dwudziestego roku życia zwołał zgromadzenie stanów do Reims (1388), podziękował stryjom za ich trudy, kazał im udać się do swoich prowincyj, oświadczając, iż odtąd sam już sprawami państwa kierować będzie. Jan le Mercier, Bureau de la Rivière, Piotr Ancelin, Montaigu, radcy Karola V, przywołani do styru rządu, w duchu sprawiedliwości i łagodności władać zaczęli. Dla młodego atoli króla nudne były zatrudnienia administracyjne, głowa jego zapalona wyobrażeniami wojny wymagała koniecznie jakiéj wyprawy; wnet sposobna do niéj nastręczyła się pora.

Dnia 15 czerwca 1392 konetabl Clisson późno w nocy wracał z pałacu Saint-Pol, w którym świetną wyprawiał król ucztę: niespodzianie napadnięty przez najętych od księcia Bretanii siepaczy, ugodzony w głowę, szczęśliwym trafem ocalony. Król zawiadomiony w téj chwili o wypadku pośpieszył na miejsce, a lubo zastał konetabla wracającego do przytomności, przecież gniewem uniesiony poprzysiągł zemstę nad księciem Bretanii. Wojna postanowiona, Karol rycerstwu swojemu za punkt zebrania się wskazał Mans, dokąd także książęta Berry i Burgundyi wezwani zostali. Nie do smaku było stryjom królewskim że pacholiki (*), nie zasięgnąwszy nawet ich zdania, tak ważną przedsięwzięli wojnę. Krótko przed wybraniem się na wojnę Karol chorował na febrę i jeszcze ze wszystkiém nie przyszedł do

(*) Przez pogardę stryjowie królewscy ministrów zaufanie króla mających, nazywali *marmousets*, co zdaje nam się odpowiadać wyrazowi, któregośmy użyli.

zdrowia. Jakaś dziwna zmiana zaszła w jego temperamencie: to był milczący, osłupiały, to znowu szybko i wiele rozprawiał bez związku. W ciągu pochodu wpadło mu raz do głowy (5 sierpnia 1392) uszykować wojsko swoje w porządku bojowym i tak postępował aż do szpitala w środku lasu będącego: wtém wybiega z lasu człowiek straszny z wejrzenia, w nędzną płócienną bluzę przybrany, chwyta konia za cugle i woła:

»Nie posuwaj się daléj, szlachetny krolu, zdrada!« to rzekłszy zniknął. Karol zmieszany, opuścił ręce i w milczeniu zwolna

daléj postępował. Wychodząc z lasu na błonie piasczyste orszak królewski posuwał się w najgłębszém milczeniu, aż tu rycerz zdrzymawszy się z nieznośnego upału puścił z rąk kopią, która padła na szyszak królewski w ręku pazia będący. Zerwał się Karol, wsparł konia i z szablą w ręku uderzył na nieszczęśliwego rycerza, krzycząc z całego gardła: »zdrada!» ubiwszy tego, zwrócił się na innych, rąbiąc w prawo i w lewo póki nie padł na ręce swojéj straży przybocznéj. Dostał obłąkania zmysłów.

W takim stanie rzeczy nie można było mysléć o wojnie bretońskiéj, król odzyskawszy nieco przytomność wracał do stolicy. Stryjowie go nie odstępowali, co chwila mając nadzieję owładnięcia nowéj rejencyi. Opanowany od nich Karol musiał im poświęcić swoich pacholików (marmousets), wszyscy wygnani zostali ze dworu, z warunkiem nie zbliżania się do niego o mil piętnaście. Clisson przewidując takowe obroty wcześnie oddalił się do Bretanii, sam na czele swoich przyjaciół i wazallów poszukując zemsty nad księciem. Książę burgundzki chcąc ze swojéj strony wesprzéć Montforta przywołał Clissona, a odmówną odebrawszy odpowiedź, pozbawił go stopnia. Karol w chwili przytomności umysłu poprawiając niesprawiedliwość stryja zwrócił Bretończykowi szablę konetabla.

Zdawało się że król już był na drodze zupełnego wyzdrowienia: Paryżanie szczerze kochający króla nie posiadali się z radości, modły dziękczynne po wszystkich składano kościołach, nastąpiły uczty, zabawy, ognie sztuczne: krótka atoli była pociecha, nowe zdarzenie nie tylko wróciło królowi słabość, ale ją jeszcze pogorszyło. Królowa wyprawiała gody weselne jednéj z dam swoich niemieckich, że zaś była to wdowa, zabawa przeto, według owoczesnego zwyczaju, połączona była z pewnym rodzajem wolniejszéj maskarady. Chcąc innych przewyższyć w żartach król przybył na ucztę przebrany za satyra wraz z czterema innymi panami. Obszyci w płótno napuszczone żywicą poprzylepiali sobie do koła kudły z pakuł porobione, aby tém podobniejsi byli do kozłów: w takiém przebraniu po-

wiązali się łańcuszkami dla nierozrywania zabawy. Brat królewski książę Orleanu wraz z hrabią Baru później przybywszy na zabawę powzięli myśl nieszczęśliwą dla spłoszenia dam podpalić pakuły. Król podówczas rozmawiał z młodą księżną Berry, małżonką starego stryja swojego; ta ujrzawszy jak błysły pakuły, zasłoniła króla płaszczem swoim, póki pomocy nie dano i tak uratowała monarchę, drudzy bowiem palili się bez ratunku gdy się żywica zajęła, i w trzy dni wszyscy pomarli. Król ocalał, lecz widok ten tak mocno go przeraził, iż obłąkanie daleko gwałtowniejsze jak pierwéj wróciło. Zaparł się własnéj osoby, już nie chciał być Karolem, ani królem, utrzymywał, że nigdy nie miał ani żony, ani dzieci, niszczył herby, jeżeli w nich spostrzegł lilie. »Nazywam się Jerzy, mówił, herbem moim jest lew mieczem przeszyty.«

Modły za zdrowie króla rozlegały się po kościołach; lecz obok ofiar składanych Bogu, doświadczano także szatana. Była to właśnie epoka w któréj tajemnicze nauki niepojęty na wszystkie stany rozlewały urok. Astrolog z gwiazd sylabizował przeznaczenie ludzi, na niebie czytał wypadki ich działań, z planet zbierał wątek do swoich horoskopów. Świadomy przyszłości mędrzec niezbędnym królów i możnych panów był towarzyszem i nieznającym oporu doradcą. Du Guesclinowi udającemu się na wyprawę Karol V dodał swojego astrologa. Wynędzniały nad tyglem alchemik, ostatniego tchu dobywał w nadziei wyprażenia czystego złota, wytopienia napoju zdrowia, napoju wiecznéj młodości. Już stopił swoje sprzęty, spalił w tyglu księgi, spaliłby i dzieci, gdyby mu pożądana zabłysła nadzieja. Szczęśliwy Flamel (*) podżegał chuci, odurzał zacie-

(*) Kościół Ś. Jakóba był parafią rzeźników i lombardów, parafią pieniędzy i żywności: był to Ś. Dyonizy, Westminster bractw, rzeźnicy do tego jedynie wzdychali, aby tam mogli być pogrzebani. Było to schronienie, którego nikt bezkarnie nie poważył się naruszać. Przebiegły Flamel pisarz, ani przysięgły, ani upoważniony od uniwersytetu, pod tarczą Ś. Jakóba założył swój kantor. Tu on przeżył trzydzieści lat

kłych badaczów. Napróżno sławny wówczas doktór Jan Gerson powstawał przeciw niebezpiecznym dla religii umiejętnościom, przeciw astrologii i alchemii: zawód jego był trudny, umiejętności przyrodzone zbliżały się do wieku swojego *odrodzenia* (renaissance). Z natury rzeczy wypadało, że skoro zwyczajni lekarze przywrócić pożądanego zdrowia królowi nie mogli, szukano środków nadprzyrodzonych. Przyzwano z Langwedocyi człowieka nadzwyczajnego, który pościł, nocy bezsenne trawił, nie dla nabycia świątobliwości, lecz dla osiągnięcia władzy nad planetami. Nauka jego zamknięta była w księdze zwanéj *Smagorad*, któréj oryginał dany był Adamowi na pociechę po stracie Abla. Księga nic nie pomogła Karolowi, równie jak Adamowi. Udano się więc do dwóch Gaskończyków, pomieszczono ich w Bastylii, dostarczano czego tylko żądali, między innemi proszku z pereł, z którego sporządzili napój dla króla. I to nic nie pomogło, owszem niedorzeczne środki pogorszały złe, tak iż sam król czując zbliżający się napad kazał odebrać sobie nóż, ze łzami w oczach mówił, iż wolałby umrzéć, aniżeli cierpiéć nieznośne boleści, jakie mu wówczas dokuczały. Wszyscy płakali, skoro król odezwał się do otaczających: »Jeżeli jest między wami sprawca moich cierpień, zaklinam go w imię Zbawiciciela naszego, niech mnie dłużéj nie dręczy, niech lepiéj dokona swojego, abym prędzéj umarł.«

---

w budzie pięć stóp długiéj, trzy szerokiéj i tak zręcznie korzystał ze swojéj pracy, przezorności i przemysłu, że po śmierci jego same transakcye dóbr przez niego nabytych, większego od budy potrzebowały kufra. Z początku jedynym jego skarbem było pióro i piękny sposób pisania; następnie ożenił się ze starą kobietą Petronellą, która miała nieco pieniędzy. Od tego czasu obok przepisywania rękopismów, za które drogo płacono, sporządzał zapewne innego rodzaju pisma, co mu nie trudno było w cyrkule zamieszkałym przez żydów i lombardów. Kiedy żydom ustępować kazano, Flamel nabył za bezcen kilka domów, które późniéj na domy zajezdne zamienił, przestając na małéj opłacie. Tym sposobem ze wszystkiego umiejąc korzystać, ze wszystkiego zbierał pieniądze i nabył wziętości alchemika.

Niestety! mówili poczciwi ludzie, jakże tak dobry król przyciśniony ręką bożką i wydany złym duchom? A przecież on nic złego nie zrobił. Nie był dumny, odkłonił się każdemu, pozwolił z sobą rozmawiać do woli; nie odstręczał nikogo. Ubierał się skromnie, nie po królewsku, lecz jak pospolity człowiek. Ah, gdyby miał zdrowe zmysły, i miasto i królestwo lepiéjby na tém wychodziły. W każdym razie, skoro tylko odzyskiwał przytomność, starał się cóś dobrego zrobić, złemu zaradzić. W jakimkolwiek zaś stanie był, zawsze z radością przyjmował mieszczan paryzkich. »W jednym tylko przełożonym kupców i moich mieszkańcach paryzkich pokładam zaufanie» mawiał pospolicie.

Lud paryzki pragnął jak najczęściéj oglądać swojego monarchę, lecz nie zawsze życzenie przywiązanego ludu spełnione być mogło: wtedy w schronieniu pałacu Saint-Pol, lub w bibliotece Louvru zabawiano króla, dając mu w ręce malowane figury, z których powstały karty do grania (*). Dziwna rzecz,

(*) Karty znane były we Francyi przed Karolem VI. W poemacie *Le Renard contrefait* (Lis podrzeźniany) z roku 1328, pierwsza o nich jest wzmianka. We Włoszech jednak znane już były około roku 1299. Karty zdają się być wynalazku wschodniego i, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, przez cyganów dostały się do zachodniéj Azyi i północnéj Afryki, a ztamtąd do Europy. We Włoszech nazywały się początkowo *Naibi*, w Portugalii *Naipes*, toż samo i w Hiszpanii. Wyraz ten w narzeczach wschodnich ma oznaczać przewidzenie, wróżbę. Nie miałożby to styczności ze znaném cyganów rzemiosłem wróżenia, przejętém z bałwochwalczych tajemnic wschodniéj Azyi? Początkowo karty były od ręki malowane. Filip Marya Visconti, książę medyolański, za talią kart malowanych zapłacił tysiąc pięć set sztuk złota w roku 1430. Niemcy przypisują sobie wynalazek kart drukowanych, między 1350—1360. Weneccy malarze kart w roku 1441 podali do rządu swojego przedstawienie żaląc się na kupców zagranicznych, którzy im szkodzą wprowadzając karty drukowane. Niemcy obdarzeni szczególnym talentem systematyzowania obcych wynalazków, zaprowadzili do kart rozmaite zmiany. Oni przypisują sobie podział na cztery kolory i pierwotne ich nazwiska, serce (czerwień, coeur), zielone (winо, pique), żołądź (trèfle), dzwonki

mimo obłąkanie Karol jednak rządził, podpisywał postanowienia i zdawał się być wszechwładnym. Najrozsądniejsi doradcy jego czatowali na chwilę przytomności umysłu, aby mu podsuwać najważniejszę wyroki. W takim to stanie, zyskali podpis rozkazu królewskiego, zawieszającego władzę Benedykta XIII, by raz zakończyć gorszącą schizmę kościoła. Benedykt atoli wzgardził wyrokiem i siłę odparł siłą.

Karol VI, bez względu na stan zdrowia był zawsze królem, potężnym królem, niemal głową chrześciaństwa; Medyolan; Florencya, Genua pod jego uciekały się opiekę; cesarz niemiecki Wacław szukał jego pomocy, a Ryszard król angielski zagrożony od możnych panów swojego kraju, tych samych, których od zagłady uratował w czasie buntu gmin miejskich i wiejskich, mniemał, że w przymierzu z tak znakomitym królem najdzielniejszą znajdzie podporę. Zawarł więc pokój z Francyą (1396) ustąpieniem Brestu i Cherbourga okupiony, a zaślubieniem córki Karola umocowany.

Pokój z Anglią dozwolił panom francuzkim spełnić oddawną powzięte życzenia nowéj krucyaty. Nie trzeba téż było daleko szukać niewiernych, oni sami postępowali naprzód na spotkanie chrześcian, okrążali Konstantynopol, tłoczyli się w granice węgierskie. Mówiono, że Bajazet *piorun* (Hilderim) przysiągł, iż w Rzymie paść będzie konia swojego. Mnóstwo znakomitéj szlachty zebrało się na tę wyprawę: konetabl, czterech książąt familii królewskiéj, nie mała liczba imion znakomitą wziętością słynących przyjęła w niéj udział. Dumny książę Burgundyi wyjednał dowództwo dla syna swojego księcia Nevers, młodzieńca dwadzieścia dwa lat liczącego. Młodzież szlachecka,

---

(caro). Figury jednak mieli Francuzi wynaleźć i to właśnie w téj epoce dla zabawy Karola VI. Najulubieńszą wówczas grą we Francyi miał być *Lansquenet*, wyraźne przekręcenie niemieckiego landsknechta. Czy atoli ówczasowy pachołek łupił paniczów kieszenie podobnie jak dzisiejszy, historya nie wspomina, domyślać się jednak nie broni. Panicze tak się wówczas nudzili jak i teraz.

dla któréj to pierwsza miała być próba w rycerskim zawodzie, rozwinęła szalony zbytek: chorągwie, proporce, czapraki. złotem i srebrem błyszczały, namioty były z atłasu zielonego, stołowe nakrycie srebrne na wozach gościńcem, a najwyborniejsze wina na statkach Dunajem ciągnęły za wojskiem. Roje kobiet i dziewcząt snuły się po obozie. Król węgierski, nie jedną już klęską w téj wojnie wyćwiczony, prosił, aby Węgrów zostawiono w przedniéj straży; nie mogło się na to zgodzić rycerstwo: przednia straż była stanowiskiem honorowém, z największym przeto zapałem rycerstwo krzyżowe starło się pod Nicopolis (1396) z hufcami Bajazeta. Pierwsza linia złamana, Janczarowie oprzéć się nie zdołali natarczywości Francuzów, lecz przezorny i szczęśliwy Bajazet wystąpił z odwodem czterdziestu tysięcy wojska, zbyt zapędzonych rycerzy oskrzydlił, część do niewoli zabrał, część na placu trupem położył. Z jeńców, najznakomitszych panów, księcia Nevers, konetabla, marszałka Boucicaut i dwudziestu czterech innych, za okupem dwóchkroć stu tysięcy dukatów wyzwolił, resztę w ich obecności wyciąć rozkazał, miało ich zaś być w ogóle dziesięć tysięcy.

Choroba króla coraz się pogorszała, w roku 1399 siedm wycierpiał napadów. Filip *śmiały* od ośmiu już lat jak miał władzę w ręku, przyuczył młodszego brata swojego, księcia Berry, jeżeli nie do zupełnéj uległości, tedy przynajmniéj do pewnéj względności; w téj atoli chwili wystąpił nowy i bardzo dla niego niebezpieczny spółzawodnik. Tym był Ludwik orleański brat Karola VI, którego młodość i płoche obyczaje długo od spraw państwa usuwały; teraz sięgał on już trzydziestego roku wieku swojego. Żona jego nadobna i uprzejma Walentyna medyolańska, była jedyną z dam dworu, któréj Karol pozwalał zbliżać się do siebie, a jéj miły wpływ był tak silny na chorego monarchę, że lud obwiniał ją o zaczarowanie króla. Ludwik dotąd sam dobrowolnie trzymał się w oddaleniu zajęty nauką i zabawami, dziwaczne to połączenie samo przez się maluje ten umysł wykwintny, żywy i niespokojny. Przy samym schyłku czternastego wieku znudzony życiem la-

twém, wygodném, ale bezczestném, zaczął dobijać się o rolę, którą mu urodzenie przeznaczało w rządzie nie będącym ani rejencyą, ani panowaniem; od téj pory zaczęła się ciągła walka między synowcem i stryjem. Powodu do swarów nie brakło, zwłaszcza, że Ludwik raz przybrawszy rolę sporną z dziecinnym ją zapałem utrzymywał. Oświadczył się za Wacławem złożonym z tronu przez rzeszę niemiecką, dla tego jedynie, że Filip był przeciw niemu. Pragnął koniecznie położyć kres schyzmie kościelnéj przez skłonienie awenionskiego papieża do zrzeczenia się swojéj godności, lecz że Filip tegoż samego był zdania, książę orleański stanął w obronie papieża awenionskiego. Ryszarda strącił z tronu syn księcia Lankastra hrabia Derby (1399), Ludwik pobudził całą szlachtę przeciw nowemu królowi Anglii, pod pozorem opieki nad synowicą swoją, owdowiałą małżonką po zamordowanym Ryszardzie, dla tego że książę Burgundyi nie chciał zadzierać z następcą Ryszarda. Podporę takowych wyskoków znajdował naprzód w małżonce swojéj Walentynie, silnéj przychylnością króla, powtóre w królowéj Elzbiecie (Isabeau), którą wprowadził do rady państwa, wszedłszy z nią w poufalsze stosunki, od chwili gdy ją król znienawidził: tak przynajmniéj pokątnie rozgadywano.

Śmierć Filipa (1404) zmieniła postać rzeczy. Książę Nevers, Jan, zwany *bez trwogi* (sans peur), odziedziczył Flandryą i Burgundyą, a z niemi i politykę ojca swojego. Jeniec pod Nicopolis do zatargów politycznych wplątał osobistą nienawiść: szepty bowiem dworskie obwiniały Ludwika o zakradnięcie się do serca księżnéj Nevers. Jan przybywszy do Paryża ujrzał całą władzę w ręku królowéj i księcia orleańskiego, spokojnie na pozór przyglądał się obrotom rządu, a w gruncie rzeczy dybał tylko na sposobną porę, w przekonaniu, że rozrzutność i płochość Ludwika nie długo mu ją nastręczy. Jakoż ciężkie podatki a nierozważnie marnowane oburzyły lud, Jan stanął na czele nieukontentowanych, ściągnął wojska swoje i posiłki sprzymierzonych. Już obadwa wojska stały gotowe do boju pod Montfaucon, gdy książęta nie ufając siłom własnym nawzajem,

pogodzili się. Nie pierwsze to było pojednanie, równie jak poprzedzające nieszczere; dwa lata przecież ciągnęła się swarliwa zgoda. Te codzienne zatargi znudziły wreszcie księcia burgundzkiego. W jesieni 1407 r. Ludwik słaby bawił w pałacu swoim Beauté, Jan odwiedził go i przywiódł z sobą do Paryża, gdzie dnia 20 listopada razem słuchali mszy i razem obadwa przyjmowali kommunią św. a dnia 23 tegoż miesiąca książę orleański wracając z wieczoru od królowéj, napadnięty przez zaczajonych siepaczy zamordowany został.

W obec tak okropnego nieszczęścia zamilkła wszelka nienawiść. Przez trzy dni wszystkie władze zasmucone, niczém innem się nie zajmowały tylko wykryciem sprawcy tak haniebnéj zbrodni. Wreszcie przełożony Paryża oświadczył w radzie królewskiéj, iż go wynajdzie skoro mu wolno będzie zarządzić śledztwo w pałacach książąt rodziny. Na te wyrazy książę burgundzki zbladł, a wziąwszy na stronę księcia Berry: »To ja, rzekł, szatan mnie skusił.« Zewsząd wzniosły się skargi przeciw niemu. Walentyna łzami zalana padła do nóg króla sprawiedliwości i zemsty błagając. Książę burgundzki zuchwale stawił czoło przeciw oburzeniu powszechnemu, lecz gdy idąc na radę królewską zastał drzwi zamknięte, wtedy postanowił ujść grożącego mu niebezpieczeństwa i schronił się do hrabstwa Artois.

Ludwik orleański, tak młodo zgasły, kochany i żałowany powszechnie, czém sobie zasłużył na takowe względy? Zgon jego opłakiwały kobiety, to rzecz naturalna, był to mężczyzna piękny, przystojny, miły: lecz go żałowali duchowni, ludzie pobożni... a przecież był to wielki grzesznik. W uniesieniach młodości okropnie uciskał lud, a lud go przeklinał i opłakiwał. Za życia wiele łez wycisnął, więcéj jeszcze po śmierci. Gdybyś się zapytał Francyi, czy ten młody człowiek godzien był takiego przywiązania, Francya odpowiedziałaby: kochałam go. Kocha się zaś nie tylko za to co jest dobre! kto kocha, kocha wszystko i błędy nawet. Książę Ludwik podobał się takim, jakim był, z mieszaniną złego z dobrem. Francya nie zapomniała, że

nawet w błędach jego widziała wykluwający się ten miły i świetny dowcip, umysł nie surowy i poważny, ale lekki, uprzejmy, łagodny; duch odrodzenia (de la renaissance), który się objawiał w jego synu Karolu orleańskim, poecie (*), w jego bękarcie Dunois, w jego wnuku, dobrym i łaskawym Ludwiku XII.

Ten duch, czy ganić, czy chwalić zechcesz, nie jest on przecież duchem pewnego czasu, duchem wieku, lecz duchem Francyi saméj. Przekroczywszy twardy, średni wiek gocki, pierwszy raz ujrzała się tém, czém jest w istocie: zwinną, lekką, swobodną, w marzeniach nawet ujmującą. Francya w osobie księcia siebie ujrzała i ubóstwiała. Ludwik był niejako ostatniém dziecięciem, najmłodszém, najmilszém; dziecięciem któremu wszystko wolno, które może wszystko niszczyć, tłuc: matka łaje, ale się przymila... Francya lubiła tę piękną głowę, która zawracała głowy kobiet; lubiła ten umysł śmiały, który mieszał uczonych.

Ludwik orleański mimo płochość swoję, mimo próżne światowe miłostki, wznosił ducha czystéj miłości do Boga. Szczególniéj polubił klasztor Celestynów, u nich miał osóbną celę do któréj nieraz śpieszył wyrwawszy się z łona rozkoszy. Tam on wraz z zakonnikami modlił się w dzień i w nocy, tam z nimi skromne podzielał objady: przy ich kościele wzniósł kaplicę, w któréj zwłoki jego wśród powszechnego łkania ludu pochowane zostały. Płakali przyjaciele i wrogi łzy ronili. Dziwna moc śmierci! Ona objawia życie człowieka. Żyjącego każdy z jednéj strony tylko widzi, w miarę jak mu pomaga lub zawadza: niechże skona, wnet objawia się pod tysiączną postacią, występują na widok wszystkie węzły jakie go ze światem łączyły. Ludwik miał zapewne wady, lecz właśnie też dla tego tak powszechnie go żałowano; przez to bowiem tém więcéj należał do ułomnego człowieństwa, podobniejszym był do ogółu.

(*) Ludwik orleański był także poetą, jeżeli prawda, że wierszem opiewał skryte piękności księżnéj burgundzkiéj.

Wszyscy w tym uroczystym momencie przebaczali mu wady, bo wszyscy czuli, iż także ulegają wadom. Nikt zapewne nie miał tyle powodów utyskiwania na księcia orleańskiego jak małżonka jego Walentyna; ona go zawsze szczerze kochała, a on zawsze kochał inne: mimo to ona go najwięcéj usprawiedliwiała; wzięła do siebie jak własne dziecię dorywczego syna męża swojego, kochała go jak swoje dzieci, więcéj nawet. Nie raz widząc w nim tyle dowcipu i zapału, ściskała go mówiąc: »Ty będziesz mścicielem twojego ojca!« Żałosna wdowa nie doczekała się sprawiedliwości: nie miała nawet téj pociechy, aby mu na grobowcu kamień prosty pod głowę położyła, jak tego żądał w testamencie na parę lat przed śmiercią napisanym; nim nadszedł czas złożenia żałobnego ubioru Walentyna zstąpiła do grobu.

Wszystko czas zaciera: wnet umilkły żale, książę burgundzki zebrawszy w Amiens trzy tysiące zbrojnego ludu wrócił do Paryża, a mieszkańcy widząc moc w ręku mordercy księcia orleańskiego witali go z zapałem, wołając: *Noël!* wyraz, którym wjeżdżających do miasta z tryumfem królów pospolicie wówczas witano. Wyskokiem niewczesnéj radości nie dał się odurzyć Jan bez trwogi, widział on stronnictwo orleańskie dość silne, które go na przekorę przydomku trwożyło; wszelkiemi więc środkami starał się o zgodę. Zgon Walentyny ułatwił pojednanie, które nastąpiło w uroczystym obrzędzie w katedrze w Chartres (9 marca 1409). Karol orleański, syn Ludwika, łzami się zalał wymawiając formułę przebaczenia. Błazen księcia burgundzkiego wracając z Chartres stał się w swoim sposobie tłumaczem uczuć powszechnych: wziął on patynę, po francuzku pokojem kościelnym zwaną (paix d'église) i schował ją za futro wołając, że trzyma pokój w lisią skóre obszyty (la paix fourrée).

Wiedział także i Jan co trzymać o ceremonii 9 marca, wróciwszy więc do Paryża, naprzód kazał ściąć Jana de Montaigu nadzorcę finansów, przychylnego królowéj i nieboszczykowi księciu. Delfinowi córkę swoję zaślubił, królowéj straż odjął,

na królu wymógł pewny rodzaj zrzeczenia się i przeniesienia władzy na Delfina. Samowolność księcia oburzyła cały dwór królewski, utworzył się przeciw niemu związek, do którego należeli książęta orleańscy, książę Bourbon, Berry i Bretanii, konetabl Albret i sławny Bernard Armagnac, który oddawna stał na czele stronnictwa orleańskiego (1410). Karol orleański pojął w małżeństwo córkę Bernarda, który przez to samo został niejako wodzem stronnictwa, najsilniejszą, ale oraz najstraszniejszą jego podporą.

Odtąd zaczyna się okropna epoka dla Francyi, pasmo krwawych wojen, morderczych zaburzeń, zbrodniczych zamachów, chwila poniżenia narodu. Bernad stanął na czele dziesięciu tysięcy wojska, któremu dał na znak odróżniający szarfę białą przez prawe ramię, kolor familii Armaniaków: Jana żołnierze mieli czapki błękitne i krzyż Ś. Andrzeja. Nie przyszło wszakże do wojny w tym momencie, za staraniem księcia Berry zawarto zgodę dnia 2 listopada w Bicêtre. Przymierze to równie wątłe być miało jak wszystkie poprzednie; książę burgundzki prędzéj czy późniéj winien był spłacić dług krwi, którego brzemię na nim ciążyło. W roku następnym (10 sierpnia 1411) Karol orleański domagając się od niego rachunku śmierci ojca swojego posłał mu wyzwanie do Douai. Jan odrzucił wezwanie i postanowił utwierdzić władzę swoję w Paryżu przez utworzenie strasznéj milicyi. Podał Karolowi VI do podpisu postanowienie nakazujące pobór pięciu set ludzi, tak zwanéj milicyi miejskiéj, któréj urządzenie powierzył wielkim rodzinom rzeźników Legoix, Thibert, Saint-Yon, możnowładcom miejskim, którzy od początku trzynastego wieku w ciągłym spadku, syn po ojcu, dzierżawili wszystkie jatki miejskie. Ci wybrali do téj milicyi samych czeladników rzeźniczych i oprawców, którzy raz uzbrojeni chodzili po ulicach zabijając kto im się tylko nie podobał. Dość było krzyknąć, »to Armagnac!« wnet go sprzątnęli. Gaskończycy Bertranda z swojéj strony w odwecie okropną roznosili pożogę w Pikardyi, Vermandois i aż pod bramami Paryża.

Wśród tych zaburzeń Delfin postanowił wyłamać się z pod władzy teścia swojego, księcia Burgundyi, która mu codzień przykrzejszą się stawała. W jego imieniu des Essarts, przełożony paryzki, owładnął Bastylią (28 kwietnia 1413), lecz w téj chwili wybuchło powstanie w mieście. Simon Caboche, rzeźnik szpitalny, stanął na czele milicyi, des Essarts wraz z wielą przyjaciołmi Delfina został haniebnie zamordowany, a Delfin podpisać musiał postanowienie zwane kaboszyjskiém, od imienia tego który je ułożył. Krwawa milicya Cabocha do rozpaczy przywiodła Paryżanów, z radością więc przyjęli Karola orleańskiego, który miał koniec położyć nadużyciom. Wnet nadbiegł Bernard Armagnac ze strasznymi Gaskończykami, a Paryż ujrzał, iż zmieniając pana nie zmienił losu. Bernard srogo wetował prześladowania milicyi Cabocha. Mieszkańcy równie drżeli na widok armaniackiéj szarfy, jak dawniéj przed błękitną czapką burgundzką i toporem Cabocha.

W czasie tych okropności nowa na Francyą padła klęska. Po zgonie Henryka IV, monarchy pełnego rozwagi i zimnéj krwi wstąpił na tron Henryk V, umysł niespokojny, chciwy chwały i wojennych przygód. Odgrzebał on dawne roszczenia Edwarda III, mniemane prawo do korony francuzkiéj. Posłowie jego w Paryżu żądali bez ogródki wykonania traktatu w Bretigny, milion sześćkroć sto tysięcy talarów obiecanego okupu za króla Jana, zwrotu części Prowancyi i Szampanii, wreszcie król angielski domagał się w małżeństwo Katarzyny, córki Karola VI, z milionem talarów posagu, meblami i klejnotami. Wszelkie przedstawienia rozbijały się o niezłomną wolę Henryka V, układy więc skończyły się wzajemném szkalowaniem, a Henryk na czele potężnego wojska wylądował w Harfleur (14 sierpnia 1414). Książę orleański z rycerstwem francuzkiém zaszedł mu drogę niedaleko Azincourt (24 października), wtedy gdy Henryk straciwszy czas i część wojska przy szturmach drobnych zamków normandzkich wracał do Calais. Zarozumiałość stronników orleańskich była tak wielka, iż odrzucili pomoc księcia Burgundyi,

nie chcieli przyjąć sześciu tysięcy ludzi ofiarowanych przez miasto Paryż.

Przednia straż z wyboru rycerstwa złożona, ze zwykłą Francuzom natarczywością uderzyła na łuczników angielskich, książę Alençon dotarł do samego Henryka i cięciem siekiery roztrzaskał koronę jego na wierzchu przyłbicy znajdującą się, lecz otoczony ze wszech stron uległ wraz z tymi co za nim śmiało zdążali, cała przednia straż cofać się musiała rozszerzając nieład w linii bojowéj. Zwycięztwo przechyliło się na stronę Henryka. Dziesięć tysięcy Francuzów miało poledz na placu bitwy, a między tymi ośm tysięcy saméj szlachty. Karol orleański okryty ranami, znaleziony na pobojowisku, jako jeniec odesłany został do Anglii, dokąd się i zwycięzca udał niebawnie nowe zbierać wojsko.

Na odgłos tak strasznéj klęski Bernard Armagnac znajdujący się podówczas na południu przybiegł do Paryża, dokąd także zdążał książę burgundzki. W téj właśnie chwili umarł Delfin; Bernard zuchwały owładnął rządy państwa, a korzystając z pory postanowił zniszczyć do szczętu stronnictwo burgundzkie. Rozwiązał milicyą rzeźniczą, czterdziestu członków uniwersytetu skazał na wygnanie, mieszkańcom Paryża broń odebrał, zgromadzeń zakazał. Wszelkie zabiegi Jana na nic się nie przydały, bo Karol zostawszy delfinem po śmierci drugiego brata swojego duszą i ciałem sprzyjał Bernardowi, który szablę Konetabla Francyi uzyskał osieroconą po bitwie pod Azincourt. Nowy konetabl na wszystkie strony się rzucał by utrzymać przewagę, wmieszał się nawet w domowe sprawy rodziny królewskiéj. Elżbieta królowa niemiła mężowi, i wzajem niecierpiąca go w chwilach obłąkania, a jeszcze bardziéj podobno w chwilach odzyskanych zmysłów, żyła w pałacu swoim w Vincennes w zbytkach i rozkoszy, do jakiéj ją przyuczył niegdyś Ludwik orleański. Na dwa tygodnie przed zamordowaniem księcia powiła syna (10 listopada) w dzień jeden po urodzeniu zmarłego, a nikt Karola ojcem jego nie mianował. Lud szemrał na zbytki w zamku Vincennes, gdzie damy dworskie szaloną przyjęły modę dwu-

rogatych strojów na głowę, tak wysokich, że twarz prawie w połowie figury wydawała się.

Rogami szatana ten strój nazywali ówczasowi moraliści, a szponami pazurów jego nosy zadarte u trzewików męzkich owego czasu. Powstawano także na kilku rycerzy zbyt poufale w zamku Vincennes bawiących. Bernard kazał niespodzianie pochwycić jednego z nich, Bois-Bourdona, zaszyć w wór skórzany i wrzucić w rzekę; następnie przekształcił dwór królowéj, zagrabił jéj

klejnoty i pieniądze ukryte w Paryżu i w Melun, by ich użyć na koszta wojny angielskiéj, wreszcie królową z małym orszakiem i córką Katarzyną odesłał do Tours.

Ten ostatni krok nierozsądny wydał królową w ręce burgundzkiego księcia. Jan pośpieszył do Tours i łącznie z obrażoną Elzbietą zaprowadził tam nowy rząd idący w zawody z rządem Delfina w Paryżu. Tymczasem srogość popędliwego Bernarda coraz bardziéj jątrzyła umysły Paryżanów, zuchwalstwo armaniackich ludzi nie znało żadnego hamulca, najsłuszniejszych zażaleń Bernard nie słuchał. W nocy z dnia 28 na 29 maja syn jednego z kwartalników, porozumiawszy się pierwéj z dowódcą burgundzkiego oddziału, otworzył mu bramę miasta, od któréj klucze wykradł ojcu swojemu. W mgnieniu oka w całym Paryżu rozległ się okrzyk: *niech żyje król, niech żyje Burgundya!* Bertrand schronił się do Bastylii, która 12 czerwca poddać się musiała. Tu się rozpoczęły morderstwa; konetabl padł ofiarą zemsty i odwetu, wymordowano jeńców zamkniętych w Châtelet, Capeluche, kat miejski, na czele krwawéj czeredy przebiegał ulice i sprzątał tak zwanych armaniaków. Przybycie królewéj i księcia burgundzkiego nie wstrzymało zaciekłości morderczéj; Jan w obliczu ludu uścisnął rękę kata w nadziei, iż go złagodzić potrafi, wszystko było bezskuteczne. Wreszcie wybrawszy sześć tysięcy najzapaleńszych książę wysłał ich na zdobycie Montlhéry, a wtedy Capeluche wśród targowiska ścięty został i spokojność wróciła.

Był to właściwie początek klęsk, które wisiały nad Francyą. Kiedy armaniacy po wszystkich stronach się uzbrajają, Henryk V wkroczył do Normandyi oświadczając: »Nie ma króla Francyi, Bóg mnie tu przywiódł.« Wkrótce zdobył Rouen i posiadł całą wyższą Normandyą, zkąd aż pod bramy Paryża posuwał swoje zagony. Przybrał tytuł króla Francyi i w Rouen zaczął bić monetę z napisem Henryk król Francyi (Henricus Francorum rex). Książę burgundzki napróżno silił się wejść w układy z królem Anglii, żądania jego były tak przesadzone, upor króla tak wielki, iż książę straciwszy nadzieję złagodzenia

go postanowił zbliżyć się do Delfina dla spólnéj obrony. Pierwszy raz spotkali się obadwa w Melun, lecz bez skutku, nareszcie Jan ostatniego chwytając się środka przybył dnia 10 listopada 1419 na most pod Montereau w zamiarze pojednania się z Delfinem. Po obudwóch końcach mostu silne wzniesiono poręcze, w środku wybudowano z drzewa lożę w któréj zejść się mieli obadwa książęta; Jan obsadził zamek, Delfin zaś miał załogę w mieście. Przybywszy do poręczy książę burgundzki odezwał się do dworzan Delfina czekających na jego przyjęcie: »Patrzcie jak przybywam« miał zaś na sobie zwyczajną tylko suknię wojskową i szablę przy boku; następnie klepiąc po ramieniu pana Tanneguy du Chatel: »Oto jest, rzekł, w którym całą ufność pokładam.« Zbliżywszy się do loży zostawił swój orszak o podal i na jedno kolano przyklęknął przed Delfinem.

W chwili gdy się podnosił, Tanneguy dał znak, *już czas!* i natych miast ugodził go siekierą w twarz, a inni z orszaku Delfina

szablami, toporami dobili. Z sześciu panów, których książę miał z sobą, jeden tylko przeskoczył poręcz i ocalił się ucieczką; reszta wraz z księciem poległa. Chciano ciało księcia wrzucić w Yonnę, lecz pleban z Montereau oparł się temu, złożył je we młynie przy moście, a potém skrwawione jeszcze w trumnie ubogich przeniósł do swojego kościoła. Krew Ludwika orleańskiego zemszczoną została.

Jan bez trwogi zostawił syna, Filipa *dobrego*, w dwudziestym trzecim roku życia; ten w pierwszém uniesieniu żalu, by wydziedziczyć mordercę swojego ojca, ofiarował koronę Francyi Henrykowi V. Królowa Elzbieta ściśle związana z rodziną burgundzką zagłuszyła w sobie uczucia macierzyńskie i łącznie z Filipem przedłożyła obłąkanemu królowi akt, mocą którego dziedzicem korony mianował króla Anglii, poruczając mu rejencyą państwa póki śmierć nie zabierze téj mary królewskiéj. Myśl przymierza przedstawiona została parlamentowi, uniwersytetowi, radzie miejskiéj Paryża, a nikt się nie znalazł coby śmiał słowo wyrzec przeciw temu. Tym sposobem traktat podpisany został w Troyes dnia 21 maja 1420, Henryk pojął za żonę Katarzynę z posagiem całéj Francyi, i z tryumfem wjechał do Paryża mając obok siebie Karola VI. Lud tłumnie zebrany radosne wydawał okrzyki *Noël!* jakby w najszczęśliwszych czasach monarchii: możniejsi przywdzieli ponsowe ubiory dla przypodobania się Anglikom, a wszyscy zaprzysięgli przymierze i wierność nowemu królowi. Delfinowi pozostała kraina po za Ligierą i niedobitki armaniackie na obronę praw jego.

Rozpoczęła się walka po wszystkich punktach królestwa, hrabia szkocki Buchan przywiódł Delfinowi na pomoc pięć tysięcy Szkotów i zniósł Anglików pod Baugé (1421) ubiwszy im trzy tysiące wojska wraz z księciem Klarencyi, bratem Henryka V. Delfin zebrał dwadzieścia tysięcy wojska i zajął stanowisko w Charité-sur-Loire. Zapalony Henryk chcąc za jednym zamachem bój skończyć, połączywszy się z księciem burgundzkim ruszył przeciw Delfinowi, lecz go śmierć zasko-

czyła w Vincennes (31 sierpnia 1422). W piędziesiąt dni później zakończył życie towarzysz jego królewski, Karol VI.

Książę Bedfort jako rejent państwa przewodniczył orszakowi pogrzebowemu i przy spuszczeniu trumny do grobu kazał zawołać heroldowi Francyi: »Niech Bóg ma litość nad duszą króla Karola VI... niech żyje Henryk Lankaster król Francyi i Anglii.«

ROZDZIAŁ IV.

KAROL VII. — WOJNA ANGIELSKA. — JOANNA D'ARC.

Karol VII był podówczas w zamku Espally w krainie Puy en Velay gdy mu doniesiono o śmierci ojca. Wychowany pod opieką armaniaków, w nich jedyną znajdował podporę; lecz z nimi także podzielał powszechną prawie nienawiść. Gaskończycy byli najbitniejsi w całéj Francyi, lecz zarazem najwięksi rabusie, uważani byli w północnéj Francyi za gorszych cudzo-

ziemców od cudzoziemców samych i to właśnie wzmocniło stronnictwo burgundzkie i angielskie. Karol rzucał się na wszystkie strony, doświadczał obcéj pomocy, posiłków szkockich, lecz i te mu nic nie pomogły. Zdawało się, że przeznaczeniem jego było ponosić klęski nawet przy zbiegu przyjaznych okoliczności. Dwa były rządy angielskie, księcia Gloucester w Londynie i Bedforta w Paryżu, lecz obadwa bracia w działaniach swoich byli sprzeczni, iż o mało co nie pozbyli najdzielniejszego sprzymierzeńca, księcia Burgundyi. Nie korzystał z tego Karol, niezgoda między doradcami jego, osobiste dworzan zabiegi, towarzystwo nieodłączne wielkich klęsk narodowych, bezowocnemi czyniły wszelkie usiłowania.

Połączenie się z domem andegaweńskim, przez zaślubienie księżniczki z téj familii, zdawało się dodawać sił królowi; lecz przezorna Yolanda, wdowa po Ludwiku II księciu andegaweńskim, hrabi prowanckim, nie chciała narażać sobie Anglików, pókiby synowie jéj nie utwierdzili się w Lotaryngii i Neapolu; jednakże przysługiwała się królowi zdrową radą, któréj nadewszystko potrzebował, zjednała mu pomoc Bretonów i skłoniła go do poruczenia szabli konetabla w ręce Richemonta, brata księcia Bretanii. Bretonowie ocalili królestwo za czasów Du Guesclina; Karol VII połączył Bretonów, Gaskończyków, Delfinat, najsilniejszą wojenną potęgę Francyi. Hiszpania przysłała mu Aragończyków, Włochy Lombardów, ludy bitne, a przecież wojna ociężale postępowała. Anglicy korzystając z tego niedołęztwa postanowili złamać ostatnią zaporę: przekroczyli Ligierę i stanęli pod murami Orleanu.

Szczupłe wprawdzie co do liczby były angielskie zastępy, lecz je tworzyło najdzielniejsze wojsko, a nadto wzniesione przez nich warownie nadgradzały niedostatek siły zbrojnéj. Nie mogąc ściśle obsaczyć rozległego miasta otoczyli je odrębnemi warowniami, tak zwanemi bastyllami, z których strzegli przerw nieoszańcowanych i zarazem miotali do miasta kule kamienne po sto kilkadziesiąt funtów ważące. Drugą linią twierdz stanowiły miasta Montargis, Rochefort, Puisel, Beaugency i Meung,

które dostawszy się w ręce Anglików były niejako miastami składowemi potrzeb wojennych. Orlean godzien był takich wysileń. Był to sam środek Francyi, przy skręcie Ligiery zbudowany uważał się za klucz południowych prowincyj, mieszkańcy wśród tylu zawichrzeń zawsze wierni prawemu monarsze zostali i w obecnéj chwili największą okazali gorliwość, zapał niepojęty. Z rycerską prawdziwie wesołością spoglądali na oblężenie, nie troszcząc się bynajmniéj że najsłynniejsi Anglików wodzowie kierowali obrotami wojennemi, Salisbury Suffolk, Glasdale, i najwaleczniejszy z walecznych stary lord Talbot. Nie brakło Orleańczykom wesołych przygód wojennych, jedna szczególniéj była dla nich bardzo pocieszną. Salisbury, wódz naczelny, zwiedzał warownie, Glasdale wskazując na Orlean, »Milordzie, rzekł, patrz oto twoje miasto.« Spojrzał Salisbury, lecz nic nie widział, kula mu zawarła oko i część głowy uniosła. Kulę tę wyrzucono właśnie z wieży Najśw. Panny, a Salisbury tylko co złupił kościół Najśw. Panny w Cléry.

Od 12 października 1428 do 12 lutego 1429 oblężenie z rozmaitą szczęścia koleją postępowało, łatwo jednak było przewidzieć, że Anglicy zwolna obsaczą miasto, a zostawszy jego panami otwartą będą mieli drogę do południowéj Francyi. Bedfort posłał oblegającym zapasy amunicyi i żywności pod wodzą walecznego Falstaffa: trzysta wozów sznurem postępowało, nic łatwiejszego jak przeciąć i zniszczyć całe tabory. La Hire Gaskończyk niecierpliwy chciał czémprędzéj uderzyć, lecz go wstrzymał hrabia Clermont, syn księcia Bourbon, póki liczniejsze nie nadejdą posiłki. Nie wytrzymali wszakże Francuzi, wpadli na Anglików, lecz Falstaff już był przygotowany do odporu: tabory ocalił, a Francuzów ze stratą do miasta odpędził. Orleańczycy bitwie szyderczą nazwę dnia śledziowego nadali, kule bowiem roztrzaskały kilka beczek, a pobojowisko więcéj śledziami, niż poległymi było zasłane.

Nie wielka to była wprawdzie klęska, lecz złamała odwagę oblężonych. Najprzezorniejsi zaczęli się wynosić z miasta, którego upadek za nieuchronny uważali. Hrabia Clermont cofnął

się najpierwszy ze swoim hufcem. Admirał Francyi i kanclerz osądzili, iżby szkoda była wielka, gdyby tak znakomici urzędnicy króla mieli się dostać w ręce Anglików, i oni się więc wyślizgnęli. Arcybiskup reimski oddalił się i biskup nawet orleański opuścił swoje owieczki; najmniejszéj bowiem nadziei pomocy ludzkiéj nie było, a Dunois, naturalny syn księcia orleańskiego, napróżno wmawiał w nich począwszy od 12 lutego, że nadejdzie pomoc cudowna, że dziewica lotaryńska zesłana od Boga zbawi miasto.

Niebezpieczeństwo nad Orleanem wiszące przeraziło grody sąsiedzkie, najbliższe z nich dostarczyły żywności, odleglejsze nadesłały pieniędzy, siarki, saletry, żelaza; cała Francya przejęła się uczuciem politowania i żalu na odgłos bohatyrskiego poświęcenia się miasta. Nadewszystko kobiety mniéj uległe widokom osobistego interesu, więcéj okazały tkliwości na nieszczęście. Nie wdając się w rachuby polityczne, nie chciały się skłonić do przyjęcia poddaństwa angielskiego, zostały dobremi Francuzkami. Du Guesclin wiedział dobrze że prawdziwie francuzkiemi we Francyi były kobiety, kiedy Edwardowi III oświadczył: »Nie masz we Francyi prządki, któraby chętnie nie uprzędła jednéj kądzieli na mój okup.«

Nienawiść ku Anglikom codziennie wzmagała się (*); mieli oni jednak korzystną dla siebie okoliczność: młody ich król Henryk VI był wnukiem Karola VI, z matki był Francuzem; przeciwnie zaś prawość Karola VII była bardzo wątpliwa: uro-

---

(*) O rządzie Anglików we Francyi można niejakie powziąć wyobrażenie z pozostałych w archiwum wyroków, jak np. wyrok przebaczenia zakonnikowi, za to że opatrywał armaniaka rannego — przebaczenie uczniowi który się uczył prawa w Angers — dwom braciom, których odwiedził zbrojny armaniak, dostał się on zaś do nich przez okno w celu wybicia ich.— Darowanie życia mularzowi z Rouen za to, że oświadczył, iż skoroby Delfin odzyskał miasto, znalazłby się sposób przeszkodzenia Anglikom do wycieczek z zamku. — Darowanie kary 32 talarów złotych nauczycielowi, który na nią zasłużył za wychowywanie syna Armaniaka.

dził się on 1403, wtedy gdy królowa Elżbieta znienawidzona od męża w najściślejszych była stosunkach z księciem orleańskim. Co większa Elżbieta była główną pobudką ogłoszenia aktu, w którym Karola mianowano *tak nazwanym* Delfinem. Henryk VI nie był koronowany w Reims, ani też Karol VII, lud zaś ówczasowy uznawał króla po tych dwóch rzeczach: urodzeniu królewskiém i koronacyi. Religijnie biorąc Karol VII nie był jeszcze królem, czy nim był z natury cały naród powątpiéwał. Pytanie takowe obojętne dla polityków, głównem było dla ludu: kobieta zawikłała je, kobieta potrafiła odwikłać, pierwszą była królowa matka, drugą Joanna d'Arc (*), pospolicie dziewicą orleańską zwana.

Niepodobna pojąć okropnego stanu w jakim się wtedy znajdowała Francya, krwawe zatargi domowe, niszczące wojny, łupieztwa i mordy rozbestwionego żołnierstwa straszną wywołały nędzę. Rolnik rzucił pług, zostawił pole odłogiem, odbiegł chaty własnéj, w niedostępne knieje unosząc życie. Rzemieślnik niepokojony opuszczał warsztat, i albo na brzęk dzwonu trwogi biegł z orężem w ręku własnych mordować rodaków, lub w warowni szukał przytułku. Skutkiem takiego stanu był głód powszechny, a za nim w też tropy zabójcza wlokła się zaraza (1418). W samym Paryżu blisko sto tysięcy ludzi wymarło. W roku następnym i we dwa lata późniéj głód okropniejszy jeszcze dokuczał. Miasta były w części opustoszałe, wioski całkowicie opuszczone, od Laon do granicy niemieckiéj nie było ani jednéj wioski prócz zamków i miast warownych, mówi kronikarz spółczesny. Natomiast gromady wilków zdawały się zajmować kraj w posiadanie, wdzierały się one aż do samego Paryża odgrzebując trupy, nie przepuszczając żyjącym.

(*) Większa część historyków pisze d'Arc wyprowadzając początek tego nazwiska, od wioski Arc, zapomniawszy że to była familia wieśniacza, któréj nie służył przyimek *de*; zaś Jan Hordal, potomek brata Joanny, pisze Darc (Hordal, Johannae Darc historia, 1612 in 4to).

Lecz smutniejszy jeszcze, jeżeli być może, był widok odrętwienia moralnego, tego wycięczenia, braku odwagi, jaki się w całéj przedstawiał społeczności. Dante, Bokacyusz i Petrarcha rozpoczynają wiek czternasty, koniec piętnastego zaleca się wynalezieniem druku i odkryciem Ameryki; epoka zaś o któréj mówimy, to jest środek piętnastego wieku, nie rokuje nic na przyszłość, żadnego pomysłu, któryby zdolny był pocieszyć ludzkość tylą klęskami znękaną. Sztuki i umiejętności zdały się być tąż samą zarazą dotknięte. Gerson, w dziełku swojém o naśladowaniu Chrystusa Pana, zdaje się przezierać, że ani uczeni, ani możni nie zdolni byli nadać światu nowego życia, nowego ruchu. Takowe życie musi się zaczynać od prostoty serca, bohatyrstwa duszy niewinnéj: w tém jedyne było lekarstwo cierpień Francyi, równie jak i świata całego. W takim stanie przedstawia się Joanna d'Arc.

Tryumf orleańskiéj dziewicy nie zależał tak dalece od jéj waleczności, a nawet nie tyle od widzeń jéj objawionych, jako raczéj od zdrowego rozsądku. Ta córka gminu pośród uniesienia swojego uchwyciła główne pytanie i szczęśliwie je rozwiązać potrafiła. Oświadczyła w imię bozkie, że Karol był dziedzicem, zapewniła go o jego prawości o któréj sam powątpiewał; uświęciła tę prawość gdy zawiodła króla do Reims i wydarła Anglikom korzyść namaszczenia. Lubo Henryk późniéj odważył się na dopełnienie podobnegoż obrzędu w Paryżu, na nic mu się on nie przydał, lud uważał go za przywłaszczenie, za parodyą, za formę bez żadnéj wagi. Raz jeszcze powtarzam, że nie waleczność sama otoczyła urokiem niepojętym dziewicę przy jéj pierwszém wystąpieniu; nie było to bowiem rzeczą nadzwyczajną widzieć kobietę w zbroi: broniły one miast oblężonych, walczyły nieraz obok mężów swoich. W téj saméj epoce, w wojnach hussyckich, Czeszki niemniéj bitnemi się okazały jak mężczyzni. Nie mało także było ludzi w wiekach średnich, którzy mieli widzenia: w każdéj bowiem epoce i w każdym kraju klęski nadzwyczajne natężają umysł i usposabiają go do exaltacyi.

Na samym krańcu między Lotaryngią i Szampanią jest wioska Dom-Remy, niegdyś zapewne posiadłość opactwa Ś. Remigiusza w Reims, późniéj dziedzictwo Joinvilla, a w chwili o któréj mówimy własność korony wraz z miasteczkiem Vaucouleurs, od którego bezpośrednio zależy: tu urodziła się piękna Joanna, tak szczęśliwie szablą Francyi władająca. Ojciec jéj był Jakób d'Arc, matka Izabella Romée, dwaj starsi bracia Jakób i Piotr. Dwie miała chrzestne matki, z których jedna zwała ją Joanną, a druga Sybillą. Gdy inne dzieci podzielały prace ojca w polu, albo strzegły trzody, Joannę matka zawsze miała przy sobie, uczyła ją szyć i prząść. Nie umiała ani czytać, ani pisać, ale z rzeczy świętych znała tyle co i matka. Przyjęła religią nie jako naukę, nie jako obrzęd, lecz w formie naiwnéj powieści ludu, jak prosta wiara matki... tak z krwią przejęta, z mlekiem wyssana religia, staje się czemsiś żywem, owszem jest życiem samém. O pobożności Joanny mamy piękne świadectwo jéj przyjaciółki dzieciństwa, serdecznéj przyjaciółki Haumette, o trzy lub cztery lata młodszéj. »Ileż razy, mówi ona, bywałam u jéj ojca... Była to bardzo dobra dziewczyna, miła i ujmująca, chętnie uczęszczała do kościoła i miejsc świętych. Przędła, zajmowała się gospodarstwem jak inne dziewczęta... Często się spowiadała. Rumieniła się gdy jéj mówiono, że była nadto pobożną, że za często do kościoła chodzi.» Wieśniak wezwany na świadka dodał, że pielęgnowała chorych, wspierała biednych. »Oh ja to dobrze wiem, rzekł, byłem podówczas dzieckiem, ona mnie opatrywała.»

Wszyscy znali jéj pobożność, jéj czułe serce, wszyscy wiedzieli że to była najlepsza dziewczyna z całéj wsi; tego jednak nie wiedzieli, że w niéj życie wyższe, pochłonęło życie ziemskie i niedopuściło mu rozwinąć się w zwyczajnym sposobie. Szczęśliwa! ten bozki dar, zostać na zawsze dziecięciem pod względem duszy i ciała, był jéj udziałem. Wzrosła, była piękna i dość silna, a nie znała fizycznych przypadłości kobiet. Ochroniona była od nich na korzyść myśli i natchnienia religijnego. Zrodzona pod samemi murami kościoła, wykołysana przy dźwię-

ku dzwonów, wykarmiona powiastkami cudów, została sama cudowną powiastką, czysta i szybko przemijająca od kolebki do grobu. Wioska jéj o kilka tylko kroków była od ciemnéj kniei Wogezu: ze drzwi ojczystego domu widziała odwieczny las dębowy. Fee odwiedzały te lasy, nadewszystko polubiły jednę krynicę w blizkości buku, który zwano drzewem Feów. Dzieci zawieszały na nim wieńce śpiewając. Te starożytne *damy*, dawne panie lasu, nie mogły się tam zbierać z przyczyny grzechów swoich. Kościół jednak nie ufał starożytnym bóstwom miejscowym i proboszcz, dla oddalenia ich stamtąd, corocznie odprawiał mszę św. w blizkości krynicy.

Joanna wzrosła wśród tych legend, tych marzeń ludu. Lecz w téj chwili kraj obok tego przedstawiał inną poezyą, dziką, srogą, niestety, aż nadto rzeczywistą, poezyą wojny... Wojna! ten sam wyraz maluje już wszystkie wzruszenia; zapewne nie każdego dnia bitwa, szturm i rabunek: ale dręczące oczekiwanie, dzwon trwogi, nagłe zrywanie się ze snu, a na równinach posępna łuna pożogi... Okropny stan, ale poetycki. Joanna miała swoję część w tych przygodach. Widziała przybywających zbiegów, wspierała rodziców w ich przyjęciu. Raz także cała rodzina uciekać musiała, a gdy potok rabusiów przeminął, wieś była złupiona, dom Joanny spustoszony, kościół w popiele. Znała więc co to jest wojna: zgroza ją przejmowała na widok panowania szatana. Nie raz myśliła sobie, czy Bóg nie ześle kiedyś zbawcy, jak to często robił dla wybranego ludu? Wiedziała, że nie jedna kobieta była zbawieniem Izraela, że na początku świata powiedziano, iż kobieta zetrze głowę węża... Zdawało się jakby wszyscy mówili: kobieta, matka wyrodna, zgubiła królestwo, zbawić je mogła dziewica. To właśnie było proroctwo Merlina; proroctwo pomnożone, zmieniane stosownie do prowincyi, w któréj je powtarzano, stało się całkiem lotaryńskiém w krainie Joanny d'Arc. Dziewica lotaryńska miała właśnie być wybraną na zbawienie państwa.

Pewnego dnia w lato, w samo południe, Joanna będąc w ogrodzie ojca swojego, tuż przy kościele, ujrzała w téj stro-

nie światło ćmiące i usłyszała głos: »Joanno, bądź zawsze dobrą i rozsądną; chodź często do kościoła.« Biedną dziewczynę strach wielki ogarnął. Drugi raz słyszała znowu głos, widziała jasność, lecz wpośród niéj nadobne postaci, z których jedna miała skrzydła, i zdawała się podobną do człowieka mądrego i uczciwego. Ta się do niéj odezwała: »Joanno, bież na pomoc królowi francuzkiemu, ty powrócisz mu królestwo.« Drżąca odpowiedziała Joanna: »Panie, jestem biedna dziewczyna; nie potrafię jeździć na koniu, ani przewodniczyć mężom zbrojnym.« Głos jéj na to: »Idź do pana Baudricourt kapitana w Vancouleurs, a ten cię każe odesłać do króla. Ś. Katarzyna i Ś. Małgorzata będą cię wspierały.« Na te słowa dziewica zdumiona łzami się zalała, jak gdyby już za jednym rzutem oka całe swoje przeznaczenie widziała.

Jeżeli płakała wśród tak wielkiego szczęścia, to nie było bez przyczyny. Jakkolwiek piękne i zachwycające były te widzenia, przecież zmieniały one jéj życie. Czegoż od niéj wymagał ten głos niebieski? Aby opuściła matkę, porzuciła lubą rodziców zagrodę. Ją wyraz każdy mieszał, a głos ją wzywał, aby się udała w świat, przemawiała do mężów, do żołnierzy. By udać się na wojnę miała porzucić ogródek pod cieniem kościoła, w którym ptaki zbiegały się brać pokarm z jéj ręki. O téj pierwszéj walce wewnętrznéj Joanna nic nie wzmiankowała, musiała ją przecież wytrzymać i dość długo, bo pięć lat ubiegło od czasu, w którym pierwszy raz usłyszała głos, aż do chwili, w któréj opuściła dom rodzicielski. W rodzinie swojéj doznała nie tylko najsilniejszego oporu, ale nawet wystawiona była na pokusę. Ojciec uczciwy, lecz nieokrzesany wieśniak przysiągł, że ją pierwéj własną ręką utopi, nimby ją miał widzieć oddalająca się z wojownikami. Probowano wydać ją za mąż, aby ją przywieźdź do wyobrażeń rozsądniejszych, jak mniemano. Młody wieśniak wystąpił z oświadczeniem, że będąc jeszcze małą przyrzekła być żoną jego; gdy zaś zaprzeczyła temu, zapozwał ją do sądu duchownego w Toul. Wszyscy pewni byli, że nie ośmieli się wystąpić w obronie swojéj, tymczasem z wiel-

kiém zadumieniem wszystkich poszła do Toul, stanęła przed sądem, uniewinniła się.

Nie mogąc zyskać przyzwolenia ojca, skłoniła wuja swojego by się udał w jéj sprawie do kapitana Baudricourt w Vaucouleurs. Stary wojak dość źle przyjął wieśniaka, i radził mu, aby dziewczynę odprowadził do domu ojca, »dawszy jéj kilka policzków.» To jéj nie zraziło bynajmniéj, w towarzystwie tegoż samego wuja udała się do Vaucouleurs, stanęła przed P. Baudricourt i rzekła: »Że przychodzi z rozkazu Pana, aby zawiadomił Delfina, iżby się w żadne bitwy nie wdawał; ponieważ Pan jego nadeszle mu posiłki w pół postu... Królestwo nie należy do Delfina, lecz do jego Pana: jednakże Pan chce aby Delfin został królem.» Dodała nadto, że Delfin mimo nieprzyjaciół swoich, zostanie królem, i że ona go zawiedzie na koronacyą. Kapitan zmieszany, bał się czy w tém nie ma jakich figlów szatańskich; radził się plebana, lecz i ten zdaje się tęż samę miał obawę. Lud nie powątpiewał wcale: ze wszech stron zbiegał się i dziwił. Szlachcic jeden dla próby rzekł: »A więc król musi być wypędzony, a my zostaniemy Anglikami.» Ona skarżyła mu się na upor kapitana: »A jednakże, rzekła, nim nadejdzie półpoście ja muszę stanąć przed królem, choćby mi przyszło nogi pouchodzić aż do samych kolan. Nikt w świecie, ani królowie, ani książęta, ani córka króla szkockiego nie potrafią odzyskać królestwa Francyi, nie masz dla niego podpory, tylko we mnie, chociaż jabym wolała pozostać i prząśdź przy mojéj biednéj matce; bo to nie moja tam rzecz; ale muszę tam iść, i dokonać tego, bo tak chce Pan. — A któż jest twoim Panem? — Pan Bóg...» Szlachcic wzruszony, przysiągł jéj; że przy pomocy bozkiéj zaprowadzi ją do króla.

Baudricourt zasięgał rozkazów królewskich i otrzymał polecenie aby ją przysłał. Klęska śledziowego dnia zmuszała do probowania wszelkich środków. Joanna zapowiedziała tę bitwę na ten sam dzień w którym ją stoczono. Mieszkańcy Vaucouleurs nie wątpiąc o jéj posłannictwie, złożyli się na jéj uzbrojenie i kupili konia za szesnaście liwrów. Kapitan dał jéj tylko

szablę. Z wesołością rycerską odbywała podróż w kraju opustoszałym, i przez zbrojnych włóczęgów niepokojonym. Towarzysze jéj w liczbie pięciu, lub sześciu zbrojnych ludzi, trudami podróży (w połowie lutego 1429) zrażeni, wielką mieli chętkę opuścić ją: niektórzy poczęli myśléć, że może to jest i czarownica. Ona zaś była tak spokojna i bezpieczna, że w każdém mieście chciała się zatrzymywać aby słuchać mszy św. »Nie lękajcie się, mówiła do swoich towarzyszów, Bóg mi wskazuje drogę, na tom się ja urodziła.« W innym razie: »Moi bracia z raju ostrzegają mnie co mam czynić.«

Karol VII mieszkał wówczas w Chinon, mieście nad brzegiem Vienny zbudowanym: dworzanie jego, między sobą niezgodni, dwa dni radzili czy dziewica ma się stawić przed królem. Nieprzyjaciele jéj mniemali że przedstawienie do nieograniczonego czasu odroczą, skoro postanowią zasięgnąć pierwéj wiadomości w jéj ziemi rodzinnéj. Szczęściem dziewica znalazła na dworze królewskim przyjaciół: obiedwie królowe, małżonkę królewską i jéj matkę i księcia Alençon, który tylko co wrócił z niewoli angielskiéj. Najwięcéj atoli mieszkańcy Orleanu domagali się nadesłania dziewicy, już bowiem od 12 lutego Dunois przyrzekał im tę pomoc cudowną, a co chwila naglejszą.

Wreszcie nastąpiło przyjęcie dziewicy z największą okazałością, przez którą spodziewano się ją zmieszać. Było to wieczór: pięćdziesiąt pochodni oświecało salę, znakomita liczba możnych panów, trzystu rycerzy otaczało króla. Wszyscy cisnęli się by widzieć tę czarownicę, lub natchnioną od Boga pannę. Dziewica miała lat ośmnaście, twarz jéj piękna i ujmująca, wzrost dość wysoki, głos miły i przenikający. Przedstawiła się z pokorą, jako uboga pasterka; na pierwszy rzut oka rozpoznała króla, który się umyślnie wmieszał pomiędzy swoich rycerzy, i choć jéj mówił, że nie jest królem, przecież ona przyklęknąwszy ścisnęła go za nogi i rzekła: »Szlachetny Delfinie, tak zwała króla, ponieważ nie był jeszcze namaszczony, nazywam się Joanna dziewica. Król nieba zawiadamia cię przezemnie że będziesz namaszczony i ukoronowany w mieście Reims i zostaniesz

namiestnikiem króla niebios, który jest prawdziwym królem Francyi.» Poczém król wziął ją na bok, a po chwili rozmowy zmieniła się twarz obójga, miała wtedy mówić do niego, jak późniéj opowiadała spowiednikowi swojemu: »Zapewniam cię ze strony Pana naszego, że jesteś rzeczywistym dziedzicem Francyi, i prawym synem Karola (*).

Lecz więcéj jeszcze podziwienia i pewnego rodzaju bojaźni wzbudziła pierwsza przepowiednia, która jéj się, jakby od niechcenia wyśliznęła i natychmiast sprawdziła. Żołnierz, któremu się bardzo podobała, w grubiańskim sposobie wyraził swoję żądzę zakląwszy żołnierskim zwyczajem; »Niestety! odezwała się, ty bluźnisz imię bozkie, a tak blizkim jesteś śmierci.» W moment potém wpadł w rzekę i utopił się. Na to nieprzyjaciele jéj oświadczyli, że można zaiste wiedzieć przyszłość, ale przez natchnienie szatana. Zwołano więc czterech, czy pięciu biskupów dla jéj wybadania. Ci, nie chcąc zapewne stawać w sprzeczności ze stronnictwami mącącemi radę królewską, odesłali rozpoznanie tego zarzutu do uniwersytetu w Poitiers. Zasiedli ławy doktorowie i nauczyciele, młoda dziewica zajęła miejsce na samym końcu i z największą skromnością odpowiadała na pytania. Z niewinną prostotą opisywała swoje objawienia, powtarzała wyrazy aniołów. Jeden z badających z całą powagą głębokiéj nauki uczynił jéj zarzut: »Joanno, mówisz że Bóg chce wybawić lud francuzki, jeżeli taka jest jego wola, on nie potrzebuje ludzi zbrojnych.» Nie zmieszana dziewica rzekła: Ah, mój Boże! ludzie zbrojni walczyć będą, a Bóg da zwycię-

---

(*) Mówią, że w czasie téj rozmowy z królem przypomniała mu okoliczność jednę, o któréj nikt prócz niego nie wiedział. Że pewnego poranku król, w czasie modlitwy, miał prosić Boga o łaskę przywrócenia mu królestwa, *jeżeli był jego dziedzicem prawym*, jeżeli nie, żeby przynajmniéj nie poległ, lub nie dostał się do niewoli; lecz żeby mógł się schronić do Hiszpanii albo Szkocyi. W skutek téj modlitwy już król gotów był usunąć się skoro Anglicy oblegli Orlean, lecz go wstrzymała od tego piękna Turenka, Agnieszka Sorel.

ztwo.» Drugi trudniejszym był do zaspokojenia, był to niejaki Seguin, Limuzanin, professor uniwersytetu w Poitiers, »bardzo cierpki człowiek» mówi kronikarz. Zapytał się on francuzczyzną limuzańską, jakim językiem mówił ten mniemany głos niebieski? Joanna z niejaką żywością odpowiedziała: »Czystszym aniżeli pański. — Wierzyszże ty w Boga? odezwał się rozgniewany doktór. A więc! Bóg nie pozwala ufać twoim wyrazom, póki nie pokażesz jakowego znaku.» Na to dziewica: »Nie przybyłam do Poitiers aby pokazywać znaki lub cuda: moim znakiem będzie, znieść oblężenie Orleanu. Dajcie mi ludzi zbrojnych mało lub wiele, a ja pójdę.»

Trzy tygodnie wlokło się to badanie, a tymczasem w całém Poitiers, podobnie jak dawniéj w Vaucouleurs świątobliwość jéj rozgłosiła się pomiędzy ludem, wszyscy jéj sprzyjali, wszyscy ją odwiedzali, nie tylko kobiety ale i mężczyzni; owi radcy, adwokaci, starzy sędziowie, szli bez żadnéj wiary, a słysząc ją rozmawiającą, rzewnie płakali, mówiąc: »Ta dziewica jest istotnie posłanką bozką.» Examinatorowie nawet bywali u niéj i razwraz wracali do swojego badania, dowodząc jéj uczonymi cytatami z różnych ksiąg, że nie należy jéj wierzyć: »Słuchajcież, mówiła im, w księdze bozkiéj daleko jest więcéj jak w waszych. Ja nie umiem ani A, ani B, ale przychodzę z rozkazu bozkiego znieść oblężenie Orleanu i namaścić Delfina w Reims.» Wreszcie zdanie sędziów było, iż godzi się powierzyć obronę dziewicy. W tym samym czasie biskup z Embrun oświadczył, iż Bóg nie raz objawiał dziewicom to, co było ukryte przed męższyznami; szatan nie mógł wchodzić w żadne związki z pannami. Nie usunięta więc trudność, w nowéj tylko postaci wystąpiła. Nauka nie chcąc, czy nie mogąc wyjaśnić, z uniżonością w rzeczach duchowych odwoływała się do ciała, wielką zagadkę umysłową zdając na wykrycie tajemnicy niewieściéj.

Skończyli uczeni, ostateczny wyrok poruczony był damom dworskim i królowéj sycylijskiéj, matce żony Karola, który wypadł na zaszczyt dziewictwa Joanny. Już téż nie było czasu

do stracenia. Orlean do ostateczności przywiedziony, jak najrychlejszéj wzywał pomocy; Dunois gońca za gońcem wysyłał. Uzbrojono więc dziewicę, utworzono dla niéj orszak. Naprzód przeznaczono jéj koniuszego, Jana Daulon, człowieka wieku dojrzałego i najuczciwszego z całego dworu hrabiego Dunois, do którego należał. Miała nadto szlachetnego pazia, dwóch heroldów broni, marszałka pałacowego, dwóch szatnych; brat jéj Piotr d'Arc przyłączył się także do orszaku. Był to dziw dla każdego, kto pierwsy raz ujrzał Joannę d'Arc w śnieżnéj zbroi (*) na dzielnym karym rumaku, przy boku mała siekiera i miecz św. Katarzyny. Miecz ten sama wskazała, zachowany w starym pomniku u stopni ołtarza św. Katarzyny w Fierbois, oznaczony pięcią krzyżami; dotąd nikt o nim nic wiedział. *Głos*, który jéj to objawił, wskazał jéj zarazem formę chorągwi. Uszyta z materyi białéj, ozdobiona liliami, na jednéj stronie wizerunek Zbawiciela świata z dwoma aniołami u dołu, na drugiéj zaś wyrazy: *Jhesus, Maria.* Skoro wszystko było gotowe, dziewica udała się do Blois, gdzie już zastała dziesięć tysięcy zbrojnego ludu na zasłonę żywności i potrzeb wojennych, który natychmiast powiodła do Orleanu (28 kwietnia 1429).

Zważywszy dzielność i liczbę wodzów, którzy się zamknęli w Orleanie, La Hire, Saintrailles, Gaucourt, Culan, Coaraze, Armagnac; widząc prócz tego Bretończyków marszałka Retz, Gaskonów marszałka Saint-Sévère, szlachtę okoliczną, która się zebrała na wezwanie dowódcy z Châteaudun, wyzwolenie Orleanu staje się mniéj cudownem. Trzeba atoli wyznać, iż jednéj rzeczy brakło do nadania wagi tak potężnéj sile, rzeczy istotnéj, nieodzownéj, to jest jedności działania. Gdyby do tego rozum i znajomość sztuki wojennéj wystarczały, Dunois sam

---

(*) Zbroja dziewicy co do kształtu zupełnie była takaż, jaką podówczas przywdziewali rycerze, na głowie żadnego nie miała szyszaka. Tę okoliczność dwa razy w jednymże liście wspomina spółczesny pisarz, towarzysz wyprawy dziewicy orleańskiéj.

mógłby to uskutecznić: największa atoli przebiegłość nic nie znaczyła. Trzeba było powagi wyższéj nawet nad królewską; wodzowie króla nie przywykli do szanowania jego rozkazów. Ażeby te dzikie, niepohamowane chuci ująć hamulcem, trzeba było Boga samego. Wykonawczynią jego rozkazów była dziewica, umyślnie zesłana, młoda, piękna, łagodna, śmiała. Długoletnia mordercza wojna zmieniła ludzi w dzikie zwierzęta; te istoty drapieżne trzeba było zmienić w ludzi, w chrześcian, w istoty powolne. Wielka i trudna przemiana. Była przecież strona z któréj te srogie istoty ująć można było, tą była religia, która nie zewszystkiém straciła władzę nad zdziczałém wojskiem. Prawda, że ci rabusie umieli godzić drażliwość sumienia z rozbojami; jeden z nich Gaskończyk La Hire wychodząc na łup odmawiał krótką modlitwę gaskońską, nie wymieniając bardzo o co się modlił, pewny był, że Bóg zrozumie jego napomknienie: »Panie Boże, błagam cię, zrób dla la Hira, coby la Hire zrobił dla Ciebie, gdybyś Ty był dowódcą a la Hire Bogiem.« Jakżeż rozczulający był widok nawrócenia się niespodzianego tych starych rabusiów. Od przybycia dziewicy La Hire nie śmiał zaklinać się. Prawdziwe szatany zmieniły się w ludzi świątobliwych.

Naprzod zaczęła od żądania, aby wszystkie bezwstydne dziewczęta oddalono; następnie aby się wszyscy wyspowiadali. W pochodzie wzdłuż brzegów Ligiery kazała pod gołém niebem wystawić ołtarz, sama przystąpiła do stołu pańskiego i z nią cały jéj orszak. Weszła do miasta o godzinie osméj wieczorem (29 kwietnia). Anglicy poczytując ją za czarownicę drżeli trwogą zdjęci, nie śmiejąc przeszkodzić jéj przybyciu do Orleanu. Dziewica chciała natychmiast uderzyć na warownie angielskie i w tym celu posłała dowódcom wezwanie, aby je dobrowolnie opuścili, bo taka była wola głosu. »Idź, rzekła do posłańca, powiedz Talbotowi, jeżeli on się uzbraja, i ja się także uzbroję... Jeżeli będzie mógł mnie pojmać, niech mnie każe spalić.« Joanna obok natchnienia miała wiele przezorności, przeniknęła złą wolę dowódców, widziała, że chciano działać

bez niéj z narażeniem się na pewną zgubę; gdy więc Dunois oświadczył jéj, że lękają się nowych posiłków angielskich pod wodzą Falstaffa: »Bękarcie, rzekła, w imię bozkie rozkazuję ci, abyś mi natychmiast doniósł o przybyciu tego Falstaffa, jak tylko sam powezmiesz wiadomość; bo jeżeli on przejdzie bez mojéj wiedzy, każę ci głowę uciąć.«

Słusznie domyślała się że chciano działać bez niéj; gdy bowiem udała się na spoczynek, nagle zrywa się, »Ah, mój Boże, zawołała, krew naszych leje się... źle się zrobiło, czemuż mnie nie obudzono? Prędko, broń, konia!» Cwałem się puściła na miejsce walki, lecz już spotkała rannych. »Nigdy nie mogłam patrzéć na krew francuzką, rzekła, żeby mi włosy nie powstały.» Za jéj przybyciem pierzchający zwrócili się. Nadbiegł i Dunois, który także o niczém nie wiedział. Na nowo przypuszczono szturm do warowni i zdobyto. Wielu Anglików dla ocalenia się wzięło suknie duchownych, dziewica schroniła ich w mieszkaniu swojém, znając dobrze srogość żołnierstwa. Pierwsze to było jéj zwycięztwo, pierwszy raz widziała pobojowisko, łzami się zalała na widok tylu ludzi pomordowanych bez spowiedzi. I drugą warownią chciano zdobyć bez wiedzy Joanny, przybyła przecież w chwili gdy Francuzów strach osłupiały ogarnął, dodała odwagi i wsiadłszy na statek z La Hirem uderzyła na Anglików od skrzydła i zdobycie warowni ułatwiła.

Jedna już tylko od strony południowéj zostawała warownia, tę wodzowie zdobyć postanowili bez wiedzy Joanny: żeby ją uśpić, oświadczono, że dosyć jest żywności w mieście, że można zaczekać na przybycie posiłków nim się uderzy na tę warownią. »Wyście byli na waszéj radzie, a ja byłam na mojéj» a odwracając się do swojego kapelana, rzekła: »Jutro równo ze switem przybędziesz do mnie i nie opuszczaj mnie; będę miała wiele do czynienia; krew będzie płynęła z mojego ciała, będę ranną powyżéj piersi.» Nazajutrz rano rozpoczął się szturm do warowni, Anglicy dzielnie się bronili, odwaga szturmujących odstępowała: wtedy dziewica pochwyciła drabkę, przystawiła do muru, lecz ugodzona pociskiem w miejscu między szyją a ra-

mieniem, padła. Uniesiona na stronę wydobyła grot który ją wskróś przeszył, przelękła się z początku tak wielkiéj rany, lecz wnet uspokoiwszy się kazała tylko oliwy przyłożyć na ranę. Już noc się zbliżała, Dunois dał znak do odwrotu. »Zaczekajcie jeszcze rzekła,» i modliła się w winnicy. »Skoro chorągiew dotknie się murów, będziecie mogli wejść. — Już się dotyka.— A więc idźcie, warownia wasza.» W rzeczy saméj Anglicy przerażeni stracili odwagę i przytomność: jedni widzieli nad wojskiem francuzkiém świętego patrona miasta, drudzy archanioła Michała. Glasdale, który w grubiańskim sposobie nie raz szkalował dziewicę, zarwał się na moście i w oczach Joanny utonął. Ah jakże mi żal twojéj duszy, rzekła.» Pięćset było ludzi w warowni, wszyscy w pień wycięci zostali. Nazajutrz, była to niedziela, Talbot i Suffolk opuścili warownie północne i cofnęli się w porządku. Dziewica nie kazała ich ścigać, gdyż sami się usuwali, ale natomiast z jéj polecenia wzniesiono ołtarz na równinie i lud w obliczu uchodzącego nieprzyjaciela składał dzięki Bogu za swoje oswobodzenie (8 maja 1429).

Na nowo zaczęły się wikłać rady dworzan królewskich; Joanna jeden tylko miała cel, koronacyą w Reims, i do tego prosto zmierzała. »Posłannictwo moje ledwie rok, albo mało co więcéj trwać będzie, muszę się zatém spieszyć» to mówiąc postępowała z wojskiem ku stanowiskom Anglików. Suffolk dostał się w ręce Francuzów wraz z miastem Jargeau w którém się zamknął. Meun, Beaugency, otworzyły bramy swoje. W téj chwili cofający się Talbot uzyskał posiłki, Falstaff przywiódł mu z Paryża sześć tysięcy ludu zbrojnego. Zacięty stary wojownik raz jeszcze postanowił doświadczyć losu oręża; przyszło do bitwy pod Patay (18 czerwca). Falstaff pierzchnął z placu, a Talbot dostał się do niewoli.

Temi tryumfami obudzony Karol stanął wreszcie na czele rycerstwa i skłonił się do życzenia Joanny. Dwanaście tysięcy wojska towarzyszyło królowi w pochodzie przez Szampanią. Troyes zatrzymało nieco zwycięzkie hufce, Joanna powiodła wojsko do szturmu, a przerażeni Anglicy poddali miasto. Już

więc bez przeszkody postępowano naprzód i 15 lipca Karol VII odprawił wjazd tryumfalny do Reims wśród okrzyków uszczęśliwionego ludu. *Noël!* wołano jako prawemu monarsze. Dnia 17 nastąpiła uroczystość koronacyjna według starodawnego obrządku: nie opuszczono najmniejszego szczegółu, tak dalece, że zaraz po namaszczeniu król udał się do kościoła Ś. Markulfa leczyć chorobliwe wole (*). Przez cały obrzęd Joanna stała w zbroi u stopni ołtarza trzymając chorągiew w ręku; skoro zaś król namaszczonym został, wtedy zalana łzami padła do stóp

królewskich, mówiąc: »O szlachetny królu, teraz spełniona wola Boga.«

(*) Królowie Francyi z daru Ś. Markulfa mieli moc leczenia chorobliwéj woli (wydętéj) przez samo dotknięcie: szczególniéj atoli po koronacyi moc ta miała być skuteczną; lud pospolity mocno temu wierzył.

Dziewica orleańska miała słuszność: już bowiem dokonała tego co miała dokonać. Dla tego wśród radosnego upojenia tryumfalnéj uroczystości zdawała się przeczuwać bliski swój koniec. Kiedy z królem wstępowała w bramy miasta Reims, a lud na powitanie swojego monarchy wyszedłszy śpiéwał hymny: „o dobry i pobożny narodzie! rzekła... Jeżeli mam umrzéć, jakżebym szczęśliwą była, gdyby mnie tu pochowano!" — Joanno, rzekł jéj arcybiskup, gdzież spodziéwasz się umrzéć? — Nie wiém, gdzie się Bogu podoba... Radabym, żeby mu się podobało, iżbym wróciła paść owce z siostrą i braćmi mojemi... oniby się cieszyli widząc mnie wracającą... Przynajmniéj spełniłam wolę Pana naszego." I wznosząc oczy ku niebu dziękowała Bogu. „Wszyscy, którzy ją w téj chwili widzieli, mówi dawna kronika: „uwierzyli mocniéj jak dotąd, że to nastąpiło z natchnienia boskiego."

Ta naiwność szlachetna, nie zrobiła wrażenia na umyśle radzców królewskich; dziewica stała się nadto ważném narzędziem wojenném, aby ją miano tak prędko odsyłać do trzody, do któréj wzdychała. Uważano ją za rzeczywistego żołnierza i posłano z wojskiem do Paryża. Joanna z niechęcią uległa woli królewskiéj; spełniwszy posłannictwo swoje straciła już ufność w siły własne; *głosy* jéj zamilkły, cudowna szabla z Fierbois pękła, odtąd ramię jéj bezsilném było. Jednakże niemniéj waleczności okazała przy szturmie Paryża: powiodła wojsko do szańców i długo jeszcze tam pozostała po cofnięciu się rycerstwa. Wróciła wreszcie z zakrwawioném sercem, spostrzegłszy, że panowie zazdrosząc jéj wpływu zgubę jéj postanowili; tegoż samego dnia drapiąc się na mury ugodzona głazem wpadła w fossę, żaden z rycerstwa nie posunął się na jéj obronę i już wtedy byłaby dostała się w ręce Anglików, gdyby jéj nie ocalili żołnierze, wcześnie dość o jéj przygodzie zawiadomieni. Naprożno Karol VII, dla uspokojenia jéj nadał szlachectwo całéj familii, zmieniając nazwisko d'Arc na nowy przydomek de Lys, zaszczyt, o który nie pro-

siła; biédna dziewica czuła zbliżającą się godzinę i nic pocieszyć strapionéj duszy nie mogło. Nakoniec, dostawszy się do Compiègne oblężonego podówczas przez Anglików i Burgundczyków, w czasie wycieczki zrzucona z konia, Wilhelm Flavy, dowódca oblężonych, wrócił do miasta, a Joanna w ręku nieprzyjaciół została (1430).

Jeżeli mamy dać wiarę dawnym podaniom, Joanna w tym samym dniu, w którym miała się dostać do niewoli, spowiadała się w kościele ś. Jakóba w Compiègne; oparłszy się o filar odezwała się do mnóstwa otaczających ją ludzi i dzieci: „moi dobrzy przyjaciele, i moje kochane dzieci, powiadam wam z pewnością, znalazł się człowiek, który mnie zaprzedał, jestem zdradzona; wkrótce wydaną zostanę na śmierć. Proszę was, módlcie się za mnie, bo już nie będę służyć ani królowi mojemu, ani zacnemu królestwu Francyi." W istocie zguba Joanny była nieuchronną, przez jakiś nieszczęsny zbieg okoliczności poświęcenie dziewicy dla zawziętych jéj wrogów było konieczne, dla wielu innych pożądane lub przynajmniéj obojętne. Kardynał Winchester stanął na czele rządu angielskiego w Londynie i w Paryżu, ani bowiem Glocester, ani Bedford nie zdołali wydobyć się z krytycznego położenia. Kardynał zamierzył młodego Henryka koronować w Paryżu; możność atoli tego obrzędu na losie dziewicy polegała. Skoro świat przekona się o jéj związkach z szatanem, wtedy koronacya Karola VII, stanie się dziełem szatańskiém, dziełem obrzydłém w oczach prawowiernego ludu, a tém samém bez zaprzeczenia Henryk prawym monarchą Francyi; to była podstawa, na któréj kardynał Winchester ułożył stos dla Joanny, bez względu na jéj winę lub niewinność. Kiedy więc szło o dostanie dziewicy do rąk, polecono ajentom ofiarować tyle, ile wówczas za okup króla wymagano. Co za pokusa dla serc zbrodniczych! Za jaką summę kupiono niewinną ofiarę, rachunek w papiérach kardynała na wieki osiąknął; oprócz tego atoli były inne okoliczności zgubne dla dziewicy, któreby się w ostatnim przypadku dały także na monetę zamienić.

Jan de Ligny, wazal księcia Burgundzkiego, najpiérwszy złożył summę i dostał do rąk swoich Joannę: drogi to był dla niego zakład, na nim polegało utwierdzenie nieprawnéj posiadłości hrabstwa Saint-Pol. W nadziei tego okupu wydał ją księciu swojemu wszechwładcy, którego zwano Filipem dobrym. Ten żądzą posiadania Brabancyi nagabany, zerwaniem stosunków handlowych z Anglią zagrożony, odstąpił jéj Anglikom. Sądem kierował Piotr Cauchon Biskup z Bauvais, któremu w przezroczu arcybiskupstwo Rouen wskazano. Karol VII miał znakomitych jeńców w swoich ręku, zagrożeniem odwetu mógł ocalić Joannę; czy o tém pomyślił, nie mamy dowodów, a to już niewątpliwe, że rada jego od samego początku nienawidziła dziewicy. Królowa sycylijska, jedna z całego dworu przychylna Joannie, narażać księcia burgundzkiego nie chciała, by jéj nie wikłał sprawy o spadek Lotaryngii. Tak więc Joanna, słaba i niewinna dziewica, została sama jedna w obliczu zaciekłych na jéj zgubę wrogów. W myśli ich już dawno wyrok zapadł: stos a w najgorszym przypadku żelazo nieuchronne było dla dziewicy. Czegoż się mogła spodziéwać od dumnych synów Albionu, którym gotową zdobycz wydarła z ręku, przed któréj chorągwią pierzchały wyborowe hufce Brytanii, przed którą schylił czoło osiwiały w bojach Talbot, ozdoba angielskiego rycerstwa, na któréj wspomnienie kryli się w lasy łucznicy, gdy ich do Francyi prowadzić chciano. Czuła to dobrze Dziewica orleańska: obok natchnienia trafny zalecał ją rozsądek, dla tego rzadko bardzo zwodniczą ocalenia łudziła się nadzieją, częściéj daleko smutny dla siebie przewidywała koniec. „Przyszłam z woli Boga, nie mam tu nic do czynienia, odeślijcie mnie do Boga, od którego przybyłam..." powtarzała swoim sędziom.

Dnia 21 lutego 1431 rozpoczął się sąd. Dziewica orleańska, stanęła przed trybunałem inkwizycyi, któremu przewodniczył Piotr Cauchon od początku do końca, a którego sędziowie co chwila się zmieniali. Naprzód wezwana, aby objawiła prawdę w czémkolwiek ją badać będą, odpowiedziała: „Nie wiém o co chcecie

się mnie pytać, być może, iż zażądacie odemnie rzeczy, których wam nie objawię." Znużona jednak natarczywém naleganiem, skłoniła się do zeznania: „iż powié wszystko co się tyczy *jéj sprawy*, lecz nie wszystko co wiedziéćby mogła." Na zapytanie o wiek, imię i przydomek, rzekła, że ma około dziewiętnastu lat. „W miejscu mojego urodzenia zwano mnie Jehannette, we Francyi zaś Jehanne... o przydomku nic nie wiém." Zapewne wstydliwość kobiéca skłoniła ją do takowego zmyślenia. Uskarżała się, że jéj włożono kajdany na nogi; biskup jéj rzekł, ponieważ kilkakrotnie probowała ratować się ucieczką, dla tego musiano użyć téj przezorności. „Prawda, odpowiedziała, ależ to wolno każdemu jeńcowi wojennemu. Gdybym mogła wymknąć się, niktby mi złamania wiary nie zarzucił, bom nic nie przyrzekała."

Głównym atoli celem badania było wykrycie związków z szatanem, bo to jedynie mogło dziewicę na stos zaprowadzić, to jedynie sprawie Henryka pomyślniejszy nadać obrot było zdolne. Bliżéj do tego celu zmierzało podstępne pytanie: „Joanno, czyś przekonana, że jesteś w stanie łaski?" Węzeł zdawał się nie do rozwikłania. Odpowiedzieć, nie, to toż samo co uznać się niegodną być narzędziem woli Bozkiéj, zapewnić tryumf wrogom. Z drugiéj strony, pycha tylko i zaślepienie może odpowiedzieć zuchwale: tak jest; choć w istocie łaska daleką jest od nich. Dziewica rozcięła węzeł z prostotą heroiczną i chrześciańską: „Jeżeli nie jestem w łasce Bozkiéj, oby mi ją Bóg udzielił; jeżelim zaś pozyskała ją, oby mnie Bóg w niéj zachował." Zdumieni sędziowie natychmiast odroczyli dalsze badanie.

W następnych badaniach pytania coraz bliżéj zmierzały do celu: czy *głos* kazał jéj nienawidzieć Burgundczyków? — czy w dzieciństwie nie uczęszczała do drzewa Feów? — czy postaci objawiające się jéj, były istotnie aniołami? — czy *głos* nie nazywał jéj córką Boga, córką kościoła, córką wielkiego serca? i t. p. Z odpowiedzi na takowe pytania, ułożono wreszcie akt oskarżenia i oddano go pod rozpoznanie doktorów i prawników. Mimo po-

strach jaki nad wszystkiemi wisiał, znaleźli się przecież między uczonymi radcami ludzie dość odważni, w gruncie serca pobożni, między nimi biskup z Avranches, który rzekł, że według nauki ś. Tomasza, w tém co dziewica utrzymywała nie ma nic niepodobnego, nic coby płocho odrzucać należało. Wielu prawników odpowiedziało w sposób normandzki, jak mówi dziejopis francuzki, uważając ją za bardzo winną, *jeżeli to nie było powołanie bozkie.* Jeden z uczonych daléj się jeszcze posunął, potępiając ją, żądał aby jéj raz jeszcze odczytano dwanaście artykułów oskarżenia, (słusznie domyślał się, że ich nie widziała nigdy), a następnie żeby ją odesłano do rozpoznania papiezkiego. Było to odroczenie sprawy nieograniczone.

Jakież to dziwne zjawiska przedstawia nam ta epoka w sprawie Dziewicy orleańskiéj. Hasłem ówczasowego rycerstwa była obrona uciśnionych kobiét i panien, obrona ich honoru. W téj saméj chwili marszałek Boucicaut utworzył pewny rodzaj rycerskiego zakonu, którego kawalerowie przysięgą zobowiązywali się do niesienia wsparcia i poręki uciśnionym kobiétom i dziewicom; a przecież nie tylko ramię tego rycerstwa bezwładnie gnuśniało w ciągu tak ważnéj dla Francyi sprawy, lecz język nawet oniemiał. Ale co gorsza, uczeni, bez względu najmniejszego na loiczne następstwa, zacięcie opierali się w odrzuceniu wiary w wyższe natchnienia, wiary w objawienia istot wyższych, aniołów; a nie wahali się uznawać publicznie możności natchnienia szatańskiego, wpływu djabła na sprawy ludzkie.

Wszystkich probowano sposobów, byleby ofiarę wprowadzić na stos; najważniejszym między niemi było usiłowanie przywiedzenia dziewicy do odwołania, jakoby to co czyniła, nie było z woli Boga. „Wolę umrzéć, odpowiedziała, niż odwołać to, com dopełniła z woli Pana naszego.” Za grzéch wielki poczytywano jéj zmianę ubioru i nastawano aby koniecznie kobiece suknie wzięła, zgodziła się wreszcie i na to, z dodatkiem aby jéj dano takie, jakie miejskie Normandczyków córki noszą, to jest bardzo

długie (*) W ciągu wielkiego tygodnia pozbawiona wszelkiéj pociechy religijnéj, już i tak dość udręczona, wpadła w chorobę niebezpieczną, zwłaszcza gdy zjadła nieco ryby, którą jéj przysłano. Sądziła się być otrutą i tak mniemali dozorcy więzienia. Lord Warwick przerażony, oświadczył lekarzowi: „Król pod żadnym warunkiem nie życzy sobie, aby miała umiérać śmiercią naturalną; król kupił ją za wielkie piéniądze!.. Musi umrzéć za wyrokiem sądu, musi być spaloną... Staraj się ją wyleczyć." Dnia 18 kwietnia choroba stała się zatrważającą, postanowili z tego korzystać inkwizytorowie, aby ją skłonić do jakiegokolwiek odwołania. Na pytania natarczywe odpowiedziała w końcu: „Jeżeli ciało moje umrze w więzieniu, spodziéwam się, że je każecie złożyć w ziemi poświęconéj, jeżeli nie uczynicie tego, odwołuję się do Pana naszego." *Pytanie.* Mówisz, żeś przywdziała ubiór męzki z rozkazu Boga, a na przypadek śmierci życzysz mieć koszulę kobiécą? — *Odpowiedź:* niech tylko będzie długa." Widocznie w téj ostatniéj chwili, więcéj ją obchodziła wstydliwość niż życie.

Zbliżała się pora kroków nieprzyjacielskich. Winchester pienił się ze złości, że prosta wieśniaczka, od całego świata opuszczona, zakuta w turmie, rojem chytrych mędrców obsaczona, przecież

(*) Zdaje się, mówi dziejopis francuzki, że obawa kierowała jéj uporem. W więzieniu, okuta w kajdany, przykuta do żelaznego kloca, trzech na noc miała żołnierzy dla straży w tymże pokoju; nie miałaż więc przyczyny lękać się zuchwalstwa stróżów, doświadczywszy nie raz grubijańskiego ich obejścia się. Hrabia de Ligny odwiédzając ją z lordem angielskim, odezwał się do niéj: „Joanno, chcę złożyć okup za ciebie, bylebyś przyrzekła, iż walczyć przeciw nam nie będziesz."—„Mój Boże, odpowiedziała, żartujesz ze mnie, wiém, że ani tego chcesz ani możesz." Gdy zaś toż samo jéj powtórzył, wtedy dodała: „Wiém, że Anglicy skażą mnie na śmierć, w nadziei, że po mojéj śmierci zdobędą królestwo Francyi. Lecz choćby sto tysięcy więcéj było tych *Goddem*, niż ich jest teraz, nie zdobędą królestwa." Na te słowa zapalony gniéwem lord, dobył sztyletu i byłby ją niezawodnie ugodził, gdyby go nie wstrzymał hrabia Warwick. Popędliwość lorda może służyć za skazówkę obchodzenia się prostego żołnierstwa.

samym rozsądkiem miesza przebiegłość uczoną, wstrzymuje wszelkie działania. Cauchon i zmieniani co chwila sędziowie stali mu się podejrzani, zasięgnął więc zdania paryzkiego uniwersytetu. Na zasadzie dwunastu artykułów oskarżenia, uniwersyteccy doktorowie zawyrokowali, że dziewica oddana szatanowi, bezbożna względem swoich rodziców, krwią chrześcian zmazana, i t. p. Już na tym fundamencie śmiało można było układać stos, lecz Winchester nic na tém nie zyskiwał, jemu niezbędne było zeznanie samej dziewicy. Obecność oprawców i narzędzi torturowych nie zatrwożyła Joanny. Wreszcie dnia 23 maja w obliczu mnogiego ludu, natłoku zbrojnego żołnierstwa angielskiego, obietnicą wydania w ręce kościoła skłoniona, podpisała odwołanie, które jéj na świstku podał sekretarz Winchestra; sześć wierszy obejmowało, a ogłoszone późniéj ledwie się na sześciu stronnicach umieściło. W skutek tego, objawiono jéj wyrok łaski: „Joanno, skazujemy cię łaskawie na dożywotne więzienie, o chlebie boleści i wodzie udręczenia, abyś tam opłakiwała swoje grzéchy.” Twardy wyrok! dla Joanny przecież był on istotną łaską, bo ją wyrywał z rąk Anglików, czego jedynie pragnęła. Lecz jakież jéj było zadziwienie, gdy Cauchon odezwał się, „odprowadzić ją zkądeście przyprowadzili!” Wtedy nie zostawało jéj nic więcéj jak cofnąć swoje odwołanie.

Zewsząd wznosiły się groźne głosy nieprzyjaciół Joanny, Cauchon zwołał posiedzenie naprędce jakie mógł, zasięgając zdania, nikt atoli nie śmiał się odezwać wśród szczęku oręża, ułożono więc wezwanie na dzień następny (1 czerwca 1431), w którym Dziewica orleańska miała się stawić już nie przed sądem, ale na stosie. W ciągu badań, Joanna kilka razy objawiła nadzieję cudownego wybawienia, łatwo przypuścić, iż temu mocno wierzyła, nic przeto dziwnego, że nie mogła wstrzymać wybuchu boleści usłyszawszy wyrok oznaczający rodzaj śmierci: „Niestety! zawołała, jakże srogo i okrutnie obchodzą się ze mną, trzebaż aby ciało moje czyste i nigdy nieskażone, ogień dziś strawił i w po-

piół obrócił! Ha, wolałabym być ściętą!.. oh! Boże, wielki sędzio winy którą mi przypisują, do ciebie się odwołuję!" Wkrótce atoli odzyskała spokojność umysłu, a ujrzawszy Piotra Cauchon, rzekła mu: „Biskupie, z twojéj winy umiéram..." Do jednego zaś z towarzyszących kapłanów odezwała się, gdy tenże ją zapytał, czy nie ma ufności w Bogu? — „Oh! tak, przy pomocy bozkiéj dziś będę w raju."

Na targowisku rybiem trzy wzniesiono rusztowania, jedno zajął Winchester z świetnym dworzan swoich orszakiem, na drugiém zasiedli sędziowie, a przed nimi stała dziewica; na trzecim wznosił się stos olbrzymi, dla którego nie żałowano drzewa, aby gorejącą dziewicę wszyscy widzieć mogli. Joanna przyklęknąwszy, ze złożonemi rękami, wznosząc oczy w niebo, wzywała z pokorą pomocy Boga, Najświętszéj Panny, ś. Michała i ś. Katarzyny, przebaczyła wszystkim i prosiła o przebaczenie, odzywając się do otaczających: „Módlcie się za mnie!.." Widok rozdzierający serce wszystkich, nikt się od łez wstrzymać nie mógł. Biskup z Bauvais rozpłakał się, Buloński szlochał także, wielu Anglików łez wstrzymać nie mogło, Winchester płakał jak i drudzy. Rzewliwa ta scena za długą była dla zawziętego żołnierstwa, dwóch sierżantów zbrojnych pochwyciło ją w obliczu sędziów i oddało w ręce kata. Na ten widok mnóstwo z patrzących, a nawet i kilku sędziów spiesznie się usunęło, by nie patrzyć na resztę obmierzłéj sprawy. Na stosie ujrzawszy płomień krzyknęła przerażona, lecz natychmiast odzyskała stałość odzywając się: „Tak jest, *głos*, który mi rozkazywał, pochodził od Boga, głos ten mnie nie zawiodł." Nakoniec spuszczając głowę, zawołała: „Jezus!" ostatni jéj wyraz.

„Dziesięć tysięcy ludzi obecnych płakało..." kilku tylko Anglików śmiało się lub przynajmniéj udawało śmiéch. Jeden z nich najzapalczywszy, przysiągł, że dołoży szczapę drzewa do stosu; dokładał istotnie w chwili skonu dziewicy, natychmiast omdlał, towarzysze starali się go otrzeźwić, lecz nie mógł ze wszystkiém

przyjść do siebie. Zmieszany rzekł: „Widziałem jak z ust jéj z ostatniém tchnieniem ulatywał gołąb.” Inni widzieli w płomieniach ostatni wyraz dziewicy: „Jezus.” Sekretarz króla angielskiego wracając z placu, głośno powtarzał: „Biada nam! spaliliśmy świętą!”

Ugasł stos, spłonęła dziewica, straszny wróg Anglii; szczypta tylko popiołu i, jak mówią, serce od płomieni nietknięte pozostało, lecz rachuba polityki omylona, sprawa Karola VII, coraz pomyślniejszy obrót brała, a interesa angielskie coraz się bardziéj wikłały. Już i Paryżanom znudzili się nieproszeni goście, utworzyli spisek na ich pozbycie się, wcześnie atoli wykryty straceniem sześciu przywódzców uśmierzony został. Paryżanie mścili się szydząc ze swoich zwycięzców, przed którymi drżeli przed dwoma laty. Dunois wydarł im Chartres, a Bedfort i Warwick, nie mogąc zdobyć Lagny, choć już wyłom w murach otworzyli, wrócili do Paryża w wigilią Wielkiéj nocy: „zapewne dla spowiedzi” powtarzali ze śmiéchem Francuzi.

Bedfort jednak śmiało odbijał ciosy nieprzyjaznéj fortuny; księciu Bretanii nadał Poitou, burgundzkiemu Szampanią i Brie, by tym sposobem przychylność ich utrzymać. Nieprzestając na tém, chciał jeszcze wzniecić dawny zapał obrzędem, po którym wiele sobie obiecywał, a który nowe tylko pole otworzył szyderczemu Paryżanów dowcipowi. Dnia 2 grudnia 1431 kardynał Winchester ze zwykłą uroczystością wprowadził do Paryża dziewięcioletniego syna Henryka V, dziécię w którego imieniu tak zacięta toczyła się wojna. Lud, jak zwykle po wielkich miastach, chciwy takowych uroczystości, powitał królewskie dziécię okrzykiem *Noël!* Mówią, że gdy orszak tryumfalny mimo pałacu Saint-Paul przechodził, królowa Elżbiéta, wdowa po Karolu VI, pokazała się w oknie; młodemu Henrykowi VI szepnął ktoś, że to babka jego, obadwa cienie wejrzały na siebie, blade, niedołężne dziécię uchyleniem czapki powitało królowę; ta zaś odkłoniwszy się ode-

szła do okna i łzami się zalała. Nadszedł dzień koronacyi (17 grudnia), dzień wielkich nadziei dla Anglików, nieszczęściem przez ich własną winę przymnożył im tylko nieprzyjaciół. Naprzód, arcybiskup paryzki nie mógł przebaczyć, że obrzędów dopełnił kardynał Winchester w kościele do jego jurysdykcyi należącym. Powtóre, uczta dla ludu i dla dygnitarzy państwa, po odbytéj uroczystości, z takiém zaniedbaniem i lekce ważeniem przez Anglików przyrządzona była, iż Paryżanie żałowali odłożonego kosztu na przyjęcie króla, rozmawiając cichaczem między sobą: „Kiedy złotnik, lub jaki majętny mieszczanin wyprawia wesele swojéj córce, daleko porządniéj wszystko odbywa aniżeli ci Anglicy."

Kiedy tak wszystkie zabiegi angielskie marniały, Karol VII coraz bardziéj się wzmagał, Bretończyk Richemont, Konetabl Francyi, poróżniwszy się z królem, z przyczyny Tremouille ulubieńca królewskiego, wojował z Anglikami na własny rachunek, przez osobistą ku nim nienawiść; pragnąc atoli skuteczniéj działać, zgodnie z wolą i upoważnieniem monarchy, uprzątnął nieprzychylnego sobie ulubieńca, pojednał się z Karolem, ułatwił zgodę z bratem swoim, księciem Bretanii. Tym sposobem już tylko Filip burgundzki pozostał na stopie wojennéj z królem, a zgoda z nim nie tak łatwa: wiązało go z Anglikami przymierze w Troyes, odrażała od króla pamięć morderstwa ojca. Z drugiéj strony wikłały się stosunki Filipa z Anglikami, poróżnił się z Bedfortem i zabiegi kardynała Winchester pojednać ich nie potrafiły. Już téż i Flandryjczycy mniéj przyjaźném okiem spoglądali na Anglików, handel ich upadał, bo przemysł krzewił się w Anglii, sukna angielskie pojawiać się zaczęły na targach flandryjskich, a kupcy flandryjscy utyskiwali na obchodzenie się Anglików w Londynie. Takowy zbieg okoliczności obudził żądzę pokoju, zarówno go potrzebowali i pragnęli Francuzi jak i Anglicy; zebrał się więc pewny rodzaj kongresu w Arras. Przybyli tam posłowie bazylejskiego soboru, pełnomocnicy papieża, cesarza, królów Kastylii, Aragonii, Nawarry, Neapolu, posłannicy Medyolanu, Sycylii i Cy-

pru, posłowie Polski (*) i Danii, wszyscy książęta rodziny królewsko-francuzkiéj, panowie lenni Niderlandów, posłannicy Paryża i innych dobrych miast, nakoniec pełnomocnik Anglii kardynał Winchester. Układy żółwim krokiem postępowały, silono się bowiem pogodzić najniezgodniejsze między sobą rzeczy, tojest dwóch królów Francyi.

Śmierć Bedforta (1435) ułatwiła zgodę księcia burgundzkiego z Karolem VII, upadało bowiem zobowiązanie się Filipa przymierzem w Troyes zaciągnięte, tak przynajmniéj tłumaczono sobie w owych wiekach, wszelkie układy odnosząc do osób, które je podpisały. Żeby atoli książę burgundzki miał czém zatrzéć pamiątkę śmierci ojca, zawarował sobie w układzie nadanie Maçon, Auxerre, Gien, Boulogne, Peronne, Troyes i Montdidier; uwolnił się od składania przysięgi, króla zobowiązał do publicznego uniewinnienia się z dopełnionego w jego obecności morderstwa na księciu Janie bez trwogi. Twarde były warunki układu w Arras, ale też na szali interesów politycznych Francyi, księstwo burgundzkie niesłychanie przeważało, dla tego z radością je podpisał król, zaprzysięgli obecni książęta i pełnomocnicy z największém zaufaniem; tak wszyscy tęsknili do tego przymierza, iż skojarzone najmniejszego nie obudzało podejrzenia. Gdy jeden z lennych panów z kolei powołany został do zaprzysiężenia układu, kładąc rękę na krucyfix odezwał się głosem donośnym: „Tą samą ręką pięć razy w ciągu téj wojny zaprzysięgałem przymierze, lecz teraz przyrzekam Bogu, iż tego szczérze z mojéj strony dochowam, i nigdy go nie złamię.” Karol VII zwołał natychmiast stany królestwa do Troyes, w ich obecności zaprzysiągł pokój i kazał odśpiéwać *Tedeum* (1435).

(*) Wzmiankę o posłach polskich czyni Michelet; ja dotąd nie mogłem się doczytać w dziejopisach naszych tego poselstwa, przypadałoby ono na sam schyłek panowania Władysława Jagiełły.

Książę burgundzki podpisawszy układ w Arras nie miał zamiaru przybierać postawy nieprzyjaźnéj względem Anglii, owszem ofiarował swoje pośrednictwo. Ze wzgardą odrzucili je Anglicy, i natychmiast z księciem po nieprzyjacielsku obchodzić się zaczęli. Załoga z Calais łupiezkie czyniła wycieczki aż w głąb Flandryi, kupcy flandryjscy nieprzyjaźnego doznali obejścia się w Londynie, na przedstawienia zaś Filipa z szyderstwem odpowiadano. Flamandczycy wzięli się do broni, oblegli Calais i choć z niczém odstąpili, już jednak stanęli na stopie wojennéj z Anglią. Wszędzie los sprzyjał Karolowi, Anglicy wyparci z Paryża (1436), Konetabl Richemont w imieniu króla wszedł do stolicy, sam zaś Karol chciał piérwéj rycerskim zasłynąć czynem, aby się tém szanowniejszym w oczach Paryżanów okazał. Na czele więc sześciu tysięcy ludzi obległ Montereau, miasto przykrego wspomnienia. Mężnie bronili się Anglicy, uledz jednak musieli, gdy król z szablą w ręku poszedł piérwszy do wyłomu. Ozdobiony wawrzynem udał się Karól do Saint-Denis, a ztamtąd (12 listopada 1436) uroczysty wjazd odprawił do stolicy.

Od tego dnia, właściwie biorąc, rozpoczyna się panowanie Karola VII. Przybiera on téż odtąd postawę surową, ale pełną godności; polityka jego zimna, lecz na stałych opiera się zasadach. Królestwo już było odzyskane, pozostawały tylko małe załogi angielskie, rozrzucone po miastach Pikardyi, Szampanii i Maine, ztamtąd je wyprzeć, dwie dawne posiadłości Anglików, Normandyą i Gwiennę odzyskać, głównem było zadaniem Karola. Ktokolwiek atoli odniesie się myślą do czasów pobytu królewskiego w Chinon, do chwili uprzedzającéj pojawienie się Dziewicy orleańskiéj, temu dokonanie reszty nader łatwém wydać się musi. Trzeba było jednak na chwilę spuścić z oczu Anglików wojną domową u siebie zajętych, opłakany stan Francyi tylą zaburzeniami wyniszczonéj wzywał troskliwości Króla. Kraj przybrał postać bezludnéj kniei, w któréj się stada wilków swobodnie rozgościły, w samym Paryżu na opustoszałych ulicach, wśród białego dnia,

wilki napadały i zagryzały ludzi, tak dalece, że najwyższa izba obrachunkowa nagrodę dwudziestu soldów wyznaczyła za głowę żarłocznego zwiérza. Drapieżniejsze atoli od wilków, zgubniejsze dla kraju, a do poskromienia trudniejsze były bandy awanturniczych wojaków, rzeczywistych spadkobierców łotrostwa dawnych Brabantczyków i wielkich kompanij. Draby wydartém rolnikowi mieniem żywiący się byli istnemi władzcami Francyi, tém zuchwalszemi, iż cały ciężar ostatnich wojen oni dźwigali, iż słusznie przechwalać się mogli, że króla na tron przywrócili. Za ich pomocą Richemond wyparł Anglików z Paryża, lud przecie trafny i dobitny nadał im przydomek *oprawców* (écorcheurs). Nieszczęściem między ich przywódzcami nie jedno było imię blaskiem sławy z ostatniéj wojny jaśniejące. La Hire, towarzysz broni Dziewicy orleańskiéj, stołownik królewski, był przywódcą bandy oprawców. Dunois, Vendome, hrabia Alençon, przywykli do swobodnego życia obozowego silną byli podporą wyuzdanego żołdactwa.

Niezrażony trudnościami Karol zwołał zgromadzenie stanów do Orleanu (1439). Zewsząd wzniosły się żałobne skargi przeciw srogim nadużyciom żołnierstwa, a w kilka dni pojawiło się „bardzo piękne, najwyższe postanowienie, w formie prawa i wyroku powszechnego, nieodwołalnego, czyli jak wówczas nazywano, uchwała pragmatyczna, określająca karność wojskową.“ Wojownicy, którzy przez lat czterdzieści ważyli w swoich ręku losy Francyi, nie mogli od razu poddadź się ograniczeniom sankcyi; zaraz po jéj ogłoszeniu opuścili króla i wszyscy udali się do Blois. Napróżno silił się Karol wstrzymać ich. „Wiész dobrze, odezwał się do Chabanna z wyrazem ojcowskiéj łagodności, wiész dobrze, że Anglicy i Burgundcy zowią Blancheforta i ciebie przywódcami oprawców.“ — Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Chabannes, gdy ja oprawiam twoich nieprzyjaciół, ty większą odemnie ciągniesz korzyść z ich skóry.“

Delfin miał podówczas lat ośmnaście, lecz już polityczne wstrząśnienia gotowały się w piersiach młodego człowieka, przyszłego

króla Francyi, Ludwika XI; jego więc Dunois potrafił pozyskać i postawić na czele nieukontentowanego stronnictwa. Francuzi, którym nieraz więcéj na dowcipnym przydomku, niż na saméj rzeczy zależy, powstaniu temu dziwną nadali nazwę *Prageryi*, zapewne na pamiątkę pragskiego Hussytów rokoszu, który się po całéj rozległ Europie. Książę burgundzki odmówił swojéj pomocy powstańcom, Dunois zręcznie się wycofał, a tym sposobem król łatwo cały wybuch uśmierzył i Delfina do posłuszeństwa przywiódł (1440). Z chwilowego zamieszania korzystali Anglicy i zdobyli Harfleur, lecz na tém skończyło się ich szczęście; król odwetował tę klęskę wypędzeniem załogi angielskiéj z Couches, Louviers, Saint-Germain-en-Laye i z wielu twierdz szampańskich, w których aż dotąd, u samych prawie bram Paryża, gościli. Co rok bardziéj naciskani, napróżno pasowali się z nieprzychylną dla siebie fortuną. Talbot, najdzielniejszy z wodzów, ozdoba i jedyna nadzieja oręża angielskiego, ze stratą odparty został od murów Dieppe. W Gwiennie twierdza za twierdzą przechodziła w ręce Karola. Armagnac chciał się przerzucić na stronę angielską, Delfin go za jednym zamachem upokorzył i zmusił do cofnięcia z aktów publicznych dumnego napisu: „z Bożéj łaski hrabia Armagnac" (1443).

Rada angielska ujrzała wreszcie niemożność przedłużenia walki, żądała pokoju i rozejm roczny podpisany został w Tours (20 maja 1444). Korzystał z pory Karol dla pozbycia się nieznośnych band wojowników, które obyczajem dawniejszych kompanij, rozproszone po kraju, wypróżniały podróżnych tabołki. Wybieg Karola mądrego nie źle posłużył i teraz. Część łupiezkiego żołnierstwa legła pod murami Metzu, dokąd ich powiódł sam król na pomoc Renatowi andegaweńskiemu; część znalazła grób na łące Saint-Alban niedaleko Bazylei, w walce ze Szwajcarami, w któréj Delfin drogo opłacił palmę zwycięzką i za szczęśliwego się poczytał, że się zręcznie potrafił wycofać z pola tak kosztownych tryumfów, na którém, w utarczce przedniéj straży, dziesięć tysięcy ludzi utra-

cił. Zdawało się, iż to właśnie najdogodniejszy był czas do pozbycia się reszty uprzykrzonego żołnierstwa, ostatni więc cios wymierzył na nie król w postanowieniu swojém w Châlons-sur-Marne. Zyskawszy przychylność głównych przywódców, poddał pod ich rozkazy piętnaście kompanij, każda o stu proporcach, do każdego zaś proporca sześciu ludzi należało; resztę rozpuszczono z rozkazem udania się wprost do miejsc urodzenia, rozstawieni zaś po wszystkich punktach łucznicy, wykonania rozkazu dopilnowali. W ciągu dwóch tygodni wszystko się uspokoiło, radość powszechna ogarnęła umysły mieszkańców; jednakże dobrodziejstwo to trzeba było opłacić. Ustanowiono stałe zasiłki na utrzymanie zbrojnego hufca; a tak w jednymże roku (1445) dwie wielkie wykluły się instytucye, na których spoczywać miała budowa nowoczesnych towarzystw: wojsko stałe i podatki.

Zabezpieczywszy tym sposobem pokój wewnętrzny, postanowił Karol zwrócić całą siłę na wyparcie Anglików. Na cztéry kolumny podzielona armia, wkroczyła do Normandyi, mieszkańcy z otwartemi rękami przyjęli wojska królewskie, po miastach dopomagali do wyrzucenia uciążliwych im załog: w ciągu roku jednego cała Normandya przywrócona pod panowanie króla Francyi (1450). W roku następnym armia normandzka przeniosła się na południe, Dunois jéj przewodniczył i nie wielkich doznał trudności, Anglicy bowiem zanadto byli zajęci wojną domową *dwóch róż*, aby mogli pomyśléć o utrzymaniu dzierżaw zamorskich. Już kilka twierdz przeszło w ręce Francuzów, gdy mieszkańcy Bordeaux nienarażając swojéj sprawy na niepewny los walki, dobrowolnie się poddali, wyjednawszy sobie zapewnienie dawnych praw i zwyczajów. Na mocy takowego układu naturalny syn księcia orleańskiego wszedł do Bordeaux na czele dwudziestu tysięcy ludzi. W orszaku jego był sławny Tristan l'Hermite, przełożony marszałkowski (prevôt des maréchaux). We dwa miesiące późniéj Bajonna, ostatnia posada angielska w tych stronach, poddała się Francyi. Mówią, że w chwili gdy Dunois postępował dla zajęcia miasta,

rozległ się głos po mieście, iż widziano krzyż biały na niebie.

Inni widzieli nawet Chrystusa, którego cierniowa korona zmieniła się w lilie białe. „Oto Bóg sam, mówili mieszkańcy, chce, abyśmy opuścili krzyże czerwone, a zostali Francuzami.” Jeszcze raz pokusili się Anglicy wystąpić do walki; tyloletnie panowanie ich na południu, a nadewszystko związki handlowe, nie mogły od razu zagładzić ich pamiątki w umysłach mieszkańców. Medoc i Bordeaux powstały przeciw władzy królewskiéj, ośmdziesięcioletni Talbot na czele pięciu tysięcy Anglików, wylądował na wybrzeżu Medoku (w październiku 1452), w ciągu zimy syn przywiódł mu cztéry tysiące posiłkowego wojska; lecz w roku następnym przybył Dunois i stanął pod murami Castillon. Mordercza rozpoczęła się walka, którą Talbot zgonem swoim uświetnił. Ostatni to był dzień panowania angielskiego: lasy tylko rozległe, na polach przez czterdzieści lat odłogiem leżących wzrosłe, jedyną po nich zostały pamiątką, jak mówi spółczesny dziejopis.

Od czasów prageryi nie było szczéréj zgody między królem i Delfinem. Pozorem do nieukontentowania dla Ludwika, miało być zaniedbanie matki jego; mówią, że raz uniesiony gniewem z tego powodu uderzył w twarz panią de Beauté, tak nazywano

Agnieszkę Sorel od czasu gdy jéj król darował pałac Beauté (*). Rzeczywistym atoli powodem oburzenia Ludwika była zawisłość w jakiéj go radzcy królewscy utrzymywali; tego przynajmniéj domyślać się każą wyrazy przy opuszczeniu domu ojcowskiego wyrzeczone. Ostatni raz widząc się z ojcem wyszedł z pałacu z gołą głową, mówiąc: „Przysięgam na tę głowę bez czapki, że się zemszczę na tych, co mnie z domu mojego wypędzają." Udawszy się do swojego Delfinatu, miotał się na wszystkie strony, aby sobie zjednać jakiekolwiek polityczne znaczenie. Zawiérał przymierza z księciem Sabaudyi, z Florencyą, z książętami Medyolanu, ustanowił parlament, zaprowadził uniwersytet, zmieniał królewskie postanowienia, nową oznaczał ważność monet, zgoła rozwinął czynność nieco burzliwą, lecz sprężystą i stałą, którą nawet późniéj zachował na tronie. Na złe mu to jednak wyszło. Delfinat, maleńka prowincya, uboga, nie mogła opłacać zaszczytu politycznéj wziętości, uciążliwe podatki wznieciły powszechne nieukontentowanie. Szlachta nie płaciła i dla tego byłaby go zapewne chętnie wspierała, gdyby popędliwy książę nie był jéj obraził tworzeniem nowéj szlachty bez liku, w widocznym zamiarze poniżenia dawnéj. Nowa ta szlachta zyskała żartobliwą nazwę *szlachty Delfina Ludwika*, nazwę, która poszła w przysłowie. Bo téż to była osobna klassa: bez ubliżenia godności wolno jéj było kupczyć, chodzić za pługiem. Nie zawsze też i zasługi były szlachetne, mówiono, że jeden został szlachcicem za to, iż rozgrodził płot i trzymał drabkę gdy Delfin cichaczem odwiedzał Panią Sassenage.

Postawa jaką przybierał Delfin zaczęła niepokoić Karola, samowładzca Delfinatu zdawał się być niebezpiecznym dla króla Francyi; z tego powodu Ludwik odebrał rozkaz stawienia się na

(*) Agnieszka Sorel z przydomkiem *Piękna* (la belle), była rodem z Promentenu. Jeden z dziejopisów francuzkich utrzymuje, że teściowa króla, a nawet podobno i małżonka jego, ułatwiła zbliżenie się dwojga kochanków. Francuzi mile wspominają jéj imię; jéj bowiem radom i zachętom winien był król nie jeden czyn szlachetny, którym zasłynął. Ona go właściwie wydobyła z niedołęztwa, w którém gnuśniał w początkach panowania swojego.

dworze królewskim. Nie usłuchał go wszakże, a nie czując się dość silnym do stawienia oporu z bronią w ręku, uszedł zręcznie do Bruxelli, do księcia Burgundyi. Że mu nie zbywało na chęci walczenia z ojcem, dowodzą jego wyrazy: „gdyby wojsko moje wyrównywało połowie przynajmniéj armii króla ojca mojego, nie byłbym czekał aż się zbliży do Lugdunu." Z otwartemi rękami przyjął Delfina książę burgundzki, naznaczył mu na mieszkanie zamek Genep o cztery mile od Bruxelli, urządził służbę stopniowi następcy tronu odpowiednią, wyznaczył pensyą miesięczną 2500 liwrów, i wreszcie oświadczył gotowość na wszelkie usługi; w téjże atoli chwili żądanéj pomocy zbrojnéj odmówił. Wesoło pędził życie Ludwik w Genep, częścią polowaniem, częścią rozkoszną gawędą czas trując. „Krotofilni dworzanie księcia burgundzkiego bawili Delfina powiastkami przygód miłosnych, lubił je książę, sam się niekiedy w nie wdawał, a najlubieżniejszy w wyrazach, największe zyskiwał względy. Późniéj ogłoszono drukiem te gawędki pod tytułem *stu powiastek* (Cent Nouvelles)." Tak miłe gody trwały do śmierci Karola VII (1461). Umarł Karol

pospolicie *zwycięzkim* zwany (le Victorieux), w pięćdziesiątym ósmym roku życia swojego, a trzydziestym dziewiątym panowania. W ca-

łém życiu swojém dziwną objawiał mięszaninę niedołęztwa i energii, odrętwiałéj obojętności i szlachetnego poświęcenia się: mimo to charakter jego przedstawiłby wzór dobrego króla, gdyby go nie splamił był niewdzięcznością. Obojętność w sprawie Dziewicy orleańskiéj, usunięcie Jakoba Coeur, który z pełném szlachetności poświęceniem się opłacał jego zwycięztwa, pozostanie na zawsze skazą panowania Karola. Jak wszyscy ludzie słabi i niedołężni tak i Karol z łatwością wierzył w zdradę, przygody młodzieńczego wieku zdolne były utwierdzić w nim tę nieszczęsną skłonność, któréj w końcu padł ofiarą. Gdy bowiem zachorował na wrzód w gardle, ktoś rzucił podejrzenie na Delfina o zamach otrucia; przerażony tém Karol przez kilka dni żadnego pokarmu, ani napoju przyjmować nie chciał, a gdy w końcu dał się przecież nakłonić, już było za późno.

ROZDZIAŁ V.

LUDWIK XI.

Spodziewano się wielkich zmian przy wstąpieniu na tron nowego króla. Ludwik *najuboższy z królewiczów*, jak się sam wyrażał, pospieszał z Genep z mocném postanowieniem zemszczenia się dawnych uraz; gdy więc w pierwszéj chwili zamieszania jedni z dworzan szukali schronienia, drudzy wybiegli naprzeciw królewskiemu wygnańcowi, zwłoki Karola VII zostały opuszczone od wszystkich. Stary jego przyjaciel Tanneguy-du-Châtel własnym kosztem wyprawił pogrzeb i usunął się do Bretanii. Obrzęd króla Francyi w Saint-Denis starożytnym zwyczajem rozpoczynała żałoba a kończyła radość. Głośne jęki i szlochania rozległy się po kościele gdy herold zawołał: „Niech Bóg przyjmie duszę

Karola VII, króla zwycięzcy!" a gdy następnie odezwał się: „Niech żyje król Francyi Ludwik XI!" zamiast zwyczajnych okrzyków radości głośniejsze dały się słyszyć szlochania. Po uczcie w sali opactwa Dunois wstając od stołu rzekł do otaczających go bliżéj towarzyszów: „Utraciliśmy naszego Pana, niech każdy pamięta o sobie."

Panowie burgundzcy z niesłychanym wystąpili przepychem w czasie uroczystego wjazdu Ludwika XI do Paryża (30 sierpnia 1461), sądząc, że w dwójnasob wynagrodzeni zostaną przez nowego króla. W istocie hrabia Charolais, syn księcia Burgundyi, otrzymał namiestnikostwo Normandyi, hrabia Croy, najznakomitszy z panów burgundzkich, został marszałkiem pałacowym, lecz na tém koniec. Sam książę burgundzki nadto był potężny, aby mógł coś uzyskać od chytrego Ludwika, musiał się kontentować pochlebstwami, których mu nie szczędził przy lada okoliczności: „jego łasce winienem życie i koronę" odezwał się do deputatów uniwersyteckich.

Ludwik, jako król, rozpoczął panowanie od nasycenia zemsty Delfina: wszyscy prawie wyżsi urzędnicy, znakomitsi radzcy Karola VII, dowódzcy wojsk, musieli ustąpić miejsc swoich nowym przybyszom. Osadzeni w turmie przez ojca hrabiowie Alençon i Armagnac odzyskali wolność, miejsce ich w więzach Bastylii zajął Chabanne hrabia Dammartin, który odważył się był przyjąć niebezpieczną rolę ścigania Delfina z bronią w ręku. Zawziętość Ludwika posunęła się aż do potępienia polityki ojca swojego, któréj w gruncie serca odstępować nie myślił. Jeszcze w 1438 Karol VII ogłosił w Bourges sankcyą pragmatyczną, utwierdzającą swobody gallikańskiego kościoła, a tém samém nieprzyjazną dla dworu rzymskiego; Ludwik zniósł ją i w zamian uzyskał od Piusa II papieża szablę poświęconą w wigilią Bożego Narodzenia. Wnet postrzegł swój błąd, pozwolił parlamentowi odmówić przyjęcia aktu samowolnie przez siebie wydanego, a tym sposobem kościół francuzki zatrzymał swoje przywileje.

Im więcéj Ludwik zajmował się sprawami państwa, tém bardziéj zacierała się w umyśle jego pamięć pobytu w Genep, tém chciwszym się stawał nieograniczonéj władzy, tém powszechniejsze wzbudzał przeciw sobie oburzenie. Karolowi VII chętnie przebaczali Francuzi jego ułomności, bo je pokrywał niekiedy rycerskiém prawdziwie postępowaniem; Ludwik XI nie miał nic w sobie ujmującego. Chętniéj wdawał się w układy niż w bitwy, ubierał się skromnie, może aż nadto, otaczał się ludźmi nizkiego pochodzenia: lokaj dopełniał obowiązków herolda, cyrulik zaś przybocznego szambelana, Tristana, przełożonego marszałkowskiego nazywał swoim kmotrem. Gorsze atoli nad to wszystko było gwałtowne podwyższenie podatków, mimo przyrzeczenie zmniejszenia ich, dane publicznie w czasie uroczystości koronacyjnéj. Bez zwoływania stanów za jednym skokiem z 1,700,000 liwrów podniosły się podatki na trzy miliony, a szubienica i kajdany stłumiły tu i owdzie rozruchy. Słabiały także względy dla Burgundczyków, dawnych Delfina przyjaciół. Hrabia Charolais utracił namiestnikostwo Normandyi, przeniesione na księcia Bretanii. Dokuczliwsze atoli było dla hrabiego zajęcie miast nad Sommą. Ludwik zebrawszy jak mógł cztery kroć sto tysięcy talarów, układem w Arras zawarowane, odesłał Filipowi i w téjże chwili objął w posiadłość zastawione miasta, które mu otwierały drogę do Artois. Na nic się nie przydały uniesienia hrabiego Charolais, poróżniony z ojcem sam przez się nie mógł królowi stawić oporu.

Na wszystkie strony rozszerzał swoję władzę Ludwik. Jan II król Aragonii uzyskał od niego posiłki w pieniądzach i wojsku przeciw poddanym swoim, ale za to ustąpił mu Cerdagne i hrabstwo Roussillon (1462). W tym samym roku Małgorzata Andegaweńska, bohatyrka róży czerwonéj, domu pognębionego Lankastra, uzyskała dwadzieścia tysięcy liwrów, tytułem pożyczki, z warunkiem, że zwróci Calais, skoro jéj się powiedzie osadzić męża na tronie. Tak nagły wzrost monarchizmu zaczął wszystkich niepokoić. Karol VII utrzymywał lud i możnych panów w równéj

uległości, nie puścił płazem żadnego powstania; ależ to był król spokojny, dobroduszny, nigdy sam nie wywoływał nikogo; Ludwik tym czasem co moment nowe roił projekta. Przebiegał bezustannie królestwo, wdzierał się wszędzie, naruszał byt każdego, potrącał wszystkie zwyczaje. Nie dość że księciu burgundzkiemu odebrał miasta nad Sommą, chciał jeszcze w krajach jego zaprowadzić monopol soli, choć to było istotne i niezawisłe królestwo od czasu zawartego układu w Arras. Księciu bretońskiemu, innego rodzaju królowi, odjął jurysdykcyą nad biskupami. Książę Bourbon postradał Gwiennę; Orleański żalił się na uznanie Sforzy, który mu wydarł dziedzictwo Walentyny. Dunois, mimo swój ród, istotna głowa domu orleańskiego, objęty był niełaską wraz z innemi radzcami Karola. Sam nawet brat królewski, Karol książę Berri, widział się usuniętym od swojego wyposażenia, zatrzymany przy dworze pod dozorem zbyt podejrzliwym. Drobna szlachta nie mniejsze miała powody do utyskiwania, król zaczepił ją w najdroższych jéj prawach, przeszkadzając najulubieńszym rozrywkom, to jest polowaniu. „Dwaj szlachta za polowanie na własnych gruntach, ukarani zostali oberznięciem uszu: tym sposobem, mówi blizki czasów owych dziejopis, łatwiéj uzyskać było przebaczenie za zamordowanie człowieka, jak za ubicie jelenia, lub dzika." Mieszczanie stękali pod ciężarem trzech milionowego podatku. Damy nawet dworskie oburzała surowość króla, w ustawnych bowiem przejażdżkach po kraju, woził je ze sobą, nie myśląc o żadnych wygodach podróży.

Wrzała powszechna niechęć, brak atoli przywódzcy wstrzymywał jéj wybuch, póki słabość księcia burgundzkiego nie podała władzy w ręce hrabiego Charolais, znanego późniéj pod imieniem Karola *Zuchwałego* (le Téméraire). Wtedy nieukontentowani zaczęli się porozumiewać między sobą (w końcu r. 1464). Kościoł N. Panny w Paryżu był miejscem schadzki, a czerwony jedwabny sznurek u pasa, stanowił znak spiskowych. Wkrótce liczono przeszło pięciuset znakomitych panów, należących do *związ-*

zku dobra publicznego, taki był szumny tytuł rokoszu możnowładzców. Hrabia Charolais i książę Bretanii byli duszą związku, książę Berri, brat królewski, przyjął imię naczelnika. Filip ujrzawszy układ podpisany przez książąt Berry, Bretanii, Bourbon, Alençon, Calabre, Dunois i najznakomitszych z familii Armoniaków, odezwał się do syna: „idź, broń dobrze swojego honoru, a jeżeli dla poparcia potrzeba ci będzie stu tysięcy ludzi, sam ci ich powiodę." Groźne było niebezpieczeństwo dla Ludwika, śmiało atoli zastawił się przed tą burzą. Lugdun, Bordeaux, Delfinat, Owernia, Langwedocya, wierne mu pozostały, przebiegłością zaś swoją potrafił związać Paryżanów, zniósł składane przez nich do skarbu zasiłki, utworzył radę przyboczną z deputowanych miejskich, członków parlamentu i uniwersytetu; małżonkę swoję blizką rozwiązania poruczył opiece Paryża, *miasta, które nadewszystko polubił*; ogłosił w manifeście swoim: „przyrzekają znieść podatki; to właśnie w każdym czasie głoszą wszyscy rokoszanie i buntownicy... Gdyby król chciał był im powiększyć płacę i dozwolić zdzierać lud, jak to dawniéj bywało, żaden z nich nie pomyśliłby nawet o *dobru publicznem*."

Działania związkowych były bez związku. Ludwik miał dosyć czasu do uśmierzenia księcia Bourbon i szybkim pochodem na czele dwudziestu czterech tysięcy dobrze wyćwiczonego i wybornie uzbrojonego wojska zdążał ku Paryżowi. Znali ważność posiadania stolicy związkowi, obrali ją więc za punkt zjednoczenia się, zwolna atoli ściągali się. Hrabia Charolais zniecierpliwiony przeszedł Sekwanę pod Saint-Cloud i starł się z wojskiem Ludwika przy Montlhéri. Walka dość była zacięta, jednakże od czasu wypędzenia Anglików wszyscy tak dalece odwykli od wojny, że obiedwie armie pierzchły z placu, każda w swoję stronę. Wtedy Ludwik rozpoczął ze wszystkiemi chytre układy, które mu zawsze lepiéj usługiwały niżeli oręż; gdyż mimo wątpliwą bitwę pod Montlhéri związkowi groźną przedstawiali siłę pięciudziesiąt tysięcy wybornie uzbrojonego ludu. Układy rozpoczęły

się w Conflans i Saint-Maur (1465): naprzód zawarto rozejm na dzień jeden, przedłużono go potém na dwa, daléj na trzy dni. Obiedwie strony równą nieufnością dręczone, pragnęły jak najprędzéj zakończyć wojnę, któréj wypadek równie był wątpliwy dla obudwóch stron. Wreszcie król wsiadłszy na statek udał się wprost do namiotu hrabiego Charolais niedaleko Conflans. Przy

piérwszém spotkaniu uściskał go serdecznie, mianując go swoim bratem, jak gdyby się witali na rozkosznéj zabawie w Genep. Poczém przybierając ton poufały i krotofilny, jakiego nikt lepiéj

użyć nie umiał w każdéj okoliczności, rzekł uśmiechając się: „kiedy ten półgłówek Morvilliers tak dobitnie do ciebie przemawiał, kazałeś mi powiedzieć przez biskupa narbońskiego, że nim rok upłynie pożałuję tego co ci Morvilliers powiedział. Dali Bóg! dotrzymałeś słowa i jeszcze przed upływem roku. Lubię mieć do czynienia z ludźmi, którzy spełniają swoje obietnice." Wziął potém brata swojego Charolais pod rękę i przechadzał się z nim poufale nad brzegiem rzeki, z wielkiém podziwieniem wojowników, którzy pojąć nie mogli tak niespodzianego pojednania.

Takim sposobem rozpoczęte układy szybko postępowały, dnia 5 października podpisane przymierze w Conflans z hrabią Charolais, a we dwadzieścia pięć dni późniéj w Saint-Maur z innymi książętami. Nigdy Ludwik nie okazał się łatwiejszym w przyzwoleniach jak wówczas; zdawało się, że dość było tylko żądać, a król natychmiast zgadzał się: związkowi też nie uchybili sposobnéj pory. Brat królewski uzyskał Normandyą, hrabia Charolais miasta nad Sommą, inni panowie otrzymali zamki warowne, włości i pensye. Wreszcie przypomniało się komuś o *dobru publicznem*, mianowano więc trzydziestu sześciu kommissarzy, którzy mieli „o niém pomyśleć." Sam Ludwik ich wybrał, nic więc dziwnego, że się nie śmieli tknąć zaprowadzonego przez króla porządku, owszem pomogli mu nawet do podwyższenia podatków, zasłaniając się potrzebą spełnienia układu w Conflans. Jak ostatni warunek przymierza spełzł na niczém, tak powoli umiał Ludwik zręcznie złamać i inne. Hrabia Charolais zajęty był buntem miast Leodyum i Dinant, skrytych sprzymierzeńców króla; korzystając z tego Ludwik odebrał bratu Normandyą, księcia Bretanii znaglił do odstąpienia od związku, a stany zgromadzone w Tours (1466) za podszeptem królewskim zniosły główne warunki przymierza w Conflans.

W tym czasie hrabia Charolais po śmierci ojca został księciem Burgundyi pod imieniem Karola Zuchwałego, Ludwik aż nadto

był przekonany, iż nowy książę nie łatwo mu przebaczy zgwałcenie przymierza, dla tego zabezpieczał się ze wszech stron. Wielu znakomitych panów oderwał od związku zapewniwszy im większe korzyści nad te, jakie pozyskali w układzie ogólnym. Kazał spisać wszystkich mieszkańców Paryża zdolnych do broni: znalazło się ich ośmdziesiąt tysięcy, z których trzydzieści tysięcy było uzbrojonych od stóp do głów. Tych podzielił na brygady, podawał im dowódzców i chorągwie, wyuczył robienia bronią i obrotów wojennych; a tymczasem rozsyłał poselstwa, zawiązywał układy, czuwał na wszystko; tak dobrze rozsadził po wszystkich kątach swoich ajentów, że wysłańcy bretońscy nie ważąc się przebywać Francyi, musieli w Anglii umawiać się z pełnomocnikami burgundzkiemi. Karol zuchwały przywiódł do skutku nową ligę przeciw Ludwikowi, do któréj należeli książęta Bretanii i Alençon. Ludwik ze swojéj strony na nowo podburzył Leodyjczyków, a gdy Karol zuchwały zajmował się ich poskramianiem, on tymczasem nękał księcia Bretanii i w końcu zmusił go do odstąpienia burgundzkiego związku. Wodzowie Ludwika pragnęli spotkać się z Karolem, przyrzekali królowi zwycięztwo; ten atoli więcéj ufał układom. Przebiegi dyplomatyczne były ulubioną sztuką Ludwika, uważał się on za mistrza we wszelkich układach, miłość własna króla upatrywała w nich tryumf równie zaszczytny jak na polu bitwy; wstrzymał więc kroki nieprzyjacielskie i zawiązał układy z księciem burgundzkim, który ze swéj strony, po zerwaniu związku, nie mógł się odważyć iść naprzód, a cofać się nie chciał.

Nie powodziło się pełnomocnikom królewskim: popędliwy książę burgundzki nie łatwy był do zgody; uznał to Ludwik za najdogodniejszą porę do okazania wyższości swojéj, i skromnym otoczony orszakiem, udał się do Péronne (1468) rezydencyi Karola zuchwałego. Książę burgundzki nie mógł zapomnieć rozkosznych zabaw w Genep, wyszedł na przeciw Króla, uściskali się po przyjacielsku i rozmawiając poufale obadwa wjechali do miasta. W téj saméj chwili bramą przeciwną wjechał marszałek burgundzki oto-

czony wygnańcami i zbiegami z więzów Ludwika, którzy teraz przyjęli krzyż czerwony, godło narodowości burgundzkiéj. Struchlał król na ten widok, a unikając grożącego mu niebezpieczeństwa zajął pomieszkanie w zamku książęcym. Zaraz nazajutrz rozpoczął układy nie z większém szczęściem jak i pełnomocnicy jego. Wtém nadbiegają gońcy z doniesieniem o powstaniu Leodyjczyków, o popełnionych morderstwach, z dodatkiem, że widziano wyraźnie podżegaczów francuzkich pomiędzy rokoszanami. W istocie Ludwik za zbliżeniem się Karola do granic Pikardyi wezwał Leodyan do powstania, umyśliwszy atoli wejść w układy z Karolem posłał odwołanie pierwszego wezwania, nieszczęściem już było za późno. Takowe okoliczności zmieniły stan rzeczy i położenie Ludwika stało się dramatyczniejsze, niż się mógł spodziewać. Z okien mieszkania swojego widział tę wieżę, w któréj hrabia Vermandois więził Karola *prostego* i on blizkim był podobnegoż losu. Książę burgundzki w pierwszym wybuchu gniewu obstawił strażami bramy miejskie, kazał strzedz pałacu w którym się znajdował Ludwik, zgoła wszystko w oczach króla przybrało postać więzienia. Nie długo atoli uspokojony Karol poprzestał na potwierdzeniu przymierza w Conflans i załatwienia wszystkich punktów spornych, jakie się ciągnęły od lat trzydziestu w przedmiocie wszechwładztwa książąt burgundzkich w Pikardyi i hrabstwie Artois. Z resztą na większe jeszcze upokorzenie musiał Ludwik towarzyszyć księciu w wyprawie przeciw Leodyjczykom.

Wydostawszy się z rąk Karola, zemstą zapalony Ludwik myślił jedynie o powetowaniu strat i uraz. Naprzód bratu swojemu, zamiast Szampanii przyrzeczonéj układem w Perron oddał Gwiennę, rozleglejszą wprawdzie prowincyą, lecz oddaloną od granic burgundzkich; księcia Bretanii zmusił do wyrzeczenia się związków z Burgundami; możnych panów wielu darami, wielu postrachem na swoję stronę przeciągnął. Nie łatwa atoli była sprawa z podnoszącym głowę feodalizmem, nie podobna było od razu złamać uporu możnych, którzy się ciągle za równych królowi uważali;

dla tego mimo przebiegłe obroty, chytre podstępy Ludwika, potrafił Karol zuchwały spólnie z bratem króla i księciem Bretanii utworzyć związek straszniejszy daleko od związku dobra publicznego, przystąpił do niego Jan II aragoński i Edward IV król angielski. Pierwszemu chodziło o odzyskanie Roussilonu, drugi dobiwszy się tronu, pragnął niespokojne umysły zająć wojną zagraniczną. Związkowi nie taili już swoich zamiarów, książę Bretanii odezwał się raz w poufałéj rozmowie: „Tak mi jest drogie dobro Francyi, że zamiast jednego króla radbym ich widział sześciu." Drażliwe było położenie Ludwika, już nawet nie mógł się spuszczać na spółdziałanie gmin miejskich, które tłoczył podatkami, jedyną nadzieją ratunku była śmierć brata, i brat królewski umarł. Ludwik kazał sobie zdawać sprawę o postępie choroby brata swojego, nakazał publiczne modły o zdrowie księcia Gwienny, a tym czasem wojsko postępowało na zajęcie jego dzielnicy. Posądzonemu o otrucie mnichowi wytoczono proces, urwało się wszakże postępowanie sądowe, gdy go wkrótce znaleziono bez duszy w więzieniu, a król rozpuścił wieści jakoby mu djabeł kark skręcił.

Karol zuchwały, pod pozorem zemsty śmierci księcia Gwienny, stanął na granicy Francyi, zdobył Nesle, miasto spalił a mieszkańców w pień wyciął, wolnym zaś łucznikom (francs-archers) broniącym miasta, kazał ręce poobcinać; odtąd uzyskał nowy przydomek: Karol *okrutny*. Posuwając się daléj rozrzucał odezwy przeciw królowi, wzywał lud do powstania; od czasu jednak związku dobra publicznego lud nauczył się oceniać to moralne oburzenie możnowładzców, głuchym się więc okazał na wszelkie namowy. Gdy Karol podstąpił pod Beauvais mieszczanie sami bez żadnéj załogi mężny mu opor stawili. Dzieci i kobiety stanęły na wałach miasta podając walczącym posiłki, donosząc proch i kule, lejąc wrzącą wodę i oliwę na zbliżających się pod mury nieprzyjaciół, rzucając na nich kamienie, niektóre nawet z kobiét uchwyciwszy broń mężnie walczyły z Burgundczykami: Joanna Lainé z topo-

rem w ręku stojąc za murem, pochwyciła chorągiew burgundzką i jako godło zwycięztwa wydarte z rąk chorążego zatrzymała.

Odtąd nadano jéj zaszczytne imię Joanny Hachette. Wkrótce nadbiegły wojska królewskie na pomoc walecznym mieszkańcom, a Karol widząc swoje wysilenia bezskuteczne, odstąpił od miasta, i wnet zawarł układ z Ludwikiem, w którym zawarował bezpieczeństwo swoim sprzymierzeńcom. Nic nie kosztowało Ludwika przyrzeczenie, a narod dobrze już wiedział jak miał słowom jego ufać.

Zbywszy się najstraszniejszego wroga, całą baczność zwrócił Ludwik na poskromienie wewnętrznych nieprzyjaciół, upornych wazallów. Familia Armaniaków najpierwsza doświadczyła zemsty królewskiéj. Hrabia Armagnac oblężony w Lectoure zamordowany został w czasie układów, a żona jego przy nadziei będąca, musiała wypić napój ułatwiający poronienie. Hrabia Alençon osadzony w turmie we dwa lata życia w niéj dokonał. Podobnegoż losu doznali inni panowie, uczestnicy buntowniczych związków.

Jeden ścięty został w Rhodez, drugi ćwiertowany w Tours, inny wtrącony do podziemnego lochu Bastylii nędzne wlókł życie. Gdy tak szerzył i utwierdzał władzę swoję Ludwik, nowa zbierała się burza: Edward IV wylądował w Calais w zamiarze odzyskania *królestwa swojego*. Wyprawę tę z wielkim kosztem przygotował król angielski, ufny w posiłki księcia burgundzkiego. Karol zaś zamiast łączyć się natychmiast z potęgą angielską i prowadzić ją przeciw królowi Francyi, wdał się w wojnę z Niemcami. Słusznie obrażony Edward za zawód, ostrych nie szczędził wymówek swojemu szwagrowi, które wszakże złemu nie zaradziły. Nadeszła pora dżdżysta i choć król w wygodnych umieścił namiotach opasłych radzców gminnych, których z sobą przywiódł, nie było to wszakże dla nich odpowiednie życie, wnet im się sprzykrzyło; sądzili oni, że skoro się pojawią na wybrzeżu francuzkiém, za dwa lub trzy dni stoczą bitwę i z tryumfem skończą wyprawę. Ludwik znalazł sposób opsypania darami doradzców królewskich, dla żołnierzy zastawiał otwarte stoły, i tak pozbył się armii na zawojowanie Francyi przybyłéj.

Kiedy Ludwik XI tak się obchodził ze swojemi panami, czém się zajmował podówczas naczelnik feodalizmu Karol zuchwały? czém inném miał wtedy głowę zajętą, nie mógł myśléć o dawnych towarzyszach związku. Nieprzestając na władzy prawdziwie królewskiéj zapragnął tytułu, olbrzymi powziął pomysł przywrócenia królestwa burgundzkiego w najrozleglejszych jego granicach, pragnąc przyłączyć do posiadłości swoich Lotaryngią, Prowancyą, Delfinat i Szwajcaryą. Ludwik zdawał się obojętnym być na zamachy Karola, skrycie jednak wszędzie mu zawadzał i plątał jak mógł dumne zamiary. Zawarł przymierze ze Szwajcarami, którzy wodzów Karola bili w Alsacyi, wspierał Renata lotaryńskiego, a ten szarpał wojska Karola od strony Luxemburga. Zuchwały książę Burgundyi nie dość miał tylu razem nieprzyjaciół, trzeba mu jeszcze było wdać się w spory książąt niemieckich, w kłótnie Roberta bawarskiego z Hermanem Heskim z powodu elektor-

stwa kolońskiego; a gdy bezpotrzebnie targał siły swoje przy oblężeniu Neussu, książęta rzeszy stanęli pod bronią pilnie uważając obroty Karola. Rok cały wlokło się to nieszczęsne oblężenie i Karol odstąpił od niego, zwracając swój oręż przeciw Szwajcaryi.

Szwajcarya, naród mieszczan i chłopów, od dwóch wieków z pod władzy domu austryackiego wyswobodzona, nienawistną była w oczach książąt i szlachty. Ludwik XI, delfinem jeszcze będąc, doświadczył szwajcarskiéj waleczności pod Saint-Jacques niedaleko Bazylei. Przecież Hagenbach, gubernator księcia burgundzkiego w hrabstwie Fervette, drażnił bezustannie Szwajcarów i powtarzał: „zdejmiemy skórę z berneńskiego niedźwiedzia i zrobimy z niego futro." Ciągłą napaścią zniecierpliwieni Szwajcarowie, zawarli przymierze z Austryakami, dawnemi nieprzyjaciołmi swojemi, pobili wojsko burgundzkie pod Hericourt, Hagenbacha dostawszy do rąk ściąć rozkazali. Po takowych wypadkach chcieli przebłagać księcia burgundzkiego, przedstawiali mu, iż na nich nic nie skorzysta, mówili: „więcéj książę masz złota w ostrogach swoich rycerzy, niż go znajdziesz we wszystkich naszych kantonach." Nic to wszakże nie pomogło, Karol był nieugięty. Wkroczył do Szwajcaryi, wziął Granson i osadę, która mu się poddała na słowo, wytopić rozkazał. Ruszyli się i Szwajcarowie, książę burgundzki posunął się nieroztropnie naprzeciw nim, stracił korzyść walki na równinie, gdzie mógł rozwinąć jazdę, uwikłał się pomiędzy wąwozami i tak sam sobie przygotował klęskę. Ze szczytu gór, wśród okrzyków *Granson! Granson!* szybkim krokiem zstępowały ściśnione szwajcarskich wojowników hufce, a w téj saméj chwili zagrzmiały dwie olbrzymie trąby, które, według podań ludu, Karol W. darował alpejskim góralom: jednę z nich wołem z Uri, drugą krową z Untelwalden zwano. Napróżno kusili się Burgundcy złamać ten las dzid, nie było siły zdolnéj wstrzymać zapęd związkowych rycerzy. Obóz księcia, jego skarby, działa, zapasy wojenne, stały się łupem zwycięzców, którzy nie znali wartości zdobyczy. Jeden z nich sprzedał wielki dya-

ment księcia burgundzkiego za talara; pieniądze zaś czapkami rozdzielano. W trzy miesiące później przybył Karol z świeżém wojskiem i większą jeszcze poniósł klęskę pod Morat (1476). Z kości poległych Burgundczyków Szwajcarowie wznieśli pomnik i długo bardzo utrzymywało się między niemi przysłowie: „rzeź jak pod Morat.

Ostatnie to nieszczęście dokonało zguby Karola zuchwałego: wyludnił miasta, wypróżnił skarb; szlachtę już drugi rok trzymał pod bronią. Z tego powodu wpadł w melancholią, która czasami do obłąkania dochodziła. Uwziął się koniecznie wysadzić z Lotaryngii księcia Renata, który za poduszczeniem Ludwika XI zajął tę prowincyą. Młody Renat walczył w szeregach szwajcarskich, mówił ich językiem, niekiedy nawet przywdziewał ubior ich narodowy, miłym był więc Szwajcarom i chętną od nich uzyskał pomoc; książę Burgundyi zaledwie trzy tysiące zbrojnego ludu pod swoją chorągwią liczący, nie chciał się cofać przed bronią *dziecięcą*, choć małą miał nadzieję zwycięztwa. W ciągu najzaciętszéj walki Włoch Champo-Basso, u którego już dawno Ludwik targował życie Karola, zerwał krzyż burgundzki i tym sposobem wprowadził zamieszanie w szeregi burgundzkie. W kilka dni znaleziono ciało księcia i z wielką okazałością sprowadzono do Nancy: tu książę Renat w czasie obrzędu pogrzebowego skrapiając zwłoki wodą święconą, ująwszy rękę nieboszczyka odezwał się: „Miły bracie, niech Bóg świéci nad duszą twoją, ależ ty mnie nabawiłeś wielu trosków i nieszczęścia.” Lud wszakże nie chciał wierzyć w śmierć księcia, który tak głośnym był na widowni świata. Długo z utęsknieniem wyglądano jego powrotu i zapewniają, że w dziesięć lat później kupcy darmo rozdawali towary swoje z warunkiem podwójnéj zapłaty za powrotem wielkiego księcia Burgundyi.

Upadek Karola zuchwałego stanowi ważną epokę w dziejach Francyi. Gdyby się było powiodło księciu burgundzkiemu urzeczywistnić usnute w głowie marzenia, Europa niezawodnie innąby

w następstwie przybrała postać: a przyznać trzeba, że potęga i zamożność nadawały mu niejakie prawo do tych marzeń, i kto wié, czyliby przy większéj rozwadze i wolniejszém wyrachowaniu nie był stanął u kresu swoich życzeń. Ludwik XI zdawał się pojmować to niebezpieczeństwo, i póki trwała na zabój walka księcia Burgundyi ze Szwajcarami, widziano go ustawnie czatującego na wypadek gry, w któréj rzucano losy o jego powagę monarchiczną. Umiał on hamować najgorętsze żądze swoje i upornie trzymał się neutralności; ale miał w Lugdunie gotową armią na wsparcie tych, którzy przelewali krew zarówno w sprawie jego jak i własnéj. Ztamtąd kierował poruszeniami, do których zdawał się z pozoru nie mieszać. Dzień w dzień gońcy donosili mu o obrotach nad jeziorami szwajcarskiemi. Po bitwie pod Morat zaprosił na dwór swój naczelników zwycięzkiéj armii, których potrafił wplątać do swojéj sprawy ujmującém postępowaniem i łagodnemi słowy, jakich mu nigdy nie brakło w potrzebie. On to Renatowi zaliczył czterdzieści tysięcy franków na wyprawę, którą tak szczęśliwie dla niego zakończył dzień pod Nancy. Niedługo czekał procentu od wyłożonéj summy. Na czele ogromnych posiadłości burgundzkich stanęła dziewica dwudziestoletnia, bez skarbu, bez wojska, bez sprzymierzeńców, otoczona znienawidzonymi od ludu radzcami ojca, na nich bowiem spadała nienawiść gwałtów ostatnich lat panowania Karola. Wszystkie posiadłości księcia Burgundyi we Francyi wracały do korony, na mocy prawa salickiego. Ludwik nie ociągał się z ich zajęciem: Franche-Comté, miasta nad Sommą, Artois i część Pikardyi obsadziły wojska królewskie, a Marya Burgundzka zanadto miała do czynienia z Flandryą, żeby mogła bronić swojego dziedzictwa.

Nie przestawał Ludwik nigdy na tém co zagarnął, skoro jeszcze zostawało coś do zagrabienia: zapragnął on całéj puścizny po Karolu zuchwałym i w tym celu usnuł projekt zaślubienia Maryi z Delfinem. Lecz Delfin miał dopiéro lat ośm, ochmistrzyni

dworu odezwała się: „Księżniczka jest w wieku, w którym może mieć dzieci, a ma dziecię zaślubiać!" Stany zaś niechętne władzy francuzkiéj wręcz odrzuciły tę myśl i oglądały się za księciem któryby zdolny był stawić czoło królowi Francyi. Wszyscy zwrócili oczy na Adolfa hrabiego Geldryi, dzielnego wojownika, lecz złego imienia człowieka. Siedział on jeszcze w więzieniu w Courtray, w którém go zamknął Karol zuchwały za to, że wsadził do klatki starego ojca swojego. Mówiono nawet, że go własną ręką bił i chciał zamordować. Szczęściem dla księżniczki, że w piérwszém spotkaniu się z wojskami francuzkiemi poległ i uwolnił ją od ślubów nienawistnych. Ludwik oburzony odmówną odpowiedzią stanów, wkroczył z wojskiem do Flandryi, lecz się wstrzymał w ciągu najłatwiejszych tryumfów i pustoszeniem kraju chciał skłonić Flamandczyków do uległości. Hrabiemu Dammartin, dowódzcy wojsk swoich, z którym się dawno już pogodził i w którym zupełne pokładał zaufanie posłał pięciuset kosynierów, „aby kraj niszczyli, jak to wiész" pisał do niego. Mieszkańcy przerażeni tą pożogą skłonili księżniczkę do zaślubienia Maxymiliana syna Cesarza Fryderyka, a dziadka Karola V. Zaślubiny odbyły się w Gandawie, a w miesiąc późniéj Ludwik okupił rozejm. W następnym atoli roku król Francyi pozyskawszy nowych sprzymierzeńców wznowił wojnę z Maxymilianem. Szczęście zdawało się z początku przechylać na stronę francuzką; wyprowadzili oni w pole potężne wojsko i mnóstwo dział. Półtora wieku upłynęło od czasu jak artyllerya piérwszy raz pojawiła się na polu bitwy, a już stała się bronią bardzo ważną i rozmaitym uległa zmianom. Nie były to już armatki, które drobnemi kulkami ubiegały się o pierwszeństwo z łucznikami angielskiemi pod Cresy; teraz odlewano działa większego nieco kalibru od dzisiejszych, jak np. tak zwana bombarda w Bastylii ustawiona, mająca rzucać na most pod Charenton kule żelazne wagi pięciu set funtów, a która za piérwszym wystrzałem pękła. W wyprawie, o któréj mówimy, mieli Francuzi z sobą podobnego rodzaju działo nazwane piękna Burbonka.

Mimo to jednak walczono jeszcze starożytnym sposobem. Milicye flamandzkie zbrojne były długiemi dzidami i na wzór angielski zasłaniali swoję linią palisadami. Obadwa wojska spotkały się pod Guinegate; Francuzi za piérwszém natarciem złamali pierwszą linię burgundzką, lecz zapędzeni za daleko za cofającemi się rozpierzchli się, a tymczasem Maxymilian uderzył z odwodem swoim i zupełnie poraził chwilowych zwycięzców (1479). Kosztowny to jednak był tryumf, dziewięć tysięcy Flamandczyków legło na polu bitwy, Francuzi i połowy tego nie utracili, a prócz tego odwetowali tę klęskę zabraniem ośmdziesiąt okrętów ładownych zbożem dla Hollandyi przeznaczoném.

Obiedwie strony znudzone bojem pragnęły pokoju, zawarto więc rozejm, który zakończył spory z układu w Arras wynikłe. Marya burgundzka w skutku spadnięcia z konia zakończyła życie, córka jéj zaślubiona została Delfinowi, a Ludwik w posagu z nią zatrzymał Artois, Burgundyą i Franche-Comté. Zatargi z Burgundyą zostawiały Ludwikowi dosyć czasu do zajęcia się ostatecznem zniszczeniem naczelników konającego feodalizmu. Konetabl hrabia Saint-Pol oskarżony o winę obrażonego majestatu, ścięty został w Paryżu na placu Grève. Jakób hrabia Nemours ostatni z Armaniaków schwytany w zamku własnym, zamknięty w klatce żelaznéj w Bastylii, ścięty na rynku zbożowym w Paryżu. Zdaje się wszakże, iż nie same polityczne widoki kierowały zemstą Ludwika, zaciętość jego przeciw Armaniakom każe się jakiéjś osobistéj urazy domyślać. „Panie Saint-Pierre, pisał król do gubernatora Bastylii, nie podoba mi się, iż kazałeś mu zdjąć kajdany z nóg... Niech sobie gada kanclerz i inni co chcą, ty daj baczność aby się nie ruszył z klatki, chyba tylko na torturę, a i to każ go torturować w jego zamknięciu."

W początku 1477 r. Ludwik odebrał wiadomość o zamordowaniu Galeasa Sforzy, szwagra i przyjaciela swojego, który zakłuty został w kościele przez Pazzych. Odtąd ujrzano wielką w królu zmianę, starość go widocznie zaczęła gnębić. Żądza pa-

nowania, która go ciągle dręczyła od czasów prageryi począwszy, ustępowała miejsca zgryźliwszemu jeszcze uczuciu, to jest bojaźni śmierci, jedynemu nieprzyjacielowi, który wstępował z nim w szranki. Już i polityka zobojętniała dla niego. Wnuk Renata ostatnią wolą swoją przekazał Ludwikowi rozległe posiadłości swoje, obejmujące Anjou, Maine, Bar i Prowancyą, a nadto roszczenia domu swojego do korony neapolitańskiéj. Prowincye francuzkie obsadził król, ale na prawa do Neapolu najmniejszéj nie zwracał uwagi. Genueńczykowie oświadczyli mu chęć dobrowolnego poddania się, on tymczasem rzekł do swoich radzców: „Genueńczykowie poruczają się mnie, a ja poruczam ich djabłu." Tak dalece zajmowały go już wtedy rozpaczające zapasy ze śmiercią, które tak szczególny i posępny cień rzucają na ostatnie lata jego panowania. Ludwik miał dopiéro pięćdziesiąt ośm lat, lecz trudy rządu, takiego zwłaszcza jaki on prowadził, przyspieszają starość.

W miarę jak zdrowie i siły jego nikły wzrastała nieufność, zdawało się atoli, iż sam przed sobą chciał ukryć przyczynę trwogi,

składając na karb morderstwa obawę zbliżającéj się nieuchronnéj śmierci. Ciągle już mieszkał w zamku du Plessis-lez-Tours, który naprzód opasał murem, daléj zaś żelaznemi palisadami. Wszystko tam zabezpieczano co tylko strach najpodejrzliwszy wymyślić może. Drzwi i okna żelaznemi obwarowano kratami, po polu porozrzucano żelazne trójkolce przeciw natarciu jazdy, w całéj okolicy pełno poustawiano szubienic, a Tristan l'Hermite krążył ustawnie do koła zamku gotów za najmniejszém skinieniem ciąć wszystko w pień cokolwiekby mu się nastręczyło. Raz król pokazał mu pikardzkiego dowódzcę, któremu nie ufał, Tristan rozumiejąc, że idzie o ubogiego mnicha, który się przy boku dowódzcy znajdował, bez wielkich zabiegów kazał pochwycić mnicha, zaszyć w wór i rzucić w Ligierę. „Ah, miły Boże! zawołał Ludwik dowiedziawszy się o tém zdarzeniu, to mój najlepszy mnich z całego królestwa! trzeba jutro za duszę jego odprawić kilka mszy." Dworzanie zaś śmieli się, nazywając to pomyłką aptekarską.

Mimo tak skorą w wykonaniu sprawiedliwość, przecież umysł królewski nie mógł się uspokoić, bo niebezpieczeństwo coraz groźniejszém się stawało. W marcu 1481 roku doświadczył piérwszego uderzenia apoplexyi i odtąd już dogorywał. Nic pomódz nie mogli najznakomitsi czasów owych lekarze; ani Adam Fumée stary lekarz ojca, ani Anioł Catho lekarz Karola zuchwałego, ani Jakob Coictier w największych względach będący, któremu dziesięć tysięcy talarów płacił miesięcznie, a który z podejrzliwym samowładzcą obchodził się jak ze służalcem. „Wiem dobrze, mawiał mu nie raz klnąc, że mnie się może pozbędziesz kiedyś, tak jak już pozbyłeś się nie jednego; lecz przysięgam na rany Zbawiciela, że potém ośmiu dni nie przeżyjesz." Ludwik żadną miarą umierać nie chiał, a ta wola żelazna, co niegdyś tryumfowała nad wszystkiem, zdawała się silić nad zwalczeniem natury. Spółczesny dziejopis mówi, że „dla uleczenia króla okropnych i dziwnych doświadczano leków." Głoszono pomiędzy ludem, że lekarze dawali mu pić krew dzieci małych, dla złagodze-

nia ostrości krwi jego. Gdy wszystko nic nie pomagało, w ostatniéj rozpaczy zaczął żebrać cudu od Boga. Zewsząd nadsyłano mu relikwie wielkiemi skarbami opłacone. W Reims wzięto ampułkę i świętym olejem, przeznaczonym jedynie do namaszczania czoła królów, Ludwik całe ciało wytarł. Wreszcie na prośbę króla papież rozkazem swoim skłonił świątobliwego pustelnika z Kalabryi, ś. Franciszka de Paulo, do odbycia podróży do Francyi. Ludwik XI padł mu do nóg żebrząc o przedłużenie życia, lecz mąż święty wzgardził hołdem bezbożnym i ofiarował mu swoje modły.

Dnia 25 sierpnia 1483 nastąpiło drugie uderzenie apoplektyczne, zwiastujące ostatni już kres monarchy pasującego się zacięcie ze śmiercią, jakby z jakim potężnym wazallem. Odzyskał jeszcze na kilka dni przytomność, a wtedy mu Coictier objawił wyrok nieodzowny; zebrał więc siły, pokazał zwykłą moc duszy, poczynił potrzebne rozporządzenia i dnia 30 sierpnia zakończył życie.

Niespokojne oczekiwanie ogarnęło umysły wszystkich skoro się ujrzeli wyzwoleni od nieugiętego władzcy, który tak długo twardém wędzidłem hamował różnorodne interesa i namiętności. W miejsce jego słabym krokiem dźwigał się na stopnie tronu czternastoletni młodzieniec, słabowity, niepoczesnéj postawy ciała, a ograniczonego umysłu; ojciec bowiem jego, pomny zapewne swojéj młodości i lękający się losu Karola VII, wychował go w zupełnéj niewiadomości. Karol VIII z ucznia jednym skokiem zostawszy królem, za przewodnika i opiekuna uzyskał z woli ojca Annę de Beaujeu siostrę swoją, kobietę przebiegłą i śmiałą, oddawna wtajemniczoną we wszelkie wykręty polityki ojcowskiéj. Jednak mimo największe zalety Anna była kobiétą, prawo więc salickie otwierało wolne pole wszelkim zabiegom dumy możnowładców zniecierpliwionych twardym hamulcem, którym ich tak długo krempowano. Prawda, że monarchia nie miała się już co obawiać drugiéj ligi dobra publicznego: śmierć, wojna i kat zni-

szczyli jéj żywioły; jednakże choć poniżona przez Tristana feodalność, żyła przecież i groziła podźwignięciem głowy, jeszcze jéj pozostały znakomite imiona i rozległe włości, przez co mogła się stać straszną. Na czele władz wstępujących w szranki z koroną stały dwie familie, orleańska i bretońska, przechowały one w czystości wspomnienia z czasów Karola VI. Obok tych dwóch domów występowali, książę Bourbon roszczący prawo do opieki Karola VIII, wicehrabia Narbonny, hrabia Angoulême, Renat d'Alençon i cała szlachta prowincyonalna, któréj duch niepodległości przeżył nawet czasy Riszeliego. Lecz co gorsza, znalazł się człowiek, który przyjął rolę pośrednika niechętnych, a tym był Dunois, syn sławnego bękarta, obrotniejszy dyplomat od Konetabla Saint-Pol, który niegdyś spełniał powołanie podżegacza i odebrał za nie nagrodę na placu Grève. Szereg nieprzyjaciół rejentki Anny de Beaujeu pomnożył Maxymilian zastępujący miejsce dawnego przywódzcy feodalizmu Karola zuchwałego. Ujrzawszy tak silne stronnictwo Ludwik orleański zażądał, aby stany państwa rozstrzygnęły pytanie względem rejencyi: Anna chcąc nie chcąc zwołała je do Tours.

Widocznem niebezpieczeństwem zagrożona Anna zastawiając się przed ciosem nieuchronnym poniosła ofiary zdolne złagodzić umysły, o własny tylko dbałe interes. Książęta rodziny wezwani zostali do rady tymczasowéj mającéj rządzić państwem, nim stany wolę swoję objawią. Książę Bourbon otrzymał szablę Konetabla; Dunois zarząd Delfinatu; Ludwik gubernatorstwo Paryża, Isle de France, Szampanii i Brie. Wygnańcy przywołani zostali, klatki żelazne otwarte, podatki zmniejszone, kompanie szwajcarskie, przeciw którym powszechnie szemrano, zwinięte. Zresztą dla zaspokojenia nienawiści powszechnéj poświęciła zemście ludu trzech nikczemników, których zaufanie Ludwika XI czyniło odpowiedzialnemi za wyskoki ostatnich jego lat. Jeden z nich za wyrokiem sądu został powieszony, drugi odebrał chłostę publiczną na rynku paryzkim i z obciętemi uszami wywołany z kraju, trzeci,

a tym był Coictier lekarz, zwrócić musiał summy wydarte Ludwikowi w czasie jego zapasów ze śmiercią.

Nadszedł dzień otwarcia stanów (15 stycznia 1484). Karol VIII zagaił posiedzenie z tronu otoczonego wyższą szlachtą, ławy zaś zajmowali deputowani szlachty, duchowieństwa i mieszczan. Obrady odbywano wspólnie bez różnicy stanów i głosowano pojedynczo. Zaraz z pierwszego wstępu widać było, że duch Marcela nie zaginął z ich śmiercią, owszem żądanie teraz zuchwaléj jeszcze wyrażone było. „Nie ma wątpliwości, odezwał się Filip Pol, że gdy się toczy spór o tron lub rejencyą, naród ma w tym względzie stanowić, naród, który w pierwiastkach był podporą ich władzy." Tak śmiałe atoli odezwy nie znalazły żadnego odgłosu pośród ludności otaczającéj zgromadzenie, a tak skończyło się na postanowieniu: „że rejencya niepotrzebna, Anna zaś Beaujeu będzie miała staranie o królu w ciągu jego młodości." Następnie stany przedłożyły królowi swoje zażalenia, zmniejszyły podatki prawie przez połowę i podały warunek zwołania nowych stanów po upływie dwóch lat, po czém Anna rozwiązała zgromadzenie w mocném przedsięwzięciu nie zwracania uwagi na jego uchwały. Ludwik orleański zawiedziony w swoich oczekiwaniach nie uzyskawszy nic od stanów, naprzód zabiegami w Paryżu, a następnie buntem otwartym chciał dopiąć celu swoich życzeń; zabiegi się nie powiodły, bunt zaś Anna uprzedziła, Ludwik więc musiał uledz konieczności i pojednać się z siostrą królewską (1485).

Wkrótce wystąpił Dunois, poruszył na nowo Ludwika i zawiązał ligę groźną dla Anny, do któréj wciągnął Ryszarda III króla Anglii, Maxymiliana burgudzkiego, Franciszka bretońskiego i mnóstwo innych panów i szlachty. Dziedziczka polityki Ludwika XI nie ulękła się widoku strasznéj postawy nieprzyjaciół: Ryszarda zatrudniła buntem w Anglii, przeciw księciu bretońskiemu oburzyła jego własnych baronów, a na przeciw Maxymiliana podże-

gała sławnego de la March, którego pospolicie zwano *odyńcem Ardennów*. Ludwik orleański, sam prawie pozostawszy na placu musiał się upokorzyć i zawrzeć zgodę. Zatrważająca burza minęła bez najmniejszego uszczerbku dla Anny, a tém samém bez żadnéj korzyści dla związkowych, tak dalece że szyderczą *wojny płochéj* nazwę uzyskała. Wszyscy już cofnęli się z pola bitwy, lecz nie bez chętki wrócenia przy sposobnéj okoliczności, najzaciętszą zaś była Bretania, ciągle dla wpływu królów Francyi zamknięta i centralizacyi monarchicznéj nieprzychylna; w końcu atoli i ta uledz musiała. Książę Franciszek dziedziczką posiadłości swoich zostawiał córkę, o któréj rękę za życia jego ubiegali się: Ludwik orleański, Maxymilian burgundzki i Albret potomek Montfortów powinowaty bretońskiéj familii. Wśród tych zabiegów wojska Anny wstępnym bojem wdzierały się coraz daléj do Bretanii, wiekiem i słabością znękany Franciszek musiał podpisać pokój w Sablé, córka zaś jego w Rennes, pozbawiona wszelkiéj nadziei ocalenia, musiała wejść w układy ze zwycięzcami, mocą których, zrzekła się związków z Maxymilianem, z którym już była zaślubiona przez pełnomocnictwo (procuration), a dogadzając życzeniom narodu bretońskiego, ofiarowała rękę Karolowi VIII. Takim sposobem małżeństwo szturmem zdobyte połączyło na zawsze Bretanią z koroną francuzką, a to nadało Francyi jedność groźną dla zachodnio-południowéj Europy.

Zabiegi dworzan królewskich potrafiły zniszczyć wpływ Anny, siostry króla, i pojednać go z Ludwikiem orleańskim. Niedołężny Karol zdawszy kierunek spraw ważniejszych Szczepanowi Vesc, niegdyś szatnemu swojemu, a teraz szambelanowi i Seneszalowi Beaucaire, i Wilhelmowi Briçonnet, biskupowi z Saint-Malo, sam trawił czas na turniejach, rycerskich gonitwach i czytaniu rycerskich romansów. Skłonności te podżegali w nim książę orleański i młodzież szlachecka tłumem cisnąca się do dworu. Wnet w rozognionéj imaginacyi młody król zapragnął sławy Karola W. i postanowił wyprawić się na odzyskanie krajów, które niewierni

chrześcianom wydarli, gdy wtém okoliczności otworzyły mu inne pole bohatyrskich czynów.

W Medyolanie po zamordowaniu Galeazza objął rządy małoletni syn jego Jan Galeazzo pod opieką pozostałéj wdowy Bony sabaudzkiéj; brat jego Ludwik Moro potrafił i rejentkę i księcia usunąć, a sam sobie władzę przywłaszczył. Tymczasem młody Jan zaślubił Izabellę córkę księcia Kalabryi a wnuczkę Ferdynanda I króla neapolitańskiego. Izabella śmiała i przezorna postanowiła odzyskać władzę; Ludwik Moro przerażony wezwał pomocy Karola VIII, zapewniając mu łatwe odzyskanie królestwa neapolitańskiego, do którego prawa odziedziczył po ojcu, a nadto obszerne otwierał mu widoki na zawojowanie wschodu a nawet zdobycie Jerozolimy. Więcéj téż nie trzeba było dla rycerskiego ducha młodego króla, z całym zapałem uchwycił tak szczęśliwą sposobność. Przeląkł się Ludwik Moro ujrzawszy potężne wojsko zstępujące z góry Genèvre (1494); rozmaitość ubioru, broń, mieszanina języków zdawała się przedstawiać obraz ruchu wszystkich narodów całéj Europy. Byli między nimi Baskowie, Bretonowie, Szwajcary, Niemcy, a nawet Szkoci. Nowa dla Włochów rozpoczynała się wojna: nie taktyczna jak niegdyś, ale sroga i nieprzebłagana; zwycięzca nie rozumiał prośby zwyciężonego, nie znał co jest przebaczenie. Żołnierze Karola VIII zawzięci na kraj, w którym co chwila drżeli na wspomnienie trucizny, mordowali zwykle wszystkich jeńców. Z łatwością Karol zdobył całe królestwo neapolitańskie, lecz z równą łatwością oburzył przeciw sobie wszystkich mieszkańców, a lękając się skutków powszechnego powstania jak prędko przybył, tak prędzéj jeszcze spieszył się z powrotem do Francyi. Karol jednak nie troszczył się o nic: na krańcu Włoch, przedzielony od krajów swoich tyłą nieprzyjaznemi ludami, żył równie swobodnie, jak gdyby się znajdował w Lugdunie, lub w zamkach nad roskoszną Ligierą. Zamknięty w letnim pałacu królów neapolitańskich w Ponge-Reale spoczywał po trudach wojennych na łonie młodéj księżniczki Melfi, nieustraszonéj

amazonki, która w obliczu jego, najrozhukańszych dosiadała rumaków; tymczasem dowódzcy jego szarpali włości panów neapolitań-

skich, rozrywali między sobą ich pałace i zamki, sprzedawali w końcu broń, zapasy wojenne i potrzeby twierdz. Gubernatorami miast i prowincyj, sami Francuzi mianowani, łupili kraj bez litości i bez względu na jakie bądź stronnictwo; równie aragońscy jak i andegaweńscy sprzymierzeńcy opłacać się musieli. Takowém postępowaniem oburzone Włochy gotowe były do powstania za najmniejszym powodem. Już nie jeden Francuz padł na ulicy Neapolu pod ciosem włoskiego sztyletu, gdy wtém Comines czuwający nad losem nierozważnego króla, jedyny z radzców jego przechowujący wiernie zimną politykę Ludwika XI, wykrywszy zabiegi nieprzyjaciół króla w czasie swojego posłannictwa do Wenecyi, Rzymu i Medyolanu, zawiadomił go o związku mającym na celu zagrodzenie królowi odwrotu do Francyi. Tę straszną ligę zawiązali Wenecyanie, książę medyolański, Ferdynand katolicki, papież i cesarz Maxymilian. Karol VIII, pieszczone dziecię

losu, pogromca Włoch całych bez wyciągnięcia oręża (*), zadrżał na wiadomość odebraną od Comina, natychmiast rozdzielił wojsko swoje na dwie części, jednę, pod wodzą d'Aubiniego i Montpensier zostawił na obronę Neapolu, z drugą spiesznie wracał do Francyi. Tak więc i wodzom swoim obronę nie podobną i dla siebie odwrót awanturniczy czynił.

W Parmie zebrało się czterdzieści tysięcy wojska związkowych, a Karol tymczasem w ośm tysięcy tylko stanął u stóp Apeninu. Przeprawa pasterskiemi ścieszkami przez wierzchołki gór, urwiska skał, po nad brzegami przepaści trwała dni trzy z niewypowiedzianemi trudami połączona. Nie podzielał ich Karol, ani się też nie nudził przez te trzy dni, lalki dworskie umiały go przyjemnie zabawiać przez ten czas, mówi spółczesny kronikarz. Pod Fornovo uszykowany nieprzyjaciel oczekiwał na Francuzów, ożywiony nadzieją niewątpliwego zwycięztwa. Jeżeli król gnuśnym był widzem mozolnéj przeprawy przez góry, tedy stanąwszy w obliczu pięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela okazał ducha prawdziwie rycerskiego; w piérwszym szyku bojowym z szablą w ręku, natarł na zaciętych kondotierów włoskich; już go ludzie margrabiego Gonzagi mieli w swoich ręku, wyrwał go przecież z niebezpieczeństwa ognisty rumak. Francuzi przykładem króla zapaleni z taką natarczywością walczyli, iż w godzinie jednéj rozpędzili tę straszną armią, która im zgubą zagrażała. To zwycięztwo zmordowało rycerzy Karola VIII, pragnęli jak najspieszniéj wracać do swoich pałaców, używać swobody pokoju i rozkosznego

(*) Wewnętrznemi zatargami szarpane Włochy, prawie jednomyślnie powitały Karola VIII jako swojego zbawcę. Wszędzie przyjmowano go z tryumfem, a dawni rządzcy, lub przywłaszczyciele rządów, opuszczeni od swoich kryć się musieli. Wśród okrzyków radości wszedł do Pawii, Florencyi, Rzymu i Neapolu; wojsko jego bez zbroi spokojnie postępowało, kwatermistrze tylko z kredą w ręku naprzód biegli zapisując kwatery. Karol przypisując to wszystko postrachowi swojego oręża, nie łamał głowy nad utrzymaniem tak łatwéj zdobyczy.

życia na dworze; wyczerpnięte już były wszelkie zasoby, nie można się było ociągać, wkrótce więc (24 października 1495) Karol VIII stanąwszy na ziemi francuzkiéj, złożył dzięki Bogu, że mu użyczył łaski „dokonania wyprawy z tak wielkim zaszczytem."

Odtąd wywietrzały Karolowi z głowy wszelkie zamachy zdobywcze, swobodne wśród pokoju pędząc życie, nie pomyślił nawet o krytyczném położeniu, w jakiém się ujrzał d'Aubigny i Montpensier po oddaleniu króla. Walczyli oni przez niejaki czas z przemagającemi siłami nieprzyjaciół, wśród zawziętéj przeciw sobie ludności; z początku szczęście obudwom sprzyjało, w końcu jednak uledz musieli i haniebną kapitulacyą okupić powrot kilkuset niedobitków. Karol tymczasem z jak dziecinnym zapałem rzucił się z początku na pole bitwy, tak z podobném że uniesieniem zajął się późniéj urządzeniami kraju; niedołęztwo i jednego i drugiego dokonać mu nie dozwoliło. Nękały go zbytki i wyniszczenie, w dwudziestym ósmym roku podobny był do sześćdziesięcioletniego starca. W kwietniu 1498 bawiąc w Amboise otoczony malarzami i budowniczemi z Włoch do wystawienia pałacu wezwanymi, tknięty apoplexyą życia dokonał nie zostawiwszy żadnego potomstwa.

Koniec Tomu pierwszego.

SPIS RZECZY

w pierwszym Tomie zawartych.

Stronnica.

Przedmowa.

KSIĘGA PIERWSZA.

Dzieje Celto-Gallów do Klodoweusza, do r. 481 po N. Chr.

I. Zajęcie Gallii przez Celtów.—Podział Gallii.—Religia Celto-Gallów. . . . . 3.
II. Pierwiastkowe dzieje Gallów aż do Cezara . . . . . 13.
III. Wojny Cezara — Podbicie Gallii. . . . . 21.
IV. Gallia pod Cesarzami rzymskiemi.— Upadek Cesarstwa.—Chrześciaństwo w Gallii. . . . . 30.

KSIĘGA DRUGA.

Merowingowie, roku 481 — 687.

I. Najście Gallii przez ludy germańskie.—Frankowie osiadają w Gallii. 43.
II. Zjednoczenie Gallii pod rządem Klodowika. . . . . 53.
III. Gallia podzielona pod synami Klodowika i ich następcami . . . 61.
IV. Upadek Merowingów. — Przewaga Marszałków pałacowych. . . 77.

KSIĘGA TRZECIA.

Karlowingowie, r. 687 — 987.

I. Początek Karlowingów. — Karol Martel . . . . . 91.
II. Pepin mały i Karloman. — Koronacya Pepina. . . . . 101.
III. Karol Wielki. — Jego wyprawy wojenne . . . . . 109.
IV. Ostatnie lata panowania Karola W. — Urządzenia jego. . . . . 121.
V. Rozprzężenie monarchii Karola W. . . . . 136.
VI. Ostateczny i stanowczy podział monarchii Karola W. — Upadek Karlowingów 150

KSIĘGA CZWARTA.

Kapetyngowie, roku 987 — 1328.

Stronnica.

I. Obraz Francyi wieków średnich. . . . . 175.
II. Rok tysiączny. — Robert Król Francyi. — Ustalenie dynastyi Kapetów . . . . . 204.
III. Zatargi Cesarzów niemieckich z kościołem. — Wyprawy normandzkie. . . . . 217.
IV. Wyprawy krzyżowe. . . . . 234.
V. Następstwa wypraw krzyżowych. — Ludwik gruby . . . . . 252.
VI. Ludwik VII. — Druga wyprawa krzyżowa . . . . . 269.
VII. Wiek trzynasty. — Trzecia krucyata . . . . . 286.
VIII. Zatargi króla Filipa z królem Janem. — Czwarta wyprawa krzyżowa. — Krucyata przeciw Albigensom. . . . . 300.
IX. Panowanie Ludwika VIII. — Ludwik IX święty . . . . . 331.
X. Stan Francyi w wieku trzynastym pod względem rządu, nauk i sztuk . . . . . 375.
XI. Filip śmiały. — Filip piękny . . . . . 398.
XII. Templaryusze . . . . . 418.
XIII. Śmierć Filipa pięknego. — Ludwik X. — Filip V. — Karol IV . 434.

KSIĘGA PIĄTA.

Walezyusze, roku 1328 — 1498.

I. Filip VI. — Wojna flandryjska. — Wojna angielska. . . . . 449.
II. Jan dobry. — Bitwa pod Poitiers. — Zaburzenia w Paryżu. — Bunt chłopów . . . . . 475.
III. Karol V. — Du Guesclin. — Wojna z Anglią. . . . . 489.
IV. Karol VII. — Wojna angielska. — Joanna d'Arc . . . . . 527.
V. Ludwik XI. — Karol VIII . . . . . 563.

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej
30277/2 t.1
12-030277-001-0